

Danielle

Przeprawy

Przełożyła z angielskiego  
Ewa Pensyk

Wydawnictwo "Książnica"  
Katowice 1994

ISBN 83-85348-43-3

przepisała Marianna Żydek

"Silnych ludzi nie można pokonać..."

Rozdział pierwszy

Dom pod numerem 2129 przy Wyoming Avenue stał w całym swoim masywnym splendorze; jego szarą kamienną fasadę zdobiły ornamenty zwieńczone wielkim złotym godłem i francuska flaga, powiewająca łagodnie na wietrze, który zerwał się tego popołudnia w Waszyngtonie - może po raz ostatni przed nadchodzącym latem. Był już czerwiec roku 1939; te pięć ostatnich lat Armandowi de Villiers, ambasadorowi Francji, upłynęło zdecydowanie za szybko.

Siedząc w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na elegancki ogród, z roztargnieniem patrzył przez chwilę na fontannę, potem przeniósł wzrok na górę papierzysk ułożoną na biurku. Cóż z tego, że powietrze przepęłniał intensywny aromat bzu - miał wiele do zrobienia, aż za wiele... Wiedział już, że będzie siedzieć w biurze do późnej nocy, jak zresztą co wieczór przez ostatnie dwa tygodnie w związku z przygotowaniami do powrotu do Francji. Od dawna był świadom, że zbliża się odwołanie, a jednak kiedy nadeszło w kwietniu, poczuł w sercu lekkie ukłucie żalu. Jeszcze teraz miewał w związku z powrotem do domu mieszane uczucia. To samo działo się z nim wówczas, kiedy opuszczał Wiedeń, Londyn, San Francisco i inne poprzednie placówki. Więzy z tym miastem i krajem były jednak znacznie silniejsze. Armand miał skłonność do zapuszczania korzeni, zawierania przyjaźni, zakochiwania się w miejscach, do których go delegowano. Taka postawa utrudniała mu przenosiny, a przecież tym razem nie były to tylko przenosiny - to był powrót do ojczyzny.

Ojczyzna... Po raz ostatni był we Francji bardzo dawno temu, a teraz go tam po prostu pilnie potrzebowano. Całą Europę ogarnęło napięcie, wszystko ulegało nieustannym zmianom i Armand często miewał wrażenie, że żyje od jednego codziennego raportu z Paryża do drugiego. Raporty te dawały mu niejakię pojęcie o tym, co się dzieje w Starym Świecie. Mogło się zdawać, że Waszyngton dzieli całe lata świetlne od problemów zagrożonej Europy, od lęków utajonych w samym sercu Francji. Tu, w tym nietykalnym kraju, ludzie nie mieli się czego obawiać, ale w Europie, i to szczególnie dziś, nikt nie mógł czuć się pewnie.

Zaledwie przed rokiem wszyscy we Francji żywili przekonanie, że wojna jest nieunikniona, lecz teraz, przynajmniej sądząc po tym, co słyszał Armand, wielu pożegnało się z lękami. Przed prawdą nie można jednak uciekać w nieskończoność - właśnie coś takiego powiedział do Liane. Kiedy cztery miesiące wcześniej w Hiszpanii dobiegła kresu wojna domowa, stało się jasne, że Niemcy są coraz bliżej, a dzięki lotnisku w pobliżu Irun znaleźli się o kilka zaledwie mil od Francji. Armand wiedział, co to znaczy, pojmując zarazem, iż wielu ludzi nie dostrzega sensu wydarzeń. W ciągu sześciu ostatnich miesięcy Paryż był bardziej beztroski niż przedtem, a przynajmniej tak się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Sam to dostrzegł, kiedy przyjechał do Francji na Wielkanoc, aby wziąć udział w tajnym spotkaniu Bureau Central, na którym powiedziano mu, że jego misja w Waszyngtonie dobiega końca.

Był zapraszany na niezliczone przyjęcia, pełne światła i blichtru - przyjęcia, które jaskrawo kontrastowały z nastrojami panującymi jeszcze rok wcześniej. Wtedy, przed traktatem monachijskim, panowało nieznośne napięcie, które potem nagle zniknęło, ustępując miejsca czemuś na kształt gorączkowego ożywienia w najdoskonalszej ze swoich form. Odbywały się zatem nie kończące się przyjęcia, bale, spektakle operowe, przedstawienia i uroczystości, jak gdyby Francuzi, szukając zapomnienia w śmiechu i tańcu, chcieli zagłuszyć myśl, że może do nich dotrzeć wojna. Armand, poirytowany frywolną wesołością zauważoną w okresie Wielkanocy u swoich przyjaciół, rozumiał jednak, że jest to sposób, w jaki bronią się przed lękami. Po powrocie rozmawiał na ten temat z Liane.

- Są chyba potwornie przerażeni - powiedział. - Nie chcą przestać się śmiać ze strachu, że jeśli to uczynią, zaczną natychmiast płakać, uciekać i ukrywać się.

Tyle że ich śmiech nie powstrzyma wojny, nie powstrzyma nieuchronnego marszu Hitlera przez Europę. Armand obawiał się czasem, że tego człowieka nic nie potrafi powstrzymać. Postrzegał Hitlera jako przerażającego demona i jakkolwiek niektóre osobistości na wysokich stanowiskach zgadzały się z jego opinią, były również inne, przekonane, że długie lata służby ojczyźnie Armand przypłacił nadmierną nerwowością i stał się po prostu wystraszonego starszym panem.

- Czy do tego doprowadziło cię życie w Stanach, staruszkule? - zapytał go kpiąco jeden z najbliższych paryskich przyjaciół. Pochodził z Bordeaux, gdzie dorastali razem z Armandem, i był teraz dyrektorem trzech największych banków we Francji. - Nie bądź niemądry, Armandzie. Hitler nigdy nas nie tknie.

- Anglicy są odmiennego zdania, Bernardzie.

- To też wystraszone stare baby, a poza tym uwielbiają te swoje gierki wojenne. Myśl o rozpętaniu waśni z Hitlerem szalenie ich podnieca. Nie mają nic innego do roboty.

- Co za bzdury wygadujesz! - Armand z trudem opanował gniew, lecz nie tylko Bernard wypowiadał się wzgardliwie o Anglikach. Tak czy inaczej, po dwutygodniowym pobycie Armand opuszczał Paryż ogarnięty niemal wściekłością. Spodziewał się wprawdzie, że Amerykanie będą ślepi na zagrożenie, w którego obliczu stoi Europa, żywił jednak nadzieję, iż w swoim kraju usłyszy coś innego. Miał własne poglądy na temat powagi sytuacji, zagrożenia, niebezpieczeństwa, które niesie ze sobą Hitler, a także tego, jak niespodziewanie i jak szybko może spaść nieszczęście. "A może - myślał, wracając do domu - może Bernard i inni mają słuszość?" Może był zbyt wystraszony, zbyt zaniepokojony losem swojego kraju? Może więc na swój sposób powrót do domu okaże się korzystny, bo pozwoli mu lepiej wyczuć puls Francji?

Liane wieść o wyjeździe przyjęła dobrze, przyzwyczaiła się już bowiem do pakowania i przeprowadzek, lecz opowieści Armanda o nastrojach panujących w Paryżu przyjmowała z głęboką troską. Była mądrą, inteligentną kobietą i w ciągu przeżytych wspólnie lat wiele nauczyła się od Armanda na temat mechanizmów polityki międzynarodowej. Te kwestie ciekawiły ją od samego początku ich małżeństwa. Była wtedy tak młoda i tak spragniona wiedzy o karierze Armanda, o krajach, w których pełnił misje, o politycznych implikacjach wielu jego poczynań! Uśmiechał się w duchu, wspominając tych dziesięć minionych lat. Liane przypominała gąbkę chłonącą każdą kroplę informacji, połykającą każdy okruszek wiedzy.

Teraz miała własne poglądy i często nie zgadzała się z mężem lub też bywała bardziej od niego radykalna, jeśli już ich myślenie przebiegało tymi samymi torami. Najbardziej zawziętą z bitew stoczyli zaledwie przed kilkoma tygodniami, pod koniec maja, na temat S/S "St. Louis" - statku wiozącego z błogosławieństwem Josepha Goebbelsa dziewięćset trzydziestu siedmiu Żydów z Hamburga do Hawany, gdzie uciekinierom nie zezwolono zejść na ląd. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że po prostu szczeną na pokładzie statku, który w nieskończoność będzie stać na redzie.

Wiele osób podjęło gorączkowe wysiłki, żeby znaleźć przytułek dla uciekinierów, groził im bowiem powrót do Hamburga, a tam - nieznany los. Liane osobiście rozmawiała z prezydentem. Na darmo. Amerykanie odmówili przyjęcia uciekinierów i Armand dobrze pamiętał, jak Liane wybuchnęła płaczem, kiedy uświadomiła sobie, że wysiłki jej i wielu innych osób są bezskuteczne.

Ze statku tymczasem nadchodziły groźne wieści: ponoć uciekinierzy woleli raczej popełnić zbiorowe samobójstwo, aniżeli wracać do kraju, z którego przybyli. Wreszcie Francja, Anglia, Holandia i Belgia miłosiernie zgodziły się przyjąć wygnańców, nie oznaczało to wszakże końca bitwy pomiędzy Armandem a Liane. Po raz pierwszy w życiu Liane była rozczarowana własną ojczyzną; jej furia nie znała granic i jakkolwiek Armand podzielał uczucia żony, utrzymywał z uporem, że istnieją ważne powody, dla których Roosevelt odmówił przyjęcia Żydów. To, że Armand był gotów zaakceptować decyzję prezydenta, jeszcze bardziej potęgowało gniew Liane. Czowała się zdradzona przez rodaków. Ameryka była krainą obfitości, ojczyzną ludzi dzielnych, krajem wolnych - jakże mógł Armand usprawiedliwiać fakt, że nie przyjęła wygnańców? Nie była to kwestia osądu, jak usiłował wyjaśnić jej Armand, lecz akceptacji zasady, że są takie chwile, kiedy rząd musi podejmować bezwzględne decyzje. Liczyło się zaś to, że uciekinierzy byli bezpieczni. Liane potrzebowała wielu dni, aby się uspokoić, jednakże już po tym wszystkim, na jakimś damskim przyjęciu, wdała się z pierwszą damą Stanów

Zjednoczonych w długą i niemal wrogą dyskusję. Pani Roosevelt rozumiała gniew Liane, ją bowiem też wprawiał w rozpacz los pasażerów "St. Louis", ale była bezradna, ponieważ nic nie mogła uczynić, by nakłonić męża do zmiany decyzji. Stany Zjednoczone musiały przestrzegać limitów imigracyjnych, a dziewięciuset trzydziestu siedmiu niemieckich Żydów przekraczało limit przewidziany na cały ten rok. Pani Roosevelt przypomniała rozmówcy, że wszystko dla uciekinierów skończyło się dobrze, niemniej było to wydarzenie, które uświadomiło Liane grozę położenia ludzi w Europie: nagle w pełni pojęła, co dzieje się z dala od spokojnego życia wypełnionego waszyngtońskimi przyjęciami dyplomatycznymi, toteż tym chętniej wyjeżdżała do Francji.

- Nie jest ci przykro, że znów będziesz musiała opuścić kraj, kochanie? -  
Incydent z "St. Louis" dawno już poszedł w niepamięć i teraz Armand z czułością przyglądał się żonie ponad stołem.

Pokręciła głową. - Chcę wiedzieć, co się dzieje w Europie, Armandzie. Zdaje mi się, że taka jestem tutaj oddalona od wszystkiego... - Uśmiechnęła się, czując doń miłość większą niż kiedykolwiek dotąd. Spędzili ze sobą dziesięć niezwykle szczęśliwych lat.

- Naprawdę sądzisz, że niebawem wybuchnie wojna?

- Tak, ale nie w twoim kraju, kochanie.

Zawsze jej przypominał, że jest Amerykanką, zawsze dbał, aby nie przejęła bez reszty jego poglądów. Miała w końcu własną osobowość, a zatem i prawo do własnych zapatrywań oraz poczucia przynależności narodowej, które zresztą nigdy nie weszły w konflikt z jego uczuciami. Od czasu do czasu wybuchał wprawdzie gwałtowny spór, eksplozja niezgody, skoro jednak zdawało się to pomagać w utrzymaniu w zdrowiu ich związku, nie miał nic przeciwko temu. Szanował jej poglądy tak samo jak swoje, podziwiając przy tym gorliwość, z jaką stawiała w obronie wszystkiego, co uznawała za ważne.

Była silną kobietą o umysłowości godnej najwyższego podziwu. Obdarzał ją szacunkiem, odkąd się poznali w San Francisco - Liane miała wówczas zaledwie piętnaście lat i była zaiste czarodziejską dziewczyną, o niemal nieziemskiej, eterycznej i złocistej urodzie, a przy tym, po tylu latach samotnego życia u boku ojca, Harrisona Crocketta, nad wiek wykształconą i mądrą. Armand wciąż pamiętał ich pierwsze spotkanie, kiedy w białej letniej sukience i wielkim słomkowym kapeluszu, nic nie mówiąc, przysłuchując się tylko dorosłym, płynęła przez ogrody konsulatu w San Francisco. Potem z nieśmiałym uśmiechem zwróciła się do niego i w nienaganej francuszczyźnie powiedziała coś na temat róż. Była przedmiotem bezkresnej dumy swojego ojca.

Armand uśmiechnął się na odległe wspomnienie tego człowieka. Harrison Crockett, magnat żeglugowy, był kimś naprawdę niezwykłym: surowy, a jednocześnie łagodny, pełen arystokratycznego dostojeństwa, z zagadkową obsesją za wszelką cenę bronił swojej prywatności i zawsze robił wszystko, żeby ustrzec jedyną córkę przed światem. Niewątpliwie potrafił zrobić ze swojego życia właściwy użytek.

Poznali się wkrótce po przybyciu Armanda do San Francisco, na koszmarnej kolacji, którą wydał poprzedni konsul przed wyjazdem do Bejrutu. Armand wiedział wprawdzie, iż Crockett został zaproszony, ale - jak zresztą wszyscy inni goście - wcale nie oczekiwał, że się pojawi. Harrison Crockett na ogół skrywał się za murami swojej eleganckiej ceglanej fortecy na Broadwayu, z której okien roztaczał się widok na zatokę. Jego brat George zdradzał dużo większe skłonności towarzyskie i był jednym z najchętniej

przyjmowanych kawalerów w San Francisco, nie tyle zresztą z powodu swojego uroku, co z racji pokrewieństwa z tak wielką fortuną.

A jednak ku ogólnemu zdumieniu Harrison przybył na tamtą kolację. Mówił niewiele i wyszedł wcześniej, przedtem jednak oczarował Odile, żonę Armanda. W efekcie uparła się, aby zaprosić go wraz z córką na herbatę. Harrison niemal bez przerwy opowiadał Odile o dziewczynie i zdawało się, że szczególny zachwyty budzi w nim jej francuszczyzna. Na koniec z dumnym uśmiechem oświadczył, że jego córka jest istotą zupełnie wyjątkową. Kiedy Odile przekazywała ten komentarz Armandowi, oboje się uśmiechnęli:

- A więc ma przynajmniej jedną słabostkę, bo poza tym wygląda na dokładnie tak bezwzględny, za jakiego uchodzi.

Odile jednak odniosła odmienne wrażenie.

- Chyba się mylisz, Armandzie. Moim zdaniem jest bardzo samotny i ma absolutnego bzika na punkcie córki.

Odile właściwie nie minęła się z prawdą. Nieco później usłyszeli opowieść o tym, jak Crockett stracił żonę, piękną dziewiętnastoletnią dziewczynę, którą wręcz czcił. Zawsze bez reszty go pochłaniało imperium żeglugowe, lecz kiedy w końcu poświęcił nieco uwagi sprawie małżeństwa, dokonał właściwego wyboru.

Arabella Dillingham Crockett była równie błyskotliwa co piękna. Wydała wraz z mężem kilka najbardziej pamiętnych balów w dziejach miasta. Przez pałac, który dla niej zbudował, płynęła na kształt bajkowej księżniczki; nosiła rubiny, które sprowadził dla niej ze Wschodu, brylanty niemal rozmiaru jajek, na złotych puklach zaś tiary wykonane specjalnie dla niej u Cartiera. Ich pierwsze dziecko zapowiadano z takim samym podnieceniem jak wtóre nadejście Chrystusa, mimo jednak akuszerki sprowadzonej z Anglii i dwóch położnych ze Wschodu, Arabella umarła w połogu, pozostawiając owdowiałego męża z niemowlęciem - bliźniaczko do niej podobną dziewczynką, którą Harrison natychmiast zaczął darzyć taką samą czcią jak zmarłą żonę.

Przez pierwszych dziesięć lat po śmierci Arabelli Harrison nie opuszczał domu, bywając tylko w biurze. Crockett Shipping była jedną z największych linii żeglugowych w Stanach, jej statki zawijały z towarami do niemal wszystkich portów Dalekiego Wschodu. Crockett miał również dwa przepiękne liniowce, które woziły pasażerów na Hawaje i do Japonii, jego mniejsze statki pasażerskie kursowały zaś regularnie wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej i zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, przynosząc niewyobrażalne zyski.

Zainteresowania Harrisona Crocketta ograniczały się do jego statków i córki. Często widywał się z bratem, skoro razem kierowali imperium, ale przez dziesięć lat prawie nie spotykał się ze starymi przyjaciółmi. Po tych dziesięciu latach zabrał Liane do Europy na wakacje, pokazał jej wszystkie cuda Paryża, Berlina, Rzymu i Wenecji, a kiedy wrócili pod koniec lata, znów znalazł w swoim życiu miejsce dla przyjaciół. Minęła wprawdzie bezpowrotnie epoka wspinających przyjęć w pałacu na Broadwayu, ale Crockett zaczął sobie uświadamiać, jak samotne jest jego dziecko i jak bardzo potrzebuje towarzystwa. Powoli zaczął więc uchylać swoich drzwi.

Działania, które podjął w związku z tą zmianą sposobu życia, koncentrowały się jednak niemal wyłącznie na córce - dla niej były więc spektakle lalkowe, wizyty w teatrach, wypadki nad jezioro Tahoe, gdzie kupił piękny letni dom... Crockett żył tylko po to, żeby sprawiać przyjemność Liane Alexandrze Arabelli, chronić ją i hołubić.

Imiona odziedziczyła po zmarłych babkach i matce - trzech pięknościach,

które już przeminęły - i w jakiś sposób zdołała połączyć w sobie czar i piękno wszystkich trzech. Ludzie, którym dane było ją poznać, wpadali w zachwyt. Otaczający Liane przepych nie wywarł na nią żadnego ujemnego wpływu: była prosta, bezpośrednia, spokojna i mądra nad wiek, skoro przez tak wiele lat zasiadała samotnie do kolacji z ojcem, czasem także z wujkiem, i miała okazję słuchać, jak omawiają interesy, wyjaśniają jej niuanse branży żeglugowej, politykę krajów, gdzie zawijały ich statki. W istocie była szczęśliwsza z ojcem niż z innymi dziećmi, a kiedy nieco podrosła, towarzyszyła mu wszędzie, aż wreszcie pewnego wiosennego dnia roku 1922 przybyli na herbatę do konsulatu francuskiego.

De Villiersowie zakochali się w niej od pierwszego wejrzenia i w rezultacie pomiędzy nimi a Crockettami zrodziła się więź, która w ciągu trzech lat stała się nierozdzielna. Podróżowali we czwórkę, Armand i Odile odwiedzali posiadłość nad jeziorem Tahoe, w towarzystwie Liane pływali statkami Crocketta na Hawaje, a w końcu Odile zabrała nawet Liane do Francji. Stała się dla dziewczyny niemal matką. Harrison patrzył z radością, jak jego córka promienieje szczęściem i rozkwita dojrzałością u boku kobiety, którą sam szanował i lubił. Liane miała wówczas prawie osiemnaście lat.

Następnej jesieni, kiedy Liane podjęła studia w Mills College, Odile zapadła na zdrowiu: narzekała na nieustanny ból w plecach, brak apetytu, częste gorączki, a w końcu dokuczliwy kaszel, który nie chciał ustąpić przez kilka miesięcy. Zrazu lekarze utrzymywali z uporem, że nie potrafią znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy i spokojnie sugerowali Armandowi, iż Odile jest po prostu chora na nostalgię i być może powinien w związku z tym pomyśleć o wyprawieniu jej do Francji. Tyle że tego rodzaju wapory zupełnie nie pasowały do Odile, Armand zatem nakłonił żonę, żeby aż do skutku odwiedzała po kolei wszystkich lekarzy w mieście. Chciał też, by pojechała do Nowego Jorku, do specjalisty rekomendowanego przez Harrisona, lecz zanim doszło do zaplanowanej podróży, stało się oczywiste, że Odile jest zbyt chora, aby się w nią wybrać. Wtedy to, po krótkiej operacji, dowiedzieli się w końcu, że Odile de Villiers ma raka z licznymi przerzutami. Lekarze zszyli ją i przekazali Armandowi smutną wiadomość, którą nazajutrz podzielił się z Harrisonem Crockettem.

- Nie mogę bez niej żyć, Harry... Nie mogę... - Armand zdjęty zgrozą patrzył niewidzącym wzrokiem. Harrison z oczyma szklącymi się od łez powoli skinął głową. Aż za dobrze pamiętał własny ból sprzed osiemnastu lat. Jak na ironię Armand był teraz w tym samym wieku co Harrison, kiedy stracił Arabellę: miał czterdzieści trzy lata.

De Villiersowie byli jednak małżeństwem od dwudziestu lat, dlatego też myśl o życiu bez Odile była dla Armanda nie do zniesienia. W przeciwieństwie do Crockettów nie mieli dzieci. Od początku pragnęli mieć dwoje albo troje, lecz Odile nigdy nie zdołała zająć w ciążę. Już dawno pogodzili się z tym, że na zawsze pozostaną bezdzietni. Armand wyznał kiedyś Odile, iż nawet woli taką sytuację, bo nie musiał z nikim rywalizować o jej uwagę i przez całe dwadzieścia lat panowała w ich stadle atmosfera miodowego miesiąca. A teraz nagle cały świat Armanda obracał się w ruinę.

Armand za wszelką cenę starał się nie dopuścić do tego, aby Odile poznała prawdę o stanie swojego zdrowia, ona jednak szybko pojęła, iż ma raka, i zrozumiała, że koniec jest bliski. W marcu umarła w ramionach Armanda.

Tego popołudnia odwiedziła ją Liane, przynosząc bukiet żółtych róż.

Przesiadwała przy łożu chorej całymi godzinami, bardziej dla pociechy, jaką dawało jej towarzystwo Odile, niżli dla tej, której sama mogła udzielić. Odile roztaczała wokół siebie atmosferę niemal świętej rezygnacji i za wszelką cenę starała się ofiarować Liane pożegnalny dar swojej miłości i czułości. Kiedy dziewczyna zatrzymała się na chwilę w drzwiach, usiłując powstrzymać łkania, które zawsze opadały ją natychmiast po wyjściu z domu de Villiersów, Odile spojrzała na nią wzrokiem, z którego biła siła.

- Zajmij się Armandem, kiedy mnie już nie będzie, Liane. Tak wspaniale troszczyłaś się o ojca... - Odile dobrze poznała Harrisona i wiedziała, że to Liane nie dopuściła do tego, aby zubożał i zgorzkniał. Miała w sobie tę tajemniczą łagodność, która była w stanie zmiękczyć każde serce. - Armand cię kocha - powiedziała z uśmiechem - i kiedy odejdę, będzie bardzo potrzebował ciebie i twojego ojca.

Mówiła o swojej śmierci, jak gdyby była to z dawna zaplanowana podróż. Liane usiłowała nie dopuszczać do siebie prawdy o stanie kobiety, którą tak pokochała, Odile jednak doskonale zdawała sobie z niego sprawę i chciała, aby tej prawdzie stawili czoło wszyscy, w szczególności jej mąż i Liane. Chciała, żeby byli przygotowani. Armand próbował uciec przed tą straszną świadomością, rozprawiając bez końca o podróżach nad morze, do Biarritz, które tak lubili w młodości, o rejsie jachtem wzdłuż wybrzeży Francji, który mogliby podjąć przyszłego lata, o kolejnej podróży na Hawaje na jednym ze statków Crocketta. Ale Odile uparcie zmuszała najbliższych, aby szykowali się do tego, co niebawem miało nadejść i czego ona była ciągle świadoma. To stało się nocą po ostatniej wizycie Liane.

Odile upierała się, żeby pochowano ją w Stanach, żeby nie wysyłano jej zwłok do Francji. Nie chciała, by Armand sam podejmował tę straszną podróż. Jej rodzice nie żyli, jego zresztą też. Ochodziła bez żalu, wyjąwszy może świadomość, że gdyby mieli dzieci, Armand mógłby znaleźć w nich podporę. A tak - całą wiarę pokładała w Liane.

Pierwsze miesiące były dla Armanda koszmarne. Zdołał wytrwać w pracy, ale na niewiele więcej ponad to było go stać. Mimo straty, jaka go dotknęła, oczekiwano po nim - przynajmniej w pewnym stopniu - iż nadal będzie podejmował odwiedzających San Francisco dygnitarzy dyskretnymi dyplomatycznymi kolacyjkami. Wszystko przygotowywała dla niego Liane, w taki sam sposób jak niegdyś dla ojca. Tego lata Harrison Crockett prawie nie widywał jej nad jeziorem Tahoe, odmówiła również zaproponowanej wycieczki do Francji. Związana obietnicą, której za wszelką cenę zamierzała dotrzymać, miała do spełnienia misję, i to misję będącą dla dziesięcioletniej dziewczyny ciężkim brzemieniem.

Przez pewien czas Harrison zastanawiał się, czy z jej pracą i wysiłkami nie wiąże się coś więcej. Kiedy jednak zdołał się przyjrzeć Liane bliżej, zyskał pewność, że się myli. I na swój sposób wiedział, że to, co Liane robi dla Armanda, pozwala jej uporać się z własnym poczuciem straty. Śmierć Odile była dla niej strasliwym ciosem. Nie znając nigdy własnej matki, pragnęła w duchu bliskości kobiety, z której brałaby przykład, kogoś, z kim mogłaby rozmawiać w taki sposób, w jaki nie mogła rozmawiać z ojcem, wujem czy przyjaciółmi. Kiedy była dzieckiem, miała guwernantki, kucharki i służące, bardzo jednak niewiele przyjaciół, kobiety zaś, z którymi w ciągu wszystkich tych lat spotykał się Harrison, nigdy nie widziały wnętrza jego domu ani nie poznały jego dziecka, ponieważ tę sferę swej działalności starał się utrzymywać jak najdalej od Liane. A zatem dopiero Odile wypełniła pustkę w życiu dziewczyny, by potem odejść, czyniąc tę pustkę

znów otchłanną, pozostawiając tępy ból, który zdawał się nie ustępować nawet na chwilę. Wyjątkiem były momenty, kiedy Liane robiła coś dla Armanda. Był to z jej perspektywy jakby sposób przywoływania do siebie Odile.

Do samego końca lata Armand i Liane w pewnym sensie żyli w ciągłym szoku, aż pewnego dnia, niemal pół roku po śmierci Odile, kiedy siedzieli w ogrodzie konsulatu, spoglądając na róże i rozmawiając o niej, uświadomili sobie, że ta pogawędka nie wywołuje już łez. Armand opowiedział nawet zabawną anegdotę o Odile, Liane zaś wybuchnęła śmiechem. Przetrwali. Pomagając sobie wzajemnie, przeszli przez największy ból. Armand wyciągnął rękę, ujął i przytrzymał długie delikatne palce Liane. Potem w jego oczach zaszklily się łzy.

- Dziękuję ci, Liane.

- Za co? - zdziwiła się, choć doskonale wiedziała, za co jej dziękuje. -

Nie bądź niemądry.

- Nie jestem. Jestem ci natomiast bardzo wdzięczny.

- Byliśmy sobie nawzajem potrzebni przez te sześć miesięcy - powiedziała otwarcie i bezpośrednio, nie cofając dłoni. - Życie bez niej będzie zupełnie inne... - dodała, chociaż już było inne, i to dla obojga.

Armand skinął głową, rozmyślając o minionym półroczu.

- Będzie inne - przyznał.

Potem, przed powrotem na uniwersytet, Liane pojechała na dwa tygodnie do Tahoe, gdzie ojciec powitał ją z uczuciem ogromnej ulgi. Wciąż bardzo się o nią niepokoił, martwiło go, że Liane nie odstępuje Armanda. Dobrze wiedział, iż przypomina to nieustanne poświęcenie, które jemu niegdyś okazywała, a przecież Odile de Villiers już dawno go przekonała, że opieka nad samotnym mężczyzną nie jest jedyną rozrywką, której potrzebuje Liane. Była młodą dziewczyną i wiele ją w życiu czekało. Rok wcześniej zaplanowano dla niej debiut towarzyski, lecz kiedy Odile zachorowała, Liane zażądała zmiany planów.

Harrison ponownie podniósł tę sprawę w Tahoe, tłumacząc córce, że trwa w żałobie dostatecznie długo i że przyjęcia dla debiutantek dobrze jej zrobią, ona zaś powtarzała z uporem, że uważa je za głupie i że trwonienie takich pieniędzy na stroje, przyjęcia i tańce jest czystym bezsenssem. Harrison spoglądał na nią ze zdumieniem. Była jedną z najbogatszych dziewcząt w Kalifornii, dziedziczką linii żeglugowych Crocketta, wydawało mu się zatem czymś niezwykłym, iż myśl o wydatkach w ogóle przychodzi jej do głowy.

Od października, kiedy to wróciła do szkoły, rzadziej mogła pomagać Armandowi w urządzaniu kolacji, ale Armand stał już wtedy mocno na nogach. Chociaż nadal boleśnie odczuwał brak Odile, z czego zwierzył się Harrisonowi podczas lunchu w klubie, doskonale dawał sobie radę.

- Nie będę cię okłamywał, Armandzie - rzekł wówczas Harrison, spoglądając ponad krawędzią lampki Haut-Brion rocznik 27.

- Będiesz to odczuwał przez bardzo długi czas. Zawsze. Ale nie w taki sposób jak na początku. Ulotnie, przez chwilę... Wspomnisz jakieś zapamiętane słowo, jej sukienkę... perfumy... Ale nie będziesz budził się co rano z uczuciem, że pierś przygniata ci stufuntowy ciężar, jak było w pierwszych dniach czy miesiącach. - Kiedy dopijał wino i czekał, aż kelner ponownie napełni jego kieliszek, ujrzał to wszystko z wyrazistością aż bolesną. - Dzięki Bogu, już nigdy nie będziesz doświadczał takiej udreki.

- Bez twojej córki byłbym zgubiony. - Armand uśmiechnął się łagodnie. Nie



widział sposobu, żeby odplacić tę dobroć czy choćby uzmysłwić przyjacielowi, jak bardzo pomogło mu jego dziecko i jak jest mu drogie.

- Kochała was oboje nad życie, Armandzie, i to pomogło jej pogodzić się z myślą o utracie Odile.

Harrison był człowiekiem mądrym, przenikliwym i już wówczas, wcześniej nawet niż Armand, coś przeczuwał. Nic jednak nie powiedział. Odnosił wrażenie, że żadne z nich nie wie, jak bardzo są sobie nawzajem potrzebni, z Odile czy bez niej. W ciągu tego półrocza coś się między nimi zrodziło, połączyła ich jakby tajemna więź, bez słów jedno odgadywało potrzeby drugiego. Zauważył to, kiedy Armand wpadł do Tahoe na weekend, ale wtedy też nic nie powiedział. Miał świadomość, że jego przeczucia oboje przepełniłyby lękiem - w szczególności Armanda, który mógłby uznać, że w pewien sposób zdradza Odile.

- Czy Liane jest bardzo podniecona perspektywą przyjęć? - Armanda bawiła ekscytacja, którą Harrison okazywał, gdy była o tym mowa. Wiedział, iż Liane w gruncie rzeczy nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana owym rytuałem, któremu postanowiła się poddać tylko po to, żeby sprawić przyjemność ojcu i spełnić jego oczekiwania. Przede wszystkim była posłuszna, co Armand oceniał z uznaniem. Nie było to posłuszeństwo ślepe; wynikało jedynie z szacunku dla uczuć innych ludzi, w tym wypadku - uczuć ojca. Liane wolałaby nie bywać w ogóle, lecz zarazem zdawała sobie sprawę, iż ojciec byłby takim stanem rzeczy gorzko rozczarowany, a zatem ulegała mu w tej kwestii.

- Przed Liane oczywiście się do tego nie przyznam - westchnął Harrison i rozparł się wygodnie na krześle - ale mam świadomość, że ona już z tego wszystkiego wyrosła...

Nagle wydała mu się znacznie bardziej dojrzała niż przeciętna dziesięcioletka. W ciągu minionego roku życie zmusiło ją do nagłego przejścia w dorosłość, musiała myśleć i zachowywać się jak dojrzała kobieta. Trudno więc było teraz wyobrazić ją sobie, jak w towarzystwie rozchichotanych dziewcząt udaje się na pierwszy w życiu bal.

W dniu balu przewidywania Harrisona potwierdziły się w pełni. Inne dziewczęta wystąpiły zarumienione, podenerwowane, przestraszone i rozdygotane z ekscytacji, Liane zaś, wsparta na ramieniu ojca, sunąc powoli w białej, obszytej gronostajem atlasowej sukni i w koronie złocistych włosów ujętych w mały koszyczek splecionych pereł, wyglądała po prostu jak królowa krocząca pod ramię z wybrankiem. Kiedy Armand obserwował ją z drżeniem w sercu, w jej błękitnych oczach roztańczył się płomień.

Przyjęcie, które dla Liane wydał Harrison, było najbardziej oszałamiające ze wszystkich. Odbyło się w pałacu przy Market Street, a limuzyny z umundurowanymi szoferami za kierownicą wjeżdżały wprost na dziedziniec. Wynajęto dwie orkiestry, szampana sprowadzono z Francji.

- Dzisiejszego wieczoru, moja mała przyjaciółko, wyglądasz po prostu jak królowa - rzekł Armand, gdy z Liane w wolnym walcu krążyli po sali. Armand był gościem Harrisona, Liane zaś towarzyszył syn jednego z najstarszych przyjaciół ojca, młodzieniec, którego uznała jednak za głupiego i nudnego, z radością przyjmując możliwość zmiany partnera.

- Czuję się w tej sukni trochę głupio - odparła z uśmiechem.

Przez chwilę znów wydawało się, że ma piętnaście lat, i nagle, z bolesnym ukłuciem w sercu, Armand zatęsknił za Odile. Zaprzagnął, aby i ona zobaczyła Liane, aby podzieliła z nimi tę chwilę, piła szampana... Chwila jednak minęła i Armand ponownie zwrócił uwagę na Liane.

- Miłe przyjęcie, prawda? Tatuś zadał sobie tyle trudu... - Użyła takich właśnie słów, lecz było oczywiste, że myśli: "wydał tyle pieniędzy". Ta kwestia zawsze ją po trosze irytowała, budząc lekkie poczucie winy. Ale z drugiej strony ojciec wspierał również rozmaite szlachetne cele, jeśli zatem cała ta impreza sprawia mu przyjemność, to dlaczego nie... - Dobrze się bawisz, Armandzie?

- Najlepiej w tej właśnie chwili - odparł z galanterią najprzedniejszego gatunku, a Liane się roześmiała, ubawiona nietypowym dla niego zachowaniem. Zwykle traktował ją jak dziecko albo, w najlepszym razie, jak młodszą siostrę czy ukochaną siostrzenicę.

- To stwierdzenie zupełnie nie w twoim stylu.

- Och, czyżby? Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? Czy zwykle zachowuję się wobec ciebie grubiańsko?

- Nie, zwykle mówisz mi, że nie wydałam lokajowi właściwego kompletu sztućców do ryb... albo że limoges to wino zbyt formalne jak na lunch... albo...

- Przestań. Nie mogę tego słuchać. Naprawdę mówię ci takie rzeczy?

- Ostatnio nie i muszę przyznać, że trochę mi tego brak. Jak dajesz sobie radę?

- Ostatnimi czasy znacznie gorzej niż kiedyś. Teraz nawet nikt nie ma pojęcia, co mam na myśli mówiąc "limoges", no a przy tobie...

Przebieg rozmowy skłonił go do zadumy. To, co opisywała Liane, wyglądało jak codzienny obraz życia starego małżeństwa... ale to przecież niemożliwe, żeby zachowywał się wobec niej w taki sposób!!! A może jednak? Czy aż do tego stopnia przywykł do wszechwiedzy Odile, że po prostu oczekiwał po Liane, iż automatycznie zajmie jej miejsce? Nie, to chyba niemożliwe, żeby wykazał się tak całkowitym brakiem wrażliwości. A przynajmniej dziwne. Lecz jeszcze bardziej zdumiewało go, iż Liane rzeczywiście robiła to wszystko przez owe miesiące. Nagle z jeszcze większą mocą uświadomił sobie, jak straszliwie za nią tęskni, odkąd wróciła do szkoły, przy czym nie tęsknił za Liane jako znawczynią roczników limoges, lecz za Liane, z którą po prostu uwielbiał rozmawiać na przyjęciach, podczas lunchu, przez telefon...

- Grosik za twoje myśli - drażniła się z nim Liane. Armandowi własne dłonie, spoczywające na jej smukłej kibici, nagle wydały się niezgrabne.

- Myślałem o tym, że masz całkowitą słuszność. Byłem grubiański.

- Nie bądź śmieszny. Niedługo wrócę i znów będę ci pomagać. Niech tylko w przyszłym tygodniu skończą się te debiutanckie idiotyzmy.

- Czy nie masz do roboty nic lepszego? - spytał Armand, wyraźnie zaskoczony. Pod drzwiami tak pięknej dziewczyny musiał się tłoczyć przynajmniej tuzin adoratorów. - Żadnych chłopców, żadnych wielkich miłości?

- Chyba jestem na to niewrażliwa.

- Och, to intrygująca refleksja. Czyżbyś przyjęła jakąś szczepionkę?

Orkiestra zaczęła grać inny utwór, oni jednak pozostali na parkiecie, obserwowani przez Harrisona Crocketta, który wcale nie był niezadowolony z tego, co zauważył.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o tej pani fascynującej niewrażliwości, panno Crockett - poprosił Armand.

Znowu zaczęli tańczyć.

- Chyba zbyt długo żyłam tylko z ojcem - odparła rzeczowo. - Wiem, jacy są mężczyźni.

Armand roześmiał się głośno. - To szokujące wyznanie.

- Nie, wcale nie - zawtórowała mu śmiechem Liane. - Chciałam po prostu powiedzieć, że wiem, co to znaczy prowadzić dom, podawać kawę, chodzić na paluszkach, kiedy pan i władca w złym nastroju wraca z biura. Po takim doświadczeniu trudno traktować poważnie któregokolwiek z tych niedorostków, tak pełnych romantyzmu i absurdalnych pomysłów. Na ogół nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią, w życiu nie przeczytali gazety, nie wiedzą, jaka jest różnica pomiędzy Tybetem a Timbuktu. A za dziesięć lat będą wracać z biur tak samo niezdolni jak tatuś i w dokładnie ten sam sposób będą warczeć na swoje żony. Trudno się więc nie śmiać, słuchając ich romantycznej paplaniny, ot co. Wiem, jak to będzie później. - Podkreśliła swoją pewność rzeczowym uśmiechem.

- Masz słuszność, przeszłaś zbyt wiele.

Było mu naprawdę przykro. Pamiętał tę całą romantyczną "paplaninę", którą serwował Odile, kiedy miała dwadzieścia jeden, on zaś dwadzieścia trzy lata. Wierzyli wówczas w każde z wypowiedzianych słów i nosili je w sobie przez bardzo długi czas, zabierali je do surowych koszmarnych krajów, mieli przy sobie podczas rozczarowań i wojen. Żyjąc u boku ojca, Liane straciła ważną część młodości, ale na pewno nadejdzie taka chwila, kiedy pojawi się ktoś - może nie tak młody jak jej koledzy - w kim Liane się zakocha, uczucie zaś sprawi, że stracą znaczenie jakiegokolwiek narzekania przy porannej kawie.

- A teraz o czym myślisz?

- Że pewnego dnia się zakochasz i to wszystko się zmieni.

- Może... - odparła, lecz sprawiała wrażenie osoby nie przekonanej i nie przywiązującej zresztą do tej kwestii większej wagi.

Taniec się skończył i Armand odprowadził ją do przyjaciół.

W ciągu tych tygodni jej towarzyskiego debiutu coś się jednak pomiędzy nimi zmieniło. Kiedy Armand zobaczył Liane ponownie, nagle wydała mu się bardziej kobieca; nie mógł tego zrozumieć, ale potrafił dostrzec - inne panny spotykane na przyjęciach były bez wyjątku bardzo dziewczęce, niemal dziecinne jeszcze. W porównaniu z nimi Liane sprawiała wrażenie dorosłej. Nagle stwierdził, że czuje się w jej towarzystwie niezręcznie, nie tak swobodnie jak niegdyś. Od dawna uważał ją za stały element swojego życia, ale postrzegał w niej jedynie czarujące dziecko. I w dwudzieste urodziny tego "czarującego dziecka" zobaczył raptem dojrzałą kobietę - w beżowej sukni z mory, w aureoli złotych włosów, posyłającą mu uśmiech fiołkowych oczu.

Urodziny Liane wyprawiono tuż przed wakacjami i Armand niemal z ulgą przyjął jej wyjazd nad jezioro Tahoe na letnie miesiące. W konsulacie radził sobie sam, nie chciał już wykorzystywać Liane. Widywał ją tylko na przyjęciach wydawanych przez Harrisona, co nie zdarzało się zbyt często. Mobilizując całą siłę woli, Armand zdołał utrzymać się z dala od Tahoe aż do końca lata, kiedy to Harrison zdecydowanie już poprosił go o przyjazd na weekend w Dniu Pracy.

Armand ujrzawszy ponownie Liane, w pełni uświadomił sobie to, o czym Harrison wiedział już od dawna - że jest gorąco zakochany w dziewczynie, którą znał niemal od dziecka. Od śmierci Odile upłynęło półtora roku i chociaż straszliwie za nią tęsknił, Liane wdzieriała się coraz głębiej w jego myśli. Złapał się na tym, że wpatruje się w nią nieustannie, a kiedy zatańczyli w ciepłą letnią noc, szybko odprowadził ją do stołu, jak gdyby przebywanie w jej pobliżu sprawiało mu nieznośny ból i podsuwało zarazem nieodpartą pokusę, by wziąć ją w ramiona.

Liane, nieświadoma tych emocji, układała się w pobliżu Armanda na plaży, wyciągając na leżaku czy piasku swoje smukłe zmysłowe ciało. Paplała jak w dawnych czasach, opowiadała zabawne historyjki i była bardziej czarująca niż kiedykolwiek dotąd. Jednakże w miarę jak weekend zbliżał się ku końcowi, zaczęła wyczuwać nastrój Armanda, przechwytywać skierowane na siebie spojrzenia, a wówczas cichła, jak gdyby rzucono na nią to samo zaklęcie.

Kiedy wszyscy wrócili do miasta, Liane zaś do college'u, Armand walczył ze sobą przez kilka tygodni, wreszcie, nie mogąc znieść dłużej udręki, zadzwonił do Liane, równocześnie gromiąc się srodze za ten czyn. Dzwonił właściwie tylko po to, żeby zapytać, jak się miewa, lecz usłyszawszy jej dziwnie zgaszony głos, zaniepokoił się, czy przypadkiem nie stało się coś złego.

- Ależ nic się nie stało - zapewniła go łagodnie, odczuwając jednak coś, co nie do końca rozumiała i z czym nie bardzo umiała się uporać. Miała poczucie winy wobec Odile, lecz nie potrafiła porozmawiać nawet z ojcem o sprzecznych uczuciach, które nią miotają. Zakochiwała się w Armandzie równie rozpaczliwie, jak on zakochiwał się w niej. Miał czterdzieści pięć lat, podczas gdy ona jeszcze nie skończyła dwudziestu jeden. Był wdowcem po kobiecie, którą kochała i głęboko szanowała. Poza tym wciąż pamiętała jej ostatnie słowa: "Zajmij się Armandem, Liane... Będzie cię potrzebował..." Tyle że nie potrzebował jej już tak bardzo. Zresztą Odile na pewno nie przewidywała takiej realizacji swojej prośby.

Następne trzy miesiące były okresem pełnym udręki. Liane z najwyższym trudem koncentrowała uwagę na studiach, Armand zaś niekiedy odnosił wrażenie, że oszaleje przy biurku. Spotkali się ponownie na bożonarodzeniowym przyjęciu wydanym przez Harrisona i tuż po Nowym Roku obydwójce dali za wygraną. Armand zabrał ją pewnego wieczoru na kolację, a potem rozgorączkowany, spięty powiedział Liane, co wobec niej czuje. I z oszołomieniem stwierdził, że jej uczucia eksplodują z równą mocą. Zaczęli się widywać w każdy weekend, szukając cichych lokalików na uboczu, aby nie stać się przedmiotem plotek całego miasta. Na koniec Liane powiedziała o wszystkim ojcu, spodziewając się z jego strony oporu, może nawet gniewu. Harrison tymczasem przyjął zwierzenia córki z zadowoleniem i uczuciem ulgi.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie uświadomicie sobie to, o czym ja wiem od dwóch lat - rzekł rozpromieniony, patrząc na córkę.

- Wiedziałeś? Ale skąd? Przecież ja... przecież my nie...

- Jestem po prostu bystrzejszy, ot co.

Ogromnie był rad, że przebiegło to w taki właśnie sposób. Obydwójce - rzecz można - sondowali swoje uczucia z ostrożnością i szacunkiem dla przeszłości. Zdawał sobie sprawę, iż ani jedno, ani drugie nie traktuje sprawy lekko, ponadto nie budziła w nim niepokoju nawet różnica wieku. Liane była niezwykle młodą kobietą i Harrison nie wyobrażał sobie, że mogłaby zaznać szczęścia z mężczyzną będącym jej rówieśnikiem. Z jej zaś punktu widzenia różnica dwudziestu czterech lat w ogóle nic nie znaczyła i chociaż na początku Armand wyrażał w związku z tą kwestią pewne obawy, teraz nie przejmował się już podobnymi błażostkami.

Uwielbiał Liane. Czuł się jak nowo narodzony i pospiesznie zaproponował małżeństwo. W dzień dwudziestych pierwszych urodzin Liane oznajmili o swoich zaręczynach. Harrison wydał wspaniałe przyjęcie, życie smakowało jak sen i było tak aż do chwili, gdy dwa tygodnie później Armand otrzymał wiadomość, że jego misja w San Francisco dobiega końca. Przenoszono go do

Wiednia jako ambasadora. Czy chciał tego, czy też nie, musiał jechać. Rozważyli z Liane możliwość wzięcia ślubu wcześniej, lecz na to nie wyraził zgody Harrison, który stanowczo upierał się, aby jego córka najpierw skończyła studia. Oznaczało to, że będą musieli poczekać jeszcze rok.

Liane była załamana, aczkolwiek nie zamierzała sprzeciwiać się ojcu. Wspólnie z Armandem uznali zatem, że jakoś przeżyją ten rok, odwiedzając się przy każdej okazji i codziennie pisząc do siebie listy.

Był to rok trudny dla nich obojga, ale jakoś zdołali go przetrwać i 14 lipca 1929 roku zawarli związek małżeński w starym kościele Świętej Marii w San Francisco. Gazety bez wahania nadały tej imprezie tytuł ślubu roku. Potem pojechali do Europy: najpierw w Wenecji spędzili miesiąc miodowy, który minął im bardzo szybko, po czym wrócili do Wiednia, gdzie Liane objęła obowiązki pani ambasadorowej.

Wcieliła się w tę rolę z niezwykłą łatwością, tak że pomoc, której usiłował udzielić jej Armand, praktycznie była zbędna. Po wszystkich latach przeżytych z ojcem i tych sześciu miesiącach po śmierci Odile spędzonych u boku Armanda Liane wiedziała, co ma robić. Podczas pierwszego półrocza ich pobytu w Wiedniu Harrison przyjeżdżał dwukrotnie - co prawda nie prowadził w Europie żadnych interesów, ale tęsknił za córką i nie mógł długo bez niej wytrzymać. Za jego drugiej bytności Liane zdecydowała nie ukrywać już przed nim prawdy i wyznała, że następnego lata urodzi dziecko. Harrison wpadł w przerażenie, co zresztą Liane dokładnie przewidziała i o czym uprzedzała męża. Sugerował Armandowi, że powinna pojechać do Stanów, mieć do dyspozycji najlepszych lekarzy, pozostawać w łóżku, a poza tym...

Prześladowały go wspomnienia matki Liane, bólu, którego zaznał po jej śmierci. Tonał niemal we łzach, kiedy wracał do Stanów, i odtąd Liane musiała pisać do niego codziennie zapewniając, że wszystko idzie dobrze. W maju przyjechał na sześć tygodni przed planowanym rozwiązaniem i swoimi nie skrywanymi obawami doprowadził de Villiersów niemal do szaleństwa. Liane nie miała jednak serca odsyłać go do Stanów. Kiedy zaczął się poród, Armand mógł jedynie uspokajać Harrisona i wynajdować mu zajęcia.

Na szczęście dziecko przyszło na świat szybko: tłuściutka dziewczynka o anielskim wyglądzie, z kosmykami jasnych włosów, pełnymi policzkami i małymi usteczkami, przypominającymi pąk róży. Kiedy trzy godziny po narodzinach, które nastąpiły o 17.45 w wiedeńskim szpitalu, Harrison odwiedził Liane, zastał ją roześmianą, sytą po niedawno zjedzonym obiedzie. Wyglądała, jakby to popołudnie spędziła z przyjaciółmi w operze. Nie mógł uwierzyć własnym oczom... Tak samo zresztą jak Armand, który spoglądał na żonę takim wzrokiem, jakby o własnych siłach dokonała wyczynu na miarę wszech czasów. Kochał Liane nad życie i dziękował Bogu za tę istotkę, o której nie marzył nawet w snach. Zupełnie oszalał na punkcie dziecka, a kiedy dwa lata później w Londynie przyszła na świat ich druga córka, był równie podniecony jak poprzednio. Tym razem przekonali Harrisona, że może poczekać w San Francisco, obiecując, iż ządępsują doń natychmiast po narodzinach dziecka.

Pierworodną nazwali Marie-Ange Odile. Nad imionami zastanawiali się z wielką powagą i na długo przed przyjściem córki na świat, a decyzję, z której Odile na pewno byłaby zadowolona, podjęli jednomyślnie. Drugie dziecko - ku bezgranicznej uciezce Harrisona - zostało nazwane Elisabeth Liane Crockett.

Kiedy przyjechał do Londynu na chrzest, wpatrywał się w niemowlę z takim uwielbieniem, że stało się to później dla Liane pretekstem do żartów.

Zauważyła jednak, że ojciec nie wygląda najlepiej. Miał sześćdziesiąt osiem lat, zdrowie zawsze mu dotąd dopisywało, ale teraz sprawiał wrażenie starszego niż w rzeczywistości i kiedy Liane odprowadzała go na statek, ogarnął ją niepokój. Wspomniała o tym Armandowi, jego wszakże bez reszty akurat pochłaniały trudne dyplomatyczne negocjacje z Austriakami i Anglikami; później zresztą prześladowało go poczucie winy, iż nie zwrócił na jej słowa większej uwagi, Harrison Crockett zmarł bowiem na atak serca w drodze powrotnej.

Na pogrzeb do San Francisco Liane poleciała bez dzieci, a kiedy stała nad trumną ojca, uświadomiła sobie, jak wielką poniosła stratę, pojmując zarazem, iż życie nie będzie teraz takie samo. Jej wuj George przygotowywał się już do przeprowadzki do domu Harrisona i zajęcia jego miejsca w Crockett Shipping. Liane była więc rada, iż nie mieszka w San Francisco i nie będzie musiała widzieć tych zmian, nie mogłaby bowiem znieść sytuacji, w której nieokrzesany stary kawaler zaczyna żyć życiem jej ojca i wywraca do góry nogami dawne obyczaje. Po tygodniu opuściła San Francisco ogarnięta taką rozpaczą, jaką odczuwała po śmierci Odile. Dziękowała Bogu, że wraca do domu, do Armanda, do swoich dzieci i obowiązków ambasadorowej. Odtąd osłabła zresztą więź łącząca ją z ojczyzną, bo gwarantem owej więzi był jej ojciec, którego nagle zabrakło. Dysponowała odziedziczoną po nim fortuną, ale w gruncie rzeczy liczyły się tylko jej córki, mąż i życie pośród nich...

Dwa lata później Armand został mianowany ambasadorem w Waszyngtonie. Był to czas ekscytujący dla obojga, zdominowany perspektywą objęcia ważnego stanowiska przez Armanda i przyjęcia na siebie wielkiej odpowiedzialności przez Liane. Jedyne cię na ich ówczesnym życiu położyła tylko wkrótce po przyjeździe do Stanów strata kolejnego dziecka, tym razem chłopczyka - Liane miała za sobą trudny rejs, ponadto źle znosiła ciężę od samego początku.

Mimo to lata spędzone w Waszyngtonie były okresem wspomnianym przez oboje z sympatią: wystawne przyjęcia w ambasadzie, oszałamiające wieczory spędzane w towarzystwie głów państw, wizyty w Białym Domu, znajomości z rosnącym gronem wybitnych polityków. Życie wiedli wówczas nad wyraz ciekawe, poznawali fascynujących ludzi. Trudno było uwierzyć, iż oto waszyngtońskie lata rzeczywiście dobiegają kresu. Tak oni, jak ich córki będą tęsknić za przyjaciółmi.

Marie-Ange i Elisabeth, teraz dziewięcio- i siedmioletnia, znały tylko szkoły w Waszyngtonie; Armand wcześniej już podjął ustalenia związane z nauką w Paryżu, ale mimo że dziewczynki doskonale mówiły po francusku, przeprowadzka oznaczała dla nich ogromną zmianę. Bóg jeden raczy wiedzieć, co w związku z możliwością wybuchu wojny przyniesie przyszłość. Armand omawiał już był tę kwestię z Liane i postanowił, że gdyby cokolwiek się stało, wyśle wszystkie trzy do Stanów. Mogłyby zamieszkać z wujem w San Francisco, w dawnym domu ojca, i Armand miałby przynajmniej pewność, że są tam bezpieczne. Co prawda jego zdaniem jeszcze przez jakiś czas nic nie zagrażało pokojowi we Francji, ale też nie sposób było określić, kiedy sytuacja ulegnie zmianie.

Teraz musiał przygotować ambasadę dla następcy, ponownie zatem skupił uwagę na pracy, czyli na dokumentach piętrzących się na biurku. Dochodziła już prawie dziesiąta wieczór, kiedy znów uniósł głowę. Wstał i przeciągnął się. Ostatnimi czasy czuł się bardzo staro, choć wszelkie jego uwagi na ten

temat spotykały się z namiętnymi protestami Liane. Miał jednak za sobą pięćdziesiąt sześć lat bardzo aktywnego życia.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu, powiedział "dobranoc" dwóm strażnikom czuwającym w holu, potem na tyłach budynku wsunął klucz do zamka windy, która łączyła biuro z prywatnym mieszkaniem, i ze znużonym uśmiechem wszedł do środka. Chociaż minęło tyle lat, powrót po ciężkim dniu do domu i do Liane niezmiennie pozostawał tak samo cudowny jak na początku. Była żoną, która uszczęśliwiłaby każdego mężczyznę - pełną poświęcenia i zrozumienia, cierpliwą, wesołą i kochającą.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze i Armand wszedł do marmurowego holu; wiodły z niego drzwi do gabinetu pana domu, wielkiego obitego boazerią salonu oraz do jadalni, skąd nozdrzy Armanda doszedł słaby zapach jakiejś apetycznej potrawy przyrządzanej w kuchni położonej w głębi mieszkania. A kiedy podniósł wzrok na marmurowe schody prowadzące na piętro, dostrzegł Liane - wciąż tak samo piękną jak przed dziesięciu laty. Jej równo przycięte jasne włosy łagodnie kładły się na ramionach, pod błękitnymi oczyma nie rysowała się żadna zmarszczka, a skóra była tak świeża jak przy ich pierwszym spotkaniu, kiedy Liane liczyła zaledwie piętnaście lat. Była wyjątkową piękną i Armand delektował się każdą spędzoną z nią chwilą, chociaż ostatnimi czasy z powodu nadmiaru zajęć owe chwile stawały się coraz rzadsze.

Liane zbiegła po schodach i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Cześć, kochanie. Jak ci minął dzień?... A może nie powinnam o to pytać?

- Armand uśmiechnął się, dumny z niej i wciąż dumny z tego, że do niego należy. Była rzadkim, naprawdę rzadkim klejnotem. - Chyba prawie skończyłam pakowanie. Nie poznasz naszej sypialni, jak tam pójdziesz.

- A ciebie w niej znajdę?

Oczy mu błyszczały, kiedy nawet po tak męczącym dniu spoglądał na żonę.

- Oczywiście.

- Bo jesteś jedynym znajomym elementem, który pragnę tam zobaczyć. Jak dziewczęta?

- Tęsknią za tobą. Przecież nie widziały cię od czterech dni.

- Nadrobimy to na statku. - Uśmiechnął się do żony. - Potwierdzono nasze rezerwacje i... - jego uśmiech stał się wręcz promienny - mam dla ciebie niespodziankę, cherie. Pewien dżentelmen, który zarezerwował jeden z czterech luksusowych apartamentów, musiał anulować rezerwację, ponieważ zachorowała jego żona. A to oznacza... - Wydawało się, że czeka niemal na fanfary, kiedy Liane ujęła go pod ramię i poprowadziła do jadalni. - A to oznacza, że w uznaniu dla strudzonego starego ambasadora w drodze do kraju dano nam jeden z czterech najbardziej luksusowych apartamentów na "Normandie": cztery sypialnie, własna jadalnia, jeśli zechcemy z niej skorzystać. Na pewno nie zechcemy, bo główna mesa statku warta jest uwagi. Być może jednak dzieci będą chciały mieć własną jadalnię i salon z pianinem. Mamy też do dyspozycji własny pokład spacerowy, gdzie będziemy siadywać wieczorami i spoglądać na gwiazdy...

W głosie Armanda pobrzmiwały marzycielskie nuty, ponieważ z prawdziwą przyjemnością myślał o czekającym ich rejsie. Od wielu lat słyszał o "Normandie" wyłącznie pienia pochwalne, a nigdy dotąd nie płynął tym liniowcem, traktował zatem tę przeprawę jako dodatkową atrakcję dla żony i nie miało żadnego znaczenia, iż Liane mogłaby z własnej kieszeni zapłacić za wszystkie apartamenty "Normandie". Nigdy by jej zresztą na to nie pozwolił, w kwestiach finansowych był bowiem nieprzejednany. Cieszył się,

że będą mieli dla siebie pięć dni, które spędzą wspólnie w zawieszaniu pomiędzy dwoma światami.

- Nie mogę się doczekać - powiedziała Liane z dziewczęcym chichotem, sadwiąc się przy olbrzymim stole jadalnym nakrytym dla dwóch osób. - Skoro będziemy mieli pianino w kabinie, muszę jeszcze przed odjazdem trochę poćwiczyć. Nie grałam od lat.

- Głuptasie. Mmm... - zwrócił uwagę na aromaty dochodzące z kuchni. - To pachnie wręcz cudownie.

- Dziękuję, monsieur. Soupe de poisson dla mojego pana i władcy, omlet fines herbes, salade de cresson, camembert, brie i suflet czekoladowy, jeśli oczywiście kucharka nie zasnęła.

- Zapewne z rozkoszą wbiłaby mi w serce nóż za to, że przychodzę na posiłki o takich godzinach.

- Drobiazg, kochanie. - Liane uśmiechnęła się z czułością i w tej chwili służąca weszła z wazą zupy.

- Mówiłem ci już, że jutro jemy kolację w Białym Domu?

- Nie - odparła spokojnie Liane, przyzwyczajona do takich niespodzianek.

Wydawała przyjęcia niekiedy nawet dla stu osób, uprzedzona o nich zaledwie dwa dni wcześniej.

- Dzwonili dzisiaj.

- Czy to kolacja na cześć jakiejś ważnej osobistości? - Zupa była wspaniała. Liane uwielbiała te kolacyjki we dwoje i podobnie jak Armand często zastanawiała się, ile jeszcze takich chwil czeka ich po powrocie do Francji. Wiedziała, że przynajmniej na początku mąż będzie tak zajęty, że praktycznie zniknie z jej życia.

- Na cześć bardzo, bardzo ważnych osobistości. - Armand uśmiechnął się do żony.

- To znaczy?

- Na naszą. To po prostu przyjacielska nieoficjalna kolacja przed naszym wyjazdem. - Uroczysty raut pożegnalny odbył się trzy tygodnie wcześniej. - Czy dziewczynki są podniecone perspektywą rejsu?

Liane skinęła głową.

- Bardzo.

- Ale chyba nie aż tak jak ja. Wiesz, że nazywają ten liniowiec świetlistym statkiem? - spytał, a Liane znowu się do niego uśmiechnęła. - Myślisz, że zachowuję się infantylnie?

- Wcale nie. Uważam, że jesteś cudowny, i kocham cię.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

- Liane... Jestem wielkim szczęściarzem.

## Rozdział drugi

Długi czarny Citroën, przed rokiem sprowadzony z Paryża, podjechał pod wejście do Białego Domu od strony Pensylwania Avenue i Liane wysiadła z auta. Miała na sobie dopasowany w talii czarny satynowy żakiet z wywatowanymi ramionami, a do tego białą bluzkę z organdy, lamowaną najdelikatniejszym białym jedwabiem. Armand kupił jej ten żakiet u Jeana Patou, kiedy na Wielkanoc pojechał do Paryża. Kreacja leżała na niej idealnie. Patou dysponował wymiarami Liane, Armand zaś zawsze wybierał dla żony stroje, które doskonale do niej pasowały. Kiedy wysiadła z auta, z tą



swoją wysmukłą sylwetką i idealnie gładkimi blond włosami przypominała wystrzałową modelkę. Odziany w smoking Armand wysiadł za nią. Ten wieczór miał charakter na tyle nieoficjalny, że frak nie był konieczny.

Przy wejściu do holu oprócz prezydenckiej ochrony stało dwóch lokajów i służąca: witali przybywających, odbierali od nich okrycia wierzchnie, a następnie kierowali gości na górę, do prywatnej jadalni Rooseveltów.

Zaproszenie do Białego Domu należało do znaczniejszych zaszczytów i choć Liane była już tutaj kilkakrotnie na lunchach w wąskim gronie - z samą Eleanor i kilkoma innymi paniami - ta uroczystość sprawiła jej szczególną przyjemność. Na pierwszym piętrze, u drzwi swoich apartamentów, czekali prezydent i jego żona w ozdobionej sznurem pereł, prostej szarej sukni z krepki od Traina-Norella. W Eleanor Roosevelt było coś bezpretensjonalnego, niezależnie od kroju kreacji i bogactwa biżuterii zawsze wyglądała tak, jakby nosiła starą sukienkę, sweter i rozdeptane pantofle. Należała do tych kobiet, przez które każdy chciałby być witany po powrocie do domu - zawsze obdarzała przybywającego ciepłym uśmiechem.

- Witaj, Liane. - Eleanor dostrzegła ją pierwsza i szybko podeszła; prezydent już zdążył się wdać w ożywioną dyskusję z innym ze swoich starych przyjaciół, brytyjskim ambasadorem sir Ronaldem Lindsayem. - Tak miło widzieć was oboje. - Uśmiech Eleanor Roosevelt objął również Armanda, który skwapliwie ucałował dłoń gospodyni, a potem spojrzał jej w oczy.

- Najbardziej będziemy tęsknić za panią, madame.

- Ale nawet w połowie nie tak, jak ja będę tęsknić za wami.

Mówiła wysokim słabym głosem, często wykpiwanym, choć dla osób dobrze ją znających miał brzmienie ze wszech miar kojące i stanowił jedną z licznych budzących sympatię cech Eleanor. Trudno byłoby znaleźć kogoś, kto by jej nie lubił i nie szanował, a przez pięć ostatnich lat Liane należała do jej najbardziej zagorzałych wielbicielek, nawet podczas gorących dyskusji na temat s/s "St. Louis". Armand w samochodzie przypomniał był Liane, aby nie podejmowała tego tematu dzisiejszego wieczoru, ona zaś przyjęła ostrzeżenie posłusznym skinieniem głowy i skwitowała je krótkim chichotem.

- Czy naprawdę bywam aż tak nietaktowna, kochanie?

- Ależ skąd, nigdy - zapewnił. Upomnienie Armanda wzięło się stąd, że miał do żony nieco ojcowski stosunek i czasem traktował ją jak małą dziewczynkę.

- Jak tam dzieci? - pospiesznie zapytała Liane. Wnuczki Rooseveltów to pojawiały się w Białym Domu, to z niego znikwały.

- Niegrzeczne jak zawsze. A wasze córki?

- Podniecone i nie do upilnowania. Ilekroć odwrócę głowę, rozpakowują bagaże w poszukiwaniu ulubionych lalek albo wymyślają coś innego.

Roześmiały się obydwie. Mając pięcioro własnego potomstwa, Eleanor stanowiła kompetentne źródło wiedzy o dzieciach i ich charakterach.

- Nie zazdroszczę wam tego całego pakowania. Z samych naszych letnich wypraw do Campobello wiem, jakie to zawracanie głowy. Przeprowadzka do Francji zdecydowanie przerastałaby moje siły. Zapewne jedno z moich dzieci dla zademonstrowania odwagi wyskoczyłoby za burtę i musielibyśmy zatrzymać statek. Już na myśl o tym przechodzi mnie dreszcz, ale Marie-Ange i Elisabeth są przecież dużo grzeczniejsze. Powinniście mieć przyjemny rejs.

- Taką też mamy nadzieję - wyznał Armand, po czym wszyscy troje dołączyli do pozostałych gości: ambasadora brytyjskiego i jego żony, lady Lindsay, Dupontów z Delaware, wszędobylskiego Harry'ego Hopkinsa, dalekiego kuzyna Eleanor, który wpadł do Waszyngtonu na dwa tygodnie, a wreszcie Russella

Thompsona z żoną Maryse, małżeństwa, które Liane bardzo lubiła i z którym często się widywała. On był prawnikiem, ściśle związanym z administracją Roosevelta, ona zaś pochodziła z Paryża i była energiczną sympatyczną dziewczyną.

Przez pół godziny podawano koktajle, potem lokaj zaprosił wszystkich na kolację do prezydenckiej jadalni. Jak zawsze na przyjęciach wydawanych przez Eleanor, dania były znakomite, a menu perfekcyjnie skomponowane. Stół w prywatnej jadalni przygotowano dla jedenastu osób - piękna zastawa z błękitno-złotej porcelany ze Spode i ciężkie srebro pyszności się na obrusie z bardzo starej i delikatnej koronki. Pomiedzy długimi białymi świecami w srebrnych świecznikach ustawiono piękne bukiety błękitno-białych irysów, żółtych róż i białego bzu. Na ścianach całego pokoju przyciągały wzrok freski przedstawiające rewolucję amerykańską. Tę kolację Armand i Liane mieli długo pamiętać.

Prezydent umiejętnie prowadził rozmowę na tematy interesujące wszystkich, często przeplatając swoje wywody anegdotami o czymś, co ostatnio wydarzyło się w Kongresie lub Senacie. Podczas całego posiłku nie rozmawiano o wojnie, w sposób nieunikniony problem wypłynął jednak przy deserze. Kiedy do tego doszło, wszyscy byli już nasyceni i zadowoleni po spożyciu kawioru, pieczonej kaczkę, delikatnego wędzonego łososia, sałatki z cykorii i bogatego zestawu serów francuskich. Deser, właściwie kropla przepelniająca puchar, był jednak tak lekki, że nawet rozmowy panów o wojnie, zapewne wcześniej ciężko strawne, nikomu teraz nie zwarzyły humoru. Dyskusja wszakże szybko rozgorzała na dobre, ponieważ Roosevelt jak zwykle upierał się, że ani w Europie, ani w Stanach nie ma się w gruncie rzeczy czego obawiać.

- Ale chyba nie myśli pan tak serio - powiedział ambasador Wielkiej Brytanii, rozdarty pomiędzy niebiańskimi rozkoszami deseru a bolesnymi kwestiami poruszonymi przy stole. - Na miłość boską, człowieku, nawet pański kraj przygotowuje się do wojny. Proszę spojrzeć na szlaki żeglugowe, które wyznaczacie statkom handlowym. Proszę spojrzeć na gwałtowny wzrost produkcji w różnych gałęziach przemysłu, w szczególności w branży stalowej.

Brytyjczycy wiedzieli aż za dobrze, iż Roosevelt nie jest głupcem. Zdawał sobie sprawę, co nadciąga, lecz był zdecydowany nie ujawniać tego przekonania przed własnym narodem, nawet tutaj, wśród grupki doborowych bliskich przyjaciół i wąskiego grona międzynarodowej elity.

- Przeworność to żaden grzech - odparł Roosevelt - i dobrze służy interesom kraju, ale przecież w najmniejszym stopniu nie implikuje apokalipsy.

- Być może z waszego punktu widzenia... - Na twarzy ambasadora brytyjskiego nagle odmalowało się przygnębienie. - Wie pan równie dobrze jak my, co się tam dzieje. Hitler to szaleniec i on - wskazał na Armanda - jest tego w pełni świadom. Co mówią w Paryżu w tym tygodniu?

W tym kręgu poglądy Armanda były dobrze znane. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, on zaś przez chwilę jakby ważył słowa, zanim udzielił odpowiedzi.

- To, co zauważyłem w kwietniu, było bardzo zwodnicze. Wszyscy usiłowali i nadal usiłują udawać, że nieuchronne nie nadejdzie nigdy. A ja całą nadzieję pokładałem w tym, że nie nadejdzie zbyt szybko. - Czule spojrzął na żonę. - Wtedy będę musiał na powrót przysłać tu Liane. Ale, co ważniejsze - przeniósł wzrok na innych - wojna w Europie teraz byłaby tragedią dla Francji. Dla nas wszystkich.

Spojrzał smętnie na ambasadora brytyjskiego, a kiedy ich oczy się spotkały, obaj pojęli, iż widzą aż nazbyt wyraźnie, co nastąpi, gdy Hitler ruszy naprzód. Była to wizja zaiste przerażająca. Ponieważ przy stole zapadła cisza, Eleanor spokojnie wstała, dając damom sygnał, że najwyższy czas pozostawić džentelmenów z koniakiem i cygarami. Panie miały usiąść przy kawie w sąsiednim pokoju.

Liane wstała z ociąganiem - tego momentu każdej kolacji nie lubiła w sposób szczególny. Zawsze miała wrażenie, iż traci najbardziej istotną część dyskusji, która rozwija się dopiero wtedy, gdy mężczyźni, uwolnieni od narzuconej obecnością pań konieczności łagodzenia słów, mogą powiedzieć, co w związku z najważniejszymi wydarzeniami dnia leży im na wątrobie. W drodze powrotnej do domu indagowała Armanda, co straciła tego wieczoru.

- Nic - odparł. - Była to taka sama rozmowa, jakie słyszy się wszędzie. Lęki i zaprzeczenia. Roosevelt nie ustępujący na krok, Brytyjczycy pewni tego, co ich zdaniem bez wątpienia wkrótce nastąpi. Thompson jednak zgadzał się z nimi. Powiedział mi na ucho, kiedy odeszliśmy od stołu, że jeśli wybuchnie wojna, Roosevelt na pewno włączy się do niej jeszcze przed końcem roku. Byłoby to korzystne dla gospodarki kraju... Jak zresztą każda wojna.

- Liane co prawda sprawiała wrażenie zaszokowanej, ale dzięki ojcu znała dostatecznie dobrze reguły ekonomiczne, by zdawać sobie sprawę, iż to, co mówi Armand, jest słuszne. - Tak czy inaczej, moja kochana, na pewno już niedługo sami się przekonamy, co się będzie działo w Stanach.

Przez resztę drogi do domu rozmyślał nad setkami spraw, które zaprzętały jego umysł, Liane zaś odpłynęła wspomnieniem do ciepłego uścisku, którym na pożegnanie obdarzyła ją Eleanor.

"Musisz do mnie pisać..."

"Będę" -. obiecała Liane.

"Niech cię Bóg ma w swojej opiece..." Przy tych słowach dziwnie brzmiący głos Eleanor załamał się, a jej oczy zwilgotniały. Lubiła Liane, w pełni zaś była świadoma, iż zanim spotkają się ponownie, kraje, które są im tak bliskie, mogą znaleźć się w straszliwym niebezpieczeństwie.

"Ciebie także." Objęły się na pożegnanie, potem Liane z mężem usadowiła się w Citroenie, aby przebyć niewielką odległość dzielącą ich od ambasady, która ciągle jeszcze była jej domem.

Kiedy dotarli na miejsce, szofer odprowadził ich do środka, gdzie jak zwykle czekało dwóch strażników, powiedział "dobranoc", po czym zniknął w swoim mieszkaniu. Służba spała już głębokim snem, w domu powinna była panować idealna cisza. Kiedy jednak szli do swoich pokoi, Liane uśmiechnęła się do męża, pociągnęła go za rękaw i przyłożyła palec do ust, usłyszała bowiem gwałtowne szuranie i trzask kontaktu.

- Co się dzieje?... - wyszeptał Armand, nie umiejąc zidentyfikować odgłosów. Wtedy Liane szybko otworzyła drzwi do pokoju Marie-Ange.

- Dobry wieczór paniom - powiedziała w sposób całkowicie naturalny i Armand zaniepokoił się przez chwilę o równowagę jej umysłu, dopóki owych obaw nie rozwiął radosny chichot i pospieszny tupot bosych stóp. Obie dziewczynki skryły się najpierw w łóżku Marie-Ange, a teraz podniecone i roześmiane biegly w stronę rodziców.

- Przynieśliście nam ciasteczka?

- Oczywiście, że nie. - Armand wciąż był odrobinę stropiony.

Liane znała córki lepiej niż ktokolwiek inny, jego zaś zawsze rozbawiała ta szczególna wiedza. Teraz też się uśmiechnął. - Co robicie jeszcze na nogach i gdzie jest Mademoiselle?

Piastunka miała obowiązek kłaść je do łóżka i pilnować, aby spały spokojnie. Przechytrzenie jej było trudnym zadaniem, wszyscy o tym wiedzieli, ale od czasu do czasu ku bezgranicznej uciechu dziewczynek udawało im się tego dokonać.

- Mademoiselle śpi, ale było tak gorąco... - Elisabeth spojrzała na ojca szeroko otwartymi błękitnymi oczyma matki i jak zwykle coś w Armandzie stopniało, kiedy patrzył na córkę, a potem podnosił ją w mocnych ramionach. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną i nawet będąc dobrze po pięćdziesiątce, miał postawę i siłę niemal młodzieńczą. Tylko zmarszczki na twarzy i srebrna grzywa starannie uczesanych włosów wskazywały na jego wiek, jakkolwiek dziewczynki nie uświadamiały sobie, że ich ojciec jest tyle lat starszy od matki. Interesowało je tylko to, że jest ich tatusiem, i w pełni odwzajemniały uwielbienie, które im okazywał.

- Grzeczne dziewczynki już dawno leżą w łóżeczkach. Coście robiły?

Armand znał swoje córki na tyle, by wiedzieć, że sygnał do zabawy na pewno dała Marie-Ange, choć Elisabeth bez wątpienia z ogromną radością i bez oporu poszła w jej ślady. I ani trochę się nie pomylił. Kiedy na nie patrzył, Liane włączyła światło i wtedy dostrzegli stosy rzeczy powyciąganych z pudeł i skrzyń, do których zostały wcześniej zapakowane.

- Och, dobry Boże!... - jęknęła Liane. Dziewczynki rozpakowały wszystko z wyjątkiem swoich ubranek. - Na miłość boską, co wy robicie?

- Szukamy Marianne - odparła Elisabeth niewinnym głosikiem i posłała matce szczerbaty uśmiech. Marianne była jej ulubioną lalką.

- Dobrze wiesz, że jej nie zapakowałam. Leży na stole w twoim pokoju.

- Naprawdę?

Obie dziewczynki zaczęły chichotać, najwyraźniej doskonale się bawiąc. Ojciec patrzył na nie takim wzrokiem, jakby zamierzał je skarcić, ale nie miał serca tego uczynić - były takie pełne życia i tak przypominały swoją matkę, że właściwie nigdy nie potrafił naprawdę się na nie złościć.

Najczęściej zresztą nie miał ku temu powodu. Mademoiselle prowadziła je żelazną ręką, Liane zaś była wzorową matką. Pozwalało mu to cieszyć się córkami, a jednocześnie nie zmuszało do odgrywania roli potwora. Teraz jednak zganił je w paru starannie dobranych francuskich słowach.

Powiedział, że muszą pomagać matce w pakowaniu, zamiast wszystko rozrzucić, ponieważ za dwa dni odpływają z tymi rzeczami z Nowego Jorku.

- Ale my nie chcemy jechać do Nowego Jorku. - Marie-Ange, zawsze rzeczniczka tego duetu, z powagą spojrzała na ojca. - Chcemy zostać tutaj.

Liane z westchnieniem usiadła na łóżku Marie-Ange, a Elisabeth szybko wdrapała się na jej kolana, podczas gdy siostra kontynuowała negocjacje z ojcem.

- Tu się nam podoba.

- Nie chcecie przejechać się statkiem? Mają tam teatrzyk lalkowy, kino i boksy dla psów. Poza tym w Paryżu też będziemy szczęśliwi.

- Nie, nie będziemy - pokręciła głową, patrząc ojcu w oczy.

- Mademoiselle mówi, że wybuchnie wojna. Nie chcemy jechać do Paryża, skoro ma wybuchnąć wojna.

- Co to jest "wojna"? - wyszeptła Elisabeth do ucha matki.

- To taki czas, kiedy ludzie ze sobą walczą. Ale nikt nie będzie walczył w Paryżu. W Paryżu będzie tak samo jak tutaj.

Oczy Armanda i Liane spotkały się ponad głowami dziewcząt i Liane zorientowała się, że mąż rankiem przeprowadzi poważną rozmowę z Mademoiselle. Nie życzył sobie, aby straszono dzieci gadaniem o wojnie.

Milczenie nagle przerwała Elisabeth.

- A jak bijemy się z Marie-Ange, to też jest wojna?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, lecz Marie-Ange poprawiła siostrę, zanim zdążyli uczynić to rodzice.

- Nie, głupia. Wojna jest wtedy, jak ludzie strzelają do siebie z karabinów. - I zwróciła się do Armanda: - Prawda, tato?

- Tak. Ale od lat nie było żadnej wojny, nie było jej na długo przedtem, zanim przyszłyście na świat. I nie musimy się tym martwić również teraz. Wy musicie za to iść teraz do łóżek, a jutro pomóc w pakowaniu tych wszystkich rzeczy, które powyjmowałyście z kufrów. A więc, au lit, mesdemoiselles!

Usiłował mówić surowo i chociaż niemal zdołał przekonać córki, w najmniejszym stopniu nie zwiódł żony, która wiedziała aż za dobrze, iż Armand w ich dłoniach jest miękki jak wosk.

Liane zaniósła Elisabeth do jej pokoju, Armand zaś ułożył w łóżeczku starszą córkę, a pięć minut później spotkali się w swojej sypialni. Liane wciąż uśmiechała się na myśl o niesforności dziewczynek, Armand natomiast ze zmarszczonym czołem usiadł na łóżku i zaczął się rozbierać.

- Jak ta stara idiotka może straszyć dziewczynki gadaniem o wojnie!...

- Słyszysz to samo co my - odparła z westchnieniem Liane i zaczęła rozpinąć guziki pięknie skrojonego, satynowego żakietu.

- Ale porozmawiam z nią rano.

- Zrób to, z łaski swojej.

Armand wymówił te słowa stanowczo, lecz wcale nie ostrym tonem. Patrzył teraz, jak żona rozbiera się w garderobie. Zawsze mieli sobie coś jeszcze do powiedzenia, zawsze zaistniał jakiś kolejny powód, dla którego nie mógł się od niej oderwać - nawet teraz, po nie kończącym się dniu i długim wieczorze. Kiedy zdjęła białą organdynową bluzkę i dostrzegł atlasową różowość jej ciała, pospieszył do swojej garderoby. Zrzucił smoking i kilka chwil później wrócił boso, w białej jedwabnej piżamie i granatowym szlafroku. Uśmiechnęła się do niego z łóżka, a kiedy wyłączał światło, mignęła mu nad krawędzią kołdry koronka różowej koszuli nocnej.

Wsunął się obok niej do łóżka, delikatnie powiódł dłonią po ramieniu, dotarł do aksamitnej gładkości szyi, potem sięgnął niżej i dotknął piersi. Liane uśmiechnęła się w mroku i odnalazła ustami wargi Armanda. W długim pocałunku zapomnieli o dzieciach, piastunce, prezydencie, wojnie... Zrzucając gorączkowo okrycia, pamiętali jedynie o tym, że są siebie spragnieni, że w miarę upływu lat coraz goręcej nawzajem się pożądają. Liane westchnęła cicho, kiedy silna dłoń Armanda spoczęła na jej nagim udzie, i rozsunęła nogi, aby go powitać, jak czyniła zawsze. Czowała w nozdrzach zapach jego wody kolońskiej, kiedy ją całował, kiedy ich ciała się złączyły i kiedy w nią wchodził, zrazu delikatnie, potem z narastającą pasją.

## Rozdział trzeci

Odźwierny domu pod numerem 875 przy Park Avenue stał nieporuszenie na swoim stanowisku. Jego mundurowa kurtka była z ciężkiej wełny, ciasny kołnierz wpijał się w szyję, czapka ze złotym otokiem ciążyła mu na starej głowie jak ołów. Był drugi tydzień czerwca, temperatura w Nowym Jorku sięgała 87 stopni Fahrenheita, lecz on musiał trwać na posterunku - w

czapce, nienagannej kurtce, z idealnie prostą muszką, w białych rękawiczkach - i uśmiechać się mile do wchodzących i wychodzących mieszkańców i gości. Mike, tak bowiem miał na imię odzwierny, pełnił służbę od siódmej rano, teraz zaś dochodziła już osiemnasta. Upał doskwierał niezmienny, a Mike musiał czekać jeszcze godzinę na chwilę, kiedy w obszernych spodniach, koszuli z krótkim rękawem, wygodnych butach, bez muszki i czapki będzie mógł pójść do domu. Jego irlandzka dusza rozplynęła się w uśmiechu na wyobrażenie owej niewysłowionej ulgi. Nie od rzeczy byłoby skoczyć na piwko, pomyślał. Stojąc tak, z zazdrością patrzył na dwóch windziarzy. Szczęściarze - byli przynajmniej w środku.

- Dobry wieczór, Mike.

Oderwał się od swojej przyćmionej upałem mrzonki i podniósł wzrok, wyćwiczonym gestem dotykając palcami daszka czapki, chociaż tym razem jego służbowej akuratanności towarzyszył przyjacielski uśmiech. Mieszkali w tym budynku ludzie, wobec których nie zwracał sobie głowy uśmiechami, ale tego faceta naprawdę lubił. Był to bowiem Nicholas Burnham - Nick, jak nazywali go przyjaciele. Miał zawsze dla Mike'a przyjazne słowo, a w oczekiwaniu na przyjazd limuzyny czas na krótką pogawędkę. Rozmawiali o polityce i baseballu, ostatnich strajkach, cenach żywności i upale, który przez dwa ostatnie tygodnie zasnuwał ulice gorącą mgiełką. Nickowi jakoś udawało się wyrzucić na Mike'u wrażenie, że przejmuje się nim, że ma dla niego jakieś znaczenie ten starzejący się człowiek, który żeby zarobić na siedmioro dzieci, musi całymi dniami stać pod domem, przywoływać taksówki i pozdrawiać damy z francuskimi pudłami. Wydawało się, że Nick rozumie groteskowość tej sytuacji - i za to właśnie Mike tak bardzo go lubił. Nicholas Burnham musiał być porządnym facetem.

- Jak minął dzień?

- Nie najgorzej, sir. - Co prawda stopy, otarte, rozpalone i obrzmiałe, zdawały się przypominać o odmiennym zgoła stanie rzeczy, lecz nagle Mike'owi wydało się, że istotnie nie jest tak źle. - A panu?

- W mieście było dosyć gorąco.

Biuro Burnhama mieściło się na Wall Street, a jego firma stanowiła potęgę w przemyśle stalowym. Nick, chociaż liczył sobie zaledwie trzydzieści osiem lat, był - jak pewnego razu określił go "New York Times" - największym młodym przedsiębiorcą w kraju. Mike nigdy nie zastanawiał się nad różnicą w ich dochodach i pozycji społecznej, przywykł bowiem przyjmować rzeczy takimi, jakie są, a Nick zawsze obdarzał go okazałymi napiwkami i prezentami na Boże Narodzenie. Poza tym stary portier wiedział, że Nick nie ma łatwego życia, przynajmniej w domu. Do jego żony, Hillary, Mike czuł nienawiść równą niemal sympatii, którą obdarzał Nicka. Nadęta humorzysta dziwka, ot co, myślał. Ani jednego uprzejmego słowa, ani jednego uśmiechu. Obwieszała się tylko mnóstwem drogiej biżuterii i futer, na które naciągała męża. Mike często widział, jak wychodzą gdzieś wieczorami. Wtedy Hillary Burnham zawsze miała coś przykrego do powiedzenia Nickowi - a to na temat jednej ze służących albo jego spóźnienia, albo że nie znosi ludzi, do których zostali właśnie zaproszeni... "Zepsuta kurewka", mawiał o niej Mike. Co prawda ładna, ale to za mało, żeby mogła poprawić sobie u niego opinię. Często zastanawiał się, jakim cudem Nick może być tak sympatycznym facetem, skoro ma za żonę taką jędzę.

- Widziałem dzisiaj panicza Johna z kijem baseballowym - powiedział Mike i obaj popatrzyli na siebie znacząco. Po chwili Nick uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Możesz wobec tego niebawem usłyszeć brzęk tłuczonego szkła, przyjacielu.

- Nie ma obaw. Złapię piłkę, jeśli będzie leciała w tę stronę.

- Dzięki, Mike - poklepał starego po ramieniu i wszedł do domu, Mike zaś uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze trzy kwadransy, a jutro może nie będzie już tak gorąco. A jeśli nawet będzie... Cóż, na pewno da się przeżyć.

Weszło dwóch kolejnych mężczyzn i Mike dotknął daszka czapki, myśląc jednocześnie o synu Nicka, Johnie. Ładny szczeniak, przypominał swojego ojca, tyle że miał czarne jak węgiel włosy matki.

- Jestem - jak co wieczór rozległo się w holu powitanie Nicka, który kładąc na stoliku słomkowy kapelusz spodziewał się, że usłyszy znajome głosy. Tego dnia jednak nikt się nie odezwał, tylko z kuchni wyszła służąca w czarnej sukience i białym koronkowym fartuszkowi. Nick posłał jej miły uśmiech.

- Dobry wieczór, Joan.

- Dobry wieczór, sir. Pani jest na górze.

- A mój syn?

- Chyba w swoim pokoju.

- Dziękuję - skinął głową i ruszył długim korytarzem. Przed rokiem mieszkanie zostało całkowicie przebudowane, nowy wystrój utrzymano w kolorach białym, kremowym i beżowym. Całość prezentowała się zarazem elegancko i kosztownie, pochłonęła zresztą fortunę, w czym nie miały udziału zwłaszcza dekoratorzy i architekci wnętrz, których Hillary wyrzucała jednego po drugim. Osiągnięty rezultat satysfakcjonował jednak zarówno Nicka, jak też - wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi - jego żonę. Nie było to mieszkanie utrzymane w stylu, który mógł się kojarzyć ze stałą obecnością małego chłopca, a już doprawdy trudno by sobie wyobrazić tu owego chłopca przejeżdżającego brudnymi palcami po ścianach lub kozłującego piłkę. Przynajmniej jednak w kwestii pokoiw dzieciennych Nick postawił na swoim: wnętrza utrzymano w czerwieniach i błękitach, a meble wykonano z wygodnej starej dębiny. Obrazki były wprawdzie jak na gust Nicka nieco przesłodzone, ale przynajmniej miało się pewność, że w tych pomieszczeniach John może się oddawać niczym nie zmaconej beztroskiej zabawie. W skład apartamentów dzieciennych wchodziła sypialnia dla piastunki, duży pokój dla chłopca, mały salonik z biurkiem, które kiedyś należało do Nicka, i ogromna sala wypełniona zabawkami, gdzie John mógł podejmować przyjaciół.

Nick zapukał delikatnie do drzwi pokoju syna, które rozwarły się gwałtownie, i oto miał przed sobą uśmiechniętą twarz jedynaka. Porwał go w ramiona, wywołując tym samym - jak każdego wieczoru - kaskadę chichotów.

- Zgnieciesz mnie, tatusiu - wykrzyknął John, najwyraźniej jednak nie wierząc w taką możliwość.

- W porządku, już cię puszczam. Jak się miewa mój ukochany chłopczyk? - Postawił go z powrotem na nogi.

- Świetnie. Bombowy jest ten nowy kij do baseballa!

- To znakomicie. Wytłukłeś już jakieś okna?

- Oczywiście, że nie. - John sprawiał wrażenie urażonego, kiedy ojciec mierzwił jego atramentowoczarne włosy.

W chłopcu cechy obojga rodziców połączyły się w interesującą mieszankę: po ojcu odziedziczył zielone oczy, po matce różową cerę - i kruczoczarne włosy. Rodzice różnili się między sobą tak bardzo, jak tylko może się różnić dwoje ludzi - Hillary była drobną delikatną brunetką, Nick natomiast

rosłym, potężnie zbudowanym blondynem. Ich syn, jak zgodnie utrzymywali wszyscy, zdołał połączyć w sobie najlepsze cechy obojga.

- Będę mógł zabrać kij na statek? - poprosił John.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł. Może jeśli obiecasz, że będzie cały czas leżał w walizce.

- Ależ muszę go zabrać, tatusiu. Przecież we Francji nie mają kijów do baseballa.

- No, raczej nie mają - zgodził się Nick.

Wyjeżdżali na rok, może tylko na sześć miesięcy - to się miało dopiero okazać. Nicka wiązało w tym roku z Europą tak wiele kontraktów, że postanowił osobiście poprowadzić paryskie przedstawicielstwo swojej firmy, w Nowym Jorku pozostawiając u steru zastępcę. Oczywiście zabierał Hillary i Johna; nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby ich zostawić. Hillary początkowo lkała i nieustannie użalała się na swój los, ale przez ostatni miesiąc jakby się już z nim pogodziła, John zaś uznał, że czeka go niezła zabawa. Miał być umieszczony w amerykańskiej szkole nie opodal Champs-Elysees, a Nick wynajął elegancki dom przy Avenue Foch. Dom ten należał do francuskiego hrabiego i jego żony, którzy rok wcześniej przenieśli się do Szwajcarii na skutek paniki, jaka po traktacie monachijskim ogarnęła wielu ludzi. Teraz żyli sobie beztrudnie w Lozannie, nie spiesząc się do powrotu. Ich mieszkanie sprawiało wrażenie idealnego lokum dla Nicka, Hillary i chłopca.

- Chcesz zjeść ze mną kolację, tatusiu? - spytał John, któremu niania dała właśnie znak, że czas siadać do stołu. Chłopczyk z nadzieją patrzył na ojca:

- Chyba pójdę na górę zobaczyć się z mamą.

- No dobra.

- Zejdę, kiedy już zjesz, i pogadamy chwilę, dobrze?

- Dobrze. - John znowu się uśmiechnął i wyszedł z nianią.

Nick stał przez chwilę bez ruchu, patrząc na swoje stare biurko. Dostał je od ojca, kiedy miał dwanaście lat i właśnie przygotowywano go do wyjazdu do szkoły z internatem. Swojemu synowi przekazał biurko wcześniej, poza tym jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, John nigdy nie trafi do szkoły z internatem. Nick nienawidził tych lat spędzonych z dala od domu, kiedy czuł się z niego wygnany. John nigdy nie zazna podobnej udręki, mówił sobie. W dodatku zbyt szalał na punkcie chłopca, aby pozbawiać się jego towarzystwa.

Zamknął za sobą drzwi, przeszedł długi beżowy korytarz, minął fortepian w centralnym foyer i wspinał się schodami na górę, do swoich apartamentów.

Kiedy zbliżał się do podestu, zza uchylonych drzwi usłyszał krzyki Hillary skierowane najwyraźniej do służącej, która właśnie wybiegła z jej garderoby z naręczem futer.

- Nie te, do cholery! Na rany boskie! - Nick widział ją z tyłu: lśniące czarne włosy spływające jak jedwab na ramiona okryte białym atłasowym szlafrokiem, ale z samego ułożenia jej ciała wnioskował, że jest wściekła.

- Idiotka! Mówiłam ci, że sobole, norki i srebrne lisy...

- Odwróciła się i ujrzała Nicka, a kiedy jej ciemne oczy spotkały się z jego zielonymi, na chwilę wszystko ucichło.

Nick wiele razy jej powtarzał, żeby nie krzyczała na służbę, lecz przez całe życie wymyślała pokojówkom, z najwyższym więc trudem przyszłoby jej zmienić nawyki. Ta dopiero dwudziestoosmioletnia kobieta o starannie ufrizowanych włosach, perfekcyjnym makijażu, polakierowanych na czerwono paznokciach wyglądała w każdym calu na kobietę światową. Nawet jej szlafrok



był ostatnim krzykiem mody.

- Cześć, Nick - przywitała chłodno męża. Jej oczy również były chłodne, kiedy Hillary podeszła do stojącego w miejscu Nicka i nadstawiła policzek do pocałunku. Potem na powrót skierowała uwagę na służącą. - Bądź tak dobra i podaj mi właściwe futra - powiedziała i choć tym razem nie podniosła głosu, jej słowa cięły jak nóż.

- Strasznie dajesz w kość tej dziewczynie - zauważył tonem łagodnej przygany jak setki razy wcześniej, bez najmniejszego jednak efektu.

Nick był zawsze miły dla wszystkich. Dla wszystkich oprócz niej oczywiście. Wziął z jej życia to, czego pragnął, i zrujnował je całkowicie. Nick Burnham zawsze postępował właściwie, ale nie z nią. Już nie z nią, powtarzała sobie ciągle. Toteż zadbała, żeby w ciągu dziewięciu minionych lat drogo za to zapłacił. Gdyby nie Nick, wciąż mieszkałaby w Bostonie, może nawet wyszłaby za tego hiszpańskiego hrabiego, który tak za nią szalał... Hrabina... Brzmienie tego słowa wprawiało ją w zachwyty... Hrabina...

- Wyglądasz na zmęczoną, Hil. - Czule pogładził jej włosy, spojrzał w oczy, ale i teraz nie znalazł w nich ciepła.

- Bo jestem zmęczona. Czy sądzisz, że wszystko w tym domu spakowało się samo? - Pomogły w tym służące, chciał powiedzieć, lecz ugryzł się w język. Wiedział, że jest święcie przekonana, iż wszystkiego dokonała sama. - Chryste, musiałam spakować wszystkie twoje rzeczy, wszystkie rzeczy Johna, obrusy, pościel, koce, talerze... - W miarę jak mówiła, jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy. Odeszła od męża i usiadła na szeszlunku w stylu Ludwika XV.

- Mógłbym spakować się sam, dobrze o tym wiesz, i mówiłem ci, że dom w Paryżu wyposażony jest we wszystko, co może nam być potrzebne. Nie musisz brać własnych obrusów i zastawy.

- Nie gadaj głupstw. Bóg raczy wiedzieć, kto sypiał w tych łóżkach.

Przez chwilę, zaledwie przez moment kusił Nicka, żeby powiedzieć, iż ci ludzie na pewno nie byli gorsi od mężczyzn, którzy sypiali w jej łóżku. Nic jednak nie rzekł, patrzył tylko, jak zdenerwowana służąca wraca z nadzieją, że tym razem niesie właściwe futra: dwa sobole, jedne norki i kurtkę ze srebrnych lisów, którą - zapakowaną w wielkie eleganckie pudło - Hillary dostała na Gwiazdkę Bóg wie od kogo. Jedno było pewne - nie od Nicka. Od Nicka były sobole, norki i szynszyle, które zostawiała w domu, lisy natomiast stanowiły tajemnicę - tajemnicę w mniejszym lub większym stopniu, ponieważ Nick miał podstawy sądzić, iż ofiarodawcą był ten sukinsyn Ryan Holloway.

- Na co się gapisz? - warknęła Hillary, gdy oczy Nicka mimowolnie powędrowały ku lisom. Kłócili się na ten temat już kilka razy i nie miał zamiaru ponownie podejmować tej kwestii. - Nie zaczynaj znowu. Wiesz przecież, że wcale nie muszę jechać do Paryża.

O Chryste! pomyślał. Tylko nie to. Dzień był taki długi i taki upalny! Nie chciałby dziś kłócić się z żoną.

- Czy naprawdę musimy za każdym razem powtarzać ten cyrk, Hil?

- Pewnie, że nie musimy. Bo moglibyśmy tu zostać. Przecież wiesz...

- Nie, nie możemy. Chcę przez najbliższy rok osobiście prowadzić paryskie przedstawicielstwo firmy. Mam tam ważne kontrakty i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Dlatego jedziemy. Poza tym jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że perspektywa życia w Paryżu może się wydawać nieprzyjemna - rzekł Nick wiedząc, że Hillary tak właśnie uważa. Z jakiegoś powodu z dzikim

uporem obstawała przy pozostaniu w Nowym Jorku. - Daj już spokój, Hil, zawsze ci się tam podobało.

- Owszem, ale przez kilka tygodni. Dlaczego, do jasnej cholery, nie mógłbyś latać tam i z powrotem?

- Ponieważ skończyłoby się na tym, że w ogóle nie widywałbym ciebie ani Johna. Na miłość boską... - Wstał gwałtownie, a służąca wymknęła się z pokoju. Znała reguły, którymi rządziły się ich kłótnie. W końcu Nick się wścieknie i zacznie krzyczeć, co niemal zawsze dawało ten efekt, że Hillary czymś weń rzucała. - Czy nie moglibyśmy odpuścić już sobie tego tematu? Czy nie mogłabyś po prostu pogodzić się z myślą, że jedziemy? Chryste Panie, statek odpływa za dwa dni.

- No to niech sobie odpływa albo jedź sam - oświadczyła siadając na łóżku. Lekko gładziła srebrnego lisa. Jej głos był zimny jak lód. - Nie będę ci tam potrzebna.

- Czy to wypada? A może to sposób pozbycie się mnie na rok, żeby móc kursować do Bostonu i składać wizyty temu małemu skurwielowi?...

Nick wiedział, że Hillary zdradza go na prawo i lewo. Wiedział, lecz z uporem walczył o utrzymanie małżeństwa - dla dobra Johna, dla własnego dobra. Jego rodzice byli rozwiedzeni, w dzieciństwie czuł się z tego powodu bardzo samotny i nieszczęśliwy. Przysiągł sobie w duchu, że swojemu synowi nigdy nie wyrządzi takiej krzywdy. Pragnął jedynie, żeby to małżeństwo trwało, i zamierzał o to zadbać bez względu na wszystko, bez względu na to, co robiła Hillary. Lecz gniewne słowa wymykały mu się z ust częściej, niżby tego pragnął.

- Czy nigdy się nie bałaś, że zajdziesz w ciążę, Hil? - spytał naraz. Obydwoje wiedzieli, iż ma na myśli ciążę z kimś innym.

- Najwyraźniej nigdy nie słyszałaś o aborcji... Jeśli oczywiście prawdą jest to, o co mnie oskarżasz. Ale ściśle biorąc, dzieci nie są moją specjalnością. A może już nie pamiętasz, Nick? - odparowała. Jak zwykle zadawali sobie ciosy poniżej pasa. Tak było od lat.

- Ależ tak, pamiętam. - Twarz mu stężała, dłonie zacisnął w pięści, lecz jego głos brzmiał osobliwie łagodnie. Nigdy nie wybaczyła mu tego, co stało się dziewięć lat temu. Była najpiękniejszą panną debiutującą owego sezonu w Bostonie. Dobrze pamiętał jej kruczoczarne włosy, uroczo kontrastujące z jasnymi szycownymi sukniami, które rodzice przysyłali jej z Paryża. Budziła pożądanie w wielu mężczyznach. Kiedy przyszła na świat, jej ojciec był już dobrze po pięćdziesiątce, matka zaś miała trzydzieści dziewięć lat. Oboje dawno stracili nadzieję na dziecko, toteż Hillary była psuta od samego początku - uwielbiana przez ojca, rozpieszczana przez matkę, dziadków i piastunkę. Dostawała wszystko, czego zapragnęła, i zamierzała w taki właśnie sposób żyć zawsze.

Pewnego wieczoru w sezonie swojego debiutu ujrzała Nicka. Był wysoki, jasnowłosy, dobrze zbudowany, u boku miał jedną z najładniejszych panien w Bostonie. Kiedy wszedł, przez salę przebiegł szept: "Nick Burnham... Nick Burnham... Fortuna w przemyśle stalowym... Jedyne dziedzic..." W wieku dwudziestu dziewięciu lat był jednym z najbogatszych młodzieńców na Wall Street, w dodatku diablo przystojnym - i kawalerem.

Hillary niemal uleciała z ramion mężczyzny, z którym właśnie tańczyła, i pospieszyła na spotkanie Nicka. Zostali sobie przedstawieni przez jednego z przyjaciół jej ojca i Hillary uczyniła co w jej mocy, aby go rzucić na kolana. Udało jej się dopiąć swego zdumiewająco tanim kosztem. Nick zaczął u niej bywać, najpierw w Bostonie, następnego lata zaś w Newport. I tam

właśnie doszło między nimi do zbliżenia. Hillary pragnęła, aby pożądał jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety w życiu, na koniec oddała mu swoje dziewictwo, ponieważ sądziła, że go kocha, i ponieważ pragnęła zawładnąć nim bezgranicznie.

Nie brała natomiast pod uwagę ewentualności, że może zajść w ciążę, co nastąpiło już za pierwszym razem. Początkowo Nick był wstrząśnięty, Hillary wpadła wręcz w histerię. Nie chciała mieć dziecka, nie chciała przytyć, nie chciała niańczyć... Była tak dziecinna, kiedy szlochała w jego ramionach, że odpowiedział śmiechem. Napomknęła coś o aborcji, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Była czarującą niedojrzałą kobietką, jemu zaś myśl o dziecku, kiedy już się z nią oswoił, zaczęła się ogromnie podobać. Nie wspominając słowem o dziecku, poprosił ojca Hillary o jej rękę, ją zaś poinformował, że biorą ślub, który odbył się jeszcze przed końcem lata. Na wspaniałym weselu wyprawionym w Newport Hillary wyglądała jak królewna w białej koronkowej ślubnej sukni swojej matki. Tyle że pod szczęśliwym na pozór uśmiechem kryła się rezygnacja. Pragnęła Nicka, ale nie dziecka. Chociaż Nick hołubił ją i rozpieszczał, nienawidziła każdej chwili w pierwszym okresie małżeństwa, ponieważ zdawała sobie sprawę, że ożenił się z nią z powodu dziecka, ona zaś nie życzyła sobie żadnej konkurencji.

Im bliższy był czas rozwiązania, tym bardziej Nick troszczył się o żonę. Kupował jej kosztowne prezenty, pomagał urządzić pokój dziecinny, obiecywał, że będzie przy niej cały czas, trzymając ją za rękę. Mimo jego starań w ósmym miesiącu ciąży Hillary pogрузzyła się w głębokiej depresji, która zdaniem lekarza nie pozostała bez wpływu na długi i ciężki poród. Zarówno ona, jak i dziecko omal nie przyplęcili życiem tej męczarni, a Hillary nigdy nie wybaczyła Nickowi udręki, przez którą musiała przejść. Depresja utrzymywała się jeszcze sześć miesięcy po porodzie i bardzo długo Nick sądził, że oprócz niego nikt Johna nie obdarzy rodzicielską miłością. W końcu Hillary zaczęła dochodzić do siebie.

Następnej zimy pojechała na Boże Narodzenie do Bostonu. Pojechała bez dziecka i ochoczo rzuciła się w wir przyjęć i spotkań z przyjaciółkami. Decyzję o powrocie do domu odwlekała w nieskończoność, aż Nick zrozumiał w końcu, że Hillary pozostaje w Bostonie tylko po to, aby brać udział we wszystkich możliwych imprezach towarzyskich. Pragnęła przekonać siebie i innych, że wcale nie jest mężatką, że znów jest debiutantką i wspaniale się bawi.

Po miesiącu Nick pojechał po nią i stanowczo zażądał, aby wróciła do domu. Doszło do potężnej kłótni. Hillary niemal na kolanach błagała ojca, żeby pozwolił jej zostać. Nie chciała być mężatką, nie chciała mieszkać w Nowym Jorku, nie chciała zajmować się dzieckiem. Ojciec był wstrząśnięty i zarazem nieubłagany. Wybrała sobie Nicka, który był dla niej dobrym mężem, miała zatem obowiązek wrócić i podjąć próbę naprawienia tego małżeństwa, była też odpowiedzialna za dziecko.

Ostatecznie Hillary wróciła do Nowego Jorku, lecz w stanie ducha właściwym skazańcowi oczekującemu na egzekucję. Czowała się zdradzona przez wszystkich, Nicka zaś wręcz znienawidziła, ponieważ reprezentował to wszystko w jej życiu, czego najmniej sobie życzyła. Jej ojciec rozmawiał z Nickiem przed ich wyjazdem, winił bowiem siebie za postępowanie córki. Choć był świadom, że rozpieszczano ją w dzieciństwie, nigdy nie przypuszczał, iż mogłaby liczyć, że tak będzie wyglądało jej całe życie - że będzie unikać odpowiedzialności na wszystkich frontach, krzywdząc męża i dziecko. Nick jednak zapewniał go, że z czasem Hillary przywyknie do nowej roli, trzeba

tylko okazywać jej bezgraniczną cierpliwość. Wówczas głęboko w to wierzył.

Zgodnie ze złożoną teściowi obietnicą okazywał jej maksimum cierpliwości. Niestety, na darmo. Hillary wciąż nie interesowała się dzieckiem, następnego lata zaś pojechała do Newport, tym razem - dla uniknięcia dalszych komentarzy - biorąc ze sobą Johnny'ego i piastunkę. Spędziła tam całe lato, a kiedy Nick pojechał ją odwiedzić, zrozumiał natychmiast, że jego żona, która obchodziła właśnie dwudzieste pierwsze urodziny, ma kochanka. Wdała się w namiętny romans z bratem jednej ze swoich przyjaciółek - skończył właśnie Yale i sypianie z Hillary Burnham uważał za coś szalenie pikantnego. Opowiadała o tym połowie miasta, dopóki Nick nie złożył mu wizyty, po której chłopak wrócił do Bostonu jak niepyszny, w uszach mając jeszcze potok zniewag, jakimi obrzucił go Nick. Prawdziwy wszakże problem w tym wszystkim był z Hillary.

Nick znowu ją zabrał do Nowego Jorku i usiłował trzymać w ryzach, ona jednak przez kilka następnych lat niczym jo-jo miotała się między Newport, Bostonem a Nowym Jorkiem, romansując przy każdej okazji, zawsze z niezmienną nadzieją, że nie zostanie przyłapana. Tak było również ostatnio.

Związała się z Ryanem Hallowayem, kiedy Nick był w Paryżu. Romans nie właściwie dla niej nie znaczył i Nick zdawał sobie z tego sprawę; był to po prostu sposób, w jaki raz za razem mówiła mężowi, że w gruncie rzeczy nie jest zameżna, nigdy nie będzie, że nie stanie się jego własnością, że jest na zawsze wolna - wolna od niego, od syna, od ojca, który umarł trzy lata po ich ślubie. Matka już dawno porzuciła wszelką nadzieję, że zdoła jakoś przemówić córce do rozsądku, wkrótce potem rezygnacja ogarnęła też Nicka. No cóż, Hillary była, jaka była: uderzająco piękna kobieta o błyskotliwym umyśle, który beztrudnie trwonila, i ogromnym poczuciu humoru - wciąż jeszcze była w stanie go rozbawić przy tych nielicznych okazjach, kiedy ze sobą rozmawiali. Przeważnie jednak kłócili się ze sobą albo Nick zwyczajnie ją ignorował. Raz czy dwa przeszła mu przez głowę myśl o rozwodzie, wiedział, że z jego przeprowadzeniem nie byłoby żadnego problemu, gdyby jednak to uczynił, Hillary otrzymałaby prawo do opieki nad Johnem. Sądy niemal zawsze sprzyjały matce, o ile nie była prostytutką albo narkomanką, aby zatem zatrzymać syna przy sobie, Nick musiał żyć z Hillary pod jednym dachem bez względu na wszystko i tak długo, jak będzie mógł to znosić. A bywały chwile, kiedy mu się wydawało, że dłużej tego nie wytrzyma.

Miał nikłą nadzieję, iż wyprawa do Paryża rozerwie ją w jakiś sposób i przynajmniej przez pewien czas Hillary będzie się przyzwoicie zachowywać, chociaż właściwie nic na to nie wskazywało. Wiedział, że romans z Ryanem zakończył się tuż po Bożym Narodzeniu, podejrzewał jednak, iż Hillary ma na oku kogoś nowego. Zawsze była szczególnie rozdrażniona, kiedy w jej życiu pojawiał się kolejny mężczyzna; przypominała wtedy konia wyścigowego grzebiącego kopytami w boksie. Nie mógł oczywiście nic uczynić, aby ją powstrzymać. Dopóki utrzymywała swoje romanse we względnej tajemnicy, był zdecydowany mieszkać z nią, tym bardziej że w ostatnich latach nieco zmienił się jej stosunek do syna. Nick robił wszystko, aby John miał kochające dobre piastunki, kochał go i często mu to okazywał - chłopiec miał zatem więcej niż on w jego wieku. Nigdy by się nie zgodził rozstać z synem i żyć bez ukochanego dziecka. Johnny stanowił sens jego istnienia, a jeśli oznaczało to pogodzenie się z niewiernością i humorami Hillary, był gotów zapłacić tę cenę.

Patrzył teraz, jak żona siada przy toalecie i przeciąga grzebieniem po jedwabistych włosach, przyglądając mu się w lustrze. Naraz, jak gdyby

pragnąc w dwójnasób go zirytować, pociągnęła ze szklanki łyk szkockiej z wodą sodową. Wtedy Nick uświadomił sobie, że pod szlafrokiem Hillary ma czarną jedwabną sukienkę.

- Wybierasz się dokądś, Hil? - Jego głos był beznamiętny, a oczy przypominały jasnozielone kamienie.

Zawahała się, jej nozdrza zadrgały niczym chrapy konia pełnej krwi. Niemal widział, jak Hillary przebiera nogami, nie mogąc się doczekać startu w kolejnym wyścigu.

- Owszem. Boyntonowie wydają dzisiaj przyjęcie.

- Zabawne - uśmiechnął się ironicznie, znał ją bowiem aż za dobrze. - Nie widziałem zaproszenia.

- Zapomniałam ci je pokazać.

- Drobiazg. - Ruszył w kierunku drzwi, Hillary zaś odwróciła się w krzesło i zapytała cicho:

- Chcesz iść, Nick?

Obejrzał się na nią. Prawdopodobnie Boyntonowie rzeczywiście wydawali przyjęcie, on jednak rzadko bywał na imprezach tego rodzaju. Kiedy już decydował się iść, zawsze stwierdzał w którymś momencie, że jego żona, skryta w zacisznym kącie, flirtuje z nowym albo ze starym przyjacielem.

- Nie, dziękuję. Przyniosłem do domu trochę pracy.

- Nie mów tylko, że ci nie proponowałam - przestrzegła i odwróciła się do niego plecami.

- Nie powiem. - Stojąc w drzwiach, patrzył, jak pije drinka.

- Przekaż im pozdrowienia ode mnie i spróbuj wrócić do domu o przyzwoitej porze. - Skinęła głową. - I jeszcze jedno, Hil... - zawahał się.

- Tak?

Postanowił mówić bez ogródek.

- Postaraj się nie wyjeżdżać z Nowego Jorku w kolejnym ataku rui. I cokolwiek zamierzasz zrobić, moja droga, pamiętaj, że odpływamy za dwa dni. A ty, bez względu na wszystko, płyniesz ze mną.

- Co to znaczy? - Wstała i spojrzała mu w oczy.

- To znaczy, że nawet gdybyś miała tu zostawić czyjeś krwawiące serce, jedziesz do Francji. Jesteś moją żoną i nieważne, jak bardzo pragniesz o tym fakcie zapomnieć.

- Nigdy o tym nie zapominam. - W jej głosie brzmiała gorycz. Nienawidziła tego małżeństwa, w szczególności dlatego, że Nick był dla niej taki dobry. Budziło to w niej poczucie winy, a nie życzyła sobie tego rodzaju uczuć. Pragnęła po prostu być wolna.

- Baw się dobrze - rzekł na koniec Nick, delikatnie zamknął za sobą drzwi i zszedł do syna.

Kiedy tylko opuścił pokój, Hillary zrzuciła z ramion szlafrok, odsłaniając krótką czarną jedwabną sukienkę na wąziutkich ramiączkach, którą kupiła u Bergdorfa Goodmana. Przypięła diamentowe kolczyki i przejrzała się w lustrze. Wiedziała, że na przyjęciu spotka Philipa Markhama. Dopijając szkocką, zastanawiała się, jakież to cud sprawia, że Nick zawsze wie. Do niczego jeszcze pomiędzy nią a Philem nie doszło, ale Phil w sierpniu wyjeżdżał do Paryża, któż więc może wiedzieć, co się wówczas wydarzy... Któż to może wiedzieć...

## Rozdział czwarty

Ogromny, wspaniale skonstruowany statek cumował przy nabrzeżu numer osiem

na rzece Hudson, prezentując w pełni swój królewski majestat. Przystanąwszy na moment koło limuzyny, Armand podniósł wzrok na trzy potężne kominy rysujące się na tle nieba. Statek o wyporności osiemdziesięciu tysięcy ton był najszybszym i najbardziej nowoczesnym liniowcem na wszystkich morzach świata. Jego widok zapierał dech w piersiach i każdy, kto skierował wzrok na tę genialną konstrukcję, zamierał w milczeniu pełnym szacunku i podziwu. Jeszcze piękniej statek wyglądał idąc pełną parą, ale nawet tutaj, trwając w bezruchu, wywierał zgoła nieziemskie wrażenie.

- Tato, tato, chcę popatrzeć - zawołała Elisabeth, która pierwsza wystrzeliła z Citroena i uchwyciwszy rękę ojca swoją małą łapką, stanęła na chwilę u jego boku. - Czy to jest właśnie to?

- Nie - Armand uśmiechnął się do młodszej córki. - To nie to, to ona. La belle "Normandie", mon tresor. Nigdy w życiu nie zobaczysz podobnego statku, maleńka. Cokolwiek ludzie zbudują w przyszłości, nigdy już nie pojawi się inna "Normandie".

Podobne słowa wypowiadało wiele osób. Od siedmiu lat, to jest od chwili wodowania, "Normandie" niezmiennie była tym statkiem, którym podróżowali wielcy tego świata - uprzywilejowani, bogaci, zepsuci, elegancy, wielbiciele piękna i morza. Spośród wszystkich tych osób żadna nie wyraziłaby innej opinii. "Normandie" była niezwykłym dziełem myśli ludzkiej, całkowicie unikatowym, najpiękniejszym, najelegantszym i najszybszym. Pływającą wyspą luksusu, perfekcyjną pod każdym możliwym do wyobrażenia względem.

Armand odwrócił się do żony, która właśnie stanęła obok niego. Przez chwilę cały jego świat sprowadzał się do "Normandie" - do dzieła, które przynosiło zaszczyt Francji, będąc dowodem jej wielkości. Jakże imponującym osiągnięciem był ten statek! Jakąż dumę odczuwało się na wyobrażenie owej przepelnionej miłością pracy, którą w niego włożono - od dzioba po rufę, od stępki po top masztu. Armanda ogarnęło ogromne wzruszenie. "Normandie" była najprawdziwszą pięknnością.

Liane w pełni podzielała odczucia męża i kiedy odwrócił się do niej, posłała mu pełen zrozumienia uśmiech.

- Znów wyglądasz jak dumny tatuś - zażartowała.

Skinął głową, nie stropiony tą uwagą. - Francja ma na swoim koncie epokowe dzieło.

W tym momencie do siostry dołączyła Marie-Ange i obie dziewczynki zaczęły podskakiwać radośnie dookoła rodziców. - Czy możemy wejść już na pokład, tatusiu? Możemy? Możemy?

Liane wzięła je za ręce, Armand zaś zajął się udzielaniem wskazówek bagażowemu i szoferowi. Pięć minut później przeszli pod olbrzymim łukiem z napisem Compagnie Generale Transatlantique i wsiedli do windy, która zawiozła ich na wyższą część nabrzeża. Tysiąc dziewięciuset siedemdziesięciu dwóch pasażerów wchodziło na pokład statku trzema wejściami, dyskretnie oddzielonymi od siebie i oznaczonymi napisami Premiere classe, Touriste i Cabine. Pierwsze przejście, dla pasażerów pierwszej klasy, miały przekroczyć osiemset sześćdziesiąt cztery osoby.

Kiedy Armand, Liane i dziewczynki stanęły na pokładzie "Normandie", było już popołudnie. Wyjechali z Waszyngtonu o piątej rano pociągami, a przed półgodziną dotarli do Nowego Jorku. Z dworca zabrała ich limuzyna tutejszego konsulatu i zawiozła wprost na nabrzeże numer osiemdziesiąt osiem przy Pięćdziesiątej Zachodniej Ulicy.

- Bonjour, monsieur, madame. - Umundurowany oficer uśmiechnął się na

widok dwóch nienagannie ubranych dziewczynek w identycznych jasnoniebieskich organdyńowych sukienkach, białych rękawiczkach, słomkowych kapelusikach i lśniących czarnych lakierkach. - Mesdemoiselles, bienvenues a bord. - Potem z sympatią spojrział na Armanda. Bardzo lubił swoją pracę. Wśród wszystkich tych pasażerów, których dotąd witał na pokładzie, spotkał Tomasza Manna, Stokowskiego, Giraudoux, Saint-Exupery'ego, gwiazdy filmowe, takie jak Douglas Fairbanks, głowy państw, wielkich świata literatury, kardynałów i grzeszników, a także koronowane głowy niemal wszystkich europejskich państw. Ekscytujące było już samo oczekiwanie, aż podadzą swoje nazwiska, o ile oczywiście nie rozpoznawał ich od pierwszego rzutu oka, co zdarzało mu się w większości wypadków.

- Monsieur?

- Państwo de Villiers - odparł Armand.

- Ambassadeur? - zapytał młody człowiek i Armand w milczeniu skinął głową. - Ah, bien sur. - Ponownie zerknąwszy na listę pasażerów, stwierdził, że de Villiersowie zajmą jeden z najbardziej luksusowych apartamentów na statku. Nie mógł wiedzieć, iż jest to gest ze strony "Transatu", jak nazywano CGT, i to, że ambasador z rodziną zajmie apartament Trouville grand luxe, wywarło na nim potężne wrażenie. - Natychmiast wskażemy państwu kabiny. - Gestem przywołał stewarda, który zmaterializował się u jego boku i przejął od Liane jej podręczną torbę. Reszta kufrów została wysłana kilka dni wcześniej, to zaś, co mieli ze sobą w pociągu, pojawiło się w poczekalni zaledwie parę chwil po nich. Obsługa na "Normandie" była najwyższej jakości.

Apartament Trouville był jednym z dwóch umiejscowionych na pokładzie spacerowym i dysponował własną promenadą z widokiem na pięknie zaaranżowaną przestrzeń otwartej kawiarni. Ławki i lampy, schody i balustrady tworzyły kompozycję pełną wdzięku. Apartament składał się z czterech dużych eleganckich sypialni - dla Armanda i Liane, po jednej dla każdej dziewczynki i dla niańki. Były też do dyspozycji pomieszczenia dla ewentualnej dodatkowej służby; jeden z tych pokoiów przeznaczono dla Jacques'a Perriera, który odbywał z nimi tę podróż, aby Armand mógł kontynuować pracę. Reszta jednak małych kajut miała pozostać zamknięta.

Jedynymi oprócz nich mieszkańcami tego ekskluzywnego pokładu była rodzina zajmująca apartament Deauville, identyczny z Trouville, jeśli chodzi o rozmiar i szyk, poza tym jednak w żaden sposób nie przypominający apartamentu de Villiersów. Każda kabina pierwszej klasy na statku została urządzona w odmiennym stylu, niczego nie powielano. Każdy pokój do najdrobniejszego szczegółu był absolutnie unikatowy. Armand i Liane chwilę wodzili wzrokiem po swoim apartamencie, wreszcie ich oczy się spotkały i Liane wybuchnęła śmiechem. To wszystko było tak groteskowo luksusowe, tak eleganckie, tak piękne, że czuła się równie podekscytowana jak ich córeczki.

- Alors, ma chérie? - Stojąc obok obiecanego fortepianu dla dzieci, uśmiechnął się do niej, kiedy steward opuścił ich w foyer. - Qu'en penses-tu? Co o tym myślisz?

Cóż mogłaby myśleć? Było to najcudowniejsze miejsce do spędzenia pięciu dni, pięciu tygodni... pięciu miesięcy... pięciu lat... Miała ochotę pozostać na pokładzie "Normandie" na zawsze i w oczach męża dostrzegła to samo pragnienie.

- To niewiarygodne. - Zmierzając do swoich kabin, dosłownie wszędzie widzieli przepyszne ozdoby w stylu art deco, bogate boazerie, piękne rzeźby

i imponujące lustrzane szyby. To było coś więcej aniżeli pływający hotel - raczej pływające miasto cudów, gdzie nic nie wyłamywało się ze stylu i wszystko stanowiło rozkosz dla oka. Liane usiadła na szezlongu obitym ciemnozieloną tkaniną i zachichotała.

- Czy jesteś pewien, że nie śnię? Obudzisz mnie, a ja stwierdzę, że jesteśmy z powrotem w Waszyngtonie.

- Nie, najdroższa. - Usiadł obok żony. - To wszystko prawda.

- Ale ten apartament, Armandzie! Przechodzi mnie dreszcz na myśl o tym, ile musiał kosztować.

- Mówiłem ci, że bez dopłaty zaproponowano nam go zamiast tych kabin pierwszej klasy, które zarezerwowałem. - Uśmiechnął się do żony z wyrazem twarzy człowieka bardzo dumnego z siebie.

Sprawianie Liane przyjemności było miłe jego sercu, a teraz wręcz rzucało się w oczy, iż jest równie jak on oczarowana. Podczas wielu podróży u boku ojca zakosztowała wszelkich luksusów, to wszakże było coś więcej, coś całkowicie zdumiewającego i wyjątkowego. Pobyt na pokładzie "Normandie", choćby przez jedną chwilę, dawał poczucie uczestniczenia w historii. Łatwo było uwierzyć, że nigdy nie pojawi się statek taki jak ten i że ludzie będą go wspominać przez wiele, wiele lat.

- Napij się czegoś, Liane? - Otworzył dwuskrzydłowe drewniane drzwiczki, które kryły olbrzymi, znakomicie zaopatrzone barek.

- Dobry Boże, w tym alkoholu mógłby pływać statek!... - Zanim skończyła zdanie, Armand otworzył butelkę szampana Dom Perignon, napełnił kieliszki, jeden podał Liane, a potem, patrząc na swoją piękną żonę, wznosił toast: - Za dwie najpiękniejsze damy tego świata. Za "Normandie"... i za moją żonę.

Liane wyglądała na uszczęśliwioną. Upiła łyk szampana, potem podeszła do Armanda. Miała wrażenie, jakby znów byli w podróży poślubnej, i musiała sobie przypomnieć, że w sąsiednim pokoju znajdują się przecież ich córki.

- Rozejrzemy się trochę? - zapytał Armand.

- Myślisz, że dziewczynki mogą zostać same?

- Tutaj? - Popatrzył na nią z rozbawieniem. - Na pewno dadzą sobie radę.

Już w tej chwili piastunka pomagała im wypakowywać z kufrów lalki i zabawki.

- Dokładnie wiem, co chcę obejrzeć.

- Co mianowicie?

Patrząc, jak przeciąga grzebieniem po swoich blond włosach, poczuł ukłucie żądz. Był w ostatnich tygodniach tak zajęty, że niemal nie widywał Liane, która żywiła jednak nadzieję, iż na statku znajdą czas na przechadzki po pokładach i pogawędki, tak jak czynili wielokrotnie w ciągu minionych dziesięciu lat. Armand czuł się samotny, kiedy nie miał czasu na rozmowy z żoną. Obiecał sobie, że w trakcie tej podróży poświęci pracy z Perrierem czas od dziewiątej rano do południa, reszta dnia natomiast będzie wolna.

Dla Perriera podróż oczywiście była wyjątkowym przeżyciem. Dwudziestokilkuletni młodzieniec w zwykłych okolicznościach płynąłby do Francji gorszym statkiem i w kabinie drugiej klasy, lecz tym razem, w nagrodę za pięć lat pełnej poświęcenia pracy, Armand wystarał się dlań o specjalną zniżkę, dzięki czemu Perrier mógł razem z nimi odbyć podróż przez Atlantyk na pokładzie "Normandie".

Liane była z tego rada, aczkolwiek spodziewała się, że Jacques sam zorganizuje sobie jakieś zajęcia. Podobnie jak Armand spragniona była chwil spędzanych tylko we dwoje. Wiedziała również, że dziewczynki czeka mnóstwo



atrakcji: do ich dyspozycji był basen, pokoje zabaw, psiarnie, gdzie będą mogły odwiedzać odbywające podróże zwierzęta, teatr lalkowy i kino.

Kiedy wychodzili z apartamentu, Liane zapytała Armanda, czy jego zdaniem Jacques jest już na pokładzie.

- Odnajdzie nas, kiedy odbijemy, jestem tego pewien. - Perrier spędził przed odjazdem dwa dni sam w Nowym Jorku, spotkał się z przyjaciółmi i bez wątpienia urządził u siebie nieduże przyjęcie.

- A zatem co tak bardzo pragnęłabyś zobaczyć, Liane?

- Wszystko. - Jej oczy lśniły jak oczy małej dziewczynki.

- Chcę zobaczyć bar ze ścianami wyłożonymi lakierowaną świńską skórą.

Ogród zimowy... Salon główny. - Uśmiechnęła się do męża. - Chciałabym zobaczyć nawet palarnię dla panów. W folderze wygląda wprost niewiarygodnie. - Starannie przygotowała się do lekcji, czym Armand był szczerze ubawiony.

- Nie sądzę, żebyś zdołała wejść do palarni dla panów, kochanie.

Znów ogarnął łakomym wzrokiem jej sylwetkę w czerwonej jedwabnej sukience. Trudno było uwierzyć, że są małżeństwem od dziesięciu lat, skoro Liane nie wyglądała na więcej niż dziewiętnaście. Z jego punktu widzenia - osoby o dwadzieścia cztery lata starszej - zawsze przypominała dziecko.

Tworzyli niezwykle przystojną parę, kiedy szła z nim pod ramię w stronę promenady dziobowej, skąd mieli nadzieję zobaczyć Nowy Jork skąpany w skwarze słonecznego czerwcowego dnia. Na statku lekka bryza sprawiała, że upału prawie się nie czuło. Kilka chwil później korytarzem dotarli na pokład spacerowy, gdzie dokonali szybkich oględzin salonu pierwszej klasy i zerknęli na teatr. Na widok basenu Liane zauważyła:

- Ma płytką część, dziewczynki będą bezpieczne.

- Te dwie małe rybki - Armand uśmiechnął się do żony - będą bezpieczne w każdym basenie.

- Ja jednak będę się czuła lepiej, wiedząc, że nie jest tu głęboko.

Myślisz, że jest już otwarty? - Musiała wszystko wiedzieć, i to od razu.

- Podejrzewam, że pozostanie zamknięty, dopóki statek nie wyjdzie z portu.

"Normandie" słynęła ze swoich niesłychanie wyrafinowanych przyjęć pożegnalnych i niewątpliwie myśl o odwiedzeniu basenu z butelką szampana mogłaby niejednemu przyjść do głowy, a wtedy obsługa nigdy by nie zdołała odesłać wszystkich gości na brzeg. I tak zadanie to nie należało do łatwych. Po całym statku kręcili się odwiedzający, którzy zaglądali na każdy pokład i zerkali ciekawie do eleganckich salonów i apartamentów.

De Villiersowie minawszy teatr, zaszli do biblioteki - wytwornej sali o nobliwym wyglądzie - a zaraz potem Liane odkryła ogród zimowy, o którym czytała w folderze. Na jego widok aż otwarła usta ze zdziwienia: w pomieszczeniu tym bujnie krzewiła się tropikalna zieleń, marmurowe fontanny delikatnie rosiły wodę, wysokie klatki pełne były rzadkich gatunków ptaków. Liane uznała, że jest to najbardziej egzotyczne miejsce, jakie kiedykolwiek widziała, odwróciła się zatem do męża z wyrazem radosnego niedowierzania na twarzy. Wydawało się jej, że śni.

- Jest jeszcze wspanialszy niż na fotografiach w folderze - powiedziała z zachwytem.

To samo zresztą można by powiedzieć o całym statku. Na pierwszy rzut oka widać było, że są tu skarby i cuda, których wspaniałości nie byłaby w stanie oddać żadna fotografia, a z najwyższym trudem dałoby się je opisać. Przypominało to ogromną baśniową krainę, wypełnioną interesującymi ludźmi

błądzącymi po krajobrazie bardziej spektakularnym niż Wersal czy Fontainebleau. Armand i Liane zgodnie przyznali, iż nie widzieli nigdy niczego, co mogłoby stanąć z tym statkiem w zawody. Kiedy cofali się ku rufie, na pokład plażowy, gdzie mieli spędzić najbliższy tydzień, zewsząd słyszeli inne głosy, powtarzające szeptem ich własne myśli: "Nadzwyczajne... extraordinaire... un miracle... incroyable... niewiarygodne..... zachwycające... królowa w każdym calu..." Nieustannie porównywano "Normandie" do innych statków, aczkolwiek trudno tu mówić o porównaniu. Była jedyna w swoim rodzaju. "Normandie". Unikatowe dzieło sztuki.

Klejnot floty francuskiej.

- Może sprawdzimy, czy Jacques już dotarł? - zaproponował Armand, gdy zbliżali się do swojego apartamentu.

Liane poczuła lekkie ukłucie w sercu. Nie chciała jeszcze widzieć Jacques'a, nie chciała go tutaj widzieć wcale, pragnęła Armanda tylko dla siebie, pragnęła dzielić tę podróż tylko z nim. Było jej niemal przykro, że towarzyszą im dziewczęta. Jakże cudownie byłoby spędzić pięć dni tylko we dwoje!

- Jak sobie życzysz, Armandzie - odparła posłusznie, wiedząc, jak bardzo Armandowi potrzebny jest Jacques. Byłoby znacznie przyjemniej, gdyby w czasie tej podróży nie musieli wcale pracować, ale takie właśnie było życie Armanda. Odpowiedzialność ponad wszystko.

Zatrzymali się i zapukali do drzwi, a kiedy nie usłyszeli odpowiedzi, Liane odetchnęła z ulgą. Podszedł do nich natomiast steward.

- Czy szuka pan monsieur Perriera, panie ambasadorze? - zapytał.

- Tak.

- Jest z przyjaciółmi w kawiarni. Czy wskazać państwu drogę?

- Nie, dziękujemy. Trafimy sami - odparł Armand z uśmiechem. - Będzie na to wiele czasu, kiedy wypłyniemy. - Wystarczała mu pewność, że jego sekretarz jest już na pokładzie. Nie miał podstaw, by przypuszczać, że mogłoby być inaczej, ale wołał się upewnić.

W związku z przeniesieniem do Francji musiał jeszcze sporządzić kilka ważnych memorandów. - Dziękuję.

- Ależ drobiazg. Będę państwa stewardem w czasie podróży. Nazywam się Jean-Yves Herrick. - Ze sposobu, w jaki mężczyzna wymówił swoje nazwisko, Armand odgadł, iż pochodzi z Bretanii.

- W apartamencie znajdują państwo list od kapitana Thoreau.

- Jeszcze raz dziękuję.

Weszli do swojego salonu, gdzie obok kosza z kwiatami, stojącego na fortepianie, i dwóch koszy owoców od waszyngtońskich przyjaciół rzeczywiście znaleźli krótki list, w którym kapitan zapraszał ich na mostek, skąd mogliby obserwować wypływanie statku z portu. Był to rzadki przywilej, który sprawił Liane niemałą satysfakcję.

- Jak myślisz, możemy wziąć aparat fotograficzny?

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby to być niemożliwe. Chcesz przed wyjściem zajrzeć do dziewcząt?

Zamiast dziewczynek znaleźli jednak tylko kartkę od ich opiekunki, z której dowiedzieli się, że Marie-Ange i Elisabeth chciały zobaczyć psiarnię i kort tenisowy na górnym pokładzie. Liane pokiwała głową, rozumiejąc doskonale ich zapał i niecierpliwość, po czym podążyła za Armandem.

Mostek, jak się przekonali, znajdował się dokładnie nad ogrodem zimowym, który tak bezgranicznie zachwyił Liane. Przed sterówką, powstrzymując

ciekawskich od wtargnięcia do wnętrza, pełniło wartę dwóch oficerów, którym Armand wręczył liścik od kapitana Thoreau. Zostali wprowadzeni do środka i przedstawieni dowódcy statku. Był szczupłym siwowłosym mężczyzną, którego głęboko osadzone błękitne oczy okalała siateczka zmarszczek. Uroczyście powitał Armanda i Liane na pokładzie, oni zaś wyrazili swój podziw dla "Normandie".

- Jesteśmy z niej bardzo dumni - odparł rozpromieniony. "Normandie" zdobyła właśnie po raz kolejny Błękitną Wstęgę, a był to zaledwie jeden z wielu dowodów świadczących o jej świetności. Wszak w równej mierze słynęła ze swej urody.

- Jest piękniejsza niż mogliśmy sobie wyobrazić. Niezwykły statek.

Armand rozejrzył się po mostku, na którym panował idealny porządek. Wnętrze przypominało mechanizm szwajcarskiego zegarka: wszystko było nieskazitelne, wyciszone, w doskonałym ładzie. Na wielkim stole rozłożono mapy, z okien rozpościerał się doskonały widok. Pośrodku sterówki znajdowało się coś w rodzaju podwyższenia, z którego kapitan i pierwszy oficer kierowali manewrami. "Normandie" od lat cieszyła się sławą statku najbardziej stabilnego. Początkowo wspomniano o jakichś nieprzyjemnych wibracjach, ale i ten problem został już wyeliminowany. Pod każdym względem "Normandie" przekroczyła najśmielsze oczekiwania swoich budowniczych.

Z zacisznego kąta, w którym nie mogli nikomu przeszkodzić, Liane i Armand obserwowali, jak w asyście holowników statek odbija od nabrzeża, obraca się powoli w kierunku wschodnim i w końcu kieruje dziób w stronę Francji. Na koniec port nowojorski zniknął w oddali i znaleźli się na otwartym morzu. Armand był pełen podziwu dla zwrotności statku i płynności działań załogi kapitana Thoreau.

- Mam nadzieję, że będą państwo mieli przyjemną podróż.

- Thoreau ponownie uśmiechnął się do Liane. - Byłoby dla mnie wielkim zaszczytem, gdyby przyjęli państwo moje zaproszenie na dzisiejszą kolację. Gościmy na statku kilka niezmiernie interesujących osób. Jak zwykle zresztą. - Zbyt szczycił się swoim statkiem, żeby nie okazać tej odrobiny pychy, w pełni zresztą uzasadnionej.

Armand przyjął zaproszenie z przyjemnością, a zarazem zaciekawieniem - kto jeszcze jest na pokładzie i kogo spotkają przy kapitańskim stole? Miał nadzieję, że Liane trochę się rozerwie, zawrze nowe przyjaźnie, znajdzie kogoś, kto będzie mógł ją zabawić, kiedy on zajmie się pracą z Perrierem. Podziękowawszy raz jeszcze kapitanowi, wrócili do apartamentu.

Dochodziła już piętnasta; Armand zasugerował, żeby zamówili jakieś kanapki i herbatę. Kiedy Liane wyciągnęła się na wielkim, wygodnym łożu obitym błękitnym aksamitem, Armand odczytał jej menu, ona zaś uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli będę tyle jadała, nie zdołasz mnie stoczyć na francuski brzeg.

- Możesz sobie pozwolić na dorzucenie funta albo dwóch - pocieszył ją Armand. Miała tendencję do nadmiernej szczupłości, lecz - taką właśnie ją lubił: wysoką, smukłą, elegancką. Było w niej coś dziewczęcego, coś, co przywodziło mu na myśl młodą klacz. Teraz zdjęła sukienkę, ukazując ciało obleczone w atlas i koronki. Powoli odłożył menu, wstał i ruszył w jej stronę, całkowicie zmieniając plany, gdy nagle rozległ się dzwonek. Armand zawahał się, Liane zaś westchnęła.

- Zaraz wracam - rzekł Armand.

Zanim zza drzwi dobiegł głos Jacques'a Perriera, Liane wiedziała, że niespodziewanym gościem może być tylko on, zawsze skrupulatny i

obowiązkowy. Znała go dobrze - uczciwa twarz, okulary w rogowej oprawie, nieskazitelne ciemne garnitury i zawsze po brzegi wypełniona teczka. Dzięki idealnemu sekretarzowi miesiąc miodowy de Villiersów dobiegł końca, zanim zdołał się na dobre rozpocząć. Liane słyszała teraz, jak konferują w przedpokoju, a po chwili w drzwiach sypialni pojawił się jej mąż.

- Poszedł już sobie? - Liane usiadła na łóżku. Wciąż była w białym i pończochach.

- Nie... Przepraszam, Liane... Tuż przed wyjazdem nadeszły depeche... Muszę... To będzie naprawdę jedna chwilka... - zająknął się, usiłując wyczytać coś z jej oczu, lecz Liane uśmiechnęła się tylko.

- W porządku, rozumiem. Będziecie pracować tutaj?

- Nie, pójdziemy do Jacques'a. Zamów coś do jedzenia, wracam za pół godziny. - Podeszedł, pocałował ją w usta i zniknął z duszą wypełnioną powinnościami wobec Francji.

Liane ponownie zajrzała do menu, ale nie miała ochoty na jedzenie, pragnęła Armanda, więcej jego czasu, którego zawsze niewiele jej poświęcał. Leżąc na łóżku, rozluźniła się wsłuchana w cichy szept statku, który ukołysał ją do snu. Śniła o Armandzie i o plaży gdzieś na południu Francji. Próbowwała dotrzeć do męża, lecz drogę zamykał jej srogi i nieustępliwy wartownik. Miał twarz Jacques'a Perriera.

Spała przez dwie godziny, w tym czasie zaś Marie-Ange i Elisabeth wyciągnęły guwernantkę nad basen.

W apartamencie Deauville Hillary Burnham z rozpaczą spoglądała na wyłożony drewnem barek. Były tu galony szampana, nie mogła natomiast znaleźć ani jednej butelki szkockiej.

- Do diabła z tym barkiem! Ci parszywi Francuzi potrafią myśleć tylko o swoim pieprzonym wińsku. - Odwróciła się i wbiła w męża wściekłe spojrzenie. Jej czarne oczy lśniły jak onyks, jedwabiste czarne włosy spływały na przepiękną sukienkę z białej krepy.

Wszedłszy do apartamentu, rzuciła kapelusz na krzesło, nie zwracając najmniejszej uwagi na wystrój wnętrza, i zaraz poleciała służącej, aby zaczęła rozpakowywać kufry i przygotowała jej na wieczór czarną atlasową suknię z amarantową górą.

- Czy nie chciałabyś się trochę rozejrzeć, Hill, zanim wypijesz drinka?

Nick patrzył, jak jego żona odchodzi od barku, kręcąc głową i przypominając mu, podobnie jak przed laty, uparte i rozpaczliwie nieszczęśliwe dziecko. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego jest właśnie taka. Można było mówić sobie, że została zepsuta już w dzieciństwie, że małżeństwo drażni ją bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę, że jest rozczarowana życiem, nie sposób było jednak dociec przyczyny tego stanu rzeczy. Za ostrym językiem i grubiańskimi słowami wciąż kryła się piękna dziewczyna, na której widok miękkły męskie nogi. Nick ze smutkiem uświadomił sobie, że jemu się nigdy nie udało doprowadzić żony do podobnego stanu. Przed wyjazdem raz czy drugi wmawiał sobie, że w czasie tej podróży będzie miał do czynienia z inną Hillary, że oddalona od przyjaciół i wiru szalonego życia znów stanie się dziewczyną, którą kiedyś poznał. Była to jednak głupia myśl, z czego teraz doskonale zdawał sobie sprawę. Ostatniej nocy w swojej garderobie odbyła kilka rozmów telefonicznych, a o jedenastej wieczorem wyszła na parę godzin. Nie pytał dokąd. Nie miało to już w tej chwili większego znaczenia. Wyjeżdżali na rok i był pewien, że Hillary zostawi za sobą wszystko, co łączy się z Nowym Jorkiem.

Masz ochotę na odrobinę szampana? - spytał głosem uprzejmym, choć nie tak ciepłym jak chwilę wcześniej.

- Nie, dzięki. Chyba zajrzę do baru. - Popatrzywszy na plan statku stwierdziła, że jeden z barów znajduje się dokładnie pod ich apartamentem. Pospiesznie przeciągnęła szminką po wargach i skierowała się ku drzwiom.

Johnny stał z piastunką na ich prywatnym tarasie i z podnieceniem obserwował oddalającą się linię budynków Nowego Jorku. Nick zawahał się, ale szybko podjął decyzję i podążył za żoną. To był dobry moment i dobre miejsce, żeby coś zmienić w rutynie codzienności, poza tym chciał mieć Hillary na oku. Cokolwiek robiła w Nowym Jorku, nie chciał, aby kontynuowała to w ciągu nadchodzącego roku. Środowisko amerykańskie w Paryżu nie było zbyt duże i nie życzył sobie tam żadnego skandalu wywołanego przez żonę. A gdyby miało ją nosić tak samo jak przez dziewięć minionych lat, on będzie po prostu ciągnąć się za nią krok w krok.

- Dokąd idziesz? - spytała spoglądając nań przez ramię z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Pomyślałem, że pójdę z tobą do baru - odparł Nick całkowicie beznamiętnie. Ich spojrzenia spotkały się i zwarły na chwilę. - Czy masz coś przeciwko temu?

- Ależ skąd.

Rozmawiali ze sobą jak zupełnie obcy ludzie.

Chwilę później Nick w ślad za żoną zszedł do holu. Hillary podążyła do restauracji na pokładzie głównym, gdzie bufet działał całą dobę. Była to olbrzymia przestronna sala, z której okien rozciągał się widok na promenadę pierwszej klasy. Kiedy statek wychodził w morze, zgromadziło się tam wielu pasażerów. Teraz parami i w małych grupkach napływali do baru perorując z ożywieniem, rozgorączkowani, podnieceni podróżą. Tylko Burnhamowie zdawali się trwać w absolutnym milczeniu, takie przynajmniej wrażenie odniósł Nick, kiedy obserwował ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach.

Czuł się z tym obopólnym milczeniem niezręcznie, ale uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy są już sobie zupełnie obcy, że właściwie przestali się znać. Wiedział o Hillary jedynie to, iż nieustannie chodzi na przyjęcia, kupuje nowe stroje i kiedy tylko może, ucieka do Newport lub do Bostonu. To, że siedzieli tu razem, było naprawdę dość niecodzienne, a kiedy zamówiła szkocką z wodą sodową, przyszło mu nagle do głowy, iż Hillary czuje się w jego towarzystwie jak osaczona. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, o czym mogliby rozmawiać. Cóż bowiem można powiedzieć kobiecie, która unika męża przez prawie dziewięć lat? "Cześć, co słyszeć ... "

"Cześć, mam na imię...?"

Uśmiechnął się do swoich absurdalnych myśli, a kiedy podniósł wzrok, spostrzegł, że Hillary wpatruje się weń z mieszaniną zaciekawienia i podejrzliwości.

- Co cię tak rozbawiło, Nick?

Miał zamiar powiedzieć coś uspokajającego i wymijającego, ale po chwili zdecydował inaczej.

- My. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mieliśmy okazję siedzieć przy stole tylko we dwoje, nie spiesząc się donikąd, nie mając zamiaru nigdzie pójść. I to jest zabawne, ot co... Zastanawiałem się, co mógłbym ci powiedzieć.

Bardzo łatwo było wprawić ją we wściekłość, a na to naprawdę nie miał najmniejszej ochoty. Żywił niejaką nadzieję, że zdołają znowu się zaprzyjaźnić. Może ten rok w Paryżu wyjdzie im na dobre? Może bez tego

bostońskiego towarzystewka, do którego mogłaby umknąć, Hillary podejmie jakiś wysiłek? Uśmiechnął się znowu na tę myśl i przykrył ręką jej piękną wysmukłą dłoń, czując pod palcami dziesięciokaratowy diament, który jej sprezentował. Na początku kupował Hillary mnóstwo biżuterii, ale z rzadka przyjmowała klejnoty z taką przyjemnością, z jaką on je dawał, tak że w ostatnich latach podarunki stały się rzadkością. Nick wiedział jednak, że jego żona dostaje prezenty od innych, na przykład kurtkę z lisów, wielką szmaragdową broszkę, którą często nosiła, jak gdyby zamierzała rzucić mu ją w twarz... niczym wyzwanie... Pierścień z rubinem...

Z wysiłkiem oderwał uwagę od tych myśli. Nikomu nie wyjdą teraz na dobre. Spojrzał w ogromne czarne oczy żony i uśmiechnął się do niej.

- Witaj, Hillary. Miło cię tu widzieć.

- Naprawdę? - Gniew zdawał się odpływać, wyparty przez jakiś nieokreślony smutek. - Nie wiem, dlaczego miałoby ci być miło, Nick. Nienadzwyczajna ze mnie żona. - W jej głosie nie brzmiał ton przepraszaający; po prostu lekki akcent goryczy.

- W ciągu ostatnich lat staliśmy się sobie zupełnie obcy, Hil, ale przecież tak nie musi być zawsze.

- Zawsze tak było, Nick. Jestem teraz dorosła, a wcześniej mnie prawie nie znałeś, ja też, prawdę mówiąc, nie potrafię sobie przypomnieć, jaki ty właściwie byłeś. Mam odległe wspomnienia przyjęć, na których bywaliśmy dawno temu, mgliście pamiętam, jaki byłeś przystojny, podniecający... Teraz patrzę na ciebie, a ty wciąż wyglądasz tak samo... - jej oczy rozblęły i Hillary odwróciła wzrok - ale nie jesteś taki sam.

- Czy aż tak bardzo się zmieniłem? - Nick też sprawiał wrażenie zasmuconego. Powinni sobie byli powiedzieć to już dawno temu, lecz nigdy tego nie uczynili. I oto nagle tu, w barze na statku, który właśnie wypłynął z portu, zaczęli otwierać przed sobą serca. - Czy tak bardzo się różnię od tego Nicka, którego poznałaś, Hil?

Skinęła głową z oczyma pełnymi łez i znowu podniosła na niego wzrok.

- Tak, bo jesteś moim mężem.

Wyrzuciła to z siebie jak przekleństwo albo obelgę, równocześnie Nick dostrzegł znajomy niepokój w ruchu jej ramion i drgnieniu ciała, jakby chciała zerwać się do ucieczki.

- Czy to naprawdę aż tak źle?

- Myślę... - Niemal zakrzuszyła się tymi słowami, ale postanowiła wyrzucić z siebie wszystko. Nie zaszkodzi, jeżeli Nick się dowie, co ona czuje. Niby czemu nie? - Myślę, że dla mnie tak. Nie jestem stworzona do małżeństwa, Nick - rzekła niemal skruszona, jak na spowiedzi. Zniknęła gdzieś gorycz, Hillary znów wyglądała jak piękna panna debiutująca w towarzystwie. Panna, którą Nick "zgwalił", jak to ujęła pewnego razu, "zapłodnił", "porwał z domu" i "zmusił do małżeństwa". Już dawno temu napisała ten scenariusz, nauczyła się go na pamięć i święcie wierzyła w każde jego słowo. Podejmowanie z nią dyskusji nie miało sensu, jak też nie miało sensu przypominanie jej, że pragnęła pójść z nim do łóżka, że jej cięża była nie tylko jego winą, że to on czynił wszystko, aby ich związek się nie rozpadł, ona zaś nie chciała nawet podjąć takiej próby. - Czuję się... czuję się tak zaszczuta w tym małżeństwie, jakbym była ptakiem, który nie jest zdolny wzbić się w powietrze i może tylko trzepotać skrzydłami, podskakiwać na ziemi, wyśmiewany przez swoich przyjaciół. Przez to... - zawahała się - przez to wydaję się sobie szpetna... mam takie wrażenie, jakbym była kimś zupełnie innym niż niegdyś.

- Jesteś piękniejsza niż niegdyś - powiedział Nick patrząc jej w oczy, delektując się kremową cerą, jedwabistymi włosami, delikatnym zarysem ramion. W Hillary Burnham nie było nic szpetnego, wyjąwszy może chwilę, kiedy źle się prowadziła, ale nie o tym teraz mówił. - Wyrosłaś na niezwykle piękną kobietę, w czym zresztą nic zaskakującego, skoro byłaś niezwykle piękną dziewczyną.

- Ale nie jestem już dziewczyną, Nick. Nie jestem nawet kobietą... - urwała, jak gdyby szukając słów. - Nie masz pojęcia, co czuje kobieta, kiedy jest zamężna. To tak, jak gdybyś stawał się czyjąś własnością, czyjąś rzeczą, jakby nikt nie mógł zobaczyć w tobie siebie samego.

Taka myśl nigdy dotąd Nickowi nie przyszła do głowy, a i teraz wydawała mu się odrobinę irracjonalna. Czy właśnie o to kłóciła się z nim przez te wszystkie lata? Czy dlatego nawiązywała kolejne romanse? Czy toczyła walkę o to, aby stać się osobą w pełni autonomiczną, być kimś mającym własne istnienie? Była to dla niego myśl całkowicie nowa.

- Nie myślę o tobie w kategoriach własności. Myślę o tobie jako o swojej żonie.

- A cóż to znaczy? - Po raz pierwszy od pół godziny w jej głosie znów pojawił się gniew i Hillary gestem poprosiła przechodzącego kelnera o następną szkocką. - "Moja żona." To brzmi jak moje krzesło, mój stół, mój samochód. Moja żona. I co z tego? Kim przy tobie jestem? Jestem panią Nicholasową Burnham. Rany boskie, nie mam nawet własnego imienia. Matka Johnny'ego... To jak status czyjegoś psa. Chcę być sobą, chcę być Hillary.

- Tylko Hillary? - rzekł patrząc na nią ze smutnym uśmiechem.

- Tylko Hillary. - Odpowiedziała mu przeciągłym spojrzeniem i upiła łyk szkockiej.

- Czy tym właśnie jesteś dla swoich przyjaciół, Hil?

- Dla niektórych. A przynajmniej dla ludzi, których głównie obchodzi, kim ty jesteś. Rzygać mi się chce od tego słuchania o Nicku Burnhamie. Nick Burnham to, Nick Burnham tamto... O! Musi pani być panią Nicholasową Burnham... Żoną Nicka Burnhama... Nick Burnham... Nick Burnham... Nick Burnham!!! - podniosła głos.

Nick usiłował uciszyć ją gestem. - Nie każ mi milczeć, do jasnej cholery! Nie masz pojęcia, jak to jest. - Jakże przyjemnie było stawić mu wreszcie czoło! To było coś zupełnie nowego w ich biegnącym oddzielnymi torami życiu. Może on wreszcie zrozumie, co się kryje za jej drapieżną niezależnością. Zabawne jednak, że to wszystko, czego teraz tak nienawidziła, kiedyś przyciągnęło ją do niego jak magnes; podobało się jej, że jest Nicholasową Burnham, z całą powagą traktowała ciężar, jaki ze sobą to niosło. - I powiem ci coś jeszcze. W Bostonie wszyscy dokładnie chrzanią to, kim jesteś, Nick. - Nie było to do końca prawdą i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale kiedy wyrzuciła to z siebie, poczuła się dużo lepiej. - Mam tam własnych przyjaciół, jeszcze z czasów, zanim cię poślubiłam.

Nick dotąd nie uświadamiał sobie, iż ta kwestia jest dla niej tak rozpaczliwie ważna. Zastanowił się nagle, czy coś mogłoby jej brzemię uczynić lżejszym. I właśnie kiedy ta myśl przeszła mu przez głowę, zbliżył się do nich steward.

- Pan Burnham?

- Tak? - Natychmiast pomyślał, że Johnowi coś się stało.

- Mam dla pana wiadomość od kapitana.

Nick zerknął na Hillary, dostrzegł jej roziskrzone spojrzenie i nagle

pojął coś, co nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, a czego w ciągu minionej godziny mu nie powiedziała. Była o niego zazdrosna.

- Dziękuję.

Wziął kopertę ze złotym paskiem, a kiedy steward się oddalił, Nick wyjął ozdobny arkusik i odczytał zaproszenie: "Kapitan Thoreau ma zaszczyt zaprosić państwa na kolację w Wielkiej Jadalni o 8 wieczorem." Było to tak zwane drugie przyjęcie; pierwsze odbywało się o dziewiętnastej.

- I co, Nick? Już ci włożą w dupę? - Hillary dopiła drugiego drinka; oczy jej błyszczały, ale tym razem nie od łez.

- Przestań, Hil, proszę. - Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś ją słyszał. Myśl o tym, że ktokolwiek mógłby mu się podlizywać, wydała się Nickowi żenująca. Trudno było jednak ukryć, że jest kimś, człowiekiem liczącym się w pewnych sferach, co nieuchronnie prowadziło do zainteresowania jego osobą. Wagę swojej pozycji znosił dobrze, jakkolwiek niekiedy z przesadną pokorą, w związku z czym niechęć jego żony była tym bardziej nedorzeczna. Był ostatnim człowiekiem, który mógłby jej o swojej pozycji przypominać, ale z innych ust słyszała o niej aż nazbyt często. - Kapitan zaprasza nas na kolację.

- Dlaczego? Chcą, żebyś kupił ten statek? Słyszałam, że nazywają tę łajbę pływającym długiem Francji.

- Jeśli nawet tak jest, to równocześnie statek jest piękny i wart każdych pieniędzy - odparł Nick. Już dawno nauczył się nie odpowiadać wprost na jej pytania, jeśli była w takim nastroju jak dziś; bezpośrednia odpowiedź tylko wzmagala jej gniew. - Zaproszenie jest na ósmą. Chciałabyś zjeść coś tutaj czy wolisz przejść na podwieczorek do salonu?

- Nie jestem głodna.

Zauważył, że wzrokiem prosi kelnera o następnego drinka, pokręcił jednak głową i kelner zniknął.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Nick - syknęła. Przez całe życie tak właśnie wszyscy ją traktowali: matka, ojciec, guwernantka, Nick. Jedynymi, którzy się z tego wyłamywali, byli mężczyźni w rodzaju Ryana Hallowaya czy Philipa Markhama. Ci postrzegali w niej kobietę. - Jestem już dorosła.

Jeśli mam ochotę na następnego drinka, to go dostanę.

- Dostaniesz, ale choroby morskiej, jeśli będziesz za dużo piła.

Ten jeden raz nie podjęła z nim kłótni. Wyjęła złotą puderniczkę z diamentową klamerką, a kiedy Nick podpisywał rachunek, musnęła usta jaskrawoczerwoną szminką. Była jedną z tych kobiet, które stosunkowo niedużym wysiłkiem sprawiają, że dosłownie wszędzie w ich stronę kierują się wszystkie głowy; tak właśnie się stało, gdy wychodzili na promenadę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nowy Jork już dawno zniknął za horyzontem. "Normandie" płynęła do Europy z prędkością trzydziestu węzłów.

Ramię w ramię stali w milczeniu przy relingu. Nick rozmyślał o tym, co usłyszał od Hillary. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jaką niechęć budzi w niej status "żony męża", przynajmniej z jednego z wymienionych przez nią powodów. Chciała być kobietą niezależną, niezależną od jakiegokolwiek mężczyzny. Może miała słuszość - może nie powinna była wychodzić za męża, tyle że na takie refleksje było w tej chwili już za późno. On jej nigdy nie uwolni, bo nigdy nie zrezygnuje z Johnny'ego. Spojrzał na nią i przez moment zapragnął otoczyć ją ramieniem, wyczuł jednak, że nie byłby to właściwy gest, toteż westchnął tylko cicho.

Westchnienie utonęło w lekkim poszumie wiatru.

Obok nich niespiesznie przesuwali się inne pary. Pragnął takiej przyjaźni



i odprężenia, których mógłby doznawać w towarzystwie żony, lecz coś takiego nigdy między nimi nie istniało. Był seks, namiętność, oczarowanie, kpiny, przynajmniej w początkach, nie zaznał natomiast spokoju, który narasta pomiędzy dwojgiem ludzi znajdujących przyjemność w swoim towarzystwie. Stawiał nawet znak zapytania przy tym, czy kiedykolwiek łączyła ich miłość, czy też tylko łóżko.

- O czym myślisz, Nick?

Było to tak dziwne dla niej pytanie, że odwrócił ku Hillary głowę i rozchylił usta w uśmiechu.

- O nas. O tym, co mamy, a czego nie.

Nick wiedział, że to niebezpieczne słowa, ale w tej chwili czuł, iż może się zdobyć na odrobinę zuchwałości. Wiatr smagał jego twarz, a on doświadczał uczucia osobliwego wyzwolenia. Był to ten rodzaj magii, który ponoć istnieje na statkach, gdzie człowiek czuje się tak, jakby tkwił w odrębnym, samoistnym świecie. Reguły normalnego życia, tak skrzętnie gdzie indziej przestrzegane, tu zdawały się nie obowiązywać.

- A czy my cokolwiek mamy, Nick?

- Sam często tracę co do tego pewność. - Westchnął i oparł się o balustradę. - Wiem, co mieliśmy na początku.

- Początek nie był prawdziwy.

- Początek nigdy nie jest prawdziwy. Nasz był po prostu taki jak inne. Bardzo cię kochałem, Hill.

- A teraz? - Wpiła się w niego spojrzeniem.

- Wciąż cię Kocham. - Dlaczego? zastanowił się. Dlaczego? Może z powodu Johna.

- Mimo tego wszystkiego, co ci zrobiłam? - spytała, uczciwie stawiając kwestię swoich grzechów, a przynajmniej niektórych z nich. Podobnie jak Nick czuła się teraz dziwnie wolna, szczególnie po dwóch szklankach szkockiej.

- Tak.

- Jesteś dzielnym człowiekiem - powiedziała otwarcie i szczerze, choć nie dodała, że go kocha. Aby to powiedzieć, musiałaby się całkowicie obnażyć, przyznać, iż należy do niego, a tego nie miała zamiaru uczynić. Potrząsnęła głową, aż włosy się jej rozsypały na wietrze, i powędrowała wzrokiem ku morzu. Nie patrząc na Nicka, jakby nie chciała zranić go jeszcze bardziej, zapytała: - Co twoim zdaniem powinnam włożyć na tę kolację?

- Co chcesz. - W jego głosie nagle zabrzmiało znużenie i smutek. Tamten moment pierzchł, aczkolwiek Nick wciąż miał ochotę zapytać Hillary, czy go kocha. Może zresztą nie miało to już żadnego znaczenia, może miała słuszność? Byli małżeństwem, należała do niego, był jej właścicielem... Wiedział jednak, iż w odniesieniu do Hillary wrażenie posiadania byłoby czystą ułudą. - Mężczyzn obowiązują fraki, więc sądzę, że powinnaś włożyć coś oficjalnego.

Wiedziała, że w takim wypadku czarno-amarantowy atlasowy strój będzie zupełnie nieodpowiedni, toteż kiedy wracali do apartamentu, w duchu dokonywała przeglądu kreacji. Zdecydowała się w końcu na delikatną jasnofioletową suknię z atlasu.

Znalazłszy się w apartamencie, Nick zajrzał do pokoju syna, ale ten najwyraźniej wciąż jeszcze zwiedzał statek. Nick pożałował nagle, że sam nie zajął się chłopcem.

Kiedy wrócił z pokoju Johna, pochwycił na sobie spojrzenie Hillary. Zdjęła sukienkę i stała przed nim w satynowej bieliźnie, piękniejsza niż

kiedykolwiek. Była jedną z tych kobiet, które budzą w mężczyznach nieopanowane pożądanie. Nie myślał o niej w ten sposób, kiedy miała osiemnaście lat, lecz dopiero teraz. I to często.

- Dobry Boże, powinieneś zobaczyć swoją twarz. - Kiedy Nick się do niej zbliżał, wybuchnęła swoim gardłowym śmiechem. - Zdecydowanie wyglądasz na mężczyznę rozpustnego, Nicku Burnham.

Nie wydawało się jednak, żeby jej to nie odpowiadało. Stała bez ruchu, ramiączko halki zsunęło się jej i Nick zauważył, że nie ma na sobie stanika. Każdy cał jej ciała rzucał mu wyzwania.

- Więc nie stój tu wyglądając tak, jak wyglądasz, Hil, chyba że chcesz popaść w poważne tarapaty.

- Tarapaty? Jakiego rodzaju? - dopytywała się kokieteryjnie.

Nick stanął tuż przy niej, czując ciepło jej ciała. Nie wdawał się dłużej w gierki słowne; przycisnął wargi do jej ust, nie zastanawiając się nawet, czy zostanie odepchnięty. Z nią nigdy nic nie było wiadomo, wszystko zależało od tego, jak wiele akurat znaczył dla niej ten czy ów kochanek. Tyle że teraz nie było żadnego kochanka, znajdowała się na statku, daleko od lądu, rzucona pomiędzy dwa światy, wyciągnęła więc ramiona do męża, który bez dalszych ceregieli przytulił ją, poprowadził do sypialni, a potem ułożył na posłaniu, zdzierając satynową bieliznę. Jego usta, jak usta człowieka umierającego z pragnienia, łapczywie przywarły do jej ciała. Oddała mu się z namiętnością mgliście pamiętaną z przeszłości, teraz doprawioną zdobytym przez lata doświadczeniem. Nick jednak nie zadawał pytań, ogarnięty bezgranicznym, zda się, zaborczym pożądaniem. Ich ciała złączyły się w miłosnych zmaganiach, aż na koniec wyczerpani legli obok siebie.

Przyglądał się jej później, kiedy już zasnęła, i pojął prawdę słów wypowiedzianych godzinę wcześniej. Była jego żoną, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, ale nigdy nie będzie jej posiadał na własność. Nie będzie jej posiadał żaden mężczyzna. Hillary była, jest i będzie panią samej siebie. Zawsze. I zawsze pozostanie poza zasięgiem czyjejkolwiek władzy.

Kiedy przyglądał się jej, uśpionej w jego ramionach, pojął z gorzko-słodkim smutkiem, iż zawsze pożądał czegoś, co nieosiągalne. Była jak dzikie zwierzę, które człowiek daremnie pragnie za wszelką cenę ujarzmić, posiadać na własność.

## Rozdział piąty

Każda bez wyjątku dama, przybywająca na oczach gapiów do jadalni, przynosiła swoją osobą szczyt towarzyszącemu jej mężczyźnie. Wszystkie panie miały doskonałe fryzury i makijaże, wytworne toalety przeważnie od paryskich stylistów, z blaskiem ich klejnotów zaś mogły konkurować jedynie jaskrawe światła sali, odbite w szklanych ścianach sześćdziesiąt stóp dłuższych aniżeli Sala Lustrzana w Wersalu. Pomieszczenie o wysokości trzech pokładów zdawało się wypełnione po brzegi rubinowymi taftami, szafirowymi aksamitami i szmaragdowymi atłasami, a także tu i ówdzie złotem.

Liane wyglądała wspaniale w czarnej kreacji z tafty od Balanciagi, kiedy jednak na schodach pojawiła się Hillary Burnham, wszystkie oczy spoczęły na

sylwetce opiętej jasnofioletowym atłasem. Suknia podkreślała jej kształty w taki sposób, że wszyscy łącznie z kapitanem wstrzymali oddech. Na szyi Hillary miała sznur ogromnych pereł, nie one wszakże przykuwały uwagę, lecz kruczoczarne włosy, alabastrowa skóra, lśniące oczy, a także cała postać pięknej kobiety, która kołysząc biodrami podeszła niespiesznie do kapitańskiego stołu.

Stół ustawiono dokładnie na wprost symbolizującego pokój ogromnego posągu z brązu, który jakkolwiek wznosił się ponad głowy wszystkich obecnych, zmalął nagle, kiedy do stołu zbliżyli się Burnhamowie. Nick, postępujący krok za żoną, ubrany był w nieskazitelny frak i koszulę z wykrochmalonym gorse, zdobioną guzami z macicy perłowej i diamentów. Hillary też miała na sobie diamenty - kolczyki, które wyzierając spoza jedwabistej czerni włosów, rozniecały w jej oczach migoczące światełka.

- Dobry wieczór, kapitanie. - Jej głos, głęboki i gardłowy, sprawił, że wszyscy mimowolnie zamilkli. Kapitan Thoreau wstał, skłonił głowę w precyzyjnym ukłonie i ucałował dłoń Hillary.

- Madame... witam panią... Oto madame Nicholasowa Burnham - przedstawił ją pozostałym biesiadnikom, po czym dokonał prezentacji Nicka.

Wyjawszy Liane, wszyscy goście zgromadzeni przy kapitańskim stole byli starsi niż Burnhamowie. Większość z nich należała do tego samego pokolenia co kapitan i Armand. Panie były eleganckie i ubrane doskonale, aczkolwiek z lekką przesadą, co dotyczyło również klejnotów. Można było odnieść wrażenie, iż ilością i blaskiem biżuterii starają się odwrócić uwagę ewentualnych obserwatorów od nadmiernej tuszy. Kiedy jednak pojawiła się Hillary, przestano po prostu na nie patrzeć. Wszystkie męskie oczy wbiły się w Hillary i jej suknię, która zdawała się opływać ją jak woda. Z przodu niemal ascetyczna w kroju, z tyłu miała dekolt kończący się poniżej pasa i ukazujący smakowite ciało.

Hillary zdawkowo przywitała obecnych, nie próbując nawet zapamiętać ich nazwisk. Spojrzeniem obdarzyła jedynie Armanda, który tego wieczoru prezentował się wyjątkowo efektownie. Nie podjęła również rozmowy z Liane, chociaż siedziały naprzeciwko siebie. Nick za to czynił zdwojone wysiłki, aby nadrobić zaniedbanie żony, konwersując uprzejmie z dwiema starszymi damami, siedzącymi po jego lewej i prawej stronie, oraz starszym panem, jak się okazało - angielskim lordem.

Liane zauważyła, że Nick często spogląda na żonę, nie tyle dając wyraz uczuciu - jak w czasie kolacji niejednokrotnie czynił Armand - lecz jakby kontrolując jej poczynania. Nie starał się podsłuchać, co mówi Hillary, wyglądało jednak na to, że nie ufa żonie. Pomiędzy serami a sufletem Grand Marinier Liane zaczęła odgadywać powody takiego stanu rzeczy. Hillary rozmawiała ze starszawym włoskim księciem, siedzącym po jej lewej stronie, i oświadczyła mu właśnie, iż dla niej Rzym jest bezgranicznie nudny, ale czyniąc tę uwagę uśmiechnęła się uwodzicielsko, jak gdyby pragnęła zaintrygować rozmówcę; potem przeniosła wzrok na Armanda.

- Rozumiem, że jest pan ambasadorem. - Spojrzała na Liane, wyraźnie zastanawiając się, czy to jego córka, czy też żona. - Podróżuje pan z rodziną?

- Tak, z żoną i córkami. Mąż pani natomiast mówił, że państwo podróżujecie z synem. Może poznalibyśmy ze sobą dzieci? Pobawiłyby się razem.

Hillary skinęła głową, choć sprawiała wrażenie nieco poirytowanej. Dziecięce zabawy nie leżały raczej w polu jej zainteresowań. Tego wieczoru

miała w sobie coś drapieżnego; była kobietą poszukującą ofiary, a skoro dysponowała takim ciałem i twarzą, znalezienie owej ofiary nie powinno być trudne. Liane rozbawił uprzejmy sposób, w jaki Armand zgasił Hillary. Nigdy się o niego nie niepokoiła, albowiem jedyną osobą, która niekiedy zabierała jej męża, był Jacques Perrier. Jak się okazało, musieli przepracować całe popołudnie i Armand wrócił do apartamentu w ostatniej chwili, żeby się wykapać i przebrać. Do takich sytuacji Liane już dawno przywykła.

- Być może - powiedziała z udawaną groźbą, kiedy napuściwszy wody do wanny, podała mu kieliszek Kir Royal - będę musiała wyrzucić Jacques'a za burzę.

Armand roześmiał się, dziękując Bogu za wyrozumiałość żony. Ale nie widział jej kilka chwil wcześniej, gdy stojąc na pokładzie, spoglądała na morze z wyrazem smutku na twarzy. Tęskniła za dawno minionymi dniami, kiedy Armand zajmował nie tak znaczące stanowiska i potoki memorandumów i depesz nie zabierały mu tyle czasu. Tak rzadko się teraz widywali!

Pod koniec kolacji Liane jęła się zastanawiać, jaki naprawdę jest Nick Burnham. Sprawiał wrażenie człowieka miłego, lecz zamkniętego w sobie. Uprzejmy, dobrze wychowany, patrzył na otoczenie spokojnym wzrokiem, ale przy deserze był dla wszystkich równie obcy jak w chwili, kiedy zasiadał do stołu. Zastanawiała się, czy nie przyjął tej anonimowej fasady, aby w jakiś sposób zrównoważyć wrażenie, które wywierała jego żona. Liane przypuszczała, że jedynym celem Hillary jest szokowanie. Oczywiście nie szło o to, iż jej suknię zaprojektowano w taki sposób, że przyciągała i zatrzymywała spojrzenia, choć jedno nie ulegało wątpliwości - Hillary Burnham nie należała do skromniś.

Tego wieczoru Nicholas obserwował Hillary innym wzrokiem. Przyglądał się jej od chwili, kiedy została przedstawiona jako jego żona; interesowała go reakcja Hil, wciąż bowiem był zaintrygowany tym, co powiedziała mu w barze. Miał irracjonalną nadzieję, że dokona się w niej jakaś przemiana - niestety, była taka jak zawsze. Kiedy kapitan wypowiadał te słowa, "Madame Nicholasowa Burnham", wyraźnie postanowiła udowodnić coś wszystkim. Nick niemal jej współczuł widząc, jak szarpie się w więzach, których tak bardzo nienawidzi. W niczym jednak nie mógł jej pomóc; zirykowało ją nawet miłe spojrzenie, które jej posłał, i gwałtownie skierowała uwagę na Armanda, zwracając się doń z kusicielskim błyskiem oczu. Tyle że ambasador jakby tego nie zauważał.

- To nie jest Boston ani Nowy Jork, Hil - wyszeptał Nick, kiedy goście kierowali się do Wielkiego Salonu. - Jeśli wyrobisz sobie tutaj złą opinię, przyłgnie do ciebie na pięć następnych dni. - Miał oczywiście na myśli nieudane próby zainicjowania flirtu z Armandem, kapitanem i dwoma innymi biesiadnikami.

- A kogo to obchodzi? To banda starych nudziarzy.

- Czyżby? Byłbym raczej skłonny sądzić, że ambasador ci się spodobał. - Była to pierwsza bardziej jadowita uwaga, jaką wypowiedział w czasie tej podróży, ale miał już po prostu dość jej gier. Nawet kiedy usiłował ją zrozumieć, Hillary nieuchronnie wprawiała go w złość tub raniła. No i najwyraźniej gryzła już wędzidło, co napawało go niepokojem. Nigdy nie był w stanie przewidzieć poczynañ ani wypowiedzi swojej żony. - Podczas tej podróży bądź łaskawa wyświadczyć sobie pewną przysługę.

- Jaką?

- Zachowuj się poprawnie.

Odwróciła się, spojrzała mu w oczy i ze złośliwym uśmieszkiem zapytała: -

A to dlaczego? Dlatego, że jestem twoją żoną?

- Nie zaczynaj tych bzdur od początku. A tak nawiasem mówiąc, jesteś moją żoną. Tym statkiem płynie z tysiąc ważnych osób. Jeśli nie będziesz uważać na swój tyłeczek, moja droga, każdy dokładnie się dowie, kim naprawdę jesteś.

Jego gniew osiągnął apogeum, nic więcej nie mógł zrobić, aby go stłumić, nawet tego nie próbował.

- A niby kim jestem? - prawie się zaśmiała, absolutnie obojętna na jego troski. Nick już miał odpowiedzieć jednym treściwym słowem: "Dziwką", kiedy nagle pojawił się przy nich kapitan, do którego Hillary zwróciła się z czarującym uśmiechem: - Czy będą dzisiaj tańce?

- Oczywiście, droga pani. - Kapitan widział już na tym statku całe hordy kobiet podobnych Hillary Burnham. Czasem młodszych od niej, czasem starszych. Uroczych, zepsutych, znudzonych codziennym życiem, zmęczonych małżeństwami i mężami, którzy już dawno zniknęli ze sfery ich zainteresowań. Niewiele było jednak równie pięknych jak Hillary. Stała teraz przy stole w Wielkim Salonie świadoma, że nawet w całym splendorze tej sali każda para męskich oczu spoczywa tylko na niej. Przez cały wieczór wyglądała równie świeżo jak na początku kolacji, choć teraz stała się jakby bardziej "musująca", niczym szmerząca rzeka francuskiego szampana. - No właśnie - kapitan uśmiechnął się do Nicka - czy pozwoli pan, że poproszę małżonkę do pierwszego tańca?

- Naturalnie - zgodził się Nick z przyjaznym uśmiechem i wzrokiem odprowadził ich na parkiet.

Orkiestra grała spokojnego walca. Hillary, wprawnie prowadzona po parkiecie przez kapitana, z nadzwyczajnym wdziękiem poruszała się w jego ramionach. Wkrótce do tańca ruszyły inne pary, wśród nich Armand i Liane.

- I co, kochanie? Oczarowała cię ta nimfa z Nowego Jorku?

- Liane promiennie uśmiechnęła się do męża.

- Nie. Jestem pod dużo większym wrażeniem pewnej piękności z Zachodniego Wybrzeża. Sądzisz, że mam u niej szansę? - Uniósł palce Liane do swoich ust i ucałował je, nie odrywając wzroku od jej oczu. - Czy dobrze się bawisz, chérie?

- Tak - uśmiechnęła się radośnie, rozglądając się po sali. Chwile, kiedy Armand trzymał ją w ramionach, należały do najszczęśliwszych w jej życiu. - Ale przyznasz, że jest niezwykła - dodała, wciąż zaintrygowana osobą Hillary.

Armand nad głową żony posłał niewzruszone spojrzenie w stronę przedmiotu ich rozmowy.

- "Normandie"? Tak, w rzeczy samej.

- Przestań - parsknęła śmiechem. - Wiem, że nie znosisz plotek, ale tym razem nie mogę się powstrzymać. Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. Żonę Burnhama. W życiu nie widziałam piękniejszej istoty.

- I owszem - skinął głową z wyrozumiałym uśmiechem mędrca. - Piękność i bestia w jednej osobie. Nie zazdroścę mu. Ale on chyba dobrze wie, co ma na głowie. Obserwuje każdy jej ruch.

- A ona dobrze zdaje sobie z tego sprawę i nie przejmuje się ani trochę.

- Tego bym nie powiedział. Raczej robi wszystko, żeby go zirytować. Taką kobietę człowiek mógłby zamordować bez mrugnienia.

- Może ją kocha do szaleństwa - wysunęła przypuszczenie Liane, której myśl o tak namiętym uczuciu była nad wyraz miła.

- Chyba nie. Jeśli spojrzysz mu głęboko w oczy, zobaczysz, że nie jest

człowiekiem szczęśliwym. Wiesz, kim on jest, Liane?

- Mniej więcej. Obiło mi się o uszy jego nazwisko. Zajmuje się stalą, prawda?

Armand wybuchnął śmiechem. - On nie zajmuje się stalą. On jest stalą. Kilka lat temu był najmłodszy w gronie największych przemysłowców w Stanach. Kiedy umarł jego ojciec, był bardzo młody i oto nagle został sam, z majątkiem, którego nie sposób objąć wyobraźnią, i z obowiązkiem prowadzenia prawdziwego imperium. Sprawdził się w sposób godzien najwyższego podziwu. Jestem pewien, że płynie do Europy, bo ma tam ważne kontrakty. Dzisiaj jest niekwestionowanym królem tej branży.

- Przynajmniej stoi po naszej stronie.

- Niekoniecznie i nie zawsze - odparł Armand, a Liane popatrzyła nań pytająco. - Ma również umowy z Niemcami. Ale na tym właśnie, kochanie, polega rządzenie imperium. Serce nie zawsze jest potrzebne, zawsze natomiast niezbędna jest stanowcza dłoń i bystry umysł. Szkoda, że nie potrafi tej władzy rozciągnąć na swoją żonę.

Liane powoli trawiła słowa męża. Zaskoczyło ją, iż Burnham sprzedaje stal zarówno Francji, jak i Hitlerowi. Z jej punktu widzenia równało się to zdradzie wszystkiego, w co wierzyła. Zdumiała się także, iż Armand z taką łatwością akceptuje zasadę, że interes to interes, nie ma w nim miejsca na sentymenty. Ale w końcu był bardziej obznajomiony ze światem polityki międzynarodowej, a najrozmaitsze układy i kompromisy były dla niego czymś naturalnym.

- Czy zdziwiło cię to, co powiedziałem o Burnhamie, Liane?

- Owszem.

- Tak właśnie toczy się świat, kochanie.

- Ale ty w swoich interesach kierujesz się innymi zasadami - zauważyła.

Była wzruszającą wręcz idealistką, tak bardzo wierzyła w Armanda, w jego prawość, dla niego zaś miało to ogromne znaczenie.

- Ja nie handluję stalą. W obcych krajach dbam o honor i korzyści dla Francji. Trudno powiedzieć, że to ten sam rodzaj interesów.

- Powinny jednak obowiązywać takie same zasady. To, co jest słuszne, jest słuszne bez względu na okoliczności.

- Nie wszystko jest zawsze tak jednoznaczne. A o Burnhamie mówi się, że to uczciwy człowiek.

Podobne wrażenie odniosła Liane, lecz teraz straciła część swojej pewności. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie na tym właśnie polega problem z żoną Burnhama, która po prostu nie darzy go szacunkiem. Natychmiast jednak uznała, że sprawy te nie mają ze sobą nic wspólnego. Hillary była samolubna, nieprzyjemna i zepsuta. I to prawdopodobnie od zawsze. Miała w sobie coś jadowitego, niemilego, coś, czego nie sposób było ukryć, bo przytąjone w duszy zło spychało na drugi plan nawet urodę.

- Nie powiedziałbym jednak, że jego żona jest złą kobietą.

- Takie stwierdzenie rzeczywiście byłoby przesadą - zgodziła się Liane z uśmiechem.

- Niewielu mężczyznom dopisało takie szczęście jak mnie - rzekł Armand, pochylił się, wyszeptał jej coś do ucha i sprowadził żonę z parkietu.

Później Liane tańczyła z kapitanem, potem z włoskim księciem, znowu z Armandem, a wreszcie, przeprosiwszy towarzystwo, de Villiersowie wrócili do apartamentu, gdzie Liane ku swojej wielkiej radości nareszcie znalazła się z mężem sam na sam. Ziewnęła i zdjęła suknię. Armand rozebrał się w swojej garderobie, kiedy zaś wrócił, zastał Liane czekającą już w łóżku. I wówczas

własne słowa odbiły się echem w jego głowie; niewielu było na świecie mężczyzn równie szczęśliwych jak on. Położył się, a wtedy Liane dowiodła mu po raz kolejny, jak wielkim jest szczęściarzem. Usnęli mocno do siebie przytuleni.

Zupełnie inna scena rozegrała się w apartamencie Deauville, gdzie jak zwykle Hillary sprawiała kłopoty. Do powrotu zmusił ją Nick. Znalazła interesującego partnera do tańca przy sąsiednim stoliku i świetnie się bawiła, aż w końcu Nick, mając dość jej wyzywającego zachowania, podziękował kapitanowi za uroczy wieczór i wraz z żoną wrócił do apartamentu.

- Jak ci się zdaje, do cholery, kim ty właściwie jesteś?

- Osobą, której najbardziej nienawidzisz, kochanie. Twoim mężem, facetem trzymającym koniec złotego łańcucha, na którym jesteś uwiązana. -

Uśmiechnął się, by uspokoić własną furję, Hillary zaś weszła do sypialni zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Tego wieczoru zatem pociechy w butelce szukał Nick. Popijając złapał się na tym, że myśli o Armandzie i Liane. Tworzyli interesującą parę, w podziw go wprowadzała wdzięk i pełna godności postawa ambasadorowej. Była kobietą w dyskretny sposób imponującą, wywierającą silne wrażenie i nawet w cieniu jaskrawego blasku rozsiewanego przez Hillary moc jej osobowości trudno było przegapić. Miał dość gierki swojej żony, uznał, kończąc szklaneczkę nie rozcieńczonej szkockiej. I to bardziej, niż ona sądziła. Bardziej, niż był skłonny przyznać sam przed sobą. Jeśli pozwoli sobie dalej zadawać ten ból, przyjmie na barki brzemień aż nadto ciężkie.

Na koniec odstawił butelkę i rad, iż Hillary po zażyciu tabletki nasennej śpi już jak zabita, o trzeciej nad ranem poszedł do łóżka.

## Rozdział szósty

Powietrze morskie na wszystkich wywarło zapewne dobroczynny wpływ, następnego ranka bowiem pasażerowie obudzili się wcześniej niż zwykle po nocy przespanej lepiej niż kiedykolwiek dotąd, a w dodatku z apetytem tak zaostrzonym, że stewardowie roznosili do kabin mocno obciążone tace.

Armand siedział w prywatnej jadalni z guwernantką i córkami, Liane natomiast brała kąpiel. Dziewczynki nie mogły się już doczekać chwili, gdy podejmą wędrowną podróż po statku.

- Co zamierzacie dzisiaj robić? - Posłał córkom uśmiech nad swym śniadaniem, składającym się z wędzonego śledzia i kawioru.

Marie-Ange skrzywiła się z niesmakiem, patrząc na ojca jedzącego te okropności. - Chcesz spróbować? - zażartował, ona zaś energicznie pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, tato. Idziemy popływać z mademoiselle. Pójdiesz z nami?

- Chcę trochę popracować z monsieur Perrierem, ale może mama z wami pójdzie.

- Dokąd mama z wami pójdzie? - Liane weszła do jadalni ubrana w białą kaszmirową sukienkę i uczesana w skromny kok. Wyglądała jak pączek róży i Armand, patrząc na nią z nie skrywanym podziwem, pożałował, iż nie został w łóżku na tyle długo, żeby znów mogli dopełnić małżeńskich obowiązków. - Dzień dobry, dziewczynki. - Ucałowała córki, pozdrowiła guwernantkę i

złożyła pocałunek na czubku mężowskiej głowy.

- Wyglądasz cudownie, moja droga.

Było oczywiste, iż jego słowa są szczerze, obdarzyła go więc pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Tak wcześniej? - udała zdziwienie, w duchu bardzo zadowolona. Armand zawsze zwracał uwagę na to, co nosi i jak się prezentuje, a Liane bez trudu odgadywała z jego spojrzenia, kiedy jej wygląd naprawdę zwał go z nóg. Ona także przez chwilę żałowała, iż Armand nie został w sypialni nieco dłużej. Wstał jednak bardzo wcześniej, bo miał przed sobą sporo pracy, którą zgodnie z obietnicą zamierzał skończyć przed południem. - Ale powiedz, do jakich to rozrywek z dziewczynkami zgłaszasz mnie tak ochoczo?

- Do pływania. Co ty na to?

- Pomysł jest niezły - uśmiechnęła się do Marie-Ange i Elisabeth. -

Chciałabym wprawdzie znaleźć trochę czasu na zakupy i może króciutki spacer, ale na pewno zdążymy sobie popływać. - Zerkając na Armanda, nalała kawy do filiżanki. - Wiesz, jeśli nie wychodzę części tego wszystkiego, co tu zjadam, w Hawrze będę ważyć dwieście funtów. - Znacząco spojrzała na talerz Armanda i położyła na swoim maleńką grzanekę.

- Nie sądzę, żeby to niebezpieczeństwo było realne. - Przyjął z rąk żony ostatnią filiżankę herbaty i zerknął na zegarek. Jakby na zawołanie rozległ się dzwonek u drzwi, w których po chwili stanął Jacques Perrier z nieodłączną teczką w ręku. Guwernantka wpuściła go do środka, on zaś uroczyście powitał najpierw Liane, następnie Armanda.

- Bonjour, Madame... Monsieur l'Ambassadeur... Czy dobrze państwo spali? - spytał, po czym z żalobnym wyrazem twarzy usiadł na krześle. Jak zwykle nie mógł doczekać się rozpoczęcia pracy, toteż Armand wstał z głębokim westchnieniem.

- Obawiam się, drogie panie, że wzywają mnie obowiązki.

- Uśmiechnął się do sekretarza, poszedł do sypialni po teczkę z dokumentami, a gdy wyłonił się stamtąd chwilę później, oblicze miał poważne i oficjalne. - Idziemy - rzucił krótko.

Kiedy wyszli, zaproponował Perrierowi, aby ulokowali się w palarni, gdzie przypuszczalnie o tej porze nie ma zbyt wielu gości, będą zatem mogli popracować w komforcie, usadowieni wygodnie w skórzanych fotelach. Perrier bez wahania wyraził zgodę. W palarni właśnie, niespecjalnie zainteresowany przyjęciem w Wielkim Salonie, spędził ubiegły wieczór, przeglądając swoje notatki i przygotowując się do zadań, które oczekiwały go następnego dnia. Wracając potem do kabiny, zajrzał do przyległej kawiarni, wypił koniak, zjadł lekki posiłek i o północy, zanim Liane i Armand wyszli z przyjęcia, położył się spać.

- Dobrze pan spał, Perrier? - zapytał Armand, kiedy po imponujących schodach zeszli do palarni.

Kobiety nie miały tu wstępu, sala bowiem zarezerwowana była wyłącznie dla mężczyzn, którym miała przypominać macierzyste kluby, charakteryzowała się jednak większym przepychem, aniżeli jakikolwiek klub. Jej ściany pokrywały złożone reliefy, przedstawiające utrzymane w stylu egipskim sceny sportowe, wysokością natomiast sięgała dwóch pokładów, co zresztą było cechą wspólną wszystkich na "Normandie" sal ogólnego użytku. Armand wybrał cichy kącik, z dwoma wielkimi skórzanymi fotelami i stoliczkiem, odsunął na bok gazetę pokładową. I bez niej mieli wiele zajęć.

- Spałem bardzo dobrze, dziękuję panu.

Przed przystąpieniem do pracy Armand rozejrzał się dookoła.



- Imponujący statek, prawda, Perrier?
- W istocie, panie ambasadorze. Doprawdy imponujący.

Nawet on, nie zainteresowany na co dzień błahostkami, odkąd postawił stopę na pokładzie, pozostawał pod wielkim wrażeniem. Oszałamiające piękno zdawało się towarzyszyć tu człowiekowi wszędzie; zapierający dech w piersiach wystrój wnętrz - od boazerii przez rzeźby po subtelnie szlifowane szkło - dowodził kunsztu francuskich mistrzów. Oczy nie mogły się od tych cudów oderwać, a zmysły wpadały w ekstazę.

- To co, zabieramy się do pracy?
- Oczywiście, proszę pana.

Rozłożyli na stoliku papiery i w skupieniu rozpoczęli kilkogodzinną pracę. W miarę rozstrzygania kolejnych problemów Perrier czynił skrzętnie notatki i odkładał na bok pliki dokumentów. Mniej więcej o 10.30 zaczęli odczuwać zmęczenie i wtedy właśnie Armand zauważył wchodzącego do palarni Nicka Burnhama. Miał na sobie sweter, białe spodnie i krawat absolwentów Yale. Wybrał cichy zakątek po przeciwległej stronie sali i rozłożył gazetę pokładową, ale ponieważ kilkakrotnie zerknął na zegarek, Armand wywnioskował, że jest tu z kimś umówiony. Zastanawiał się, czy Burnham też zabrał w podróż swojego sekretarza. Wiedział, że tak robi wielu biznesmenów, aczkolwiek nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż Nick Burnham nie należy do tego typu ludzi. Wyglądał raczej na mężczyznę, który pod koniec dnia zostawia wszystkie sprawy w biurze i koncentruje uwagę na zgoła innych problemach. Nie miał owych cech, typowych dla wielu ludzi ze świata wielkich interesów, które pchają do nieustannego działania.

Chwilę później do palarni wszedł jeszcze jeden mężczyzna, rozejrzał się, a Nick Burnham wstał. Przybysz przeciął salę krokiem niemal wojskowym, po męsku uściśnął dłoń Nicka, usiadł, zamówił u kelnera drinka, po czym obaj pograżyli się w cichej rozmowie, dotyczącej - jak zgadywał Armand - interesów. Nick często kiwał głową, czasem pospiesznie coś notował. W końcu jego rozmówca z zadowoleniem rozparł się w fotelu i potakując głową zapalił cygaro. Cokolwiek stanowiło przedmiot ich dyskusji, zostało załatwione ku obopólnemu zadowoleniu. Wstali, uściśnęli sobie dłonie i starszy mężczyzna wyszedł przez drzwi prowadzące do kawiarni, Nick zaś odprowadził go wzrokiem, lekko wydymając wargi. Potem powrócił do swoich notatek, a kiedy Armand ponownie na niego spojrział, zaintrygował go wyraz twarzy Burnhama. Podczas całej rozmowy Nick wydawał się zainteresowany, ale nieporuszony. Słuchał i mówił z powagą, choć rozluźniony. Teraz, kiedy przeglądał notatki, jego skupienie stało się wyraźnie widoczne. Być może sprawa była dla niego ważniejsza, niżli się zrazu wydawało.

Armand, uświadomiwszy sobie ponownie, jak grubą rybą jest Nick Burnham, doszedł do wniosku, iż niewątpliwie interes omawiany w palarni musiał dotyczyć oszałamiających sum. Mimo to nowojorski przedsiębiorca przez cały czas sprawiał wrażenie odprężonego; teraz okazywało się, że to jedynie fasada potrzebna dla zdekcentrowania partnera. W tej chwili w Burnhamie nie było ani krzty swobody i Armand niemal czuł, jak w jego umyśle z szaloną prędkością obracają się tryby. Uznał go za człowieka niezwykle intrygującego i miał nadzieję, że przed końcem podróży będą mieli okazję pogawędzić.

Kiedy Burnham wychodził z palarni, ich spojrzenia się spotkały. Nick z sympatią uśmiechnął się do Armanda. Podobał mu się sposób, w jaki ambasador zbył minionego wieczoru awanse Hillary - dał uprzejmie do zrozumienia, iż jest odporny na jej urok, a Nick doznał wówczas niewysłowionej ulgi. Nie

miał najmniejszej ochoty na znoszenie jej kolejnego romansu, i to z sąsiadem z pierwszej klasy. Wyczuł, iż Armand jest człowiekiem prawym. Wyczuwali to zresztą w sobie nawzajem, toteż kiedy Nick z uśmiechem na twarzy opuszczał palarnię, Armand zaś wracał do przerwanej pracy, istniał już pomiędzy nimi rodzaj milczącego porozumienia.

Nick wyszedł na pokład spacerowy pierwszej klasy, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i uniósłszy wzrok, na tarasie apartamentu Trouville dostrzegł Liane, która wystawiała twarz do wiatru. Obserwował ją przez dłuższą chwilę; był w niej jakiś cudowny wdzięk - ubrana w biały kostium, sprawiała wrażenie rzeźby z kości słoniowej i Burnham przypomniał sobie, jak spokojną i pełną godności wydała mu się ubiegłego wieczoru. Po chwili na balkon wybiegły dwie dziewczynki natarczywie upominające się o uwagę matki i Liane wraz z nimi wróciła do apartamentu, nie zauważywszy nawet stojącego niżej Nicka.

Przed pójściem na basen Liane z córkami udały się na obchód sklepów. Z tej wyprawy przyniosły prezenty dla Armanda: Liane wybrała krawat od Hermesa, gdy jednak Marie-Ange zdecydowanie zażądała, aby kupić ojcu wykonany z brązu i osadzony na marmurowym postumencie niewielki model statku, który - jak utrzymywały dziewczynki - mógłby postawić na swoim biurku w Paryżu, Liane zgodziła się nabyć także ów skarb dla męża. Posiedziały trochę w apartamencie, a potem udały się na pływalnię.

Basen, mierzący siedemdziesiąt stóp długości, wyłożony emaliowanym piaskowcem w wielobarwne mozaiki, przedstawiał niezwykle widok. Nawet wypełniony rozradowanymi pływakami, skupionymi po jego głębszej stronie, nie wydawał się zatłoczony. Dziewczęta popiskiwały z uciechy, kiedy Liane zaprowadziła je w końcu na płytszą część. Sama przebrała się w granatowy kostium kąpielowy z białym paskiem, a zanim zanurkowała w głębszą wodę, wcisnęła włosy pod biały czepek. Długimi rzutami ramion podpłynęła do dziewcząt pluskających się w czerwonych kostiumkach i przystępujących właśnie do zawierania znajomości z chłopczykiem w czerwonych spodenkach; Elisabeth dowiedziała się akurat, że ma na imię John. Kiedy John spojrział na Liane, ta spostrzegła, iż oczy ma jasnoszmaragdowe, silnie kontrastujące z kruczoczarnymi włosami i jasną cerą. W tych oczach i w uśmiechu chłopca było coś znajomego. Pływając Liane zauważyła, iż ludzie zaczynają tworzyć grupy, zwracają się do siebie po imieniu i podobnie jak dzieci zawierają nowe przyjaźnie. Ona nie miała tu nikogo znajomego. Zaangażowanie Armanda w pracę z Perrierem sprawiło, iż prowadzili mniej intensywne życie towarzyskie, Liane zaś czuła się trochę skrepowana, kiedy sama wychodziła z apartamentu. Korzystała ze świeżego powietrza na prywatnym tarasie, odbywała samotne spacerunki albo też - jak w tej chwili - towarzyszyła córkom. Nie należała zresztą do kobiet, które udzielają się towarzysko, plotkują z innymi paniami w sklepach czy też zawierają znajomości przy herbacie w salonie.

Dopiero po godzinie Liane zdołała wygonić córki z wody; zabrała je do apartamentu, aby mogły przebrać się na lunch, potem zaprowadziła do jadalni dla dzieci, udekorowanej przez Laurenta de Brunhoffa łańcuchem słoni trzymających się za ogony. Poprzedniego wieczoru, jedząc posiłek w towarzystwie guwernantki, dziewczynki zakochały się w tej sali. Przy wyjściu Liane spotkała chłopczyka, którego widziała już na basenie. Teraz był z nianią. Liane uśmiechnęła się do niego, a on pomachał dziewczynkom.

Kiedy w końcu wróciły do apartamentu, Liane miała tylko dziesięć minut na zmianę stroju. Włożyła beżowy kostium i usiadłszy na kanapie, czekała na

męża, gdy do drzwi zadzwonił steward. Przyniósł jej bilecik od Armanda, który ją powiadamiał, że nie skończył jeszcze pracy i będzie ją kontynuował, aby mieć dla żony wolne popołudnie. Liane uśmiechnęła się smutno do stewarda i samotnie ruszyła do jadalni.

Usadowiono ją przy stole nakrytym dla ośmiu osób, dwa małżeństwa zrezygnowały jednak z lunchu. Trzecia para pochodziła z Nowego Orleanu; byli to sympatyczni ludzie, którzy wszczęli nie zobowiązującą pogawędkę o statku. Liane zauważyła, iż pani nosi pierścień z diamentem wielkości kostki cukru i nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Jej mąż robił interesy w branży naftowej. Mieszkali przez wiele lat w Teksasie, przedtem w Oklahomie, teraz zaś, u zmiernychu życia, przenieśli się do Nowego Orleanu, gdzie Liane była kiedyś z Armandem. Udzielała się w rozmowie najdłużej, jak mogła, ale przy deserze zapadło milczenie. Zanim podano kawę, para z Nowego Orleanu przeprosiła Liane i udała się na popołudniową drzemkę.

Liane siedziała samotnie, omiatając wzrokiem inne stoliki, przy których panowało wyraźne ożywienie. Czuła się bez Armanda źle i marzyła, aby wreszcie skończył tę swoją pracę. Zjadłszy trochę świeżych owoców i wypiwszy filiżankę herbaty, wstała i wyszła na zewnątrz, gdzie niemal natychmiast wpadła na Nicka Burnhama i jego syna. Wtedy uświadomiła sobie, że widziała już chłopca: na basenie, potem w dziecięcej jadalni.

Podobieństwo do Nicka sprawiło, że wydał się jej tak znajomy. Obdarzyła obydwu uśmiechem i zwróciła się do chłopca: - Jak tam lunch?

- Bardzo dobry. - Rozpromienił się. Teraz, kiedy trzymał ojca za rękę, wydawał się niezmiernie szczęśliwy. - Idziemy na przedstawienie kukielkowe.

- Nie chciałaby pani pójść z nami? - zapytał Nick.

Liane zawahała się; wolałaby poczekać w apartamencie na Armanda, ale przecież mogła mu zostawić wiadomość i zabrać dziewczęta. Później zaś, gdy Armand przyjdzie, dziewczynki same obejrzą przedstawienie, a guwernantka odbierze je po zakończeniu spektaklu.

- Tak, chętnie. Pójdę po córki i spotkamy się na miejscu.

Idąc szybkim krokiem, zastanawiała się, gdzie też podziwiała się Hillary Burnham. Nie sprawiała wrażenia kobiety, która poświęca dziecku zbyt wiele czasu.

W apartamencie zastała Marie-Ange i Elisabeth bawiące się w pokojach; guwernantka próbowała namówić je do drzemki, Liane jednak w porę nadciągnęła z odsieczą. Zostawiła wiadomość dla Armanda: "Poszłyśmy na spektakl teatru lalkowego. Spotkajmy się tam. Kocham. L." i wszystkie trzy pobiegły do położonego na tym samym pokładzie pokoju zabaw dziecięcych. Z atrakcji była tam karuzela, ale przede wszystkim miało się zacząć przedstawienie "Punch i Judy". Liane wypatrzyła Nicka i Johna w rzędzie pustych foteli, wraz z córkami usiadła zatem obok dokładnie w chwili, gdy wygaszano światła. Następną godziną była wypełniona śmiechem i piskami dzieci, odpowiedziami na pytania zadawane przez Puncha, a wreszcie, kiedy spektakl dobiegł końca, rzęsiстыми oklaskami.

- Fajnie było - powiedział John spoglądając na Nicka z szerokim uśmiechem. - Moglibyśmy teraz pójść na karuzelę?

Uruchamiano ją właśnie i stewardesy pomagały dzieciom zająć miejsca, kelnerki zaś przygotowywały obfite porcje lodów. "Normandie" była bajkową krainą w równej mierze dla dorosłych, jak i dla dzieci. Elisabeth i Marie-Ange jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły spod boku matki i zajęły miejsca na konikach - jedna przed, druga za swoim nowym kolegą. Kiedy karuzela ruszyła, cała trójka zaczęła radośnie wymachiwać

rączkami.

- Nie do wiary - powiedział z uśmiechem Nick do Liane - ale bardziej podobają mi się ich pokoje zabaw niż nasze.

- Mnie też - roześmiała się Liane. Przez chwilę obserwowali dzieci, które jechały na karuzeli rozchichotane i rozgadane. - Dzisiaj rano spotkałyśmy na basenie pańskiego syna i wydał mi się dziwnie znajomy. - Uśmiechnęła się do Nicka. - Wyjąwszy kolor włosów jest pańską wierną kopią.

- A pani córeczki są zwierciadlanym odbiciem mamy. - W istocie Elisabeth bardziej przypominała ojca, lecz obydwie miały po Liane jasne włosy, włosy Armanda natomiast, choć pokryte już siwizną, były kiedyś równie czarne jak włosy Johna. Nick, ze swoją jasną gęstą czupryną, zielonymi oczyma i potężnymi ramionami, przywodził na myśl wikinga. - Będzie to dla nich wszystkich niezapomniana podróż - dodał Nick.

Liane skinęła głową, pogrążona w myślach. Zastanawiała się właśnie, czy ten rejs będzie rozrywką również dla niej i dla Nicka. Miała wrażenie, iż od początku podróży niemal nie widuje Armanda, w czasie lunchu nie spotkała zaś ani Nicka, ani Hillary. Ciekawiło ją, jak urozmaica sobie czas taka kobieta jak Hillary. Zapewne czerpie przyjemność jedynie w otoczeniu mężczyzn, odziana w ekstrawaganckie suknie, przyozdobiona futrami i klejnotami. Trudno było wyobrazić ją sobie, jak siedzi na brzegu basenu, czyta książkę lub gra w tenisa.

Jak gdyby odgadując jej myśli, Nick zapytał: - Grała już pani tutaj w tenisa?

- Nie. Obawiam się zresztą, że nie jestem w tym zbyt dobra.

- To tak jak ja. Gdyby jednak znalazła pani chwilę na rozegranie meczu, z radością zostałbym pani partnerem. Widziałem dzisiaj rano w palarni pana ambasadora pogrążonego w pracy, gdyby więc nie miał nic przeciwko temu, z prawdziwą przyjemnością zagrałbym z panią kilka setów.

Liane odniosła wrażenie, że chodzi mu nie tyle o tenisa, co o znalezienie czyjegokolwiek towarzystwa.

- A czy pani Burnham grywa w tenisa? - spytała głosem na pozór pozbawionym wszelkiego wyrazu, Nick jednak wyczuł w nim jakiś wyrzut.

- Nie, nie gra, choć w czasach panińskich grywała często w Newport. Tyle że zniechęciła ten sport... - Po chwili dodał: - Pani pochodzi z San Francisco, prawda? - Spojrzała na niego szczerze zdumiona, szybko więc wyjaśnił: - Wczoraj wieczorem ktoś wymienił pani rodowe nazwisko. Brzmi ono Crockett, prawda?

- Skinęła głową. - Nasi ojcowie prowadzili wspólne interesy.

- Nietrudno było w to uwierzyć, Harrison Crockett musiał bowiem zawierać ogromne kontrakty na dostawy stali do budowy statków.

- Mieliśmy nawet biuro w San Francisco. To piękne miasto, ale ja zawsze łądowałem na drugim końcu świata i to zostało mi do dziś.

Uśmiechnęła się do niego z rozbawieniem. - Paryż nie jest taki straszny.

- Chyba nie - odwzajemnił jej uśmiech. Paryż nie będzie straszny, tak jak nie była straszna "Normandie" ani inne miejsca, w których przebywał. Szkoda, że Hillary nie podzielała jego uczuć, lecz w końcu miała własne powody, dla których nie lubiła wyjeżdżać.

- Pani mąż został wezwany do objęcia nowego stanowiska we Francji?

- Przynajmniej chwilowo. Nie mieszkał tam od lat, może więc uznano, że dla odmiany trochę czasu powinien spędzić w kraju.

- A gdzie państwo byli przed przyjazdem do Stanów?

- W Londynie, a wcześniej w Wiedniu.

- To też moje ulubione miasta. Mam nadzieję, że uda mi się je odwiedzić w drodze powrotnej z Berlina - powiedział szczerze, jakby nie miał nic do ukrycia. Na twarzy Liane odmalował się wyraz wielkiego zaskoczenia.

- Będzie pan mieszkał w Berlinie?

- Nie, w Paryżu, ale w Berlinie też mam interesy. - Patrzył na nią badawczo, jak gdyby doszukiwał się skrywanej reakcji. Zdołał się zorientować, iż na sam dźwięk słowa "Berlin" Liane zdrętwiała.

- Mój interes, pani de Villiers, polega na sprzedawaniu stali, i to nie zawsze narodom, które darzę szczególną sympatią.

Przypominało to słowa Armanda, wyraz twarzy Liane mówił jednak za siebie.

- Ale chyba wkrótce nadejdzie czas, kiedy wszyscy będziemy musieli opowiedzieć się po którejś stronie.

- Tak - skinął głową - nadejdzie, ale jak słyszałem, jeszcze nie teraz.

Tymczasem mam kontrakty, z których muszę się wywiązać. Kontrakty nie tylko z Francją.

- Czy handluje pan również z Anglikami?

- Handlowałem. Teraz związali się z kim innym.

- Może nie akceptują pańskich powiązań z Berlinem - zauważyła Liane i uświadomiwszy sobie nagle, iż posunęła się za daleko, obląła się rumieńcem.

- Bardzo przepraszam... nie chciałam powiedzieć... nie powinienam była...

Jednakże Nick Burnham obdarzył ją niewzruszonym uśmiechem. Nie uraziła go, ujęła natomiast szczerością. - Być może ma pani słuszność twierdząc, że nadejdzie czas, kiedy będziemy musieli opowiedzieć się po którejś stronie.

Ale na razie staram się, żeby osobiste przekonania i poglądy nie miały wpływu na moją pracę. Nie mogę sobie pozwolić na takie fanaberie. Prowadzę wielkie przedsiębiorstwo, ale oczywiście dzielam pani uczucia - wyjaśnił, łagodnie na nią patrząc.

Liane poczuła się jeszcze bardziej zażenowana tym, co powiedziała. Nick Burnham był człowiekiem bardzo sympatycznym i bezpośrednim, miał też w sobie coś więcej, jakąś otwartość, uczciwość, bezpretensjonalność, a przy tym stanowczość i siłę. Dawało się to zauważyć choćby w łagodnym sposobie przemawiania do syna, kiedy dzieci wróciły już z karuzeli. Był mężczyzną, do którego można się w każdej chwili zwrócić ze świadomością, iż zawsze jest gotów do pomocy.

Odwróciła głowę i zobaczyła, iż od drzwi spoziera na nią Armand.

Pomachała mu, on zaś podszedł i wtedy Liane stwierdziła, że wygląda na równie wyczerpanego jak ostatnimi czasy w Ameryce.

- Jak tam przedstawienie? - zapytał, czule całując ją w policzek, po czym rozejrzał się za dziewczynkami, które razem z Johnem znowu okupowały karuzelę. Kiedy podszedł do nich Nick Burnham, panowie przywitali się uściskiem dłoni.

- Czy uporał się już pan z codzienną porcją harówki, panie ambasadorze?

- Mniej więcej. Przynajmniej na dziś. - Uśmiechnął się do żony.

- Bardzo się czułaś samotna w czasie lunchu, Liane?

- Bardzo, ale pan Burnham był tak miły, że zaprosił nas tutaj. Dziś rano dziewczynki poznały na basenie jego syna i szybko się z nim zaprzyjaźniły.

- Niepomna na resztę świata, całą uwagę skupiła na Armandzie. - Gdzie Jacques? Czy może wypchnąłeś go wreszcie za burtę?

- Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale jego teczka jest niezatapiałna, więc jak rekin ścigałaby mnie aż do Hawru i pożarła, kiedy tylko zszedłbym na ląd. - Liane i Nick Burnham wybuchnęli śmiechem, później zaś we trójkę pogawędzili trochę o statku. Tego wieczoru wystawiano w teatrze sztukę, która w Paryżu

była wielkim przebojem minionego sezonu, i de Villiersowie mieli ochotę zobaczyć spektakl.

- Panie Burnham, czy z małżonką zechcieliby państwo dotrzymać nam towarzystwa? - zaproponował Armand.

- Niestety, moja żona nie zna francuskiego - odparł Nick, z żalem uśmiechając się do nowych przyjaciół. - Ale z przyjemnością wypijemy później z państwem drinka.

Liane i Armand uznali, iż jest to świetny pomysł, kiedy jednak o ósmej wieczorem opuścili salę teatralną, nie znaleźli Burnhamów w Wielkim Salonie, Liane namówiła zatem męża, aby poszli do jej ulubionego pomieszczenia na statku - do ogrodu zimowego. Kiedy siedząc tam wśród akwariów z rzadkimi okazami ryb i klatkami pełnymi egzotycznych ptaków, popijali szampana, Armand przyznał, iż z ulgą przyjął nieobecność Burnhamów. Perspektywa utrzymywania Hillary na dystans nie była zbyt nęcąca, chociaż Nick zdołał wzbudzić w nim sporą sympatię. Liane w pełni zgodziła się z mężem.

- Namawiał mnie na tenisa, kiedy ty będziesz pracować. Czy masz coś przeciwko temu? - spojrzała nań ciemnoniebieskimi oczyma.

- Ależ skąd! Czuję się okropnie, kiedy zostawiam cię skazaną na bezczynność.

- Bezczynność!?! Na tym statku? - wykrzyknęła ze śmiechem Liane. - Gdybym przyznała, że nie mam tu zajęcia, zasłużyłabym na wieczne potępienie.

- Czyli bawisz się dobrze, tak?

- Znakomicie, kochany. - Przysunęła usta do jego ucha i szepnęła: - Zwłaszcza w tej chwili.

- To doskonale.

Na koniec powędrowali do kawiarni, potem na pokład spacerowy, aż wreszcie dotarli do swojego apartamentu. Dochodziła druga w nocy i Liane niemal zasypiała na stojąco.

- Czy jutro rano też pracujesz?

- Obawiam się, że to konieczne. Może pograłabyś w tenisa z tym Burnhamem? Nie widzę w tym nic niestosownego - zaproponował Armand.

Liane zgodziła się z mężem. Nick nie należał do mężczyzn, którzy uwodzą cudze żony, a biorąc pod uwagę sytuację rodzinną, miał aż nadto problemów na głowie. De Villiersowie ułożyli się wygodnie do snu; Armand miał co prawda ochotę zażądać od żony wypełnienia małżeńskich obowiązków, lecz zanim zdołał przejść do czynu, pochrapywał już cicho, zmorzony kamiennym snem.

## Rozdział siódmy

- Dokąd wybierasz się o tej porze? - Nick popijał kawę w jadalni apartamentu, a John bawił się z nią na pokładzie, kiedy w drzwiach pojawiła się Hillary, ubrana w białe spodnie i czerwoną jedwabną koszulę. Zniknęła również poprzedniego dnia, wyjaśniwszy Nickowi, iż udaje się na masaż do gabinetu obok basenu, a następnie do kosmetyczki. Zabiegi te zajęły jej niemal cały dzień.

- Nabrałam ochoty na spacer. - Obdarzyła go zimnym spojrzeniem.

- Nie masz ochoty czegoś zjeść?

- Nie, dziękuję. Może trochę popływam. Potem coś zjem.

- OK. Gdzie się spotkamy przed lunchem?

Zawahała się. W końcu odbywali tę podróż razem, musiała więc uczynić na jego rzecz jakiś wysiłek. - Co powiesz o kawiarni?

- Nie chcesz jeść w jadalni?

- Nasi stolikowi kompani nudzą mnie bezgranicznie. - Ubiegłego wieczoru wymówiła się od deseru i potem Nick potrzebował dwóch godzin, żeby ją odnaleźć. Zeszła na pokład turystyczny, żeby się rozejrzeć, a po powrocie uznała, że jest na nim znacznie weselej. Nick zasugerował jednak, iż nie powinna tam bywać.

- Niby dlaczego nie? - Była nieco zaskoczona i na pewno mocno poirytowana, gdy Nick wyjaśnił, że pomijając wszelkie inne względy, biżuteria, którą jest obwieszona, może ją narazić na niebezpieczeństwo. - Czy naprawdę sądzisz, że te ćwoki dokonają na mnie napadu?

- Nic nie odrzekł, a Hillary znowu wybuchła śmiechem. Tego popołudnia sprawiała jednak wrażenie bardziej potulnej - dopóki nie wspomniał o drinku z de Villiersami. Oświadczyła dobitnie, że uważa ich za niezdolnych nudziarzy, po czym udała się do swojego pokoju, aby opróżnić kolejną butelkę szampana.

Nick spostrzegł, że w czasie tego rejsu Hillary pije bardzo dużo, chociaż w Nowym Jorku nie stroniła od alkoholu. Tyle że tam nie widział tego tak wyraźnie; natomiast tu nietrudno było zauważyć, w jakim tempie butelki znikają z baru. Wyglądało na to, że solidnie pije dopiero w ich pokoju.

- Hil... - zaczął, kiedy już stała w drzwiach. - Czy potrzebujesz dzisiaj towarzystwa? - Miał przecucie, że powinien dzisiaj być przy żonie. Obiecał sobie przecież, iż w czasie tej podróży wszystko będzie wyglądać inaczej. Jak dotąd jednak nie wyglądało. Nie mogło wyglądać. Nie dopuszczała go do siebie, i teraz też jak zwykle pokręciła głową.

- Nie, dzięki. Chcę wziąć przed lunchem jeszcze jeden masaż.

- Te masaże muszą być rewelacyjne. - W jego głosie znowu zabrzmiała podejrzliwość i Nick zganił się w duszy za swoje myśli. Okazywanie własnej żonie aż takiej nieufności było absurdem, choć z drugiej strony okłamywała go tak często, iż teraz musiał podejrzewać ją przy każdej okazji.

- Bo i są.

- Do zobaczenia na lunchu. - Skinęła głową i nie pożegnawszy się z synem wyszła z pokoju. John pojawił się kilka minut później i rozejrzał się dokoła.

- Mama wyszła?

- Tak, znowu na masaż. Gdzieś koło basenu.

John spojrział ze smutkiem na ojca i pokręcił głową. - Ona nie ma pojęcia, gdzie jest basen. Chciałem jej pokazać, ale mówiła, że ma coś innego do roboty.

Nick skinął mechanicznie głową, jakby nie słyszał słów syna, lecz przecież usłyszał aż za wiele. A więc jednak. Znowu to samo. Nie, nie ma przecież pewności. I z kim? Gdzie? W klasie turystycznej? W kabinie? Nie mógł tropić jej wszędzie. Postanowił stawić Hillary czoło podczas lunchu, teraz jednak skoncentrował uwagę na synu.

- Chcesz obejrzyć psy?

- No jasne. - Malec rozpromienił się i ruszyli na górny pokład spacerowy, gdzie wyprowadzano z tuzin francuskich pudli, jednego doga, dwa małe szpetne mopsy i pekińczyka. John uznał za stosowne pogłaskać każdego z nich, kiedy jego ojciec, pogrążony w rozmyślaniach, spoglądał na morze. Zastanawiał się, gdzie, u diabła, podziewa się jego żona. Chciałby

przetrzęsnać cały statek, ale jaki miałoby to sens? Tę bitwę, toczoną już od dziewięciu lat, przegrał dawno temu. Wiedział o tym aż za dobrze. Tu, na statku, była taka sama jak w Nowym Jorku czy Bostonie; zepsuta do szpiku kości. Jedynym powodem do wdzięczności wobec niej był syn. Spojrzał na Johna i uśmiechnął się. Chłopiec tulił właśnie jednego z zabawnych, poparskujących mopsików.

- Tato, czy będę mógł mieć psa w Paryżu?

- Może. Musimy tylko się przekonać, jaki jest ten dom.

- Naprawdę będę mógł? - Oczy chłopca niemal wyszły z orbit, a Nick wybuchnął śmiechem.

- Zobaczymy. A teraz może odstawisz swojego nowego przyjaciela? Pójdziemy do pokoju zabaw, poszukać innych znajomych.

- OK. Ale wrócimy tutaj?

- Jasne. - Kiedy odchodzili, Nick kątem oka dostrzegł kort tenisowy i przypomniał sobie o zaproszeniu, które złożył Liane. Jej mąż zdawał się nie mieć żadnych obiekcji, on zaś chętnie rozegrałby jakiś mecz, może dwa, żeby wytrząsnąć z siebie gniew. Alternatywą bowiem było rzucanie czymś o ścianę. Musiał znaleźć coś, co pozwoliłoby mu ukoić nerwy. Niemal żałował, że nie spotkał dotąd mężczyzny, z którym mógłby sobie pogadać. Hillary miała jednak słuszną przynajmniej w tej jednej kwestii - ich współbiedniacy byli niewiarygodnymi nudziarzami. Niebywale wysokie koszty podróży sprawiały, że na pokładzie niemal w ogóle nie było młodych ludzi, a już na pewno nie było ich w pierwszej klasie. Pasażerowie tej klasy - wybitni dziennikarze i pisarze, adwokaci i bankierzy, muzycy i dyrygenci - przeważnie osiągnęli słuszny wiek już wiele lat temu i Nick nie miał tu żadnych rówieśników, poza żoną ambasadora i jego własną. Był wprawdzie przyzwyczajony do statusu najmłodszego w towarzystwie, ale w tej chwili wcale go ten status nie cieszył. Chciałby mieć przyjaciela mniej więcej w swoim wieku.

Odprowadził syna na dół, do sali zabaw, gdzie wypatrzył córeczki de Villiersów, a potem, po chwili wahania, postanowił przespacerować się po pokładzie obok restauracji i tam na ławce dostrzegł Liane, która czytała książkę. Miała pochyloną głowę, a wiatr rozwiewał jej włosy. Wahał się przez chwilę, czy do niej podejść, ale w końcu się na to zdecydował.

- Cześć. - Zdumiona podniosła głowę, a potem uśmiechnęła się na jego widok. Miała na sobie różowy kaszmirowy sweter, popielate spodnie i podwójny sznur pereł. Był to strój bardzo nieformalny, odpowiedni najwyżej na spacer po promenadzie, ale Liane chwilowo nie miała żadnych innych planów. - Przeszkadzam pani? - Stał przed nią z rękoma w kieszeniach białych flanelowych spodni.

- Ależ skąd. - Zamknęła książkę, a Nick usiadł obok niej.

- Czy pan ambasador jest już zajęty pracą?

- Oczywiście - odparła. - Jego sekretarz pojawia się każdego dnia o dziewiątej z takim ogromnym bosakiem i wyciąga nim Armanda bez względu na to, czy zjadł już śniadanie, czy też nie. - Nick uśmiechnął się, bez trudu wyobrażając sobie tę scenę.

- Widziałem go wczoraj i muszę przyznać, że nie wygląda na zabawnego gościa.

- Bo nim nie jest, ale niewątpliwie pewnego dnia wyrośnie zeń doskonały ambasador. Dzięki Bogu, Armand nigdy taki nie był.

- Gdzie się państwo poznali? - Było to pytanie nieco zbyt bezpośrednie, de Villiersowie jednak do tego stopnia intrygowali Nicka, że nie mógł się



powstrzymać nawet od impertynencji. Było oczywiste, że łączy ich więź szczególnego rodzaju - pomimo różnicy wieku, ogólnej sytuacji i ogromu pracy Armanda. Liane najwyraźniej rozumiała konieczność tej pracy i zawsze cierpliwie czekała na męża. Nick zastanawiał się, gdzie można znaleźć taką kobietę. Może wystarczy nie poddać się frontalnemu atakowi dziewiętnastoletniej debiutantki? A jednak z wieku starszej córki de Villiersów wynikało, że Liane także wyszła za mąż bardzo młodo; teraz nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. W istocie liczyła już trzydzieści dwa, zawsze jednak była dojrzała nad wiek i nawet dawno temu dostatecznie dorosła, żeby wyjść za mąż; w przeciwieństwie do Hillary - zawsze zepsutej i dziecinnej.

- Poznaliśmy się w San Francisco, kiedy byłam bardzo młoda.

- Wciąż pani jest.

- Och, nie - roześmiała się. - Miałam wtedy piętnaście lat i...

- Zawahała się, ale na statku człowiek często mówi obcym ludziom rzeczy, których w innych okolicznościach nie wyznałby nikomu za skarby świata.

Teraz i Liane padła ofiarą tej magii, spojrzała więc na Nicka szeroko otwartymi błękitnymi oczyma. - Armand był mężem kobiety, którą bardzo kochałam. Moja matka zmarła w czasie porodu, a Odile niemal mi ją zastępowała. Armand pełnił wówczas funkcję konsula generalnego w San Francisco.

- Rozwiedli się? - Nick był zaintrygowany coraz silniej; Liane wydawała mu się wcieloną niewinnością, nie zaś burzycielką stadeł i zupełnie nie pasowała do takiego scenariusza. Ona jednak pokręciła głowę.

- Nie. Umarła, kiedy miałam osiemnaście lat. Dla Armanda był to potworny cios, podobnie zresztą jak dla mnie i mojego ojca. Nie mogłam się z tego otrząsnąć niemal przez rok.

- I Armand zakochał się w pani. - Teraz cała historia zaczynała brzmieć sensownie.

Liane odpłynęła myślami w przeszłość, jej oczy miały nieobecny wyraz, a usta ułożyły się w czuły uśmiech. - To wszystko nie stało się tak szybko. Potrzebowaliśmy roku albo dwóch, żeby uzmysłwić sobie, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy. Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedyśmy się wreszcie do tego przyznali i nastąpiły zaręczyny.

- A potem wzięliście ślub, aby żyć długo i szczęśliwie. - Coraz bardziej podobała mu się ta historia. Jak z bajki. Liane jednak znowu pokręciła głowę.

- Nie. Tuż po ogłoszeniu naszych zaręczyn Armand został przeniesiony do Wiednia, mój ojciec zaś uparł się, abym skończyła studia w Mills. -

Uśmiechnęła się do Nicka. - Był to dla nas długi rok, ale jakoś zdołaliśmy go przetrwać. Pisywaliśmy do siebie codziennie, a kiedy tylko dostałam dyplom, Armand przyjechał, wzięliśmy ślub... no i tak to poszło. -

Uśmiechnęła się szeroko. - Wiedeń to cudowne miejsce, byliśmy tam szczęśliwi, podobnie zresztą jak później w Londynie. W Wiedniu urodziła się Marie-Ange, w Londynie zaś Elisabeth; potem przenieśliśmy się do Stanów.

- Ojciec pani musiał być z tego powodu szczęśliwy. - I od razu uświadomił sobie, że popełnił błąd, skoro ojciec Liane nie żyje od ponad dziesięciu lat.

- Nie, ojciec już nie żył. Umarł tuż po narodzinach Elisabeth.

- Uśmiechnęła się czule. - Dzisiaj wydaje się to odległą przeszłością.

- Często bywa pani w San Francisco?

- Nie, to nie jest już moje miasto. Wyjeżdżałam stamtąd na zbyt długie

okresy, teraz mieszka tam tylko mój wuj. Nigdy nie byliśmy sobie specjalnie bliscy i... - jej głos przycichł - mój dom jest tam, gdzie przebywa Armand.

- Wielki z niego szczęściarz.

- Nie do końca. - Zaśmiała się. - Nawet w bajkach ścieżki pełne są wertepów. Jestem równie trudna jak każda inna kobieta. Armand to bardzo dobry, bardzo mądry i bardzo czuły mężczyzna. Miałam szczęście, że byłam z nim przez wszystkie te lata. Mój ojciec uważał, że nie mogłabym osiągnąć takiego porozumienia z rówieśnikiem. I teraz jestem pewna, że miał słuszność. Zbyt długo przebywałam tylko z ojcem.

- Czy pani mąż bardzo go przypomina? - Jeszcze teraz, po wysłuchaniu całej historii, był zaintrygowany stadłem de Villiersów.

- Nie, wcale nie, ale ojciec dobrze mnie przygotował. Prowadziłam mu dom, słuchałam, jak dyskutował z wujem o problemach związanych z interesami. Trudno byłoby mi zamienić tamto życie na coś mniejszego formatu.

- Jest pani jedynaczką?

- Tak.

- Jak moja żona. Hillary jednak jest dużo mniej odpowiedzialna niż pani, nie potrafi zrozumieć wymogów realnego świata. Dorastała, każdego dnia oczekując Gwiazdki, przyjęć urodzinowych, balów. Takie radości są oczywiście niezbędne, ale nie stanowią przecież esencji prawdziwego życia.

- To bardzo piękna dziewczyna. Nic dziwnego, że jest rozpieszczona. Takie kobiety często oczekują od życia czegoś innego, niż jest ono w stanie im dać. - Chciał ją zapytać: "A pani? Dlaczego pani taka nie jest?" Liane też była piękna, ale piękna w inny sposób; cichy, spokojny, bardziej kobiecy. Przyszło mu jednak do głowy coś innego.

- Wie pani, to dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy, skoro nasi ojcowie prowadzili wspólne interesy, a my jesteśmy w końcu mniej więcej w jednym wieku. - Amerykańskie elity istotnie tworzyły zwarte grupy. Może gdyby studiowała na Wschodzie, spotkałby ją na jakimś przyjęciu, ponieważ jednak Liane studiowała w Mills, Nick natomiast - i to wcześniej - w Yale, nie dane było im się spotkać. Nastąpiło to dopiero teraz, na "Normandie", na pełnym morzu.

- Mój ojciec przez wiele lat żył prawie jak pustelnik. Nie poznałam zbyt wielu osób, z którymi miewał do czynienia. W gruncie rzeczy nigdy nie doszedł do siebie po śmierci matki. Prawdziwy cud, że poznałam Armanda i Odile, a i to tylko dlatego, że ojciec chciał, abym popisała się swoim francuskim. - Przypomniała sobie relację Odile z pierwszego spotkania z Harrisonem, po tym zaś wspomnieniu napłynęły inne i Liane z najwyższym trudem ponownie skierowała swoją uwagę na Nicka. - Nawiasem mówiąc, gdzie jest pani Burnham? - Nie było to pytanie impertynenckie, kiedy jednak dostrzegła wyraz oczu Nicka, pożałowała, że w ogóle padło. W tych oczach pełgał bowiem jakiś tajemniczy płomyczek.

- Chciała wziąć masaż i dlatego właśnie postanowiłam odszukać panią. - Liane wydawała się zaskoczona jego słowami; odłożyła książkę na ławkę. - Chciałem podjąć próbę namówienia pani na mecz tenisa, o którym rozmawialiśmy wczoraj. Czy nie sądzi pani, że to interesujący pomysł? Właśnie byłem na kortach. John chciał pooglądać pieski. Tak czy inaczej: czy zdołam oderwać panią od lektury?

Zastanawiała się przez moment, a potem zerknęła na zegarek.

- W południe jestem umówiona z Armandem na lunch. Obiecał, że dzisiaj zdoła wcześniej uwolnić się od pracy.

- Doskonale. Ja o pierwszej spotykam się w Grillu z Hillary. A zatem

zagrajmy.

Uśmiechnęła się do Nicka. Nie miała żadnego przyjaciela od lat, w gruncie rzeczy od chwili, kiedy poznała Armanda. Byłoby zabawne, gdyby teraz nagle znalazła kompana do tenisa.

- Pobiegnę się przebrać i spotkamy się na kortach.

- Za dziesięć minut? - Spojrzał na swój zegarek, wykonane przez Cartiera małe arcydzieło ze złota i czarnej emalii.

- Doskonale. - Wstali oboje, poszli do swoich pokojów, a dziesięć minut później spotkali się na kortach: Liane w plisowanej spódnicy, ukazującej do połowy jej smukłe uda, on zaś w doskonale skrojonych białych szortach i swetrze narzuconym na koszulkę od Braci Brook. Prowadzili lekką, beztrudną grę. Nick zdobył wprawdzie dwa gemy, ale pod koniec Liane zaskoczyła go i pokonała 6:2, czemu towarzyszył okrzyk zwycięstwa i uścisk dłoni nad siatką. Nagle obydwój poczuli się szczęśliwi, wolni i młodzi.

- Okłamał mnie pan, jest pan doskonały. - Pogratiowała mu, wciąż zadyszana po meczu, ale też zrelaksowana dobrą grą.

- Wcale nie. To pani jest świetna. - Był to sposób odreagowania, którego od dawna potrzebował, i teraz czuł się znacznie lepiej.

- Dzięki, potrzebowałem czegoś w tym stylu.

Obrzuciła spojrzeniem jego postawną sylwetkę. - Musi się pan czuć tu jak więzień, bo statek, bez względu na swój rozmiar, to w końcu przestrzeń zamknięta. Ja jestem zbyt leniwa, żeby zwracać na to uwagę, ale z panem sprawa zapewne wygląda inaczej.

- W gruncie rzeczy nie. Po prostu zamykam się w sobie od czasu do czasu.

Mam na głowie mnóstwo spraw. - Przypomniała sobie o kontraktach, które miał w Paryżu i Berlinie; teraz już ta kwestia nie wydawała się jej tak istotna.

Nick był miłym facetem, przypuszczalnie również uczciwym i prawym. Trudno było nie darzyć go sympatią i Liane pojęła, że w jego towarzystwie czuje się doskonale. - Tak czy owak, ogromnie dziękuję.

- Zawsze do pańskiej dyspozycji - odparła z uśmiechem.

- Może to doskonale antidotum na te góry jedzenia.

Uśmiechnął się. - A zatem zagrajmy jeszcze raz. Jutro o tej samej porze?

- Doskonale. - Zerknęła na zegarek. - Teraz naprawdę muszę już lecieć albo spóźnię się na powrót Armanda.

- Proszę go serdecznie pozdrowić - krzyknął za nią, kiedy już biegła w stronę apartamentu Trouville.

- Na pewno to zrobię. I miłego lunchu. - Pomachała mu ręką i zniknęła, on zaś stał dłuższą chwilę przy relingu, rozmyślając o wszystkim, co mu powiedziała. Podobała mu się historia de Villiersów i Armand rzeczywiście był dla Liane idealnym partnerem...

Ona przynajmniej nie miała w tej kwestii żadnych wątpliwości. W przeciwieństwie do Hillary, która około trzynastej powitała Nicka przy barze z wyrazem twarzy człowieka oczekującego nieuchronnego kataklizmu.

- Masaż był przyjemny? - Skinął na kelnera i oboje zamówili drinki.

- Bardzo.

- Gdzie, jak powiadasz, zażywałaś tej przyjemności? - Pozornie niewinnie mieszał drinka, ale wpił się wzrokiem w jej oczy.

- Chcesz mnie sprawdzić, Nick?

- Nie wiem, Hil. Myślisz, że powinienem?

- A co za różnica, czy brałam ten masaż, czy nie? - Uciekła wzrokiem, jakby była znużona patrzeniem na męża, coś jednak w jej piersi zatrzepotało nerwowo.

- Różnica polega na tym, czy mnie okłamujesz, czy nie. I mówiłem ci, że wszelkie twoje wyskoki na tym statku natychmiast staną się tajemnicą publiczną. Mam wrażenie, że zbyt dużo czasu spędzasz w drugiej klasie i chciałbym położyć temu kres.

- Głupi snob. Nasze towarzystwo to po prostu kupa wykopalisk. Na dole są przynajmniej młodszy faceci, ludzie, z którymi mogę sobie pogadać.

Zapomniałeś, mój drogi, że nie jestem tak posunięta w latach jak ty.

- Nie jesteś również tak bystra. Miej to na uwadze. Byłoby żenujące, gdybym musiał zamykać cię w kabinie. - Oczy Nicka płonęły, Hillary jednak wybuchła śmiechem.

- Nie bądź durniem. Musiałabym jedynie zadzwonić na pokojówkę. I jak to sobie właściwie wyobrażasz? Że przywiążesz mnie do łóżka?

- Odnoszę wrażenie, że w tej kwestii podjęłaś już własne starania. Z kim spotykasz się na tym statku, Hil? Jakiś stary przyjaciel z Nowego Jorku czy też ktoś nowy?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu grupka młodych mężczyzn podróżujących nieco mniej deluxe.

- A zatem wyświadczyć mi przysługę i daj im buzi na pożegnanie. Nie rób z siebie pośmiewiska, odgrywając nieszczęśliwą, bogatą panienkę, odwiedzającą plebejuszy.

- Oni tego tak nie odbierają.

- Nie ręk za to głową. To stary numer. W młodości sam często odgrywałem go na statkach, ale ja byłem wtedy na uniwersytecie i nie miałem żony. Nie chciałbym ci prawić morałów, Hil, ale nie jesteś już panienką i nie należysz do pokładu A. Twoje miejsce jest tutaj. Rozumiesz, życie mogłoby być dla ciebie gorsze.

- Niewiele gorsze. - Znów wyglądała jak znudzona dziewczynka. - Jestem tak wykończona, że chce mi się płakać.

- Zatem płacz. Już za dwa dni będziemy w Paryżu, jakoś wytrzymasz... -

Nic nie odrzekła. Zamówiła kolejną szkocką, na lunch zjadła zaledwie pół kanapki, a potem w towarzystwie męża, który miał nadzieję odwrócić jej uwagę od nowych przyjaciół, odbyła rundę po sklepach. Kiedy jednak Nick zszedł nad basen, aby sprawdzić, jak bawi się John, Hillary zniknęła.

Siedział w jej kabinie, dopóki nie wróciła, aby się przebrać. Kiedy już stanęła w drzwiach, poczuł, że traci kontrolę nad sobą, że wpada we wściekłość. Jego dłoń sama uniosła się do ciosu. Na szczęście w ostatniej chwili dostrzegł Johna, który zaglądał do ich pokoju. Natychmiast się opanował. Niejednokrotnie Hillary doprowadzała go do ostateczności, ale po raz pierwszy podniósł na nią rękę. Gestem zaprosił ją do środka. Widział, że dużo wypila, i nagle poczuł się tak, jakby to on został spoliczkowany. Na szyi miała ślad po ugryzieniu. Chwytał ją za ramiona, przyciągnął do lustra i kazał się przejrzeć.

- Jak śmiesz wracać do mnie w tym stanie, ty mała kurewko?! Jak śmiesz?!

- Był pewien, że przez ścianę John słyszy każde jego słowo, ale ostatecznie stracił już panowanie.

Wyrwała się z jego rąk.

- Co miałam zrobić? Zostać na dole?

- Powinnaś być.

- Mogę tam wrócić.

- Na rany boskie, Hil, co się z tobą dzieje? Nie masz w sobie krztyny wstydu? Czy musisz wlaźć do każdego łóżka, które zobaczysz na swojej drodze? - Tym razem to ona uniosła rękę i wymierzyła mu policzek.

- Już ci mówiłam. Zrobię wszystko, na co, do kurwy nędzy, mam ochotę. Nie jesteś moim właścicielem, ty skurwysynu. Tak czy owak, przejmujesz się tylko swoimi hutami, swoimi cholernymi kontraktami, swoją pieprzoną dynastią, której dziedzicem pewnego dnia zostanie John. I co ja z tego wszystkiego mam? Co mnie obchodzi to całe imperium? Gówno! Rozumiesz? Gówno mnie obchodzi i ono, i ty!

- Zamilkła, świadoma, że powiedziała zbyt wiele. W oczach Nicka, kiedy odwrócił się do niej plecami, zabłysły łzy. Nic nie odpowiedział, wyszedł w milczeniu na taras, Hillary zaś chwilę śledziła go wzrokiem, a potem podążyła za mężem. Stała za Nickiem, który przechylał się przez reling, i powiedziała stłumionym głosem: - Przepraszam cię, Nick.

- Daj mi spokój. - Sprawiał wrażenie zranionego dziecka i przez moment Hillary poczuła w sercu nieokreślony ból, choć przecież w jej oczach Nick był najgorszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek miała. Chciał utrzymać ją w kajdanach, gdy ona pragnęła wolności. Odwrócił się do niej ze łzami w oczach. - Wracaj do środka.

- Płaczesz - stwierdziła z zaskoczeniem.

- Tak, płaczę. - Nie był tym zawstydzony, co zaszokowało ją jeszcze bardziej. Mężczyźni przecież nie płaczą, a zwłaszcza silni mężczyźni, tacy, jakich знаła. Nick Burnham jednak płakał, choć był najsilniejszy z nich wszystkich. Ale Nick nie rozpaczał przez Hillary. Nie przez Hillary. Płakał - z powodu swojej głupoty. Głupoty, która sprawiła, że poślubił tę kobietę. - Ta gra jest już skończona, Hil.

- Chcesz rozwodu? - Wydawała się niemal zadowolona i nie usiłowała go niczym pocieszyć.

Wpił się wzrokiem w jej oczy. - Nie, nie chcę. I pozwól, że powiem "ci to już teraz. Nigdy nie będę chciał. Jedyne rozwiązanie tego małżeństwa to twoje odejście. Samotne odejście. Kiedy to uczynisz, rozwiodę się bezzwłocznie. Ale do tego momentu jesteś moją żoną. Na dobre i złe. Zapamiętaj to sobie. A od tej chwili gówno mnie obchodzą twoje poczynania.

- To znaczy, że jeśli się rozwiedziemy, mam ci zostawić Johny'ego? - W jej głosie brzmiało niedowierzanie.

- Właśnie.

- Nigdy tego nie zrobię.

- Dlaczego nie? Obchodzi cię jeszcze mniej niż ja. - Było to zwykłe stwierdzenie faktu, Hillary jednak nie zamierzała mu przytaknąć. Nie teraz. - Nie zrezygnuję z niego. - W jej głosie pobrzmiwał teraz upór.

Nick zawsze rozpieprzał jej życie; mamił ją perspektywą rozwodu tylko po to, żeby powiedzieć, iż dostanie ten rozwód, jeśli zrezygnuje z syna. - Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- Dlaczego nie? - Zauważył, że znalazła w sobie tyle przyzwoitości, żeby zasłonić szyję chustą. Nagle znowu poczuł, że chciałby ją uderzyć.

- Co by sobie ludzie pomyśleli?

- A czy cię to w ogóle obchodzi?

- No pewnie, że obchodzi. Pomyślą, że jestem pijaczką czy kimś w tym stylu.

- Właściwie jesteś pijaczką. I, co gorsza, dziwką.

- Jeśli będziesz mnie lżyć, skurwysynu, nigdy nie dostaniesz swojego syna.

- Cóż, będę to miał na względzie. Możesz się wyrwać w każdej chwili, ale bez niego. - Już chciała odpowiedzieć mu jakąś jadowitą uwagą, ale pojęła, że jest wobec niego bezradna. Starając się o rozwód, musiałyby powołać się

na jego niewierność, a podobnych oskarżeń nigdy nie zdołałaby dowieść. Nick zawsze był jej wierny, o czym świadczyła gwałtowność, z którą brał ją od czasu do czasu, pożądanie, jakie okazują mężczyźni dłużej pozbawieni kobiet. Tonąc w swojej własnej, bezsilnej wściekłości, weszła do pokoju. Nigdy już nie dostanie od Nicka tego wszystkiego, co pragnęła dostać. Nigdy. Teraz doskonale zdawała sobie z tego sprawę. I dlaczego miałyby zostawić mu Johna? Za kilka lat syn u boku mógłby być nawet zabawny. Pewnie by go lubił, tak samo zresztą jak jego przyjaciół. Ona po prostu nie przepada za dzieciakami, ot i wszystko. Nigdy nie odda go Nickowi. Nigdy. Nie zdołałaby tego przelknąć. Ludzie wytykaliby ją palcami przez całe lata, mówiąc, że Nick ją wyrzucił, a tego nie potrafiłaby znieść. Jeśli w ogóle kiedykolwiek się z Nickiem rozstanie, wszyscy będą wiedzieć, że to ona go porzuciła.

Nick bardzo długo samotnie stał na pokładzie, usiłując uspokoić myśli. Zdawał sobie sprawę z tego, iż nadszedł kolejny punkt zwrotny. Po raz pierwszy rozmawiali poważnie o rozwodzie. Nawet tu, na statku, nie mogła się powstrzymać od włożenia facetom do łóżek. Poznał ją dogłębnie i wiedział, że już nigdy się przed nią nie otworzy. Może z czasem Hillary się znudzi, może ucieknie, zostawiając mu Johnny'ego. Mógłby zapewnić dziecku szczęśliwe życie, bez względu na to, czy ożeni się ponownie, czy też nie. Teraz jednak nie warto o tym myśleć. Był żonaty z Hillary, bez względu na wszelkie udreki, jakie niesie za sobą ten fakt. Stał wpatrując się w zachód słońca, i rozmyślając o swoim życiu, a wreszcie wrócił do środka i zamknął za sobą drzwi apartamentu Deauville.

Dopiero wtedy, ogarnięta udreką, zażenowaniem i bólem Liane mogła wstać z leżaka na tarasie apartamentu Trouville. Kiedy Burnhamowie wyszli na swój taras, nie dostrzegli jej ani też nie usłyszeli, ona zaś nie znalazła w sobie odwagi, aby poruszyć się czy przemówić. Za nic nie chciała, by zdali sobie sprawę z jej obecności. Zwłaszcza Nick. Kiedy już usiadła w swoim pokoju, ogarnęło ją głębokie współczucie dla tego mężczyzny. Jakże samotne i bolesne wiódł życie! Co teraz zrobi? Na jaki potworny los skazała go ta kobieta!

- Mój Boże, kto umarł? - Armand wszedł do pokoju i pocałował żonę, która siedziała przy toalecie, wbijając wzrok w podłogę.

- Co?... Och, to ty. - Usiłowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Zawsze bardzo głęboko przejmowała się tragediami bliźnich.

- Czy spodziewałaś się kogoś innego?

- Nie, oczywiście, że nie. - Uśmiechnęła się w końcu, ale Armand już wiedział, że coś jest nie w porządku.

- O co chodzi, kochanie?

Spojrzała nań z rozpaczą. - Tak się złożyło, że byłam świadkiem czegoś przerażającego.

- Czy komuś stała się krzywda? - Na twarzy Armanda pojawił się wyraz troski.

- Nie, to była scena pomiędzy Nickiem Burnhamem a jego żoną.

- Och, Boże, kłótnia małżeńska? Jak w nią wdepnęłaś?

- Siedziałam na tarasie i czytałam książkę. Burnhamowie wyszli, nie wiedząc, że tam jestem. I usłyszałam wszystko. Ona chyba sypia z jakimś facetem na statku.

- Nie jestem tym zaskoczony. Ale to także jego wina. Widocznie nie kontroluje jej poczynań.

- Co ty mówisz? - Była zaszokowana. - Co z niej za kobieta, skoro robi

podobne rzeczy?

- Mała kurewka, jak przypuszczam. Widocznie już wcześniej pozwalał jej na to. - Liane podejrzewała, iż Armand ma całkowitą słusność.

- Ale jednak... ten biedak, Armandzie... No i oskarżał ją, że nie przejmuję się ich synkiem. - W oczach Liane pojawiły się łzy i Armand przytulił ją do siebie.

- Teraz chcesz przygarnąć ich obu i namówić, żeby zamieszkali razem z nami we Francji. Och, Liane, słodka dziecino, masz bardzo miękkie serce. Świat jest pełen ludzi podobnych do Burnhamów. Wiodą koszmarnie, obrzydliwe żywoty.

- Ale Nick to miły człowiek, nie zasługuje na taki los.

- Zapewne nie zasługuje. Tak czy owak, nie współczuj mu zbyt mocno. Na pewno sam potrafi zatroszczyć się o siebie, ty zaś masz inne zmartwienia. - Armand znał kobiety, wiedział, że często odczuwają większy ból niż osoby, którym współczują - chciał ochronić Liane przed podobną sytuacją. Pod wieloma względami wciąż była naiwna jak dziecko i niejednokrotnie czuł się w obowiązku bronić ją przed nią samą. - Co założysz na dzisiejszą galę?

- Nie wiem... ja... och, Armandzie... jak możesz myśleć o takich błahostkach?

- A co mam zrobić? Zaproponować, że pójdę do nich i zastrzelę panią Burnham?

- Nie - roześmiała się. - Ale... ten biedny człowiek... i to dziecko...

- Przestań o tym myśleć. Mają w końcu siebie, ona natomiast może po prostu któregoś dnia ucieknąć z jakimś facetem. Byłoby to zapewne dla nich błogosławieństwem. A teraz przestań angażować się z takim zapamiętaniem w rodzinne kłótnie Burnhamów, bo całkiem możliwe, że oni sami oddają się właśnie namiętnemu uprawianiu miłości. Może Hillary podoba mu się taka, jaka jest.

- Wątpię.

- A skąd możesz wiedzieć? - Uważnie przyjrzał się żonie, zastanawiając się, czy pod tym wszystkim nie kryje się coś więcej.

Uznał jednak, że nie.

- Grałam z nim dzisiaj w tenisa. Pytał o nas, a z tego, co mówił o sobie wywnioskowałam, że nie są szczęśliwym małżeństwem.

- To przynajmniej dowodzi, że dopisuje mu zdrowie psychiczne. To jego problem, nie nasz. A teraz chciałbym, żebyś już o wszystkim zapomniała. Masz ochotę na lampkę szampana? - Po chwili wahania skinęła głową. Armand przyniósł dwa kieliszki szampana i czule pocałował żonę w policzek, szyję, usta, a wtedy Liane wyrzuciła z myśli oboje Burnhamów. Armand miał słusność; nic nie mogła w tej sprawie zrobić. - A teraz wreszcie powiedz, co założysz na dzisiejszą galę. - Znow mieli zasiadać przy kapitańskim stole, ten wieczór zaś był najważniejszy w ciągu całej podróży. Nazajutrz miał się odbyć bal pożegnalny, za dwa natomiast dni dotrą do Hawru.

- Myślałam o tej czerwonej...

- Będiesz wyglądać bajecznie. - Błysk w jego oczach potwierdził szczerłość słów.

- Dziękuję. - Usiadła przy toalecie i rozbierając się, obserwowała Armanda w lustrze. - Skończyłeś już pracę?

- Mniej więcej. - Celowo nie udzielił precyzyjnej odpowiedzi.

- Cóż to znaczy?

- Zobaczymy.

- Ale idziesz na dzisiejszą galę, prawda? - Przez chwilę na jej twarzy

gościł niepokój.

- Oczywiście. - Podszedł do Liane, pocałował ją w ramię i kark.
- Być może nie będę jednak mógł zostać do końca.
- Zamierzasz pracować z Perrierem po gali. - Nagle poczuła, że ma dosyć tego rejsu, ciągłej nieobecności Armanda, ludzi na pokładzie. Chciała już być we Francji albo wrócić do domu.
- Może będziemy musieli popracować jeszcze chwilę. Zobaczymy, jak długo to potrwa.
- Och, Armandzie... - Nie miała już nawet siły, żeby cokolwiek powiedzieć.
- Wiem, wiem. Czasami mam wrażenie, że nie widuję cię wcale. Chciałem, żeby ten rejs był naszą drugą podróżą poślubną, ale miałem taką masę roboty, Liane, naprawdę... staram się ze wszystkich sił.
- Wiem. Nie zamierzałam robić ci wyrzutów. Sądziłam po prostu, że dziś wieczorem...
- Ja też tak myślałam. - Perrier jednak przygotował dużo więcej materiałów, niż Armand się spodziewał. Właściwie nie miał czasu odetchnąć pomiędzy ich kolejnymi konferencjami, lecz musiał się z tym pogodzić, nie licząc się z uczuciami Liane. - No, zobaczymy. Może po uroczystości będę zbyt pijany, żeby wracać do pracy.
- Inspirujesz mnie do uknuć spisku.
- Ani się waż. - Uśmiechnął się do żony, która poszła przygotować kąpiel.

W apartamencie Deauville dokładnie w tej samej chwili Hillary naląła sobie kolejną szklaneczkę szkockiej. Był to dla niej ciężki dzień, cięższy niż sądził Nick. Facet z drugiej klasy był tak brutalny, że omal nie skręcił jej karku. Utrzymał z uporem, że nie wiedział, iż jest mężatką, a kiedy już dostrzegł jej obrączkę, oświadczył, że ofiarowuje mały prezent jej małżonkowi. Niezły podarunek - ślad na szyi stał się powodem od dawna unikanej sceny. Na swój sposób ta sytuacja przyniosła jej ulgę, mniej podobało się jej jednak to, co powiedział Nick.

Patrzył teraz na nią wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Wyglądał, jakby w ciągu kilku godzin postarzał się o wiele lat.

- Czy jesz dzisiaj kolację w pierwszej klasie? - Nic go to nie obchodziło, ale chciał przygotować sobie jakąś wymówkę dla kapitana.
- Tak, chyba tak.
- Nie musisz, jeśli nie masz na to ochoty. - To było coś zupełnie nowego i Hillary spojrzała na męża niemal zszokowana.
- A wolałbyś, żebym tam nie jadła? - W istocie zachowanie Nicka zaczynało w niej budzić lęk, ale przecież nie mogła cofnąć raz wypowiedzianych słów. Dokładnie pamiętała rozpacz, która odmalowała się na jego twarzy; tak, uraziła Nicka do głębi. A teraz... sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego, jego oczy były zaś lodowato zimne.
- Jak wolisz. Wyświadczyć jednak tę przysługę nam obojgu i jeśli zdecydujesz się na biesiadę przy kapitańskim stole, postaraj się zachować przyzwoicie. Gdyby jednak było to zadaniem ponad twoje siły, zjedz raczej kolację gdzie indziej.
- Na przykład w swoim pokoju? - Nie pozwoli traktować się jak niegrzeczne dziecko. Ani jemu, ani temu kretynowi z dołu. Zresztą nie miała specjalnej ochoty tam wracać. Odnosiła wrażenie, że cała sytuacja wymyka się jej z rąk. Będzie bezpieczniejsza w pierwszej klasie, u boku Nicka.
- Gównu mnie obchodzi, gdzie jesz, ale jeśli będziesz jeść ze mną, to



musisz dostosować się do pewnych zasad.

Nic nie odrzekła, weszła tylko do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

## Rozdział ósmy

Tego wieczoru schodząc do jadalni Hillary nie miała już na ustach uwodzicielskiego uśmiechu. Jej oczy były posępne, a twarz nieruchoma; Nick, we fraku i muszce, szedł tuż za nią. Mimo to wywarła takie samo wrażenie jak poprzednim razem. Miała na sobie haftowaną białymi perełkami białą atlasową suknię z wysoko zabudowanym przodem i długimi rękawami. Kiedy znalazła się u podnóża schodów i ruszyła przez salę, znowu przyciągnęła wszystkie spojrzenia, dekolt bowiem na jej plecach sięgał mocno poniżej talii. Nick siadając przy stole naprzeciwko Liane nie wydawał się w najmniejszym stopniu poruszony wrażeniem, jakie wywarła jego żona.

Liane natychmiast zdała sobie sprawę, że oczy Nicka patrzą teraz inaczej niż przedtem: wydawały się chłodniejsze i jakby odrobinę smutne. Przypomniała sobie podsłuchaną rozmowę. Obserwując Nicka, poczuła na sobie wzrok Armanda i natychmiast skierowała uwagę na męża. Zanim przyszli na przyjęcie, podkreślał, iż nie powinna dać po sobie poznać, że wie, co zaszło pomiędzy Burnhamami. Oświadczyła, iż nie trzeba jej przypominać o dyskrecji, Armand jednak był odmiennego zdania.

- Ależ tak, powinienem ci przypominać. Znam cię aż za dobrze. Okazujesz serce każdemu, kto twoim zdaniem doznaje krzywdy, wprawiłabyś więc tego biedaka w zażenowanie, gdybyś pozwoliła mu odczuć, że coś wiesz. Dość, że własna żona robi z niego idiotę.

Nadal uznawał całą historię za szokującą, lecz całkiem prawdopodobną. Nie mógł zresztą powstrzymać się od zerkania na Hillary. Była kobietą zdumiewająco piękną, wyglądała jednak na latawicę pierwszej wody, wysoko zabudowany przód sukienki ukrywał zaś zapewne to, co wedle słów Liane było śladem pozostawionym przez najnowszego kochanka.

Spojrzenie Armanda powiedziało Liane, iż mąż odgaduje jej uczucia, zwróciła się zatem do swojego sąsiada z lewej strony, Niemca o surowym wyglądzie; miał monokl w oku i niezliczone baretki na piersi tworzące wystawkę dostatecznie szeroką, by mogła stanąć w zawody z odznaczeniami Armanda. Był to hrabia von Farbisch z Berlina i Liane musiała uczynić nadludzki wysiłek, aby od pierwszego wejrzenia nie obdarzyć go antypatią. Armand natychmiast rozpoznał w nim owego człowieka, z którym Nick Burnham rozprawiał w palarni pierwszego dnia podróży, i zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z tych mężczyzn potwierdzi w jakiś widoczny sposób, iż się znają. Hrabia jednak na widok Nicka nieznacznie pochylił się w ukłonie, Nick zaś odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Kapitan przedstawił wszystkich obecnych - oprócz Burnhamów, de Villiersów i gospodarza przy stole zasiedli zupełnie inni ludzie niż dotąd. Liane dopiero teraz się zorientowała, z jak niewieloma osobami zawarła znajomość podczas tego rejsu.

- Czyż nie tak, madame de Villiers? - Kapitan Thoreau kończył właśnie zadawać jej jakieś pytanie i Liane oblała się rumieńcem. Tego wieczoru nie była w nastroju do spotkań towarzyskich. Wmanewrowana pomiędzy dramat Burnhamów a nieprzyjemnego Niemca, który zarzucał ją propagandowymi opowiadkami o Hitlerze, zanim zaczęto serwować kolację, miała już dość

całej imprezy i niemal żałowała, iż nie zamówili posiłku do kabiny.

- Przepraszam, kapitanie, nie słuchałam...

- Mówiłem, że nasze korty tenisowe są doskonałe. Zdaje się, że korzystała z nich pani dzisiaj rano w towarzystwie pana Burnhama.

- Graliśmy, to prawda. - Nick posłał Liane uśmiech, szczery i nie wymuszony, nie mający w sobie nic dwuznacznego. - I co więcej, madame de Villiers pokonała mnie sześć do dwóch.

- Ale najpierw straciłam dwa gemy - zaśmiała się Liane, nie czując jednak lekkości w sercu. Jej samopoczucie pogorszyło się jeszcze bardziej, kiedy pochwyciła nieprzyjazne spojrzenie Hillary Burnham.

- Naprawdę pokonał panią w dwóch gemach? - Oczy Hillary zaśniły złowieszczo. - Jestem zaskoczona, bo gracz z niego marny.

Uwaga ta stropiła nieco biesiadników, toteż Liane pospiesznie przerwała zapadłe nagle milczenie:

- Pan Burnham gra znacznie lepiej niż ja.

Poczuła na sobie spojrzenie Armanda. Niemiecki hrabia prawil siedzącej po jego drugiej stronie Amerykance o cudach dokonanych przez Hitlera i przez chwilę Liane zważyła, czy zdoła przeżyć tę kolację. U wszystkich dawało się wyczuć napięcie, którego nie zdołało złagodzić ani Chateau d'Yquem, ani Chateau Margaux, ani szampan, ani też posiłek doskonały od kawioru po suflety. Jakimś cudem tego wieczoru i jedzenie, i wino były czymś niemal przygnębiającym i zdawało się, że wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy mogli przejść do salonu na wielki bal. Myślą przewodnią imprezy było przypomnienie beztroskiej atmosfery sylwestrowej, której jednak Liane nie zdołała odczuć.

- Nie powinnaś była wygłaszać tej uwagi w obecności żony Burnhama - skarcił ją łagodnie Armand, kiedy zaczęli tańczyć.

- Przepraszam - odparła - ale ona jest taka nieprzyjemna. Ewentualnie mogłam w zamian rozbić temu Niemcowi kieliszek na głowie. Rany boskie, kim jest ten facet? Zwymiotowałabym, gdybym usłyszała jeszcze jedno słowo na temat Hitlera.

- Nie jestem pewien!. Podejrzewam, że pracuje w kancelarii Rzeszy. Na początku podróży widziałem, jak rozmawiał w palarni z Burnhamem.

Jego słowa uciszyły Liane przypominając o tym, co Armand mówił już wcześniej: że Nick prawdopodobnie prowadzi interesy z Niemcami. Wciąż ją to zbijało z tropu, wydawał się przecież tak uczciwym człowiekiem! Jakim cudem mógł zaopatrywać w cokolwiek Trzecią Rzeszę? A sprzedawał jej stal, bo Niemcy, gwałcąc postanowienia traktatu wersalskiego, zbroili się ponownie, i to na potęgę. Wszyscy od lat zdawali sobie z tego sprawę, Liane jednak napawała wstrętem świadomość, iż pomaga im w tym jeden z jej rodaków. Wydawało się, że tego wieczoru ma aż nadto tematów do przemyśleń, toteż niemal z ulgą powitała Perriera, który pojawił się o jedenastej i dyskretnie szeptem zamienił z Armandem kilka słów. Chwilę później Armand oświadczył Liane, że musi wrócić do pracy. Nie było jej przykro, kiedy przeprosiwszy kapitana, opuścili towarzystwo.

Nie miała nastroju do zabawy, z najwyższą więc radością zdjęła czerwoną suknię z mory, którą włożyła zaledwie trzy godziny wcześniej. Była to piękna kreacja, jedna z ulubionych, ale teraz, po wyjściu Armanda, Liane wzgardliwie cisnęła ją na krzesło i położyła się z książką. Obiecała mężowi, że będzie na niego czekać, chociaż powiedział, że wcale nie musi tego robić. Nawet jednak książka nie zainteresowała Liane tego wieczoru. Mogła myśleć tylko o intrygujących Burnhamach - o Nicku z jego tajemniczymi

interesami i Hillary z jej gorejącymi oczyma i posepnie zaciśniętymi ustami.

Przez pół godziny próbowała czytać, w końcu dała za wygraną, wstała z łóżka i naciągnawszy spodnie oraz ciepły sweter, usiadła na tarasie, na tym samym krześle, które zajmowała, kiedy mimowolnie podsłuchiwała rozmowę Hillary i Nicka. Do jej uszu słabo dobiegała muzyka z salonu. Zamknawszy oczy, Liane wyobraziła sobie tańczących ludzi. Była szczęśliwa, iż nie musi tam być dzisiejszego wieczoru. Bał sprawiłby jej na pewno przyjemność, gdyby miała u boku Armanda lub gdyby była w lepszym nastroju, skoro jednak Armand pracował, taniec z kapitanem, Niemcem czy którymś z tych nieznanomych mężczyzn sprawiłby ją najwyżej w przygnębienie.

Tego wieczoru Liane nie była jedyną przygaszoną osobą. Rozmyślając nad najnowszymi błazeństwami żony, Nick nie sprawiał wrażenia człowieka pogodnego. Hillary szybko doszła do siebie po awanturze, a potem ruszyła w tany - z kapitanem, z niemieckim hrabią, wreszcie z młodym Włochem, sprawcą niemałego poruszenia na pokładzie statku. Włoch ów, wraz z kobietą, która nie będąc jego żoną towarzyszyła mu w podróży, wydawał w swoim apartamencie nieustanne przyjęcia, kończące się - wedle pogłosek - prawdziwymi orgiami; ponoć razem i z osobna gospodarze ochoczo podejmowali wszelkie formy aktywności seksualnej z każdym, bez względu na płeć, kto wyraził na to ochotę. Byli ludźmi dokładnie pokroju Hillary, myślał Nick, mieszając szampana złotą pałeczką, którą w podobnych okazjach zawsze nosił przy sobie. Szampanowe bąbelki nieodmiennie przyprawiały go o ból głowy następnego dnia, w związku z czym jeden z niemieckich przyjaciół już przed wielu laty obdarował Nicka tą pałeczką zapewniając, iż pozwoli mu uniknąć kaca po szampanie. I rzeczywiście pozwalała.

Nicka przepełniła smutkiem myśl o tym, co dzieje się z Niemcami: ulegali głupcom takim jak hrabia, a ich kraj był systematycznie niszczone przez Hitlera. Na pierwszy rzut oka wydawało się oczywiste, iż Niemcy nigdy nie przeżywały tak dobrego okresu: ludzie mieli pracę, wszystko działało jak w zegarku, fabryki pracowały pełną parą - a jednak w żyłach mieszkańców tego kraju niepostrzeżenie zaczynała płynąć trucizna. Nick wyczuwał to i niepokoił się coraz bardziej, ilekroć odwiedził Berlin, Monachium czy Hanower. Podejrzewał, że podczas obecnej wizyty spotka się z jeszcze wyższym stopniem tego zatrucia. Umówił się z hrabią w Berlinie za trzy tygodnie w celu przedyskutowania najnowszych umów, chociaż robił z nim interesy już od roku, szczerze go nie znosił.

Podobnie jak Liane stwierdził, że nie potrafi tego wieczoru skoncentrować się na czczej paplaninie. Nagle to wszystko wydało mu się nie do zniesienia, miał też serdecznie dość oglądania, jak Hillary oddaje się ulubionym rozrywkom. Dopiwszy szampana, podszedł do kapitana i wyjaśnił, że ma jeszcze w kabinie jakąś pracę, nie chce pozbawiać żony dalszych atrakcji związanych z balem, prosi zatem o wybaczenie...

Kapitan oczywiście wyraził pełne zrozumienie, przyznał także, iż świadom jest, że jego statek to nie tylko miejsce rozrywki dla podróżnych, ale i wielkie pływające biuro ludzi na wysokich stanowiskach. Wspomniał przy tej okazji o Armandzie, którego też wezwały obowiązki.

- Ogromnie mi przykro, że pan także musi zająć się dzisiaj pracą - powiedział.

- Trudno, kapitanie. - Wymienili uśmiechy i Nick zniknął, rad, iż może się odciąć od muzyki i tłumu. Czuł, że gdyby miał zostać jeszcze chwilę usiłując gawędzić i uśmiechać się bez ustanku, eksplodowałby jak granat.

Poza tym nie miał najmniejszej ochoty oglądać Hillary.

Kiedy kilka chwil później dotarł na pokład plażowy, przywołał ochmistrza. Podjął był decyzję już poprzedniego wieczoru. Ochmistrz, przyzwyczajony do dużo bardziej ekscentrycznych żądań, nie okazał zdumienia prośbą Nicka, który wyjaśnił mu, że potrzebuje na resztę podróży dodatkowego gabinetu na biuro, przed dopłynięciem do Hawru będzie musiał bowiem nieco popracować. Ochmistrz przydzielił Nickowi dwóch stewardów i kwadrans później przyległy do apartamentu Burnhamów gabinet był gotowy. Nick nie zostawił żonie nawet liściku. Nie był jej winien żadnych wyjaśnień.

Rozejrzał się po pokoju, przyjemnie urządzonego w stylu art deco. Było to pomieszczenie zajmowane zwykle przez sekretarki, służące czy dzieci. Odpowiadało mu doskonale i Nick po raz pierwszy w tej podróży poczuł się swobodnie. Wyszedł na taras i spojrzał w stronę apartamentu Trouville, gdzie spostrzegł Liane na leżaku. Siedziała z odchyłoną głową i przymkniętymi oczyma. Wydawało się, że śpi. Przyglądał się jej przez chwilę, Liane zaś, jak gdyby wyczuwając czyjąś obecność, otworzyła oczy i popatrzyła na Nicka. Stał w innej części tarasu niż podczas kłótni z żoną, kiedy w żaden sposób nie mógł zauważyć Liane. Widział ją jednak teraz. Liane z pytającym wyrazem twarzy uniosła się na leżaku.

- Nie jest pan na przyjęciu?

- Jak widać, nie - uśmiechnął się zza balustrady. - Nie chciałem zakłócać pani spokoju.

- Nie zakłócił pan. Po prostu delektowałam się ciszą nocy.

- Ja też. Co za ulga po całym tym zgiełku!

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - Takie imprezy bywają niekiedy uciążliwe, prawda?

- Jezu, myślałam, że pęknę, jeśli jeszcze raz się do kogoś uśmiechnę.

- Ja też - odparła Liane.

- Ale pani, jako żona ambasadora, musi mieć wiele podobnych obowiązków. Dla mnie byłyby zbyt wyczerpujące.

- Mnie także czasami wyczerpują - przyznała się Liane. Nie wiedzieć czemu bez trudu się przed nim otwierała. - Ale na ogół sprawiają mi niejaką przyjemność. Tylko że mam męża, który mi pomaga... - Usłyszawszy jej słowa, Nick spochmurniał, rozmyślając o Hillary, która najpewniej tańczyła w tej chwili z Włochem. Na widok wyrazu jego twarzy Liane się zorientowała, że nie wykazała się taktem.

- Przepraszam, nie chciałam powiedzieć... - zaczęła, co jeszcze pogorszyło sprawę.

Nick popatrzył na nią ze smutnym chłopięcym uśmiechem.

- Proszę nie przepraszać. Nie sędzę, żeby stan mojego małżeństwa był wielką tajemnicą. Niewiele mamy wspólnego... Niewiele prócz syna i wzajemnej nieufności.

- Przykro mi. - Jej słowa w ciszy nocy były prawie bezgłośnie. Musi być panu ciężko...

Westchnął cicho, podniósł wzrok ku niebu, potem znów spojrzał na Liane. - Chyba tak... Zresztą sam już nie wiem, Liane. Wiem tylko, że trwa to już od bardzo dawna. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, ale nie miała mu tego za złe. - Przypuszczam, że Hillary teraz pozwala sobie na dużo więcej niż na początku. Walczyła z tym małżeństwem już od pierwszego dnia... Moja porwana narieczona...

- Próbował się uśmiechnąć, lecz efekty były mizerne. - Między tym, co powiedziałaś mi o waszym małżeństwie, a moim związkiem jest otchłań.

- Małżeństwo rzadko bywa łatwe na co dzień. My też mamy trudne chwile, ale łączą nas wspólne cele, wspólne uczucia i zainteresowania.

- Poza tym w niczym nie przypominasz mojej żony.

Spojrzał jej prosto w oczy, uświadamiając sobie nagle, że musiała słyszeć ich popołudniową rozmowę. Miał co do tego pewność, choć nie wiedział, skąd się bierze. Liane zaś odgadła, że Nick wie. Gdyby ją w tej chwili zapytał, nie usiłowałaby się wyprzeć. Wyczuwała, że ten mężczyzna potrzebuje przyjaciela i szczerzej, otwartej rozmowy.

Nick odnosił wrażenie, jak gdyby jego dusza otwierała się na oścież, nagle odczuł w sobie potrzebę znalezienia pomocnej dłoni. Liane była gotowa przyjąć na siebie rolę człowieka, który mu ją poda, on zaś wyczuwał tę gotowość i był jej za nią wdzięczny.

- Moje małżeństwo jest czystą kpina, Liane, kpina ze mnie. Hillary nigdy nie była mi wierna. Musiała udowodniać, że nie należy do nikogo, a już na pewno nie do mnie.

- A czy ty jesteś jej wierny? - zapytała łagodnie.

- Dotąd byłem. Nie wiem dlaczego. Zapewne z głupoty - wyznał i przypomniał sobie teraz ślad po ugryzieniu na szyi żony, istotnie poczuł się jak głupiec. I coś w nim zadrżało. - Nie powinienem dzielić się z tobą swoimi problemami, Liane. Muszę wyglądać idiotycznie, kiedy stojąc tu, skomlę na temat żony. Wiesz, największe przekleństwo polega na tym, że nie mam nawet pewności, czy mnie to wszystko obchodzi. Widziałem dzisiaj, jak tańczy z różnymi facetami, i zupełnie nic nie czułem. Obchodzi mnie to, co widzą ludzie, co myślą, ale nie jestem pewien, czy ona mnie obchodzi. Kiedyś, owszem, obchodziła mnie bardzo, ale to już chyba bezpowrotnie minęło. - Wpatrzony w morze, rozmyślał o nadchodzących latach. Wiedział, że pozostanie z Hillary, dopóki John nie dorośnie, lecz co potem? Znów spojrzał Liane w oczy. - Przez to wszystko czasami czuję się jak starzec, jakbym miał już za sobą te szczęśliwe chwile, które dzieli się z drugim człowiekiem. Tę ekstazę, jaką daje tylko miłość. Wątpię, żebym to jeszcze kiedyś przeżył... - mówił głosem cichym i smutnym.

Liane wstała i podeszła bliżej.

- Nie mów tak. Masz jeszcze przed sobą wiele, wiele lat, a skąd możesz wiedzieć, co życie trzyma dla ciebie w zanadrzu?

Armand często powtarzał tę myśl. Na własnej skórze przekonał się o jej prawdziwości po śmierci Odile, kiedy po roku rozpaczy w jego życie wkroczyła Liane.

- Wiesz, co życie trzyma dla mnie w zanadrzu, moja droga? Interesy, kontrakty, kolacje z ważnymi facetami. Niewiele w tym tego, co w chłodną noc mogłoby ogrzać serce.

- Masz syna - przypomniała Liane głosem równie cichym jak głos Nicka.

Skinął głową i Liane odniosła wrażenie, że widzi łzy w jego oczach.

- Mam. I dziękuję za to Bogu. Umarłbym bez Johna. - Wzruszyła ją miłość Nicka do syna, ale wiedziała, że nie jest dobrze, jeśli mężczyzna w jego wieku ma tylko dziecko. Potrzebował kobiety, potrzebował odwzajemnionej miłości. Patrzył teraz smętnie na Liane.

- Mam trzydzieści osiem lat i czuję się tak, jakbym nie miał już przed sobą dosłownie nic.

Tej strony jego cierpienia Liane nie poznałaby nigdy, gdyby nie doszło pomiędzy nimi do tej nocnej rozmowy. Przecież sprawiał wrażenie człowieka tak pewnego siebie, tak pełnego życia... Z drugiej strony jednak widziała, jaka jest Hillary, wiedziała o jej skłonności do nieustannych wędrówek

po między łózkami różnych mężczyzn.

- Dlaczego nie spróbujesz się z nią rozwieść i wywalczyć prawa do opieki nad synem?

- Myślisz, że miałbym szansę? - spytał niedowierzająco.

- Może.

- W Stanach, gdzie ludzie wierzą w macierzyństwo i domowe obiady? Poza tym musiałbym udowodnić, jaka jest naprawdę, a skandal zniszczyłby nas wszystkich. Nie chcę, żeby Johnny się o tym dowiedział.

- W końcu i tak się dowie. Jeśli taka jest prawda.

Skinął głową. W pewnym sensie miała słuszość, wiedział jednak, że nie ma wielkiej szansy na uzyskanie praw do opieki nad synem. Hillary dysponowała rodzinnymi funduszami, które umożliwiłyby jej procesowanie się bez końca, nigdy zaś nie słyszał, żeby mężczyzna wygrał z żoną spór o opiekę nad dzieckiem. On też nie wygra. - Myślę, moja droga, że muszę pogodzić się z tym, co mam. Przynajmniej na ten najbliższy rok zmieniamy otoczenie. Będę miał wiele pracy.

- Jak my wszyscy. - Liane zapatrzyła się w mrok, potem znów spojrzała na Nicka. - Kiedy człowiek nocą spogląda na morze, trudno mu uwierzyć, że gdzieś tam jest świat pełen niepokojów. - Była ciekawa, jaką sytuację zastanie we Francji, zwłaszcza w świetle przewidywań Armanda co do rychłego wybuchu wojny. - Co będziesz robił, jeśli rozpęta się wojna, Nick? Wrócisz do Stanów?

- Chyba tak. Być może zostanę na kontynencie przez jakiś czas, żeby pozakańczyć interesy... O ile będę mógł je zakończyć. Ale nadal nie wierzę, że niebezpieczeństwo wybuchu wojny w tym roku jest realne - oświadczył, choć wiedział, że Niemcy przygotowują się do wojny, co wynikało jasno ze skali jego interesów z Rzeszą. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, iż nie są jeszcze w pełni gotowi. - Miejmy nadzieję, że wszyscy na czas zdążymy wrócić do kraju. Ameryka nigdy nie zaangażuje się w wojnę europejską. Tak przynajmniej utrzymuje Roosevelt.

- Armand powiada, że Roosevelt mówi co innego, niż myśli. Że przygotowuje się do wojny już od kilku lat.

- Myślę, że to działanie prewencyjne. Poza tym dobrze służy gospodarce, bo daje ludziom pracę.

- I przypuszczalnie dobrze służy też tobie. - Nie mówiła oskarżycielsko, po prostu konstatowała fakty. Miała zresztą słuszość: branża Nicka prosperowała znakomicie. Popatrzył jej w oczy.

- Tobie też przynosi korzyści - rzekł, doskonale wiedząc, jak znakomicie rozkwitały w ostatnich latach linie żeglowne Crockettów.

Liane, chociaż doskonale pojęła, do czego zmierza Nick, pokręciła przecząco głową.

- Ja do tego świata już nie należę - wyznała, odkąd bowiem George zastąpił jej ojca na czele firmy, właściwie zerwała wszelkie więzy z tym życiem.

- Należysz, Liane, należysz - rzekł Nick, przypomniawszy sobie, że jest jedyną dziedziczką Harrisona Crocketta. Nie mógł się nadziwić, że zupełnie tego po sobie nie daje poznać. W przeciwieństwie do Hillary, która pyszniła się drogimi sukniami, futrami i klejnotami, w Liane było coś bardzo dyskretnego. Ktoś, kto by nie znał jej panińskiego nazwiska, nie odgadłby nigdy, kim jest naprawdę.

- Cięży też na tobie niemała odpowiedzialność.

- Za co? - spytała jakby stropiona.

- Jeśli wybuchnie wojna, twoje statki będą wozic żołnierzy, będą brały udział w bitwach, w których zginą ludzie.

- Nie możemy tego powstrzymać.

Nick uśmiechnął się do niej smętnie. - Niestety, masz całkowitą słuszność. Czasem o tym rozmyślam. O tym, jak wykorzystywana jest nasza stal do budowy machin wojennych... I coż mógłbym zrobić, żeby to zmienić? Niewiele. Właściwie nic.

- Ale handlujesz z Niemcami, prawda?

Zawahał się. - Tak. Za trzy tygodnie będę w Berlinie. Robię też interesy z Włochami, Belgią, Anglią i Francją. To potężny przemysł, Liane, a przemysł rzadko miewa serce.

- Miewają je za to ludzie - rzekła spoglądając mu prosto w oczy, jakby w oczekiwaniu na coś więcej.

- To nie takie proste.

- Tak właśnie mówi Armand.

- I ma słuszność.

Przez kilka chwil nie odpowiadała, obudził w niej bowiem coś, o czym nie myślała już od bardzo dawna - poczucie odpowiedzialności za linie żeglugowe ojca. Odkładała dywidendy do banku, wypisywała czeki, nigdy się jednak nie zastanawiała, dokąd pływają i co wożą jej statki. Dlatego też poczuła się teraz bezradna, bo przecież nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby kwestionować poczynania wuja George'a. Gdyby ojciec żył, wiedziałaby o tym wszystkim więcej. Gdyby żył...

- Znałeś mojego ojca, Nick?

- Nie. Za jego życia naszą firmę reprezentował na Zachodnim Wybrzeżu ktoś inny. A zresztą w tamtych czasach dopiero zdobywałem ostrogi na Wall Street.

- Był wyjątkowym człowiekiem... - powiedziała w zadumie.

Nickowi, gdy patrzył ponad relingiem na Liane, nietrudno w to było uwierzyć. Ujął ją za rękę.

- Ty też jesteś wyjątkowa.

- Nie, nie jestem. - Nie cofnęła dłoni z ręki Nicka, cieplej, silnej i tak odmiennej od smukłych arystokratycznych palców Armanda, okrytych skórą pomarszczoną już przez wiek...

- Po prostu nie wiesz, jaka jesteś wspaniała, i to właśnie stanowi część twojej wyjątkowości. Nie wiesz, jaka jesteś mądra i silna. Bardzo mi dzisiaj pomogłaś. Zaczynałem być tym wszystkim zmęczony i oto nagle, kiedy staliśmy tutaj, życie przestało mi się wydawać takie złe.

- Bo nie jest złe. A kiedyś stanie się dla ciebie znacznie lepsze.

- Dlaczego tak sądzisz? - Wciąż trzymał za rękę uśmiechającą się do niego Liane. Był atrakcyjnym mężczyzną w kwiecie wieku i myśl o tym, że marnuje swoje życie z żoną taką jak Hillary, sprawiała Liane przykrość.

- Wierzę w sprawiedliwość, ot co.

- W sprawiedliwość? - Był niemal rozbawiony.

- Sądzę, że człowiek musi przeżywać trudności po to, aby stał się silny.

W końcu jednak uczciwi ludzie zawsze są nagradzani innymi uczciwymi ludźmi, którzy stają u ich boku. I wtedy wszystko idzie ku lepszemu.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał zaskoczony.

- Naprawdę.

- Ja jestem nieco bardziej sceptyczny...

Taki sam był Armand, przypuszczalnie zresztą większość mężczyzn. Liane wciąż jednak wierzyła, iż życie niesie człowiekowi głównie dobro. Wiedziała

oczywiście, że na świecie istnieją również nieszczęścia - umierają dzieci, ludzie konają w straszliwych mękach - mimo to była przekonana, że życie jest sprawiedliwe w tym wszystkim, co ludziom przynosi. Hillary dostanie za swoje, Nick także otrzyma to, na co zasłużył.

- ...ale żywię nadzieję, że masz słusność, moja droga - dokończył Nick. Spodobało jej się to, co powiedział, takich zresztą słów oczekiwała. - Liczę, że spotkamy się kiedyś w Paryżu, jeśli oczywiście nie pochłonie was życie dyplomatyczne.

- A ciebie interesy. - Uśmiechnęli się i w końcu Liane cofnęła dłoń. - Mówi się, że na statkach wszystko dzieje się szybciej: przyjaźnie, romanse. A potem, kiedy ludzie schodzą na ląd, wszystko wraca do normy i przychodzi zapomnienie.

Nick pokręcił głową.

- Ja ciebie nie zapomnę. Jeśli kiedykolwiek będzie ci potrzebny przyjaciel, dzwoń. Przedsiębiorstwo Burnham Steel znajdziesz w paryskiej książce telefonicznej. Szukaj pod nazwą Burnham Company.

Myśl o tym, że będzie go mogła odnaleźć, sprawiła satysfakcję Liane, która jednak nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że telefonuje do Nicka. Jej życie z Armandem nie pozostawiało nic do życzenia, bardziej zatem prawdopodobne było to, że oni będą potrzebni Nickowi.

Patrząc na morze, stali w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, wreszcie Liane zerknęła na zegarek i powiedziała:

- Obawiam się, że mój mąż pracuje zbyt ciężko. Zamierzałam na niego poczekać, ale chyba pójdę jednak spać. Jutro ostatni dzień rejsu i czeka mnie solidne pakowanie. - Bagaż zabrali imponujący, lecz przecież musieli być przygotowani na sytuacje szczególne: teatr, kolacje przy kapitańskim stole, Liane każdego dnia musiała przebierać się na lunch i podwieczorek. Panowie mieli o wiele mniejszy problem, im bowiem wystarczał frak, smoking, koszule i muszki. - Zabawne, byliśmy na statku zaledwie dziesięć dni, a człowiek odnosi wrażenie, że podróż trwała dziesięć tygodni.

- Ja też mam takie wrażenie - uśmiechnął się Nick, który marzył, by znaleźć się już u celu. Miał dosyć wszystkiego i był rad, że do końca rejsu pozostał już tylko dzień. Naraz przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. - Co byś powiedziała na mecz tenisowy w ostatnim dniu podróży?

- Chętnie, pod warunkiem że Armand będzie zajęty - odparła, żywiąc cichą nadzieję, że nie będzie. Nick bardzo się jej podobał, ale rozpaczliwie pragnęła spędzić choć trochę czasu z mężem.

- Oczywiście. Wpadnę do ciebie jutro rano i wtedy powiesz mi, jak sprawy stoją.

- Dziękuję ci, Nick. - Patrzyła nań przez dłuższą chwilę, potem dotknęła jego ramienia. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i odszedł. Była niezwykłą kobietą i żałował, że nie spotkał jej wcześniej. Chociaż... miał wtedy dopiero dwadzieścia kilka lat i zapewne nie zainteresowałby się Liane. Wówczas szukał ruchu, emocji, mocnych wrażeń, hulanki, kobiet, które zapierały dech w piersiach i tańczyły całymi nocami. Nie umiał wyobrazić sobie Liane oddającej się takim zajęciom. Była zbyt poważna, opanowana. Zbyt mądra... Ona też przypuszczalnie nie zwróciłaby na niego uwagi. A przecież chciałby ją ujrzeć, jak bosy biegnie przez ogród o północy... albo pływa w basenie... albo z rozwianym włosom stoi na plaży... Przepelniała go poczuciem ukojenia, cichego, szczęśliwego piękna, i kiedy wracał do siebie, uświadomił sobie, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna odczuwa



spokój.

## Rozdział dziewiąty

- Gdzie się włóczyłeś cały wieczór? - Hillary patrzyła na Nicka wzrokiem przyćmionym przez opary szampana. Nie wyglądała na zadowoloną, kiedy wszedł do apartamentu i nalał sobie kawy do filiżanki.

- Byłem u siebie.

- To znaczy gdzie?

- Obok.

- Sprytnie. Widziałam, że przenieś swoje rzeczy.

- I zapewne krzychałem przez sen całą noc - rzekł z odrobiną zjadliwości, nie odrywając wzroku od gazety okrętowej i rogalika, którego smarował masłem.

- Nie pojmuję, do cholery, dlaczegoś się przeprowadził.

- Doprawdy? - Mówił z niezwykłym spokojem, na co zareagowała wściekłym spojrzeniem.

- Czy te osobne pokoje to jakiś nowy pomysł w naszym życiu? A może przenieś się tylko na złość?

- Czy to ma jakieś znaczenie, Hil? - Spojrzał sponad gazety i odłożył ją na bok. - Jestem przekonany, że tak będzie lepiej. A nic ci wczoraj nie powiedziałem, bo wyglądałaś na tak zadowoloną z balu, że nie chciałem psuć ci zabawy.

- Jak również swojej zabawy. Dzisiaj też grasz w tenisa? - Jej pytanie było z pozoru całkowicie niewinne, ale ze spojrzenia, które posłała Nickowi, ów zorientował się, że to jeszcze nie koniec.

- Jak tam twoja przyjaciółeczka, pani ambasadorowa? - Z satysfakcją stwierdziła, że w końcu drgnął. - Przypuszczam, że gracie nie tylko w tenisa. Czyżby mały pokładowy romansik? - Jej głos ociekał jadem.

- To bardziej w twoim stylu aniżeli w moim.

- Nie jestem taka pewna.

- Zatem nie znasz mnie zbyt dobrze. Ani jej. Przypuszczam jednak, że po prostu odnosisz swoje normy do reszty świata. Na szczęście nie są przystawalne.

- Och, mój drogi nieskalany świętoszku!... Czyżby twoja przyjaciółeczka była aż tak słodka i czysta? - Roześmiała się głośno i szybkim krokiem przemierzyła pokój. - Wątpię. Wygląda mi na dziwkę.

Nick zerwał się z krzesła, jego oczy błysnęły groźnie.

- Nie mów źle o ludziach, których nie znasz. O ile się orientuję, jesteś jedyną dziwką na tym statku. Jeżeli tobie ten status odpowiada, w porządku, ale nie trać czasu na szukanie podobnych ci osób. Takie określenie nie pasuje do nikogo oprócz ciebie i powinnaś być zadowolona, że nie wszyscy na statku rzucają ci je w twarz.

- Nie ośmieliliby się.

- Przy tempie, które sobie narzuciłaś, któregoś dnia jednak się ośmielą.

- A tobie wcale się to nie spodoba...

Wstała stropiona tym, co dojrzała w jego oczach, Nick bowiem nie wyglądał na człowieka, który się czymkolwiek przejmuje. Nie był rozgniewany, nie był smutny, był po prostu obojętny. Poruszyła go tylko zniewaga pod adresem Liane.

- Nie jestem pewien, czy obchodzi mnie, co na twój temat mówią ludzie.

Znam prawdę, a czy coś poza nią ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Czyżbyś zapomniał, że jestem twoją żoną? To, co robię, rzutuje też na ciebie.

- Czy to coś w rodzaju groźby?

- Nie, to stwierdzenie faktu.

- Nie powstrzymywało cię to wcześniej i nie rozumiem, dlaczego miałoby powstrzymywać teraz. Od lat cały Boston i Nowy Jork mogą oglądać twoje prawdziwe oblicze. Jedyna różnica polega na tym, że teraz chcę stawić temu czoło.

- I pozwolić mi na to, na co mam ochotę? - zapytała oszołomiona.

- Dopóki będziesz względnie dyskretna, co niestety byłoby dla ciebie czymś zupełnie nowym.

- Ty łajdaku!

Kiedy rzuciła się na niego, złapał ją tak mocno za rękę, aż Hillary się przeraziła. Nick był silnym mężczyzną i oto pozbył się hamulców, które dotąd nie pozwalały mu użyć siły.

- Nie trać czasu, Hil - poradził spokojnie. Niczym już nie mogła na niego podziałać: ani swoim gniewem, ani urokiem. I kiedy stali tak w jadalni naprzeciwko siebie, Hillary raptem się rozplakała.

- Nienawidzisz mnie, prawda?

Popatrzył na nią z góry i pokręcił głową, zaskoczony tym, jak niewiele w tej chwili do niej czuje. Kilka dni wcześniej tliła się w nim jeszcze jakaś nadzieja, lecz poprzedniego dnia zgasła ostatecznie i to - jak sądził

- na zawsze. Był z tego nawet zadowolony.

- Nie, wcale nie.

- Ale gównu cię obchodzę. Zawsze tak było.

- To nieprawda. - Usiadł, wdychając ze znużeniem. - Kiedyś mnie obchodziłaś. I to bardzo. - Jego głos złagodniał, - Bardzo cię kochałem. Ale przez lata toczyłaś ze mną nieustającą wojnę, którą nareszcie wygrałaś. Nie chcesz być moją żoną, ale nią jesteś. Musimy zatem oboje z tym się pogodzić. Z powodu Johna nie mogę wypuścić cię z rąk, ale też nie mogę cię zmusić, żebyś poczuła coś, czego nie czujesz. Nie mogę także, i to nawet na tym statku, powstrzymać cię od włożenia do łóżek innych mężczyzn. A zatem, Hillary, gra skończona. Ty sformułowałaś zasady, ja będę ich przestrzegać, tylko nie oczekuj ode mnie, że będziesz mnie obchodziła tak bardzo jak niegdyś. Nie obchodzisz mnie i nie chcę się tobą przejmować. Tego właśnie pragnęłaś i dopięłaś swego. - Wstał i ruszył ku drzwiom.

- Co robisz? - jakby się nagle wystraszyła. Nie chciała być oddaną żoną Nicka, nie chciała być kobietą dojrzałą, nie chciała się podporządkować wymogom konwenansów, ale wciąż go potrzebowała.

- Wychodzę.

- Dokąd?

- Nie mogę ujść daleko. Przynajmniej będziesz wiedziała, że jestem gdzieś na statku. Ale na pewno przyjaciele wypełnią ci czas bez reszty. Zamknął drzwi i poszedł do swojego pokoju. Czuł się znacznie lepiej niż przez wszystkie ostatnie lata.

Pół godziny później wyruszył na poszukiwania syna, którego znalazł przy basenie. Popływali razem, potem zostawił Johna z kolegami i poszedł się przebrać. Rozmyślał o Liane, która - miał nadzieję - znajdzie czas na jeszcze jeden mecz tenisowy. Pragnął jej powiedzieć, jak bardzo mu pomogła minionego wieczoru. Kiedy ją jednak ujrzał, rozradowana spacerowała u boku

Armanda; ich głowy skłaniały się ku sobie, a Liane śmiała się z czegoś, co powiedział mąż. Nick nie chciał im przeszkadzać, poszedł więc do palarni, wiedząc zaś, że w każdym innym miejscu na statku mógłby się natknąć na żonę, przesiedział tam całe popołudnie. W końcu wrócił do siebie, a ponieważ właśnie w tej chwili zabrzmiały dzwonki zapraszające na kolację, przebrał się, jak każdego wieczoru, we frak z białą muszką, po czym udał się do salonu ich apartamentu na spotkanie z żoną. Miała na sobie czarną suknię z tafty i kurtkę ze srebrnych lisów, ale nawet to było mu dziś obojętne. Odnosił wrażenie, że w ciągu jednej nocy uwolnił się od udreń, które sprawiała mu tak długo. To ugryzienie w szyję było kroplą przepelniającą kielich.

- Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję. - Jej oczy były obce i chłodne. - Jestem zdumiona, że wróciłeś.

- Sam nie wiem dlaczego. Chyba dlatego, że co wieczór chodzimy razem na kolację.

- Kiedyś też sypialiśmy razem - stwierdziła zaczepnie, Nick wszakże nie chciał się wdawać w roztrząsanie tej kwestii; nie teraz, kiedy stali tak blisko uchylonych drzwi do pokoju Johnny'ego.

- Rozumiem, że wedle nowych, ustalonych przez ciebie zasad wspólne występy publiczne są w porządku, podczas gdy prywatne nie wchodzą w grę?

- Masz mniej więcej słuszność - odparł chłodno i poszedł pocałować Johna na dobranoc.

Chłopiec spojrzał na niego z jasnym uśmiechem

- Ładnie pachniesz, tatusiu.

- Dziękuję panu, pan również. - Dzieciak pachniał mydłem i szamponem.

Raptem Nick zapragnął побыć z nim trochę dłużej, lecz w drzwiach pokoju stała już Hillary.

- Jesteś gotów?

- Tak. - Nick wstał i podążył za nią, a John wrócił do zabawy z piastunką.

W jadalni Burnhamowie zajęli miejsca przy tym samym stole, przy którym towarzystwo wzbudziło kiedyś dezaprobatę Hillary, lecz teraz już nie miało to żadnego znaczenia - Nick i jego żona spędzali ze sobą ostatni wspólny wieczór.

Panowała atmosfera zaprawionej goryczą radości i żalu; ludzie, którzy poznali się podczas rejsu, stali w przyjacielskich grupkach bądź spacerowali po pokładzie. Nawet muzyka brzmiała rzewnie i smutno. Nick ujrzał Armanda i Liane, której znów zapragnął coś powiedzieć, ale chwila nie wydawała się odpowiednia.

- Żałujesz, że rejs się już kończy? - zapytał Armand, z czułym uśmiechem patrząc na Liane. Wyglądała tak pięknie w jasnoniebieskiej sukni z organdy! W uszach miała kolczyki z osadzonymi w złocie akwamarynami i brylantami, do tego naszyjnik będący częścią olbrzymiej kolekcji klejnotów odziedziczonych po matce. - Czy mówiłem ci już, że pięknie wyglądasz?

- Dziękuję, kochanie. - Przechyliła się, aby pocałować go w policzek. - Przykro mi, że to koniec podróży, ale też jestem szczęśliwa. Dojrzałam już do tego, żeby wrócić do domu.

- Już? Czyżbyś nie zamierzała jeszcze przez jakiś czas zostać ze mną w Paryżu?

- Przecież wiesz, co mam na myśli - odparła z uśmiechem.

- Chciałabym być już w Paryżu i otworzyć dom.

- Wiem, że szybko się z tym uporzysz. Po tygodniu wszystko będzie wyglądało tak, jakbyśmy tam mieszkali od dwudziestu lat. Nie wiem, jak to robisz, Liane, że w okamgnieniu na ścianach pojawiają się obrazy, w oknach zasłony, stół jest nakryty, a dotknięcie twoich rąk czuję w każdym pokoju.

- Być może zostałam stworzona na żonę dyplomaty - powiedziała żartobliwie, choć oboje wiedzieli, że to prawda. - Albo Cygana. Czasem myślę, że to taki sam los.

- Błagam, nie mów tego w ministerstwie.

Spacerowali delektując się ciepłą nocą i rozprawiając o dniach spędzonych na statku.

- Szkoda, że nie mogłem ci poświęcić więcej czasu. Prawie żałowałem, że zabrałem Perriera, który ma bez wątpienia za dużo zapału do pracy.

- Tak samo jak ty.

- Naprawdę? Cóż, być może to się zmieni, kiedy znajdziemy się we Francji. Na takie dictum Liane parsknęła śmiechem, nie miała bowiem złudzeń, tak samo zresztą jak Armand.

- Z czego to wnioskujesz? - spytała.

- Bo chcę, żeby tak było. Chcę spędzać z tobą więcej czasu.

- Ja też. - Westchnęła ciężko, lecz nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej. - Ale rozumiem.

- Wiem, że rozumiesz, tylko to nie jest uczciwe. Przed laty w Wiedniu żyliśmy zupełnie inaczej.

Istotnie, mieli wtedy czas na długie spacery po lunchu i spokojne popołudnia, kiedy Armand wracał z pracy. Ale to naprawdę działo się bardzo dawno temu. Byli teraz inni, tak samo jak inny był świat.

- Nie byłeś wtedy tak ważną osobistością, kochanie.

- Teraz też nie jestem zbyt ważny. Po prostu przepracowany, a sama wiesz, że czasy są niespokojne. - Skinęła głową, przypominając sobie nagle wieczorną rozmowę z Nickiem. Przy śniadaniu, używając określenia "sąsiedzka pogawędka", wspomniała o niej mimochodem Armandowi, on jednak, mając w perspektywie rychłe spotkanie z Perrierem, praktycznie nie zwrócił uwagi na słowa żony.

Teraz przystanęli w milczeniu na pokładzie, spoglądając w kierunku Francji. Liane hołubiła w duszy nadzieję, że to, co zastaną po dotarciu na miejsce, zada kłam przekonaniom Armanda, a przynajmniej podważy je w jakimś stopniu. Bała się wybuchu wojny. Bała się sytuacji, w której obowiązki pochłoną Armanda bez reszty. Pragnęła, by mieli dla siebie więcej czasu. Był to nader egoistyczny powód dla pacyfizmu...

- Wracamy, kochanie? - spytał wreszcie Armand. Potakująco skinęła głową.

Kiedy cicho zamykali za sobą drzwi, Nick zbliżał się do swojego nowego pokoju. Zanim do niego wszedł, stanął na moment, myśląc o poprzednim wieczorze i kobiecie, której dłoń trzymał w swojej przez kilka krótkich minut. Liane powiedziała wtedy, że wszystko w jego losie musi się odmienić. Miał tylko nadzieję, że ta odmiana nadejdzie już niebawem...

## Rozdział dziesiąty

"Normandie" wpłynęła do portu w Hawrze rankiem następnego dnia, kiedy pasażerowie kończyli śniadanie, Ich bagaże były spakowane, dzieci ubrane, guwernantki stały w pełnej gotowości, a wszystkich gnębiło poczucie żalu,

że rejs dobiega końca. Romanse, które zrodziły się na statku, wydawały się znanadto poważne, przyjaźnie zbyt serdeczne. Gorączkowa aktywność na nabrzeżu dowodziła jednak, iż wszystko dobiegło kresu. Kapitan stał na mostku pilnując, żeby wszystko przebiegało gładko - dla niego był to po prostu koniec kolejnego rejsu przez Atlantyk. Bezpiecznie doprowadził "Normandie" do Francji.

W apartamencie Trouville Armand i Liane byli gotowi do zejścia na ląd. Dziewczynki na tarasie podskakiwały jak piłeczki obserwując wejście statku do portu. Potem pomachały Johnowi, który ubrany w biały lniany garniturek, białą koszulę, podkolanówki i trzewiki stał z rodzicami przed apartamentem Deauville. Jego matka w białej jedwabnej sukience i ogromnym strojnym kapeluszu wyglądała z okna. Nick wręczył już był napiwki wszystkim stewardom, bagaże zabrano. Chwilę później Burnhamowie schodzili na dół, aby opuścić statek jako jedni z pierwszych - na nabrzeżu urzędnik imigracyjny błyskawicznie ostempluje ich paszporty i będą mogli odjechać czekającym już autem.

- Gotowa, chérie? - spytał Armand.

Liane przytaknęła i w ślad za nim zeszła z dziewczynkami na dół. Ubrana w obszuty różową lamówką kremowy żakiet od Chanel i różową jedwabną bluzkę, wyglądała pięknie i świeżo. Zerknęła przez ramię na dziewczęta w kwiecistych sukieneczkach i słomkowych kapelusikach. Trzymając w rączkach ukochane lalki, dreptały u boku guwernantki - bardzo oficjalnej w mundurku w szare paski i wykrochmalonym czepeczku.

Niewielką grupę pasażerów poproszono o stawienie się w salonie - chodziło o to, aby umożliwić im wcześniejsze opuszczenie statku. Spotkanie pozostałych z urzędnikami imigracyjnymi i celnikami miało się odbyć w jadalni, ich zejście na ląd zaś - godzinę później, na tyle jednak wcześnie, by zdążyli na pociąg z Hawru do Paryża. Liane zauważyła w salonie Niemca, którego poznała przy kapitańskim stole, a także kilka małżeństw, których poznać nie miała okazji. W sumie było tu najwyżej dwanaście szczególnie uprzywilejowanych osób - osób wyposażonych w paszporty dyplomatyczne albo noszących ważne nazwiska. Dołączył też do nich Jacques Perrier z ciężką teczką w rękę, w okularach na nosie, z jak zwykle żalobnym wyrazem twarzy. Jacques stanowił żywy wyrzut sumienia przypominający o nie dokończonej pracy.

Właśnie wtedy, kiedy Armand prowadził z Perrierem ostatnią pospieszną naradę, Nick zdołał podejść do Liane, aby pożegnać się z nią i z dziewczynkami.

- Zamierzałem pożegnać się już wczoraj, ale nie chciałem przeszkadzać. Widziałem cię z mężem na pokładzie... - Jego oczy zdawały się pieścić twarz Liane, którą ogarnęła pokusa, aby dotknąć dłoni Nicka, doszła jednak do wniosku, że to nie właściwe miejsce ani czas na podobne czułości.

- Cieszę się, że znowu cię widzę - odparła Liane. Żegnając się z Nickiem, miała uczucie, jakby pozostawiała kogoś znajomego i bliskiego. Nagle opanował ją smutek. - Mam nadzieję, że w Paryżu wszystko pójdzie po twojej myśli. - Nie spojrzała w tym momencie na Hillary, lecz po jego uśmiechu poznała, że zrozumiał ją właściwie.

- Na pewno. Już w tej chwili sprawy wyglądają lepiej. - Nie była pewna, o czym mówi, i wyobrażała sobie, że jego słowa odnoszą się do nieoczekiwanej poprawy stosunków pomiędzy nim a żoną. Być może znowu jej przebaczył albo ona obiecała się poprawić. Liane miała nadzieję, iż tak będzie w istocie. Nie mogła jednak wiedzieć, że Nick ma po prostu na myśli poczucie

wyzwolenia zdobyte tej nocy, kiedy przeprowadzili długą rozmowę. - Nie chciałbym tracić z tobą kontaktu.

- Na pewno spotkamy się w Paryżu. W pewnym sensie to małe miasteczko.

Przez długą chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy; Liane sama nie wiedziała, co właściwie odczuwa. Rozstanie z Nickiem przypominało utratę przyjaciela, brata, a przecież prawie nie знаła tego mężczyzny. Uśmiechnęła się na myśl, że to pewnie sprawka czaru podróży statkiem.

- Uważaj na siebie... I na Johna...

- Nie omieszkam. Ty też dbaj o siebie.

- Liane! Idziemy! - w głosie Armanda brzmiała teraz niecierpliwość.

Chciał jak najszybciej zejść na ląd, a dowiedział się właśnie, że jest to już możliwe. Podszedł do nich, z szerokim uśmiechem potrząsnął dłonią Burnhama i chwilę później wszyscy byli już na nabrzeżu, ich bagaże zaś ładowano do małej furgonetki. Liane, Armand i dziewczęta zajęli miejsca na tylnym siedzeniu wygodnego Citroëna, guwernantka i Perrier usiedli obok szofera. Kiedy samochody ruszyły, Liane zauważyła na nabrzeżu olbrzymiego czarnego Duesenberga i Nicka Burnhama udzielającego szoferowi instrukcji. Odwróciła głowę i Nick pomachał jej ręką, zaraz jednak znów skierowała uwagę na to, co mówił do niej Armand.

- Zdaje się, że w ambasadzie włoskiej jest dzisiaj przyjęcie. Ja na pewno muszę na nim być, ale ty możesz zostać w hotelu. Czeka nas wiele zajęć, kochanie. - Zerknął na zegarek. - Jazda potrwa przynajmniej trzy godziny.

- Czy orientujesz się, kiedy dotrą meble? - Usiłowała skoncentrować się na bieżących problemach, ale wciąż prześladował ją obraz Nicka machającego na pożegnanie. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek go zobaczy, choć przecież sama powiedziała, że nastąpi to na pewno. "Paryż to małe miasteczko." Nagle jednak straciła tę pewność.

Armanda sprawy bieżące absorbowały bez reszty. - Meble będą za jakieś sześć tygodni. Do tego czasu musimy wytrzymać w Ritzu.

Był to hotel, w którym nawet ambasadorowie nie stawali zbyt często, Ritzu jednak zafundowała Liane i tym razem - jak zresztą nie raz wcześniej - Armand przyjął jej propozycję. Był co prawda poirytowany, że jego nie stać na taki gest, ale rozumiał, iż Liane nie przywiązuje do tej sprawy najmniejszej wagi, czystą zaś głupotą byłoby zupełnie nie korzystać z jej pieniędzy. Dysponowała majątkiem tak ogromnym, że nawet najdłuższy pobyt w Ritzu nie mógł go nadszarpnąć.

Dziewczynki paplały ze sobą przez większą część drogi, co Liane przyjęła z satysfakcją, miała bowiem możliwość pogawędzić z Armandem. Zdawała sobie sprawę, że ledwie dotrą na miejsce, Armand zniknie. Przecież już tego wieczoru musiał iść na przyjęcie dyplomatyczne... Było jej więc niemal smutno, kiedy w polu widzenia pojawiła się wieża Eiffla, potem Łuk Triumfalny i plac Zgody. Nagle zapragnęła cofnąć wskazówki zegara i wrócić do luksusowej, kameralnej, niemal rodzinnej atmosfery statku. Nie miała pewności, że jest gotowa stawić Paryżowi czoło.

Do zarezerwowanego apartamentu eskortowało ich trzech portierów. De Villiersowie mieli do dyspozycji dużą sypialnię dla dziewcząt, przyległą do niej sypialnię dla guwernantki, salon, sypialnię dla siebie z garderobą, a wreszcie gabinet. Kiedy znaleźli się w sypialni, Armand popatrzył na wypiętrzoną pod sufit górę waliz i uśmiechnął się do Liane.

- Całkiem niezłe, moja droga.

- Tęsknię za statkiem - powiedziała ze smutkiem. - Chciałabym tam wrócić. Czy to nie idiotyczne?

- Nie. - Łagodnie dotknął jej twarzy, ona zaś przytuliła się do niego. - Na początku wszyscy tak to odczuwają. Statki są czymś wyjątkowym, a "Normandie" stanowi wyjątek pośród wyjątków.

- Wymienili ciepłe uśmiechy i Armand z zalem odsunął się od żony.

- Obawiam się, kochanie, że dzentelmeni, którym mam złożyć raport, liczą dzisiejszego popołudnia na chwilę mojego towarzystwa, a potem jest to przyjęcie... - spojrział na nią przepraszająco. - Pójdiesz ze mną czy wolisz zostać?

- Szczerze mówiąc, wołałabym zostać i uporać się z całym tym bałaganem.

- Znakomicie.

Zniknął, aby przygotować sobie kąpiel, i pół godziny później pojawił się w smokingu. Liane gwizdnęła na jego widok.

- Cóż to za przystojniak?! - Uśmiechnął się do niej z błyskiem w oku.

Liane, ubraną w satynowy peniuar, otaczały poniewierające się po całym pokoju pootwierane walizy i kufrы. - Najgorsze jest to, że za kilka tygodni znowu będę musiała się pakować i przeprowadzać.

- Liane z jękiem usiadła na łóżku. - I właściwie po co ciągnęłam ze sobą to wszystko?

- Ponieważ jesteś moją piękną, elegancką żoną. Ale jeśli się teraz nie pospieszę, to następnym razem będziesz się rozpakowywać w jakiejś uroczej kwaterze na placówce w rodzaju Singapuru.

- Słyszałam o tym miejscu dobre opinie.

- To świetnie. - Pogroził jej palcem, wpadł do pokoju dziewczynek, aby ucałować je na dobranoc, po czym zszedł na dół. Już wcześniej recepcja powiadomiła, że czeka na niego limuzyna, Armand więc wypadł z foyer jak burza. Nagle znowu poczuł, że żyje. Był w ojczyźnie, we Francji, nie musiał czekać na informacje otrzymywane z drugiej ręki. Rychło otrzyma najświeższe wieści i będzie wiedział, jak rzeczywiście wyglądają sprawy.

Opuszczając tego wieczoru Pałac Elizejski, Armand był wręcz zaszokowany spokojem okazywanym przez kolegów. Sprawiali wrażenie absolutnie przekonanych, iż pokój potrwa jeszcze bardzo długo. Zamiast zgrozy wyczuwało się w Paryżu coś na kształt ekscytacji. Koledzy Armanda nie wątpili, iż Hitler stwarza dla nich zagrożenie, żywili jednak równą temu pewnością, że nigdy nie zdoła sforsować linii Maginota. Armand tej pewności nie podzielał, a poza tym spodziewał się, iż usłyszy od nich całkiem co innego: że mianowicie Francja jest doskonale przygotowana do wojny totalnej i że podjęto wszelkie możliwe działania. Niestety, tego nikt nie powiedział. Armand odnosił wrażenie, że ściągnięto go wprawdzie do Francji, aby gasił pożar wraz z innymi strażakami, lecz teraz proponuje mu się rolę gapia, który biernie przygląda się pożodze. Był mocno skonsternowany, kiedy usadowiwszy się w Citroenie, polecił szoferowi jechać na rue de Varenne na lewym brzegu Sekwany, do ambasady włoskiej.

Tam jeszcze mocniej odczuł owego ducha beztroski, który tak go uderzył w przestronnych salonach Pałacu Elizejskiego. Był szampan, piękne kobiety, rozmowy o planach wakacyjnych, kolacjach dyplomatycznych, balach dobroczynnych. Nikt nawet słowem nie wspomniał o niebezpieczeństwie wojny, a kiedy po dwóch godzinach pobytu, wymianie powitań z tuzinami znanych sobie ludzi Armand wrócił do Ritza i usiadł przy stole, aby towarzyszyć żonie przy posiłku, oznajmił stropiony:

- Nic nie rozumiem. Wszyscy doskonale się bawią. - W znacznym stopniu przypominało to jego kwietniową wizytę w kraju. - Czy oni oślepli?

- Może. A może po prostu boją się otworzyć oczy.

- Ale jak mogą tego nie widzieć?  
- Powiedz wreszcie, jak przebiegło spotkanie w Pałacu Elizejskim.  
- Tak samo jak zawsze. Oczekiwałem poważnych sprawozdań, a tymczasem usłyszałem dyskusję o rolnictwie, o gospodarce i o tym, jak bardzo wszyscy są pewni linii Maginota. Chciałbym podzielać tę pewność.  
- Czy w ogóle nie obawiają się Hitlera?  
- Obawiają się. W pewnym stopniu. Przypuszczają, że w którymś momencie wybuchnie wojna między Niemcami a Brytyjczykami, ale wciąż mają nadzieję, że wtrąci się Opatrzność i... - Westchnął i zdjął smoking. Sprawiał wrażenie zmęczonego, rozczarowanego i dużo starszego niż był w istocie; przywiódł Liane na myśl rycerza gotowego do bitwy, która się nie rozpoczyna. Nagle zatroskała się o niego. - Nie wiem, Liane - ciągnął - może widzę coś, czego nie ma, może zbyt długo przebywałem z dala od Francji...  
- Nie w tym rzecz. Trudno stwierdzić, kto ma słuszość, może postrzegasz sprawy przenikliwiej niż oni, a może to oni żyli z groźbą wojny od tak dawna, że przestali się nią przejmować i doszli do wniosku, że nigdy nie wybuchnie.  
- Czas to pokaże.  
W milczeniu skinęła głową i odsunęła barek na kółkach. - Może lepiej zapomnij dziś o tym wszystkim. Zbyt mocno bierzesz sobie te rzeczy do serca.  
Czule wymasowała mu kark, a chwilę później Armand rozebrał się, położył do łóżka i zapadł w niespokojny sen.  
Liane tego wieczoru nie była zmęczona, długo więc siedziała w salonie. Wciąż tęskniła za statkiem i żałowała, iż nie może wyjść na pokład, popatrzeć na uśpione morze. Raptem poczuła, jak daleko jest od domu. Dobrze znała Paryż, teraz jednak dostrzegła w nim coś odmiennego. Nie wydawał się miejscem, które jest jej domem, nie mieszkali jeszcze zresztą w domu, mieszkali w hotelu, nie miała tu przyjaciół. To przypomniało jej Nicka. Ciekawiło ją, jak ten dzień minął Burnhamom. Odnosiła wrażenie, iż minęły lata od chwili, kiedy stała na pokładzie rozmawiając z Nickiem, a przecież upłynęły zaledwie dwa dni! Przypomniała sobie jego prośbę, by dzwoniła do niego, ilekroć będzie potrzebowała przyjaciela, choć miała świadomość, że w tej chwili nie wypadało jej się z nim kontaktować. To, co było normalne na statku, tu mogło się okazać kompromitujące.  
Kiedy szła do sypialni, w apartamencie panowała cisza i tylko Armand pochrapywał w ich małżeńskim łóżu. Być może mimo rozczarowania w gruncie rzeczy dobrze przyjął nowiny. Jeśli sytuacja w Paryżu nie była tak dramatyczna, jak się obawiał, to jest szansa, że będzie bywał w domu znacznie częściej, a taka perspektywa była dla Liane niezwykle kusząca. Może będą mieli czas na spacer w Lasku Bulońskim albo w Ogrodach Tuileryjskich?... Może nawet pójdą razem na zakupy lub zabiorą dziewczynki na przejażdżkę łódką? Pokrzepiona tymi myślami Liane wyłączyła światło i położyła się do łóżka.

## Rozdział jedenasty

Hillary wkroczyła do domu przy Avenue Foch, podążający zaś za nią szofer ugiął się pod ciężarem siedmiu pudeł z sukniami od Diora, Madame Gres i



Balanciagi, a także kilku mniejszych pakunków. Spędziła uroczy dzień i czekała ją jeszcze bardziej uroczy wieczór, skoro Nick nadal przebywał w Berlinie.

- Połóż je tutaj - rzuciła przez ramię i skrzywiła się dojrzałym wyrazem niezrozumienia na twarzy szofera. Przecież wyraźnie wskazała na krzesło. - Ici.

Najlepiej jak mógł ułożył pakunki na krześle stojącym w długim marmurowym holu, oświetlonym olbrzymim kryształowym kandelabrem. Dom był piękny, od pierwszej chwili oczarował Nicka, Hillary zaś oczywiście znacznie mniej. Woda nigdy nie była dostatecznie gorąca na jej kąpiel, brakowało natrysku, utrzymywała też z uporem, że dom jest pełen komarów i że wolałaby apartament w Ritzu. Służących, zatrudnionych przez paryskie przedstawicielstwo firmy Nicka, uznała za nieprzyjemnych, a ich znajomość angielskiego za żadną. Poza tym całymi dniami narzekała też na upał.

Przebywali w Paryżu niemal od miesiąca i Hillary musiała przyznać, iż miasto o tej porze roku nie jest miejscem tak beznadziejnie nudnym. Utrzymywano powszechnie, że lato roku 1939 bije pod każdym względem ubiegłe, kiedy to traktat monachijski zwarzył nastroje mieszkańców. Teraz z niemal mściwą zawziętością wydawano jedno po drugim przyjęcia i bale. Hrabia Etienne de Beaumont wydał nie tak dawno bal kostiumowy, prosząc wszystkich gości, aby przybyli przebrani za postacie ze sztuk Racine'a - aby skupić na sobie ogólną uwagę, Maurycy Rotszyld przyozdobił swój turban słynnymi brylantami matki, szarfę zaś renesansowymi klejnotami, dziełem Celliniego. W Wersalu lady Mendl gościła na garden party siedemset pięćdziesiąt osób: sprowadziła trzy słonie, aby dać zaproszonym temat do rozmów. Najlepsze zaś przyjęcie wydała Louise Macy, która na ten wieczór wynajęła słynny Hotel Sale, poprzestawiała bezcenne meble, zainstalowała dodatkowe urządzenia hydrauliczne i ruchomą kuchnię oraz ustawiła kilka tysięcy świec. Gościom "rozkazano" obficie przyozdobić się diademami i innymi klejnotami, Hillary postarała się zatem wypożyczyć od Cartiera tiarę - godną najwyższego podziwu ozdobę z dziesięciu czternastokaratowych szmaragdów otoczonych kłębami przeczystych brylantów.

Tak, Hillary nie mogła powiedzieć, że nudzi się w Paryżu, a jednak nie bawiła się najlepiej, dlatego na resztę lata poczyniła inne plany. Przy odrobinie szczęścia ona i jej bostońscy przyjaciele jeszcze przed powrotem Nicka znajdą się na południu.

Od przyjazdu do Francji Nick wprawiał ją w nieustanne zakłopotanie. Wciąż zachowywał tę nową pozę, przybraną jeszcze na statku. Był oziębły i daleki, zawsze uprzejmy, ale niezbyt zainteresowany jej poczynaniami. Jej towarzystwa wymagał jedynie przy okazji kolacji wydawanych w związku z interesami albo do podejmowania herbatką żony jakiegoś ważnego przemysłowca. Wyraził jasno, czego od niej oczekuje, ona zaś doszła do wniosku, że tej jego nowej postawy nie znosi jeszcze bardziej niż poprzedniej. W czasach kiedy tak rozpaczliwie usiłował sprawić jej przyjemność, budził w Hillary poczucie winy, które obracało się w nienawiść. Teraz czuła się w jego życiu elementem równie istotnym jak klamka, a to potęgowało jej złość.

W niespełna tydzień od przyjazdu do Francji postanowiła sobie, że pokaże mu, co potrafi. Nie pozwoli wyciągać się z szafy jak stary łańch, ilekroć jest potrzebna na jakąś ważną kolację. Nie była tańczącym niedźwiedziem, żeby dostarczać gościom rozrywki, a poza tym życie w Paryżu przyprawiało ją już o mdłości. Podczas tygodniowej nieobecności Nicka wszystko sobie

zaplanowała.

Weszła teraz do wyłożonej boazerią biblioteki, przyozdobionej przygnębiającymi kobiercami z Aubusson, i wyrzła na ogród. John bawił się z nianią i szczeniakiem, którego kupił mu Nick - małym terierkiem szczekającym zbyt często i zbyt głośno jak na gust Hillary. W tej chwili szczekanie i śmiech też poraziły jej uszy i mocno ją poirytowały. Skwar i długotrwałe zakupy przypłaciła bólem głowy. Rzuciła kapelusz na krzesło, ściągnęła rękawiczki, podeszła do baru ukrytego za boazerią i nieomal zemdlła usłyszawszy za swoimi plecami:

- Dobry wieczór. Jak minął dzień?

Obróciła się na pięcie i ujrzała Nicka siedzącego w kącie przy olbrzymim biurku w stylu Ludwika XV. Wchodząc do pokoju, nawet nie spojrzała w tamtą stronę.

- Co tu robisz? - Nie wyglądała na uszczęśliwioną jego obecnością.

- Mieszkam tutaj, tak mi się przynajmniej wydaje.

W istocie, podobnie jak na statku, trzymał się tylko własnego pokoju, czym Hillary się wcale nie przejmowała, wyjąwszy może to, że czuła się w ten sposób znieważana. Niepokoiło ją natomiast, iż od wielu lat trzymała go na dystans bądź zwabiała do swego łóżka, kiedy miała na to ochotę, a teraz... teraz on podejmował decyzję w jej imieniu, choć w gruncie rzeczy nie była to strata, nad którą mogłaby boleć. Miała już inne plany. A teraz, gdy przyglądał się jej zza biurka jak kot myszy, miała ochotę go spoliczkować.

- Czy nie zamierzałaś nalać sobie drinka? Nie chcę ci zakłócać rytuału.

- Nie zakłócasz. - Podeszła do baru i nalała sobie podwójną szkocką. - Jak było w Berlinie?

- Czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Praktycznie żadnego - przyznała. Ostatnimi czasy byli wobec siebie zdumiewająco szczerzy, co pod pewnymi względami przynosiło ulgę.

- Jak się miewa Johnny?

- Świetnie. Za kilka dni zabieram go do Cannes.

- Doprawdy? A mógłbym zapytać, w którym towarzystwie?

- Podczas twojej nieobecności spotkałam kilku przyjaciół z Bostonu. W weekend jadą do Cannes, a ja z nimi. - Przez pryzmat szklaneczki popatrzyła na niego wyzywająco. Skoro Nick życzy sobie osobnego życia, proszę bardzo, ale nie będzie jej mówił, co ma robić.

- Mógłbym jeszcze spytać, jak długo zamierzasz tam być?

- Nie wiem. W Paryżu jest dla mnie za gorąco. Rzygać mi się tu chce.

- Słyszę to z prawdziwą przykrością, ale chciałbym mieć jakieś wyobrażenie o długości twojego pobytu w Cannes.

Hillary z najwyższym trudem rozpoznawała w tym lodowatym tonie głos swojego męża. W ciągu minionego miesiąca zrobił się wobec niej niewiarygodnie twardy i niemal zaczynała już podejrzewać, iż znalazł sobie kochankę, choć trudno było jej w to uwierzyć. Na pewno by się wyparł, gdyby zapytała. Nie uczyniła tego jednak, on zaś nic na ten temat nie napomknął. Siedział teraz czekając na jej odpowiedź, Hillary zaś postukiwała obcasem, wpatrzona w szklaneczkę szkockiej.

- Miesiąc, może dłużej - odparła w końcu. - Wrócę we wrześniu.

- Baw się dobrze - uśmiechnął się zimno - ale wybij sobie z głowy, że zabierzesz Johna.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Ponieważ chciałbym go widywać, a nie mam ochoty jeździć co tydzień do

Cannes i oglądać przy tej okazji również ciebie.

- Nareszcie dobre nowiny. Ale nie możesz trzymać dziecka w mieście przez całe lato.

- Sam gdzieś z nim pojedę.

Hillary się zawahała. Wyraźnie miała ochotę coś ostrego mu powiedzieć - Nick niemal słyszał, jak jej szare komórki pracują. W gruncie rzeczy wcale nie chciała zabierać ze sobą dziecka, czego był doskonale świadom.

- W porządku. Zostawię go tutaj.

To była łatwa bitwa, pomyślał. Będzie musiał się zastanowić, dokąd pojedzie z Johnnym. Tak czy owak zamierzał zrobić sobie tego lata urlop, a oto trafiał się po temu idealny pretekst. Mimo atmosfery potęgi i agresywności, której wzrost wyczuwało się w Berlinie, Nick wciąż był pewien, iż wojna nie wybuchnie zbyt szybko. Przyjemnie zatem byłoby pojechać gdzieś z Johnnym, zwłaszcza gdyby mieli wybrać się we dwóch.

- Kiedy, powiadasz, zamierzasz wyjechać?

Nick wstał, obszedł biurko. Hillary omiotła go przeciągłym spojrzeniem, w którym nawet nie próbowała zgasić nienawiści. Ich małżeństwo weszło w takie stadium rozkładu, że niemal czuli trupi odór.

- Za dwa dni. Czy to dla ciebie dostatecznie szybko?

- Chciałem tylko wiedzieć. Zjesz dzisiaj ze mną kolację?

- Mam inne plany.

Nick skinął głową i szedł do ogrodu, aby przywitać się z Johnnym. Na widok ojca malec pisnął z radości i padł mu w ramiona. Hillary przez chwilę obserwowała ich z okna, potem obróciła się na pięcie i wyszła z biblioteki.

Wyjechała dwa dni później, niż planowała, ale przez ten czas Nick prawie jej nie widywał; do późna przesiadywał w biurze, chodził na kolacje z jakimiś gośćmi z Chicago, ilekroć zaś pytał Hillary, czy ma ochotę mu towarzyszyć - stanowczo odmawiała.

Utrzymywała, że jest zbyt zajęta pakowaniem, Nick uznał zaś, iż lepiej nie przyciskać jej do muru. Widział ją rankiem tego dnia, kiedy wyjeżdżała do Cannes: wsiadała do wielkiej limuzyny, która miała ją zawieźć na dworzec. Przez chwilę zastanawiał się, z kim wyjeżdża, lecz postanowił nie zadawać żonie żadnych pytań.

- Baw się dobrze - powiedział tylko na pożegnanie. Poprosiła go o dwa tysiące dolarów na podróż i wręczył jej te pieniądze poprzedniego wieczoru, również o nic nie pytając. Ledwie mruknęła "dziękuję".

- Do zobaczenia we wrześniu - krzyknęła radośnie, biegnąc do samochodu. Była ubrana w czerwoną sukienkę w groszki i stosowny kapelusik.

- Mogłabyś od czasu do czasu zadzwonić do swojego syna - przypomniał, Hillary zaś skinęła głową i wsiadła do samochodu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna widział ją szczęśliwą. Wróciwszy do domu, aby przygotować się do wyjścia do biura, poczuł coś na kształt żalu, że uparł się za wszelką cenę ocalić małżeństwo. Może obojgu należy się w życiu coś lepszego aniżeli ten niefortunny związek? Kiedy poprawiał krawat i wkładał marynarkę, złapał się na tym, że myśli o Liane, ciekaw, co się z nią dzieje. Nie spotkał de Villiersów podczas żadnej z kolacji, na które był zapraszany, przypuszczał jednak, iż obracają się raczej w dyplomatycznych kręgach, gdzie on z kolei bywał sporadycznie. Wiedział, że za kilka tygodni ambasada polska wydaje wykwintne przyjęcie, i podejrzewał, że de Villiersowie wezmą w nim udział. Ale cóż z tego, skoro on nie mógł się na nim pojawić? Nikt nie mógł się dowiedzieć, jakim gestem wykazał się wobec Polski, Polakom zaszkodziłoby bowiem, gdyby rozeszła się wieść, iż

oni również się zbroją. Ścieżki dyplomatyczne, które wykorzystał Nick, aby przedstawić im swoją propozycję, były zdumione minimalnymi cenami, jakie znalazły się w jego ofercie. Ale tylko w ten sposób mógł udzielić Polsce pomocy.

Niemcy składali ostatnimi czasy dużo większe zamówienia i Nicka oganiała coraz większa chęć zwinięcia prowadzonych z nimi interesów. Ilekroć był w Niemczech, czuł się nieprzyjemnie, i bez względu na to, jak wielkie zyski przynosiły te kontrakty, nie mógł dłużej udawać przed samym sobą, że to uczciwe. Trudno było powiedzieć, co nadciąga, Liane jednak miała słuszość - zbliżał się czas, kiedy trzeba będzie podjąć decyzję, po której stanąć stronie. Dla Nicka ten czas już nadszedł.

Wychodząc do biura, ucałował Johna na pożegnanie, stwierdzając z satysfakcją, że chłopiec nie wydaje się przesadnie zmartwiony wyjazdem matki. Nick obiecał mu już wycieczkę do Deauville, gdzie mieli jeździć konno po plaży. Perspektywa wyprawy, zaplanowanej na pierwszego sierpnia, bardzo obydwu podniecała. Mieli spędzić razem co najmniej dwa tygodnie.

- Dobrze się baw, tygrysie, zobaczymy się później.

- Cześć, tato.

Jony bawił się kijem baseballowym i piłką, skarbami, które udało mu się przemyścić w jednym z kufrów. Kiedy limuzyna skręcała za róg Avenue Foch, Nick spostrzegł, że piłka wybiła szybę w jednym z okien salonu. Roześmiał się, wspomniawszy rozmowę z nowojorskim odźwiernym. Słyszając głos Nicka, szofer odwrócił głowę.

- Oui, monsieur?

- Powiedziałem, że na tym właśnie polega baseball.

Szofer z nieprzeniknionym wyrazem twarzy skinął głową.

## Rozdział dwunasty

Trzydziestego pierwszego lipca przyjechała z Waszyngtonu reszta rzeczy de Villiersów, którzy w ciągu tygodnia przenieśli się do domu wybranego przez Armanda jeszcze w kwietniu. Położony był w przyjemnym miejscu, na Place du Palais-Bourbon w VII dzielnicy. Przez dziesięć następných dni Liane harowała jak wyrobnica przy rozpakowywaniu kufrów i skrzyń. Niemal wszystko robiła sama, bo tylko ona wiedziała, gdzie ma się znaleźć każdy przedmiot. Służbę prosiła jedynie o odkurzanie i zmywanie naczyń, resztę zaś prac z satysfakcją wykonywała własnoręcznie, wypełniając tym samym kolejne dni bez Armanda. Marzenie o przechadzkach w Lasku Bulońskim i Ogrodach Tuileryjskich rozwiało się jak dym - wojna nie wojna, centrala pochłonęła Armanda bez reszty. Jadał obiady z kolegami pracującymi w rozmaitych ambasadach i zwykle wracał do domu około dwudziestej, o ile oczywiście nie przytrafiła mu się jakaś ważna kolacja. Bo jeśli tak, zjawiał się dopiero późną nocą.

Nie przypominało to w niczym waszyngtońskich czasów, kiedy jako pani ambasadorowa Liane stanowiła integralną część towarzyskiego życia Armanda, kiedy podejmowała gości, pełniła rolę gospodyni, organizowała wieczorki, wydawała uroczyste przyjęcia, uczestniczyła u boku męża we wszystkich audiencjach. Tu na ogół Armand wszędzie bywał sam i raczej wyjątkiem niżli regułą była sytuacja, kiedy dokądkolwiek zabierał Liane. Całe więc jej życie koncentrowało się teraz na córkach, albowiem kiedy

późnym wieczorem widziała w końcu Armanda, ten był zbyt zmęczony, aby z nią rozmawiać. Zjadał kolację, po czym wyczerpany kładł się do łóżka i zapadał w głęboki sen najpóźniej dziesięć sekund po tym, jak przyłożył głowę do poduszki.

Osamotniona Liane z nostalgią wspominała Waszyngton, Londyn czy Wiedeń. Było to dla niej całkiem nowe życie, więcej - życie, które wcale się jej nie podobało, i chociaż czyniła wszystko, aby tego po sobie nie pokazać, Armand coś jednak wyczuwał. Żona przypominała mu teraz kwiat więdnący w zaniedbanym ogrodzie, co przepelniało go ogromnym poczuciem winy. Koło historii toczyło się jednak coraz szybciej; Francja zaczynała uświadamiać sobie niebezpieczeństwo, jakie niesie Hitler, i chociaż obywatele kraju wciąż mieli pewność, że nic im nie grozi, coraz większą uwagę zwracano na kwestię bezpieczeństwa narodowego i gotowości bojowej armii. Uczestnicząc w nie kończących się naradach i konferencjach, Armand poczuł przyływ sił. Był to dla niego dobry okres, zły jednak dla Liane. Armand o tym wiedział, ale nic nie mógł poradzić. Nie miał nawet czasu, żeby chociaż czasami zabrać ją na kolację we dwoje.

- Tęsknię za tobą, wiesz? - uśmiechnęła się do niego, kiedy wróciwszy pewnego wieczoru zastał ją przy wieszaniu obrazów. Jak zwykle zdołała stworzyć wrażenie, że w domu tym mieszkają od lat, i Armand był jej za to bezgranicznie wdzięczny. Pocałował Liane, pomógł zejść ze stołka i przez dłuższą chwilę przytrzymał w ramionach.

- Ja też za tobą tęsknię, maleńka. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Czasem tak... - westchnęła, położyła młotek na biurku i ze smutnym uśmiechem popatrzyła na Armanda. - Ale czasem myślę, że zapomniałeś o moim istnieniu.

- To się nigdy nie zdarzy, maleńka. Jestem po prostu bardzo zajęty.

- Czy kiedykolwiek jeszcze będziemy mieli prawdziwe życie?

Skinął głową. - Miejmy nadzieję, że już wkrótce. Rzecz w tym, że akurat w tej chwili bardzo wzrosło napięcie międzynarodowe. Musimy poczekać i przekonać się, co nastąpi... Musimy się przygotować...

Kiedy to mówił, w jego oczach jarzył się tak silny blask, że w Liane zamarło serce. Czuli, że traci Armanda na rzecz Francji dokładnie tak samo, jak mogłaby go stracić na rzecz innej kobiety. Sytuacja właściwie przedstawiała się gorzej, ponieważ miała do czynienia z rywalką, której nie była w stanie stawić czoła.

- A jeśli wybuchnie wojna, Armandzie?... Co wtedy?

- Zobaczymy - odparł dyplomatycznie, jak to on zawsze czujny i ostrożny. Zachowywał się tak nawet wobec własnej żony, która jednak nie pytała go w tej chwili o Francję, lecz o swoje miejsce w jego życiu.

- Wtedy nie będę cię widywać już wcale. - W jej głosie brzmiało zmęczenie i bezgraniczny smutek. Tego wieczoru nie miała ochoty udawać wesołej i pogodnej.

- To są niezwykle czasy, Liane, jak na pewno doskonale pojmujesz...

Byłby rozczarowany, gdyby tego nie rozumiała. Musiała dźwigać swój krzyż. Musiała być przygotowana na składanie takich samych ofiar, jakie składać musiał Armand, ale niekiedy to wymaganie przerastało jej siły. Gdyby tylko trafiał im się od czasu do czasu wspólnie spędzony wieczór, kilka chwil na pogawędkę, noc, kiedy zmęczenie nie odbierałoby mu sił do miłości... Oczywiście Liane miały do opowiedzenia własną historię.

- Nieważne. Chciałbyś coś zjeść?

- Już jadłem - odparł, Liane zaś nie wspomniała ani słowem, że czekała na niego z kolacją. - Jak tam dziewczęta?

- Bardzo dobrze. Obiecałam, że w przyszłym tygodniu, jak tylko uporam się z urządzeniem domu, zabiorę je na piknik do Neuilly.

Marie-Ange i Elisabeth także czuły się samotne; kiedy pójda do szkoły, znajdują nowe przyjaciółki, ale chwilowo były skazane na towarzystwo mamy i guwernantki.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która potrafi w ciągu tygodnia urządzić dom - rzekł z uśmiechem, siadając w fotelu, był jednak przerażony koniecznością zakomunikowania Liane, iż marzy jedynie o tym, aby pójść do łóżka i zasnąć.

- Jestem szczęśliwa, że wynieśliśmy się już z hotelu.

- Ja też. - Przebiegł spojrzeniem po znajomych przedmiotach i wreszcie poczuł, że jest w domu. Niewiele zauważał w ciągu minionego miesiąca. Był tak zajęty pracą w biurze, że nie zwróciłby zapewne uwagi, gdyby podczas jego nieobecności apartament hotelowy czy dom zamienił się w szopę zbitą ze zbutwiałych desek. Liane zresztą nie miała co do tego złudzeń.

- Może zaparzyć ci rumianku? - zaproponowała później w sypialni, Armand zaś ujął ją za rękę, pocałował i usiadł na łóżku.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra, maleńka.

- Bo bardzo cię kocham.

W bardzo wielu sytuacjach było odwrotnie, to Armand okazywał jej dobroć. Nie jego wina, że jest teraz tak bardzo zajęty, myślała. To zresztą nie może trwać wiecznie, wcześniej czy później wszelkie problemy zostaną rozwiązane. Liane zanosila modły jedynie o to, żeby nie zakończyły się wybuchem wojny.

Poszła do kuchni, aby zaparzyć mu rumianku, a kiedy wróciła z delikatną porcelanową filiżanką z Limoges, którą wraz z innymi wypakowała ze skrzyni tego popołudnia, Armand już spał.

## Rozdział trzynasty

- I co, tygrysiu, o czym myślisz? - Nick i John ramię w ramię przejechali konno całą plażę, a teraz stali obok siebie, podziwiając niebo i morze, w którym chwilę wcześniej utonęło słońce. Tydzień w Deauville był zaiste niebiański. - Jesteś gotów wrzucić coś na ruszt?

- Jasne. - Przez minioną godzinę John udawał, że jest kowbojem na ranczu. Dosłownie zakochał się w roslym łagodnym siwku, na którym jeździł. Jego ojciec dosiadał zgrabnej kasztanki. John zerknął na ojca. - Żebyśmy tak mogli wtrząchnąć hamburgera, tak jak kowboje na ranczu!

Nick uśmiechnął się do syna. - Racja. Hamburger i koktajl mleczny. To by było to - przyznał, znajdowali się jednak w miejscu, gdzie podobne smakołyki były absolutnie niedostępne. - A może zadowoliliby cię przyzwoity soczysty stek? - Wiedział, że jedyną potrawą zbliżoną do kuchni amerykańskiej, na którą mogą liczyć, jest ostro przyprawiony stek.

- Może być - zgodził się chłopiec.

Na jego prośbę poprzedniego dnia zadzwonili do Hillary. Doskonale bawiła się w Cannes i była bardzo zaskoczona ich telefonem. Nick nie powiedział chłopcu, że cztery razy próbował, zanim zdołał zlokalizować Hillary. Poza tym w ciągu miesiąca od jej wyjazdu zaczęły do niego napływać plotki. Do

"grupy" przyjaciół bawiącej w Cannes dołączył znany Nickowi z Nowego Jorku człowiek o nazwisku Philip Markham, dandys najgorszego gatunku, czterokrotnie dotąd żonaty. Teraz jego nazwisko łączono z osobą Hillary Burnham. Nicka zupełnie nie obchodziło, co robi jego żona, ale nakazał jej zachowanie dyskrecji, najwyraźniej jednak spełnienie tego żądania przerastało jej siły. Co wieczór wraz z Markhamem uprawiali hazard w Monte Carlo, tańczyli do białego rana, w Carltonie wydali zgiełkliwe przyjęcie, które trafiło nawet na łamy prasy paryskiej. Nick rozważał przez jakiś czas myśl, czyby nie zadzwonić do Hillary w celu przywołania jej do porządku, lecz uświadomił sobie, że jest już za późno. Nie panował nad nią, a bez względu na to, co jej powie, Hillary zrobi swoje.

- Fajnie było pogadać z mamą - rzekł John, jakby czytając w jego myślach.
- Bardzo za nią tęsknisz?
- Czasami... - wyznał, potem lojalnie uśmiechnął się do ojca.
- Ale z tobą naprawdę dobrze się bawię.
- Ja też.
- Myślisz, że szybko wróci do domu?

To pytanie poraziło Nicka. Chociaż Hillary nie interesowała się synem, było oczywiste, że Johnny kocha ich oboje. Matka przysłała mu kilka prezentów, ale rzadko dzwoniła, Nick zaś jak zwykle robił wszystko, żeby chłopiec nie zdawał sobie z tego sprawy. Hillary była, jaka była, i Nick dobrze wiedział, że któregoś dnia jego syn pozna całą prawdę o matce.

- Nie wiem, kiedy wróci, synu. Prawdopodobnie za kilka tygodni.

John skinął głową i nie powiedział już ani słowa, kiedy odstawiali konie do stajni i wracali do hotelu.

Zgodnie z umową zamówili tego wieczoru stek, później zaś w pokoju Nick czytał Johnowi jego ulubioną książkę. Spędzali w ten sposób wszystkie wieczory. Nick nie zabrał nawet piastunki. Chciał, żeby ten czas spędzili we dwóch, i rozkoszował się świadomością, że ma Johnny'ego tylko dla siebie.

Ostatniego dnia odbyli jak zwykle przejażdżkę brzegiem morza. Zachód słońca był tego wieczoru jeszcze piękniejszy niż zwykle. Wcześniej grali w tenisa i urządzili sobie piknik na plaży. Kiedy teraz podziwiali zachodzące słońce, Nick z uśmiechem patrzył na syna.

- Będziemy to pamiętać bardzo długo. Ty i ja.

To był najlepszy okres, jaki ze sobą spędzili. Nick sięgnął po dłoń chłopca. Siedzieli tak, trzymając się za ręce, bardzo długo, i John nawet nie zauważył łez, które napłynęły do oczu ojca.

Nazajutrz po powrocie Nick musiał na kilka dni pojechać do Lyonu, aby przeprowadzić rozmowy z właścicielem fabryki tekstyliów. Wrócił po czterech dniach, by przygotować się do ostatniej, jak postanowił, wyprawy do Berlina. Johnny pytał, czy mógłby z nim pojechać, ale Nick się nie zgodził, obiecując wrócić za dzień lub dwa.

Zaraz po przybyciu do Berlina wyczuł, że w mieście panuje zupełnie inna niż zwykle atmosfera: ludzi przepelniało jakby uniesienie. Jeszcze tego samego popołudnia zrozumiał powód takiego stanu rzeczy. Był to dwudziesty trzeci sierpnia - tego dnia Niemcy podpisały ze Związkiem Radzieckim pakt o nieagresji. Negocjacje prowadzono potajemnie, toteż ich wynik był wielką nowiną. Największy potencjalny wróg Niemiec został obezwładniony. Nick, jak zresztą wszyscy, natychmiast pojął, że ta ugoda stwarza dla Francji i reszty Europy ogromne zagrożenie, i nagle poczuł nieprzepartą chęć

natychmiastowego powrotu do Paryża, do syna. Kto wie, jak szybko zaczną się rozwijać wydarzenia, które gotowe go uwięzić w Berlinie? Gorączkowo załatwiając tego dnia swoje sprawy, czuł gorzką satysfakcję, że uczynił dla Polski wszystko, co było w jego mocy.

Po południu odbył ostatnie spotkanie i najbliższym pociągiem wrócił do Paryża. Kiedy dostrzegł wylaniającą się zza horyzontu wieżę Eiffla, zdał sobie sprawę, że jedyne, czego pragnie, to znaleźć się blisko Johna. Pospieszenie wrócił do domu przy Avenue Foch i chwycił w objęcia syna, który jadł właśnie śniadanie.

- Szybko wróciłeś, tato.
- Bo tęskniłem za tobą.
- Ja też za tobą tęskniłem.

Popijając kawę, gawędził z synem i przeglądał gazety. Ciekaw był reakcji Paryża, choć oczywiście wiedział, w czym się ona przejawia. Ogłoszono powszechną mobilizację, czyniono przygotowania do wojny, z wnętrza kraju przrzucano wszystkie oddziały nad granicę, do obrony linii Maginota.

- O co tu chodzi, tatusiu? - zagadnął Johnny, z ciekawością zaglądając mu przez ramię, Nick wyjaśnił więc wszystko na temat aliansu Niemców i Rosjan, a także znaczenie tego sojuszu dla Francji. Chłopiec patrzył szeroko otwartymi oczyma. - Chcesz powiedzieć, że wybuchnie wojna? - Nie był z tej perspektywy zbyt niezadowolony. Dostatecznie mały, aby uznać ją za intrygującą, wciąż uwielbiał wszystko, co miało jakikolwiek związek z bronią.

Kiedy John poszedł się bawić, Nick podążył do biblioteki i poprosił telefonistkę o połączenie z hotelem Carlton w Cannes. Najwyższy czas, aby ściągnąć żonę do domu, bez względu na to, czy jej się to spodoba, czy nie.

Dłuższy czas szukano jej daremnie, wreszcie zaproponowano, by zadzwonił później. Nick jednak był uparty: jeśli Hillary przebywa gdziekolwiek na terenie hotelu, ma zostać odnaleziona. W końcu odszukano ją - w którymś pokoju, jak podejrzewał Nick, nie przywiązując zresztą do tego faktu żadnej wagi. Dziwka czy nie dziwka, była również matką jego syna i na wypadek, gdyby we Francji miało się dziać coś tragicznego, chciał ją mieć z powrotem w Paryżu.

- Przepraszam, że cię niepokoję, Hil.  
- Czy stało się coś złego? - Kiedy naga przemierzała pokój Philipa Markhama, przyszło jej do głowy, że Johnny'ego spotkało jakieś nieszczęście.

- Czytałaś dzisiejsze albo wczorajsze gazety?  
- Chodzi ci o tę historię z Niemcami i Rosjanami?  
- Tak. Właśnie o to.  
- Rany boskie, Nick, już myślałam, że coś się stało Johnny'emu.  
- Uśmiechnęła się, ogarnięta poczuciem ulgi, a kiedy usiadła na krześle, Philip zaczął pieścić jej udo.

- John ma się doskonale. Ale chcę, żebyś wróciła do domu.  
- Chcesz powiedzieć: teraz?  
- Tak. Dokładnie to chcę powiedzieć.  
- Dlaczego? Tak czy owak, zamierzałam wrócić w przyszłym tygodniu.  
- Może być za późno.

- Za późno na co? - zdumiała się, dochodząc do wniosku, że jej mąż jest roztrzęsionym durniem. Miała ochotę parsknąć śmiechem na widok Philipa, który krzywiąc zabawnie twarz i wykonując obsceniczne gesty, rzucił się na rozbebeszone łożo.



- Sądzę, że wybuchnie wojna. We Francji ogłoszono mobilizację i możliwe, że zacznie się lada dzień.

- To się nie może stać aż tak szybko.

Hillary niepokoiła się taką ewentualnością jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku, ale teraz, w Cannes, miała inne zajęcia i perspektywa wybuchu wojny wydawała się jej bardzo odległa.

- Nie chcę się z tobą spierać, Hillary. Masz wrócić do domu. Natychmiast.

- Miarowo uderzając dłonią w biurko, podniósł głos. Zmuszając się do zapanowania nad sobą, pojął, że martwi się w równej mierze o Hillary i o Johnny'ego. Do niedawna on także sądził, że od wybuchu wojny europejskiej dzieli ich co najmniej rok. Nigdy nie zamierzał narażać rodziny na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, teraz więc poczuł żal, że skłonił żonę do tej wyprawy. - Hillary, proszę... Właśnie wróciłem z Berlina. Wiem, o czym mówię. Zaufaj mi ten jeden raz. Chcę, żebyście byli w Paryżu... na wypadek gdyby cokolwiek miało się zdarzyć.

- Przestańże tak się trząść, na rany boskie. Wrócę do domu w przyszłym tygodniu. - Mówiąc te słowa, przyjmowała z rąk Philipa kieliszek z szampanem.

- Czy mam tam przyjechać i przywieźć cię osobiście?

- A zrobiłbyś coś takiego? - spytała z zaskoczeniem w głosie, a Nick obserwujący Johnny'ego zajętego zabawą w ogrodzie, skinął głową i powiedział:

- Tak.

- W porządku. Zobaczą, co się da zrobić. Dziś wieczorem wydaję przyjęcie dla kilku przyjaciół, a...

- Odsuść to sobie. Mówię ci, do jasnej cholery, że masz wsadzić dupsko do najbliższego pociągu do Paryża!

- A ja ci mówię, że wydaję przyjęcie...

- Posłuchaj - przerwał jej. - Jeśli nie docierają do ciebie sensowne argumenty, to do cholery powiedz temu sukinkotowi Markhamowi, żeby cię przywiózł do domu. Wracaj nawet z nim, bo masz tu dziecko, a Francja lada chwila zostanie wplątana w wojnę.

- Właściwie o co ci chodzi, do diabła? - zapytała drżącym głosem. Po raz pierwszy Nick wspomniął o Philipie; Hillary nie zdawała sobie dotąd sprawy, że o nim wie. Zakłopotanie wywołane tą świadomością tylko rozogniło jej gniew.

- Hillary, mówiłem ci, dlaczego dzwonię. Nie mam nic więcej do powiedzenia - oświadczył ze znudzeniem Nick.

- Chciałabym, żebyś mi dokładnie wyjaśnił, co miałeś na myśli.

- Odstawiła kieliszek i sztywno wyprostowana usiadła na łóżku obok Philipa.

- Nie zamierzam ci już nic wyjaśniać. Słyszałaś. Oczekuję twojego powrotu w ciągu dwóch dni - rzekł stanowczo i odłożywszy słuchawkę, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w aparat telefoniczny.

- O co mu chodziło? - Philip Markham, obserwując twarz kochanki, w okamgnieniu odgadł odpowiedź. - Wie o nas.

- Najwyraźniej.

- Wściekał się?

- Nie, wcale nie. Przynajmniej nie bardzo. Po prostu rozzłościł się, że nie zamierzam natychmiast wracać do domu. Jest przekonany, że cały ten cholerny kraj eksploduje w ciągu kilku najbliższych dni.

- Upiła łyczek szampana i popatrzyła na mężczyznę, który był jej

kochankiem od dwóch miesięcy. Bardzo jej odpowiadał. Był w równej co ona mierze zepsuty, dekadentki i hedonistyczny.

- Ale wiesz? On może mieć słuszość. Zeszłej nocy w Croisette nie mówiono o niczym innym.

- A niech diabli wezmą tych rozhisteryzowanych Francuzów! Tak czy siak, jeśli wybuchnie wojna, zabieram się do domu. Nie do Paryża. Do Bostonu albo Nowego Jorku.

- Jeśli zdołasz się tam dostać, moja droga. On chce, żebyś wróciła natychmiast?

- Nie wiem, nie powiedział. Po prostu chce, żebym była w Paryżu z naszym synem.

- Ale, rozumiesz, tu byłabyś bardziej bezpieczna. Do diabła, jeśli Niemcy zamierzają cokolwiek zbombardować, to przypuszczalnie w pierwszej kolejności Paryż.

- To rzeczywiście pocieszające... - Sarkazm Markhama nie zmniejszył lęku Hillary. Przez chwilę milczała w zadumie, wreszcie wyciągnęła kieliszek, prosząc o dolanie szampana. - Myślisz, że powinnam wrócić?

Philip pochylił się i pocałował ciepłe miejsce pomiędzy jej piersiami.

- Kiedyś tak, ślicznotko, ale nie teraz.

Delikatnie ujął ustami jej sutek, a kiedy opadła na łożo, zapomniała o wszystkim, co Nick powiedział jej przez telefon. Dopiero później, leżąc na plaży, wróciła myślami do tego problemu; coś jej mówiło, że powinna wracać. Wyznała to Markhamowi, gdy ubierali się na przyjęcie. Philip nonszalancko wzruszył ramionami.

- Odstawię cię do domu za kilka dni. Nie masz się czym martwić.

- A potem? - zapytała, szcztokując włosy. Po raz pierwszy zadała pytanie na temat przyszłości, Markham popatrzył więc na nią zaskoczony.

- Czy musimy się tym przejmować?

- Nie przejmuję się. Po prostu pytam. Zostaniesz ze mną w Paryżu przez jakiś czas? - Jej głos był niemal błagalny i na twarzy Markhama rozlał się szeroki uśmiech.

- Nick Burnham pewnie byłby wniebowzięty takim rozwiązaniem?

- Nie miałam na myśli domu, ty idioto. Mógłbyś się zatrzymać u Ritza czy gdzie indziej. Nie musisz jeszcze wracać do kraju.

Markham żył z kieszonkowego wypłacanego przez matkę i wszyscy wiedzieli, że jest lekkoduchem goniącym za przelotnymi miłośkami. Nie ukrywał ani tego, ani też niechęci do stałych związków. Cztery eks-żony drogo go kosztowały i bynajmniej nie szukał piątej. Dla jego potrzeb Hillary - mężatka, która w dodatku oznajmiła na wstępie, że nowe małżeństwo raczej nie wchodzi w grę - była idealną partnerką. Tym bardziej zatem stropił go wyraz niepokoju, który zagościł na twarzy Hillary.

- Chyba się we mnie nie zakochałaś, co? - Udawał beztroskę i ona właśnie tak silnie działała na Hillary. Nie był człowiekiem równie łatwym do okiełznania i tak łatwym do prowadzenia jak Nick. Zmuszał ją do wysiłku, co bardzo się jej podobało. Był pierwszym mężczyzną, który otwarcie, a zarazem miłośnie nazywał ją "kurewką". - Jestem niebezpiecznym obiektem uczuć, ślicznotko. Zapytaj którąkolwiek z kobiet. Do diabła, zapytaj moich żonatych kumpli...

- Nie muszę. Wiem, jaki jesteś. Równie zepsuty jak ja.

- No i wspaniale... - Delikatnie przyciągnął ją do siebie za włosy, pocałował, a potem ugryzł. - Może zatem stanowimy idealną parę.

Nie chciał się przed nią przyznać, lecz zaangażował się w ten związek

bardziej, niż zamierzał. Gdy w Nowym Jorku Hillary niemal otwarcie zachęcała go do spotkania we Francji, uznał, że będzie to interesujący romansik na lato. Wówczas jednak Hillary nie sądziła, że zechce z Markhamem być dłużej związana, teraz zaś oboje zdumiewało, iż jej zainteresowanie Philipem nie wygasło, chociaż spędzili wspólnie całe lato.

- Niewykluczone, że zatrzymam się w Paryżu na jakiś czas... - mruknął Markham. Pomyślał, że pomieszkanie z miesiąc w hotelu Georges V może się okazać całkiem przyjemne, a perspektywa wojny nie przepelniała go najmniejszą obawą. - Wiesz, co? Zawiozę cię do Paryża osobiście na początku przyszłego tygodnia. Myślisz, że to wystarczy, czy też wcześniej Nick spadnie na nas jak grom z jasnego nieba?

- Mało prawdopodobne - odparła z uśmiechem. - Jest zbyt zajęty naszym synem. No i swoimi interesami.

- Świetnie. A zatem wrócimy do domu, kiedy przyjdzie nam na to ochota. Zadzwoń jutro do hotelu i zapytam, czy dostanę swój stały apartament.

Hillary wyszła do garderoby, by zakończyć przygotowania do przyjęcia, a kiedy się z niej wyłoniła, Markham gwizdnął przeciągle. Miała na sobie czerwoną suknię z organdy z dekoltem sięgającym niemal pępka. W gruncie rzeczy suknia wcale nie zasłaniała tego, co odzienie zwykle skrywa. Markham był tym zachwycony. Zachwycony do tego stopnia, że rzuciwszy zaledwie jedno lubieżne spojrzenie, brutalnym szarpnięciem obnażył Hillary, cisnął ją na łóżko i wziął z taką mocą, że zdyszana i bez tchu nawet przez moment nie pomyślała o wartej tysiąc dolarów kreacji od Diora, która w strzępach poniewierała się na podłodze.

## Rozdział czternasty

W weekend 26 sierpnia Nick i John udali się na Gare de l'Est, aby popatrzeć na żołnierzy, których tysiące wsiadały do pociągów kierujących się przeważnie do przygranicznych fortec na północy. Johnny przyglądał się im niemal z trwogą. Nick zrazu się wahał, kiedy chłopiec zapytał, czy nie mogliby pójść na dworzec, w końcu jednak uznał, że skoro wokół nich dzieje się historia, Johnny powinien być jej naocznym świadkiem. Od ostatniej rozmowy telefonicznej Nick nie miał od Hillary żadnych wiadomości, przypuszczał jednak, iż pojawi się w domu lada chwila. Dzwonienie po raz kolejny nie miało sensu, skoro dostatecznie jasno wyraził swoje intencje.

Tego samego niedzielnego popołudnia na Place du Palais-Bourbon na lewym brzegu Sekwany Liane i jej córki czekały na powrót Armanda do domu. Musiał pracować przez cały weekend, ale - o dziwo! - niezmiennie bił od niego niewzruszony spokój. W końcu coś zaczynało się dziać. Wszędzie na ulicach pojawiły się afisze ze słowami "Appel immediat", wzywające mężczyzn do wojska. Dziewczynki widziały te plakaty na każdym murze po drodze z parku do domu i Liane usiłowała wytłumaczyć im ich znaczenie, albowiem ojciec nie potrafił znaleźć na to czasu. Elisabeth była za mała, żeby zrozumieć cokolwiek z wyjaśnień matki, poza tym panicznie bała się wszelkiej broni, Marie-Ange była jednak mocno zaintrygowana wydarzeniami ostatnich dni. Na ulicach widniały zresztą jeszcze inne afisze, które Marie-Ange odczytywała na głos guwernantce i siostrze; zawierały wskazówki dla mieszkańców na wypadek ataku gazowego i określały zasady zaciemnienia. Minionej nocy Paryż był oświetlony tylko w części.

Liane musiała też wyjaśnić córkom, dlaczego na ulicach jest tyle samochodów: ludzie masowo wyjeżdżali z Paryża, wioząc ze sobą przedziwną różnorodność dobytku - czasem nawet krzesła i stoły przymocowane do masek, wózki dla dzieci, garnki i patelnie. Władze apelowały co prawda, aby nie gromadzono żywności na zapas i nie wpadano w panikę, lecz nie na wiele się to zdało. Pragnąc odwrócić uwagę dziewczynek od wydarzeń, Liane zabrała je do Luwru, muzeum jednak okazało się zamknięte, a wartownik poinformował ją, że najcenniejsze eksponaty już wywieziono na prowincję. Na ulicach zaś, w nie mających końca dyskusjach o pakcie między Moskwą a Berlinem, słyszało się zdanie "Nous sommes trahis", zostaliśmy zdradzeni. Takich słów nie użył nawet Armand, toteż Liane wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Czy Niemcy mogą zaatakować nas już jutro? - Takie pytanie w kilka dni po kryzysie zadała w czasie śniadania Marie-Ange, Liane zaś smętnie pokręciła głową. Wszyscy z lękiem czekali na to samo, nawet dzieci.

- Nie sądzę, kochanie. Miejmy nadzieję, że nigdy tego nie zrobią.

- Ale słyszałam, jak tata mówił...

- Nie powinnaś zwracać uwagi na rozmowy dorosłych - odruchowo zwróciła jej uwagę Liane. Wszyscy wsłuchiwali się w słowa innych w nadziei, że dowiedzą się czegoś nowego, wszyscy łaknęli informacji, trudno było zatem wymagać od dzieci, żeby zachowywały się inaczej. - Właśnie dlatego żołnierze udają się nad granicę. Mają zapewnić nam bezpieczeństwo.

Liane była głęboko przekonana, że przynajmniej Marie-Ange powinna wiedzieć, co się dzieje. Nie chciała jednak przestraszyć córki, gdy cały ich świat ogarniało przerażenie. Mimo pozorów spokoju, dostrzegalnych wszędzie dookoła, w głębi duszy bali się wszyscy, i to do tego stopnia, że gdy w czwartek rutynowo ogłoszono próbny alarm, to tylko na chwilę, aby społeczeństwo przypadkiem nie uznało, iż kraj został naprawdę zaatakowany. Kiedy zawyły syreny, w rzeczy samej zapanowało powszechne napięcie, a całe miasto zamarło i dopiero gdy po krótkiej chwili ucichły, odetchnęło z ulgą.

Ale 1 września znowu wszystkim zapało dech, albowiem nadeszły wiadomości o niemieckim ataku na Polskę. Rok wcześniej dokładnie to samo nastąpiło w chwili, gdy Niemcy zajęły część terytorium Czechosłowacji, po ugodzie monachijskiej jednak świat znowu nabrał otuchy. Czechosłowacja stała się kolejnym kozłem ofiarnym; sądzono, że ostatnim. Teraz wszakże Niemcy, wzmocnione układem z Rosją, nabrały przekonania, że nie mają się czego obawiać ze strony reszty Europy, i z mściwą satysfakcją ruszyły na Polskę.

Te nowiny przyniósł w czasie lunchu Armand. Liane w milczeniu usiadła do stołu, po jej policzkach spływały łzy.

- Biedacy. Czy nie możemy im pomóc?

- Jesteśmy za daleko, Liane. Tak samo zresztą jak Brytyjczycy. Kiedyś na pewno ruszymy im z odsieczą, ale nie od razu. Chwilowo... - zawiesił głos.

Tego samego popołudnia Nick Burnham siedział przy oknie w bibliotece domu przy Avenue Foch. Właśnie dzwonił do Hillary do Cannes, tylko po to jednak, aby usłyszeć, że wyprowadziła się z Carltona. Minął tydzień, odkąd nakazał jej powrót do domu, a ona wciąż zwlekała. Powiedziano mu, że wymeldowała się tego ranka, lecz nikt nie wiedział, w jaki sposób zamierza wrócić do Paryża. Miał nadzieję, że pociągiem i że wróci szybko. Było mu potwornie głupio, iż ściągnął tutaj nie tylko ją, ale i Johnny'ego. W Europie najwyraźniej zaczynała się wojna.

Następny dzień był dla wszystkich pełen napięcia. Cała Europa wstrzymując oddech czekała na rozwój wydarzeń w Polsce. Armand przekazał Liane tego

wieczoru to, czego dowiedział się kanałami dyplomatycznymi: Warszawa płonęła, na kraj leciały tysiące pocisków, ale Polacy nie zamierzali się poddać. Będą walczyć z Niemcami aż do końca, gotowi umrzeć z honorem.

Tej nocy, stosownie do wymogów zaciemnienia wygasiwszy światła, poczuli się wręcz niesamowicie w pogrążonym w głębokim mroku pokoju przy zaciągniętych zasłonach. Żadne nie mogło spać, a Liane złapała się na tym, że nie potrafi oderwać myśli od ludzi, którzy w Polsce walczą przeciwko Niemcom. Myślała o kobietach takich jak ona, kobietach mieszkających z dwiema córkami... A może te kobiety wcale nie siedzą w domach, lecz razem ze swoimi dziećmi walczą o życie? Była to przerażająca wizja.

Nazajutrz, 3 września, już nie tylko kwestia Polski stała w centrum powszechnej uwagi. Tego dnia Armand długo nie wracał do domu, Liane jednak znacznie wcześniej usłyszała nowiny przez radio: brytyjski statek "Athenia" został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną na zachód od Hybrydów. Reakcja była natychmiastowa - Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę, a Francja, w myśl zobowiązania złożonego Polsce, poszła za jej przykładem. Lata ustępstw i kompromisów bezpowrotnie minęły; Europę ogarnęła wojna.

Liane siedziała w salonie, spoglądając ze łzami w oczach w paryskie niebo, wreszcie poszła do pokoju córek i powiedziała im o wszystkim. Obydwie natychmiast się rozplakały, podobnie zresztą jak guwernantka. Potem zaś dwie dorosłe kobiety i dwie małe dziewczynki długo zalewały się łzami. Po jakimś czasie Liane, już opanowana, namówiła córki do umycia twarzączek i poszła przygotować dla wszystkich lunch.

- Koniecznie powinniśmy zachować spokój, płacz w niczym jeszcze nikomu nie pomógł - tłumaczyła im. - A musimy robić wszystko, żeby pomóc tatusiowi.

- Czy zostanie teraz żołnierzem? - Elisabeth popatrzyła na matkę swoimi wielkimi jasnyniebieskimi oczyma i niemal zakrztusiła się jedzeniem, usiłując powstrzymać szloch. Liane czule pogładziła ją po buzi i pokręciła głową.

- Nie, kochanie. Tatuś służy Francji w inny sposób.

- A poza tym jest za stary - dodała rzeczowo Marie-Ange.

Liane zaskoczyła ta uwaga. Nigdy nie myślała o Armandzie jak o starym człowieku i zdumiało ją, że córka zdaje sobie sprawę z wieku ojca. Na co dzień był tak młodzieńczy i dynamiczny, iż dla Liane jego wiek nie miał najmniejszego znaczenia. Elisabeth natychmiast pospieszyła w sukurs ojcu.

- Tatuś wcale nie jest stary.

- Ależ jest - obstawała przy swoim Marie-Ange i zanim Liane zdołała je powstrzymać, dziewczynki biły się ze sobą zawzięcie. W końcu omal nie przyłożyła obu po klapsie. Wszystkie trzy miały nerwy napięte do granic możliwości.

Po lunchu Liane zostawiła córki z guwernantką, nakazawszy, aby się pobawiły w swoim pokoju. Nie chciała, żeby przebywały w ogrodzie. Kto wie, co się teraz może wydarzyć? Skoro Francja oficjalnie przystąpiła do wojny, mógł nastąpić nalot albo atak gazowy, Liane zatem pragnęła je mieć cały czas pod dachem. Bardzo chciała porozmawiać z Armandem, lecz nie miała odwagi mu przeszkadzać.

- Tatusiu, czy to znaczy, że będziemy musieli wracać do Nowego Jorku? - John patrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma, gdy Nick przekazał mu szokujące nowiny. Myśl, że wybuchła wojna, zrazu wydała się Johnny'emu szalenie ekscytująca, ale ponieważ ojciec mówił o tym tak poważnie i

posepnie, pierwotne wrażenie przysło.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu. - I nagle wystraszony dodał: - Czy będę mógł zabrać do domu pieska?

- Oczywiście, że tak - odparł Nick, choć wcale nie myślał o psie. Myślał o matce Johnny'ego. Hillary wyjechała z Cannes przed dwoma dniami i jeszcze się nie pojawiła.

Po chwili zostawił syna i zszedł na dół do swojego gabinetu. Pospieszył z biura do domu, jak tylko usłyszał wiadomości, pragnąc podtrzymać Johnny'ego na duchu, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy nie powinien tam wrócić. Zadzwoił w końcu do biura i przekazał pracownikom polecenie, aby w razie potrzeby kontaktowali się z nim w domu. Chciał być z synem, dopóki nie uzyska nowych informacji na temat rozwoju wydarzeń. Wieści wszakże nie nadchodziły. Od chwili wypowiedzenia wojny w Paryżu panował osobliwy spokój. Trwał wprawdzie exodus mieszkańców na prowincję, ale nie widać było znamion paniki.

Późnym popołudniem 3 września Nick usłyszał dzwonek u wejścia, gwar podekscytowanych głosów, a po chwili drzwi biblioteki otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich Hillary, mocno opalona, z rozpuszczonymi włosami, Hillary, której twarz sprawiała wrażenie markieterii z onyksu i kości słoniowej. Nonszalancko wymachiwała trzymanym w dłoni kapeluszem słomkowym, który idealnie współgrał z beżową bawełnianą sukienką.

- Rany boskie, Hil... - Zareagował jak ojciec, który odzyskując zaginione dziecko, nie wie, czy przytulić je do serca, czy też porządnie sprać.

- Cześć, Nick.

Jej twarz wydawała się nadzwyczajnie spokojna, nie zanosilo się więc na to, że powitanie przebiegnie w gorącej atmosferze. Nick natychmiast zauważył na jej ramieniu szeroką brylantową bransoletę, pozostającą w oczywistej dysharmonii ze wszystkim, co tego dnia miała na sobie. Ani słowem jednak, ani spojrzeniem nie zdradził, że dostrzega ów przedmiot, najwyraźniej kosztowny podarunek od nowego kochanka. Głos Hillary zabrzmiał tak beztrosko, aż Nick popatrzył na żonę nie wiedząc, czy przypadkiem nie śni.

- Czy zdajesz sobie sprawę, iż Francja i Anglia wypowiedziały dzisiaj Niemcom wojnę? .

- Owszem, obito mi się o uszy. - Kiedy sadowiła się na kanapie i zakładała nogę na nogę, wyglądała na osobę niewiarygodnie opanowaną.

- Gdzieś ty się, do diabła, podziewała?

- Byłam w Cannes.

- Pytam o te dwa ostatnie dni. Dzwoniłem i powiedziano mi, że już się wyprowadziłaś.

- Jechałam z przyjaciółmi.

- Z Philipem Markhamem? - zapytał i przez głowę mu przemknęło, że chyba oszalał. Francja przystąpiła do wojny, a on wypytuje żonę o kochanka.

- Czyżbyśmy mieli zacząć to wszystko do początku? Sądziłam, że te dni już dawno minęły.

- Nie w tym rzecz. Rany boskie, to nie pora, żeby szwendać się po Francji.

- Kazałeś mi wrócić, więc wróciłam.

W jej oczach jarzyła się otwarta wrogość. Hillary ani słowem nie zapytała o syna. Patrząc na żonę, Nick zaczął sobie uświadamiać, że jej nienawidzi.

- Wróciłaś dokładnie dziesięć dni po moim telefonie. A kazałem ci przyjeżdżać natychmiast.

- Miałam plany, z których nie mogłam zrezygnować.
- Masz syna, a w tej chwili toczy się wojna.
- No więc wróciłam. I co teraz?

Westchnął głęboko. Rozmyślał o tym cały dzień i wiedział już, jaką należy podjąć decyzję. - Wysyłam was oboje do kraju, jeśli tylko będzie to możliwe.

- Sądzę, że pomysł jest niegłupi - uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd weszła do pokoju. Rozważała tę kwestię z Philipem, zanim wysiadł z samochodu przed hotelem George V. Powiedział, że bez względu na to, czy Nickowi się to spodoba, czy nie, zabiera ją do Nowego Jorku. Nick jednak rozwiązał za nich ten problem. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Zlecę komuś w biurze ustalenie terminu. Teraz nie będzie to łatwe.

- Powinieneś być zastanowić się nad tym już w czerwcu. - Zerwała się, okrążyła pokój, potem spojrzała przez ramię na męża. - Sądzę jednak, że byłeś zbyt zajęty robieniem interesów ze szkopami, aby zastanawiać się nad niebezpieczeństwem, w które nas pakujesz. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że jesteś współodpowiedzialny za to wszystko? Tak, jesteś po części odpowiedzialny za wybuch wojny. Któż może wiedzieć, w jaki sposób Niemcy wykorzystali stal, którą im sprzedałeś?

Była to przerażająca myśl, i to myśl dręcząca Nicka przez ostatnie dwa tygodnie. Jedyłą pociechę znajdował w tym, że przed dwoma dniami anulował wszelkie nie zrealizowane jeszcze kontrakty z Niemcami. Oświadczył, iż jego spółka jest gotowa ponieść straty, lecz że za żadne skarby nie będzie dłużej prowadzić interesów z hitlerowską Rzeszą. Żałował tylko, że nie podjął tej decyzji wcześniej. Stojąc teraz przed żoną, wspomniawszy słowa Liane wypowiedziane na statku: "Nadejdzie czas, kiedy trzeba się będzie opowiedzieć po którejś stronie..." I czas ten nadszedł, on opowiedział się po jednej ze stron, tyle że uczynił to zbyt późno, w związku z czym musiał teraz żyć ze świadomością, iż - co prawda bezwiednie - pomógł Niemcom. Tylko niewielką pociechę dawało mu to, że pomógł również zbroić się Anglii, Francji i Polsce... W tej chwili jednak najbardziej bolało Nicka, że Hillary po raz kolejny zdołała go zranić. I chociaż nie było to niczym nowym, ze zdumieniem spojrzał na swoją żonę.

- Dlaczego nienawidzisz mnie aż tak bardzo, Hil?

Próbowała udawać, że zastanawia się nad odpowiedzią, w końcu wzruszyła tylko ramionami. - Nie wiem... - Posłała mu smutne spojrzenie. - Może dlatego, że zawsze przypominałeś mi o tym, kim nie jestem. Zawsze pragnąłeś czegoś, czego nie mogłam ci dać, bo tego po prostu w sobie nie miałam. - Z tą prawdą Nick pogodził się dopiero niedawno. - Dawałeś mi zbyt wiele. Dusisz mnie od chwili naszego pierwszego spotkania. Powinieneś być ożeniony z jakąś uroczą nauczycielką, która obdarzyłaby cię tuzinem dzieci.

- Nie o to mi wtedy chodziło. Kochałem cię. - Nick wyglądał na znużonego i smutnego. Wszystko pomiędzy nimi było raz na zawsze skończone.

- Ale już mnie nie kochasz, prawda? - Musiała mu zadać to pytanie, musiała wiedzieć, bo odpowiedź mogła się okazać jej biletem do wolności.

Nick wolno pokręcił głową.

- Nie, nie kocham cię. Tak jest lepiej dla nas obojga.

- Tak, tak jest lepiej - przytaknęła, a potem westchnęła głęboko i ruszyła ku drzwiom. - Idę przywitać się z Johnnym. Kiedy wyjeżdżamy?

- Jak tylko zdołam załatwić wyjazd.

- Pojedziesz z nami? - spytała patrząc nań wyczekująco, lecz Nick z żalem pokręcił głową.

- Na razie nie mogę. Ale wrócę, jak tylko będę mógł.

Hillary skinęła głową i wyszła z pokoju, Nick zaś podszedł do okna i nie widzącym wzrokiem zapatrzył się w spokojną zieleń ogrodu.

Późnym wieczorem 6 września de Villiersowie zjedli lekką kolację. Armand, zbyt wyczerpany, aby odczuwać głód, prosił tylko o odrobinę zupy i trochę pieczywa. Ten dzień wypełnił mu jeden ciąg gorączkowych narad. Z Polski nadchodziły wieści gorsze niż kiedykolwiek dotąd, chociaż na szczęście Warszawa jeszcze się broniła. Wszelkie doniesienia podawały wszakże zgodną ocenę sytuacji - była krytyczna, a Polacy stanęli w obliczu zagłady.

Obserwując twarz Armanda, Liane dostrzegła w niej nie tylko rozpacz, lecz również bezgraniczne zmęczenie i głęboką troskę o własną ojczyznę.

- Liane... Muszę ci coś powiedzieć.

Zastanawiała się, jaką następną potworną wiadomość chce jej przekazać, bo że będzie straszna, nie ulegało wątpliwości; inne nowiny ostatnio w ogóle się nie zdarzały.

- Tak?

- "Aquitaine", statek brytyjski, który przybił wczoraj wieczorem w Southampton, wyruszy w ostatni rejs do Stanów, gdzie zostanie przerobiony na transportowiec. Dlatego kiedy... - Armand omal nie zakrzuszył się własnymi słowami. - Dlatego kiedy będzie odpływał, chciałbym, żebyście byli na jego pokładzie. Ty i dziewczęta.

Słuchała w całkowitym milczeniu. W pierwszej chwili nie zareagowała, potem wolno pokręciła głową, wyprostowała się na krześle i spojrzała mężowi prosto w oczy.

- Nie, Armandzie, nigdzie nie popłyniemy.

Był tak zaskoczony jej słowami, że milczał przez długą chwilę.

- Czyś oszalała? - wykrzyknął w końcu. - Francja jest w stanie wojny. Musisz wracać. Chcę mieć pewność, że jesteście bezpieczne!

- Na angielskim statku, gdy Atlantyk roi się od niemieckich U-Bootów? Skoro zatopili "Athenię", dlaczego nie mieliby zatopić i tego statku?

Armand pokręcił głową. Okropieństwa, które słyszał na temat Warszawy, wciąż zbyt donośnie brzmiały mu uszach. Nie mógł pozwolić, by żona i córki pozostały we Francji, narażając się na podobne przeżycia.

- Proszę, nie dyskutuj ze mną. - Był zbyt zmęczony, aby powiedzieć cokolwiek więcej, a zetknął się z taką determinacją Liane, jakiej nigdy by się po niej nie spodziewał.

- Nie płyniemy, zostajemy z tobą. Rozmawialiśmy o tym zaraz po wypowiedzeniu wojny. Są tu inne kobiety z dziećmi, dlaczego więc właśnie my miałybyśmy odpłynąć?

- Ponieważ w Stanach będziecie bezpieczne. Roosevelt z uporem twierdzi, że nie przyłączy się do tej wojny.

Tę informację, zupełnie nową, Liane przyjęła z niesmakiem.

- Czyżbyś nie wierzył w potęgę Francji? Przecież nie może paść jak Czechosłowacja czy Polska.

- A jeśli Niemcy zrzucają bomby? Czy wtedy chciałabyś być tutaj z dziewczynkami?

- Inni zdołali to przeżyć w czasie poprzedniej wojny - nieustępliwie zauważyła Liane.

Armand był tak znużony, że niemal zasypiał na siedząco. Nie umiał stawić jej czoła.

Podjęli ten temat ponownie nazajutrz z samego rana, kiedy tylko Armand



się obudził, ale Liane okazała jeszcze większą stanowczość. Ignorowała niemal wszystko, co mówił Armand, a gdy około wpół do ósmej gotował się do wyjścia do biura, jeszcze raz posłała mu to swoje czułe spojrzenie.

- Kocham cię, Armandzie, moje miejsce jest tu, przy tobie, i nie proś mnie już, bo nigdzie nie pojedę.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy. - Jesteś niezwykłą kobietą, Liane, ale wiem o tym od dawna. Wciąż masz możliwość wyboru. Powinnaś wracać do Stanów, póki możesz.

- Nic tam nie mam. Mój dom jest tutaj, przy tobie. - Kiedy pochylił głowę, aby pocałować ją na pożegnanie, w jego oczach zaszklily się łzy. Poruszyła go silniej niż kiedykolwiek dotąd. Była bardzo mężna, tak mężna jak Polacy walczący z Niemcami. - Kocham cię.

- I ja też cię kocham - wyszeptła.

Potem Armand odszedł.

Liane wiedziała, że zobaczy go dopiero po północy, gdy ze zmęczenia będzie padał z nóg. Teraz jego wyczerpanie było jednak usprawiedliwione. Francja toczyła wojnę. Liane zamierzała pozostać w tym kraju. Zamierzała być zawsze u boku męża.

## Rozdział szesnasty

- Jesteś gotów? - Szeroko otwarte oczy Johna były przerażająco smutne. Trzymał szczeniaka w ramionach, u jego boku stała piastunka.

Skinął głową. - Wziąłeś kij baseballowy? - Dzieciak przytaknął i wreszcie po jego policzkach popłynęły łzy. Ojciec przytulił go do siebie. - Wiem, synu... Wiem... Ja też będę za tobą tęsknił... Ale to tylko krótkie rozstanie. - Nick zacisnął zęby, modląc się, aby to, co mówi, okazało się prawdą. Nie mógł jeszcze wracać, nie mógł zostawić europejskich interesów.

- Ale ja nie chcę wracać do domu bez ciebie, tatusiu.

- To tylko na krótko... Obiecuję... - Nad głową syna popatrzył na Hillary, która zachowywała niezmacony spokój.

Bagaze czekały już w holu. Tym razem miały się zmieścić w jednym samochodzie, powiedziano im bowiem, że każdy może zabrać tylko dwie walizy. Statek był przepelniony i nie należało liczyć na podróż w luksusie, chociaż lista pasażerów przedstawiała się zaiste imponująco. Setki bogatych amerykańskich turystów, uwięzionych za granicą, już od wielu dni oblegały ambasadę amerykańską, domagając się umożliwienia powrotu do kraju. Wszystkie rejsy statków amerykańskich i francuskich zostały odwołane. "Normandie" dotarła do Nowego Jorku 28 sierpnia, a jej właściciele dołożyli wszelkich starań, by zacumowała tam na dobre. Amerykańskie linie również odwoływały swoje rejsy, toteż ambasador Kennedy w Londynie odchodził od zmysłów, rozsyłając gdzie się da alarmujące depesze, że mnóstwo amerykańskich turystów pozostało w Starym Świecie i że natychmiast trzeba zorganizować niezbędne środki transportu. Ze Stanów wysłano co prawda kilka jednostek, jak "Washington", "Manhattan" czy "President Roosevelt", lecz Nick nie wiedział, kiedy dotrą do celu, "Aquitaine" zatem wciąż była jedynym statkiem, który miał wyjść w morze w konkretnym terminie - i to w ostatni rejs przed podjęciem służby wojskowej. Niebezpieczeństwa owej ostatniej przeprawy nie stanowiły dla nikogo tajemnicy, bo wszędzie powtarzano sobie, przerażające historie o niemieckich U-Bootach bezkarnie

grasujących po oceanach. "Aquitaine" wszakże dzięki swojej konstrukcji była mniej bezradna wobec podwodnych ataków aniżeli większość innych statków. Ostatni rejs przez Atlantyk odbyła bez przygód, płynąc zygzakowatym kursem, z wielką prędkością i całkowicie zaciemniona, w drodze powrotnej zaś podróży i załogę niewątpliwie czekała solidna dawka mocnych wrażeń.

Wielki czarny duzenberg czekał przed domem przy Avenue Foch. Hillary, John i piastunka w ponurym nastroju zajęli w nim miejsca. Jechali do Calais, gdzie Nick wynajął wielki jacht, który miał jego rodzinę odstawić do Dover, tam z kolei czekał samochód, by dowieźć wszystkich do Southampton. Cała ta wyprawa okazała się nie tyle niebezpieczna co wyczerpująca. W dniu wyjścia statku w morze dotarli w końcu do portu. Hillary ku swojemu ogromnemu zdumieniu była bliska łez, kiedy zaś pasażerom wchodzącym na pokład odczytywano ostrzeżenie, mocno przytuliła się do Nicka.

Poinformowano wszystkich, iż odbywają ten rejs na własne ryzyko, "na statku państwa zaangażowanego w wojnę, a zatem narażonego na zatopienie bez ostrzeżenia". Jeśli nawet żadne inne sprawy nie wywierały na Hillary należytego wrażenia, to przekonało ją, że sytuacja jest poważna. Dzięki temu Burnhamowie przez długą chwilę mocno tulili się do siebie. Nick zdołał załatwić dla żony i syna zaledwie małą ślepą kajutę z trzema kojami - jedną dla Hillary i drugą podwójną dla Johna i piastunki, mieli za to do dyspozycji własną łazienkę.

Nick pozostał na pokładzie aż do ostatniego sygnału, a przed samym zejściem na ląd mocno wyściskał syna.

- Bądź mężczyzną, tygrysie, i dbaj o mamę. No i rób wszystko, co ci każe. To bardzo ważne.

- Och, tatusiu... - Głos chłopca drżał niemal równie mocno jak głos Nicka. - Myślisz, że utoniemy?

- Nie, tak nie myślę. Ale o was będę myślał codziennie. A jak tylko dotrzecie do domu, macie wysłać mi depeszę.

Piesek Johna dygotał pod łóżkiem. Chłopiec musiał przemycić go na statek - poinformowano ich, że zwierzęta nie mają na pokład wstępu, ale wiedząc, jak Anglicy lubią zwierzęta, Johnny miał niemal pewność, że jego pupilowi nie stanie się żadna krzywda, jeśli nawet zostanie wykryty.

- A co będzie z pieskiem, jeśli utoniemy?

- Nie utoniecie. A gdybyś musiał skakać do wody, po prostu trzymaj go mocno i znajdź dla niego miejsce w swojej kamizelce ratunkowej... -

Powiedziawszy to, Nick aż się przeraził. Mocno ścisnął dłoń syna, spojrzał na żonę. - Uważaj na siebie, Hil, i dbaj o Johna. - Zerknął na malca, który w tej chwili zupełnie otwarcie płakał.

- Zrobię to, Nick. Ty też na siebie uważaj. - Potem, przetykając ślinę, mocno przytuliła się do męża. - I szybko wracaj.

Wydawało się, że podczas tych ostatnich chwil spędzonych na pokładzie statku ich wzajemna nienawiść zupełnie się rozmyła - nie było po prostu na nią czasu. Wszyscy troje raptem uświadomili sobie, że być może nigdy się już nie zobaczą. Piastunka Johna wpadła niemal w histerię i teraz zapłakana siedziała na skraju koi. Schodząc na ląd, Nick wiedział, że czeka ich niełatwa podróż. Miał tylko nadzieję, iż "Aquitaine" bezpiecznie dotrze do celu.

Później samotnie stał na nabrzeżu, energicznie machając ręką, aż przestał rozróżniać sylwetki syna i Hillary. Kiedy zyskał całkowitą pewność, że Johnny także go już nie widzi, ukrył twarz w dłoniach i z oczu pociekły mu

ły. Przechodzący obok doker chrząknął dyskretnie, zatrzymał się i poklepał Nicka po ramieniu.

- Wszystko będzie w porządku, bracie... To świetna łajba, wiesz?...  
Przypłynąłem nią z Nowego Jorku. Sunie jak wiatr. Szkopy nie mają szans jej dogonić.

Nick skinął głową, wdzięczny za te słowa otuchy, ale nie miał siły odpowiedzieć. Czuł się tak, jak gdyby tym statkiem odpływało całe jego życie, cała jego dusza. Wszedł do poczekalni, aby napić się wody, i jego wzrok padł na przyklejoną do ściany listę pasażerów. I jak gdyby miało to na powrót przybliżyć ich do niego, zaczął szukać znajomych nazwisk. "Pani Burnham, Hillary... Panicz Burnham, John." Niankę wymieniono znacznie niżej. A potem serce Nicka zamarło, kiedy przeczytał: "Pan Markham, Philip..."

## Rozdział siedemnasty

W normalnych warunkach "Aquitaine" zabierała trzy tysiące dwustu trzydziestu pasażerów i dziewięćset siedemdziesięciu dwóch członków załogi. Jednakże przed tym rejsiem maksymalnie zredukowano wyposażenie, by wstawić dodatkowe koje, statek wiózł zatem o czterysta osób więcej niż zwykle, przez co na pokładzie panował nieznośny ścisk. Wiele rodzin, które w normalnych warunkach, tak samo jak Hillary i John, zajmowałyby dwie, trzy kabiny albo nawet apartament, stłoczono w jednej małej kajucie. Tyle że ten rejs pod każdym względem różnił się od wszystkich innych. Obiad podawano o czwartej lub piątej po południu, a wraz z zapadnięciem zmierzchu statek, którego bulaje zostały zamalowane na czarno, całkowicie zaciemniano. Dla uniknięcia jakichkolwiek incydentów w korytarzach polecono pasażerom przebywać o tej porze we własnych kajutach, zażądano także, aby z łazienek korzystali bez włączania światła. Wszyscy się z tymi nakazami jakoś pogodzili. Na pokładzie znajdowało się mnóstwo Amerykanów i Anglików, którzy sprawiali wrażenie szczególnie opanowanych. Na kolacji zjawiali się w strojach wieczorowych, jakby wszystko toczyło się zwykłą koleją rzeczy, i bez nadmiernej ekscytacji omawiali wiadomości wojenne.

Co się zaś tyczy samego statku, to wszystko, czego w nim nie zmieniono, zachowało elegancką atmosferę dawnych wiktoriańskich salonów; może właśnie dlatego tym bardziej dramatyczne wrażenie sprawiały widniejące na każdej ścianie instrukcje dla pasażerów o zachowaniu w razie ataku U-Bootów.

Drugiego dnia rejsu Johnny nieco się uspokoił, Hillary zatem uznała, że powinna go przedstawić Philipowi Markhamowi. Wyjaśniła, że Markham jest jej starym nowojorskim znajomym, spotkanym przypadkowo na statku, lecz kiedy pograżyli się w rozmowie, malec obserwował ich z nie skrywaną podejrzliwością, a ujrawszy oboje nazajutrz na jednym z pokładów spacerowych, powiedział do niani: - Nienawidzę tego faceta. - Niania go skarciła, ale nie zrobiło to na chłopcu większego wrażenia. Tego samego wieczoru swoją opinię wyraził wobec matki, Hillary zaś w odpowiedzi wymierzyła mu siarczysty policzek. Johnny popatrzył na nią oczyma, w których nawet nie zalśniła łza.

- Nie obchodzi mnie, co mi robisz - oświadczył. - Jak dorosnę, będę mieszkał z tatą.

- A nie sądzisz, że ja też? - Jej dłonie wciąż drżały, usiłowała

zapanować nad głosem. Ten smarkacz był za sprytny, ale dzięki Bogu nie miał jak przekazać swoich spostrzeżeń ojcu. Zastanawiała się, czy widział, jak całują się z Philipem. Każdą noc spędzała w swoim łóżku, bo po prostu musiała. Philip mieszkał w jednej kajucie z trzema jeszcze mężczyznami. - Co masz na myśli mówiąc, że będziesz mieszkał z tatą? Przecież ja też będę z nim mieszkać.

- Nie, ty nie będziesz. Idę o zakład, że zamieszkas z nim.

Nie wymienił nawet imienia Markhama, w żaden też sposób nie dał poznać, iż go zauważa, kiedy się spotkali.

- Opowiadasz głupstwa - skwitowała jego słowa Hillary, aczkolwiek o poruszony właśnie przez jej syna sprawie wiele ostatnio z Philipem dyskutowali. Hillary niezbyt zgadzała się z przekonaniem Nicka, że pozostaną małżeństwem. Gdyby skłoniła go do rozwodu po powrocie do kraju bądź znalazła podstawy, aby samej o rozwód wystąpić, uczyniłaby to bez wahania i poślubiła Philipa. - Więcej nie chcę czegoś podobnego od ciebie, słyszeć - przestrzegła.

I nie usłyszała już ani słowa na ten temat. Johnny trzymał się piastunki i większość czasu spędzał na zabawach z psem.

Dla wszystkich była to długa i nużąca podróż, znaczone zygzakowatym kursem i nocnymi zaciemnieniami. Dotarcie do Nowego Jorku trwało dłużej niż zwykle, kiedy zaś wreszcie osiągnęli cel, Hillary modliła się, aby już nigdy nie było jej dane widzieć na oczy statku. Nigdy też nie była tak rada, że jest w Nowym Jorku, chociaż pozostała w mieście zaledwie dwa dni, bo zaraz odwiozła Johnny'ego do Bostonu do swojej matki.

- Dlaczego mam tu mieszkać? - nie rozumiał John. - Nie wracamy do domu?

- Ja wracam. Muszę najpierw przygotować mieszkanie.

Było zamknięte przez cztery miesiące i Hillary utrzymywała, że musi włożyć wiele pracy w doprowadzenie go do porządku. Dwa tygodnie później jednak babcia Johnny'ego zapisała go do szkoły w Bostonie, mówiąc, że to tylko chwilowo, aby pod nieobecność matki nie tracił zbyt wiele nauki. Tyle że nieco później Johnny podsłuchał rozmowę, z której wynikało, że zapisanie go do szkoły było pomysłem babci, ponieważ nie miała pojęcia, kiedy Hillary zabierze syna, wszystko zaś wskazywało na to, że raczej będzie z tym zwlekać. Johnny, chociaż zamilczał, doskonale znał powody takiego stanu rzeczy. Przypuszczalnie była z tamtym mężczyzną, z panem Markhamem... Zastanawiał się, czyby nie napisać o wszystkim ojcu, ale coś w duszy podpowiadało mu, że to nie najlepszy pomysł, bo tata mógłby się bardzo zmartwić. Lepiej opowie mu o wszystkim, kiedy się spotkają. W ostatnim liście przecież obiecywał, że wróci do domu najszybciej, jak będzie mógł, przypuszczalnie tuż po Bożym Narodzeniu. Johnny'emu wydawało się to wiecznością, chociaż - o czym w liście przypomniał mu ojciec - do Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwa miesiące.

Pod opieką babki, starszej nerwowej damy, Johnny wiódł samotne życie. Jedyne, co go pocieszało, to że pozwoliła mu zatrzymać pieska.

Dokładnie w tydzień po wysłaniu do Johna ostatniego listu Nick natknął się na Armanda i Liane na niewielkim przyjęciu wydanym przez konsula amerykańskiego. Wtedy to po raz pierwszy od wielu miesięcy de Villiersowie wspólnie gdziekolwiek wyszli.

Przeżycia ostatnich miesięcy wszystkim dodały lat i nawet Liane w swojej pięknej czarnej satynowej sukni sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Jakkolwiek z pozoru w Paryżu panował spokój, na twarzach jego mieszkańców

malowało się napięcie. Miesiąc wcześniej wszyscy ciężko przeżyli kapitulację Warszawy. Polacy walczyli mężnie aż do końca, ale 17 września zostali zaatakowani przez Sowietów i 28 tego samego miesiąca mimo nadludzkich wysiłków, mimo stali podsyłanej przez Nicka było już po wszystkim. Siostrzane miasto Paryża na wschodzie upadło.

- Co u ciebie? - zagadnął Nick. Siedział na przyjęciu obok Liane, mając Armanda po przeciwnej stronie stołu. Armand wydawał mu się o dziesięć lat starszy aniżeli podczas rejsu na "Normandie". Pracował w ostatnim czasie po piętnaście, osiemnaście godzin na dobę i nie pozostało to bez wpływu na jego wygląd. Wyglądał jak starzec, chociaż skończył zaledwie pięćdziesiąt siedem lat.

- Wszystko w porządku - odparła cicho Liane - tyle że Armand spała się jak pochodnia.

Ona także widziała spustoszenie, którego w organizmie jej męża dokonały wydarzenia ostatnich miesięcy, lecz przecież nic nie mogła na to poradzić - z miłości do ojczyzny Armand gotów był zaharować się na śmierć. Akceptowała również fakt, iż w związku z tym wszystkim była ostatnimi czasy skazana wyłącznie na towarzystwo córek. Nie miała żadnego wyboru. Poza tym ochotniczo udzielała się w Czerwonym Krzyżu i choć na razie nie mogła zwojować wiele, coś tam jednak robiła. Czerwony Krzyż pomagał wysłać z Francji do Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii rzesze niemieckich i wschodnioeuropejskich Żydów, co przynajmniej dawało Liane satysfakcję, iż przyczynia się do ocalenia znacznej liczby istnień ludzkich.

- Jak tam mój przyjaciel John? - uśmiechnęła się do Nicka.

- W porządku. Chociaż nie mam pełnej jasności, gdzie w tej chwili jest. - Nick podejrzewał, że w Nowym Jorku, ale z listu, który otrzymał od Johna, wynikało, że jednak w Bostonie, prawdopodobnie z wizytą u babki.

Liane lekko się stropiła. - To nie jest z tobą?

- Nie. Wyprawilem ich ostatnim rejsiem na "Aquitaine". W gruncie rzeczy chciałem powiedzieć, że wprawdzie miał być w Nowym Jorku, ale chyba przebywa w Bostonie pod opieką babki.

- Wysłałeś go samego? - Liane była zaszokowana. Przecież tym właśnie statkiem Armand chciał wysłać do Stanów ją i dziewczynki.

- Nie, popłynął z matką. Wołałem ich tu nie zostawiać. Czuję się lepiej wiedząc, że są w Stanach.

Liane skinęła głową. Był to sensowny krok, choć nie taką informację pragnęła usłyszeć. Podejrzewała jednak, że Hillary udała się w tę podróż z najwyższą radością. Liane słyszała pogłoski o Philipie Markhamie. Kosmopolityczna społeczność Paryża była niewielka, obracała się we własnym kręgu i charakteryzowało ją ogromne gadulstwo.

Liane patrzyła na Nicka, który też sprawiał wrażenie zmęczonego, chociaż nie tak bardzo jak Armand. Wspomniawszy ich ostatnią rozmowę na statku, zastanowiła się, jakimi torami potoczyły się losy Nicka. Tamte dni wydawały się odległe o tysiące lat, a upłynęły przecież zaledwie cztery miesiące.

- A ty jak się masz?

- Chyba dobrze... - Ściszył głos. Obecność Liane zawsze sprawiała, że ściszał głos, aby mówić szczerze. - Muszę jakoś żyć ze swoimi błędami i chybionymi decyzjami.

Natychmiast pojęła, o czym mówi: miał na myśli swoje kontakty handlowe z Niemcami.

- Nie ty jeden oceniłeś ich błędnie. Zauważ tylko, co mówi się w Stanach. Roosevelt znowu próbuje wygrać przyszłoroczne wybory, posługując się w

kampanii argumentem, że Ameryka za żadne skarby nie da się wciągnąć w europejską wojnę. To czyste szaleństwo.

- Willkie mówi to samo. W gruncie rzeczy mogliby kandydować z tej samej listy.

- Jak sądzisz, kto wygra? - zapytała Liane, myśląc jednocześnie, że nieco dziwaczne jest to, iż w Europie ogarniętej wojenną pożogą rozmawiają o wyborach prezydenckich w Stanach.

- Oczywiście Roosevelt.

- Trzeci raz?

- Czyżbyś miała wątpliwości?

- Właściwie nie. - Uśmiechnęła się. Miło było pogawędzić z Nickiem na takie tematy. W tym domu wariatów, gdzie wypadło im żyć, dawało to złudzenie normalności.

Przyjęcie skończyło się dosyć wcześnie i Armand, ziewający przez całą drogę, odwiózł Liane do domu.

- Widziałem, że Burnham też był - zauważył. - Nie miałem okazji z nim pogadać. Co u niego?

- Wszystko dobrze. - Dzisiejsza pogawędka nie miała nic z intymności rozmów, które odbywali na statku, ale czegoś takiego właśnie należało się spodziewać.

- Zdziwiło mnie, że wciąż przebywa w Paryżu.

- Mówi, że po świętach wraca do domu. Jego syn i żona popłynęli do Stanów na "Aquitaine".

- Przypuszczalnie z Philipem Markhamem.

- Wiedziałeś o tym? - Spojrzawszy na Armanda ze zdumieniem, uśmiechnęła się szeroko. Nigdy jej o tym nie wspominał, ona otrzymała tę informację z własnych źródeł, od jakiegoś znajomego Amerykanina przebywającego w Paryżu.

- Czy jest w ogóle coś, o czym nie wiesz, Armandzie?

- Miejmy nadzieję, że nie. Gromadzenie informacji to moja specjalność.

Armand wiedział również o potajemnych układach Burnhama z Polską, lecz o tym nie wspominał. Zerknął z niepokojem na szofera. Ten człowiek był jednak zaufany, sprawdzono go na wszelkie możliwe sposoby, zanim został uznany za osobę godną pełnienia funkcji osobistego szofera Armanda de Villiers.

- Naprawdę? - Liane była zaskoczona. Niegdyś inaczej określał charakter swojej pracy, ale teraz wszystko się zmieniło.

Armand szybko uciekł od tego tematu. - Jakże miło było cię widzieć tak wspaniale wyszykowaną, kochanie. Jak za dawnych czasów, kiedy żyliśmy w spokojnym świecie.

Z roztargnieniem skinęła głową, rozważając to, co jej powiedział, ale nie chciała indagować go w samochodzie. Zauważyła jego spojrzenie rzucone na szofera. Teraz nie opowiadał jej już o wszystkim, co dzieje się w biurze, przekazywał jedynie wiadomości, które i tak każdego dnia mogła przeczytać w gazetach. Był znacznie bardziej skryty niż dawniej, no i nieporównanie bardziej zmęczony. Ostatni raz kochali się w końcu sierpnia i Liane podejrzewała, że tego wieczoru sytuacja nie ulegnie zmianie. Zanim dotarli do Place du Palais-Bourbon, Armand pogrążył się we śnie. Obudziła go, poszli na górę i rozebrali się do snu - ona powoli, on możliwie najszybciej. Armand natychmiast padł na łóżko i kiedy Liane weszła do sypialni, spał już jak zabity.

Trzeciego października, dwa dni po tym, jak Amerykanie w Stanach Zjednoczonych poćwiartowali i zjedli świąteczne indyki, lotnicze i lądowe wojska sowieckie zaatakowały Finlandię.

Liane jak zwykle prawie nie widywała Armanda. Chwilami odnosiła wrażenie, że wraz z Europą obraca się w perzynę ich małżeństwo. Przez cztery miesiące żywiła nadzieję, iż może służyć Francji służąc mężowi, lecz teraz Armand coraz częściej trzymał ją na dystans, którego nigdy wcześniej w ich związku nie odczuwała. Był roztargniony i milczący, nie interesował się córkami; ich życie seksualne zupełnie zanikło. Całą energię poświęcał Francji i nie pozwalał, aby żona w najmniejszym bodaj stopniu odwracała jego uwagę. O niczym już jej nie mówił, ona zaś nie zadawała żadnych pytań. Czuła się jak samotna matka wychowująca córki, a równocześnie widziała, że dziewczynki też są świadome nowej sytuacji. Usiłowała wszakże tłumaczyć jakoś Armanda.

- Tatuś jest bardzo zajęty. Przecież wiecie, że jest wojna - powtarzała wielokrotnie, często jednak zadając sobie pytanie, czy to istotnie tylko praca, czy też wchodzi w grę jakieś inne sprawy. O najdziwniejszych porach dnia i nocy Armand brał udział w ściśle tajnych spotkaniach, raz czy dwa wyjechał z domu również na weekend nie informując dokąd i z kim. Zaświtało jej w głowie, że może ma kochankę, lecz po krótkim zastanowieniu tę myśl odrzuciła.

Cokolwiek tak bardzo go absorbowało, nie pozostawiało w jego życiu miejsca dla niej. Równie dobrze mogła była wyjechać do Stanów. Łapała się od czasu do czasu na myśli, jak utrzymuje kontakty z synem Nick Burnham, żyjący samotnie w ogromnym domu przy Avenue Foch.

W istocie był jeszcze bardziej samotny niż Liane. Ona miała przynajmniej córki, Nick nie miał nikogo. Od wyjazdu Hillary nie dostał od niej żadnych wiadomości. Otrzymywał tylko listy od Johnny'ego, dostał też jeden od teściowej. Z niego właśnie zdołał wysnuć wniosek, że Hillary jest straszliwie zajęta w Nowym Jorku, Johnny zaś z jakiegoś mętnie uzasadnionego powodu pozostaje ciągle z babcią. Nick doskonale wiedział, co tak pochłania Hillary: albo Philip Markham, albo jakiś inny mężczyzna. Tak czy owak jego żona, podobnie jak minionego lata, nie chciała mieć dziecka na karku. Na myśl o synu przebywającym z babką w Bostonie w Nicku przewracały się wnętrzności, chwilowo jednak nic nie mógł na to poradzić.

Pierwotnie zamierzał pozostać w Paryżu tylko do świąt, ale niebawem pojął, iż nie może jeszcze wracać. Miał zobowiązania, z których musiał się wywiązać - chodziło o udzielenie Francuzom bardzo konkretnej pomocy. Teraz miał nadzieję, iż uda mu się wrócić do Nowego Jorku może w kwietniu, choć nie napisał o tym do Johna, nie chcąc odbierać synowi nadziei, dopóki jego plany nie nabiorą ostatecznego kształtu. Powiadomił go tylko, że zjawi się już wkrótce. Zadepeszował do swojego nowojorskiego biura, aby zakupiono w jego imieniu dla chłopca górę gwiazdkowych prezentów i aby dostarczono je do Bostonu. Była to licha namiastka obecności ojca czy matki, zawsze jednak coś. Tylko tyle mógł chwilowo zrobić dla syna w owe święta, które dla niego były jeszcze gorsze.

Stał samotnie w wyłożonej boazerią bibliotece, z której okien obserwował kiedyś Johnny'ego bawiącego się w ogrodzie; teraz nie było tam nic. Otaczała go pustka. Bezlistne drzewa, bladoszary ogród, z całego domu nie docierał najbliższy dźwięk... Nie było choinki, nie było kolęd ani rozgorączkowanej buzi promieniejącej radością podczas przeszukiwania bożonarodzeniowej pończochy. Tylko odgłos jego kroków, kiedy szedł po

schodach do sypialni, niosąc zakupioną jeszcze przed wojną butelkę koniaku, który miał mu zapewnić kilka godzin zapomnienia, złagodzić tęsknotę za synem.

Ale nawet koniak nie był w stanie pomóc, co Nick stwierdził po trzech solidnych kieliszkach. Pozwolił mu jedynie opanować nerwowe rozgorączkowanie. Nick usiadł w końcu, aby napisać do Johna list, w którym dał wyraz swojej tęsknocie i nadziei, że następne Boże Narodzenie będzie lepsze niż to. Dziękował Bogu, kiedy wreszcie zapadła noc i zaciągnąwszy zasłony mógł położyć się do łóżka i zasnąć.

## Rozdział dziewiętnasty

Następne miesiące upłynęły pod znakiem próżni znanej jako "dziwna wojna", w czasie której nic się z pozoru nie działo. Francuzi nieporuszenie trwali na linii Maginota, gotowi bronić swego kraju, do czego jednak wciąż nie mieli sposobności, a życie w Paryżu toczyło się prawie normalnie. Po początkowym szoku niewiele się tu zmieniło w przeciwieństwie do Londynu, gdzie obowiązywało racjonowanie dosłownie wszystkiego, a syreny obwieszczające naloty rozbrzmiewały każdego wieczoru.

Życie w Paryżu - jako się rzekło - było zupełnie inne, a cechowało je połączenie jakiegoś irracjonalnego podskórnego napięcia oraz fałszywego poczucia bezpieczeństwa, z którego wypływało przekonanie, iż nic się już nie zmieni. Armand uczestniczył w swoich nie kończących się potajemnych konferencjach, Liane zaś, miast niezmiennie dawać mu wsparcie, zaczynała być tym wszystkim raczej poirytowana. W końcu - tak sobie przynajmniej mówiła - mógłby jej powiedzieć cokolwiek na temat tego, co robi. Zawsze dotąd jej ufał, było jednak oczywiste, iż nie ufa jej teraz. Kontynuował swoją tajemniczą działalność, znikając niekiedy na kilka dni. Otrzymywała w takich wypadkach z jego biura telefon informujący, iż monsieur de Villiers wyjechał z miasta.

Spokój, który ogarnął Paryż, pozwolił Nickowi kontynuować pracę. Omal nie wyjechał w kwietniu, jak to sobie wcześniej zaplanował, wszystko jednak układało się tak gładko, że zdecydował wyprowadzić swoje sprawy na czyste wody i zostać miesiąc dłużej. I ów miesiąc właśnie okazał się krytyczny. Oto nagle rak, rozwijający się dotąd potajemnie, zaatakował zewsząd. Dziesiątego maja Hitler uderzył na państwa Beneluksu - Belgię, Holandię i Luksemburg. Piętnastego maja Belgowie się poddali i Niemcy od północy wkroczyli w granice Francji. Naraz, tak samo jak poprzedniego roku w sierpniu i wrześniu, zapanowała gorączka i pełna gotowość, nastąpiło pełne zgrozy przebudzenie, bo stało się oczywiste, że Hitler grał tylko na zwłokę, przymierzając się do zaatakowania reszty Europy. I znów wyszło na jaw, że Brytyjczycy mieli słuszność. Liane bezskutecznie próbowała podjąć na ten temat dyskusję ze swoim mężem - całkowicie pochłaniała go owa tajemnicza praca.

W dniu 21 maja upadło Amiens i Arras, tydzień później skapitulowała Holandia. W tym czasie, 24 maja, rozpoczęła się ewakuacja Dunkierki. Przez jedenaście okropnych dni wieści docierające do Paryża przejmowały zgrozą. Straty w ludziach przekraczały najśmielsze wyobrażenia. 4 czerwca, kiedy ewakuacja się skończyła, Churchill wygłosił w Izbie Gmin przemówienie, w



którym zapowiedział walkę we Francji, w Wielkiej Brytanii i na morzach bez względu na koszty. Będziemy - mówił - walczyć na plażach, będziemy walczyć na przyczółkach, będziemy walczyć na polach i ulicach, będziemy walczyć w górach. Nigdy się nie poddamy.

Sześć dni później wojnę Francji wypowiedziały Włochy, a 12 czerwca doszło do największej tragedii - Paryż ogłoszono miastem otwartym. Francuzi zdecydowali się oddać stolicę bez walki. W jedenastą rocznicę ślubu Armanda i Liane, 14 czerwca, do Paryża wkroczyli Niemcy i po kilku zaledwie godzinach nad każdym większym budynkiem zawisła flaga ze swastyką. Kiedy Liane z Place du Palais-Bourbon patrzyła na nie - trzepoczące na wietrze szpetne czerwone płachty, z jej oczu płynęły łzy. Całą dobę nie widziała Armanda i modliła się o jego bezpieczeństwo, ale płakała też z powodu Francji. Francuzi zwrócili się o pomoc do jej ojczyzny, lecz pomocy im odmówiono i teraz Paryż znalazł się w rękach niemieckich. Było tego dość, by każdemu złamać serce.

Tego popołudnia Armand zjawił się w domu zaledwie na chwilę. Przybył pieszo, bocznymi ulicami, aby się upewnić, iż Liane i dziewczynkom nic nie grozi. Nakazał im spuścić zasłony i zaryglować drzwi. Niemcy nikogo nie skrzywdzą, lepiej jednak nie zwracać na siebie ich uwagi. Znalazł Liane zapłakaną w sypialni i wziął ją w ramiona, chociaż bardzo spieszył się do biura. Poprzedniego dnia zniszczyli całe stosy dokumentów, ale wciąż było wiele do zrobienia, zanim oficjalnie przekażą miasto w ręce Niemców. Armand oświadczył Liane, iż za dwa dni poda się do dymisji gabinet premiera Reynauda i ministrowie wyjadą na południe, do Bordeaux. Liane, ogarnięta nagłą paniką, spojrzała na męża. - Pojedziesz z nimi?

- Oczywiście, że nie. Myślisz, że zostawiłbym cię tu samą?

Głos miał znużony, ostry i gniewny. Liane odniosła wrażenie, że nie rozumie jego słów.

- Czy jednak nie powinienesz, Armandzie...

- Omówimy to później. Teraz, jak powiedziałem, siedźcie w domu. Niech dziewczynki zachowują ciszę. I nie zwalniaj służby...

Udzielwszy jeszcze całego szeregu pospiesznych instrukcji, zniknął w ogarniętych ciszą ulicach. Mieszkańcy pochowali się w domach, tak że kiedy ulicami Paryża kroczyli Niemcy, stolica sprawiała wrażenie miasta całkowicie wymarłego. Ani jedna kafejka nie była otwarta, sklepy pozamykane, nigdzie żywego ducha - ani cywilów, ani żołnierzy francuskich. Ci, którzy zdecydowali się na ewakuację, zdążyli wcześniej wyjechać, ci zaś, którzy postanowili zostać, trwali w ukryciu. Jednakże wieczorem gdzieś ludzie zaczęli wychodzić na balkony, wymachując małymi niemieckimi flagami. Na ten widok Liane zebrało się na wymioty. "Zdrajcy, świnię" - miała ochotę wrzeszczeć na ich widok, lecz zaciągnęła tylko zasłony i czekała na powrót Armanda. Długo rozmyślała, co w tej sytuacji poczną. Teraz nie było już drogi ucieczki, znaleźli się w rękach niemieckich. Kiedy wybuchła wojna i zdecydowała się zostać z Armandem w Paryżu, wiedziała, iż coś takiego może się zdarzyć, choć w głębi duszy w to nie wierzyła. Paryż nie mógł być zdobyty i nie został zdobyty. Został wrogowi oddany.

Armand wrócił do domu dopiero o świcie dwa dni później. Był osobliwie cichy, miał bladą twarz. W milczeniu, nie zdejmując ubrania, położył się na łóżku. Nie spał, nie mówił, po prostu leżał. Po dwóch godzinach wstał, wykapał się i przebrał. Liane, która obserwowała to wszystko, nie miała wątpliwości, że jej mąż dokądś się wybiera... Dokąd jednak? Nie miał już

biura, do którego mógłby pójść. To biuro należało teraz do Niemców.

- Gdzie idziesz?

- Dzisiaj gabinet Reynauda podaje się do dymisji. Muszę tam być.

- Naprawdę musisz? - Skinął głową. - A co potem?

Smutno popatrzył na żonę. W końcu musiał jej coś powiedzieć. Na całe miesiące, zapomniawszy o Liane, oddał się bez reszty Francji. Przypominało to życie z dwiema kobietami naraz, tyle że nie starczało mu siły na obie równocześnie. Czuł się tak, jak gdyby zdradził Liane, która okazała mu tyle cierpliwości, zaufania i miłości. Musiał jej powiedzieć. Aż nazbyt długo żył ze swoimi sekretami.

- Reynaud wyjeżdża dzisiaj do Bordeaux, Liane. - Te słowa zabrzmiały w jej uszach złowieszczą nutą, ale nie były niczym nowym. Armand mówił już o tym przed dwoma dniami. Oświadczył także, iż on nigdzie się nie wybiera. - Przed wyjazdem premiera zostanie podpisana oficjalna kapitulacja.

- I znajdziemy się pod niemiecką władzą.

- Nie bezpośrednio. Marszałek Petain zostanie za niemiecką aprobatą naszym prezydentem. Popierają go Jean-Francois Darlan i Pierre Laval, dwaj wybitni przedstawiciele francuskiej marynarki wojennej - powiedział bez przekonania, jak propagandowy tekst.

Liane spojrzała nań z uwagą.

- Armandzie, o czym ty mówisz? Że Petain będzie kolaborować z Niemcami?

- Dla dobra Francji - wyjaśnił.

Nie mogła w to uwierzyć. I gdzież w tym całym zamieszaniu było miejsce Armanda? Z Reynaudem i starym ładem czy z Petainem i jego aliansem z Niemcami? Niełatwo było jej zadać Armandowi takie pytanie, musiała to jednak uczynić.

- A ty?... - zaczęła i nagle uświadomiła sobie, że już jej to powiedział, informując o wyjeździe gabinetu Reynauda do Bordeaux. Przecież oznajmił wtedy, że zostaje w Paryżu! Poczula dziwną słabość na wspomnienie tej rozmowy i teraz z szeroko otwartymi oczyma usiadła na skraju łóżka. - Armandzie, proszę, odpowiedz.

Milczał przez chwilę, wreszcie powoli usiadł obok niej. Tęsknił za nią od tak dawna! Może bez obaw powiedzieć więcej, niż zamierzał, lecz za żadną cenę nie może wtajemniczyć jej we wszystko.

- Armandzie... - Z oczu Liane powoli toczyły się łzy.

- Zostaję z Petainem.

Te słowa runęły jak głazy, ale wypowiadając je do żony, Armand odnosił wrażenie, że zdejmuje z ramion ogromny ciężar. Liane pokręciła głową, rozpłakała się, w końcu z rozpaczą popatrzyła na męża.

- Nie wierzę ci.

- Muszę.

- Ale dlaczego? - spytała z oskarżycielską nutką w głosie.

- W ten sposób mogę lepiej przysłużyć się Francji - wyszeptał.

- Z Petainem?! Oszalałeś!... - krzyknęła i nagle dostrzegła w jego oczach coś, co sprawiło, że zamilkła i usiadła na łóżku. - Co masz na myśli? - ściszyła głos, kiedy ujął jej dłoń.

- Moja kochana... Jaką byłaś cudowną kobietą przez te wszystkie miesiące... Taką dzielną i silną... Czasami silniejszą niż ja...

- Westchnął głęboko i podjął tak cicho, że ledwie mogła go usłyszeć.

- Petain mi ufa. Zna mnie z czasów pierwszej wojny, dobrze służyłem pod jego rozkazami i marszałek wierzy, że teraz też będę to dobrze robił.

- Armandzie, o czym ty mówisz?

Przez cały czas rozmawiali szeptem, chociaż Liane nie wiedziała, dlaczego właściwie tak robią. Przyszło jej wszakże do głowy, że Armand zamierza jej wyjaśnić to, nad czym zastanawiała się od tak dawna.

- Mówię, że zostanę w Paryżu i będę pracował dla Petaina.

- Czyli dla Niemców? - Nie było to oskarżenie, lecz pytanie.

- Tylko na pozór.

- A w rzeczywistości?

- W rzeczywistości w każdy możliwy sposób będę pracował dla innych. Ruch oporu przybierze rozmaite formy. Być może rząd uda się do Afryki Północnej. Będę w kontakcie z Reynaudem, de Gaulle'em i pozostałymi.

- Ale jeśli zostaniesz schwytany, zginiesz. - Ledwie powstrzymywane łzy zaczęły lać się teraz obficie. - Na miłość boską, co ty robisz?

- Jedyne, co mogę teraz robić. Jestem za stary, żeby razem z innymi kryć się po lasach czy w górach. A zresztą nie jestem w tym dobry. Całe życie spędziłem w służbie dyplomatycznej. Wiem, co trzeba zrobić, żeby im pomóc. Mówię po niemiecku... - Nie dokończył zdania, bo nagle Liane chwyciła go w ramiona i mocno przytuliła.

- Coś ci się stanie... Nie mogę tego znieść...

- Nic mi się nie stanie. Będę bardzo ostrożny. Będę bezpieczny - mówił uspokajająco, lecz Liane wyczuła, co zamierza powiedzieć w następnej kolejności. Tego wcale nie chciała usłyszeć. - Ale chcę, żebyś wróciła z dziewczynkami do Stanów, kiedy tylko uda się nam przerzucić was poza granice Francji.

- Nie opuszczę cię.

- Nie masz wyboru. Nie powinienem był się zgodzić we wrześniu na twoje pozostanie, ale tak bardzo chciałem mieć cię przy sobie...

- Jego głos zdrzął. Wiedział, jak ciężkie było dla niej ostatnie dziewięć miesięcy, i żałował, że trzymał ją w Paryżu, zwłaszcza że czynił to z czysto egoistycznych pobudek. Ale dłużej tak nie mogło być.

- Pozostając narazisz na niebezpieczeństwo moją misję... - tłumaczył. - No i dziewczynki. Sytuacja będzie dla nich zbyt niebezpieczna, skoro Niemcy okupują Paryż. Musisz wyjechać, jak tylko zdołam to załatwić.

Liane miała nadzieję, że nie uda mu się to zbyt szybko. Z przerażeniem myślała o pozostawieniu we Francji męża działającego na dwa fronty, walczącego z Niemcami i Petainem.

Kiedy Armand nieco później udał się na kolejną naradę, Liane, choć obawiała się o niego, ogarnęła wielka ulga, jakiej nie zaznała od miesięcy. Czowała przecież, że coś się dzieje, lecz nie potrafiła tego odgadnąć. Taki stan rzeczy omal jej nerwowo nie wykończył. Zaczęła nawet tracić do Armanda zaufanie, zaczęła go podejrzewać i teraz miała w związku z tym ogromne poczucie winy, aczkolwiek znowu doświadczyła w stosunku do męża czegoś, czego nie czuła od bardzo dawna: oddania i szacunku graniczących z namiętnością. Odkrył się przed nią, zaufała, a ona uwierzyła weń tak samo jak na początku ich związku. Po upadku Paryża ich małżeństwo odrodziło się z popiołów, tak że kiedy Liane wstała rano, by przygotować córkom śniadanie, jej serce przepelniało uniesienie, jakiego nie zaznała od bardzo, bardzo dawna.

Tego popołudnia Petain został oficjalnie głową państwa. Jak przepowiadał Armand, Reynaud umknął do Bordeaux, generał Charles de Gaulle przedarł się do Londynu, aby omówić kwestię transportu wojsk do Afryki Północnej, Churchill zaś przysiągł, iż w każdy możliwy sposób będzie wspierał francuski ruch oporu. Osiemnastego czerwca de Gaulle wygłosił krótkie

radiowe przemówienie do wszystkich Francuzów, błagając tych, którzy są wciąż wierni Francji, aby kontynuowali walkę. Liane z wypiekami na twarzy słuchała jego orędzia przez radio, które na wypadek gdyby Niemcy nagle zechcieli przeszukać dom, ukryła w swojej garderobie. Nikt już nie mógł być pewien bezpieczeństwa, jak wielokrotnie ostrzegał ją Armand.

Wieczorem zrelacjonowała przemówienie mężowi, który odparł, że szuka dla niej statku. Jak najszybszy wyjazd Liane z Francji był sprawą najwyższej wagi. Gdyby wyjechała później, wśród współpracowników Petaina mogłyby zrodzić się podejrzenia - dlaczego bowiem miałyby wyjeżdżać z Francji, gdzie nic jej nie grozi? Gdyby jednak okazało się, że wyjechała bezpośrednio po upadku Paryża, Armand mógłby argumentować, że Liane, jako Amerykanka, wyraziła dezaprobatę wobec przyjętej przez niego opcji politycznej i uznała za lepsze rozwiązanie powrót do kraju.

Cztery dni później Armand udał się do Compiègne, aby być świadkiem, jak Hitler, Göring i Keitel ogłaszają warunki kapitulacji i oficjalnie stają się władcami Francji. Podczas uroczystości cierpiał okrutnie, a kiedy orkiestra grała "Deutschland, Deutschland über alles", miał wrażenie, że zemdleje. Mimo to uśmiechał się mężnie przez cały czas, powtarzając sobie w duchu, że przecież kiedyś okupacja się skończy. Chętnie oddałby życie, gdyby to miało wyrwać Francję z rąk Niemców.

Wieczorem po powrocie do domu wyglądał tak źle jak nigdy dotąd. Przez tyle lat zachowywał młodzieńczy wygląd, ale w ciągu minionych miesięcy zaczął się starzeć w zastraszającym tempie. Tej nocy po raz pierwszy od bardzo dawna obrócił się ku żonie w ich małżeńskim łóżu i dotknął Liane z czułością i namiętnością, jaką pamiętała z dawnych czasów. Potem leżeli obok siebie, pograżeni we własnych myślach i marzeniach. Armand usiłował wyrzucić z duszy to, czego był owego dnia świadkiem; był zaś świadkiem gwałtu na ojczyźnie - swojej pierwszej i największej miłości. Liane wsparła się na łokciu, popatrzyła na męża i spostrzegła, że z jego oczu powoli toczą się łzy.

- Nie płacz, kochany... - Przytuliła go do siebie. - To się skończy, już niedługo... - dodała pocieszająco. Wolałaby jednak, aby teraz wraz z innymi politykami przebywał w Bordeaux, nie zaś wykonywał w Paryżu swój taniec na linie.

Głęboko westchnął i spojrzał na żonę. - Muszę ci coś powiedzieć, Liane. - Zastanawiała się, co jeszcze może jej oznajmić, i na chwilę w jej oczach zapłonęła obawa. - Znalazłem statek dla ciebie i dziewczynek. Frachtowiec, który kotwiczy nie opodal Tulonu. Nie mam pewności, czy Niemcy już o nim nie wiedzą, ale jest chyba zbyt mało ważny, żeby mieli się nim przejmować. Wiadomość otrzymałem kanałami konspiracyjnymi. Trzyma się z dala od brzegu, i to w sporej odległości. Tydzień temu jego kurs przeciął kuter rybacki i poinformował załogę o upadku Francji, dlatego frachtowiec czeka. Miał płynąć do Afryki Północnej i oddać się na usługi rządu emigracyjnego. Zamierzam osobiście odwiedzić was do Tulonu, stamtąd zabierze was kuter. To niebezpieczna wyprawa, ale pozostanie w kraju byłoby jeszcze bardziej ryzykowne.

- Będzie dużo bardziej niebezpieczne dla ciebie, Armandzie.

- Liane usiadła na łóżku i popatrzyła ze smutkiem na jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała. - Dlaczego nie wyjedziesz do Afryki Północnej, żeby tam współpracować z władzami emigracyjnymi?

Pokręcił głową. - Nie mogę. Oni mają swoje zadania tam, ja mam swoje tutaj. - Uśmiechnął się smutno. - I ty masz swoje. Musisz wyjechać,

zabierając ze sobą moją tajemnicę i nasze córki. I musisz zapewnić im bezpieczeństwo, dopóki na świecie znów nie zapanuje spokój. Wtedy do mnie wrócisz. - Westchnął, jego usta ułożyły się w smutny uśmiech. - Być może przejdę wówczas w stan spoczynku.

- Powinieneś podać się do dymisji już teraz.

- Nie jestem aż taki stary.

- Dałeś z siebie dostatecznie wiele.

- Dam jeszcze więcej.

Liane wiedziała, że tak uczyni, i mogła jedynie błagać niebiosa, aby nie przypłacił tego życiem.

- A nie mógłbyś robić dla Francji czegoś mniej niebezpiecznego?

- Liane... - porwał ją w ramiona.

Aż za dobrze znała swojego męża. Było już za późno, o wiele za późno, aby zmienić zdanie. Cieszyła się tylko, że wyznał jej prawdę, zanim wyjechała z Francji. Umarłaby chyba mając świadomość, że z całym przekonaniem współpracuje z Petainem. Teraz jednak wiedziała, co Armand naprawdę robi. Tej tajemnicy nie wolno jej wyjawiać nikomu, albowiem jakakolwiek niedyskrecja mogłaby kosztować życie Armanda, ale znała prawdę i tylko to się liczyło - kiedyś zdradzi ją córkom, zbyt małym teraz, by mogły cokolwiek zrozumieć.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zebrać w sobie odwagę niezbędną do zadania pytania, które najmniej pragnęła postawić.

- Kiedy musimy wyjechać?

Przez chwilę nie odpowiadał, potem jeszcze mocniej przytulił ją do siebie. - Jutro wieczorem.

Liane aż dech zaparło w piersiach i chociaż ze wszystkich sił starała się być dzielna, jej ramionami wstrząsnął szloch.

- Ciii... cicho, kochana... Nie trzeba płakać, nie warto... Niebawem znów będziemy razem.

Jeden Bóg wiedział, kiedy na powrót się połączą. Nie śpiąc leżeli ramię przy ramieniu, a kiedy wreszcie wzeszło słońce, Liane ogarnął żal, że ta noc nie mogła trwać wiecznie.

## Rozdział dwudziesty

Podróż do Tulonu odbyli bocznymi drogami pożyczonym samochodem, który jechał z wygaszonymi światłami. Posługiwali się nowymi okupacyjnymi dokumentami Armanda. Liane miała na sobie czarną suknię i czarny szal, dziewczynki zaś ubrały w spodnie, koszule i wygodne buciki. Każda z nich miała jedną torbę z niezbędnymi rzeczami, resztę dobytku musiały bowiem pozostawić we Francji. Niewiele ze sobą rozmawiali po drodze. Dziewczynki spały, a Liane prawie nie odrywała oczu od Armanda, jak gdyby pragnęła nasycić nim wzrok w ostatnich chwilach spędzonych w jego towarzystwie. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że za kilka godzin rozstaną się na dobre.

- To będzie gorsze niż mój ostatni rok w college'u - zażartowała cicho, kiedy córki zasnęły.

Wspomnieli obydwójce ów rok po zaręczynach. Armand przebywał wtedy w Wiedniu, Liane zaś w Mills College w Oakland. Jednakże obecny stan rzeczy - z czego obydwójce doskonale zdawali sobie sprawę - mógł trwać o wiele dłużej; i nikt nie wiedział, jak długo. Hitler mocno trzymał Europę za

gardło, trzeba więc będzie wyteńczyć siły, by rozluźnić ten zabójczy uchwyt. Liane miała wszakże pewność, iż Armand uczyni wszystko co w jego mocy, aby stało się to jak najszybciej. Ludzi równie oddanych sprawie jak on było naprawdę wielu - choćby guwernantka ich dziewczynek. Liane zapowiedziała jej z zalem, że wyjeżdża z córkami do Stanów, lecz jej nie może zabrać, i zdumiała się usłyszawszy, iż guwernantka jest z tego wręcz zadowolona. Oświadczyła Liane zuchwale, że nie będzie pracować dla jednego z popleczników Petaina, po czym z żarem w głosie wyjawiała, że i tak zamierzała odejść, ponieważ chce walczyć z Niemcami gdzieś w centralnej Francji. Było to odważne wyznanie, guwernantka jednak ufała Liane. Kobiety objęły się i zapłakały, tak samo jak w chwili rozstania płakały dziewczynki.

Cały ten dzień, dzień pożegnań, był długi i bolesny, lecz najgorsze chwile przyszło im przeżyć na trzeszczącym molu w Tulonie, kiedy Armand podawał córki krzepkim rybakom z kutra. Potem de Villiersowie z płaczem przytulili się do siebie, na koniec Liane raz jeszcze przywarła do męża. Oczy miała zalane łzami, jej głos drżał.

- Armandzie, płyn z nami... Kochanie, proszę...

Pokręcił tylko głową. - Mam obowiązki. - Raz jeszcze popatrzył na córki, później na żonę. - Pamiętaj, co ci powiedziałem. Będziesz dostawać ode mnie listy, niektóre ocenzurowane, inne nie, w zależności od tego, jakimi kanałami zdołam je przesłać. Ale jeśli nawet nie otrzymasz ode mnie ani słowa, bądź pewna, że żyję... Bądź pewna, kochanie... Bądź dzielna... - Jego głos zadrżał, do oczu napłynęły mu łzy, mimo to Armand z uśmiechem patrzył na Liane. - Kocham cię całym sercem i duszą, Liane. - Krztusząc się własnymi łzami, Liane pocałowała go w usta, a wtedy Armand delikatnie pchnął ją w ręce rybaków. - Niech cię Bóg ma w swojej opiece, kochana. Au revoir, dziewczynki.

Kuter zaraz odbił od moła, pozostawiając na nim samotnego Armanda, który wciąż machał ręką. - Au revoir... - Wyszeptał raz jeszcze, kiedy stateczek utonął w mroku nocy. - Au revoir...

Modlił się, aby nie było to pożegnanie na zawsze.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Jak się okazało, dotarcie na frachtowiec "Deauville" zajęło im nie jeden, lecz dwa dni. Statek musiał nieco dalej wyjść w morze, aby go nie wykryto, a kuter z Tulonu dokładnie znał jego poprzednie położenie. Rybacy pokonywali tę trasę codziennie przez cały tydzień, za każdym razem zatrzymując się w drodze powrotnej i zarzucając sieci, aby w razie kontroli uzasadnić swoją obecność na morzu. Na szczęście Niemcy zbyt byli zajęci smakowaniem łatwego zwycięstwa. Na razie w okupowanym kraju nikt im nie stawiał czoła, a tak wiele rzeczy na lądzie przyciągało ich uwagę - kafejki, dziewczęta, bulwary! Przez cały ten czas "Deauville" stał na kotwicy, przyjmując kolejnych pasażerów. Statek pozostawił ładunek w Afryce Północnej, tak że płynął prawie pusty, wioząc tylko sześćdziesięciu pasażerów, którzy zajmowali piętnaście kabin - przeważnie Amerykanów, dwóch francuskich Żydów, jakiś tuzin Anglików mieszkających na południu Francji i kilku Kanadyjczyków. Ogólnie rzecz biorąc, była to dziwna zbieranina ludzi, których łączyła tylko chęć jak najszybszego wydostania się z Francji i

poczucie ulgi, że znaleźli się na statku.

Oczekując rozpoczęcia rejsu, całymi dniami przesiadywali skuleni na pokładzie, wieczorami zaś wraz z załogą w zatłoczonej mesie. Kapitan oznajmił, iż odpłyną cichutko późną nocą tego właśnie dnia. Oczekiwał jeszcze ostatnich pasażerów - kobiety i dwóch dziewczynek, rodziny francuskiego dyplomaty. Kiedy Liane i jej córki znalazły się na pokładzie, stwierdziły, iż są tam jedynymi przedstawicielkami płci pięknej, Liane jednak była zbyt wyczerpana, aby się tym przejmować. Dziewczynki przez dwa dni wyplakiwały oczy za tatą, wszystkie trzy po rejsie kutrem cuchnęły rybą. Elisabeth przez cały dzień cierpiała na chorobę morską, Liane zaś potrafiła myśleć wyłącznie o Armandzie.

Był to koszmarny początek powrotu do Stanów, ale podróż już się zaczęła, należało zatem okazać wytrwałość. Liane winna była Armandowi zapewnienie córkom jak najlepszej opieki, dopóki znów nie będą razem. Ilekroć jednak zastanawiała się nad sytuacją, nie potrafiła powstrzymać łez. Wyczerpana osunęła się w ręce marynarzy z "Deauville", którzy niemal zanieśli ją i dziewczynki do kajuty. Małe były spalone słońcem i przemarznięte, Liane zaś odczuwała zbyt wielkie wyczerpanie, aby poruszać się o własnych siłach. Zamknęły drzwi, osunęły się na koje i wszystkie zapadły w głęboki sen.

Liane obudziła się dopiero późnym wieczorem, czując lekkie drgania przebiegające kadłub statku. Spojrzała przez bulaj w noc i uświadomiła sobie, że statek odpływa. Zastanawiała się, czy zanim dotrą do Stanów, dopadnie ich jakiś U-Boot. Ale było już za późno, by zawracać, zresztą Armand by nie pozwolił na to za żadne skarby. Wracaly do domu.

Otuliwszy córeczki, Liane wróciła na swoją koję i spała aż do świtu. Rano wzięła prysznic w łazience, którą dzieliły z kilkunastoma mężczyznami. Na piętnaście kajut przypadały na statku cztery łazienki, tak że zwykle stały przed nimi długie kolejki. Na ogół jednak tworzyły się nieco później, Liane szybko wróciła więc do kabiny, po raz pierwszy od trzech dni odświeżona i głodna.

- Madame? - usłyszała ciche pukanie do drzwi i pytanie zadane nieznanym głosem. Otworzywszy, ujrzała krępego francuskiego marynarza, który podawał jej dymiący kubek. - Du cafe?

- Merci.

Upijając łyk gorącej kawy, poczuła się ujęta tą troską okazaną przez załogę. Jako jedyna kobieta na pokładzie mogła korzystać z wyjątkowych przywilejów, aczkolwiek nie uważała, żeby to było zupełnie sprawiedliwe. "Wszyscy jedziemy na tym samym wózku..." Uśmiechnęła się na ten kiepski dowcip. Z równą mocą, jak nie chciała opuszczać Francji i Armanda, dziękowała teraz Bogu, że ucieczka się udała. Przysięgła sobie w duszy, że będzie czynić wszystko, aby w czasie tego rejsu okazać się pomocną, lecz wszedłszy tego ranka wraz z córkami do mesy, stwierdziła, że wszystko jest w doskonałym porządku.

Pasażerom śniadanie podawano w turach i każdy starał się jeść jak najszybciej, aby ustąpić miejsca następnym. Panowała tu atmosfera braterstwa i wzajemnej życzliwości, Liane nie pochwyciła też żadnych impertynenckich spojrzeń. Kilku mężczyzn uprzejmie zagadało do dziewczynek - przeważnie byli to Amerykanie, którzy z takiego czy innego powodu nie zdołali wrócić do kraju przed wybuchem wojny. Odkryła szybko, iż przynajmniej dwanaście osób to dziennikarze. Dwaj Kanadyjczycy byli lekarzami, reszta natomiast biznesmenami, którzy z niepojętych powodów siedzieli we Francji aż do ostatniej chwili. Wiele mówiono o Hitlerze, o

upadku Francji, o tym, jak łatwo Paryż otworzył przed nieprzyjacielem bramy, o ostatnim przemówieniu de Gaulle'a, o Churchillu... Sala aż gotowała się od interpretacji nowin i ploteczek, które przekazywano sobie z ust do ust.

W drugim końcu mesy Liane dostrzegła znajomą jakby sylwetkę wysokiego jasnowłosego mężczyzny w marynarskim niezbyt dobrze dopasowanym mundurze - bary rozpięrały szwy, spodnie kończyły się wysoko ponad kostkami. Gdy mężczyzna ów odwrócił głowę sięgając po dzbanek z kawą, ich oczy się spotkały. Długą chwilę patrzyli na siebie z rosnącym niedowierzaniem, które z wolna zaczęło ustępować bezgranicznej radości. Mężczyzna w końcu zerwał się z krzesła i podbiegł, aby uścisnąć dłoń Liane i przytulić dziewczęta.

- Co ty, u diabła, tu robisz? - Nick Burnham z szerokim uśmiechem wpatrywał się w Liane, potem opuścił wzrok na swoje spodnie. - Mój bagaż wypadł za burtę, kiedy wchodziłem na pokład. Cholernie miło was widzieć. Gdzie Armand? - Rozejrzał się dokoła, lecz widząc sposepniałą nagle twarz Liane, odgadł odpowiedź.

- Został we Francji - odparła ochryple.

- Czy pojedzie do Afryki Północnej? - spytał ściszym głosem.

Liane pokręciła głową. Zabrakło jej odwagi, aby wyznać, że Armand został w Paryżu z Petainem.

- Czyż to nie zdumiewające, Nick? Rok temu płynęliśmy wszyscy razem na "Normandie", a teraz... tylko popatrz! - Uśmiechem skwitowała jego przykrótkie spodnie, po czym obydwójce rozejrzeli się smętnie po sali. - Francja w rękach Niemców, my szukamy ratunku w ucieczce... Któż by uwierzył?... - Znów spojrzała na Nicka.

- Sądziłam, że wyjechałeś już dawno temu.

- Nie okazałem się aż tak przewidujący. Pozornie panował spokój, więc postanowiłem zostać jeszcze miesiąc, a potem rozpętało się piekło i było już za późno na wyjazd. Mogłem wrócić do domu w marcu na "Queen Mary", ale... - uśmiechnął się. - No cóż, tak czy owak wrócimy do domu. Może nie tak luksusowo, jak jechaliśmy tutaj, ale czy ma to jakieś znaczenie?

- Wiesz, co sływać u Johna?

- Miewa się dobrze. Wracam do domu, żeby pospieszyć mu z odsieczą. Od przyjazdu do Stanów cały czas jest u babki. - W jego oczach pojawił się na moment bolesny wyraz; każdy miał problemy w życiu, każdy na tym statku wiozł własne cierpienia... Nick wskazał trzy puste krzesła. - Może siadźcie i skończcie posiłek. Znajdę was później, to sobie pogadamy.

- Żadnych partyjek tenisa tym razem? - uśmiechnęła się Liane.

Nie posiadała się ze zdumienia, że go tutaj spotkała, równocześnie zaś czuła ogromną ulgę. Nagle cały dramat ucieczki przed wojną zamienił się w absurdalną przygodę. Podobne refleksje odczytywała także w jego oczach.

- Niesamowite, prawda? A jeszcze bardziej niesamowite jest to, że cię tu znalazłem.

Nick przez cały poprzedni dzień ciekawie przysłuchiwał się opowieściom o tym, jak inni pasażerowie dowiedzieli się o statku i trafili na jego pokład. Na "Deauville" znalazło się niebawale gremium osób i mozaika firm - Linie Żeglugowe Crocketta reprezentowane przez Liane, Korporacja Stalowa Burnhama w jego osobie, dalej dwóch profesorów Harvardu, którzy przed miesiącem zakończyli cykl wykładów w Cambridge i teraz starali się wydostać z Europy, i wielu innych nietuzinkowych ludzi.

Nick wrócił na chwilę do swojego stolika, chwycił kubek z kawą i podszedł raz jeszcze do Liane, aby zamienić z nią kilka słów, po czym wyszedł z mesy



- w czasie rejsu będą mieli na rozmowy wiele czasu. Nikt przecież nie wiedział, kiedy dotrą do Nowego Jorku. Zależało to od tego, jak bardzo będą musieli zejść z kursu, by uniknąć zagrożeń, których obawiał się kapitan. Mówiono Nickowi, że dowódca statku ma doskonałego nosa - był ponoć pewien, że zdoła ochronić pasażerów przed wszelkimi niebezpieczeństwami; nieco później, stojąc na górnym pokładzie, Nick przekazał tę pogrzipiającą wiadomość Liane.

- A zatem, przyjaciółko, gdzie się podziewałaś? - Dziewczęta bawiły się na słońcu swoimi lalkami, Liane siedziała wsparta o trap, Nick zaś opierał się o reling. - Wygląda na to, że spotykamy się w najdziwniejszych miejscach. - Jego myśli pobiegły do wydarzeń sprzed roku, potem jednak Nick odwrócił spojrzenie od morza i zerknął na Liane. - Czy wiesz, że mój apartament na "Normandie" nazywał się Deauville? Musiało w tym być coś wieszczego - potrzęsła głową.

- A pamiętasz, jak rozmawialiśmy o wojnie w taki sposób, jakby miała nigdy nie wybuchnąć?

- Armand był przekonany, że wybuchnie. To ja okazałem się głupcem. - Wzruszył ramionami. - A ty powiedziałaś, że pewnego całkiem nieodległego dnia będę musiał podjąć decyzję, komu sprzedaję stal. I miałaś słusność.

- I dokonałeś właściwego wyboru. - Te słowa sprawiły, że znów pomyślała o Armandzie. Jak zdoła komukolwiek wyjaśnić, dlaczego jej mąż pracuje w tej chwili dla Petaina?

Nick przenikliwie popatrzył na Liane. - Czy to wszystko nie wydaje się straszliwie nierzeczywiste? Nie wiem... Czuję się tak, jakbym cały miniony rok spędził na obcej planecie.

Liane skinęła głową, ponieważ postrzegala to w taki sam sposób.

- Byliśmy wszyscy zbyt przejęci aktualnymi wydarzeniami.

- Nasz powrót do Stanów będzie bardzo, bardzo dziwny, wiesz? Nikt nie zechce wysłuchać, co mamy do powiedzenia, cośmy widzieli.

- Naprawdę tak sądzisz? - Liane słowa Nicka uznała za co najmniej szokujące. Wojna w Europie wydawała się przecież tak oczywista, tak namacalna! Jakim cudem Stany Zjednoczone mogły ją ignorować? A przecież zdawała sobie sprawę, że wszyscy obywatele Stanów żywią przekonanie, że ich kraj jest całkowicie bezpieczny, bo Europa leży wszak tak daleko. Pokręciła głową. - Chyba jednak masz słusność.

- Gdzie zamierzasz zamieszkać z córkami, Liane? - zagadnął Nick.

Ten problem dyskutowała obszernie z mężem w czasie podróży do Tulonu. Armand chciał, aby udała się do San Francisco, do swojego wuja George'a, Liane była jednak temu pomysłowi niechętna. Waszyngton wydawał się jej miejscem, w którym będzie się czuła swobodniej.

- Wracam do Waszyngtonu. Mamy tam przyjaciół, a dziewczęta będą mogły wrócić do swojej starej szkoły.

Postanowiła, że zatrzyma się w hotelu Shoreham, jeśli dostanie w nim pokój, a potem spróbuje wynająć coś w Georgetown, najchętniej umeblowany dom, w którym mogłyby przeczekać wojnę. Nie była nawet pewna, czy od razu powiadomi wuja o swoim powrocie, choć George bez wątpienia dowie się o tym z jej banku. W głębi ducha zresztą Liane żywiła przekonanie, iż mimo wszystko powinna go poinformować. Nie była jednak w stanie ukryć nawet przed sobą, że nigdy nie czuła żadnego przywiązania do tego człowieka i nie chce, żeby ją namawiał do zamieszkania w swoim domu. Jedynym prawdziwym domem, jaki miała od lat - i teraz w pełni zdawała sobie z tego sprawę - było to miejsce, w którym akurat mieszkała z Armandem.

Zerknęła na Nicka, zastanawiając się nad jego życiem. Nurtowało ją kilka pytań.

- Wracasz do Nowego Jorku, żeby powiązać nitki swojego dawnego życia? - Był to jedyny sposób, w jaki potrafiła go zapytać o żonę. W odpowiedzi skinął głową.

- Chcę zabrać Johna z Bostonu. - Spojrzał jej prosto w oczy. Bywał z nią szczerzy już wcześniej, nie widział zatem powodu, dla którego teraz miałoby być inaczej. - W gruncie rzeczy nie mam zielonego pojęcia, co Hillary nawyczyniała, odkąd wyjechała z Francji. Pisałem do niej, kilkakrotnie wysyłałem depesze, ale od wrześnieowego telegramu, w którym informowała mnie o przyjeździe do Nowego Jorku, nie otrzymałem od niej ani słowa. Podejrzewam, że bardzo rzadko widuje się z Johnnym. - Ogień zapłonął w zielonych oczach Nicka, który zapragnął naraz wyjawić Liane, że zobaczył nazwisko Philipa Markhama na wykazie pasażerów "Aquitaine". Nikomu dotąd o tym nie mówił.

- Czy z listów wynika, że u Johna wszystko w porządku? - zapytała patrząc Nickowi w oczy. Zastanawiała się dokładnie nad tym samym co on, przede wszystkim zaś interesowała ją, dlaczego Hillary zostawiła małego w Bostonie.

- Raczej tak, ale chyba dokucza mu samotność.

Liane uśmiechnęła się z czułością. - Na pewno bardzo za tobą tęskni - powiedziała; już rok wcześniej bowiem przekonała się, że Nick jest wspaniałym ojcem.

- Ja też za nim tęsknię. - Na wspomnienie syna spojrzenie Nicka złagodniało. - Zabrałem go do Deauville przed wybuchem wojny i bawiliśmy się tak wspaniale...

Oboje pograżyli się w milczeniu. To wszystko wydawało się odległe o tysiące lat. Potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, myśli obojga zwróciły się ku okupacji Paryża. Wciąż trudno było uwierzyć, iż Paryż znalazł się w rękach Niemców; Liane natychmiast, rzecz jasna, pomyślała o Armandzie i trudnym położeniu, w jakim się znalazł. Bała się o męża, a nie było nikogo, z kim mogłaby się podzielić obawami. Nikogo. Nawet Nick nie wchodził w grę. A on właśnie obserwował twarz Liane i - jak mu się zdawało - odgadł jej myśli, nieuchronnie biegnące do Armanda. Kiedy Liane zapatrzyła się w morze, delikatnie dotknął jej ramienia.

- On da sobie radę, Liane. Jest człowiekiem mądrym i stanowczym. I sprytnym. - Kiwnęła głową, ale nic nie odrzekła. Problem polegał na tym, czy Armand jest dostatecznie sprytny, aby przechytryć Niemców. - Wiesz? - ciągnął Nick. - Jak w zeszłym roku wsadziłem Johna na ten cholerny statek, myślałem przez chwilę, że zemdleję na nabrzeżu, że nieustannie będę myślał o tej przeprawie, o niebezpieczeństwie, o U-Bootach... Ale dotarli bez problemów, a przecież Bóg świadkiem, że morza już wtedy były niebezpieczne.

- Znacząco popatrzył na Liane. - Armand, nawet otoczony przez Niemców, da sobie radę. Był dyplomatą przez całe życie. To mu teraz pomoże. W każdych okolicznościach.

W każdych okolicznościach, zawtórowała w myśli jego słowom. Gdybyż tylko wiedział...

Popatrzyła smutno na Nicka, a jej oczy napełniły się łzami.

- Chciałam z nim zostać.

- Jestem pewien, że chciałaś. Ale postąpiłaś znacznie rozsądniej, wyjeżdżając z Francji.

- Nie miałam wyboru. Armand nalegał. I powiedział, że mogłabym narazić

dziewczynki... - głos jej się załamał.

Odwróciła głowę, żeby Nick nie widział, jak płacze, i nagle poczuła, że obejmuje ją w ciepły, braterski sposób. Stała więc na pokładzie, wypłakując się w jego ramionach. Na tym statku, choć jego pasażerami byli niemal wyłącznie mężczyźni, nie był to widok niezwykły. Każdy z tych ludzi doświadczył straty, przeżył okropne rozstania. I nagle to płkanie w ramionach Nicka przestało wydawać się Liane czymś niezwykłym, osobliwym, nienaturalnym, ponieważ Nick był wprawdzie mężczyzną, którego szlaki krzyżowały się z jej szlakami zaledwie od czasu do czasu i którego ledwie знаła, ale przecież tak samo jak on czuła, iż znają się bardzo dobrze. Zawsze dotąd spotykali się w szczególnych okolicznościach; okolicznościach, które pozwalały im obojgu zachowywać się w sposób zdumiewająco otwarty. A może wszystko wynikało z takiej a nie innej natury Nicka?... Teraz jednak Liane nie zwracała sobie głowy tą kwestią, lecz po prostu trwała w jego ramionach, wdzięczna za ciepło i współczucie, którymi ją obdarzał. Pozwolił jej płakać przez chwilę, potem łagodnie poklepał ją po plecach.

- Uspokój się. Wejźmy do środka i napijmy się kawy.

W mesie zawsze stał dzbanek pełen kawy. Na statku nie było nic do roboty; można było jedynie siedzieć, rozmawiać, przechadzać się po pokładach bądź też w kabinie spać albo wysłuchiwać opowieści o losach współpasażerów. Tego statku nie zaprojektowano dla rozrywki turystów, toteż wszystkie książki ustawione na półce w mesie - w gruncie rzeczy było ich niewiele - zniknęły wraz z pojawieniem się pierwszej fali pasażerów. Nawet zygzakowaty kurs statku bardzo szybko wszystkim spowszedniał, a monotonia pustego horyzontu sprawiała, że ludzie z trudem umykali przed własnymi myślami, które mimowolnie biegły ku ostatnim tygodniom, ku wydarzeniom minionego miesiąca, ku bliskim pozostawionym na kontynencie.

Liane, starając się powstrzymać łzy, usiadła przy pustym stole. Wytarła nos w koronkową chusteczkę - urodzinowy prezent od córek - po czym siląc się na uśmiech, popatrzyła na Nicka.

- Przepraszam.

- Za co? Za to, że zachowujesz się po ludzku, za to, że kochasz swojego męża? Nie wygłupiaj się, Liane. Jak odstawiłem Johnny'ego na pokład "Aquitaine", stałem na nabrzeżu i płakałem jak dziecko.

Nick wciąż pamiętał dokera, który wtedy poklepał go po ramieniu i wymamrotał kilka pocieszających słów. Nic mu to jednak w gruncie rzeczy nie pomogło. Nigdy w całym swoim życiu nie czuł się tak osamotniony. Liane patrzyła teraz na niego, a na jej twarzy malowało się nie wypowiedziane pytanie, Nick bowiem ani słowem nie wspomniał o Hillary.

- Ale mówiłeś, że popłynął z Hillary... - zauważyła i nagle się zmieszała. Może jednak wysłał syna samego? Tylko że zdawało się jej, że...

- Owszem - przyznał, postanawiając wyznać jej prawdę.

- Z nią i z Philipem Markhamem. Wiesz, kto to jest? - Nick na chwilę wbił wzrok w swoją filiżankę kawy, potem znowu przeniósł go na Liane. Jego spojrzenie stwardniało, a dłoń trzymająca uszko filiżanki z lekka zadrżała.

- Słyszałam to nazwisko - odparła zgodnie z prawdą. O Markhamie mówiono w każdym zakątku Paryża, zawsze w połączeniu z imieniem Hillary. O tym jednak Nickowi nie wspomniała. - Ten człowiek cieszy się międzynarodową sławą.

- Sławą dandysa, mówiąc ściśle. - Nick uśmiechnął się z goryczą. - Moją żonę charakteryzuje zgoła czarujący gust. Spędzili razem lato na południu Francji.

- Czy wiedziałeś, że on też będzie płynął tym statkiem?

- Nie - pokręcił głową. - Znalazłem jego nazwisko na liście pasażerów już po wyjściu "Aquitaine" w morze.

- Czy nadal cię to martwi? - spytała wprost Nicka, który powinien był już przywyknąć do jej bezpośredniego sposobu bycia.

Popatrzył na jej piękną twarz, na gładką skórę, i znowu go zastanowiło, jakim cudem dwie kobiety mogą tak bardzo różnić się od siebie.

- Martwi mnie to, że Hillary ciągle jest moją żoną. Resztę mam już za sobą. Nigdy nie miałem okazji ci tego powiedzieć, ale chyba po naszej rozmowie na "Normandie" zacząłem do wszystkiego podchodzić trochę inaczej. Doszedłem do wniosku, że Hillary posunęła się za daleko, dlatego w Paryżu pozwoliłem jej robić, co tylko zechce. Ale teraz chodzi mi głównie o Johna. Jeśli Hil nadal będzie tak samo postępować, może kiedyś trafić na człowieka, który naprawdę będzie jej odpowiadał, a wtedy gotowa jest mnie opuścić, zabierając ze sobą chłopca. Dotąd była zadowolona z życia: będąc moją żoną, mogła jednocześnie puszczać się na prawo i lewo, a ja osiągnąłem punkt, w którym po prostu akceptowałem jej postępowanie... - Zamilkł na chwilę, po czym wyznał: - Boję się... Diabelnie się boję, że mógłbym stracić Johnny'ego.

- Przecież nigdy do tego nie dopuścisz!

- Może się okazać, że jestem bezradny. Hillary jest jego matką i jeśli weźmiemy rozwód, będzie mogła zrobić wszystko, na co jej przyjdzie ochota... nawet przeprowadzić się do Timbaktu. I co wtedy? Miałbym widywać go raz w roku podczas dwutygodniowych wakacji?

Ta myśl go przerażała, a rozważał ją często, szczególnie ostatnimi czasy. Z milczenia Hillary wnioskował, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wiele się zmieniło. Przedtem poczuwała się jakby do obowiązku składania mu regularnych meldunków, tym razem wszakże po depeszy nie otrzymał od niej ani słowa, najkrótszego bodaj listu.

- Nie sądziłam, że aż tak obchodzi ją chłopiec - powiedziała Liane, patrząc z troską na Nicka.

- Bo jej nie obchodzi. Ale nie jest też obojętna na to, co myślą ludzie, a gdyby porzuciła syna, będą mówić na jej temat wiele nieprzyjemnych rzeczy. Raczej zatrzyma go przy sobie i upchnie gdzieś pod opieką niańki, a sama będzie się wesoło bawić. Zeszłego lata, kiedy była w Cannes z Markhamem, właściwie wcale do niego nie dzwoniła.

- Co w związku z tym zamierzasz zrobić, Nick?

Westchnął głęboko, dopił kawę, odstawił filiżankę i popatrzył Liane w oczy. - Mam zamiar wrócić do domu i wziąć ją znowu na smycz, przypomnieć jej, że jest moją żoną i że nią pozostanie. Znienawidzi mnie za to, ale gwiżdżę na jej uczucia. Tylko w ten sposób mogę zatrzymać swoje dziecko, dlatego tak zrobię.

Słuchając Nicka, Liane poczuła przypływ odwagi, wręcz zuchwałości. Zapra gnęła zwierzyć mu się ze wszystkich myśli. Znowu byli na statku, zawieszeni pomiędzy dwoma światami, i znowu wszelkie chwytły były dozwolone.

- Zaslugujesz na lepszą kobietę, Nick. Nie znam cię zbyt dobrze, ale wystarczająco. Jesteś porządnym człowiekiem i mógłbyś wiele z siebie dać, ale przez Hillary nie masz nic prócz nieustannych trosk.

Przytaknął. W przysparzaniu trosk Hillary miała istotnie niemałe osiągnięcia, ale przynajmniej nie był już w to zaangażowany uczuciowo. Teraz chodziło mu tylko o syna i tylko on się dla niego liczył.

- Dziękuję, Liane. Miło, że tak mówisz. - Przesłali sobie uśmiechy nad pustymi filiżankami.

W tej chwili do mesy weszła grupa podróżujących statkiem dziennikarzy, z których jeden niósł do połowy opróżnioną butelkę whisky, żeby wzmocnić kawę. zaproponował łyżka Nickowi i Liane, lecz odmówili. Nick zastanawiał się nad tym, co powiedziała Liane.

- Problem polega na tym, że chcąc znaleźć sobie inną żonę, musiałbym zrezygnować z syna. A tego nigdy nie zrobię.

- To faktycznie wysoka cena.

- Nie mam wyboru. Ale za dziesięć lat Johnny będzie dorosły i wtedy wszystko się zmieni.

- Ile ty będziesz miał wówczas lat? - zapytała cicho.

- Czterdzieści dziewięć.

- Będziesz musiał długo czekać na swoje szczęście.

- W jakim wieku był Armand, kiedy za niego wyszłaś?

Uśmiechnęła się. - Miał czterdzieści sześć lat.

- Będę więc tylko trzy lata starszy od niego. I jeśli dopisze mi szczęście, znajdę kogoś takiego jak ty. - Zarumieniła się i odwróciła wzrok, Nick zaś wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. - Nie bądź zażenowana. Naprawdę jesteś cudowną kobietą, Liane. Powiedziałem ci przy naszym pierwszym spotkaniu, że Armand to wielki szczęściarz. I mówiłem serio.

Liane popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Nieźle mu nadokuczałam tego roku w Paryżu - wyznała. Czuli się z tego powodu winna, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziała, czym się zajmował. - Nie rozumiałam presji, pod jaką musiał żyć. Prawie nie widywaliśmy się ze sobą i... - Do oczu znowu napłynęły jej łzy.

W ostatnim czasie jak widmo prześladował ją gniew, który odczuwała wobec Armanda w ciągu ubiegłych miesięcy, a przecież gdyby tylko wiedziała... Tylko skąd miała wiedzieć?

- Musieliście oboje żyć w strasznym napięciu.

- Żyliśmy - westchnęła. - Tak samo jak dziewczęta. Ale najciężej było Armandowi. W dodatku teraz nie będzie miał nawet nas jako wsparcia... - Powiedziawszy to, uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy już przez cały ten rok Armand samotnie dźwigał swoje brzemie. Z udręką w oczach spojrzała na Nicka. - Jeśli przydarzy mu się coś złego...

- Nic mu się nie przydarzy. Jest zbyt szczwany, żeby niepotrzebnie ryzykować. Da sobie radę. A ty musisz to po prostu przetrzymać - rzekł Nick pewnie, że Liane wszystko przetrzyma. Była taką właśnie kobietą.

Wyszli na zewnątrz, postali na pokładzie, potem Liane ruszyła na poszukiwanie córek. Rejs był dla nich niezłą zabawą, a dokuczliwa nuda jeszcze ich nie dopadła, chociaż Liane podejrzewała, że wcześniej czy później musi do tego dojść.

Dopiero wieczorem ponownie spotkały się z Nickiem, który w osłoniętym od wiatru zakątku pokładu zaczął bawić się z dziewczynkami w zgadywanki. Większość pasażerów przesiadywała w mesie, gawędząc przy kieliszku, toteż Liane uznała, że lepiej wyprowadzić stamtąd dziewczęta, chociaż bowiem na razie nikt się nie awanturował, nie mogła wykluczyć, że wkrótce do tego dojdzie. Na zaciemnionym statku rosło napięcie, bo mimo że otwarcie o tym nie mówiono, trudno było umknąć obawom przed atakiem U-Bootu, a jedynym lekarstwem na ich uśmierzenie było picie. Mężczyźni zatem pili. I to tego.

Liane siedziała z Nickiem i córkami, usiłując podtrzymać je na duchu.

- Puk, puk, kto tam... - Żarty, bajki i zagadki ciągnęły się w nieskończoność, ale wreszcie przyszła pora, gdy Liane zagoniła małe do łóżka i ponownie wyszła na zewnątrz, żeby się przespacerować. Przed

wyjściem - zgodnie z instrukcjami udzielonymi pasażerom - ułożyła dziewczynkom w nogach kamizelki ratunkowe, nie oddaliła się też zanadto od kajuty. Odczuwała jednak potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, bo w tym maleńkim pomieszczeniu panowała atmosfera wręcz przytłaczająca. "Deauville", przystosowany do przewozu dwudziestu pasażerów i ani jednego więcej, miał dwie podwójne kabiny i dziesięć pojedynczych, które teraz zajmowało, nie licząc dwudziestoosobowej załogi, sześćdziesięciu mężczyzn, kobieta i dwójka dzieci. Wioząc zatem osiemdziesiąt cztery osoby, statek niemal pękał w szwach. Zgiełk dobiegający z masy coraz natarczywiej rozbrzmiewał w uszach Liane, która stojąc z zamkniętymi oczyma na pokładzie, ani trochę nie przejmowała się dokuczliwym chłodem. Liczyło się tylko to, że oddycha czystym powietrzem.

- Sądziłem, że poszłaś spać. - Odwróciła się, usłyszawszy za plecami głos Nicka.

- Położyłam dziewczynki, ale nie miałam jeszcze ochoty iść do łóżka.

Kiwnął głową. - Bardzo ciepło masz w kajucie?

- Nieznośnie.

Uśmiechnął się. - Moja przypomina piekarnik, poza tym mieszka w niej sześciu facetów.

- Sześciu? - zdumiała się Liane.

- Mam luksusowy apartament, tak to się przynajmniej nazywa na "Deauville", wstawiono mi więc tylko pięć łóżek. Właściwie koi. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek się tym przejmował. - Wszyscy dziękowali Bogu, że w ogóle mają możliwość ewakuacji. - Prawdę mówiąc, wcale nie sypiam w swojej kabynie.

Przypomniała sobie gabinet, do którego przeniósł się na "Normandie" po kłótni z żoną. - Często tak postępujesz, prawda?

- Tylko podczas transatlantyckich przepraw. - Uśmiechnął się kąciakiem ust i obydwójce parsknęli śmiechem. - Tym razem kapitan wskazał mi idealny zakątek. Taka nieduża klitka pod mostkiem, gdzie zawieszono dla mnie hamak. Nikt się tam nie płacze, jestem osłonięty przed wiatrem, a jeżeli dobrze się rozejrzę, mogę zobaczyć gwiazdy. Lokal więc, można rzec, niebiański.

Wyglądał na zadowolonego. Mimo olbrzymiej fortuny był człowiekiem o niewielkich wymaganiach. Hamak pod schodami, pożyczony od marynarza przyodziewek... Tak, Nick był jowialny, sympatyczny, bezpretensjonalny i pod tym względem bardzo przypominał Liane. Reprezentowali dwie bodaj największe prywatne fortuny w Stanach Zjednoczonych, a jednak w najmniejszym stopniu nie dawali tego po sobie poznać. Nick nosił pożyczony strój marynarski, Liane - szare flanelowe spodnie i stary sweter. Miała rozpuszczone włosy i żadnej biżuterii oprócz wążutkiej obrączki. Pasażerowie statku zdumieli się na wieść, kim jest Nick, a przeżyliby zapewne szok, gdyby wiedzieli, iż Liane to w gruncie rzeczy dziedziczka Linii Żeglugowych Crocketta. Jej zachowanie, podobnie jak zachowanie Nicka, pozbawione było jakiegokolwiek pozy. Stanowiło to część piękna ich charakterów.

Stali przez chwilę w milczeniu, wreszcie Nick spojrzał na Liane.

- Masz może ochotę na kawę albo na drinka?

- Nie, dziękuję. Zaraz idę spać. Jeśli tego nie zrobię, dziewczęta przegadają całą noc, bo w kajucie jest tak gorąco, że mają kłopoty z zaśnięciem.

- To może w mojej dziupli każę zawiesić dla nich jeszcze jeden hamak? Na dwa nie ma tam miejsca, ale dziewczynki zmieszczą się w jednym, a ty

miałabyś spokój w kajucie.

Liane uśmiechem podziękowała Nickowi za tę sympatyczną propozycję.

- Nie zaznałbyś ani chwili spokoju. Są tak rozdokazywane, że oka byś nie zmrużył.

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

Wiedziała, że mówi szczerze, lecz musiała mieć córki przy sobie. Zaraz potem życzyła Nickowi dobrej nocy i wróciła do swojej kabiny. Dopiero wtedy w pełni pojęła, jak zdumiewającym zbiegiem okoliczności jest to ich ponowne spotkanie - i to raz jeszcze podczas przeprawy przez Atlantyk.

Przed pójściem do łóżka znów umyła włosy. Od zaokrętowania na "Deauville" myła je już trzykrotnie, aby usunąć z nich dokuczliwy rybi odór, pamiątkę po przeprawie kutrem. Cóż za przygoda! Rozbierając się do snu, uśmiechała się pod nosem. To wszystko byłoby całkiem zabawne, gdyby w gruncie rzeczy nie było tak tragiczne. Ale przynajmniej dzięki temu, że potrafiła śmiać się z całej tej historii, nie wylewała łez z powodu Armanda. Na myśl o rozstaniu z mężem zaraz napływały jej do oczu. Myjąc włosy w miniaturowej umywalce i susząc je ręcznikiem, z najwyższym trudem odganiała smutne wspomnienia. Po powrocie do kajuty uciszyła dziewczynki. Po chwili w miniaturowym wnętrzu zapanował wreszcie spokój i Liane wywnioskowała, że córki wreszcie zasnęły.

Ledwie położyła się na koi i przykryła kocem, kiedy ciszę nocy rozdarł przeraźliwy obcy dźwięk. Liane gwałtownie usiadła, usiłując sobie uświadomić, co oznacza. Czy był to alarm przeciwpożarowy, zapowiedź nalotu czy też statek tonął? Ze zwinnością, o którą się nie podejrzewała, zeskoczyła z łóżka, pochwyciła kamizelki ratunkowe i zaczęła potrząsać córkami.

- Wstawajcie, dziewczynki, wstawajcie szybko!

Naciągnęła kapok na Elisabeth, zasnąłą mimo zgiełku, pomogła włożyć kamizelkę Marie-Ange, po czym jeła wypychać z kajuty dziewczynki, ubrane w koszule nocne, kamizelki i buty, borykając się jednocześnie z własnym sprzętem ratunkowym. Nie miała czasu szukać w ciemności swoich butów, ale to było bez znaczenia. Wraz z innymi pasażerami, na których twarzach malowało się oszołomienie, wypadła do zatłoczonego korytarza. Większość mężczyzn nie zdążyła jeszcze zasnąć, lecz niektórzy sprawiali wrażenie bardziej zasnanych niż jej córki. Dokoła rozbrzmiewał nieustający zgiełk dziesiątków głosów, padały pytania przerywane krzykiem ludzi, którzy nie potrafili znaleźć swoich kamizelek ratunkowych. Przepychając się w ciasnym korytarzu, wybiegli na pokład, gdzie wyjaśniło się włączenie syreny: na morzu jarzyła się ognista kula - płonął statek. Marynarze z "Deauville", przebijając się przez tłum pasażerów, wyjaśniali im w gwałtownie wyrzucanych francuskich zdaniach, iż to transportowiec z Halifaxu storpedowany przez U-Boot. Statek ów, wiozący do Anglii cztery tysiące żołnierzy, płonął już od kilkunastu godzin, ale "Deauville" dopiero teraz odebrał sygnał SOS; ponieważ ocaleni w szalupach rozbitkowie dysponowali jedynie nadajnikiem małej mocy, o bardzo ograniczonym zasięgu.

W ciszy i spokoju letniej nocy zarówno ta wieść, jak i widok płonącego statku wstrząsnęły wszystkimi. Jeszcze niedawno wiała lekka bryza, lecz teraz i ona ucichła. Wydawało się, że "Deauville" zmierza w stronę piekła, którego buchające płomienie przyciągały oczy jak magnes.

Na mostku pojawił się kapitan i przez tubę przemówił po angielsku; wiedział, iż większość pasażerów to Amerykanie, chciał zatem bezzwłocznie skupić na sobie ich uwagę.

- Jeśli oprócz dwóch lekarzy, którzy z nami płyną, ktoś ma wykształcenie medyczne albo sanitarne, wie cokolwiek o zasadach udzielania pierwszej pomocy, proszony jest o wystąpienie. Nie wiem, ilu ludzi z "Królowej Wiktorii" żyje... Weźmiemy na pokład, ilu tylko zdołamy. Nie możemy wezwać przez radio innych statków, bo przebywające w tym rejonie okręty niemieckie mogłyby nas namierzyć.

Kiedy sens słów kapitana dotarł do świadomości zgromadzonych, zapadła absolutna cisza. Być może Niemcy nadal byli w pobliżu i "Deauville" mógł się stać ich następną ofiarą. Była to przerażająca perspektywa, bo płomienie szalejące na "Królowej Wiktorii" dowodziły jasno, jakie byłyby tego skutki.

- Tym ludziom możemy pomóc tylko my - ciągnął kapitan.

- Liczy się każda para rąk. Proszę więc, żeby wystąpili wszyscy z jakimkolwiek doświadczeniem medycznym... - Pół tuzina mężczyzn bez wahania ruszyło w stronę kapitana, który skinął głową, powiedział coś do nich cicho, po czym znów podniósł tubę. - Proszę zachować spokój. Będziemy potrzebować bandaży... Trzeba zebrać ręczniki, prześcieradła, czyste koszule... I lekarstwa. Możliwości mamy bardzo ograniczone, ale musimy je w pełni wykorzystać.

Podchodzimy teraz bliżej statku, żeby zbierać rozbitków... - Z pokładu "Deauville" widać już było w oddaleniu jedną czy dwie szalupy, nikt jednak nie wiedział, ile ich w sumie jest ani ilu rozbitków pływa w wodzie. - W mesie urządzimy szpital - dodał kapitan. - Dziękuję za pomoc. Ta noc będzie długa... Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Liane cisnęło się na usta "Amen". Spojrzała na córki, które w oczach miały przerażenie, i pochyliwszy się, aby usłyszały w zgiełku jej słowa, powiedziała: - Dziewczynki, odprowadzę was do kajuty i chcę, żebyście tam zostały. Jeśli coś się stanie, zaraz wrócę do was. A gdybym nie przychodziła, macie wyjść na korytarz i tam czekać, aż ktoś się wami zaopiekuje. - Wiedziała, że gdyby statek został storpedowany, ktoś zajmie się jej córkami. - Tylko musicie czekać bardzo grzecznie. Możecie zostawić otwarte drzwi, jeśli się boicie. A teraz idziemy.

- Chcemy z tobą zostać - pełnym łęku cichutkim głosem wybąkała Marie-Ange.

- Nie możecie. Muszę pomóc tym panom...

Liane w czasie pobytu w Paryżu przeszła kurs pierwszej pomocy, chociaż teraz, w atmosferze paniki, straciła pewność, czy zdoła sobie cokolwiek przypomnieć. Jednakże pomyślała, że dodatkowa para rąk na pewno nie zaszkodzi, popędziła zatem córki do kabiny, gdzie obdarła swoją koję z całej pościeli, a koje dziewcząt z poszew na koce, które i tak w ciepłym panującym w kajucie wcale nie były im potrzebne, mogły się za to okazać niezbędne, gdyby przyszło im szukać ratunku w szalupie. Potem otworzyła drzwi szafki i przepatrzyła szybko ubrania. Wisiało tam kilka bawełnianych sukieneczek dziewcząt, poświęciła zatem dwie na szarpie dla rozbitków z "Królowej Wiktorii". Zabrała także kilka kostek mydła, mały zwitek własnych bandaży i fiolkę pastylek przeciwbólowych, które dał jej w Francji dentysta, po czym ubrała się szybko, ucałowała córki na pożegnanie i przypomniawszy im, że mają spać w kamizelkach ratunkowych, wyszła z kajuty. Zanim zniknęła w korytarzu, Elisabeth, olśniona jakąś myślą, krzyknęła w ślad za nią: - Gdzie pan Burnham?

- Nie wiem - odrzknęła i pobiegła, modląc się, aby Bóg czuwał nad bezpieczeństwem jej córek. Opuszczała je z najwyższą niechęcią, ale



wiedziała, że będą bezpieczniejsze z dala od zamieszania, które zapanowało na statku.

W mesie zastała wszystkich chyba pasażerów, słuchających z uwagą chiefa - starszego mężczyzny o grobowym głosie, który wydawał lapidarne, precyzyjne rozkazy. Pasażerów podzielono na trzyosobowe grupy, w miarę możliwości do każdej trójki dołączając kogoś o jakiejś takiej znajomości zasad udzielania pierwszej pomocy. Dwóch przebywających na pokładzie lekarzy organizowało już zaplecze materiałowe; jeden z nich wygłosił w dodatku krótki wykład na temat opatrywania oparzeń. Jego wyjaśnienia sprawiły, że niejednemu żołądek podszedł do gardła, lecz trudno było w takiej chwili uciec przed rzeczywistością.

Przekazując swoje prześcieradła i inne materiały opatrunkowe, Liane zauważyła Nicka w przeciwległym kącie mesy. Podniosła rękę, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, on zaś podszedł do niej dostatecznie szybko, aby chief przydzielił ich do tej samej grupy. Wolał tworzyć zespoły z osób, które zdążyły się już poznać, albowiem - jak pokrótce wyjaśnił - sprzyjało to współpracy. Potem w mesie znowu zjawił się kapitan.

- Sądźmy, że wielu ludzi zginęło od pierwszej eksplozji - oznajmił - wielu jednak z pewnością ocalało. Na morzu są i szalupy, i kilkuset chyba rozbitków w kapokach. Noszowych proszę o zajęcie stanowisk na pokładzie; moi ludzie zajmą się wyciąganiem z wody rozbitków. Pierwszej pomocy proszę udzielać im na miejscu albo przynosić ich tutaj. Lekarze zadecydują, komu niezbędna jest opieka szpitalna. Chcę jeszcze podziękować tym, którzy udostępnili nam swoje kajuty. Nie wiemy, czy z nich skorzystamy, ale mogą okazać się potrzebne... - Powiódł po sali skupionym, posępnym spojrzeniem, skinął głową i wyszedł.

Miało upłynąć jeszcze około godziny, zanim będą mogli wylawiać rozbitków, kapitan skierował więc na pokład tylko kilka trzyosobowych zespołów, nakazując im trwać w gotowości. Nick powiedział Liane, że ponad połowa pasażerów zrezygnowała z kajut, decydując się spać na pokładzie. Członkowie załogi rozwieszali w nich teraz dodatkowe hamaki, aby zapewnić dach nad głową możliwie największej liczbie osób. Nie powiedział wprawdzie tego wprost, Liane jednak wywnioskowała z jego słów, że należał do tych, którzy zrezygnowali z kabin; Nick wprawdzie już wcześniej przeniósł się gdzie indziej, ale z pewnością postąpiłby tak samo, gdyby tego nie zrobił. Był również w grupie pierwszych ochotników, którzy odpowiedzieli na apel kapitana. Teraz, spokojny i opanowany, stał na pokładzie, podając Liane filiżankę kawy mocno doprawionej szkocką.

- Chyba nie powinienam... - próbowała odmówić, ale Nick był uparty.  
- Nie marudź. Wypij. Przyda ci się, zanim wstanie dzień.  
- Dochodziła już pierwsza, lecz mieli jeszcze przed sobą wiele nocnych godzin. Nick z troską popatrzył na Liane. - Powiedz, znasz zapach spalonego ciała? - Pokręciła głową i upiła łyk kawy. - Przygotuj się, to będzie brutalne doświadczenie.

Nie wiedział, jak wiele osób przeżyło wybuch i pożar. Nie wiedzieli tego nawet rozbitkowie, którzy nadali wiadomość z szalupy. Zdryfowali dość daleko od statku, a w wodzie dokoła widzieli przeważnie zwłoki - tak przynajmniej twierdzili. Z "Deauville" odpowiedziano tylko raz, aby potwierdzić odebranie sygnału SOS. Nie można było pozwalać sobie na dłuższe nadawanie ze względu na Niemców. Dopiero gdy "Deauville" znalazł się niedaleko wraku, z pokładu przesłano świetlną wiadomość, że ratunek nadchodzi. Krótka odpowiedź rozbitków, którą Nick odczytał Liane, brzmiała:

"Dzięki Bogu".

Na pokładzie nie wolno było palić, a whisky, której flaszki przekazywano sobie z rąk do rąk, jedynie zaostrzała napięcie. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim dotarli w końcu w okolice wraku. Niebawem natrafili na grupę unoszonych falami trupów, potem nagle usłyszeli wołanie i po chwili marynarze z "Deauville" delikatnie ułożyli na pokładzie dwóch żywych rozbitków, którzy ocaleli w małym gumowym pontonie. Żywych, lecz potwornie poparzonych. Pospiesznie przeniesiono ich do mesy, gdzie czekali lekarze. Pomieszczenie jasno oświetlono, choć było to sprzeczne z regułami zaciemnienia, lecz zamalowane czarną farbą bulaje nie przepuszczały na zewnątrz ani promyka, w tej sytuacji zaś przepisy można było uchylić.

Liane z niedowierzaniem patrzyła na dwa ciała, usiłując powstrzymać torsje. Instynktownie wczepiła się w ramię Nicka. Nie odezwał się słowem, ale poczuła w swojej ręce jego dłoń i już w chwilę później, kiedy wraz z nim i kanadyjskim dziennikarzem udzielała na pokładzie pomocy trzem kolejnym rozbitkom, nie odczuwała najmniejszej odrazy ani lęku. Dwaj z nich byli straszliwie poparzeni na całym ciele, trzeciemu zaś na tyle dopisało szczęście, że miał poparzoną jedynie twarz i ręce oraz złamane obydwie nogi. Liane podtrzymywała głowę tego właśnie nieszczęśnika, gdy Nick z Kanadyjczykiem układali go na noszach.

- To koszmar... Trafili nas w rufę i dziób...

W szklistych oczach chłopaka widniało dzikie przerażenie, jego twarz przemieniła się w masę spieczonego ciała. Liane musiała powstrzymać łzy, słuchając jego słów i szepcząc w odpowiedzi:

- Już dobrze... już wszystko dobrze...

Tak by mówiła do dziewczynek, gdyby nabiły sobie guza. Tuliła też do siebie rannego, kiedy lekarze go opatrywali. Ochłonęła nieco, gdy jeden poprosił, aby pozostała przez chwilę z chłopcem, który rany miał już zabandażowane i amputowane obydwie dłonie. Nicka wtedy nie było w mesie.

Ta noc miała na długo utkwić wszystkim w pamięci. O szóstej rano lekarze usiedli na chwilę i przejrzeni notatki. Na pokładzie "Deauville" znalazło się dwustu czterech rozbitków z "Królowej Wiktorii", na morzu zaś nie widać już było śladu życia. W pobliżu przepływały setki zwęglonych ciał, a jeszcze pół godziny wcześniej wyciągnięto na pokład szalupę z rozbitkami, którzy doznali tylko drobnych obrażeń. Zabrano ich wszystkich do jednej z kabin. Na każdą przypadało teraz dwunastu do czternastu mężczyzn - hamaki wisiały jeden obok drugiego, ludzie gnieździli się na kojach i rozłożonych na podłodze materacach. W mesie, przekształconej w szpital polowy, unosił się odór spalonego ciała. Wyciągani z morza rozbitkowie byli pokryci sadzą i olejem. Najgorsze było przemywanie ran. Spadło ono na Liane, która teraz, siedząc obok utrudzonych lekarzy, poczuła nagle, że nie potrafi się zdobyć już na najmniejszy wysiłek. Bolało ją dosłownie wszystko - szyja, ramiona, głowa i kark - a przecież gdyby na pokład wciągnięto jeszcze jednego rozbitka, wstałaby tak samo jak inni i ruszyła do pracy.

Pasażerowie "Deauville" powoli, jeden po drugim, rozchodzili się do pomieszczeń. Zrobili, co mogli, starając się jak najlepiej, wielu rozbitków zawdzięczało życie tylko ich poświęceniu. Dla większości mężczyzn był to pierwszy kontakt z okrucieństwami wojny.

Praca lekarzy jeszcze się nie skończyła, choć wiele osób zgłosiło się na ochotnika do opieki nad rannymi. Najgorsze jednak wszyscy mieli za sobą. O ósmej rano z pokładu "Deauville" widziano, jak "Królowa Wiktorii", z obrzydliwym sapnięciem, posławszy w niebo pióropusz pary, zniknęła pod

powierzchnią morza. Przepatrywano okolicę jeszcze przez dwie godziny, lecz nikt nie zauważył żadnych oznak życia - tylko trupy, łagodnie unoszące się na falach.

Dziwięciu rozbitków zmarło na pokładzie, liczba ocalonych wynosiła zatem sto dziewięćdziesiąt pięć osób. Wszystkich umieszczono w kabinach.

Pasażerowie mieli spać teraz wraz z załogą, w hamakach bądź na materacach, ich bagaże zaś poupychano pod kojami lub na korytarzach. Nie chciano tylko zająć kajuty Liane, która uparła się jednak, aby i tam ulokowano rannych. O czwartej nad ranem pospieszyła na dół z jednym z marynarzy, by przenieść dziewczynki na wąską koję w kajucie bosmanmata. Ten przez resztę podróży miał spać razem z kapitanem.

- A pani? - zatroszczył się o nią bosmanmat, spoglądając na Liane z trwoźnym podziwem. Przez całą noc pracowała z nieopisanym zapałem i poświęceniem. Teraz wzruszyła obojętnie ramionami.

- Mogę spać na podłodze - odparła i pospiesznie wróciła do przemienionej w szpital mesy, aby pomagać lekarzom, trzymać rannych za ręce, przemywać im rany, pomagać przy nastawianiu połamanych kończyn. Odgłosy rwanych na szarpie prześcieradeł i ludzkie jęki stały się w miarę upływu godzin równie monotonne jak szum morza. Dopiero kiedy wrak "Królowej Wiktorii" skryły fale, na "Deauville" te dźwięki ucichły. Chwilę później kapitan przemówił do wszystkich przez tubę.

- Dziękuję wszystkim... Wykazali się państwo ogromnym hartem ducha i poświęceniem... Nie skłamię mówiąc, że bez waszej pomocy byłoby o dwieście ofiar więcej.

Wiedzano już, że na trafionym statku zginęło trzy tysiące dziewięciuset ludzi. Pasażerowie i członkowie załogi pracowali na zmiany, usiłując utrzymać przy życiu ocalałych i robiąc wszystko, aby zapobiec infekcjom. Niektórzy rozbitkowie mieli tak wysoką gorączkę, że majaczyli, ale zmarło jeszcze tylko dwóch i właściwie zdołano opanować sytuację. Lekarze tak samo jak Liane pracowali na ostatnich nogach, a przecież byli zaledwie w połowie podróży. Stracili przeszło dobę udzielając pomocy rozbitkom z "Królowej Wiktorii", zygzakowaty kurs również pochłaniał sporo czasu. Jednakże statek musiał kluczyć, zmniejszyła to bowiem ryzyko spotkania z niemieckimi okrętami wojennymi.

Dopiero drugiego dnia po akcji ratunkowej Liane dała się nakłonić do pójścia do kajuty bosmanmata, gdzie jak ścięte drzewo runęła na koję. Dziewczęta były gdzieś na statku pod opieką członków załogi, Liane zresztą i tak nie była teraz w stanie o nich myśleć, kiedy bowiem kładła się na wąziutkiej koi, czuła się tak, jakby nie spała od lat. W sekundę osunęła się w bezdenną czeluść snu.

Kiedy się obudziła, na statku, znowu zaciemnionym, panował mrok. Jej uszu dobiegło szuranie stóp, usiadła więc gwałtownie, usiłując sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest. Potem usłyszała znajomy głos.

- Dobrze się czujesz? - spytał Nick. Kiedy zbliżył się do koi, z trudem rozróżniła rysy jego twarzy w bladej poświacie księżyca sączącej się przez nie pokryty czarną farbą skraj bulaja. - Spałaś szesnaście godzin.

- Dobry Boże. - Potrząsnęła głową, usiłując się dobudzić. Miała na sobie nie zmieniane od dwóch dni brudne ubranie, ale Nick wyglądał jeszcze gorzej. - Jak ranni?

- Niektórzy mają się lepiej.

- Dużo umarło?

- Na razie nikt. Miejmy nadzieję, że wszyscy przeżyją. Niektórzy nawet

już chodzą. - Nick był bardziej zatroskany stanem Liane. Zachowywała się niesamowicie w prowizorycznej sali operacyjnej. Widział ją w ruchu za każdym razem, kiedy przynosił kolejnego rozbitka. - Zjesz coś? Przyniosłem ci kanapkę i trochę wina.

Liane na samą myśl o jedzeniu poczuła mdłości. Pokręciła głową, usiadła na koi i poklepała materac obok siebie, dając mu do zrozumienia, żeby usiadł.

- Nie mogłabym nic przełknąć. A ty? Przespałeś się choć trochę?

- W sam raz.

Ujrawszy, że Nick się uśmiecha, odetchnęła głęboko. Co za niewiarygodne przeżycia!

- Gdzie dziewczynki?

- Śpią w moim hamaku na pokładzie. Są tam bezpieczne, a oficer wachtowy ma je na oku. Owinąłem je w koce. Nie chciałem ich tu przyprowadzać, żeby cię nie obudziły. - Po krótkiej pauzie dodał: - Daj spokój, Liane.

Chciałbym, żebyś coś zjadła.

Racje żywnościowe mocno ograniczono, skoro liczba pasażerów z nagłą się potroiła, ale kucharz dokonywał prawdziwych cudów, tak że nikt nie odczuwał głodu. Nick podał Liane kanapkę i potem odkorkował opróżnioną do połowy butelkę wina. Z kieszeni pożyczonej kurtki, którą miał na sobie, wyjął szklanekę i nalał nieco trunku.

- Nick, nie mogę. Zwymiotuję.

- Wypij, wypij, ale najpierw zjedz kanapkę.

Z wahaniem ugryzła kęs i poczuła skurcz w żołądku, ale po pierwszej fali mdłości nabrała apetytu. Kanapka jej posmakowała, podobnie jak pierwszy łyk wina. Podała szklanekę Nickowi, który też się napił.

- Powinnaś wstać i zobaczyć, czy nie mogłabym w czymś pomóc.

- Tyle czasu dawali sobie radę bez ciebie, to i poradzą sobie jeszcze przez godzinę.

Uśmiechnęła się do niego w ciemnościach. Ich oczy przyzwyczyły się już do braku światła.

- Dałabym nie wiem co za gorącą kąpiel!

- I czyste ubranie - dodał z uśmiechem. - Mojego nie wolno składać, boby się połamało. Może tylko stać... - Równocześnie przypomnieli sobie "Normandie" i zaczęli się śmiać tak serdecznie, aż z oczu popłynęły im łzy. Tu, w mroku kabiny bosmanmata, gdzieś daleko odeszła koszmarna rzeczywistość i ranni rozbitkowie, a myśl o całym absurdzie przyjęć, kolacji i balów sprzed roku przynosiła im ulgę. - Pamiętasz te stopy bagaży, które mieliśmy wtedy ze sobą? - Znów parsknęli śmiechem; była to wesołość zrodzona z napięcia, wyczerpania i poczucia ulgi. W podartych brudnych ubraniach na statku wiozącym niemal trzystu ludzi postrzegali "Normandie" z jej psiarniami, promenadami, luksusowymi apartamentami, salonami i palarnią jako statek głupców. Był to cudowny statek, ale należał do przeszłości, oni zaś byli tutaj, dzieląc się winem i wąską koją i zastanawiając się, czy jakiś U-Boot nie storpeduje ich w ciągu najbliższej godziny.

W końcu się uspokoili i Liane mimo mroku dostrzegła cień na twarzy Nicka.

- Pomyśl tylko, jak bardzo zmieniło się nasze życie. Aż trudno uwierzyć, prawda?

- Niebawem zmieni się cały świat. To tylko początek. My po prostu zostaliśmy w tę przemianę zaangażowani wcześniej niż inni. - Głęboko zajrzał jej w oczy i nawet w ciemności wyczuł ten wzajemny magnetyzm. Bez

chwili namysłu powiedział to, co cisnęło mu się na usta, bo kto wie, może za godzinę zginą i nie nadarzy się następna okazja? - Jesteś piękna, Liane. Piękniejsza niż jakakolwiek kobieta, którą w życiu znałem... Piękna wewnątrz i zewnątrz. Tamtej nocy byłem z ciebie dumny.

- Trzymałam się tylko dzięki temu, że ty byłeś w pobliżu. Czułam przy sobie twoje myśli...

Nagle przestał dla Liane istnieć jakikolwiek inny świat. Nie było życia innego niż ich życie. Byli sami w maleńkim pomieszczeniu. Nick ujął dłoń Liane, bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował. Długo tulili się do siebie, potem znów całowali się z rozpaczą i namiętnością, która zrodziła się ze smaku śmierci i z radości, że wciąż żyją.

- Kocham cię, Liane... kocham...

Wargami pieścił jej szyję, twarz, usta.

- Kocham cię, Nick... - usłyszał po chwili zmieniony głos Liane, głos pełen czułości i pieczy.

Zrzućli z siebie ubrania, ich ciała się splątały i oboje zapomnieli o innym życiu, innych twarzach, innych czasach... Byli parą rozbitków z zapomnianego czasu i jedyną wartą zapamiętania rzeczą był ten ulotny moment namiętności, kiedy kochali się ze sobą, a potem złączeni w uścisku zasnęli i spali aż do świtu.

## Rozdział dwudziesty drugi

Jasne słońce dnia przebijało się nieśmiało przez czarną farbę na oknach, gdy Nick i Liane budzili się powoli w swoich ramionach. Nick, niczego nie żałując, popatrzył na Liane i w jej spokojnej twarzy dostrzegł taką samą aprobatę dla tego, co się stało. Spoglądał na smukłe nogi, ogromne oczy, zmierzwił jasne włosy... I uśmiechał się.

- Wczoraj mówiłem najzupełniej poważnie. Kocham cię, Liane.

- Ja też cię kocham. - Nie pojmowała, jakim cudem zdobyła się na te słowa. Kochała Armanda, a przecież zdawała sobie sprawę, że w jakiś osobliwy sposób również tego mężczyznę kocha od bardzo, bardzo dawna. Często myślała o nim w ciągu owych długich samotnych miesięcy, kiedy czuła, jak Armand coraz bardziej się od niej oddala. Głęboki szacunek dla Nicka żywiła od ich pierwszego spotkania, a teraz jedno przetrwało dzięki obecności drugiego i oboje tkwili zamknięci razem w świecie, który był tylko im dany. Liane należała do niego. Może to się już nigdy nie powtórzy, ale całym sercem żywiła przekonanie, że teraz sprawy wyglądają tak, jak wyglądać powinny.

- Nie wiem, jak ci powiedzieć, co czuję... - Szukała słów, choć w jego oczach i tak znajdowała zrozumienie dla swoich intencji.

- Nie musisz, wiem, i nic w tym złego. Jesteśmy sobie teraz nawzajem potrzebni. Może byliśmy potrzebni sobie już od dawna.

- Ale kiedy wrócimy... - chciała podjąć wątek przyszłości, lecz Nick tylko pokręcił głową.

- W tej chwili nie musimy się nad tym zastanawiać, Liane.

Jesteśmy tutaj i tutaj żyjemy, obok tych wszystkich ludzi na statku. Przetrwalimy i jest w tym coś godnego uczczenia, coś, co zobowiązuje nas do okazywania sobie większej miłości. Nie musimy sięgać spojrzeniem dalej.

W niewytłumaczalny sposób zdawała sobie sprawę, że Nick ma słuszość.

Czule całował ją w usta, ona zaś błędziła dłońmi w górę i w dół jego pleców, po udach... Pojęła, że pragnie go znowu, i zadała sobie pytanie, czy jest to występne, czy też za wszelką cenę pragną po prostu potwierdzić, że żyją. Nie zadawała mu kolejnych pytań, kiedy znowu się kochali, a potem z żalem wstała i zaczęła się myć w małej umywalce. Wyglądało to tak, jak gdyby od lat byli kochankami i problem wstydu czy skromności po prostu między nimi nie istniał. Zaledwie kilka godzin wcześniej przyglądali się z bliska śmierci, a to, co działo się teraz, było dużo bardziej naturalne. Było życiem.

- Wyjdę sprawdzić, co u dziewcząt. - Nick uśmiechnął się do niej, czując się człowiekiem szczęśliwszym niż kiedykolwiek od wielu lat. Pracując ramie w ramie, przyczynili się do ocalenia niemal dwustu ludzkich istnień i teraz mieli prawo do tego wszystkiego, co stało się ich udziałem, może nawet do czegoś więcej. - A potem sprawdzę, czy nie da się gdzieś znaleźć wolnego prysznic. Spotkajmy się na górze przy filiżance kawy, zanim wrócimy do pracy.

- Zgoda - uśmiechnęła się do Nicka, ani trochę nie zażenowana, iż widzi ją przy intymnej bądź co bądź czynności. Przed wyjściem pocałowała go jeszcze raz, odsuwając myśli o Armandzie, zanim zdążyły w niej wzbudzić wątpliwości. Wiedziała, że tutaj nic dobrego by z nich nie wynikło. Potem jakoś to wszystko ułożą z Nickiem, teraz natomiast powinni żyć zgodnie z obowiązującymi w tym świecie regułami. Jeszcze tak naprawdę nie przetrwali, od ojczyzny dzieliła ich wciąż bardzo długa droga. Było za wcześnie na cokolwiek innego niż kierowanie się własnymi uczuciami, niż życie z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Po raz pierwszy od dawna dziękowała Bogu, że żyje.

Spotkali się przy kuchni. Nick był z dziewczynkami, które wyglądały teraz równie nędznie jak inni pasażerowie, ale w jego towarzystwie sprawiały wrażenie najzupełniej szczęśliwych. Opowiedziały Liane o godzinach spędzonych na mostku, wyjaśniły zasady działania radia pokładowego, a poza tym były najwyraźniej po imieniu z kukiem, który Bóg wie jakim sposobem upichcił mały torcik i poprzedniego dnia wręczył go dziewczętom. Zdumiewająco dobrze przystosowały się do nowego życia i wcale nie wydawały się przestraszone. Wyznały matce, że ogromnie im odpowiada spanie pod gwiazdami, po czym znów powędrowały na mostek, Nick zaś i Liane powoli zeszli na dolny pokład, gdzie wypili razem wielki dzbanek parującej kawy i zjedli po kawałku grzanki. Liane spojrzała przeciągle na Nicka, kiedy dotarli do mesy, wypełnionej teraz ludźmi, których ocalili, i zanim weszli do środka, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Myślisz, że jesteśmy szaleni? - spytała.

Pokręcił głową, nie sprawiając zresztą wcale wrażenia szaleńca.

- Nie, ludzie to osobliwe istoty, Liane. Potrafią przywyknąć niemal do wszystkiego. Silnych ludzi nie sposób pokonać. - I bez cienia zakłopotania dodał: - Ty, tak samo jak ja, jesteś bardzo silnym człowiekiem. Odgadłem to, kiedy po raz pierwszy spojrzeliśmy na siebie, i odtąd uwielbiam w tobie tę cechę.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - Mówiła cicho, aby nikt ich nie usłyszał. - Przez całe swoje życie miałam wszystko, czego dusza zapagnie. Byłam znakomicie sytuowana, rozpieszczana, kochana. Nawet nie wiem, czy w gruncie rzeczy jestem silna, czy nie.

- Sięgnij pamięcią do tego, co przeżyłaś w ciągu ostatniego roku, do wątpliwości, lęków, samotności, do pierwszego miesiąca wojny... Chociaż w

tym czasie wcale cię nie widywałem, wiem, że ani razu się nie zachwiałaś. A ja... ja wsadziłem syna na statek, mimo że nie wiedziałem, czy będzie na nim bezpieczny, czy nie. Pozwoliłem mu odpłynąć, bo miałem świadomość, że wprawdzie ta podróż jest ryzykiem, ale trzeba je podjąć, żeby John dotarł do domu, jedyne naprawdę bezpiecznego miejsca. Spędziłem u boku żony wiele samotnych lat... I przetrwałem. Tak samo jak ty. Przetrwaliśmy też jakoś to, co spotkało nas zeszłej nocy, a przecież żadne z nas nigdy nie widziało podobnego koszmaru. - Popatrzył na Liane. - Damy też sobie radę z wszystkim innym, kochanie... Bo mamy teraz siebie - dodał czule.

Weszli do mesy i Liane aż wstrzymała oddech, kiedy uderzyła w nią fala smrodu nie mytych ciał, potu, wymiocin, krwi i zgorzelin. Ale podjęli pracę, ramię przy ramieniu, i przez wiele godzin posłusznie wykonywali polecenia lekarzy. Nie uczyniło ich to zobojętniałymi na rozmiar tragedii, której byli świadkami, pozwoliło jednak odsunąć na bok troski, cieszyć się z drobiazgów i postrzegać wszystko inaczej niż dotąd. Kiedy więc po jakimś czasie Liane ponownie zobaczyła dziewczęta, znalazła w sobie nowy rodzaj cierpliwości wobec ich wybryków; widok Nicka budził w niej namiętność, której istnienia nawet nie podejrzewała. Nigdy tak mocno nie kochała mężczyzny, nigdy też nie czuła się równie silna i młoda. Życie z Armandem stanowiło część innego świata. Kochała go, szanowała, odnosiła do niego wszystkie swoje zachowania, a przecież teraz odnalazła coś całkowicie odmiennego. Człowieka, który budził w niej jakąś straszliwą siłę, którego obecność przy niej była źródłem potężnej mocy. Pod pewnymi względami przypominało to związek z Armandem, lecz w gruncie rzeczy było czymś większym.

Pełnili wspólnie służbę od dziewiątej do pierwszej, potem poszli do kajuty Liane, skoro zaś dziewczynki znów spały w hamaku Nicka - o co zresztą same błagały - padli na koję i kochali się z takim zapamiętaniem jak nigdy dotąd. Później zasnęli spokojnie w swoich ramionach, po przebudzeniu znów się kochali, po czym uprzedzając innych pasażerów, pobiegli razem pod prysznic, a wreszcie stanęli na pokładzie i tuląc się do siebie oczekiwali na wschód słońca.

- Pewnie uznasz to, co ci powiem, za przejaw szaleństwa - rzekła Liane spoglądając z uśmiechem na Nicka - ale nigdy dotąd nie byłam tak szczęśliwa. Tyle jest wokół nas cierpienia, aż zdaje mi się, że to, co mówię, jest niemal grzeszne... Tylko że tak czuję.

Otoczył ją ramieniem i przytulił. - Ja też tak czuję.

Żadne z nich nie potrafiło oprzeć się przekonaniu, iż zostali stworzeni, aby przeżyć tę właśnie chwilę; Liane przestała pytać, co nastąpi później. Już nie chciała tego wiedzieć.

Przez sześć następnych dni pracowali razem przy rannych, jedli posiłki w towarzystwie dziewczynek, nocami zaś kochali się w kajucie bosmanmata. Trzynastego dnia rejsu wstrząsnęła nimi do głębi wiadomość od kapitana, że za dwa dni znajdą się w Nowym Jorku. Popatrzyli na siebie bez słowa. Pojęli, że zbliża się koniec, i chociaż najważniejsze w tym wszystkim było to, iż ranni znajdą się niebawem pod właściwą opieką, Liane zapragnęła w głębi duszy, aby przeprawa trwała w nieskończoność. Takie samo pragnienie odczytała w oczach Nicka. Z westchnieniem usiadła w znajomym mroku kajuty, która w ostatnim tygodniu była ich domem. Nie zamierzała pytać teraz Nicka, co zrobią, słowa wszakże same wybiegły z jej ust.

- Wiele o tym rozmyślałem, Liane - odparł.

- Ja też. Ale nie znalazłam odpowiedzi. Przynajmniej nie taką, jakiej bym

pragnęła.

Ubolewała, iż nie poznała Nicka wcześniej niż Armanda, skoro wszakże los ułożył ich żywoty w taki a nie inny sposób, musieli brać pod uwagę ludzi, z którymi ich połączył. Nie mogła nie zauważać istnienia Armanda, a przecież zarazem nie potrafiła zapomnieć o Nicku. Czuła, że jest z nim w tej chwili mocno związana i co więcej - bardzo go potrzebuje. Wplótł się w najtajniejszą tkankę jej duszy. Cóż ma zatem powiedzieć Armandowi? I czy w ogóle ma mu cokolwiek mówić? Przez całe wspólne życie była z nim absolutnie uczciwa, знаła swe powinności wobec niego, lecz nie mogła się zmusić do rezygnacji z Nicka. Podjęcie takiej decyzji po prostu nie leżało w jej możliwościach. Najwyraźniej jednak z perspektywy Nicka sprawy przedstawiały się zgoła odmiennie.

- Zamierzam wziąć rozwód z Hillary - powiedział spokojnym głosem. - Powinienem być uczynić to już wiele lat temu.

- A John? Czy będziesz mógł żyć ze świadomością, że go porzuciłeś?

- Chyba nie mam wyboru.

- Na początku tego rejsu mówiłeś coś zupełnie innego. Byłeś zdecydowany wrócić do domu i zabrać go od babci. Czy będziesz naprawdę szczęśliwy, widując syna najwyżej kilka razy w miesiącu i mając świadomość, że jest zanedbywany przez Hillary? - spytała z niepokojem, zauważając podobny niepokój w oczach Nicka.

- Muszę zdecydować, czyje życie jest ważniejsze: jego albo moje. Nasze...

- uśmiechnął się bez przekonania.

- Potrafiłbyś dokonać takiego wyboru?

- Co mi próbujesz powiedzieć?

- To, co moim zdaniem czujesz w głębi duszy. Jeśli rozwiedziesz się z żoną, żeby być ze mną, jakaś część ciebie nigdy ci tego nie wybaczy. Ilekroć spojrzysz na Elisabeth i Marie-Ange, będziesz myślał o Johnie i o tym, z czego zrezygnowałeś, żeby być ze mną. Nie mogę tego od ciebie wymagać i prawdę mówiąc, sama nie jestem jeszcze gotowa do podjęcia decyzji. Nie wiem, co robić. W ciągu tego tygodnia usiłowałam o tym nie myśleć. Zawsze byłam wobec Armanda uczciwa, a teraz... Jak wyobrażę sobie, że mówię mu o tym w oczy albo w liście, teraz czy po zakończeniu wojny... coś we mnie krzyczy i cała skręcam się na myśl o krzywdzie, jaką mu wyrządzam. Jemu i dziewczętom... - Popatrzyła ze smutkiem na mężczyznę, którego pokochała w ciągu tego rejsu. - On we mnie wierzy, Nick, nigdy go dotąd nie zawiodłam i nie mogę tego uczynić teraz. - Do jej oczu napłynęły łzy, głos ochrypł. - A jednocześnie nie mogę się z tobą rozstać.

- Kocham cię, Liane. Całym sercem. - W głosie Nicka pobrzmiwała rozterka.

- Ja też cię kocham, jeśli chcesz to wiedzieć. - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy. - Ale kocham też Armanda. Wierzę w śluby, które złożyliśmy sobie jedenaście lat temu. Nigdy nie sądziłam, że mogłabym być mu niewierna. A najdziwniejsze jest to, że wcale nie mam uczucia, że dopuściłam się zdrady. Ja tylko otworzyłam drzwi, ty w nich stanąłeś i okazało się, że po prostu cię kocham. Pragnę być z tobą, ale nie wiem, co zrobić z Armandem. Gdybym powiedziała mu teraz, mogłabym go zabić, Nick. Mógłby poniechać wszelkiej ostrożności, mógłby stać się zuchwały, niepomny na własne bezpieczeństwo. A pokój przecież musi kiedyś nadejść... Armand został we Francji, żeby walczyć. Czy wolno mi go teraz porzucić? Czy to właśnie przyrzekłam mu jedenaście lat temu? Że zerwę ten związek, kiedy tylko będę miała go dość? To nieuczciwe.



- Życie nie rządzi się takimi zasadami. Ja pokochałem cię za to, że jesteś taka, a nie inna... W tej kwestii nie możesz być jednak uczciwa. Cokolwiek robimy, ktoś na tym cierpi, z czegoś rezygnujemy, kogoś tracimy... Johnny'ego, Armanda, ciebie czy... mnie.

- To wybór ponad siły - powiedziała z napięciem w głosie. - To tak, jak gdyby człowiek stał z gotowym do strzału pistoletem i zastanawiał się, kogo zabić.

Nick skinął głową i ujął dłoń Liane. Długo tak siedzieli pogrążeni we własnych myślach, w końcu zaś, wyrzuciwszy z głowy wszystkich prócz siebie, znów się kochali. Tej nocy, podobnie jak następnej, niczego nie postanowili. Pełnili służbę przy rannych, a potem, w łóżku, tulili się do siebie namiętniej niż kiedykolwiek.

Ostatniej nocy na statku oboje mieli świadomość, że nic nigdy nie będzie już takie samo. Jeśli wybiorą wspólne życie, będą musieli pokonywać piętrzące się przed nimi trudności, sprawiać ból sobie i innym, jeśli zaś postanowią się rozstać - obojgu będzie dokuczać uczucie straty nie do odrobienia. Jeszcze tylko tej nocy mogli się kochać tak mocno jak dotąd.

Nad ranem znowu podjęli ten temat, a właściwie uczyniła to Liane. Usiadła na łóżku, dotknęła twarzy Nicka, pocałowała go w usta i popatrzyła takim wzrokiem, jakim patrzy się na dziecko. Czekala wiele godzin i oto nadszedł moment, kiedy nie można było zwlekać dłużej. Niebawem zejda na ląd, trzeba więc podjąć decyzję... Liane zrobiła to za siebie i za Nicka.

- Wiesz, co musimy zrobić, prawda? - Uniósł spojrzenie na jej twarz, ale nic nie powiedział. - Musisz wracać do syna. Nigdy nie byłbyś w pełni szczęśliwy bez niego.

- A jeśli wystąpię do sądu o przyznanie opieki nad Johnnym?

- A wygrasz?

Był wobec Liane równie szczerzy jak ona wobec niego. - Przypuszczalnie nie, ale mógłbym spróbować.

- I rozerwać dziecko na dwoje. Nie mógłbyś żyć z taką świadomością, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ja też nie mogłabym żyć ze świadomością, że porzuciłam Armanda. Jesteśmy oboje uczciwi, mamy sumienie, odpowiedzialność, mamy ludzi, których kochamy. Te sprawy są znacznie prostsze dla osób innego niż my pokroju, które mogą się po prostu rozstać, mówiąc sobie "żegnaj". My tak nie potrafimy. Gdybyś tak bardzo nie kochał Johnny'ego, rozszedłbyś się z żoną wiele lat temu; nie zrobiłeś tego jednak i nie mogę ci pozwolić na to teraz. Dla naszego wspólnego dobra. - Nick skinął głową, a Liane cicho westchnęła. - Poza tym dla mnie to też nie jest proste - rzekła głosem przechodzącym w szept. - Wciąż kocham Armanda. - Do jej oczu napłynęły łzy i Liane odwróciła głowę, aby Nick ich nie zobaczył.

- Co teraz zrobisz, Liane? - Ujął jej dłoń, pogładził i głęboko zajrzał jej w oczy. Niemal żałował, że nie może zawrócić statku i rozpocząć tego rejsu od nowa. Niestety, musieli iść naprzód bez względu na to, z jak wielkim bólem się to wiązało. - Co będzie z tobą?

- Poczekam, aż wojna się skończy.

- Sama? - Pragnął jej aż do bólu. Była kobietą, która potrzebowała mężczyzny, która pragnęła dać komuś całą tę miłość, jaką w sobie miała, on zaś mógł tę miłość w pełni odwzajemnić.

- Oczywiście, że sama - odparła z bladym uśmiechem.

- Myślisz, że... - zaczął Nick, do głowy bowiem już przed kilkoma dniami przyszedł mu pewien pomysł. Nie wiedział jednak, jak zareaguje na jego propozycję Liane. Ledwie usłyszała pierwsze słowa, pokręciła głową.

- Nie mogę tego zrobić. Jeśli pozwolimy trwać temu dłużej, nigdy nie zdołamy się rozstać. Spójrz, byliśmy ze sobą niespełna dwa tygodnie, a ja już nie potrafię powiedzieć, że to koniec. Za rok lub dwa byłoby to całkiem niemożliwe. - Westchnęła. - Sądzę, przyjacielu, że nadszedł czas, abyśmy okazali tę siłę, którą, jak powiadasz, ma w sobie każde z nas. Nie istnieje inne rozwiązanie. Zakochaliśmy się w sobie, mieliśmy dwa tygodnie... prawdziwy cud, całe życie, które będę pamiętała przez resztę swoich dni. Ale nie może być tego życia więcej. Dla żadnego z nas. - Jej głos zaczął się łamać i z oczu Liane popłynęły łzy. - Kiedy zejdziemy ze statku, powinniśmy patrzeć tylko przed siebie. Nie oglądać się ani przez moment... Z jednym może wyjątkiem: po to, żeby sobie przypomnieć, jak bardzośmy się kochali i jak dobrze życzyliśmy sobie nawzajem...

W oczach Nicka również pojawiły się łzy. - Czy zadzwonisz do mnie od czasu do czasu?

Pokręciła głową i ze szlochaniem rzuciła się w ramiona Nicka, który hamując płacz, tulił ją przez całą godzinę. Nic nie mogli poradzić. Więzy, które ich łączyły, musiały zostać przecięte. Ten zabieg miał być dla nich równie bolesny jak dla młodego rozbitka amputacja ręki, którą przed tygodniem oglądali w prowizorycznej infirmerii.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy tuż po ósmej zegnali się w jej kajucie szybkim pocałunkiem, nadal mieli oczy pełne łez. Potem Nick przysłał do Liane jej córki, ona zaś pomogła im się ubrać. Wszystkie trzy wyglądały teraz jak włóczęgi, choć wyglądem wcale nie odbiegały od reszty pasażerów. Kapitan zapowiedział, że do Nowego Jorku przybiją około południa. Zawczasu poprosił telegraficznie o pomoc, zwłaszcza o karetki dla rannych, z których jeszcze trzech zmarło z powodu zakażenia krwi. W sumie "Deauville" wracał triumfalnie ze stu dziewięćdziesięcioma ocalałymi rozbitkami.

Kiedy statek zbliżał się do portu, na pokładzie panowała świąteczna atmosfera i niósł się zgiełk ożywionych rozmów. Dziewczęta były już zaprzyjaźnione z wszystkimi pasażerami statku, a także tymi z rozbitków, którzy mogli się poruszać o własnych siłach. Podekscytowani pasażerowie stali ramię w ramię przy relingach, a sądząc po tym, jak zwracali się do siebie, można było odnieść wrażenie, że są w komitywie przynajmniej od roku. Tylko Nick i Liane trzymali się w niewielkim oddaleniu od innych. Nick miał na twarzy wyraz oszołomienia, Liane zaś gorliwie zajmowała się córkami, ale od czasu do czasu spotykali się wzrokiem, a raz, kiedy dziewczęta pobiegly po lalki, przytulili się do siebie na krótki moment.

Żadne z nich nie mogło sobie wyobrazić, jak przetrwają bez siebie resztę życia. Tyle że nie mieli w tej kwestii żadnego wyboru. Rzeczywistość, niosąca ich naprzód równie uparcie jak "Deauville", nie pozwalała im pozostać w krainie marzeń. Chwile spędzone na statku miały się niebawem skończyć, czekał ich marsz własnymi ścieżkami i nieustannie powtarzane w duchu pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze się spotkają.

Nick zastanawiał się, czy pewnego dnia na jakimś innym statku znów nie natknie się na Armanda i Liane. Wojna dobiegnie końca, dziewczynki dorosną, a on dla dobra syna wciąż będzie mężem Hillary... Przez sekundę, tylko przez jedną sekundę prawie nienawidził Johna, który przecież, podobnie jak

Armand, nie był niczemu winien. Zapragnęli wszak z Liane czegoś, czego nie mogli otrzymać, dlatego teraz musieli stawić czoło nie tylko powinnościom względem siebie, lecz również względem Armanda i Johna. Nick zdawał sobie sprawę, iż Liane ma całkowitą słuszność, kiedy jednak na horyzoncie zamajaczyły drapacze chmur Nowego Jorku, uzmysłowił sobie, iż nigdy w życiu nie cierpiał tak okrutnie. Z najwyższym trudem kierował myśli ku synowi, bo Johnny był w tej chwili w jego życiu jedynym realnym punktem zaczepienia, mimo że w tych ostatnich chwilach pragnął ze wszystkich sił, by owym punktem mogła być dla niego Liane.

Kiedy pojawiła się Statua Wolności, a słońce załśniło na jej pochodni, na pokładzie rozległy się radosne okrzyki. Wkrótce potem do burty "Deauville" podpłynęły holowniki, aby wprowadzić statek do nowojorskiego portu, stateczki straży pożarnej zaś, które dołączyły do konwoju, jęły na wiwat wystrzeliwać w niebo słupy wody.

Kiedy statek przybił do nabrzeża, okazało się, że szeregiem stoją tam karetki, gotowe zabrać z pokładu wszystkich rannych, i że wyjątkowo poniechano wszelkich procedur imigracyjnych. "Deauville" zacumował przy błyskach fleszy, a zaraz potem ruszyli do ataku dziennikarze usiłując przeprowadzać wywiady z kim się da. Kiedy Liane, która znała po imieniu wszystkich rozbitek, pochyliła się, aby jednego ucałować na pożegnanie, strzelił flesz aparatu fotograficznego.

Większość pasażerów nie kwapiła się zbytnio do zejścia na ląd; ludzie obejmowali się, wymieniali adresy, poklepywali po ramionach, dziękowali kapitanowi i członkom załogi za udaną przeprawę, ale w końcu jeden po drugim zaczęli zbierać swoje bagaże i schodzić po trapie. Liane, Nick i dziewczęta opuszczali statek wśród ostatnich. Stanąwszy na nabrzeżu, popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Cóż, jesteśmy w domu... - Nick spoglądał na Liane ponad głowami dziewcząt; żadne z nich nie potrafiło się radować, a Liane marzyła tylko o tym, aby przytulić się do Nicka.

- Jeszcze nie czuję się jak w domu. Musiała dojechać z dziewczynkami na Grand Central Station i złapać pociąg do Waszyngtonu.

- Ale się poczujesz - odparł Nick, wzięwszy się już w garść. Potem uparł się, że złapie dla Liane taksówkę i odwiezie je na dworzec. Kiedy zajęli miejsca w aucie, Liane parsknęła śmiechem, a Nick lekko skrzywił usta. - Musimy wyglądać jak banda włóczęgów. - Zerknął na pożyczone marynarskie ubranie, które wciąż miał na sobie, i uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu ze statku nie odbiera go limuzyna.

Jadąc na dworzec gawędzili beztrosko i droga minęła aż nazbyt szybko. Kiedy Liane kupowała bilety, Nick sprowadził dziewczynki na peron. Liane ważyła przez chwilę myśl, czyby nie zatrzymać się w hotelu w Nowym Jorku, doszła jednak do wniosku, że wówczas odczuwałaby zbyt wielką pokusę, aby zobaczyć się z Nickiem.

Nick ułożył ich skromne bagaże na półkach w przedziale, potem spojrzął na Liane i dziewczęta.

- Do widzenia, wujku, odwiedź nas jak najszybciej - zaprosiła Nicka Elisabeth, której Marie-Ange zawtórowała z zapalem. Już dawno przestały się do niego zwracać "panie Burnham".

- Na pewno was odwiedzę. A wy opiekujcie się mamą. - Słyszac, że jego głos staje się ochryply ze wzruszenia, Liane znów musiała powstrzymywac łzy, które pojawiły się jednak, gdy objęła go na pożegnanie, a Nick szepnął cicho w jej włosy: - Uważaj na siebie, najdroższa przyjaciółko.

Powoli wycofał się z przedziału i ocierając ukradkiem łzy, wyszedł na peron, gdzie stanął, machając ręką na pożegnanie, szeroko uśmiechnięty. Wtedy Liane nakazała córkom usiąść, sama zaś przez okno przesłała Nickowi pocałunek i bezgłośnie wyszeptała "Kocham cię". Nick ze ściśniętym gardłem, tłumiąc szloch, tkwił na peronie, dopóki mógł ją widzieć.

Liane usiadła na beżowej welwetowej kanapie, a gdy dziewczynki zajęły się pociąganiem i przyduszaniem najrozmaitszych dźwigienek i przycisków, zamknęła na chwilę oczy. Zobaczyła przed sobą twarz Nicka, znów przemożnie zapragnęła dotknąć go jeszcze raz... przez moment ujrzała się w jego ramionach i poczuła bolesne ukłucie nieznośnej straty. Niezdolna dłużej hamować płacz, powiedziała coś do córek, wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - zapytał wysoki czarnoskóry konduktor w nieskazitelnie białym uniformie. Liane, nie mogąc wykrztusić ani słowa, pokręciła tylko głową. - Proszę pani... - zaczął znów, zaniepokojony udręką malującą się na twarzy kobiety. Liane raz jeszcze zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Wszystko w porządku - powiedziała, choć wcale tak nie było. Jakże bowiem mogła mu wyjaśnić, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni pozostawiła męża w okupowanym Paryżu, a potem, nie bacząc na niemieckie U-Booty, przepłynęła frachtowcem Atlantyk, była świadkiem tragedii tonącego statku, widziała trupy kołyszące się na falach i ludzi umierających jej na rękach, pomogła utrzymać przy życiu i przywrócić do zdrowia niemal dwustu mężczyzn cierpiących od ran i poparzeń... I że zakochała się w mężczyźnie, którego właśnie pożegnała i być może nigdy już nie zobaczy... Nie znajdowała na to wszystko słów, więc tylko z rozdartym sercem wyglądała przez okno odjeżdżającego pociągu.

Na dworcu zaś Nick, z pochyloną głową, wilgotnymi oczyma i wyrazem twarzy człowieka, który stracił najbliższego przyjaciela, ruszył ku wyjściu. Na ulicy zatrzymał taksówkę i pojechał do domu tylko po to, żeby stwierdzić, iż jest pusty. Nowa służąca poinformowała go, że pani Burnham przebywa z przyjaciółmi na Cape Cod.

Akurat wtedy pociąg do Waszyngtonu nabierał szybkości.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Liane wraz z córkami o ósmej wieczorem dotarła do hotelu Shoreham. Czuła się tak, jakby nie spała od wielu dni. Wszystkie trzy zresztą były wyczerpane i brudne, dziewczynki co chwilę wybuchały płaczem. Wiele przeszły w ciągu ostatnich miesięcy, teraz zaś z trudem uświadamiały sobie, że są z powrotem w Stanach. Wszyscy sprawiali tu wrażenie tak szczęśliwych, beztroskich i normalnych! Nie widziało się ani owych skażonych napięciem twarzy jak w Paryżu przed okupacją, ani swastyk, które zaczerniły się na murach po upadku miasta; nie było też rannych jak na statku. Nie było tu nic z tego, co dla nich stało się powszednie, choć tak dalece przecież odbiegało od normalności.

Leżąc w hotelowym łóżku, Liane godzina po godzinie musiała zwalczać pokusę, żeby zadzwonić do Nicka i odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni wszystkie rozsądne przeciwieństwo postanowienia, które w obliczu

odpowiedzialności ponoszonej względem innych podjęli przed rozstaniem. Tak naprawdę pragnęła jedynie znaleźć się na powrót w jego ramionach. W Nowym Jorku Nick przechodził dokładnie taką samą męczarnię.

Nazajutrz rano Liane wysłała do Armanda depeczę z informacją, że przybyły do Stanów bezpiecznie. O "Deauville" pisały wszystkie gazety, w wielu opublikowano zdjęcie, na którym Liane całuje w policzek wynoszonego na ląd Kanadyjczyka. Na zdjęciu tym, w tle, widoczny był również Nick, patrzący na Liane z wyrazem smutku na twarzy. Widząc ową fotografię, Liane znów poczuła w piersi znany ołowiany ciężar. Jej córki stwierdziły nagle, że z trudem przychodzi im nawiązać kontakt z matką. Tyle zmieniło się w ich życiu w ciągu tak krótkiego czasu, że dziewczynki były nieznośnie płaczliwe, a Liane wiecznie rozdrażniona. Przeszły zbyt wiele i doświadczyły zbyt bolesnych rozstań, aby mogło to przejść bez echa.

Efekt ich przeżyć był taki, że kiedy Liane zdecydowała się w końcu zadzwonić do wuja George'a w San Francisco i powiadomić go, że wróciły do Stanów, rozmawiała z nim niemal grubiańsko, aczkolwiek winę częściowo ponosił on: bez ustanku czynił bowiem nietaktowne uwagi na temat upadku Francji i tego, jak Francuzi dosłownie wcisnęli Paryż w niemieckie łapy, podając go - jak to ujął - na srebrnym półmisku, w związku z czym zasługują na wszystko, co ich spotkało. Liane musiała użyć całej siły woli, żeby mu nie nawymyślać.

- Cóż, dzięki Bogu, żeście wróciły - rzekł wreszcie wuj. - Od jak dawna jesteś w kraju?

- Od wczoraj. Przyplłynęliśmy frachtowcem.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. - Na "Deauville"?!

- Relację z przybycia francuskiego statku zamieściły również gazety z San Francisco, nie publikując jednak żadnych zdjęć.

- Tak.

- Cóż za obłąkanym idiotą jest twój mąż, że wsadził cię na taki statek.

To nie było innego sposobu na wywiezienie was z Francji?... Pewnie brałaś też udział w tej akcji ratunkowej na morzu?

- Brałam. - W głosie Liane pobrzmiwało wyczerpanie i zniechęcenie. Nie chciała bronić Armanda przed wujem, nie chciała nawet pamiętać o swoim małżeństwie, ponieważ jedynym, o czym potrafiła myśleć, był Nick. - Ocaliliśmy stu dziewięćdziesięciu ludzi.

- Czytałem. Na pokładzie była tylko jedna kobieta. Niańka z dwójką dzieci.

Liane uśmiechnęła się z lekka. - Niezupełnie niańka, wuju. Po prostu ja i dziewczęta.

- Rany boskie... - wykrztusił, po czym zapytał, kiedy zamierza przyjechać do San Francisco, gdy zaś odparła, że wcale się tam nie wybiera, krzyknął:

- Co takiego?

- Wczoraj wieczorem przyjechałyśmy do Waszyngtonu. Zamierzam wynająć tu dom.

- Nie pozwolę na to.

Po wszystkim, przez co przeszła, nie miała już sił spierać się z wujem. - Mieszkaliśmy w Waszyngtonie przez pięć lat. Mamy tu przyjaciół, a dziewczynki lubią swoją szkołę.

- To absurdalne. Dlaczego Armand nie wysłał cię do mnie?

- Bo mu powiedziałam, że zamierzam zamieszkać w Waszyngtonie.

- Cóż, jak ci wróci zdrowy rozsądek, będziesz mile widziana. Obce miasto to nie jest właściwe miejsce dla samotnej kobiety. Mogłabyś zamieszkać ze

mną, w moim domu. Był przecież twoim domem, zanim przeniosłaś się do Waszyngtonu. Cóż za nonsensowne pomysły przychodzą ci do głowy? A w ogóle jestem zaskoczony, że nie próbowałaś przedostać się do Londynu albo Wiednia.

Uwagi wuja wcale nie wydawały się Liane zabawne, odrzekła zatem cicho: - Chciałam zostać w Paryżu z Armandem.

- Przynajmniej nie był aż takim idiotą, żeby ci na to pozwolić.

Przypuszczam zresztą, że sam nie zagrzeje tam długo miejsca. Ten dureń de Gaulle ruszył już do Afryki Północnej, a o ile wiem, reszta rządu rozproszyła się po całej Francji. Jestem zaskoczony, że Armand wciąż siedzi w Paryżu. Czy przeszedł w stan spoczynku?

- Nie, nie przeszedł. - Nie zamierzała go informować, iż Armand współpracuje z Petainem.

- Cóż, w takim razie jak wszyscy inni już niedługo gdzieś się wyniesie.

Mądrze postąpiłaś wracając z córkami do kraju. Jak one się mają? - zapytał łagodniejszym tonem.

Liane złożyła zatem obszerny raport na temat samopoczucia dziewczynek, pozwoliła im nawet porozmawiać ze stryjecznym dziadkiem. Odetchnęła jednak z ulgą, gdy rozmowa dobiegła wreszcie końca. Nigdy nie łączyły jej z wujem przesadnie bliskie więzy; pod żadnym względem nie przypominał brata i zawsze krytykował styl życia Harrisona i jego córki, z dezaprobatą odnosił się do faktu, że Liane dzieliła obawy i troski ojca, że była przezeń informowana dosłownie o wszystkim. Uznawał to za wysoce błędny sposób wychowywania młodej dziewczyny. Nic zatem dziwnego, że nie zachwycał się Liane, kiedy osiągnęła dojrzałość. "Zbyt nowoczesna jak na mój gust" - mawiał z nie skrywaną niechęcią. Poznawszy Armanda, też nie wyrażał się o nim pochlebnie. Uważał, że jest dla Liane za stary, czemu zresztą bez zahamowań dał wyraz, gdy zaś poślubiła Armanda i przeniosła się z nim do Wiednia, życząc jej szczęścia nie omieszkał dodać, że bardzo się jej przyda. W następnych latach widywali się z rzadka i przy tych okazjach nie zgadzali pod żadnym względem, w szczególności co do strategii, jaką George narzucił Liniom Żeglugowym Crocketta. Firma jednak nadal prosperowała doskonale, a chociaż Liane i na tę kwestię miała odmienne poglądy, nie mogła nic zarzucić menedżerskim talentom wuja. Interes kwitł, co ku satysfakcji Liane zapowiadało, że pewnego dnia jej córki odziedziczą olbrzymi majątek. Ale poza tym żadna z cech wuja nie budziła w niej zachwytu; był przemądrzały, apodyktyczny, staromodny i niezwykle nudny.

Tego samego ranka Liane skontaktowała się z agentem od nieruchomości i umówiła się na oglądanie trzech domów w Georgetown. Szukała czegoś niewielkiego i bezpretensjonalnego, gdzie w spokoju mogłyby przeczekać wojnę, podejmując od czasu do czasu kilku gości. Dni wspaniałych dyplomatycznych przyjęć minęły bezpowrotnie, Liane jednak doskonale wiedziała, że nie będzie za nimi tęsknić.

Wynajęła drugi z oglądanych domów i załatwiła wszystkie sprawy związane z przeprowadzką, która miała nastąpić za tydzień, po czym zatrudniła służącą, sympatyczną starszą Murzynkę, która umiała gotować i bardzo lubiła dzieci. Poczyła niezbędne zakupy dla siebie i córek, tak że wreszcie wszystkie trzy zaczęły wyglądać jak za dawnych czasów. Kupiła nawet dziewczętom nieco nowych zabawek, skoro nie przywozły ze sobą niemal żadnej spośród tych, które zabrały do Paryża. Cieszyła ją każda chwila aktywności i wszystko, z czym należało się uporać w związku z przeprowadzką. Pozwalało jej to odsunąć myśli o Nicku, przynajmniej na kilka minut, bywały jednak i takie

chwile, gdy wydawało się jej, że dłużej tego nie wytrzyma. Zastanawiała się, co teraz robi Nick, czy pojechał do Bostonu i odzyskał Johna. Myślami często też uciekała ku chwilom spędzonym na statku, ku dniom, które uważała teraz za najważniejsze w całym swoim życiu. Nie mogła wprost uwierzyć, że tych dni było zaledwie trzynaście. Raz za razem musiała przypominać sobie, że nie powinna myśleć o Nicku, lecz całą uwagę skoncentrować na Armandzie.

Napisała do męża, podając adres nowego domu, i dwa tygodnie po przeprowadzce otrzymała od niego pierwszy list. Był krótki - Armand wyjaśnił, że pisze go na kolanie - ale i tak połowa tekstu została zamazana przez niemieckich cenzorów. Mimo to Liane zdołała się zorientować, że jej mąż jest wprawdzie zapracowany, ale miewa się dobrze. Armand z kolei wyrażał nadzieję, że córki są zdrowe i doskonale się czują wśród starych przyjaciół. Prosił żonę o przekazanie najlepszych życzeń Eleanor, z czego Liane wywnioskowała, że Armand sugeruje również, aby pozdrowiła prezydenta.

Najogólniej rzecz biorąc dla Liane i jej córek było to długie i samotne lato. Wszyscy przyjaciele wyjechali z Waszyngtonu na Cape Cod, do Maine czy gdzie indziej, Rooseveltowie jak zwykle przebywali w Campobello, tak że dopiero we wrześniu Liane zobaczyła znajomą twarz. Jednakże przedtem zdarzały się chwile, kiedy zaczynała dochodzić do wniosku, że zwariuje, usiłując zająć córkom czas i równocześnie odwrócić myśli od Nicka. Każdego dnia na nowo ogarniało ją pragnienie, aby mimo przysięgi milczenia, którą sobie złożyli, zadzwonić do niego lub napisać. Zamiast tego co kilka tygodni otrzymywała list od Armanda... List, który nie mówił właściwie nic, ponieważ większa część była zaczerwioną przez faszystowskich cenzorów. Dlatego też Liane czuła się tak, jakby wraz z córkami żyła w próżni, i wielokrotnie zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze potrafi to znosić.

Wieści ze świata potęgowały w niej wrażenie, że wyjeżdżając z Europy, przeniosła się na inną planetę: w odległości trzech tysięcy mil szalała wojna, mąż Liane mieszkał w okupowanym Paryżu, Niemcy pustoszyli stary kontynent, tu natomiast ludzie po staremu robili zakupy, jeździli samochodami, chodzili do sklepów, w czołówce waszyngtońskiej gazety ukazał się artykuł informujący, że Tiffany and Co. z Nowego Jorku, znana firma jubilerska, przeniosła się na 57 Ulicę, zmieniając po trzydziestu czterech latach miejsce swej głównej siedziby. Nowy budynek był, jak nazwali to dziennikarze, prawdziwym "cudem z klimatyzacją", która bez względu na panującą na zewnątrz temperaturę pozwalała utrzymać we wnętrzu miły chłód. Mając do czynienia z taką sensacją na pierwszej stronie Liane doszła do wniosku, że albo oszalał świat, albo ona.

Siedemnastego sierpnia Hitler obwieścił rozpoczęcie blokady brytyjskich wód terytorialnych. Armand w liście przekazał tę informację w taki sposób, że cenzorzy niemieccy nie mieli zastrzeżeń, lecz Liane dowiedziała się o tym wcześniej skądinąd, 20 sierpnia zaś przeczytała w gazetach o poruszającym przemówieniu, jakie w Izbie Gmin wygłosił Churchill. Trzy dni później po raz pierwszy zbombardowano Londyn i odtąd noc w noc zrzucano na miasto grad pocisków i bomb, aż londyńczycy zaczęli spędzać więcej czasu w schronach aniżeli w mieszkaniach. Kiedy dla Elisabeth i Marie-Ange rozpoczął się rok szkolny, Anglicy, skoro waliły się domy, a każdej nocy ginęły całe rodziny, podjęli próbę ewakuowania z Londynu przynajmniej dzieci. Z Wielkiej Brytanii wyruszały do Kanady jeden po drugim statki z małymi pasażerami.

W połowie września Liane omal nie rozplakała się z ulgi, słysząc w słuchawce znajomy głos Eleanor: - Tak się ucieszyłam, kiedy w Campobello

dostałam twój list, moja droga. Cóż za upiorną przeprosinę miałas na "Deauville"!

Gawędziły o tym przez chwilę i rozmowa ta na nowo skierowała myśli Liane ku Nickowi. Po odłożeniu słuchawki długo siedziała samotnie w ogrodzie, myśląc o nim i wyobrażając sobie, jak układa mu się życie. Zastanawiała się, jak długo będzie tak odczuwać rozstanie, jak długo będzie się jej wydawać, że z powodu tęsknoty właściwie żyje na niby. Minęły dwa miesiące, odkąd odprowadził ją do pociągu, a przecież wciąż mieszkał w jej sercu. Każdy artykuł, który czytała, każda myśl i każde słowo zdawały się w jakiś niepojęty sposób budzić w jej duszy obraz Nicka. Żyła w swoim prywatnym piekle świadoma, że z Nickiem jest chyba bardzo podobnie. Nie ośmielała się jednak do niego dzwonić; obiecali to sobie i Liane wiedziała, że w tym względzie musi być silna. I była, ale teraz o wiele łatwiej niż kiedyś wybuchała płaczem, córki zaś często stwierdzały, że jest przesadnie wrażliwa. Życzliwa służąca wyjaśniła im, że to z powodu nieobecności ojca i że z mamą znów wszystko będzie w porządku, jak tylko cała rodzina się połączy. Dziewczeta zgodziły się z nią, że wszyscy będą znacznie szczęśliwsi, kiedy wojna dobiegnie wreszcie końca.

Liane nie prowadziła w Waszyngtonie żadnego życia towarzyskiego. Ludzie, którzy w dawnych czasach zapraszali ją tak ochoczo, teraz nie mieli pewności, czy powinni to czynić; była kobietą samotną, a to stwarzało nader kłopotliwą sytuację. Wszyscy wprawdzie obiecywali, że umówią się już zaraz, natychmiast, ale nikt się z takiej obietnicy nie wywiązał. Wyjątkiem była Eleanor, która w ostatnim tygodniu września zaprosiła Liane na kolację w rodzinnym gronie. Liane nie posiadała się z radości, gdy podjechawszy taksówką pod Biały Dom, ujrziała znajomą bramę. Tęskniła za sensowną rozmową z kimkolwiek i pragnęła usłyszeć z ust Eleanor najnowsze wojenne wieści. Bezgranicznie delectowała się tą wizytą aż do chwili, gdy po kolacji, odprowadziwszy Liane na stronę, Franklin oświadczył:

- Słyszałem o Armandzie, moja droga. Jest mi bardzo, bardzo przykro...

Serce w Liane niemal zamarło. Co słyszał? Jaką informację, której jeszcze nie znała? Czy Niemcy w końcu splądrowali Paryż, czy Armand zginął? Czy do Stanów dotarła jakaś poufna wiadomość, o której ona nie miała pojęcia? Pobladła ze strachu, a prezydent dotknąwszy jej ramienia dodał: - Rozumiem teraz, dlaczego go porzuciłaś.

- Ależ nie porzuciłam go... Nie w takim sensie... - Zmieszana patrzyła na Roosevelta. - Wyjechałam, bo Paryż znalazł się pod okupacją i Armand uznał, że w Stanach będę bezpieczniejsza. Zostałabym z nim, gdyby mi pozwolił.

Twarz prezydenta stężała. - Czy zdajesz sobie sprawę, że on współpracuje z Petainem, a zatem kolaboruje z Niemcami?

- Ja... tak... Ja wiedziałam, że zamierza zostać w Paryżu...

- Czy rozumiesz, co to znaczy, Liane? - przerwał jej Roosevelt.

- Ten człowiek jest zdrajcą Francji.

Jego słowa zabrzmiały jak podzwonne dla Armanda i Liane poczuła, że jest bliska łez. Jak miała bronić męża? Nie mogła przecież powiedzieć wszystkiego, co wie, nawet prezydentowi. Nic nie mogła zrobić, aby oczyścić imię męża. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że te nowiny dotrą do Stanów. Bezradnie spojrzała na prezydenta.

- Francja jest pod okupacją, panie prezydencie. To nie są... normalne czasy. - Jej głos się jednak załamał.

- Ludzie naprawdę wierni Francji uciekli. Niektórzy przebywają teraz w Afryce Północnej. Oni też zdają sobie sprawę, że ojczyzna jest pod



okupacją, ale przynajmniej nie pracują dla Petaina. Liane, jesteś żoną faszysty! Czy możesz się z tym pogodzić?

- Jestem żoną mężczyzny, którego kocham, którego poślubiłam jedenaście lat temu - sprostowała z godnością, myśląc: "I dla którego zrezygnowałam właśnie z kogoś, kto był mi bardzo drogi".

- Jesteś żoną zdrajcy.

Z głosu Roosevelta wynikało jasno, że etykietkę zdrajcy przypina również Liane. Wszystko było w porządku, dopóki sądził, że rozstała się z Armandem na dobre, skoro jednak upierała się, by trwać u jego boku, była równie winna jak on. Miał to wypisane na twarzy, Liane wyczuła to również w słowach pożegnania.

Eleanor nie zadzwoniła już do Liane, a w ciągu tygodnia w całym Waszyngtonie rozeszła się wieść, że Armand jest zdrajcą, pracuje dla Petaina i faszystów. Ogromnie wstrząsnęło to Liane, zwłaszcza że paru przyjaciół zatroszczyło się, aby jej o wszystkim donieść.

Właściwie nie wiedziała, co przeżywa bardziej - plotki o rzekomej przynależności Armanda do faszystów czy informację, że 2 października U-Booty zatopiły "Cesarzową Brytanii", angielski statek wiozący do Kanady grupę dzieci. Mdlilo ją na wspomnienie "Królowej Wiktorii" i unoszonych na falach zwłok. Teraz w wodzie pływały ciała niewinnych dzieci.

Usiłując uporać się z depresją wywołaną biegiem wydarzeń, a także towarzyszącym jej nieustannie poczuciem utraty, Liane trwała w ciągłym koszmarze. Tonęła. Jakimś cudem przeżywała dzień za dniem, oczekując listów od Armanda i odrzucając telefoniczne propozycje wuja George'a, który ze wszystkich sił skłaniał ją do powrotu do Kalifornii. Potrzeba było zaledwie paru tygodni, aby dotarły doń plotki na temat dziedziczki fortuny Crockettów, która na fasadzie swego domu w Georgetown zawiesiła faszystowską flagę.

- Zawsze ci mówiłem, że ten facet to łajdak! - ryczał w słuchawkę wuj George.

- Nie wiesz, co mówisz, wuju.

- Diabła tam nie wiem! Nie powiedziałaś mi, że właśnie dlatego został w Paryżu.

- Jest wierny Francji. - Zaczynała odnosić wrażenie, że powtarza puste frazesy. Tylko ona i Armand znali prawdę, której nikomu nie mogła wyjawić. Zastanawiała się tylko, czy ta wieść dotarła również do Nicka.

- Chrzanić taką wierność, Liane. Ten facet to faszysta.

- Nie jest faszystą. Francja została zajęta przez Niemców.

- W jej głosie pobrzmiwało bezgraniczne znużenie i Liane była bliska łez.

- Dzięki Bogu, nas nikt nie okupuje. Nie zapominaj o tym z łaski swojej, Liane. Jesteś Amerykanką i najwyższy czas, żebyś wróciła tam, gdzie twoje miejsce, do jasnej cholery. Za długo obracałaś się w kosmopolitycznym towarzystwie i straciłaś poczucie tożsamości.

- Nie, nie straciłam. Jestem żoną Armanda i proszę, żebyś z łaski swojej o tym nie zapominał.

- Może pewnego dnia wróci ci zdrowy rozsądek. Czy czytałaś o wszystkich tych dzieciach, które zginęły na brytyjskim statku? Cóż, Armand jest jednym z ludzi, którzy je zabili.

Te brutalne słowa sprawiły, że Liane aż zeszywniała. Doskonale wiedziała, jak wygląda zatapianie statków.

- Nie waż się tak mówić. Nie waż się!... - rzuciła i drżącą ręką bez

jednego słowa więcej odłożyła słuchawkę.

Uświadomiła sobie, że koszmar dopiero się zaczął i potrwa długo, bardzo długo. Aby jakoś to znieść, co dzień musiała sobie przypominać słowa Nicka: "Silnych ludzi nie można pokonać." Jednakże leżąc samotnie w łóżku w kolejne bezsenne noce powoli przestawała mu wierzyć.

## Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy po powrocie do domu Nick dowiedział się od służącej, że Hillary bawi na Cape Cod, a Johnny jest wciąż w Bostonie, ze sposepniłą twarzą wyprowadził z garażu nie używanego od roku ciemnozielonego cadillaca i pojechał wprost do Gloucester. Dokładnie wiedział, gdzie jest Hillary - domyślił się tego, a kilka dyskretnych telefonów potwierdziło jego przypuszczenia.

Nie zapowiedziawszy telefonicznie swojej wizyty, niczym od dawna oczekiwany gość przybył do imponującej starej posiadłości, pewnym krokiem wszedł po schodach i zadzwonił do drzwi. Była piękna, czerwcową noc, w domu najwyraźniej odbywało się przyjęcie. Drzwi otworzyła służąca w czarnym czepeczku i koronkowym fartuszk. Nieco zdumiał ją posepny wyraz twarzy przybysza, który uprzejmie zapytał, czy mógłby zobaczyć się z panią Burnham będącą, według jego informacji, gościem tego domu. Ze stroju przybysza jasno wynikało, że nie ma zamiaru pozostać na kolacji. Wręczył służącej swoją wizytówkę, a dziewczyna zniknęła na chwilę, po czym wróciła wyraźnie zdenerwowana i poprosiła, by podążył za nią do biblioteki.

Nick zastał tam imponującą panią Aleksandrową Markham, matkę Philipa. Gdy spojrzała nań przez lornion trzymany w upierścienionej dłoni, rozpoznał ją natychmiast. Była ubrana w lodowobłękitną suknię wieczorową, w kolorze niemal identycznym z barwą jej włosów.

- Słucham, młody człowieku. Czego pan sobie życzy?

- Miło mi panią widzieć, pani Markham. Mieliśmy okazję poznać się wiele lat temu. - Nick miał na sobie białe lniane spodnie, nieskazitelnie białą jedwabną koszulę, pulower i muszkę. Bardzo oficjalnie uścisnął dłoń gospodyni i przedstawił się: - Jestem Nicholas Burnham. - Pod warstwą pudru wyraźnie pobladła, ale jej wzrok niczego nie zdradził. - Wiadomo mi, że moja żona spędza tu weekend. To bardzo uprzejme z pani strony, że zechciała ją tu pani gościć - rzekł z uśmiechem. Twardo patrzyli sobie w oczy, świadomi subtelności sytuacji. Nick był zdecydowany toczyć tę grę do końca, zresztą na korzyść starszej pani. - Wróciłem wreszcie z Europy, nieco później niż planowałem. Żona o tym nie wie, uznałem zatem, że przyjadę i sprawię jej drobną niespodziankę. - I aby dowieść, że nie jest złośliwy, dodał: - Chciałbym zabrać ją jeszcze dziś do Bostonu, do syna. Nie widziałem go od września, kiedy zaokrętowałem ich na "Aquitaine".

Starsza pani bez słowa patrzyła nań uważnie. Przez chwilę w bibliotece panowała absolutna cisza.

- Nie przypuszczam, aby pańska żona przebywała u nas, panie Burnham. - Siedziała z wdziękiem i absolutnie spokojnie, przy czym jej wyprostowane plecy nawet przez chwilę nie dotknęły oparcia krzesła, a lornion ani drgnął w dłoni.

- Rozumiem. Być może zatem pani kuzynka była w błędzie. Zadzwoniłem do niej, zanim tu przyjechałem. - Wiedział, jak blisko są ze sobą te dwie

kobiety; były małżonkami dwóch braci. - Wspomniała, że widziała tu Hillary w czasie ostatniego weekendu, a ponieważ żona nie wróciła od tego czasu do domu, wysnułem wniosek, że wciąż u państwa przebywa.

- Naprawdę nie wiem, jak... - Zanim zdołała dokończyć zdanie, do biblioteki wpadł jej syn.

- Mamo, rany boskie, nie musisz... - urwał, ale było za późno.

Zamierzał jej powiedzieć, że nie ma potrzeby zawracać sobie głowy Nickiem Burnhamem. Nick odwrócił się i spojrzał Philipowi w oczy.

- Cześć, Markham. - Po chwili absolutnej ciszy dodał: - Przyjechałem zabrać Hillary.

- Nie ma jej tu. - Markham powiedział to z wyraźnym szyderstwem w głosie, a jego oczy zalśniły kpiąco.

- Tak właśnie twierdzi twoja matka.

W końcu kłam twierdzeniom obojga Markhamów zadała sama Hillary, która nagle pojawiła się w drzwiach biblioteki, ubrana w złoto-białą suknię wieczorową z hinduskiej materii, cieniutkiej jak pajęczyna. Z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami, mocną opalenizną, mrowiem brylantów w uszach i na szyi przyciągała wszystkie spojrzenia. Stała zaskoczona i spojrzała przeciągle na Nicka.

- A więc to jednak ty. Myślałam, że to kiepski dowcip. - Nie uczyniła najmniejszego ruchu, z którego mogłoby wynikać, że zamierza do niego podejść.

- Bardzo kiepski dowcip, moja droga. Albowiem najwyraźniej cię tu nie ma.

Hillary spojrzała kolejno na Philipa i jego matkę, po czym wzruszyła ramionami.

- Mimo wszystko dziękuję wam, ale to bez znaczenia. Owszem, jestem tutaj, i co z tego? Rzecz w tym, po co ty tu przyjechałeś?

- Żeby zabrać cię do domu. Ale najpierw pojedziemy po Johna.

Nie widziałem go od dziesięciu miesięcy, a może już o tym zapomniałeś?

- Nie, nie zapomniałam. - Jej oczy lśniły równie mocno jak kolczyki w uszach.

- A kiedy ty widziałas go po raz ostatni? - Wpił w nią płonące spojrzenie.

- W zeszłym tygodniu - odparła beznamiętnie.

- Jestem pod wrażeniem. Teraz bądź łaskawa spakować swoje rzeczy i pozostawmy tych miłych ludzi ich rozrywkom. - Mówił gładkim, spokojnym tonem, było jednak oczywiste, że od wybuchu dzieli go zaledwie krok.

- Nie możesz ot, tak zabrać jej z tego domu. - Philip Markham postąpił krok naprzód, ale spojrzenie Nicka zatrzymało go w miejscu.

- Jest moją żoną.

Starsza pani obserwowała zajście bez słowa, Hillary potrafiła zresztą sama zabrać głos w swojej sprawie.

- Nigdzie nie jadę.

- Pozwól sobie przypomnieć, że nadal jesteś mężatką. A może w czasie mojej nieobecności złożyłaś pozew o rozwód?

Zauważył, że Hillary i Philip wymieniają krótkie spojrzenie. Nie złożyła pozwu, ale zamierzała to uczynić, a nagle przybycie Nicka mogło opóźnić realizację ich planów. Byli właściwie gotowi ogłosić swoje zaręczyny. Pani Markham nie była tym zbyt uszczęśliwiona. Znała reputację Hillary i nie darzyła jej choćby cieniem sympatii. Powiedziała to zresztą Philipowi. Ta dziewczyna była gorsza od wszystkich jego poprzednich żon i mogła go kosztować majątek.

- Zadałem ci pytanie, Hillary. Czy złożyłaś pozew o rozwód - powtórzył Nick.

- Nie, nie złożyłam. - Pochwycił w jej głosie dawny wyzywający ton. - Ale zamierzam to zrobić.

- Interesująca wiadomość. Na jakiej podstawie?

Posłała mu wściekle spojrzenie. - Porzucenie oczywiście. Miałaś wrócić na święta, a potem w kwietniu.

- Przez cały ten czas, moje biedne kochanie, ty usychałaś z tęsknoty za mną. Zabawne, że nigdy nie otrzymałem odpowiedzi na liczne listy i depesze.

- Nie sądziłam, że może dotrzeć do ciebie poczta... skoro jest wojna i w ogóle... - jej głos się załamał, a Nick wybuchnął śmiechem.

- Cóż, jestem w domu, więc to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Zabieraj swoje rzeczy i wyjeżdżamy. Jestem pewien, że pani Markham ma już zupełnie dosyć naszego towarzystwa. - Zerknął na starszą panią i po raz pierwszy dostrzegł, że się uśmiecha.

- W gruncie rzeczy jestem rozbawiona. To wszystko przypomina angielską sztukę, tyle że jest ciekawsze, bo prawdziwe.

- Jak najprawdziwsze - uśmiechnął się ciepło Nick i zwrócił się do żony:

- Dla twojej informacji podaję, że sprawy, które zatrzymały mnie we Francji tak długo, były związane z obronnością naszego kraju. Poważne kontrakty o niebagatelnym znaczeniu na wypadek, gdyby Niemcy mieli nam bezpośrednio zagrozić. Byłoby ci bardzo trudno przekonać sąd, że zostałaś porzucona. Sądzę, że opowiedziano by się raczej po stronie powodów, dla których pozostawałem poza krajem tak długo.

Słowa Nicka sprawiły Hillary we wściekłość, a i Markham nie wyglądał na zachwyconego. - Sądziłam, że handlujesz z Niemcami. Tak było przecież w zeszłym roku.

- Poniosłem wprawdzie znaczne straty, ale zerwałem wszystkie umowy z Rzeszą, z czego prezydent był bardzo zadowolony, kiedy go o tym powiadomiłem - wyjaśnił Nick, nie wspominając o pomocy dla Polski, która również uradowała prezydenta. - A zatem szach, przyjaciele - uśmiechnął się do obecnych. - Porzucenie wam odpada, a na zdradę małżeńską nie macie dowodów. - Mówiąc to, siłą wyrzucił z myśli wizerunek Liane, chociaż wspominał ją nieustannie, odkąd rozstali się na nowojorskim dworcu. - Obawiam się w związku z tym, że wciąż pozostajemy małżeństwem, które w dodatku ma syna czekającego na rodziców w Bostonie. Chodźmy, zabawa skończona.

Przez dłuższą chwilę stali we trójkę bez słowa, aż wreszcie pani Markham uznała za stosowne włączyć się w przedstawienie.

- Moja droga, idź po swoje rzeczy, proszę. Jak mówi ten pan, zabawa skończona.

Hillary z wyrazem całkowitego zniechęcenia na twarzy popatrzyła najpierw na panią Markham, później na Philipa, wreszcie na Nicka.

- Nie możesz tego zrobić, do jasnej cholery. Nie możesz zniknąć prawie na rok, a potem oczekiwać, że dam się odebrać jak mebel pozostawiony w przechowalni...

Zamachnęła się ręką na Nicka, lecz zdążył przytrzymać jej dłoń, mówiąc pogodnym niewzruszonym głosem:

- Nie tu, Hillary, nie wypada.

Na takie dictum wypadła z pokoju jak burza i dwadzieścia minut później powróciła z dwiema dużymi torbami, swoją służącą i francuskim pudłem. Philip wyszedł za nią z pokoju, pani Markham natomiast poprosiła Nicka,

żeby w czasie ich nieobecności usiadł i napił się czegoś. Obydwoje nalali sobie podwójnego bourbona i Nick przeprosił gospodynię, iż zatrzymuje ją z dala od gości:

- Drobiazg. Właściwie... - uśmiechnęła się - sprawiło mi to satysfakcję. Wyświadcz mi pan wielką przysługę. Bardzo niepokoiłam się o Philipa. - Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrując się w swoje szklanki, wreszcie pani Markham znów spojrzała na Nicka. Doszła do wniosku, że darzy go sympatią. Miał charakter i nie mogła go nie podziwiać za sposób, w jaki radzi sobie z tą latawicą, którą poślubił. - Proszę powiedzieć, Nick... mogę mówić do ciebie Nick?

- Oczywiście.  
- Jakim cudem dałeś się uwikłać w to małżeństwo?  
- Oblędnie się w niej zakochałem, kiedy miała dziewiętnaście lat - wyjaśnił i westchnął na wspomnienie Liane. - Była wtedy bardzo piękna.  
- Nadal jest piękna. Ale to niebezpieczna kobieta. Właściwie nie - zachnęła się. - To nie kobieta. To dziewczyna... Raczej zepsute dziecko. - Pochwyciła spojrzenie Nicka. - Zniszczy mojego syna, jeśli dostanie go w swoje ręce.

- Obawiam się, że zniszczy mojego. - Nick powiedział to bardzo cicho, a pani Markham skinęła głową, jak gdyby jakaś myśl sprawiała jej satysfakcję.

- Nie pozwolisz jej na to. Pamiętaj, nie daj się zniszczyć. Potrzebujesz zupełnie innej kobiety...

Spędzili dwa kwadransy na bardzo dziwnej rozmowie. Na myśl o Liane Nick nie mógł powstrzymać uśmiechu. Była w istocie kobietą zupełnie odmiennego rodzaju. Niemal wyznał pani Markham, że już właściwą dla siebie kobietę znalazł... i zaraz ją stracił, lecz akurat wróciła Hillary z bagażami, służącą, psem i Philipem. Nick podziękował pani Markham za uroczą rozmowę, Hillary zaś pożegnała gospodynię i jej syna, posyłając przy tym mężowi kolejne wściekłe spojrzenie:

- Tylko sobie nie myśl, że ci się udało. Po prostu nie chcę urządzać scen w czasie ich przyjęcia.

- Ach, jakież piękne nowe oblicze. Jakąż okazałaś troskę! - Uścisnął dłoń pani Markham, skinął głową jej synowi, a następnie ujął Hillary pod ramię i wyprowadził z pokoju. Lokaj niósł za nimi bagaże. Kilka chwil później usadowili się w samochodzie, Nick przekreślił kluczyk w stacyjce i ruszyli do Bostonu.

- Tylko pamiętaj, nie ujdzie ci to płazem. - Siedziała wtulona w kął, jak najdalej od Nicka. Jej pies, ciężko ziejący w nagrzanym samochodzie, miał pazurki pomalowane tym samym lakierem, którego używała jego pani.

- Tobie też nie. - Czarujący, starannie modulowany głos, którym Nick konwersował z panią Markham, brzmiał teraz nieco inaczej. - I im wcześniej wbijesz to sobie do głowy, Hillary, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

Wyjechawszy z terenu posiadłości Markhamów, Nick zatrzymał wóz na poboczu i spojrzał na żonę wzrokiem mówiącym jasno, że nie zniesie z jej strony żadnych wyskoków.

- Jesteśmy małżeństwem i mamy syna, którego haniebnie zaniedbujesz - przypomniał. - Ale nie przestaniemy być małżeństwem. I od tej chwili albo zaczniesz się przywoicicie zachowywać, albo przy ludziach będę cię przywoływał do porządku.

- Ty mi grozisz?! - wrzasnęła.

- Dokładnie tak. Porzuciłaś naszego syna na rok, przynajmniej tak słyszałem. Ale to się nigdy nie powtórzy, rozumiesz?! Teraz dla odmiany

będziesz siedzieć w domu jako przykładna matka. A jeżeli tak szaleńczo kochacie się z Markhamem, to świetnie. Za dziewięć lat, jak Johnny osiągnie pełnoletniość, będziesz mogła sobie, do cholery, robić, co ci się żywnie spodoba. Dam ci rozwód. Zafunduję wam nawet wesele. Tymczasem jednak, moja droga, sprawy stoją tak, a nie inaczej. - Zniżył głos. - Przez dziewięć najbliższych lat, czy ci się to podoba, czy nie, będziesz nadal panią Nicholasową Burnham.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci i Hillary wybuchnęła płaczem.

Kiedy dotarli do domu matki Hillary, Nick wysiadł z auta. Nie patrząc nawet na żonę, zadzwonił do drzwi i wpadł do środka, jak tylko je otwarto. Johnny, ubrany w piżamę, był już w swojej sypialni; dopóki z radosnym okrzykiem nie przypadł do ojca, sprawiał wrażenie najbardziej nieszczęśliwego dziecka na świecie.

- Tatusiu, tatusiu... wróciłeś... A mamusia mówiła, że już nigdy nie wrócisz.

- Tak mówiła? - Nick ze zgrozą popatrzył na syna.

- Powiedziała, że bardziej ci się podoba w Paryżu.

- I ty w to uwierzyłeś? - Nick usiadł na łóżku. W oczach jego teściowej, obserwującej tę scenę z korytarza, pojawiły się łzy.

- Właściwie nie - szeptem odpowiedział mały. - A przynajmniej nie wierzyłem, kiedy czytałem twoje listy.

- Czuję się bez ciebie taki samotny, tygrysie. Co wieczór chciało mi się płakać. Nigdy nie myśl, że mógłbym gdziekolwiek być szczęśliwy bez ciebie. Ale już więcej cię nie opuszczę. Nigdy.

- Obiecujesz? - Teraz łzy zaszkliły się również w oczach Johna i Nicka.

- Przysięgam. Przybij piątkę - rzekł wyciągając dłoń.

- To znaczy, że niedługo będę mógł wrócić do domu?

- A ile czasu zajęłoby ci pakowanie?

Twarzyczka Johna zapłonęła radością. - Chcesz powiedzieć, że mogę jechać już teraz? Do naszego domu w Nowym Jorku?

- To właśnie chciałem powiedzieć. - Przepraszająco popatrzył przez ramię na teściową. - Przykro mi, że ci to robię, ale nie przeżyłbym bez niego ani dnia więcej.

- Ani on bez ciebie - odparła ze smutkiem. - Robiliśmy co w naszej mocy, ale... - rozplakała się na dobre i Nick otoczył ją ramieniem.

- W porządku, rozumiem. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się przez łzy i podniosła wzrok.

- Tak bardzo niepokoił się o ciebie, a kiedy Paryż się poddał, myśleliśmy, że wpadłeś w ręce Niemców. - Westchnęła ciężko i wytarła nos. - Kiedy wróciłeś?

- Dziś rano. Na "Deauville".

- Na tym statku, który ratował rozbitków? - Skinął głową.

- Och, mój Boże...

Johnny, który usłyszał kilka słów z rozmowy, zaczął nalegać, aby ojciec opowiedział o wszystkim. Nick ważył w myślach, czy nie powiedzieć, że spotkał na statku córki de Villiersów, ale uznał, że nie powinien tego robić. Nie chciał, by jakiegokolwiek informacji na ten temat dotarły do Hillary.

Opuścili dom pół godziny później pośród łez i obietnic, że będą z babcią do siebie dzwonić i pisać. Johnny był tak uszczęśliwiony, że kiedy z psem w ramionach pakował się do auta, ledwie obejrzał się za babką, która doskonale rozumiała, iż powrót do rodzinnego domu jest dla malca najlepszym

rozwiązaniem.

W samochodzie Johna czekała jeszcze jedna niespodzianka - zobaczył matkę.

- Co tu robisz, mamó? - zdziwił się. - Miałas być w Gloucester.

- Byłam, ale twój ojciec mnie stamtąd zabrał.

- Ale mówiłaś, że będziesz tam trzy tygodnie... - zaczął John, zauważywszy jednak, że matka się zmieszała, szybko zmienił temat.

- Czemu nie weszłaś do domu przywitać się z babcią?

- Nie chciałam zostawiać psa samego w samochodzie, bo w nowym miejscu staje się nerwowy.

To wyjaśnienie zadowoliło chyba Johnny'ego. Nick zauważył, że jego syn przywitał się z matką zaledwie krótkim pocałunkiem. Chłopiec zasnął na długo przedtem, zanim dotarli do Nowego Jorku, Nick zatem zaniósł go na górę, ułożył i na oczach zdumionej służącej otulił kołdrą. Rzeczywiście wrócili do domu, i to wszyscy.

Tej nocy Nick przechadzał się po pokojach, ścierał dłonią grube warstwy kurzu i rozglądał się dookoła, na nowo przywykając do starych kątów. Hillary znalazła go w gabinecie, gdzie siedząc w ciszy, patrzył przez okno na niebo nad Nowym Jorkiem i jasny letni księżyc. Był tak zatopiony w rozmyśleniach, że nie zauważył nawet jej wejścia. Patrzyła na mężczyznę, który kilka godzin wcześniej porwał ją od Philipa Markhama, i nie potrafiła mieć do niego najmniejszych bodaj pretensji. Był dla niej człowiekiem zupełnie obcym. Prawie nie pamiętała, co oznacza związek małżeński z tym mężczyzną. Wydawało się, że minęły stulecia, odkąd się ze sobą kochali. I wiedziała też, że nie będą się kochać już nigdy. Nie przejmowała się tym zresztą wcale. Pamiętała dokładnie, co powiedział jej w aucie, kiedy jechali po Johna. Jeszcze dziewięć lat. Dziewięć... Mimowolnie powtórzyła na głos te słowa, a wtedy Nick odwrócił się i popatrzył na nią.

- Dlaczego błąkasz się po nocy?

- Jest tak gorąco, że nie mogę spać.

Skinął głową. Niewiele już miał jej do powiedzenia. Gdyby stała tu Liane, mógłby przegadać z nią całą noc.

- Johnny się chyba nie obudził, prawda?

Pokręciła głową. - Tylko on cię obchodzi?

- Owszem. Ale przecież nie zawsze tak było i pod pewnym względem ty także nadal mnie obchodzisz. - Obchodziła go o tyle, o ile dotyczyło to ich syna.

Zmiana zakresu była ogromna, z czego oboje doskonale zdawali sobie sprawę.

- Dlaczego chcesz, żebyśmy dalej byli małżeństwem? - spytała, siadając po ciemku na krześle.

- Dla dobra Johna. Potrzebuje i jeszcze długo będzie potrzebował nas obojga.

- Przez dziewięć lat.

- Nie zamierzam się nad tobą pastwić, Hil, dopóki będziesz zachowywać się przyzwoicie. - Chętnie by ją zapytał, jak mogła opuścić syna niemal na cały rok. Z bólem myślał, jak bardzo samotne w owym czasie było ich dziecko. I jak samotny był on we Francji.

- Czy nie pragniesz dla siebie czegoś więcej, Nick? - Stanowił dla niej zagadkę. Nie chciała z nim być, oboje o tym wiedzieli i niczego nie musieli już ukrywać. Wciąż nie mogła uwierzyć, że zmusił ją do powrotu, Nick był jednak silnym mężczyzną. Zbyt silnym, by mogła podjąć z nim równą walkę. Po części właśnie dlatego czasami tak bardzo go nienawidziła.

Popatrzył na nią, zadając sobie niemal dokładnie te same pytania.

- Tak, chcę dla siebie czegoś więcej. Ale jeszcze nie nadszedł na to

czas.

- Może po prostu dotąd nie spotkałeś odpowiedniej kobiety.

Nick nie odpowiedział, toteż przez chwilę Hillary zastanawiała się, czy... Ale nie, to nie leżało w jego charakterze. Wiedziała, że był jej wierny, co nie miało zresztą dla niej żadnego znaczenia, a w gruncie rzeczy nawet ją irytowało.

- Może nie - odrzekł wreszcie i wstał z głębokim westchnieniem. - Dobrej nocy, Hil.

Zostawił ją samą w ciemnościach i poszedł na górę, do pokoju gościnnego, gdzie zanieśono jego rzeczy. Już nigdy nie będą dzielić ze sobą łóża, było to zresztą oczywiste od chwili, kiedy na "Normandie" wyprowadził się do osobnego pokoju. Czasy wspólnej sypialni bezpowrotnie minęły.

Tego lata wynajął dom w Marblehead i w sierpniu wziął urlop, aby spędzić go z Johnnym. Hillary pojawiała się tam i zniknęła. Wiedział, że wciąż romansuje z Philipem Markhamem, lecz niewiele go to obchodziło. Była teraz dużo bardziej dyskretna, a zorientowawszy się, że Nick nie zamierza jej w niczym przeszkadzać, zaczęła zachowywać się w jego towarzystwie nieco uprzejmiej. W jakiś niepojęty sposób Nick wyczuwał, że Philip Markham dobrze na nią wpływa. Byli do siebie niebywale podobni i zastanawiał się, czy to nie Markhamowi zawdzięcza poprawę jej zachowania.

Akcja ratunkowa, godziny przegadane z Liane, chwile wielkiej miłości w maleńkiej kabinie - to wszystko wydawało się teraz odległym snem. Ilekroć spojrzał na syna, pojmował wyraziście, że Liane postąpiła słusznie dając mu wolność, chociaż oboje zapłacili za swoją miłość tak wysoką cenę. Często zastanawiał się, czyby do niej nie zadzwonić i nie zapytać, jak się miewa, powiedzieć, jak bardzo wciąż ją kocha i że będzie ją kochał zawsze... Nie miał przy tym wątpliwości, że wyciągnięcie dłoni, aby ją dotknąć, choćby na sekundę, byłoby okrucieństwem.

Dopiero jesienią posunął się tak daleko, że pewnego wieczoru sięgnął po słuchawkę. Hillary wyjechała na kilka dni, Johnny spał i Nick przez wiele godzin siedział sam w salonie, wspominając dźwięk głosu Liane, miękkość jej skóry, słodczy pocałunków... Pojmował, że nigdy o niej nie zapomni, mimo to powoli odłożył słuchawkę, po czym wyszedł z domu na długi spacer.

Była chłodna, wietrzna wrześnie noc. Nick był pewien, że służące usłyszą Johna, jeśli się obudzi, nie spieszył się więc do domu i przez kilka godzin wędrował ulicami Nowego Jorku. Nie spał jeszcze, gdy o drugiej nad ranem zjawiała się Hillary i usłyszał trzask zamykanych drzwi jej sypialni. Aż za dobrze pamiętał dni, kiedy coś takiego doprowadzało go do szału. Teraz było mu to obojętne. Teraz do szaleństwa doprowadzał go brak Liane.

## Rozdział dwudziesty szósty

Gdy w roku 1940 pod przewodnictwem Petaina utworzono rząd w Vichy, Armand de Villiers zajął w nim wysoką pozycję. Odtąd jego rzekoma zdrada wobec dawnej Francji nie stanowiła już dla nikogo tajemnicy. Liane przywykła do tego, że ludzie jej unikają, że w Waszyngtonie stała się pariasem. Przestała w końcu czekać, aż zadzwoni telefon, aż skądkolwiek pojawi się zaproszenie. Przez wiele dni po prostu siedziała w domu, czekając na powrót dziewczynek ze szkoły. Pod niejednym względem przypominało to dni spędzone



w Paryżu po wypowiedzeniu wojny, gdy Armand do późna przesiadywał w biurze. Ale wtedy wiedziała przynajmniej, że wcześniej czy później, lecz na pewno się pojawi. Teraz tylko Bóg wiedział, kiedy spotkają się ponownie. Czasami się zastanawiała, czy nie postąpiła źle oświadczając Nickowi, że ich związek nie może dłużej trwać. Jakaż wynikłaby z tego szkoda? Komu wyrządziliby krzywdę? Kto by się dowiedział?... No cóż, wiedziałyby ona, po pewnym czasie pewno również jej córki. Kiedyś może Armand. Postąpiła zatem słusznie, mimo to gdy myślała o Nicku, owa słuszna decyzja napępiała ją goryczą. Przez cztery miesiące cierpiała na wspomnienie owych trzynastu cudownych dni na statku, który zygzakowatym kursem zdążył do Ameryki.

Listy Armanda były teraz rzadkie, lakoniczne i często nie podpisane. Wychodziły z Francji tajnymi konspiracyjnymi drogami, docierały do Londynu lub jakiegoś brytyjskiego portu i wędrowały dalej do Stanów frachtowcami, okrętami wojennymi bądź czymkolwiek, co płynęło właśnie w tamtym kierunku. Między jednym a drugim listem upływało niekiedy sporo czasu i Liane zastanawiała się wtedy, czy to ginęli posłańcy, czy też tonęły statki. Trudno było na te pytania znaleźć odpowiedzi, Liane wszakże czuła, że nad głową Armanda wisi nieustannie niebezpieczeństwo. Zajmował teraz tak eksponowane stanowisko, że gdyby jego podwójna gra wyszła na jaw, natychmiast by go rozstrzelano.

"Jesteśmy teraz bardzo zapracowani, najdroższa - pisał. - Próbujemy ratować nie tylko życie ludziom, ale także skarby, które chyłkiem wydostajemy z Luwru i ukrywamy po stodołach, chlewach, stajniach i stogach siana w całej Francji. Będziemy może potrzebować wielu lat, aby je później odnaleźć, pokryte sianem i gęsim łajnem, lecz każde w ten sposób ukryte arcydzieło to jedno mniej, które mogą nam zrabować... Nawet jeden maleńki element historii, zatrzymany w naszych rękach, jest kolejnym zwycięstwem... To samo można zresztą powiedzieć o ludziach, którzy zdołali zniknąć, zanim pozbawiono ich życia. Świadomość, że robimy to wszystko, że można ocalić chociażby jednego człowieka, pozwala mi znieść brak Twojego czułego dotknięcia, Twojej miłości, Twojego uśmiechu..."

Te listy rozdzierały jej serce i skłaniały do rozmyślań, czy to, co robi Armand, jest warte ponoszonego ryzyka. Jeden obraz, jeden posąg, jeden wycinek historii... i to być może za cenę jego życia... Czy Armand naprawdę myśli, że gra jest warta świeczki? A przy tym wyczuwała w jego listach tę samą pełną poświęcenia pasję, którą zawsze okazywał Francji. Ojczyzna była dla niego pierwszą miłością. Miłością większą nad wszystkie inne. Dobrze jej służył w rozmaitych miejscach globu, a teraz usiłował ocalić ją przed tymi, którzy wykrwawioną, martwą i wyciśniętą na wiór, chcieliby porzucić w przydrożnym rowie.

Liane zawsze była pełna podziwu dla zasad stojących za decyzjami Armanda, a przecież teraz, gdy zaczęła dostrzegać, że koleżanki unikają jej córek, znów postawiła znak zapytania nad sensem jego poczynań. Byłoby lepiej, gdyby wyjechał do Afryki Północnej albo z de Gaulle'em do Londynu. Tam mógłby walczyć, tam z otwartą przyłbicą stanąłby w szeregach oddziałów Wolnej Francji, zamiast w kraju bez żadnej dla siebie chwały sabotować faszystów przy każdej okazji udając, że stoi pod sztandarem Petaina. Zdawała sobie sprawę, iż wykonuje zadania znacznie ważniejsze niż ratowanie dziedzictwa kulturowego Francji, skoro jednak - podobnie jak przed upadkiem Paryża - jego usta zamyka pieczęć milczenia, silniejsza nawet tym razem, skoro każde jej naruszenie naraża na niebezpieczeństwo życie wielu ludzi, ona nie jest w stanie ocenić jego prawdziwej udręki, prawdziwych

niebezpieczeństw, którym stawia czoło.

Armand w swoim gabinecie w Paryżu, ozdobionym wiszącą na ścianie flagą ze swastyką, wspominał dotyk dłoni Liane, jej twarz, słoneczną pogodę jej głosu. Wspominał, jak wyglądała mając dziewiętnaście czy dwadzieścia lat... Potem najwyższym wysiłkiem woli usuwał jej wizerunek z myśli i wracał do pracy. Od wyjazdu Liane wychudł na szczapę - z przepracowania, z braku snu, z nieustannego napięcia. Wyjawszy nerwowy tik, który poruszał czasem jednym jego okiem, zawsze wyglądał na człowieka charakteryzującego się kamiennym spokojem. Sprawiał wrażenie, że wierzy w politykę Vichy, i niewzruszenie dźwigał ciężar złożony na jego barki. Jedynym powodem obaw Armanda była świadomość, że czas nie jest jego sprzymierzeńcem. W ciągu dwóch minionych lat postarzał się o piętnaście; lustro nie usiłowało go nawet okłamać. Zbliżały się jego pięćdziesiąte ósme urodziny, a czuł się tak, jakby dobiegał setki. Pociuszająca była tylko świadomość, że gdyby umarł przysłużwszy się Francji, odszedłby z honorem. Miał przy tym całkowitą pewność, że Liane także o tym wie. Raz czy dwa poruszył ten temat w swoich listach: "Si je meurs pour ma patrie, mon amour, je mourrai en paix. - Jeśli umrę za ojczyznę, umrę w spokoju." Ale słowa takie lub podobne sprawiały tylko, że dłonie Liane zaczynały drżeć. Utraty Armanda nie mogła sobie wyobrazić.

Niektóre listy jednak przynosiły anegdoty, relacje z zabawnych, a czasem wręcz groteskowych przygód towarzysza Armanda z Resistance. Czasem myślała z niedowierzaniem o tych relacjonowanych przez Armanda poczynaniach francuskiego Ruchu Oporu. Myślała z niedowierzaniem, że tak rzadko faszyści trafiają na trop bojowników, ale "rzadko" wcale nie oznaczało, iż gra jest bezpieczna. Ryzyko towarzyszyło Armandowi zawsze, znacznie częściej, niż sądziła Liane.

W listopadzie miało miejsce wydarzenie, któreomal nie kosztowało go życie. Dostarczał wówczas sporządzone przez siebie odręcznie kopie ważnych dokumentów. Miał je przyklejone plastrem do piersi, kiedy przy wyjeździe z miasta został zatrzymany przez policję. Wyjaśnił, że udaje się z wizytą do przyjaciela, i oczywiście wylegitymował się dokumentami dowodzącymi, że jest bliskim współpracownikiem Petaina. Niemieccy funkcjonariusze po chwili namysłu pozwolili mu jechać dalej. Dokumenty trafiły do właściwych rąk, ale kiedy tej nocy Armand powrócił do domu, był niemal obezwładniony znużeniem i świadomością, że tym razem wprowadzić się udało, ale następny raz może być ostatnim. Kiedy jednak spojrzął na pustą stronę łoża, które niegdyś dzielił z Liane, pozbył się wszelkich wątpliwości. Nigdy ich zresztą nie miał. "Ca vaut la peine, Liane... ca vaut bien la peine... pour nous, pour la France" - powiedział na głos. To warte trudu... naprawdę warte trudu... dla nas... dla Francji...

Takiego poglądu wszakże Liane nie podzieliłaby tego piątkowego popołudnia w swoim domu w Georgetown. Dziewczynki już przed półgodziną powinny były wrócić ze szkoły, toteż Liane co chwilę niespokojnie zerknęła na zegarek. Pokojówka Martha powtarzała jej, że nie należy się martwić, lecz myliła się, co stwierdziła Liane ujrawszy w końcu dziewczęta. Stały na schodkach prowadzących do drzwi, w potarganych ubraniach, umazane czerwoną farbą i udęczone. Liane słowa nie mogła wykrztusić, prowadząc je do środka. Zapłakana Elisabeth drżała od stóp do głów, ale we łzach jej siostry, Marie-Ange, było coś więcej niż tylko rozpacz - była wściekłość.

- Dobry Boże... co się stało?

Zamierzała je zaprowadzić do kuchni, gdzie mogłaby ściągnąć z nich podarte ubrania, lecz zobaczywszy plecy Marie-Ange, zamarła, jak gdyby wymierzono jej potężny policzek: ujrzała wymalowaną grubymi czerwonymi krechami swastykę. Bez słowa odwróciła Elisabeth - na jej plecach widniało identyczne malowidło. Rozpaczliwie przygarnęła do siebie córki i płacząc tuliła je na oczach Marthy, po której czarnych pomarszczonych policzkach spływały strumienie łez.

- Och, moje maleństwa... Co oni wam zrobili? - Martha delikatnie uwolniła je z objęć matki i zaczęła rozbierać. Dziewczynki zanosily się łkaniem, Liane zaś z całych sił starała się, odzyskać równowagę. Płakała nie tylko z ich powodu, ale też nad sobą, nad Francją, nad Armandem i okropieństwami, przez które wszyscy musieli przechodzić. Znalazła się w punkcie, skąd nie było odwrotu, wiedząc zarazem, iż nie może w nim dłużej pozostać. Nie mogła narażać córek na podobne przejścia. Musiały wyjechać, nie miały żadnego wyboru.

W milczeniu zaprowadziła je do łazienki i napełniła wannę ciepłą wodą. Umyła je starannie, tak że pół godziny później znowu wyglądały jak dawniej, choć Liane zdawała sobie sprawę, że już nie są i nigdy nie będą takie same. Ze zmarszczonym czołem, rozgniewana i wystraszona, cisnęła w kąt poszarpane ubranka. Przyniosła im obiad do pokoju, a potem długo ze sobą rozmawiały. Patrząc na twarz Elisabeth odnosiło się wrażenie, że całe jej dzieciństwo uleciało gdzieś tego popołudnia. W wieku ośmiu lat doświadczyła więcej aniżeli dzieci dwukrotnie od niej starsze. Zaznała cierpienia, poczucia straty i zdrady, jakiej się wobec niej dopuszczono.

- Mówiły, że tatuś jest faszystą... Pani Muldock powiedziała pani McQueen, a ona powiedziała Annie... ale przecież tatuś nie jest faszystą! Nie jest! Nie jest!... - Po czym z troską na buzi zapytała:

- A kto to jest faszysta?

Liane uśmiechnęła się po raz pierwszy tego popołudnia. - Jeśli nie wiesz, kto to jest faszysta, dlaczego jesteś tak zmartwiona?

- Myślę, że to znaczy tyle co bandyta albo człowiek bardzo niedobry.

- Coś w tym rodzaju. Faszyci to bardzo niedobrzy Niemcy. W tej wojnie walczą przeciwko Francji i Anglii, zabili wielu ludzi - wyjaśniła, nie wspominając, że przyczynili się także do śmierci dzieci.

- Ale przecież tatuś nie jest Niemcem. - Cierpieniu widocznemu w jej oczach towarzyszyło teraz wyraźne zagubienie. - I pan Schulenberg z targu mięsnego jest Niemcem... Czy on też jest faszystą?

- Nie, to nie to samo - westchnęła Liane. - On jest Żydem.

- Nieprawda, jest Niemcem.

- Jest i jednym, i drugim, to zresztą nieważne. Faszyci nie lubią Żydów.

- Czy ich zabijają? - wypytywała dalej Elisabeth, a gdy matka przytaknęła, była wyraźnie wstrząśnięta. - Dlaczego?

- Bardzo trudno to wyjaśnić. Faszyci to strasznie źli ludzie, Elisabeth. Niemcy, którzy przyszli do Paryża, to właśnie faszyci. Właśnie dlatego tatuś wyprawił nas z Francji. Chciał, żebyśmy były tu bezpieczne.

Tłumaczyła im to już wcześniej, lecz dopiero teraz jej wyjaśnienia przemówiły do wyobraźni dziewczynek. Dopiero teraz wojna zaczęła ich dotyczyć bezpośrednio. Obawy Elisabeth nie kończyły się jednak na tym.

- Czy zabijają tatusia?

Liane nigdy nie widziała u córek tak szeroko otwartych oczu. Chciała im powiedzieć, że do tego na pewno nie dojdzie, czy jednak powinna mówić coś takiego? Mocno zacisnęła pięści i energicznie potrząsnęła głową.

- Wasz tatuś nigdy do tego nie dopuści. - Zanosila modly, zeby sie nie pomylila, zeby Armand zawsze potrafil przechytryc nieprzyjaciol.

Marie-Ange rozumiala wszakze wiecej niz Elisabeth. Nie tknela posilku, a kiedy kladla sie spac, po jej policzkach znowu poplynely lzy.

- Nigdy, za nic nie wruce do szkoly. Nigdy. Nienawidze ich.

Liane nie wiedziala, co odpowiedziec. Nie mogly nie chodzic do szkoly do konca wojny, ale nie mozna tez bylo narazac dziewczynki na podobne przejscia.

- W poniedzialek porozmawiam z dyrektorka.

- Mozesz rozmawiac, ale i tak wiecej tam nie pojde.

Marie-Ange zostala trwale zraniona. Liane znenawidzila wszystkich, ktorzy wyrzadzili krzywde jej dzieciom.

- A ja bede musiala isc, mamusiu? - spytala Elisabeth z nie skrywanym przerazeniem. Widok cerek w tym stanie rozdzieral serce Liane na strzepy. Dziewczynki, chociaz w rozny sposob, boleśnie przezywaly cos, czego nie byly w stanie pojac. Jak miala im wyjasnic, ze ich ojciec nie jest faszysta, ze nie jest tym, za kogo sie podaje, poplecznikiem Petaina, lecz po prostu podwojnym agentem? Pewnego dnia, kiedy to wszystko sie skonczy, ale kiedy tez bedzie za pozno, byc moze im to powie. Tylko czy wtedy bedzie to mialo jakiegokolwiek znaczenie? Powinny sie dowiedziec teraz, lecz ona musiala milczec.

- Musze isc do szkoly, mamusiu? - zapytala z blaganiem w oczach Elisabeth.

- Nie wiem, zobaczymy.

Przez caly weekend trzymala je przy sobie. Wszystkie trzy byly ciche i przygaszone. Wybraly sie na spacer do parku, potem do zoo, ale zadna z dziewczynki nie doszla do siebie. Sprawialy wrazenie zbitych i to wlasnie w poniedzialek Liane powiedziala dyrektorce szkoly. Dziewczynki pozostaly w domu, ich matka za przed dziewczata zjawila sie w szkole, tak ze kiedy dyrektorka, pani Smith, wkraczala do swojego gabinetu, ona juz na nia czekala. Opisala stan, w jakim wrocily do domu jej corki, opowiedziala, co im zrobiono, na koniec zapytala z rozpacza:

- Jak mogla pani do tego dopuscic?

- Alez ja o niczym nie wiedzialam!...

- To stalo sie tutaj, w szkole. Marie-Ange powiedziala mi, ze zrobilo to siedem dziewczynki z jej klasy. Wziely nozyczki, farbe i zaciagnely do klasy ja i jej mlodsza siostra. Rany boskie, przeciez to jak bandycka sprawiedliwosc w getcie, tylko jeszcze gorsza. Dzieci wymierzaja karę innym dzieciom za cos, czego w ogole nie rozumieja, za cos, z czym nie maja zadnego zwiazku, i to tylko z powodu plotek, ktore rozpowszechniaja ich rodzice.

- Zapewne nie spodziewa sie pani, ze mozemy miec wplyw na krazenie takich plotek? - zapytala z falszywym oburzeniem dyrektorka.

Liane podniosla glos. - Oczekuje, ze bedzie pani chronic moje dzieci.

- Z pozoru mogloby sie wydawac, pani de Villiers, ze pani dzieci doznaja krzywdy od innych dzieci, ale w rzeczywistosci cierpia z powodu pani meza.

- Do diabla, a coz pani moze wiedziec o moim mezu? Jest w okupowanej Francji, codziennie ryzykuje zyciem, a pani mi mowi, ze dzieci cierpia z jego powodu. Przezylyśmy rok w Europie po wypowiedzeniu wojny, bylyśmy tam, kiedy poddal sie Paryz, spedzilyśmy dwa straszne dni na kutrze rybackim, na stosach smierdzacych ryb, zeby doplynac do frachtowca, a potem przez dwa tygodnie uciekalyśmy po Atlantyku rojacych sie od U-Bootow i patrzylyśmy,

jak umierają setki mężczyzn ze storpedowanego statku. Więc proszę nie mówić nic o moim mężu i o wojnie, bo nie ma pani pojęcia ani o jednym, ani o drugim, siedząc na tyłku w Georgetown.

- Ma pani absolutną słuszość - przyznała pani Smith podnosząc się z miejsca.

Liane zaniepokoiło jej spojrzenie. Może posunęła się za daleko, lecz nie jej to w tej chwili nie obchodziło. Miała wszystkiego dość. Waszyngton stał się miastem gorszym aniżeli Paryż - przed okupacją i po wkroczeniu Niemców. Niewykluczone, że działoby się im lepiej, gdyby mieszkały razem z Armandem w okupowanym Paryżu. Liane najchętniej wróciłaby tam przy najbliższej okazji. Oczywiście była to mrzonka, w dodatku Liane wiedziała, że Armand by jej na to pod żadnym pozorem nie pozwolił. W końcu nie po to ryzykowała życiem wracając do Stanów, aby cztery miesiące później uciekać do Europy. Czowała się jak w potrzasku i doprowadzało ją to do obłędu.

Dyrektorka patrzyła na nią z wściekłością, nie próbując nawet ukryć wzgardy i gniewu.

- Ma pani całkowitą słuszość. Nie wiem o wojnie nic, skoro siedzę na tyłku w Georgetown, jak była to pani łaskawa ująć, ale znam dzieci i ich rodziców. Otóż rodzice mówią, a dzieci powtarzają. Mówią zaś, że pani mąż jest członkiem rządu Vichy, że kolaboruje z Niemcami. To żadna tajemnica. W Waszyngtonie wiadomo o tym od miesięcy. Ja się dowiedziałam już w pierwszym tygodniu po powrocie pani córek do szkoły. Wysłuchałam tego z przykrością, bo lubiłam pani męża. Teraz dzieci płacą za jego decyzje, tak samo zresztą jak pani. To nie pani wina, ale fakt jest faktem. Dziewczynki będą musiały się z nim pogodzić. A jeśli nie zdołają, cóż, będą musiały wrócić do Paryża i uczęszczać do szkoły z francuskimi i niemieckimi dziećmi. Toczy się wojna, wiemy o tym my, pani i ja, wiedzą o tym również pani dzieci. I w tej wojnie pani mąż opowiedział się po niewłaściwej stronie, ot co. Podejrzewam, że dlatego właśnie porzuciła pani męża. Chodzą zresztą pogłoski, że zamierza się pani z nim rozwieść. To by niewątpliwie pomogło pani córkom.

Liane zerwała się z płonącym wzrokiem.

- Czy tak właśnie mówią ludzie?

- Tak. Właśnie tak - odparła bez wahania pani Smith.

- To kłamstwo. Kocham męża i całą sobą opowiadam się za wszystkim, co robił i robi. Także teraz, przede wszystkim teraz. Jesteśmy mu potrzebne i on jest nam potrzebny. A Paryż opuściłam tylko dlatego, że Armand chciał mieć pewność, że nie grozi nam niebezpieczeństwo... - Liane wybuchnęła płaczem, tak samo jak przed trzema dniami jej córki, płaczem zrodzonym z wyczerpania nerwowego, poczucia krzywdy i gniewu.

- Pani de Villiers, współczuję pani z powodu tego, przez co musi pani przejść, ale ze słów pani wnioskuję, że cała wasza rodzina okazuje sympatię Niemcom, a za to trzeba zapłacić...

- Nienawidzę Niemców - przerwała jej Liane. - Nienawidzę ich! ... - Podeszła do drzwi i otworzyła je. - I nienawidzę pani. Za to, co pozwoliła pani zrobić moim dzieciom.

- To nie ja pozwoliłam, tylko pani. Pani sama - rzekła lodowato zimnym głosem pani Smith. - I jestem pewna, że i one, i pani będziecie bardziej zadowolone z innej szkoły. Życzę miłego dnia, pani de Villiers.

Liane zatrzasnęła drzwi gabinetu i wyszła na jasne słońce jesieni. W domu dziewczęta czekały na nią, gotując się z ciekawości. Marie-Ange zbiegła po schodach. - Będę musiała chodzić do szkoły?

- Nie, a teraz idź do siebie i daj mi spokój.

Liane poszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, usiadła na łóżku i rozplakała się. Dlaczego to wszystko musi być tak cholernie trudne?... Chwilę później do pokoju weszły córki, nie powodowane zresztą ciekawością, lecz chęcią ulżenia troskom matki. Liane uspokoiła się już trochę, ale oczy wciąż miała czerwone od łez. Była wściekła na Armanda i w ogóle na wszystko. Armand postawił je w nieznośnej sytuacji. Bała się o niego, kochała go, ale zarazem go nienawidziła. Dlaczego, na miłość boską, nie mógł wrócić z nimi do kraju? Nie był to jednak jego kraj, wiedziała o tym dobrze. Jego ojczyzną była Francja, pozostał zatem, aby bronić kraju, który kochał. Tylko że walczył w sposób, którego nikomu nie można było wyjaśnić.

- Mamusiu... - Elisabeth wolno podeszła do łóżka i otoczyła matkę ramionami.

- Tak, najdroższa?

- Kochamy cię. - To wyznanie wywołało u Liane nową falę łez.

- Ja też was kocham. - Spojrzała na Marie-Ange. - Przepraszam, że krzyczałam na ciebie. Wróciłam bardzo zła.

- Na nas? - zaniepokoiła się jej starsza córka.

- Nie, na panią Smith. Ona nie rozumie sytuacji taty.

- Nie potrafiłaś jej tego wyjaśnić? - Elisabeth wydawała się rozczarowana. Lubiała szkołę, chociaż nikt nie zapraszał jej już do zabawy. Lubiała tam chodzić w przeciwieństwie do Marie-Ange. Liane pokręciła głową.

- Nie, nie potrafiłam tego wyjaśnić, kochanie. To zbyt skomplikowane, żeby ktokolwiek zrozumiał.

- No to może jednak będziemy chodziły? - zaproponowała w końcu Marie-Ange.

- Nie, nie będziecie. Znajdziemy wam nową szkołę.

- W Waszyngtonie?

- Nie wiem. - Przez ostatnie pół godziny zadawała sobie to samo pytanie.

- Muszę sobie wszystko przemyśleć.

A potem nadeszło decydujące popołudnie. Liane zobaczyła zapłakaną Elisabeth stojącą przy telefonie w holu.

- Co się dzieje, kochanie? - Podejrzewała, że mała tęskni za przyjaciółmi, o ile jeszcze jakichś posiadała.

- Nancy Adamson powiedziała, że pani Smith rozgłosiła wszystkim, że zostałyśmy wyrzucone ze szkoły.

- Tak powiedziała? - zapytała ze zgrozą Liane. Mała przytaknęła. - Ależ to nieprawda. Powiedziałam jej... - W myślach przebiegła tamtą rozmowę i uświadomiła sobie, że dyrektorka zauważyła, iż jej córki czułyby się lepiej w innej szkole, ona zaś zgodziła się z jej zdaniem. Westchnęła i usiadła na podłodze obok Elisabeth.

- Uznałyśmy, że nie powinniście wracać do szkoły, ale nikt was przecież z niej nie wyrzucił.

- Jesteś pewna?

- Najzupełniej.

- Czy oni mnie nienawidzą?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Liane, aczkolwiek w świetle piątkowych wydarzeń trudno byłoby to udowodnić.

- A czy nienawidzą tatusia?

Liane zastanowiła się chwilę. - Nie, po prostu nie rozumieją, co robi.

- A co robi?

- Usiłuje ocalić Francję, żebyśmy pewnego dnia mogły tam wrócić.

- Dlaczego?

- Dlatego, że właśnie na tym polega praca tatusia. Przez całe życie reprezentował Francję w różnych krajach. Troszczy się o swoją ojczyznę. I teraz pracuje dla Francji w taki sposób, żeby Niemcy nie zniszczyli jej na zawsze.

- To dlaczego wszyscy mówią, że tatuś kocha Niemców? Czy tak jest naprawdę?

Liane była już zmęczona dziecinnymi pytaniami, na każde jednak trzeba było udzielić przemyślanej odpowiedzi. To bowiem, co powie teraz, będzie dziewczętom towarzyszyć przez całe życie. Na zawsze zapamiętają jej słowa. Słowa, które wpłyną na ustalenie poglądów dziewczynek na temat ojca i na temat ich samych.

- Nie, tatuś nie kocha Niemców.

- Czyli ich nienawidzi, tak?

- Myślę, że tata nikogo nie darzy nienawiścią. Nienawidzi tylko tego, co Niemcy wyrządzają Europie.

Elisabeth wolno kiwnęła głową. Taką właśnie odpowiedź pragnęła usłyszeć. Odpowiedź, z której wynikało, że jej tata jest przyzwoitym człowiekiem.

- Rozumiem. - Wstała i powoli poszła na górę, aby odszukać siostrę.

Tej nocy Liane długo się głowiła nad tym, co powinna począć. Musiała bowiem coś zrobić, lecz umieszczenie dziewczynek w jakiegokolwiek innej waszyngtońskiej szkole nie było żadnym rozwiązaniem. Znała już odpowiedzi na swoje pytania, ale postąpienie zgodnie z nimi napawało ją niechęcią. Postanowiła wszystko przespać, nazajutrz jednak odpowiedzi brzmiały dokładnie tak samo. Połączyła się zatem z centralą telefoniczną i zamówiła rozmowę. Czekala aż do południa czasu wschodniego, a zatem do dziewiątej czasu kalifornijskiego. Podniósł słuchawkę natychmiast.

- Liane? Czy coś się stało?

- Nie, wujku, właściwie nie.

- Mówisz, jakbyś była chora, zmęczona czy coś w tym rodzaju.

- George'owi nie brakowało przenikliwości.

W istocie była i chora, i zmęczona, ale nie chciała się teraz do tego przyznać. Musiała wrócić do domu z podwiniętym ogonem, a już samo to było dostatecznie nieprzyjemnym doznaniem.

- Świetnie się czuję. - Postanowiła niezwłocznie przejść do rzeczy. - Czy nadal chcesz, żebyśmy z tobą zamieszkały?

- Oczywiście. - Słyszała zadowolenie w jego głosie. Chcesz powiedzieć, że nareszcie odzyskałaś zdrowy rozsądek?

- Chyba można to tak nazwać. Chcę zmienić szkołę dziewczynkom, a skoro zdecydowałam się na takie rozwiązanie, uznałam, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się przeprowadziły do Kalifornii.

Natychmiast wyczuł, że jej decyzja jest wywołana jakąś niebagatelną przyczyną. Liane była zbyt uparta, aby się poddać, póki nie legnie znokautowana na deskach. A teraz naprawdę została pokonana, i to w znacznie szerszym sensie, niż sądziła.

Uzgodnili co trzeba. Liane przez całą rozmowę z trudem wstrzymywała łzy, ale dziękowała Bogu, że ma dokąd jechać. Przecież mogło być znacznie gorzej. Europa wszak roła się w tej chwili od bezdomnych.

- Wujku...

- Tak, Liane?

- Dziękuję, że pozwalasz nam przyjechać.

- Nie żartuj sobie, Liane. To także twój dom. Zawsze nim był.

- Dziękuję.

Wuj George ułatwił jej, ani słowem nie wspomniał bowiem o Armandzie. Liane natychmiast poinformowała o planach dziewczynki.

Marie-Ange posłała jej dziwne spojrzenie. - A więc uciekamy, mamó?

Było to więcej, niż potrafiła znieść. Czuła się tak wyczerpana, że nie mogła stawić czoła ani jednemu więcej pytaniu.

- Nie, Marie-Ange - odparła głosem, który zdumiał dziewczynkę. - Nie uciekamy. To taka sama ucieczka jak z Paryża. Postępujemy właściwie i we właściwym momencie. Może nie jesteśmy tym zachwycone, ale to najbardziej sensowne rozwiązanie.

Potem kazała dziewczynkom iść się bawić, potrzebowała bowiem trochę czasu dla siebie. Stała w oknie sypialni, obserwując córki. Bardzo dorosły przez ostatnie cztery miesiące. Tak samo zresztą jak ona. Dużo bardziej niż w ciągu całego życia dorastają inni.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Przed wyjazdem Liane zjadła z córkami cichy obiad w Święto Dziękczynienia. Wydawało im się, że przebywają w zupełnie obcym mieście. Nikt do nich nie zadzwonił, nikt nie wpadł, nikt nie zaprosił ich na świątecznego indyka. Jak wiele milionów Amerykanów poszły do kościoła, wróciły do domu, zasiadły do obiadu, ale w gruncie rzeczy czuły się tak, jak gdyby fale morza wyrzuciły je na bezludną wyspę.

W najbliższy weekend spakowały rzeczy, które kupiły po przybyciu do Stanów, i Liane wysłała wszystko pociągiem na Zachodnie Wybrzeże, w poniedziałek zaś same zajęły miejsca w przedziale. Kiedy układały bagaże, Liane przez jedną krótką chwilę pomyślała o Nicku i ich pożegnaniu na nowojorskim dworcu. Od tego dnia upłynęły zaledwie cztery miesiące, Liane wszakże miała wrażenie, że minęło tysiąc lat. Te cztery miesiące były zarówno dla Liane, jak i dla jej córek bardzo długie. Żadna nie opuszczała miasta z żalem. W ogóle powrót do Waszyngtonu był błędem. Armand chciał, żeby od razu jechały do San Francisco, ale Liane przez myśl nawet nie przeszło, jaką cenę będzie musiała zapłacić za współpracę męża z rządem Vichy.

Podróż była równie monotonna co spokojna. Dziewczynki bawiły się i czytały, czasami się kłóciły i w ten sposób dostarczały matce zajęć. Liane jednak przeważnie spała. Czuła się tak, jakby odzyskiwała siły po pięciu pełnych napięcia miesiącach, nie wspominając o jeszcze gorszych wcześniejszych. Właściwie nie toczyły normalnego życia od przeszło roku, a nawet dłużej, od półtora roku, odkąd przybyły do Paryża. I oto nagle znów była zdolna rozluźnić się i wyrzucić z myśli praktycznie wszystko. Dopiero w czasie postojów na stacjach, kiedy do pociągu dostarczano gazety, Liane na powrót uświadamiała sobie, że losy świata toczą się dalej, a nie są to losy spokojne. Anglię bombardowano dniem i nocą, ulice miast zalegały stosy ruin, wciąż ewakuowano dzieci. Churchill zażądał, aby RAF bombardował Berlin, co tylko spotęgowało niemieckie wysiłki zmierzające do zniszczenia Londynu.

We wszystko to jednak było bardzo trudno uwierzyć, gdy pociąg toczył się przez zaśnieżone pola Nebraski albo gdy pasażerowie oglądali wyłaniające się na horyzoncie Góry Skaliste. Kiedy Liane i jej córki obudziły się w



czwartkowy poranek, od San Francisco dzieliło je już tylko kilka godzin jazdy. Pociąg wjechał do miasta od południa, przez najbrzydszą dzielnicę, która ku zdumieniu Liane wciąż wydawała się jej znajoma. Bardzo niewiele zmieniło się w San Francisco, odkąd była tu po raz ostatni przed ośmiu laty, po śmierci ojca.

- Przyjechaliśmy? - z niedowierzaniem zapytała Marie-Ange.

Dziewczynki nigdy nie widziały San Francisco, nie było bowiem powodu, żeby je tu przywozić. Ojciec Liane nie żył, a wuj George jak Cygan zatrzymywał się to w tym, to w innym mieście.

- Tak-uśmiechnęła się Liane. - Ale jest tu dużo ładniej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jedziemy teraz przez niezbyt przyjemną dzielnicę.

- Naprawdę nie jest przyjemna.

Na stacji czekał wuj George z szoferem i samochodem, lincolnem continentalem, w którym Liane z córkami w wielkim stylu dotarły do celu podróży. Wóz został dosyć niedawno sprowadzony z Detroit i na dziewczynkach wywarł ogromne wrażenie. Wtedy też Liane wyczuła ich podniecenie związane z przyjazdem do miasta. Wuj George na powitanie podarował im lalki, znalazłszy się zaś w domu Liane stwierdziła, iż zadał sobie wiele trudu, aby urządzić dla nich pokoje: pełne zabawek i gier, ściany miały ozdobione wielkimi wizerunkami postaci z filmów rysunkowych Walta Disneya. Na Liane czekał w jej pokoju wazon kwiatów. Tutaj nawet w grudniu powietrze było ciepłe, rośliny wciąż zielone, w ogrodach kwitły kwiaty.

- Dom wygląda cudownie, wuju.

George dokonał pewnych zmian po śmierci brata, w sumie były one jednak mniejsze, niż Liane się obawiała. Wszystko było doskonale utrzymane, pozostawało pod opieką skrupulatnie dobranego personelu. Na starość George nieco się uspokoił, rezygnując z szaleńczych przyjęć, które zwykł był wydawać w młodości. Dobrze też prowadził interesy Linii Żeglugowych Crocketta. W pewnym sensie ten powrót do domu okazywał się naprawdę miły: przynosił błogosławioną ulgę po miesiącach wzgardy. Tak przynajmniej sądziła Liane aż do kolacji.

Dziewczęta poszły już spać, a Liane w bibliotece grała w domino z wujem tak samo, jak niegdyś grywała z ojcem.

- I cóż, Liane?... Oprzytomniałaś wreszcie? - zagadnął wuj.

- W jakiej kwestii? - spytała udając, że koncentruje się na grze, lecz w istocie grała na zwłokę.

- Wiesz, o czym mówię. Mam na myśli tego durnia, za którego wyszłaś.

Popatrzyła mu w oczy twardym, zimnym spojrzeniem. - Nie zamierzam z tobą na ten temat dyskutować, wujku. Mam nadzieję, że to do ciebie dociera.

- Nie mów do mnie takim tonem, dziewczynko. Popeliłaś błąd i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Z niczego takiego nie zdaję sobie sprawy. Ten związek trwa jednaście i pół roku i bardzo kocham męża.

- Praktycznie ten facet jest faszystą. A może określenie "praktycznie" jest dla niego zbyt łagodne? Czy naprawdę możesz z nim żyć mając tego świadomość?... - Liane milczała. - Rany boskie, on jest prawie sześć tysięcy mil stąd, a twoje miejsce jest tutaj. Gdybyś wystąpiła teraz o rozwód, uzyskałabyś go bez trudu. Mogłabyś nawet pojechać do Reno i rozwieść się w sześć tygodni. Wtedy wszystkie trzy mogłybyście zacząć nowe życie tam, gdzie jest wasze miejsce.

- Nie tu jest moje miejsce. Przyjechałam tutaj, bo dopóki Francja jest okupowana, nie mam się gdzie podziać. Nasze miejsce jest tam, przy

Armandzie, i zajmimy je, jak tylko skończy się wojna.

- Zwariowałaś.

- Przestańmy roztrząsać ten temat. O pewnych sprawach nie masz pojęcia.

- Na przykład?

- Dajmy temu spokój. - Jak zawsze miała związane ręce i nie była za to wdzięczna Armandowi. Zaczęła się już jednak przyzwyczajać do wymogu życia w milczeniu.

- Bzdury opowiadasz, i to świadomie. Ja wiem naprawdę sporo. Na przykład wiem, co skłoniło cię do ucieczki z Waszyngtonu: dziewczęta zostały wyrzucone ze szkoły, nikt cię do siebie nie zapraszał... Stałaś się pariasem. - Podniosła na niego smutne spojrzenie. Mówił prawdę. - Przynajmniej miałaś tyle rozsądku, żeby przyjechać tutaj, gdzie masz szansę na przyzwoite życie.

- Jeśli przestaniesz nazywać mojego męża faszystą - rzekła ze znużeniem i smutkiem w głosie. - Bo jak nie przestaniesz, stąd też będę musiała uciec, a nie mogę zniknąć co pięć miesięcy. Jeśli będziesz mówił to samo co ludzie w Waszyngtonie, moje córki znów za to zapłacą.

Nie zapytała, skąd się dowiedział, George bowiem miał wszędzie znajomych i współpracowników, poza tym nie miało to żadnego znaczenia. To, co mówił, było prawdą, prawdą jednak były też jej słowa.

- A czego po mnie oczekujesz? Mam powiedzieć, że to miły gość?

- Nie musisz nic mówić, jeśli go nie lubisz. Ale gdybyś się na jego temat wypowiadał, wspomnij moje słowa. Rozplączesz się tak samo jak ja, kiedy dziewczynki wrócą pewnego dnia w podartych ubraniach, wymalowane czerwoną farbą, ze swastyką na plecach. - Przy ostatnich słowach w jej oczach zaszkliły się łzy. Wuj popatrzył na nią ze współczuciem i niedowierzaniem.

- Tak zrobili dziewczynom? - Przytaknęła. - Kto?

- Inne dzieci ze szkoły. Małe dziewczynki z dobrych rodzin. Dyrektorka powiedziała, że nie była w stanie temu zapobiec.

- Zabiłbym babę.

- Ja też, z najwyższą przyjemnością, ale to by nie rozwiązało problemu. Jak była łaskawa to określić, rodzice mówią, a dzieci słuchają. Tak się składa, że w tej kwestii ma całkowitą słuszność. Jeśli zatem ty zaczniesz gadać, wujku, będą gadali też inni i w końcu znowu za wszystko zapłacą dziewczynki.

Przez chwilę milczał, w końcu powoli skinął głową. - Rozumiem. Nie podoba mi się to wszystko, ale rozumiem.

- To dobrze.

Spojrzał na nią z troską. - Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.

- Ja też. - Uśmiechnęła się do niego. Nigdy nie byli sobie bliscy, ale teraz Liane była rada z jego obecności. Dawał jej schronienie, i to w chwili, kiedy rozpaczliwie go potrzebowała. Życie w tym mieście wydawało się tak spokojne i dalekie od wojny, aż odnosiło się wrażenie, że żadnej wojny nie ma. Aczkolwiek nie do końca. Na sprawy świata patrzyło się tu jednak z bardzo odległej perspektywy.

Po tej wymianie poglądów pogawędzili jeszcze trochę na bezpieczniejsze tematy, po czym udali się do swoich pokojów. Położywszy się tego wieczoru do łóżka, Liane zapadła w kamienny sen - po raz pierwszy od dawna.

- Spałam jak zabita - wyznała George'owi rano. Potem, kiedy wyszedł do biura, zatelefonowała pod kilka numerów, które nie należały do żadnego ze starych przyjaciół. Zresztą właściwie nikogo już tutaj nie знаła.

Kwestią szkoły dla dziewczynek zajął się wuj. Szły pod opiekę panny Burke

i zaczynały naukę w najbliższy poniedziałek. Liane myślała jednak o czymś jeszcze i późnym popołudniem zajęła się tą sprawą.

- Co takiego zrobiłaś?! - wykrzyknął skonsternowany wuj George, gdy mu zrelacjonowała swoje działania.

- Powiedziałałam, że znalazłam sobie pracę. Czy to aż takie szokujące?

- Chyba tak... tak. Jeśli tak się palisz do działania, wstąp do jakiegoś klubu kobiecego, organizacji charytatywnej czy czegoś w tym stylu.

- Ależ ja chcę robić coś użytecznego. Zamierzam pracować w Czerwonym Krzyżu.

- Za pieniądze?

- Nie.

- Dzięki Bogu - odetchnął. Tego byłoby już dla niego za wiele.

- Sam nie wiem, Liane... Dziwna z ciebie kobieta. Dlaczego chcesz pracować, i to codziennie?

- A co twoim zdaniem powinnam robić? Siedzieć tutaj i liczyć swoje przepływające statki?

- To nie tylko moje statki, twoje też. Liczenie ich wcale by ci nie zaszkodziło. Wyglądasz na wyczerpaną i jesteś chuda jak szczapa. Dlaczego nie odpoczniesz, nie pograsz w golfa czy w tenisa?

- To mogę robić w czasie weekendów. Razem z córkami.

- Masz nie po kolei w głowie, a jeśli nie będziesz na siebie uważać, na starość po prostu zdziwaczysz - ostrzegł.

W głębi duszy wszakże był z niej dumny, do czego nazajutrz przyznał się w klubie jednemu z przyjaciół. Grali w domino w Pacific Union Club i George, popijając szkocką z wodą sodową, chełpił się bratanicą.

- To diabeł nie kobieta. Inteligentna, opanowana, spokojna, pod wieloma względami przypomina mojego brata. I niesamowicie bystra. Dużo w Europie przeżyła... - Wyjaśnił, iż była na kontynencie w czasie upadku Paryża, lecz pomny na ostrzeżenia Liane, nie wspomniał ani słowem, że jest żoną człowieka, który współpracuje z faszystami.

- Mężatka? - Przyjaciół patrzył na rozmówcę z zainteresowaniem. Po jego oczach George rozpoznał gambit otwarcia. Pragnął pomóc Liane. Rozwazał to przez kilka dni i wymyślił nawet, jak wszystko przeprowadzić.

- Mniej więcej. Żyje w separacji i przypuszczam, że lada moment wybierze się do Reno. Nie widziała go już pół roku... - Przynajmniej to było prawdą.

- I nie ma pojęcia, kiedy go znowu zobaczy. - To także było prawdą. W końcu George rzucił kartę atutową: - Chciałbym, żeby poznała się z twoim synem.

- W jakim jest wieku?

- Ma trzydzieści trzy lata i dwoje uroczych dzieci.

- Tak samo jak Lyman. - Przyjaciół George'a zwycięsko zakończył rozgrywkę w domino i rozparł się w fotelu. - Ma trzydzieści sześć lat, w czerwcu skończy trzydzieści siedem. - Należał ponadto do najlepszych prawników w mieście, a do tego, zdaniem George'a, był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną. Pochodził z dobrej rodziny, ukończył uniwersytet, był szanowany i mieszkał w San Francisco. Idealny partner dla Liane, a jeśli nie przypadnie jej do gustu, znajdzie się mnóstwo innych kandydatów. - Zobaczę, co się da zrobić - oświadczył przyjaciel George'a, Lou. - Może zaaranżujemy małą kolacyjkę?

Nazajutrz George wydał stosowne polecenia swojej sekretarce, a parę dni później zadzwonił pod kilka numerów. Do ofensywy przystąpił tego samego dnia po powrocie Liane z Czerwonego Krzyża. Lubiła tę pracę i dopisywało jej zdrowie, a także humor, otrzymała bowiem list od Armanda, przeadresowany z Waszyngtonu - przyszedł dzień po jej wyjeździe z miasta.

Wydawało się, że u Armanda wszystko dobrze i nie grozi mu większe niebezpieczeństwo, a ta obawa nieustannie spędzała jej przeciw sen z oczu.

- Jak ci minął dzień, wujku? - Pocałowała go w czoło i usiadła, żeby wypić z nim drinka. Życie w San Francisco było tak bez troskie, że szczególnie w chwilach, kiedy rozmyślała o Armandzie żyjącym w ciągłym zagrożeniu, doświadczała poczucia winy. Wiedziała, jaką cenę musi płacić jej mąż za swoje życie, podczas gdy ona mieszka we wspaniałym domu, otoczona służbą, z hojnym wujem pod ręką.

- Nie najgorzej. A tobie?

- Ustalaliśmy plan rozmieszczenia brytyjskich dzieci.

- Szlachetne zajęcie. Jak się mają dziewczynki?

- Promienieją. Odrabiają lekcje na górze. Nie mogą się doczekać ferii świątecznych.

- Wiesz? przysłała mi dziś do głowy pewna myśl. Czy mogłabyś mi pomóc w wydaniu małego przyjęcia? Niegdyś byłeś w tym dobra. Jak mieszkałaś z ojcem.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, które podobnie jak wszystkie inne, wywołało w jej myślach obraz Armanda. Przecież i dla niego organizowała przyjęcia - po śmierci Odile i później, przez jedenaście lat małżeństwa.

- Dziękuję za uznanie, wujku. To była niezła zabawa.

- A więc nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby mi pomóc? Mam pewne zaległości w życiu towarzyskim.

- Nic a nic. Masz jakiś konkretny pomysł?

- Wystarczy nieduża kolacyjka. W przyszłym tygodniu. - Nie powiedział Liane, że wszyscy goście przyjęli już zaproszenie. - Na jakieś osiemnaście osób. Moglibyśmy zamówić orkiestrę i po kolacji potańczyć w bibliotece.

- Potańczyć? To ambitny zamiar jak na "niedużą kolacyjkę".

- Nie lubisz tańczyć?

- Oczywiście, że lubię. - Zapomniała, jak rozrywkowym człowiekiem był wuj George. Ba, nie tylko był, ale zapewne jest nadal. Miał wprawdzie siedemdziesiąt trzy lata, lecz jak na swój wiek był nad podziw dziarski.

Przyszło jej też do głowy, że może pobudki jego działania są niższe, może emabluje aktualnie jakąś panią. - Chętnie ci pomogę. Powiedz tylko, co mam robić.

- Ja zaproszę gości, a ty zajmij się resztą. Kup sobie nową suknię, zamów kwiaty... Wiesz sama zresztą najlepiej, co trzeba zrobić.

Oczywiście, że wiedziała. W dniu przyjęcia osobiście sprawdziła, czy wszystko zostało należycie przygotowane. Cała osiemnastoosobowa grupa gości miała być usadzona przy owalnym stole, przystrojonym imponującymi kompozycjami białych i żółtych róż i białymi świecami w ozdobnych złotych świecznikach. Liane położyła na stole jeden z koronkowych obrusów odziedziczonych po matce, a pozostawionych w rodzinnym domu. Zgodnie z sugestiami wuja zamówiła orkiestrę, która jeszcze przed przybyciem gości cicho grała w salonie nastrojowe tematy. Rozejrzawszy się dokoła Liane uznała, że wszystko jest w porządku. Wtedy dostrzegła, że zza kolumnienki balustrady ciekawie wyglądają główki Marie-Ange i Elisabeth.

- Co tam robicie?

- Możemy się poprzyglądać?

- Ale nie za długo. - Liane uśmiechnęła się i posłała im całusa. Miała na sobie błękitną suknię wieczorową z satyny, dokładnie w kolorze swoich oczu, którą w przeddzień przyjęcia kupiła u Magnina. Włosy zaczesła do tyłu i nareszcie czuła się elegancka.

- Wyglądasz jak Kopciuszek na balu - wyszeptła Elisabeth i Liane wbiegła po schodach, by ucałować córkę.

- Dziękuję, kochanie.

Potem zszedł na dół wuj George, przyszli pierwsi goście i przyjęcie można było uznać za rozpoczęte. Liane uznała, że przebiega gładko. George zajął się usadzaniem przybyłych, jako że znał wszystkich gości. Liane zajęła miejsce pomiędzy dwoma przystojnymi panami; jednym z nich był makler giełdowy Thomas MacKenzie - rozwodnik w wieku około czterdziestu trzech lat, ojciec dwóch synów. Drugim był Lyman Lawson, prawdopodobnie jej rówieśnik, też rozwiedziony, ale dla odmiany ojciec dwóch córek. Kiedy Liane pochwyciła na sobie spojrzenie wuja, nagle wszystko zrozumiała: usiłował poznać ją ze wszystkimi wolnymi mężczyznami w mieście. Poczuli się wstrząśnięta, była wszak mężatką.

Przyjęcie udało się wspaniale, orkiestra znakomicie grała, Liane jednak przeraziła się nieco odkrytymi planami wuja. Przy śniadaniu postanowiła ostrożnie podjąć ten temat.

- No, jak tam, moja droga? Dobrze się wczoraj bawiłaś? - Wuj sprawiał wrażenie osoby niezmiernie z siebie zadowolonej i Liane odpowiedziała mu uśmiechem.

- Doskonale. To był piękny wieczór, wujku. Dziękuję.

- Ależ nie ma za co. Już od dawna powinienem był odwzajemnić kilka zaproszeń. Ale skoro w domu nie było żadnej kobiety... - Usiłował oblec twarz w żałobny wyraz, lecz bez powodzenia. Liane rozśmieszyły jego starania.

- Chyba jesteś mało przekonywający. - Spoważniałym wzrokiem popatrzyła na niego i postanowiła przejść do rzeczy bez ogródek.

- Wujku, czy mogłabym ci zadać śmiałe pytanie?

- To zależy jak śmiałe - uśmiechnął się do bratanicy. Darzył ją coraz większą sympatią. Była wspaniałą kobietą, choć w kwestii wyboru męża nie popisała się zbytnio. To jednak da się naprawić. Wiedział, że powoli wraca jej rozsądek. Była niegłupia, a zatem musiała myśleć o córkach. - O co więc chciałabyś zapytać?

- Nie próbujesz chyba swatać mnie... z... hm... z wszystkimi wolnymi mężczyznami w mieście, prawda?

Na jego twarzy pojawił się wyraz urażonej niewinności, ale George uśmiechnął się pod nosem.

- Czyżbyś wolała żonaty, Liane? - spytał przebiegle. On zawsze wykazywał skłonność do zamężnych kobiet.

- Nie, wuju George. Wolę własnego męża. - Po tych słowach przy stole na chwilę zapadła cisza.

- Nie ma nic złego w tym, że poznasz kilku panów. Nie sądzisz?

- Pytanie to tylko z pozoru było niewinne.

- To zależy od tego, czy ci panowie znają moją sytuację rodzinną. Czy uważają mnie za mężatkę, czy za rozwiedzioną.

- Nie mogę sobie przypomnieć, co dokładnie im powiedziałem.

- Odchrząknął i rozłożył gazetę, Liane jednak delikatnie wyjęła mu ją z dłoni i spojrzała wujowi w oczy.

- Chciałabym otrzymać odpowiedź. Myślę, że to bardzo ważne.

- Ja też tak myślę. Moim zdaniem czas już najwyższy, żebyś rozejrzała się dokoła i przemyślała sobie wszystko. Ten człowiek jest prawie sześć tysięcy mil stąd. Robi Bóg wie co, ale o tym oczywiście nie będziemy rozmawiać, skoro ty sobie nie życzysz. Wiesz jednak, co sobie myślę na ten temat. A

myśle, że tu czekałby cię o wiele lepszy los.

- Nie zgadzam się z tobą - zaprotestowała i natychmiast przyłapała się na myśli o Nicku Burnhamie. Odegnęła ją szybko od siebie, by ponownie stawić wujowi czoło. - Jestem mężatką i zamierzam nią pozostać. Zamierzam również dochować wierności mężowi... - I znów coś błysnęło w jej pamięci, Liane jednak całym wysiłkiem woli odsunęła te myśli. Nie mogła już tego ciągnąć. Marzenia o Nicku Burnhamie prowadziły donikąd.

- To, czy jesteś wierna, czy nie, stanowi wyłącznie twój problem. Pomyślałem po prostu, że nie zaszkodzi, jeśli poznasz kilku obywateli San Francisco.

- I było to bardzo miłe. Natomiast próba zniszczenia mojego małżeństwa nie jest już miła.

- Ależ twoje małżeństwo nie istnieje, Liane - powiedział z taką mocą, aż Liane się przeraziła.

- Istnieje.

- Ale nie powinno.

- Nie masz prawa podejmować za mnie decyzji.

- Ale mam prawo robić wszystko co w mojej mocy, żeby przywołać cię do rozsądku. Trwonisz młodość dla starego głupca, który najpewniej do cna postradał rozum, skoro robi to, co robi. - Liane zacisnęła usta, George zaś mówił dalej: - I ty, do diabła, będziesz idiotką, jeśli nie zrobisz niczego w tej sprawie.

- Dziękuję. - Wstała i wyszła z pokoju z poczuciem winy i karcąc się za niewdzięczność. Wuj miał dobre intencje, lecz żadnego pojęcia o tym, co robi Armand. Ona zaś nigdy nie zdradzi Armanda, nigdy. Nie była debutantką, którą można poddawać próbom na wieczorkach tanecznych.

Nagle poczuła się głupio, że mimowolnie dała się wciągnąć w toczoną przez wuja rozgrywkę. A jeszcze bardziej głupio się poczuła, gdy tego samego dnia po południu do Czerwonego Krzyża zadzwonił Lyman Lawson. Zaprosił ją na kolację następnego wieczoru, odparła jednak, że jest bardzo zajęta. Nie on jeden zresztą zadzwonił - odezwał się też makler giełdowy i Liane z zażenowaniem doszła do wniosku, że wuj starał się przekonać wszystkich, iż jego bratanica jest kobietą wolną. Gdyby oświadczyła teraz, że jest mężatką, jej wuj wyszedłby na łgarza.

Sprawy zaczęły wyglądać jeszcze gorzej, kiedy kilka dni później w gazecie ukazał się artykuł o przybyłej z Waszyngtonu uroczej bratanicy George'a Crocketta, którą wojna rozdzieliła z mężem i która zamieszkała w San Francisco. Artykuł informował nawet, że owa dama w najbliższej przyszłości zamierza odwiedzić Reno i pozostać tam przez sześć tygodni.

- Wuju, jak mogłeś?! - Stała na środku biblioteki, wymachując gazetą.

- Nic im nie powiedziałem. - Nie sprawiał wrażenia stropionego. Był przekonany o słuszności swoich poczynań.

- Ależ musiałeś coś powiedzieć. Poza tym Lyman Lawson znów dzisiaj do mnie dzwonił. Do licha, co mam im powiedzieć?

- Że któregoś dnia chętnie zjesz z nimi kolację.

- Ale ja nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Na pewno wyszłoby ci to na dobre.

- Jestem mężatką! Mężatką!!! Nie rozumiesz?!

- Znasz moje zdanie na ten temat, Liane.

- I ty znasz moje. Jak byś wyjaśnił dziewczynkom, że zdradzam ich ojca? Spodziewasz się, że po prostu zapomną o jego istnieniu? Sądziś, że ja mogłabym zapomnieć?...

- Mam nadzieję, że z czasem tak właśnie się stanie.

Nie wiedziała, jak rozwiązać ten konflikt. Wuj wieczorami zapraszał gości, wpadał ze znajomymi na drinka, porywał Liane z Czerwonego Krzyża na lunch z przyjaciółmi. Niedługo przed świętami nabrała przekonania, że zna już każdego wolnego mężczyznę w mieście i żaden z nich nie postrzega jej jako kobiety zamężnej. Byłoby to może zabawne, gdyby nie doprowadzało jej do szału. Szukała ucieczki w pracy i w towarzystwie córek, unikała też jak mogła zaproszeń.

- Kiedy zamierzasz wyjść w końcu z tego domu, Liane? - zaatakował kiedyś wuj George w czasie wieczornej gry w domino.

- Jutro, jak pójdę do pracy - odparła, zamachawszy rękoma.

- Miałem na myśli wyjście wieczorne.

- Jak skończy się wojna i wróci mój mąż. Czy twoim zdaniem jest to termin dostatecznie bliski, czy też chcesz, żebym wyprowadziła się natychmiast? - krzyknęła na niego, czując jednocześnie wyrzuty sumienia z tego powodu. - Błagam cię, wujku, zostaw mnie w spokoju. To ciężki okres dla nas wszystkich, nie pogarszaj go. Wiem, że masz dobre intencje, ale nie zamierzam umawiać się z synami wszystkich twoich przyjaciół.

- Powinnaś dziękować Bogu, że chcą się z tobą umawiać.

- A to dlaczego? Dla nich jestem po prostu dziedziczką Linii Żeglugowych Crocketta.

- I to cię odstręcza? Zapewniam, że widzą w tobie coś więcej. Jesteś piękną i cholernie inteligentną kobietą.

- Dobrze już, dobrze. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że jestem mężatką. W końcu ich rozmowę mimochodem usłyszały dziewczynki.

- Dlaczego wuj chce, żebyś umawiała się z innymi panami?

- Bo oszalał - warknęła i zaczęła przebierać się do pracy.

- Naprawdę? - zainteresowała się Marie-Ange. - Chcesz powiedzieć, że jest stetryczwały?

- Nie, chcę powiedzieć... Na miłość boską, dajcie mi spokój! - Właściwy problem polegał na tym, że od dwóch tygodni nie dostała od Armanda listu i odchodziła od zmysłów z obawy, że coś mu się przydarzyło. Tym lękiem nie mogła się jednak podzielić z córkami.

- Posłuchajcie, wujek George chce dobrze, a sprawa jest zbyt skomplikowana, żebyście zrozumiały. Najlepiej zapomnijcie o wszystkim.

- To co? Będiesz się spotykać z innymi panami? - spytała wyraźnie zatroskana Marie-Ange.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. Jestem żoną waszego tatusia.

- Wydawało się jej, że przez ostatnie dni powtarza tę kwestię w nieskończoność.

- Na statku bardzo cię lubił pan Burnham. Czasem tak na ciebie patrzył... jak na skarb.

Dzieci wszystko zauważą, pomyślała Liane, przestała się ubierać i popatrzyła na córkę.

- To bardzo miły człowiek - powiedziała. - W pewnym sensie on też stał się dla mnie skarbem. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale to wszystko. No i on też jest żonaty.

- Nie, wcale nie jest.

- Ależ oczywiście, że jest. - Dzień się właściwie nie zaczął, a Liane już czuła zmęczenie. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy nareszcie wyjdzie z domu. - Poznałyście jego żonę w zeszłym roku na "Normandie". Bawiłyście się z jego synem, Johnem.

- Pamiętam, ale przeczytałam wczoraj w gazecie, że się rozwodzi.
- Naprawdę? - Serce Liane zamarło na chwilę. - Gdzie?
- W Nowym Jorku.
- Pytam, gdzie przeczytałaś. - Szukając wieści o wojnie, przebiegła wzrokiem tylko pierwszą stronę, tym bardziej że spieszyła się do pracy.
- Nie wiem. Pisali, że strasznie się ze sobą pokłócili i że pan Burnham wystąpił o rozwód, i że chce zatrzymać swojego syna, i że ona mu nie pozwala.

Liane zdrętwiała. Dzięki pomocy służącej odnalazła gazetę. Marie-Ange miała słuszość; wszystko to rzeczywiście napisano w artykule na stronie trzeciej. Wedle doniesień Nicholas Burnham wdał się ze swoją żoną w ostry konflikt. Hillary Burnham i Philip Markham wywołali skandal w Nowym Jorku, Burnham wystąpił więc o rozwód, wymieniając Markhama jako przyczynę. W dodatku domagał się opieki nad synem, trudno jednak było przewidzieć, czy odniesie w tej sprawie sukces.

Już w pracy Liane czuła ogromną pokusę, by zadzwonić do Nicka, lecz jak zwykle odłożyła słuchawkę, zanim wykręciła numer. Nawet jeśli on się rozwodzi, ona pozostaje w swoim związku. Z jej punktu widzenia nic się nie zmieniło. Nic. Nawet uczucia do Nicka. Ani do Armanda.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia Nick Burnham wkroczył do biura swojego adwokata.

- Czy jest pan umówiony z panem Greerem, sir? - zapytała sekretarka.
- Nie, nie jestem.
- Pan Greer rozmawia teraz z klientem i obawiam się, że potem udaje się do sądu.
- Poczekam.
- Ależ nie mogę... - zaczęła wypowiadać rytualną formułę, pochwyciwszy jednak jego spojrzenie, niemal cofnęła się o krok. Był przystojnym mężczyzną budzącym zaufanie, lecz teraz sprawiał wrażenie człowieka, który najlżej nawet sprowokowany, gotów jest zabić. Nigdy nie spotkała się z osobą tak rozwścieconą. - Czy wolno wiedzieć, z kim mam przyjemność?
- Nick Burnham.

Znała to nazwisko, zniknęła więc natychmiast, a dziesięć minut później, po wyjściu poprzedniego klienta, wprowadziła Nicka do gabinetu Bena Greera.

- Cześć, Nick. Co u ciebie?
- W porządku. Mniej więcej.
- Och, chłopie... - Greerowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby pojąć, że Nick przeżywa kłopoty. Oczy miał podkrążone, a szczęki zaciskał tak mocno, że niemal widać było, jak bezskutecznie próbuje przełknąć wściekłość.
- Miałbyś ochotę na drinka?
- Wyglądam aż tak kiepsko? - Rozluźnił się odrobinę, usiadł w fotelu i zdobył się na zmęczony uśmiech. - Chyba rzeczywiście sprawy nie układają się najlepiej.
- Tak też mi się wydaje. W przeciwnym razie nie zaszczyliłbyś mnie wizytą. W czym mogę ci pomóc?
- Zabij moją żonę - powiedział takim tonem, jakby rzucał dowcip, ale Ben Greer wcale nie miał pewności, czy to tylko żart. Widywał już męskie twarze



o podobnym wyrazie, pamiętał też taki przypadek w swojej karierze, kiedy bronił klienta w sprawie o morderstwo, zamiast być jego rzecznikiem w sprawie rozwodowej. Nick westchnął głęboko, opadł na oparcie fotela i zmierzwił dłonią włosy. Potem smętnie popatrzył na Greera. - Wiesz, starałem się utrzymać nasze małżeństwo, chciałem, żeby przetrwało jeszcze z dziesięć lat, ale to na nic. - Historia ich konfliktu nie była w Nowym Jorku tajemnicą i Greer też ją dobrze znał. - Kiedy w lipcu wróciłem z Europy, wyraźnie dałem jej do zrozumienia, że chcę ten związek utrzymać. Ale potem... - szukał właściwych słów. - Przerodziło się to w małżeństwo z rozsądku, mimo wszystko ja obstawałem przy swoim. Dla dobra dziecka... - Greer skinął głową. Takich opowieści wysłuchiwał tysiące. - Romansowała wtedy z Philipem Markhamem. Trwało to mniej więcej od roku. I wyraźnie dałem jej do zrozumienia, że ma wolną rękę, ale nigdy nie zgodzę się na rozwód. I wiesz, co ten sukinsyn wczoraj zrobił?

- No?... Gadaj.

- Przystawił spulnę do głowy mojego syna!... Jak wróciłem z pracy, Markham siedział w salonie, granitowo spokojny, i trzymając rewolwer przy głowie Johnny'ego, oświadczył, że jeśli nie zwrócę wolności Hillary, zabije mojego syna. - Nick opowiadał tę historię z pobladłą twarzą. Prawnik zmarszczył czoło. Wyglądało to naprawdę dramatycznie.

- Czy broń była naładowana?

- Nie, ale wtedy tego nie wiedziałem. Zgodziłem się na rozwód... on opuścił broń... - Nick zamyślił się, zaciskając dłonie w pięści.

- I co potem?

- Dopieprzyłem mu. Ma złamane trzy zębra, rękę i wybite dwa zęby. Hillary wyprowadziła się wczoraj wieczorem. Usiłowała zabrać Johna, ale powiedziałem, że jeśli kiedykolwiek go dotknie albo pojawi się w domu, zabiję ją i Markhama. I na Boga, mówiłem poważnie.

- Cóż, masz zatem podstawy do wystąpienia o rozwód. Sądysz, że potrafiłbyś dowieść jej niewierności?

- Bez najmniejszego trudu.

- Tylko na jakiej podstawie miałbyś się domagać opieki nad synem?

- Potrzeba czegoś więcej?... Przecież groził bronią mojemu dziecku!

- Broń nie była naładowana. I zrobił to Markham, a nie twoja żona.

- Ale ona brała w tym udział. Siedziała tam sobie i spokojnie pozwoliła mu na to wszystko.

- Przypuszczalnie wiedziała, że broń nie jest naładowana. Przyznaję, że to kiepski dowcip, ale nie daje podstaw do wystąpienia o opiekę nad dzieckiem.

- Ale taką podstawę dają wszystkie inne fakty. Hillary jest beznadziejną matką, Johnny jej w ogóle nie obchodził i nie obchodzi. Jak była z nim w ciąży, chciała zrobić skrobankę. Traktuje go jak powietrze. Kiedy po wybuchu wojny utknąłem w Europie, na dziesięć miesięcy podrzuciła go swojej matce i aż do mojego powrotu nie widywała się z nim prawie wcale. To wyrodna matka. Wyrodna, słyszysz?

Nick mówił w gorączce, chodząc w tę i z powrotem po gabinecie. Nie należało słuchać Liane. Powinien był już przed pół rokiem rzucić Hillary i wystąpić o opiekę nad dzieckiem. Nie zrobił tego jednak i przez to stracił również Liane. Gdyby był wolny, kto wie, jak by się wszystko potoczyło? Mimo upływu czasu utratę Liane odczuwał z nie słabnącą mocą.

- Czy ona jest skłonna zrezygnować z opieki nad synem?

Nick oderwał myśli od Liane i pokręcił głową. - Boi się, co będą mówić

ludzie, jeśli zrezygnuje z syna. Boi się, że uznają ją za dziwkę i pijaczkę... A chociaż jest i dziwką, i pijaczką, za nic nie przyzna się do tego przed całym miastem. A zresztą co za różnica, do cholery, skoro sypiała tu z wszystkimi facetami? - Ostatnimi czasy wszakże było inaczej, Nick musiał to przyznać. Hillary była wierna Markhamowi, choć własnego męża zdradzała na potęgę.

- Czeka cię ciężka walka, Nick. Przy takich dowodach rozwód to drobiazg, zwłaszcza jeśli Hillary rzeczywiście go chce, ale z opieką nad dzieckiem będzie duży problem. Przysięgli zazwyczaj opowiadają się po stronie matki, o ile nie jest chora psychicznie i leczona w zakładzie zamkniętym. Nawet jeśli, jak to ująłeś, jest pijaczką albo dziwką, to prawdopodobnie nie wystarczy. Sądy żywią głębokie przekonanie, że opiekę nad dziećmi powinny sprawować kobiety, nie mężczyźni.

- Ale nie w tym wypadku.

- Być może masz słuszość, tylko że będziemy musieli tego dowieść. Czeka nas wstrętna walka. Będziesz musiał wygrzebać każdą grudkę błota, jaką uda ci się znaleźć. Naprawdę chcesz wciągać w to syna?

- Nie chcę. Ale jeśli będę musiał, zrobię to. Jeśli mi powiesz, że nie mam wyboru, rozpoczniemy kampanię obrzucania błotem i będziemy ją ciągnąć w nieskończoność. Przez wszystkie te lata dostarczyła mi ogromnej ilości amunicji. Zamierzam teraz zużyć całą, do ostatniego pocisku. W końcu idzie o dobro Johnny'ego.

Greer skinął głową. Lubił trudne sprawy. - Być może masz słuszość, że ona w gruncie rzeczy nie chce chłopca. W takim razie na pewno ostatecznie da za wygraną.

- Może... - przytaknął Nick, aczkolwiek nie sądził, żeby do tego doszło.

- A tymczasem potrzebuję nakazu sądowego zabraniającego Markhamowi zbliżania się do mojego syna.

- Gdzie jest teraz chłopiec?

- Wciąż w naszym mieszkaniu. Zabroniłem służącej wpuszczać Hillary, gdyby przyszła po swoje rzeczy. Sam odeślę je do domu Markhama.

- Ma prawo widywać się z dzieckiem.

- Do diabła z prawem. A przynajmniej tak długo, dopóki sypia z facetem, który przytknął mu broń do głowy.

- Chodziło mu o to, żeby wyrzucić na tobie wrażenie - rzekł spokojnie Greer, lecz Nick był za bardzo zdenerwowany, aby słuchać rozsądnych argumentów.

- Owszem, i wiesz co? To wywarło na mnie wrażenie... To jak, bierzesz tę sprawę czy nie?

- Biorę. Chciałbym tylko jedną kwestię postawić jasno. Nie mogę gwarantować wyniku, Nick.

- Nieważne. Postaraj się najlepiej, jak możesz.

- A będziesz się stosował do moich poleceń?

- Jeśli uznam je za sensowne. - Uśmiechnął się i Greer zza biurka pogroził mu palcem. - W porządku, w porządku. Jak długo to potrwa twoim zdaniem?

- Mógłbyś się zgodzić na jej wyjazd do Reno po rozwód. W ten sposób zajęłoby to raptem sześć tygodni. Ale sprawa o opiekę może potrwać długo.

- Jak długo? Nie chciałbym, żeby to wisiało nad Johnem. Ani nade mną.

- Może rok.

- Jasny gwint!... Ale jeśli wygram, ona zniknie z jego życia na dobre, tak?

- Możliwe. Mógłbyś też próbować ją przekupić.
- Nick pokręcił głową. - To się nie uda. Ma fundusz powierniczy na sześć milionów dolarów, a i Markham jest wart kupę forsy.
- Więc odpada. Pozostaje nam wygrać w uczciwej walce.
- Ale gdybyś nie mógł wygrać uczciwie, oszukuj. - Na usta Nicka wypłynął uśmiech, który Greer po chwili odwzajemnił.
- Podsuń mi tylko pomysł, a na pewno go wykorzystam. Tak czy inaczej, jeszcze dziś załatwię ci nakaz, o który prosisz. - Zerknął na zegarek. - Za pół godziny powinienem być w sądzie. Musimy się spotkać i zaplanować naszą kampanię. Co powiesz o przyszłym tygodniu?
- Nick sprawiał wrażenie rozczarowanego. - A nie dałoby się szybciej?
- Sprawa trafi na wokandę nie wcześniej niż za sześć miesięcy.
- Dobra. Ale Ben... - przeciągle popatrzył na adwokata. - Zapamiętaj jedno.
- Co mianowicie?
- Ja zamierzam wygrać.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nick nie widział Hillary przez kilka dni, a kiedy zjawiała się wreszcie w mieszkaniu, już na nią czekał. Weszła używając swojego klucza, w porze gdy Nick zwykle był w pracy, i na palcach pobiegła na górę. Nick podejrzewał jednak, że Hillary tak właśnie postąpi, toteż od jej odejścia nie chodził do biura. Wszelkie telefony przyjmował w domu, nie puszczał też Johnny'ego do szkoły. Chłopiec był w swoim pokoju, kiedy Hillary otworzyła drzwi. Nick w okamgnieniu znalazł się za nią.

- Wynoś się z tego domu.

Podskoczyła, usłyszawszy jego głos za plecami, odwróciła się i wtedy Nick zobaczył jej pobladłą wystraszoną twarz. Najwyraźniej bała się, że ją uderzy.

- Przyszłam po mojego syna. - Usiłowała zachowywać się nonszalancko, ale dygotała na całym ciele. Potem zwróciła się do Johna. - Pakuj się, idziesz ze mną.

Chłopiec pytająco spojrzął na ojca.

- Johnny, proszę zaczekać w moim gabinecie, chcę porozmawiać z twoją matką.

- Pakuj się - powtórzyła Hillary bliska hysterii.

Nick przeszedł przez pokój, wziął przestraszone dziecko za rękę i wyprowadził je do holu.

- Tatusiu, czy ona mnie zabierze?

- Nie, nie zabierze, wszystko będzie dobrze. Jest po prostu zdenerwowana. A teraz zaczekaj na dole. Bądź grzecznym chłopcem.

- Odprowadził wzrokiem syna idącego po schodach, po czym zawrócił do pokoju Johna, gdzie Hillary wrzucała do walizki jego rzeczy. - Nie marnuj czasu, Hil. Zaraz wzywam policję. Niech cię wyrzucą stąd na zbitą twarz. Chyba że wyjdiesz natychmiast i oszczędzisz mi fatygi?

- Nie możesz tu przetrzymywać mojego dziecka. Zabieram je ze sobą. - Odwróciła się z ogniem w oczach.

- Jesteś dziwką. Nie zasługujesz na to, żeby być jego matką.

- Z rozmachem wymierzyła mu policzek. Nick przytrzymał jej rękę.

- A teraz wynoś się z mojego domu. Wracaj do tego sukinsyna, bo ja cię tu nie chcę.

Hillary patrzyła na niego z bezsilną wściekłością. Wiedziała, że przegrywa tę potyczkę. Ale wiedziała też, że wygra następną. Bez względu na wszystko. Wygra.

- Mój syn należy do mnie.

- W żadnym razie, skoro żyjesz z facetem, który przytknął mu rewolwer do głowy, aby wymusić na mnie zgodę na rozwód. Wnioskuje, że otrzymaliście nakaz sądowy.

Skinęła głową. - Markham dostał go wczoraj rano.

- To dobrze, a teraz wynoś się stąd, zanim wezwę gliny.

- Nie odbieraj mi syna, Nick... - Zmieniła taktykę na proszącą i Nick musiał się z całych sił hamować, żeby jej nie uderzyć. Pchnął drzwi i zaczął, aż Hillary wyjdzie z pokoju.

- Dotąd nie chciałaś go nigdy i nie widzę powodu, dla którego teraz miałoby się coś zmienić.

- Jeśli go nie dostanę, moje imię zostanie zmieszane z błotem - rozpląkała się.

Matka Philipa już teraz sprawiała im poważne kłopoty. Markham przepuścił większość swojego majątku na cztery poprzednie żony i matka była mu potrzebna, aby wykupywać jego długi i w przyszłości pozostawić w spadku fortunę. Zapowiedział Hillary, że musi dostać chłopca, w przeciwnym bowiem razie Bóg jeden raczy wiedzieć, co sobie pomyśli mamusia. Musi go dostać, bez względu na wszystko. I Hillary obiecała, że się postara. Znała jednak Nicka, a patrząc nań teraz jasno pojęła, że sprawa będzie trudna.

- Wynoś się.

- Kiedy będę mogła się z nim zobaczyć?

- Jak sprawa stanie przed sądem.

- To znaczy?

- Może latem przyszłego roku.

- Zwariowałaś?! Do tego czasu nie będę mogła zobaczyć swojego dziecka?

Nie było to zgodne z tym, co powiedzieli Nickowi adwokaci, ale nie przejmował się tym ani trochę. Nie zamierzał dopuścić tej kobiety w pobliże Johna. Wciąż dygotał z wściekłości na wspomnienie chwili, kiedy Markham trzymał lufę rewolweru przy głowie chłopca, a Hillary siedziała obok jakby nigdy nic. Mogła wprawdzie wiedzieć, że broń nie jest naładowana, lecz na pewno nie wiedział o tym Johnny. Był przerażony, miał śmiertelnie bladą twarz i oddychał z najwyższym trudem. Na myśl o tym w Nicku budziło się pragnienie zamordowania żony.

- Po tym, co zrobiłaś, nie zasługujesz na to, żeby go kiedykolwiek zobaczyć.

- Gówno zrobiłam - wrzasnęła. - Philip po prostu chciał cię przestraszyć.

- Gratulacje, udało mu się. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

On jest idealnym partnerem dla ciebie, Hil. Bardzo żałuję, że nie spotkaliście się wcześniej. - Chwycił ją za ramię, wyciągnął do holu i pchnął w kierunku schodów. - A teraz wynoś się, zanim cię stąd wykopię.

Przez chwilę patrzyła na niego dziwnym wzrokiem; gdyby zrealizował swoją groźbę, mimowolnie poszedłby jej na rękę. Przytrafiła się jej ciąża, którą chciała usunąć. Philip przysiągł jej na wszystko, że znajdzie kogoś, kto przeprowadzi zabieg w New Jersey, bo tak samo jak ona - nie chciał dziecka. Gdyby jednak nie trafił na osobę godną zaufania, uznał, że powinni wziąć ślub, i to jak najszybciej. Stąd wziął się pomysł z bronią: musieli się

pobrać, zanim jego matka coś wywęszy.

- Nick, jeśli będziesz mi groził, Philip cię zabije.

- Niech tylko spróbuje.

Posłała mu wściekłe spojrzenie i ruszyła ku drzwiom. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś był to jej dom. Nie odczuwała z nim żadnego związku, zawsze zresztą tak było. Do Nicka nie żywiła nigdy nawet cząstki tego uczucia, którym teraz darzyła Philipa. Doszedłszy do drzwi wyjściowych, odwróciła się i twardo spojrzała na męża.

- Nigdy nie wygrasz przed sądem tej sprawy, Nick. Nigdy. Johna oddadzą mnie, zobaczysz.

- Po moim trupie.

- Och... - uśmiechnęła się słodziutko. - To doprawdy urocza perspektywa.

Kiedy wyszła, Nick odnalazł w bibliotece Johna popłakującego cichutko na sofie. Usiadł obok syna i czule pogłodził go po głowie.

- W porządku, tygrysie. Już dobrze.

Johnny odwrócił się do ojca. - Nie chcę mieszkać z nią i z tym panem.

- Chyba nie będziesz musiał.

- Jesteś pewien?

- Prawie. To potrwa, ale wygramy. Pójdziemy do sądu i pokażemy im, co potrafimy. - Pochylił się i pocałował chłopca w głowę.

- A po zimowych feriach, przyjacielu, wrócisz do szkoły i wszystko będzie po staremu. Z jednym wyjątkiem: będziemy się rządzić we dwóch. Bez mamy.

- Myślałem, że ten pan chce mnie zabić.

Nick zacisnął zęby. - Ja bym jego zabił, gdyby tylko spróbował.

- Później zmusił się do uśmiechu. Wiedział, że wraz z synem muszą sobie ułożyć w miarę normalne życie. - Nic podobnego nigdy już się nie zdarzy.

- A jeśli wrócą?

- Nie mogą.

- Dlaczego?

- To zbyt skomplikowane, żebyś zrozumiał, ale z grubsza wygląda to tak, że Markham otrzymał od sądu zakaz zbliżania się do ciebie.

Tego samego popołudnia, kiedy Johnny bawił się w swoim pokoju, Nick poczynił pewne nowe kroki. W nowojorskim wydziale policji wynajął mianowicie trzech ochroniarzy, by na zmianę czuwali nad nim przez całą dobę. Zawsze jeden miał towarzyszyć chłopcu - w mieszkaniu, w szkole, w parku. Mieli się stać cieniami Johna.

Nazajutrz z uczuciem ulgi Nick przeczytał w rubryce towarzyskiej nowojorskiej gazety, że Hillary i Philip udali się do Reno. Zaraz po wydarzeniu z bronią adwokat Nicka powiadomił Hillary, że jej mąż godzi się na rozwód w Reno, co oznaczało, iż będzie on całkowicie legalny. Hillary zatem nie traciła czasu. Spieszyła się, aby uzyskać rozwód i poślubić Philipa Markhama.

Nick miał więc powód do radości. Była to Wigilia i chciał ten wieczór spokojnie spędzić z Johnnym. Zjedli kolację w domu, a w pierwszy dzień świąt poszli pobawić się do parku. Nick kupił Johnny'emu rower, piłkę i narty. Chłopiec wypróbował narty na małym pagórku pokrytym śniegiem. Ochroniarz przyglądał mu się z uśmiechem na twarzy. Johnny był miłym dzieciakiem, a Nick dobrym ojcem. Ochroniarz miał nadzieję, że Nick wygra tę sprawę. A tymczasem z całą pewnością nikt Johnowi nie zagrozi.

- Wesołych świąt, wujku. - Liane wręczyła mu wielką paczkę.

George zdumiony podniósł wzrok. Siedzieli wokół choinki ustawionej w bibliotece na dole. W tym domu nie stawiano choinki od lat, ale George pragnął, aby dziewczynki miały tego roku piękne święta.

- Nie powinnaś kupować mi prezentów. - Zrazu zakłopotany, otworzył paczkę i z zadowoleniem wyjął z niej jedwabny granatowo-bordowy szlafrok. A do tego skórzane ranne pantofle. Liane pokpiwała niewinnie ze znoszonego stroju, którego używał jej wuj, on zaś odpowiadał, że ma go od czterdziestu lat i niezmiernie lubi. Od dziewczynek dostał nowy zegarek kieszonkowy, który dostarczył im co najmniej tyle samo radości co obdarowanemu. Liane pomogła im wybrać go u Shreve'a. Poza tym w szkole wykonały dla wuja inne drobne podarki - popielniczki, ozdoby choinkowe, a Elisabeth odcisk swojej dłoni w glinie. Te święta sprawiły, że w oczach George'a zakręciły się łzy. Liane była bardzo zadowolona, że chociaż raz mogły coś zrobić dla wuja, który dla nich uczynił tak wiele.

Zjedli w domu obiad świąteczny, później zaś pojechali obejrzeć udekorowane miasto. Już siedząc w samochodzie Liane zdała sobie sprawę, że niepokoi się o Armanda i zastanawia, w jakim nastroju spędza święta jej mąż w Paryżu. Podejrzewała, że w ponurym, przepelnionym tęsknotą za nią i dziewczynkami. Po raz pierwszy od jedenastu lat spędzali Boże Narodzenie osobno. Liane z tępych bólem w piersi tłumiła pragnienie, aby znaleźć się przy Armandzie.

Kiedy zatrzymali się obok Świętego Franciszka na herbatę, wuj George spostrzegł wyraz jej oczu i także poczuł smutek. Chciał, żeby Liane zapomniała o mężu, żeby poznała kogoś innego, wiedział jednak, że w czas Bożego Narodzenia pamięć o mężu wróci do niej ze zdwojoną siłą.

- Wujku, wujku, popatrz!... - Dziewczynki oderwały uwagę obojga od tych rozmyślań. Odkryły ustawiony we foyer olbrzymi marcepanowy dom. Był tak wielki, że mogły wejść do środka, a pokrywał go tysiące cukiereczków i tony waty cukrowej. - Patrzcie!

Liane z uśmiechem stanęła obok córek, myślami jednak była bardzo daleko. Od wielu już dni prześladował ją ciągły niepokój o Armanda.

- Monsieur de Villiers?

Podniósł spojrzenie znad biurka. Był wigilijny wieczór, ale Armand nie miał powodów, aby zrobić sobie wolny dzień. Kilka innych osób także stawiało się w biurze. Panowała w nim od tygodni atmosfera pełna napięcia. W ciągu ostatnich miesięcy Ruch Oporu tak bardzo wzmógł aktywność, iż ludzie Petaina musieli wkładać wiele trudu w uprzedzanie jego poczynań. Niemcom cała ta sytuacja nie wydawała się zabawna. Aby zaakcentować swoje niezadowolenie, przed dwoma dniami urządzili pierwszą publiczną egzekucję: Jacques Bonsergent został rozstrzelany za "akt przemocy wobec oficera armii niemieckiej" i Paryż pograżył się w żałobie, której nie pomniejszyło nawet złagodzenie rygorów godziny policyjnej z okazji Bożego Narodzenia. Zezwolono, aby kawiarnie były tej nocy otwarte do 2.30 nad ranem, ruch miejski natomiast miał prawo bytu do trzeciej. Po rozstrzelaniu Bonsergenta nikt nie chciał jednak korzystać z tej swobody, wyjąwszy oczywiście Niemców.

Silny chłód, który tego roku panował w Paryżu, korespondował z nastrojem Armanda. Kiedy siedział za biurkiem, rozmyślając o Liane i córkach, jego palce były zdrętwiałe z zimna.

- Widział pan to? - Gorliwy młody asystent Armanda ze wzdrganą wreczył mu arkusik papieru. Była to gazetka zatytułowana "La Resistance" i datowana na 15 grudnia 1940 roku. Obwieszczała, że jest pierwszym wydaniem jedynej w swoim rodzaju biuletynu, publikowanego przez Narodowy Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, i że prezentuje wydarzenia "tak, jak się naprawdę rozgrywają", w przeciwieństwie do propagandy rozpowszechnianej przez siły okupacyjne. Biuletyn donosił o demonstracjach studenckich, które miały miejsce w listopadzie i doprowadziły do zamknięcia 12 listopada Sorbony, sygnalizował także wzmożoną aktywność podziemia. Teraz, czyli w grudniu, Ruch Oporu miał się wyraźnie wzmocnić. "Bądźcie mężni, przyjaciele - pisano w gazecie. - Pokonamy zdrajców i szkopów. Francja przetrwa mimo wszystko... Niech żyje de Gaulle!"

Armand przeczytał tekst żałując, że nie może pokazać gazetki Liane. Nie ośmieliłby się przesłać jej w liście, który mogliby przechwycić Niemcy, bał się też zatrzymać ją przy sobie. Oddał zatem biuletyn asystentowi zastanawiając się, co porabia Jacques Perrier. Latem wyjechał do Mers-el-Kebir w Algierii, gdzie zebrali się wierni de Gaulle'owi Francuzi. Tam właśnie flota francuska poniosła poważne straty w sprzęcie i ludziach - zginęło około tysiąca osób. Armand dowiedział się przed paroma miesiącami, że Jacques Perrier żyje. Miał nadzieję, iż jego były sekretarz przetrwa tę wojnę. Nowy natomiast wyczekująco patrzył teraz na szefa, czyhając na jego reakcję.

- To niewiele warte, niech pan się nie przejmuj - rzekł Armand.

- Świnie!... Nazywają się prawdziwą prasą.

Dzięki Bogu choć za to, pomyślał Armand, zastanawiając się równocześnie, dlaczego ten młody człowiek darzy Niemców aż taką sympatią. Możliwość pracowania dla Armanda, który pełnił funkcję łącznika pomiędzy ekipą Petaina a władzami okupacyjnymi, wprawiała go niemal w ekstazę. Od kolaborującej z faszystami administracji oczekiwano, że będzie meldować o kolekcjach dzieł sztuki, które miały być przekazywane Niemcom, o Żydach zamykanych następnie w gettach oraz o członkach Ruchu Oporu. Była to praca niezmiernie wyczerpująca, toteż Armand wyglądał z dnia na dzień gorzej, chociaż właśnie ten niewdzięczny obowiązek pozwalał fałszować informacje, ukrywać skarby kultury i uprzedzać zagrożonych, że powinni uciec na południe Francji. Młody człowiek, który wręczył Armandowi gazetkę, stanowił największą przeszkodę w realizacji tych planów. Był aż nadto sumienny. Na przykład teraz, mogąc spędzić święta z rodziną lub narzeczoną, wychodził ze skóry, aby zaimponować Armandowi.

- Czy nie chciałby pan już pójść do domu, Marchand? Robi się późno.

- Wyjdę z panem, monsieur - uśmiechnął się. Lubił Armanda, w jego mniemaniu był to wielki człowiek w służbie Francji, w niczym nie przypominający owych zdrajców, którzy wraz z de Gaulle'em uciekli do Afryki Północnej. Gdyby jednak mógł w tej chwili odczytać myśli Armanda i odkryć utajone w jego duszy uczucia, zdradzałby ze zgrozy. Lata spędzone w dyplomacji dobrze jednak przysłużyły się Armandowi. Zawsze był czarujący, spokojny, kompetentny i błyskotliwy. Oto dlaczego Petain potrzebował go tak bardzo i dlaczego naczelne dowództwo niemieckie darzyło go sympatią, nie mając jednak absolutnej pewności, czy może mu ufać bezgranicznie. Liczył, że zdobędzie takie zaufanie, lecz tymczasem nie mógł się nim pochwalić. Rząd Petaina był wciąż jeszcze zbyt młody, w dodatku tworzyli go Francuzi. Mimo wszystko niewątpliwie Armand był człowiekiem bardzo Niemcom potrzebnym.

- Zostanę pewnie jeszcze kilka godzin, Andre.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Nie chciałby pan spędzić w domu przynajmniej paru chwil w świętą? -

Przepracowali tu cały dzień i młodzieniec doprowadzał już Armanda do szału.

- Święta są dużo mniej ważne niż to wszystko.

A cóż tak ważnego robili? Studiowali nie kończącą się listę nazwisk ludzi podejrzanych o pochodzenie żydowskie, prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego, Żydów w połowie i Żydów w jednej czwartej. Jak domniemywano - ukrywających się gdzieś na przedmieściach. To zajęcie przyprawiało Armanda o mdłości, lecz jego asystent je uwielbiał. Armand kiedy tylko mógł, pomijał całe grupy nazwisk albo palił listy w kominku w swoim gabinecie.

Wreszcie zdesperowany Armand postanowił iść do domu. Nie miał już nic do zrobienia i nie mógł dłużej nie przyjmować do wiadomości tego, iż mieszkanie, do którego musi wrócić, jest ciche i puste. Podrzucił Marchanda pod jego dom w VII arrondissement i jak zwykle tęskniąc aż do bólu za Liane i dziewczynkami, udał się na Place du Palais-Bourbon.

- Dobrej nocy, dziewczynki. - Liane pocałowała córki w sypialni. -

Wesołych świąt.

- Mamusiu... - Kiedy zgasło ostatnie światło, Marie-Ange uniosła głowę z poduszki i Liane zatrzymała się w drzwiach.

- Tak?

- Kiedy ostatnio miałaś wiadomości od tatusia?

Liane poczuła ostre ukłucie smutku i tęsknoty.

- Jakiś czas temu.

- Jak on się ma?

- Doskonale. I bardzo za wami tęskni.

- Czy mogłabym czasami popatrzeć na jego listy?

Liane zawahała się, zanim skinęła głową. Listy zawierały wiele rzeczy, którymi z nikim nie chciała się dzielić, ale w końcu dziecko miało prawo do chociaż takiej formy kontaktu z ojcem. Armandowi brakowało ciągle czasu i papieru, by często pisywać do córek, albowiem większość energii i myśli poświęcał Liane.

- Mogłabyś.

- Co tatuś pisze?

- Że nas kocha, oprócz tego opowiada o wojnie i o tym wszystkim, co się dzieje.

Marie-Ange skinęła głową i na ile można się było zorientować w słabym blasku światła padającego z korytarza, odetchnęła z ulgą.

- Tutaj w szkole nikt nie mówi, że tatuś jest faszystą.

- Bo nie jest - odparła ze smutkiem Liane.

- Wiem. - I po krótkiej przerwie dodała: - Dobranoc, mamusiu. Wesołych świąt.

Liane zawróciła i raz jeszcze ucałowała córkę. Marie-Ange miała prawie jedenaście lat i dorastała bardzo szybko.

- Bardzo cię kocham. - Musiała przełknąć ślinę, aby powstrzymać łzy. - Tatuś też.

Liane spostrzegła, że oczy córki są wilgotne.

- Mam nadzieję, że wojna szybko się skończy. Tak za nim tęsknię. -

Załkała. - I nienawidziłam... kiedy... nazywano go... faszystą...

- Cichutko, kochanie... cii... my znamy prawdę i tylko to się liczy.

Marie-Ange skinęła głową, przytuliła się do matki, a potem z westchnieniem opadła na poduszkę. - Chciałabym, żeby już wrócił do domu.



- Wróci. Musimy się tylko modlić, aby stało się to jak najszybciej. A

teraz śpij już.

- Dobranoc, mamusiu.

- Dobranoc, kochanie.

Cicho zamknęła drzwi i poszła do siebie. Dochodziła ósma wieczorem, zatem prawie piąta nad ranem w Paryżu. W domu przy Place du Palais-Bourbon Armand leżał w łóżku, pogrążony w głębokim śnie człowieka skrajnie wyczerpanego. Śnił o swojej żonie i córkach.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

W grudniu Roosevelt zrobił sobie dwutygodniowe wakacje i pojechał na ryby na Morze Karaibskie, skąd przywiózł rewolucyjny pomysł - program Lend-Lease dla Anglii. Był to system, dzięki któremu Ameryka mogła za darmo zasilać Wielką Brytanię rzeką amunicji i środków bojowych, w zamian za co zyskiwała prawo korzystania z brytyjskich baz marynarki wojennej od Nowej Fundlandii po Amerykę Południową. Program ten pozwalał Stanom Zjednoczonym zachować neutralność, a jednocześnie udzielać Anglikom znaczącej pomocy. Najprościej rzecz ujmując - pod koniec 1940 roku Ameryka wreszcie wycofała się z rezerwy wobec wydarzeń w Starym Świecie. Teraz wszyscy już się zgadzali, że Hitler stanowi śmiertelne zagrożenie dla Europy, podziw zaś dla Brytyjczyków sięgnął szczytu. Byli mężnym, szlachetnym narodem walczącym o życie. Dochodzące z Londynu apele Churchilla nie odbijały się już o ścianę milczenia: "Dajcie nam narzędzia, a my skończymy pracę..." 6 stycznia Roosevelt wygłosił w Kongresie przemówienie. Dzięki Lend-Lease pragnął dostarczyć Brytyjczykom "narzędzi". Po tym wystąpieniu rozpętała się dwumiesięczna dramatyczna debata, która trwała jeszcze, gdy 8 lutego Hillary Burnham powróciła z Reno jako kobieta stanu wolnego.

Przez sześć tygodni mieszkała z Markhamem w hotelu Riverside i jak wszystkie inne kobiety po uzyskaniu rozwodu wrzuciła do rzeki Truckee złotą obrączkę, którą dostała od Nicka. Pierścień z brylantem - również podarunek od niego - postanowiła zachować i sprzedać po powrocie do Nowego Jorku. Miała jednak i inne, ważniejsze plany. Usiłowała zobaczyć się z Johnnym pod szkołą, lecz pełniący służbę ochroniarz nie dopuścił do tego. Udała się więc bez uprzedzenia do biura Nicka i mimo protestów sekretarki wdarła się do środka. Stała w drzwiach, ubrana w nowe sobolowe futro, błyskając pierścieniem z brylantem w kształcie gruszki. Klejnot ów nie umknął uwadze Nicka.

- A więc wielki człowiek pracuje - rzekła Hillary z przekąsem. - Audiencję u ciebie trudniej jest uzyskać niż u samego Pana Boga.

Była bardzo pewna siebie, jadowna i niewiarygodnie piękna, Nick wszakże był niewrażliwy na jej wdzięki. Uniósł spojrzenie znad biurka, jak gdyby przybycie Hillary wcale go nie zaskoczyło.

- Cześć, Hillary. Czego sobie życzysz?

- Krótko mówiąc, mojego syna.

- Strzelaj dalej. Może będziesz miała więcej szczęścia.

- Tak właśnie sądzę. Co to za osiłek, który sterczy nad nim jak kwoka?

Oczy Nicka błysnęły nieprzyjemnie. - Wnioskuje, że próbowałaś się już z nim zobaczyć.

- Masz słuszność. Johnny jest także moim dzieckiem.

- Już nie jest. Powinnaś była o tym pomyśleć dawno temu.  
- Nie możesz liczyć na to, że machniesz różdżką, a ja zniknę, Nick. Nadal jestem matką Johna.

Nick podniósł się z miejsca i przeszedł przed biurko, patrząc na byłą żonę bezwzględny wzrokiem.

- To dziecko nie obchodzi cię ani trochę - wysyczał.

Mylił się jednak. Obchodziło ją. Miała brać ślub 12 marca, pani Markham zaś nie szczędziła komentarzy na temat skandalicznego konfliktu pomiędzy Hillary a Nickiem. Życzyła sobie, by Hillary uzyskała opiekę nad synem, co mogłoby zapobiec dalszym skandalom.

Razem z Philipem narozrabiali już dostatecznie wiele, żyjąc ze sobą bez ślubu.

- Wychodzę za mąż za pięć tygodni i chcę mieć Johnny'ego.

- Po co? Żeby ludzie nie gadali? Idź do diabła.

- Należy do mnie. Kochamy go, Philip i ja.

- A to niespodzianka. - Nick oparł się o biurko. Nie chciał zbliżyć się do żony. Odnosił wrażenie, że emanuje z niej trucizna.

- O ile sobie przypominam, mówimy o tym samym facecie, który przyłożył spluwę do głowy mojego dziecka.

- O Boże. Przestań już o tym gadać.

- To ty przysłaś się ze mną zobaczyć, a nie odwrotnie. Jeśli nie podoba ci się to, co mówię, wynoś się z mojego biura.

- Nie wyjdę, dopóki nie pozwolisz mi zobaczyć się z synem.

A jeśli nie pozwolisz... - Jej oczy płonęły. - Dostanę nakaz sądowy i będziesz musiał się zgodzić. - Philip przedstawił jej już swoich adwokatów. Hillary przypadł do gustu ich styl postępowania. Byli parą bezwzględnych łajdaków.

- Doprawdy? Cóż, może po prostu poproś swojego adwokata, żeby skontaktował się z moim. I niech przedyskutują to między sobą. Mogłabyś dzięki temu oszczędzić na taksówce.

- Stać mnie na to.

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Ale twojego narzeczonego nie stać.

Podobno skończyła mu się forsa i żyje z kieszonkowego wydzielanego przez mamuszkę.

- Ty gnoju... - Trafiał w czuły punkt Hillary. Ruszyła do drzwi i pchnęła je z rozmachem. - Skontaktują się z tobą moi prawnicy.

- Przyjemnego ślubu...

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Nick sięgnął po telefon, by zadzwonić do Bena Greera.

- Wiem, że ci się to nie spodoba, ale musisz pozwolić jej na widzenie z synem. Czuwają przy nim ochroniarze, więc nic mu nie grozi.

- Ale on nie chce się z nią widzieć.

- Nie może o tym decydować.

- A kto tak powiedział?

- Prawo stanu Nowy Jork.

- Mam to gdzieś.

- Nick, bądź rozsądny i pozwól jej zobaczyć się z Johnnym. Może straci dla niego zainteresowanie po paru spotkaniach, a ty dzięki takiej decyzji na pewno zyskasz w oczach sądu. Naprawdę powinieneś to przemyśleć.

Nick zastanowił się co prawda, ale wciąż trwał przy swoim, kiedy spotkał się z Greerem w jego biurze.

- Wiesz, że jeśli nie wyrazisz zgody, Hillary uzyska nakaz sądowy i

wymusi na tobie widzenie z chłopcem?

- Tak właśnie mówiła.

- No i mówiła słusznie. Nawiasem mówiąc, kto ją będzie reprezentował?

- Chyba adwokaci Markhama, Fulton i Matthews. - Greer zmarszczył brwi. - Znasz ich?

Skinął głową. - Są twardzi. Bardzo twardzi.

- Twardsi niż ty? - Nick uśmiechnął się, ale poczuł niepokój.

- Mam nadzieję, że nie.

- Masz nadzieję?!... Kretyńska odpowiedź. Dasz im radę czy nie?

- Być może, bo już ich rozkładałem. Ale oni też przyłożyli mi kilka razy.

Że też Hillary musiała sobie wziąć najgorszych sukinsynów w mieście!

- To było do przewidzenia. Co teraz?

- Pozwól jej zobaczyć się z chłopcem.

- Rzygać mi się chce na tę myśl.

- Jeszcze bardziej będzie ci się chciało rzygać, jeśli cię do tego zmuszą.

- No dobrze - zgodził się w końcu.

Tego samego popołudnia polecił sekretarce zadzwonić do Hillary i wyznaczyć jej termin spotkania z synem pod koniec następnego tygodnia. Liczył, że ma zaplanowany na ten czas wyjazd, ale zgodziła się i o umówionej godzinie zjawiała się w mieszkaniu. Nick polecił ochroniarzowi wezwać policję, gdyby wraz z Hillary przyszedł Markham, on jednak miał dość rozumu, aby się nie pokazywać w domu Burnhama. Hillary w granatowym kostiumie i futrze z norek, które swego czasu dostała od Nicka, wyglądała skromnie i smutno.

Nick pracował na dole w swoim gabinecie, a przed pokojem dziecięcym siedział ochroniarz, który miał nie dopuścić do zamknięcia drzwi. Nie była to pod żadnym względem łatwa wizyta. Wychodząc Hillary ocierała oczy i całowała Johna na pożegnanie.

- Do rychłego zobaczenia, skarbie.

Po jej wyjściu stało się jasne, że matczyne łzy wprawiły chłopca w rozterkę i zakłopotanie.

- Tatusiu, ona mówi, że co wieczór długo płacze przed zaśnięciem.

Wyglądała naprawdę smutno...

Johnny również sprawiał wrażenie głęboko zasmuconego, kiedy pokazywał ojcu prezenty od matki - kask do baseballa, parę pistoletów-zabawek, wielkiego misia, na którego był zdecydowanie za duży, i miniaturową kolejkę. Hillary nie miała pojęcia, czym bawi się chłopiec, kupowała więc co popadnie. Nick powstrzymał się od wygłoszenia kolejnego komentarza, wiedząc, że powiększy w ten sposób troski chłopca. Hillary toczyła z synem grę i Nick uznał, że nie powinien utrudniać małemu życia.

Sytuacja przez jakiś czas nie ulegała zmianie. Hillary zjawiała się co niedziela obładowana prezentami i wylewała łzy rozpaczony w synowskim pokoju. Johnny schudł i zrobił się nerwowy. Nick poinformował o tym swojego adwokata.

- Posłuchaj, ona doprowadza dzieciaka do obłędu. Johnny nie wie, co myśleć, a ona siedzi, płacze i zmyśla, jak to zasypia zalana łzami.

- Przejechał dłonią po włosach. Tego ranka pokłócił się z synem: nazwał Hillary dziwką, a John stanął w jej obronie.

- Mówiłem, że to będzie brutalna rozgrywka. A zanim się skończy, stanie się jeszcze bardziej bezwzględna. Fulton i Matthews nie są głupcami. Mówią jej dokładnie, co ma robić. Napisali scenariusz, a ona perfekcyjnie go

realizuje.

- W gruncie rzeczy odgrywa tragedię?
- Oczywiście, a czegoż byś się po niej spodziewał?
- Jest zdolna do wszystkiego.

Składała te cotygodniowe wizyty aż do dnia ślubu, po którym wraz z Philipem udali się w podróż na Karaiby. Hillary rzeczywiście potrzebowała odpoczynku. Od usunięcia ciąży, które w Reno załatwił Philip, nie czuła się najlepiej, a wizyty u Johna były dla niej piekłem.

Jej zdrowie szwankowało, wykańczało ją też ciągle kupowanie prezentów i popłakiwanie przy synu.

- Posłuchaj, do jasnej cholery - powiedziała do Philipa, leżąc na plaży w St.Croix. -To niełatwy dzieciak i ma kręćka na punkcie ojca. Co mam mu jeszcze kupić? Do diabła, wykupiłam już całego Schwarza! I w ogóle co dalej?

- Ha, lepiej coś tam wykombinuj. Matka mówi, że jeśli ten skandal będzie się jeszcze ciągnąć po naszym powrocie, odetnie mnie od forsy.

- Jesteś dorosły, więc ją ucisz. Do diabła, co mam jeszcze zrobić?

- Nie wiem. A co z tym funduszem powierniczym? Może to łatwiejsza droga niż zmuszanie Burnhama, żeby zrezygnował z dziecka?

- Nie mogę tknąć tych pieniędzy do trzydziestego piątego roku życia. A więc jeszcze przez sześć lat. - Renta, którą otrzymywała Hillary, rozwiązywała część ich problemów, ale nie pozwalała żyć na poziomie, do którego przywykli. W tej kwestii niezbędna była pomoc pani Markham.

- A więc musimy dostać dzieciaka. Nick to głupiec. Jeśli sprawa trafi do sądu, on nie wygra.

- Spróbuj to jemu powiedzieć. - Westchnęła i spojrzała w niebo.

- To twardy facet.

- Ale dureń. Na pewno przegra, tylko że do tego czasu matka doprowadzi mnie do szaleństwa. - Wpatrzył się w morze, a Hillary wstała i ruszyła brzegiem plaży. Irytowało ją to, iż Philip tak bardzo jest uzależniony od matki. Wcześniej nie odnosiła takiego wrażenia, lecz teraz przestała mieć wątpliwości. Kiedy wróciła, ponownie położyła się obok Philipa, westchnęła i zamknęła oczy przed jaskrawym słońcem. Problem Johna szybko wyparował jej z głowy, gdy poczuła, że mąż ściga z niej biustonosz.

- Philipie, przestań! - wykrzyknęła ze śmiechem. Był nieopanowanym kochankiem, co zresztą od razu ją w nim urzekło.

- Dlaczego miałbym przestać? W promieniu wielu mil nie ma żywej duszy.

- A jeśli się ktoś pojawi?...

Philip pocałunkiem zamknął jej usta, chwilę później cały kostium leżał na piasku razem ze spodenkami Philipa, a oni się kochali. Ostatnie, co by im wtedy przyszło do głowy, to problem związany z Johnnym.

## Rozdział trzydziesty drugi

Markhamowie wrócili do Nowego Jorku 1 kwietnia, lecz dopiero po tygodniu Hillary zadzwoniła do Nicka do biura. Dzień był niezwykle ciepły i Hillary oświadczyła, że chce zabrać syna do zoo. Ten telefon położył kres nadziejom Nicka, który łudził się, że po powrocie z podróży poślubnej jego była żona przestanie odwiedzać syna.

- Dlaczego do zoo? - zapytał z irytacją w głosie.

- A dlaczego nie? Johnny zawsze lubił zoo.

Rzeczywiście lubił, ale Nick czuł się lepiej, jeśli wizyty miały miejsce w domu, gdzie panował nad sytuacją. Potem uświadomił sobie, że jeśli odmówi, Hillary zapewne powie o tym chłopcu, który nie pomyśli o ojcu najlepiej.

- No dobrze.

Posłał z nimi ochroniarza, chociaż wiedział, że nie ma się czego obawiać. Hillary postanowiła grać na zwłokę aż do rozprawy sądowej, wykupując tymczasem wszystkie zabawki w mieście, żeby zrobić wrażenie na chłopcu. Mimo to Nick czuł się lepiej, gdy z Johnem był ochroniarz.

Zjawiała się punktualnie o drugiej po południu, ubrana w jasnoczerwoną suknię, takież kapelusze i białe rękawiczki. Pomyślała nawet o tym, żeby włożyć pantofle na płaskim obcasie. Wyglądała niewinnie i bardzo ładnie.

- Cześć, kochanie, jak się miewasz? - zaszcebiotała do Johna.

Nick poszedł do biblioteki. Miał trochę pracy. W związku z programem Lend-Lease, który w marcu został ostatecznie zatwierdzony, z Waszyngtonu napływały ogromne zamówienia. Nick osobiście był dwa razy w Waszyngtonie, aby przysłuchać się dyspacie, i był bardzo zadowolony z jej efektu.

Przybywało mu pracy, ale i jego zyski wzrastały trzykrotnie. Dzięki wojnie w Europie korporacja Burnham Steel prosperowała znakomicie.

Przebił się niemal przez połowę papierzyk, kiedy usłyszał walenie do drzwi, a po chwili do biblioteki wpadł bez tchu ochroniarz Johna. Biegł całą drogę z zoo. Spojrzał na Nicka błędnym wzrokiem, w dłoni wciąż ściskając rewolwer.

- Panie Burnham... Johnny zniknął... - Twarz miał śmiertelnie bladą, lecz twarz Nicka była jeszcze bledsza, kiedy zrywał się zza biurka.

- Co?!

- Nie wiem, jak to się stało... Nie rozumiem... Byli tuż obok mnie. Pani Markham chciała pokazać chłopcu coś obok klatki lwa i nagle ruszyli biegiem... Było tam trzech mężczyzn... Na trawniku stał samochód. Biegłem jak oszalały, ale bałem się strzelać, żeby nie zranić Johna... - Nagle w jego oczach pojawiły się łzy. Lubiał chłopca, lubił Nicka, a teraz tak zawiódł. - Jezu... Nie wiem, co powiedzieć... - jęknął zdruzgotany. Nick chwycił go za ramiona i potrząsnął nim jak dzieckiem.

- Pozwoliłeś jej zabrać mojego syna? Pozwoliłeś jej... - Niemal bełkotał z wściekłości, ale z najwyższym trudem zdołał się nieco opanować. Odepchnął ochroniarza, chwycił słuchawkę, wezwał policję, a potem zadzwonił do Greera. Oto spełniły się najgorsze obawy. Jego syn zniknął i Bóg jeden wie, gdzie teraz jest.

Policjanci pojawili się po półgodzinie, Greer w chwilę po nich.

- Porwała mojego syna - powiedział Nick drżącym głosem.

Kiedy ochroniarz zrelacjonował przebieg wydarzeń, Nick zwrócił się do Bena: - Chcę odnaleźć mojego syna, a ją wsadzić do więzienia.

- Nie możesz tego zrobić, Nick - rzekł Greer opanowanym głosem, chociaż w oczach miał smutek.

- Mam gdzieś takie prawo... A co z ustawą Lindbergha?

- Ona jest jego matką. To nie to samo.

- Ale Markham nie jest jego matką, a to on stoi za tym wszystkim. Do cholery... - Ben uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

- Znajdą chłopca.

- I co potem? - W oczach Nicka błyszczały łzy, podbródek drżał mu jak dziecku. - Sąd mi go odbierze?... Do diabła, czy naprawdę nie ma żadnego

sposobu, żebym mógł zatrzymać przy sobie syna? - krzyknął, po czym uciekł na górę, zatrzasnął drzwi swojego pokoju, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Nazajutrz w San Francisco Liane przeczytała o tym zdarzeniu w gazetach. "Johnny Burnham zniknął!" - głosił nagłówek, a tuż pod nim napisano: "Dziedzic korporacji Burnham Steel uprowadzony". Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, i dopiero kiedy przeczytała cały artykuł, dowiedziała się, że Johnny'ego porwała Hillary. Liane wiedziała, że Nick musi wychodzić z siebie, i znowu przyszło jej do głowy, że mogłaby do niego zadzwonić. Tylko co mu w tej sytuacji powie? Złoży wyrazy współczucia lub ubolewania? Nie było raczej sensu pytać, jak się miewa. Artykuł w gazecie udzielał odpowiedzi na to pytanie - Nick gorączkowo poszukiwał syna.

Przez dwa następne miesiące śledziła doniesienia, lecz wieści były wciąż takie same: na ślad Johnny'ego nie natrafiono.

W tym samym okresie Rudolf Hess, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, potajemnie poleciał do Wielkiej Brytanii, aby nakłonić Anglików do ugody. Jego samolot rozbił się i Hess został aresztowany, Hitler zaś obwieścił światu, że jego człowiek oszalał. Wkrótce okazało się, że jego poczynania z pozoru tylko były szalone: gdyby zawarto ugodę z Anglią, Niemcy nie musiałyby się angażować na froncie zachodnim, co miało dla nich ogromne znaczenie w związku z planami wojennymi. Otóż 22 czerwca Hitler zaatakował Związek Radziecki, łamiąc tym samym pakt o nieagresji. Jego wojska przekroczyły granicę na całej długości, ponosząc ogromne straty w ludziach. Nie minęło jedenaście dni, a Niemcy zajmowali obszar większy niż terytorium Francji. W wyniku tych wydarzeń 25 lipca Harry Hopkins, prawa ręka Roosevelta, poleciał do Moskwy, aby zaproponować Rosjanom przystąpienie do programu Lend-Lease. Spotkał się z odmową i jedynym efektem podróży Hopkinsa było uzgodnienie terminu spotkania Churchilla z Rooseveltem.

Odbyło się ono 9 sierpnia w Argentia Bay na Nowej Fundlandii i doprowadziło do podpisania 14 sierpnia Karty Atlantyckiej. Było to pierwsze spotkanie Churchilla i Roosevelta. Mężowie stanu przybyli na statkach - Churchill na "Księżu Walii", Roosevelt na "Auguście". Obaj wyrazili zadowolenie z rezultatów narady, ponieważ Anglia mogła liczyć na dalszą pomoc.

Nick Burnham tymczasem wciąż szukał syna.

Datę rozprawy odroczone już dawno, a przez cztery miesiące od zniknięcia Johnny'ego Nick schudł o trzydzieści funtów. Cała armia detektywów i ochroniarzy przeczesywała Stany, zapuszczała się do Kanady, szukając dosłownie wszędzie. Ten jeden raz Hillary przechytrzyła męża. Nick miał tylko nadzieję, że dziecku nic nie grozi.

Wreszcie 18 sierpnia odebrał niespodziewany telefon. Dziecko o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Johna widziano w Południowej Karolinie, w pobliżu stylowej, niegdyś modnej miejscowości wypoczynkowej. Dziecko przebywało tam z rodzicami, przy czym jego matka była blondynką.

Nick wynajął samolot i poleciał do Południowej Karoliny z trzema ochroniarzami; dwunastu innych czekało już na miejscu. Znalezione tam

wszystkich - Johna, Philipa Markhama i Hillary z włosami ufarbowanymi na blond. Wynajęli stary dom i zamieszkali w nim z dwojgiem czarnych służących oraz starym kamerdynerem. Markham przysięgł matce, iż skandal się skończy, wierzył, że tak właśnie się stało, chociaż porwanie Johna pogorszyło ich sytuację. Pani Markham myślała teraz z przerażeniem, że jej syn może trafić do więzienia. Za ich kryjówkę płaciła ona, mając nadzieję, że sprawa w końcu przycichnie, ale domagała się, by oddali chłopca. W końcu, zrozpaczona i powodowana poczuciem przyzwoitości wobec Nicka, dała mu znać o miejscu pobytu syna.

Detektywi otoczyli dom, a Markham, usłyszawszy nawoływania przez megafony, rzucił się do ucieczki. Było już jednak za późno. Stał oko w oko z dwoma mężczyznami, którzy mierzyli doń z rewolwerów.

- O rany boskie... - Gorączkowo usiłował znaleźć wyjście z tej sytuacji.  
- No dobra, bierzcie chłopca.

Oczywiście detektywi wzięli dziecko, lecz wtedy w stronę Philipa z morderczym błyskiem w oku ruszył Nick.

- Jeśli kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do nas, zabiję cię, skurwielu - ostrzegł, chwyciwszy go za gardło.

Podbiegła do nich Hillary i zaczęła szarpać Nicka za ramię.

- Na Boga, puść go.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego - odrzekł Nick, odwrócił się do niej i grzbietem dłoni uderzył ją w twarz. Philip wymierzył mu cios w szczękę. Nick usłyszał w czasie straszny zgrzyt, padł na ziemię, lecz natychmiast się zerwał i przy akompaniamencie krzyków Hillary rzucił się na Markhama.

- Przestańcie... Przestańcie!

Nick, straciwszy nad sobą panowanie, wgniół głowę Markhama w ziemię, potem wstał i odszedł, zostawiając pokonanego przeciwnika, który pojękiwał cicho na ziemi, obficie krwawiąc z rozcięcia nad brwią. Hillary raz jeszcze przypadła do Nicka i podrapała mu twarz, ale odepchnął ją od siebie i spokojnym krokiem podszedł do syna.

- Chodź, tygrysie. Wracamy do domu. - Szczeka bolała go okrutnie, nie czuł tego jednak, gdy ujął dłoń Johna i poprowadził go do samochodu z ochroniarzami u boku, chociaż nic im już nie groziło - była tam tylko Hillary, i leżący na ziemi Markham, z ganku domeczku zaś całe zająście obserwowało dwoje czarnych służących.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Nick mocno przytulił syna i płacząc ze szczęścia zaczął całować go po twarzy. Zakończyły się oto cztery miesiące piekła. Miał nadzieję, że czegoś takiego nigdy więcej nie przeżyje.

- Och, tatusiu - westchnął John, trzymając się go ze wszystkich sił.

Skończył właśnie dziesięć lat i wyglądało na to, że ostatnio urósł niemal o stopę. - Chciałem dać ci znać, że wszystko u mnie w porządku, ale nie pozwalali mi dzwonić.

- Zrobili ci krzywdę, synku? - spytał Nick ocierając oczy.

- Nie. Byli nawet fajni. Mama mówiła, że pan Markham chce teraz zostać moim tatą. Ale jak przyjechała jego matka, powiedziała, że muszą mnie oddać albo przynajmniej zawiadomić cię, że wszystko w porządku. - Nick pojął, w jaki sposób uzyskał informację o miejscu pobytu Johna. Przyrzekł sobie złożyć gorące podziękowania pani Markham. - Powiedziała, że nie da mu już żadnych pieniędzy, i to już nigdy, i że pan Markham skończy w więzieniu. - Nick, choć z żalem, zdawał sobie sprawę, że do tego nie dojdzie. - Zawsze była dla mnie miła i pytała, jak się miewam. Mama powtarzała, że to stara zdzira.

Ochroniarze i Nick uśmiechnęli się pod nosem.

W drodze do domu Johnny dużo opowiadał o pobycie w Południowej Karolinie. Z jego słów Nick wywnioskował, że Hillary i Markham stracili kontrolę nad planem, nie bardzo bowiem wiedzieli, co począć z Johnnym po porwaniu.

- Czy nadal musimy się procesować z mamą? - zagadnął wreszcie chłopiec.

- A jakże!... I to jak najszybciej.

Ta odpowiedź przygnębiła Johna, kiedy jednak leżał już w swoim łóżku i ujął ojca za rękę, jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Nick czuwał przy nim, dopóki chłopiec nie zasnął, potem poszedł do swojego pokoju, zastanawiając się, jak skończy się cała afera.

Nazajutrz w San Francisco Liane przeczytała w końcu dobrą wiadomość: "Johnny Burnham odnaleziony". Tydzień później sąd wyznaczył datę pierwszej rozprawy. Miała się odbyć 1 października.

Jednakże najwięcej miejsca na pierwszych stronach gazet zajmowało zupełnie co innego. W Moskwie odbyła się konferencja z udziałem Averella Harrimana, lorda Beaverbrooka i Mołotowa, sowieckiego ministra spraw zagranicznych. Zaowocowała podpisaniem protokołu, iż Stany Zjednoczone i Anglia będą zaopatrywać Związek Radziecki, Harriman podpisał też umowę o Lend-Lease, zakładającą pomoc w wysokości miliarda dolarów. Stalin domagał się, aby Stany Zjednoczone włączyły się do wojny, lecz zgodnie z instrukcjami Roosevelta Harriman odmówił. Rosja musiała się zadowolić zaopatrzeniem i bronią. Uczyniła to zresztą bez większych oporów.

Kiedy te sensacje nieco przycichły, Liane przeczytała w gazetach, że w Nowym Jorku toczy się proces Nicholasa Burnhama przeciwko Hillary Markham.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Hillary wkroczyła na salę rozpraw ubrana w ciemnoszary kostium i biały kapelusz. Jej włosy znów miały dawny kolor. Zjawiła się w asyście dwóch prawników i usiadła pomiędzy nimi z żałobnym wyrazem twarzy. Po przeciwnej stronie siedział Nick w towarzystwie Bena Greera, który właśnie upominał go, by nie patrzył w stronę byłej żony wzrokiem przepelnionym taką wściekłością.

Przedstawiono przedmiot sporu - kwestię opieki nad dziesięcioletnim synem pani Markham i pana Burnhama, Johnem - i każda ze stron została poproszona o zaprezentowanie swojego punktu widzenia. Ben Greer wypowiedział się o Hillary jako o kobiecie, która nigdy nie pragnęła dziecka, rzadko widywała syna, wyjeżdżała w długie podróże, zostawiając go samego. Już jako żona Nicholasa Burnhama wielokrotnie dopuszczała się zdrad małżeńskich.

Panowie Fulton i Matthews wyjaśnili, że Hillary żywi gorące matczyne uczucie wobec syna i wyrażona przez męża odmowa opieki nad dzieckiem doprowadziła ją do hysterii i kryzysu nerwowego. Philip Markham został scharakteryzowany jako człowiek przepadający za dziećmi, pragnący ochno pomóc nowej żonie w budowaniu domu dla Johna. Jednakowoż, kontynuowali prawnicy, Nick Burnham jest człowiekiem o tak gwałtownym usposobieniu i tak opętany zazdrością, że groził żonie i robił wszystko, aby zerwać jej związek uczuciowy z synem. A wszystko to czynił dlatego, że nie mógł znieść myśli, iż żona pragnie się z nim rozwieść. Adwokaci snuli ten wątek w nieskończoność, sprawę porwania zaś potraktowali z wielką subtelnością. Otóż Hillary, załamana psychicznie utratą dziecka, bezradna wobec grózb



Nicka, zabrała do siebie Johna w nadziei, że doczeka pod jej opieką rozprawy. Potem sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Za bardzo bała się Nicka, aby wrócić... Bała się, że Nick mógłby skrzywdzić dziecko.

Siedząc na sali sądowej i słuchając tej perory Nick czynił wszystko, aby nie zerwać się i głośno nie zaprotestować. Co gorsza dopiero teraz się zorientował, z jak silnym przeciwnikiem mają do czynienia. Fulton i Matthews byli najlepsi i chociaż Ben Greer należał do świetnych adwokatów, Nick zaczął się obawiać, że nie zdoła ich pokonać.

Zanosilo się na to, że rozprawa potrwa ze dwa, trzy tygodnie. Pod sam koniec miał zeznawać Johnny jako świadek koronny. W trzecim dniu procesu zachorował jednak na świnkę, sędzia zarządził więc odroczenie do 24 października.

Nick i jego adwokat doszli do wniosku, że ta przerwa działa na ich korzyść. Pozwalała im odświeżyć siły i poszukać nowych świadków. Nick czuł się rozczarowany tym, jak niewiele osób jest gotowych złożyć zeznania. Ludzie nie chcieli się mieszać, tłumacząc się brakiem pewności, upływem czasu... Nawet pani Markham nie zamierzała zeznawać na jego korzyść. Zrobiła co w jej mocy, dając mu znać o miejscu pobytu dziecka, ale resztę pozostawiła w jego rękach. Była zdania, że zło już się stało - nazwisko jej i Nicka wystarczająco długo szargano na łamach prasy brukowej. Pani Markham w równym stopniu miała o to pretensje do Nicka co do swojego syna. To, komu przypadnie opieka nad dzieckiem, było w tej chwili kwestią mało dla niej istotną. Ona wszystkim życzyła miejsca w piekle.

Nick zdołał ściągnąć zaledwie kilka służących, które nienawidziły Hillary, ale i one nie mogły przyznać, że były świadkami zaniedbywania dziecka przez matkę. Pod koniec drugiego dnia po wznowieniu procesu, kiedy Markhamowie opuścili już salę, Nick z rozpaczą wyrzucił do góry ramiona.

- Jezu Chryste! Dlaczego ona to robi, Ben? Przecież wcale nie chce tego dziecka.

- Nie może się już wycofać. Posunęła się za daleko. Na tym polega większość rozpraw sądowych. Zanim sprawa się zakończy, wszyscy mają jej dosyć, ale maszyny sprawiedliwości nie da się zatrzymać.

Zdesperowany Nick próbował nazajutrz przekupić Hillary i przez krótką chwilę sądził, że bitwę wygrał. Spostrzegł błysk zainteresowania w oczach Markhama, gdy spotkali się w gmachu sądu, nie zauważył go natomiast we wzroku Hillary. Kiedy odszedł zrozpaczony, Philip chwycił Hillary za ramię.

- Do diabła, dlaczegoś go odprawiała? Jak sądzisz, z czego będziemy żyć przez kilka najbliższych lat? Ty nie możesz skorzystać ze swojego funduszu powierniczego, a sama wiesz, co powiedziała moja matka.

- Gównu mnie to obchodzi. Nie wezmę od niego ani grosza.

- Kretynka. - Znów chwycił ją za ramię, lecz wzgardliwie strąciła jego dłonie.

- Do diabła z wami! Chcę mojego syna.

- Dlaczego? Przecież nie lubisz dzieci.

- Ale on jest mój. - Jak futro albo klejnot, albo jakakolwiek zdobycz, której w gruncie rzeczy nie potrzebowała, ale o którą się dopominała. - Dlaczego miałabym Nickowi cokolwiek dawać?

- Weź tę forszę, na miłość boską.

- Nie potrzebuję pieniędzy - rzekła wpatrując się weń lodowatym wzrokiem.

- Wręcz przeciwnie, potrzebujesz. Oboje potrzebujemy.

- Twoja matka coś nam odpali.

Na to liczył również Markham, gdyby jednak matka zawiodła oczekiwania,

czekała ich walka o byt, na którą nie miał najmniejszej ochoty. Być może nawet - absolutnie wbrew swej woli - będzie musiał pójść do pracy. Wiedział bowiem, że Hillary nie uczyni tego w żadnym razie. Teraz wszakże zwróciła mu uwagę na coś, co zupełnie mu umknęło.

- Czy nigdy nie słyszałeś o alimentach? - uśmiechnęła się słodziutko. - Nick będzie chciał mieć pewność, że Johnowi niczego nie brakuje. Tak samo jak my, voila - dygnęła przed nim. Markham uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś diablo bystra jak na tak ładną dziewczynę. - Pocałował ją w policzek i wrócili do sali sądowej, gdzie na nowo rozpetęła się walka.

Sędzia oceniał, iż proces dobiegnie końca przed Dniem Dziękczynienia, a Nick aż truchlał na tę myśl. Co będzie, jeśli przegra? Co wtedy zrobi? Nie wyobrażał sobie życia bez syna. Nie miał nawet odwagi o tym pomyśleć. Wreszcie niepostrzeżenie dla wszystkich nadszedł ostatni dzień rozprawy. Przedstawiciele obu stron wygłaszali mowy końcowe. Kiedy Johnny zeznawał, mówił jak zagubione dziecko, rozdarte pomiędzy dwojgiem rodziców - ojcem, którego uwielbiał, i matką, która popłakiwała na sali sądowej i której najwyraźniej współczuł.

Sędzia wyjaśnił obecnym, że w normalnych okolicznościach podjęcie decyzji zajmuje mu tydzień albo dwa, biorąc jednak pod uwagę napięcie, w którym przyszło żyć obu stronom przez niemal rok, a także nagłośnienie całej sprawy w prasie krajowej i presję, jaką wydarzenia wywierają na dziecku, dołoży wszelkich starań, aby tym razem werdykt zapadł w trybie nadzwyczajnym. Strony zostaną powiadomione o terminie ogłoszenia wyroku, tymczasem zaś poprosił wszystkich, by udali się do domów i cierpliwie czekali.

Kiedy Nick tego dnia opuszczał budynek sądu, oślepił go błysk fleszy i ze wszystkich stron posypały się pytania: "Co powiedział sędzia?... Gdzie jest teraz dziecko?... Kto wygrywa?... Myśli pan, że matka znów uprowadzi chłopca?..." Przywykł do tego i on, i Hillary, która przystanęła na najwyższym stopniu schodów i obdarzyła dziennikarzy czarującym uśmiechem.

Nick opadł na siedzenie limuzyny i przymknął oczy. Od powrotu Johna wyglądał nieco lepiej, ale mając czterdzieści lat, czuł się jak osiemdziesięcioletni starzec.

Popatrzył na Greera, który obok wertował swoje zapiski, i smutnie pokręcił głową. - Wiesz, czasami myślę, że to się nigdy nie skończy.

- Skończy się - odrzekł Greer, unosząc głowę.

- Ale jak?

- Tego nie wiemy. Musimy poczekać na decyzję sędziego.

Nick westchnął. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak to jest, kiedy kogoś, kogo kochasz najbardziej na świecie, nagle ci odbiorą?

Greer wolno pokręcił głową. - Nie, nie wiem. Ale wiem, przez co przechodzisz, i cholernie mi przykro. - Przez chwilę patrzył na Nicka nie jak prawnik, lecz jak przyjaciel. - Mam nadzieję, że wygrasz, Nick.

- Ja też. Ale jeśli nie wygram, czy możemy wnieść apelację?

- Oczywiście, że możemy. Ale to długo trwa. Radziłbym ci poczekać. Niech przez pół roku pomieszka z chłopcem, a przybiegnie do ciebie szybciej, niż uciekła. Obserwowałem ją przez cały ten tydzień i jest dokładnie taka, jak ją przedstawiłeś: twarda, zimna, przenikliwa. Ale nie kocha go. Wygląda to tak, jakbyś ty był stroną atakującą, a ona zamierzała się odkuć, uderzając w najboleśniejsze miejsce.

- Już to zrobiła.

- Ale nie powtórzy tego. Zapamiętaj moje słowa, odda chłopca.

W tej chwili pragnie tylko wygrać, zyskać rozgłos. Chce wyglądać na dobrą matkę. Ameryka, macierzyństwo i szarlotka, znasz te wszystkie idiotyzmy.

Nick uśmiechnął się po raz pierwszy od tygodnia. - Nie sądziłem, że Hillary mieści się w tym stereotypie. Bardziej jest zainteresowana sobolami i biżuterią Van Cleefa.

Greer też się uśmiechnął. - Ale nie przed sądem. Jest bystra, a jej adwokaci spisali się na medal.

Nick popatrzył na mężczyznę, który w ostatnim czasie stał się jego przyjacielem.

- Ty też. - I ze ściśniętym gardłem dodał: - Przegramy czy zwyciężymy, Ben, byłeś wspaniały. Wiem, że zrobiłeś wszystko co w twojej mocy.

- To bez znaczenia, jeśli przegramy.

- Musimy wygrać.

Greer skinął głową. W milczeniu wpatrywali się w zimowe niebo, kiedy limuzyna cicho sunęła ulicami.

Tydzień oczekiwania na decyzję sędziego był dla wszystkich udawką. Nick dniem i nocą przemierzał w nieskończoność swój pokój, jeździł do biura, wracał w te pędy do domu, starając się spędzać z synem każdą wolną chwilę. Greer natomiast czuł się jak przyszyły ojciec. Nigdy aż tak nie przejął się sprawą, a tę, prowadzoną od blisko roku, potraktował jak osobistą.

W mieszkaniu Markhama Hillary miotła się jak rozjuszona kotka. Miała ochotę gdzieś pójść, zabawić się, ale Philip wyjątkowo zdołał ją przekonać, że powinna zostać w domu.

- Jak sądzisz - powiedział - co by napisali w kronice towarzyskiej, gdyby cię zobaczono w El Morocco?

- No to co mam robić? Siedzieć tutaj i strugać konika na biegunach dla mojego syna?

- Nie wymądrzaj się. Siedz spokojnie w domu, to już się kończy.

Markham nie chciał irytować matki. Zaczynała już ulegać, a jeden fałszywy krok mógł wszystko zepsuć. Musiał zatem trzymać w domu Hillary. Nie była tym uszczęśliwiona, lecz Philipowi udało się postawić na swoim. Godzinami grał z nią w remika, kupował jej galony szampana dla podtrzymania dobrego nastroju i żywił coraz silniejszą nadzieję, że matka rychło otworzy kiesę. Hillary była bowiem kosztowną kobietą, a i jego gusta nie należały do pospolitych. Mieli ze sobą wiele wspólnego, co zresztą przy każdej okazji podkreślała jego matka, i to niezbyt sympatycznym tonem. Oczywiście żadne z nich nie przejmowało się tym nadmiernie. Jak tylko dobiorą się do pieniędzy Markhamów lub alimentów Johna, znowu będą szczęśliwi. Philip starał się wywierać dobre wrażenie tylko na wszelki wypadek, o czym poinformował żonę, niosąc ją do ich olbrzymiego łóżka. Zdążył zerwać z niej odzież, którą ciskał na podłogę, kiedy usłyszeli dzwonek telefonu.

Dzwoniono z kancelarii Fultona i Matthews'a. Sąd miał się zebrać o drugiej. Sędzia podjął wreszcie decyzję.

- Alleluja! - wykrzyknęła Hillary, stojąc nago obok łóżka. - Dziś wieczór będę wolna!

Philip pchnął ją na łóżko i rozsunał jej nogi. Ani słowem nie wspomnieli o Johnnym.

Sędzia w powiewającej todzie z kamienną twarzą wkroczył do sali sądowej. Woźny wygłosił tradycyjną formułę, wszyscy więc wstali, po czym na powrót usiedli. Nick czekał wstrzymując oddech. Johnny też czekał, ale w domu, ponieważ Nick nie chciał go narażać na dodatkowe stresy. Korytarze gmachu sądu roily się od dziennikarzy. Jak sępy wyczuwali zdobycz na odległość, poza tym ktoś z administracji sądowej dał im znać, że tego dnia będzie ogłaszany werdykt. Strony przecisnęły się do sali z najwyższym trudem.

- Panie Burnham - zaczął sędzia - czy byłby pan łaskaw podejść?

Nick zaskoczony spojrzał na Bena. Podobnie jak on nie był przygotowany na to zaproszenie, będące odstępstwem od procedury. Potem sędzia zwrócił się do Hillary, prosząc ją o to samo.

Wstali i zbliżyli się do sędziego w ciszy jak makiem zasiał. Sędzia zmierzył ich poważnym wzrokiem. Był starym człowiekiem o mądrym spojrzeniu i wydawało się, iż wiele czasu strawił na rozmyślaniu, jaki wydać wyrok. Była to mało przyjemna sprawa, toteż decyzja z pewnością nie należała do najłatwiejszych, jakkolwiek wedle Nicka rozwiązanie było oczywiste od samego początku.

- Chciałbym państwu powiedzieć - zaczął sędzia - że sercem opowiadam się po obu stronach. Spadło na moje barki niewdzięczne zadanie Salomona. Komu dać jedyne dziecko? Czy rozciąć je na dwoje? W takiej sytuacji każda decyzja jest zła. Przyznawanie prawa do opieki nad dzieckiem to przykre zadanie, jakkolwiek zatem podejmę decyzję, skrzywdzę dziecko i jedno z was. Ogromnie mnie martwi, że dla dobra dziecka nie zdołaliście sami uporać się ze swoimi problemami...

- Nick czuł, iż ma mokre dłonie, po plecach spływał mu pot. Zerknął na Hillary, ona też była zdenerwowana. Żadne nie spodziewało się tej przemowy.

- Jesteście rozwiedzeni, a pani - zerknął na Hillary - ponownie wstąpiła w związek małżeński. I z tego powodu - spojrzał teraz na Nicka, który w żaden sposób nie był przygotowany na to, co miało nastąpić za chwilę - żywię przekonanie, że dziecko będzie miało trwalszy dom przy pani. Ogłaszam zatem, że opiekę nad dzieckiem przyznaję pani Markham. - Z ojcowskim uśmiechem popatrzył na Hillary.

Do Nicka dopiero po chwili dotarło znaczenie słów sędziego. Zapominając, gdzie się znajduje, wybuchnął rozgorączony.

- Ależ on przyłożył broń do głowy mojego syna! - zawołał podniesionym głosem. - W ręce takiego człowieka wysoki sąd oddaje mojego syna?

- Oddaję go pańskiej żonie, a o ile sobie przypominam, broń nie była naładowana. Pańska żona o tym wiedziała i... - Głos rozmył się, Nick poczuł silny zawrót głowy. Nie miał pojęcia, czy to zawał, czy po prostu umiera z rozpaczy. - ...będzie pan mógł odwiedzać chłopca.

Może pan złożyć w sądzie plan takich spotkań lub, jeśli takie rozwiązanie jest dla pana wygodniejsze, wypracować agendę spotkań z panią Markham. Przekaze pan dziecko pani Markham do szóstej wieczorem dnia dzisiejszego. A biorąc pod uwagę pańskie dochody, sąd przyznał alimenty w wysokości dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. Jesteśmy przekonani, że suma ta nie będzie dla pana zbyt dużym obciążeniem.

Hillary wygrała na całej linii. Promieniejąca niczym słońce podbiegła do Philipa i swoich adwokatów, zanim sędzia skończył przemowę. Nick zaś patrzył tępy wzrokiem i niedowierzająco potrząsał głową, kiedy sędzia wstał, a woźny obwieścił: - Koniec rozprawy!

Nick zawrócił na pięcie i jak burza wypadł z sądu. Szedł z pochyloną

głową, u jego boku podążał Ben Greer. Precyzyjnie się przez tłum zgromadzony na zewnątrz, nie mówiąc nic dziennikarzom, aż w końcu skryli się w półmroku limuzyny i tylko jeden fotoreporter zdążył błysnąć fleszem. Nick wbił w Bena ciężkie spojrzenie.

- Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem.

- Ani ja.

Niestety, taka była prawda. Ben słyszał podobne słowa już wcześniej, nowością były wszakże dla Nicka, który przez całą drogę do domu siedział z kamienną twarzą zastanawiając się, co powie synowi. Miał czas do szóstej, aby spakować rzeczy Johnny'ego i wysłać go ku innemu życiu, świadom, że nie będzie dla niego niedobre. Przez moment ważył myśl, czyby nie postąpić tak samo jak niegdyś Hillary. Nie mógłby jednak ukrywać się w nieskończoność, a takie rozwiązanie byłoby zbyt trudne dla chłopca. Musiał przynajmniej chwilowo podporządkować się wyrokowi sądu.

Nick wysiadł z auta i wszedł do domu jak człowiek prowadzony na szafot. Ben, powłócząc nogami, podążał za nim, niepewny, czy powinien się oddalić, czy zostać. Ujrawszy twarz Johna, pożałował, że nie odszedł. Było w niej tyle rozpacz, że stanowiła widok nie do zniesienia.

- Wygraliśmy? - spytał John, cały rozdygotany.

- Nie, tygrysie, przegraliśmy.

Chłopiec wybuchnął płaczem, a Nick porwał go w ramiona. Ben odwrócił się i czując na twarzy łzy, nienawidził siebie za to, że nie udało mu się sprawy wygrać. Najgorszy był jednak w tej chwili płacz skrzywdzonego dziecka.

- Nie pójdę do niej, tato, nie pójdę!... - Johnny hardo popatrzył na ojca. - Ucieknę.

- Nie, nie uciekniesz. Zrobisz to, co postanowił sąd. Będziemy się widywać w każdy weekend.

- Nie chcę widywać się z tobą w weekendy. Chcę cię widzieć codziennie.

- Cóż, zrobimy co w naszej mocy. No i Ben powiada, że możemy podjąć jeszcze jedną próbę. Możemy złożyć apelację. To potrwa, ale może tym razem wygramy.

- Na pewno nie wygramy. A ja nie chcę z nimi mieszkać.

- W tej chwili nic nie możemy zrobić, musimy trochę poczekać. Posłuchaj, będę dzwonił do ciebie codziennie, a ty do mnie kiedy tylko zechcesz... - mówił Nick drżącym głosem, z oczyma pełnymi łez. Tulił do siebie syna, nie posiadając się z żalu, że tak to się potoczyło. Jakże niesprawiedliwy był los! Kochał syna, który był dla niego całym światem. Nie miało jednak sensu roztrząsanie tej myśli w nieskończoność. Było im obu ciężko, lecz on musiał pomóc Johnowi.

- Chodź, tygrysie, spakujemy się.

- Teraz? - niedowierzająco spytał John. - Kiedy muszę iść?

- O szóstej. Widzisz, sędzia uznał, że powinniśmy mieć to z głowy jak najszybciej...

Johnny wbił w Nicka nie rozumiejące spojrzenie. Nie potrafił się otrząsnąć, podobnie zresztą jak jego ojciec. Był to najgorszy dzień w ich życiu. Wreszcie powłócząc nogami ruszył zapłakany ku drzwiom, przy których znów popatrzył na ojca.

- Naprawdę będziesz do mnie dzwonił co wieczór?

Nick skinął głową, usiłując jego łzom przeciwstawić wątpy uśmiech.

- Będę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - przyrzekł unosząc dłoń.

Poszli na górę i na oczach służących spakowali do trzech toreb zabawki i ubrania, Nick chciał to bowiem zrobić osobiście. Kiedy skończył, wstał i rozejrzał się dokoła.

- To ci powinno wystarczyć. Resztę możesz zostawić tutaj, żeby mieć coś do zabawy, jak przyjdiesz.

- Myślisz, że ona mi pozwoli?

- Oczywiście, że tak.

Dzwonek u drzwi odezwał się punktualnie o szóstej.

- Mogę wejść? - zapytała Hillary z nieprzyjemnym słodziutkim uśmiechem. Dopiero wtedy Nick poczuł w pełni, jak bardzo jej nienawidzi. - Spakowałeś Johnny'ego?

Dla Nicka było to niczym sól na rany. Głęboko spojrzął jej w błyszczące piękne czarne oczy; widniała w nich tylko pustka.

- Musisz być z siebie bardzo dumna.

- Sędzia okazał się mądrym człowiekiem.

- Jest starym głupcem. - Nicka podtrzymywała na duchu jedynie nadzieja, iż Ben się nie myli i Hillary szybko znuży się dzieckiem. Stojący u jego boku Johnny patrzył przez łzy na matkę.

- Gotów, kochanie?

Pokręcił głową i przywarł do Nicka. Hillary spojrzała Nickowi w oczy.

- Czy on jest spakowany?

- Tak - wskazał torby stojące w holu. - Chciałbym ustalić z tobą terminy wizyt.

- Oczywiście - przystała, gotowa okazać teraz wielkoduszność.

Nick może widywać się z synem, kiedy tylko zechce. Dopięła swego, chłopiec był jej. Niech Nick opowiada sobie co chce na temat jej przeszłości, skoro nie zapłaciła za nią utratą praw do dziecka. Nawet matka Philipa zadzwoniła z gratulacjami. - Ja też chciałabym cię o coś zapytać.

- O co? - Cisnął w nią to pytanie jak kamień.

- Czy moglibyśmy wejść gdzieś na chwilę? - Do tej pory jej nie zaprosił do mieszkania.

- Po co?

- Chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ja uważam, że jest. - Twardo spojrzała w oczy Nickowi, który delikatnie odsunawszy Johnny'ego, ruszył do biblioteki. Hillary podążyła za nim.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym go mieć już w najbliższy weekend.

- Sprawdź i dam ci znać. Nie jestem pewna, jakie będziemy mieli plany.

Aż go swędziała dłoń, żeby jej dać w twarz.

- Upewnij się i zadzwoń jeszcze dzisiaj. Mały będzie potrzebował czasu, żeby się przyzwyczaić do nowej sytuacji, dlatego rychły powrót do domu dobrze mu zrobi.

- Skąd mam wiedzieć, że z nim nie uciekniesz?

- Czegoś takiego mu nie zrobię. - Tego Hillary mogła być pewna. - O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

- O moim czeku.

- Jakim czeku?

- O alimentach. Skoro zabieram Johna, powinienes uiścić alimenty.

Nick przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, wreszcie gwałtownie wysunął szufladę, rzucił książeczkę czekową na biurko, wpisał nazwisko Hillary oraz

sumę i oddał jej czek drżącą ręką.

- Rzygać mi się chce na twój widok.
- Dzięki - uśmiechnęła się i wyszła.

Nick podążył za nią do holu, gdzie obok swojego bagażu stał Johnny. Nadszedł koniec, wojna była przegrana. Nick mocno uściskał chłopca, po czym sprowadził windę i wstawił do niej torby Johnny'ego. Hillary, mocno ująwszy syna za rękę, weszła z nim do windy.

Chłopiec pochylił głowę i zapłakał, drzwi windy zamknęły się powoli. Nick stał na progu swojego mieszkania z pochyloną głową, szlochając rozpaczliwie.

## Rozdział trzydziesty szósty

Johnny sprowadził się do matki wieczorem 3 grudnia. Trzy dni później Liane z rozpaczą przeczytała o zakończeniu procesu Nicka. Bała się, że do tego dojdzie. Do rzadkości należało powierzenie ojcu opieki nad dzieckiem. Tak samo jednak jak Nick miała nadzieję i modliła się, aby ta sprawa należała do owych rzadkich przypadków. Złożyła gazetę zgnębiona, a wuj przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

- Co się stało? - Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie.

Odpowiedziała dopiero po chwili. George zastanawiał się przez moment, czy aby nie stało się coś we Francji, ale kiedy sam przeglądał prasę, nie zauważył niczego na ten temat.

- Coś okropnego przydarzyło się właśnie jednemu z moich przyjaciół.
- Znam go?

Pokręciła głową. Przypuszczalnie czytał o procesie, nigdy jednak nie mówiła mu, iż zna Nicka Burnhama. Czowała w sercu ołowiany ciężar, wyobrażając sobie, jak Nick oddaje dziecko Hillary... W końcu podniosła się z miejsca. Czekala ją praca.

Przez cały ten dzień dręczyły ją myśli o Nicku, toteż sięgnąwszy wreszcie po słuchawkę, nie odłożyła jej na widelki. W nowojorskiej informacji otrzymała numer korporacji Burnham Steel, a kiedy uzyskała połączenie i na drugim końcu linii odezwało się biuro firmy, poprosiła o połączenie z Nickiem, lecz oświadczono jej, że go nie ma. Nie zostawiła swojego nazwiska. Zaczęła się zastanawiać, dokąd pojechał lizać swoje rany. Przyszło jej nawet do głowy, czy aby ogarnięty rozpaczą nie będzie chciał do niej zadzwonić, skąd jednak miałby wiedzieć, że ona przebywa na Zachodnim Wybrzeżu? Już dawno przecięli łączące ich więzy. Może tak właśnie było lepiej? Wiedziała, że nie może ciągnąć tego romansu, bo czułaby się nieustannie winna wobec Armanda. Nicka wszakże i tak spotkało to, czego się obawiali - stracił syna. Teraz nie miał już nic... Tu Liane uśmiechnęła się do siebie, uświadamiając sobie naiwność tego rozumowania. Nie widzieli się od siedemnastu miesięcy, Nick był rozwiedziony prawie od roku. Prawdopodobnie miał teraz uroczą przyjaciółkę, może nawet dlatego się rozwiódł. Jeśli taka przyjaciółka rzeczywiście istniała, Liane pozostawało mieć nadzieję, że jest to kobieta dobra, zdolna przyłożyć balsam na jego rany. Jeśli ktokolwiek w ogóle był w stanie to uczynić. Wiedziała, jak straszliwie ten mężczyzna musiał przeżywać utratę jedyne dziecko na rzecz kobiety, której nienawidził.

- Wyglądasz, jakby umarł ci ktoś bliski - zauważył tego wieczoru George.

- Myślę, że za ciężko pracujesz w tym idiotycznym Czerwonym Krzyżu.

Jego niechęć do działalności bratanicy powiększało tego dnia to, że akurat była sobota, a Liane pracowała także w weekendy.

- To, co robimy, wcale nie jest głupie, wujku.

- Czemu wobec tego jesteś taka przygnębiona? Powinnaś gdzieś wyjść, zabawić się...

Takich uwag Liane wysłuchiwała do znudzenia. Uśmiechnęła się do wuja. Dał sobie przynajmniej spokój z podstawianiem jej synom swoich przyjaciół, uświadomiwszy sobie już przed rokiem, że Liane się nie podda. Żyła tylko listami Armanda. Przemycane przez działaczy Ruchu Oporu gdzieś na południu Francji, dochodziły do niej pogniecione i brudne, czasem opóźnione o kilka tygodni, jeśli czekały, aż ktoś będzie się przedzierał do Anglii czy Hiszpanii, zawsze jednak w końcu docierały i za każdym razem Liane z westchnieniem ulgi mogła przekazać córkom wiadomość, iż tata ma się dobrze. George'a nieustannie zdumiewało, iż Liane tak stanowczo trzyma stronę męża. Znał mnóstwo kobiet, które z całą pewnością nie dochowywałyby wierności aż tak bezwzględnie. Pomyślał z uśmiechem, że wiele takich poznał podczas pierwszej wojny. Liane jednak dużo bardziej przypominała swojego ojca niż wuja. Podziwiał tę jej cechę, aczkolwiek nie uznawał jej za przejaw mądrości.

- Byłaby z ciebie wspaniała zakonnica, wiesz? - zażartował.

- Może minęłam się z powołaniem.

- Nigdy nie jest za późno.

- Odpracowuję teraz nowicjat.

Zawsze wieczorami grywała z nim w domino i zawsze toczyła podobne rozmowy. Trudno było uwierzyć, że zbliża się następne Boże Narodzenie i że Liane już od roku mieszka w San Francisco. Wydawało się jej, że wojna trwa z tysiąc lat. W gruncie rzeczy we Francji toczyła się dwa lata, a Armand dzięki Bogu wciąż był cały i zdrow. Napomykał teraz od czasu do czasu o wykonywanej przez siebie pracy, tak że Liane wiedziała o Andrem Marchandzie. Znikąd jednak nie pojawiały się zwiastuny końca wojny. Trwały bombardowania Londynu i chociaż tysiące Niemców ginęły na froncie wschodnim, Rzesza nie przejawiała chęci przerwania ofensywy. To wszystko wydawało się szalenie odległe od świata, w którym żyła Liane.

Tej nocy, 6 grudnia, wstała i zaczęła spacerować po tonącym w ciszy domu. Na koniec dotarła do biblioteki i usiadła przy biurku. Lubiła pisywać do Armanda późną nocą, albowiem miała wtedy więcej czasu na zebranie myśli. Nie sypiała dobrze już od wielu miesięcy i tej nocy pisała bardzo, bardzo długo, świadoma, że znaczna część listu zostanie ocenowana. Armand mógł przesyłać swoją korespondencję kanałami konspiracyjnymi, lecz ona nie mogła z nich korzystać. Jej listy musiały do niego docierać za pośrednictwem urzędujących w Paryżu niemieckich cenzorów. Starła się zatem uważać na to, co pisze. Aż wreszcie, ziewając, napisała adres i wstała, popatrzyła przez okno w grudniową noc, po czym w lepszym już nieco nastroju poszła do łóżka.

Nazajutrz jednak wciąż dręczył ją niepokój. Jej myśli bez reszty wypełniał Armand, kiedy uważnie studiowała gazetę, szukając jak co dzień informacji o wojnie w Europie.

- Czy to ty błąkałaś się zeszłej nocy po domu, czy włamywacz? -

uśmiechnął się do niej George nad stołem zastawionym do niedzielnego śniadania. Wiedział o jej nocnym błądzeniu. Kiedy po raz pierwszy ją usłyszał, cicho wyszedł ze swojej sypialni z rewolwerem w dłoni. Wtedy obydwójce odskoczyli od siebie z krzykiem.



- Chyba włamywacz, wujku.

- Ukradł nasze mikołajkowe prezenty? - Do pokoju wpadła Elisabeth. Miała już dziewięć lat i z wiary w Świętego Mikołaja bezpowrotnie wyrosła, ale niezmiernie się zmartwiła, że włamywacz uszczknął coś z góry prezentów czekających w garderobie na górze.

- Pójdę sprawdzić - Liane uśmiechnęła się do córki, która wraz z siostrą wybiegła do ogrodu. Były szczęśliwe w San Francisco i chociaż wciąż tęskniły za ojcem, dobrze przystosowały się do nowego otoczenia, a okrucieństwo, którego doświadczyły w Waszyngtonie, tutaj nigdy ich nie dosięgło głównie dzięki dyskrecji wuja George'a. Liane była mu za to wdzięczna i tego dnia szła do pracy z lżejszym sercem. Zastanawiała się, jak daje sobie radę Nick pozbawiony syna. Z własnych doświadczeń wiedziała, że czas potrafi zaleczyć rany zadane przez los, a cierpienie staje się mniej dojmujące, choć nikomu nie przychodzi to łatwo. Ona także nie myślała w tej chwili o Nicku z takim bólem jak niegdyś. Długo nie potrafiła wyrzucić go z myśli, często ze zdumieniem sobie uświadamiała, jak wydaje się jej bliski, zwłaszcza gdy przymknąwszy oczy wspominała rejs na "Deauville". Teraz jednak to wszystko wydawało się odległym snem. Czasem tylko nocą śniła na przemian o Nicku i Armandzie, po przebudzeniu zaś nie wiedziała, gdzie i z kim jest, jak się tu znalazła. Dopiero gdy przez okno zobaczyła most Golden Gate, gdy usłyszała buczone mgłowe, przypominała sobie wszystko - również to, że obydwaj są daleko.

Nick stanowił część przeszłości, czule pielęgnowaną przez Liane w duszy. Dał jej coś, czego przedtem nie ofiarował nikt inny, a jego słowa pozwoliły jej przetrwać ostatnich szesnaście miesięcy. Potrzebowała każdej uncji tej siły, którą wedle jego zapewnień istotnie w sobie miała. Potrzebowała jej za każdym razem, gdy przez trzy, cztery, pięć tygodni daremnie czekała na list od Armanda, gdy czytała w gazecie artykuł przepelniający ją przerażeniem albo gdy pomyślała o mężu pracującym w Paryżu pod boki Niemców. Potrzebowała jej każdego dnia i w każdej godzinie. Dla siebie, dla córek, nawet dla wuja George'a. I potrzebowała jej tego dnia, kiedy po powrocie z kościoła włączyła radio w sypialni.

Często słuchała radia, szukając w nim najnowszych doniesień, teraz jednak zastygła w bezruchu, niezdolna uwierzyć w słowa spikera. Sześć wielkich krążowników zostało zatopionych lub poważnie uszkodzonych w bazie Pearl Harbor na Hawajach, a stacjonującym tam siłom powietrznym pozostało zaledwie szesnaście zdolnych do latania bombowców. Japończycy przeprowadzili niespodziewany poranny atak na Hawaje, dziesiątkując oddziały amerykańskich wojsk. Nie było już wątpliwości, iż jednym szybkim morderczym gestem wciągnęli Stany Zjednoczone do wojny.

Z trzepoczącym sercem i pobladłą twarzą Liane zbiegła po schodach i odnalazła wuja, który w swoim gabinecie z wilgotnymi oczyma słuchał tych samych wiadomości. Po raz pierwszy w życiu jego ojczyzna, kraj, który tak bardzo kochał, został zaatakowany. Liane podeszła do niego i kilka chwil później objęli się ramionami, słuchając przemówienia prezydenta Roosevelta. Ameryka przystąpiła do wojny, co miał jeszcze zatwierdzić tylko senat. Trzy dni później, 11 grudnia, wojnę Stanom wypowiedziały Włochy i Niemcy, Kongres zaś przyjął jednogłośnie uchwałę o włączeniu się Stanów Zjednoczonych do wojny. Dla Amerykanów nadeszły nowe czasy, i to bardzo smutne. W całym kraju wciąż jeszcze panowało powszechne poruszenie związane z atakiem na Pearl Harbor. Wszyscy zastanawiali się bez ustanku, czy Japończycy posuną się w swej zuchwałości jeszcze dalej, atakując wielkie

miasta na kontynencie amerykańskim. Nagle rozwiało się dotychczasowe poczucie pewności i bezpieczeństwa.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Rankiem 7 grudnia także w Nowym Jorku wybuchła panika, ale przerażenie społeczeństwa nie było aż tak odczuwalne jak na Zachodnim Wybrzeżu. Hawaje leżały daleko, chociaż świadomość, że zaatakowano amerykańskie wojsko, poraziła wszystkich. Ulgę przyniosło dopiero orędzie Roosevelta do narodu, deklarujące przystąpienie do wojny. Stany Zjednoczone, zakasawszy rękawy, mogły teraz rewanzować się wrogowi. Amerykanie liczyli, że Japończycy nie dobiorą się do nich pierwsi, atakując resztę kraju tak jak Pearl Harbor.

Nick usłyszał wiadomości z półtoragodzinnym opóźnieniem. Kiedy Hillary zabrała Johnny'ego, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie, następnego ranka zaś obudził się na poboczu szosy gdzieś w Massachussetts. Jechał prosto przed siebie, nie zważając dokąd, chciał bowiem tylko gnać bez opamiętania. Nazajutrz zadzwonił do Hillary, porozmawiał z Johnnym, lecz zapytawszy o weekend, usłyszał, że państwo Markham mają inne plany. Wybierali się na kilka dni do Palm Beach z wizytą do pani Markham. Nick doskonale wiedział, po co tam jadą - podlizać się matce Markhama i wycisnąć z niej więcej pieniędzy. Co nie znaczy, że byli w potrzebie. Tak czy inaczej dla Nicka ważne było jedynie to, że nie zobaczy się z Johnnym w następny weekend.

Po otrzymaniu tej wiadomości zadzwonił do biura i oznajmił, że idzie na tygodniowy urlop. Wszyscy zrozumieli dlaczego, Nick nie próbował zresztą uzasadniać swojej decyzji. Nie mógłby skoncentrować się na pracy, a wyjazd na wieś zwykle przynosił mu ulgę. Chociaż do bólu tęsknił za synem, wiedział, że poczuje się lepiej po kilkudniowym pobycie na świeżym powietrzu.

Zgodnie z obietnicą dzwonił do Johna co wieczór, jeżdżąc od jednego miasteczka do drugiego. Zatrzymywał się w schludnych gospodach, jadał proste pożywe posiłki, odbywał długie spacery zadrzewionymi drogami pomiędzy jeziorami skutymi lodem. Te wiejskie wędrowki przywracały go do życia. W dniu, w którym zaatakowano Pearl Harbor, Nick był na kolejnym długim spacerze, a wczesnym popołudniem wrócił do gospody na solidny posiłek. Zjadł talerz zupy, wielki kawał sernika i wypił kufel piwa. Z roztargnieniem nastawił ucha, kiedy w drugim końcu jadalni ktoś włączył radio. Właściwie nic istotnego nie mogło wydarzyć się w niedzielę. Zrazu nie rozróżniał słów, potem nagle dotarły doń z wielką wyrazistością. I jak miliony rodaków w całym kraju, skamieniał wstrząśnięty. Wreszcie bez słowa wstał i poszedł do pokoju, aby się spakować.

Uczynił to w niezrozumiałym odruchu - coś mu mówiło, że powinien niezwłocznie wrócić do Nowego Jorku. Idylla w Nowej Anglii dobiegła końca. Uregulował rachunek, zadzwonił do mieszkania Hillary i zostawił wiadomość dla Johna, że wraca i zobaczy się z nim jeszcze tego wieczoru. Do diabła z planem odwiedzin! Chwycił torby i wypadł z gospody.

Potrzebował czterech i pół godziny, aby dojechać do Nowego Jorku. Nie zatrzymawszy się nawet w domu, żeby się przebrać, pojechał wprost do biura na Wall Street. Długo tam siedział, otoczony niedzielną ciszą, odziany jak w czasie wędrowek po lasach Massachussetts. Wiedział, co zrobi w następnej

kolejności, a do biura przyszedł głównie po to, żeby znaleźć chwilę spokoju i nabrać pewności, że jego decyzja jest słuszna.

Przez całą drogę do domu słuchał radia. Samoloty zwiadowcze patrolowały całe wybrzeże, nie dostrzegły jednak maszyn nieprzyjacielskich. Po Pearl Harbor japońskie ataki już się nie powtórzyły.

Poczynił pewne notatki, wreszcie wykręcił prywatny numer prezydenta. Połączono go zdumiewająco szybko. Prawdopodobnie wszyscy znaczący obywatele tego kraju usiłowali dodzwonić się teraz do Roosevelta, ale Nick, jako prezes rady nadzorczej korporacji Burnham Steel, miał zawsze pierwszeństwo.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, pospiesznie notował. Znów czuł, że panuje nad sobą. Po raz pierwszy w życiu został pokonany, ale nie na dobre. Kiedyś odzyska Johnny'ego, teraz natomiast chyba nawet lepiej, że dziecko znajduje się pod opieką Hillary. Nick miał wiele spraw na głowie, a dużo jeszcze mogło się zmienić w kraju, który przystąpił do wojny. Przez dłuższy czas nie będzie miał wolnej chwili.

Kiedy w słuchawce rozległ się głos prezydenta, Nick z powagą wyjaśnił, dlaczego telefonuje. Rozmowa była krótka, lecz rzeczowa i w pełni zadowolająca - Nick uzyskał wszystko, czego pragnął. Pozostało mu teraz tylko zamknąć biuro i zobaczyć się z Johnnym. Przedtem zadzwonił jeszcze do Brett Williamsa.

Brett Williams był jego prawą ręką i w ciągu roku, który Nick spędził w Europie, prowadził centralę firmy w Stanach. Nick złapał go w domu. Brett spodziewał się telefonu szefa przez całe popołudnie, toteż nie był ani trochę zaskoczony. Obaj wiedzieli, co się kroi. Wojna oznaczała dla korporacji wielką, aczkolwiek dość przerażającą hossę.

- I jak, Nick, co o tym myślisz?

Nie wymienili uścisku dłoni, nie przywitani się po dłuższym rozstaniu, nie wspomnieli o nieudanej próbie uzyskania prawa do opieki nad Johnnym. Znali się na wylot. Brett Williams zaczął pracę dla korporacji Burnham Steel jeszcze w czasach, gdy kierował nią ojciec Nicka, kiedy zaś interesy przejął Nick, stał się dlań wręcz nieoceniony.

- Myślę, że będziemy mieli cholernie dużo roboty. No i myślę też o paru innych rzeczach. Dzwoniłem właśnie do Roosevelta.

- Dzwoniłeś ty i wszystkie staruszki z Kansas.

Nick uśmiechnął się szeroko. Williams był interesującym facetem. Dorastał na farmie w stanie Nebraska, zdobył stypendium w Harvardzie i był stypendystą fundacji Rhodes w Cambridge. Przebył daleką drogę od pól Nebraski.

- Porobiłem sobie pewne notatki, Peggy przepisze ci je jutro na maszynie. Ale teraz chciałbym ci zadać kilka istotnych pytań.

- Wał śmiało.

Nick wahał się przez chwilę, zastanawiając się, czy Brett zechce spełnić jego prośbę - prośbę nie byle jaką. Nigdy dotąd Williams go nie zawiódł, toteż Nick wierzył, że i teraz będzie podobnie. Był rad, słysząc odpowiedź Williamsa, ani trochę nie zaskoczonego jego prośbą, podobnie zresztą jak wcześniej prezydent Roosevelt. Tylko to Nick mógł uczynić ze względu głównie na swoją funkcję i pozycję. Wszyscy trzej zdawali sobie z tego sprawę, Nick nie wiedział tylko, czy zrozumie to również Johnny.

Nick odebrał Jahna z mieszkania Hillary w piątek. Wcześniej uporządkował wszystkie sprawy w pracy, tak że miał do dyspozycji cały weekend. Chłopiec szalał z radości ujrzawszy ojca, co Hillary, wydymając wargi, obserwowała od drzwi.

- Cześć, Hillary - przywitał ją chłodno Nick. - Odwiozę Johna w niedzielę o siódmej.

- Lepiej będzie o piątej.

Napięcie pomiędzy nimi groziło wyładowaniem, toteż Nick uznał, że lepiej nie podejmować z nią dyskusji w obecności dziecka. Johnny i tak przez wiele już przeszedł i Nick nie chciał zepsuć mu tego weekendu.

- Dobrze.

- Gdzie będziecie?

- W domu.

- Dopilnuj, żeby jutro zadzwonił. Chcę wiedzieć, jak się czuje.

Jej słowa smagnęły Nicka jak bicz, ale skinął głową w milczeniu. W samochodzie dokładnie wypytał Johnny'ego, który przyznał, że chociaż wolałby mieszkać z ojcem, zachowaniu matki wobec siebie nie może nic zarzucić, a starsza pani Markham podczas wizyty w Palm Beach była wręcz serdeczna. Obdarowała go mnóstwem prezentów, zabierała na spacer i Johnny w gruncie rzeczy ją polubił. Matki i Philipa nie widuje zbyt często, na ogół bowiem przebywają poza domem, poza tym odnosił wrażenie, że Markham raczej nie przepada za dziećmi.

- Oni są chyba w porządku, tatusiu, ale to całkiem co innego niż jak mieszkaliśmy razem - powiedział.

John uśmiechnął się szeroko, kiedy wszedł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko.

- Witaj w domu, synu. - Nick przyglądał się chłopcu z radosnym uśmiechem. Ból, jaki odczuwał w ciągu minionych dni, zaczął słabnąć. - Naprawdę bombowo jest mieć cię z powrotem.

- Naprawdę bombowo jest być tu znowu.

Zjedli razem w przyjemnym nastroju kolację, potem Nick utulił go do snu. W czasie tego weekendu miał do omówienia z synem wiele rzeczy, ale one mogły poczekać.

W sobotę jeździli na wrotkach w Central Parku, później poszli do kina i na hamburgera. Spędzany razem czas w niczym nie przypominał ich dotychczasowego życia, w stosunkach między ojcem a synem brakowało bowiem owej lekkości, jaką daje jedynie obcowanie ze sobą na co dzień. Nick był jednak szczęśliwy, mając syna przy sobie.

W niedzielę zakomunikował mu to, co odkładał przez cały weekend. Kilkakrotnie rozmawiali wprawdzie o Pearl Harbor i o tym, co japoński atak oznacza dla Stanów Zjednoczonych, lecz dopiero w niedzielę Nick oświadczył synowi, iż zgłosił się na ochotnika do wojska.

- Naprawdę?! - zdumiał się Johnny. - Chcesz powiedzieć, że będziesz walczył z Japończykami? - To określenie usłyszał w szkole. Nick nie był pewien, czy podoba mu się ono w ustach syna, ale skinął głową.

- Nie wiem, gdzie zostaną wysłani, John. Mogą mnie skierować dosłownie wszędzie.

Chłopiec dumiał nad czymś przez chwilę, wreszcie spojrzął ojcu w oczy.

- To znaczy, że znów wyjeżdżasz, jak wtedy, kiedy byłeś w Paryżu - zauważył. Nie przypominał ojcu obietnicy, że nigdy się już nie rozstaną, Nick jednak dostrzegł w jego oczach wyrzut. Nieważne, że cały świat stanął

na głowie, że Hawaje zostały zbombardowane. Nagle poczuł się winny, że chce wstąpić do wojska. Właśnie z tego powodu skontaktował się z Williamsem. Jako szef wielkiej firmy o ogólnokrajowym znaczeniu mógł bez trudu zostać zwolniony z obowiązku służby, tego jednak nie chciał. Pragnął walczyć za ojczyznę. Nie miał już przy sobie syna i musiał uciec jakoś od tego wszystkiego. Od Hillary, od sądów, od udręki, która będzie się wiązała z apelacją, a nawet od wyrzutu w oczach syna, że nie potrafił go zatrzymać. Kiedy godzinami maszerował po lasach Massachusetts, uświadomił sobie, iż musi w swoim życiu dokonać jakiejś radykalnej zmiany, usłyszawszy zatem o Pearl Harbor, wiedział już, na czym będzie ona polegała. Zadzwoił do Roosevelta, aby poinformować go o swojej decyzji i jak najbardziej przyspieszyć mobilizację. Z Brettem natomiast rozmawiał o przejęciu kierownictwa nad korporacją pod jego nieobecność. Brett był jedynym człowiekiem, któremu był skłonny powierzyć firmę, a skoro się zgodził, Nick mógł pójść do wojska.

- Kiedy wyjedziesz, tato? - Zadając to pytanie, John sprawiał wrażenie człowieka w pełni dojrzałego. W ciągu ostatnich miesięcy widział wiele i bardzo dorósł.

- Nie wiem, Johnny. Przypuszczam, że nie od razu, ale wszystko zależy od tego, dokąd zdecydują się mnie wysłać.

Chłopiec przetrwał słowa ojca, potem skinął głową, ta rozmowa zasnęła jednak smutkiem resztę popołudnia. Nick cieszył się, że nie powiedział Johnny'emu wcześniej o swojej decyzji.

Nawet Hillary zauważyła, jak bardzo przygaszony jest chłopiec, kiedy Nick odwiózł go do niej. Popatrzyła na syna, później na Nicka i zapytała:

- Co się stało?

- Powiedziałem mu, że idę do wojska.

- Do piechoty morskiej? - Stropiła się, kiedy przytaknął. - Ale przecież odbyłeś już służbę.

- Nasz kraj toczy wojnę, chyba o tym słyszałaś?

- Ale ty nie musisz służyć, jesteś z tego zwolniony.

Nick zauważył, że Johnny z wielkim zainteresowaniem przysłuchuje się ich rozmowie.

- Czuję się odpowiedzialny za swój kraj.

- Czy chcesz, żebym zaczęła śpiewać teraz "The Star-Spangled Banner"?

- Dobrej nocy, John. - Ignorując Hillary, Nick pocałował syna.

- Zadzwoię do ciebie jutro.

We wtorek miał się zgłosić w bazie Quantico w stanie Wirginia, a potem zapewne będzie bardzo zajęty przez tydzień albo dwa. Pozostawał w aktywnej rezerwie już od dawna, nie musiał zatem ponownie przechodzić szkolenia i miał otrzymać stopień, z którym go zdemobilizowano - stopień majora.

Tego wieczoru po powrocie do domu Nick zastanawiał się, co Johnny'emu powie Hillary. Czy to, że wcale nie musiał iść na wojnę? Że jest głupcem? No i co o tym wszystkim pomyśli chłopiec? Niechybnie uzna, że ojciec go porzucił.

Usiłując dojść do ładu z dręczącymi go problemami, Nick poczuł nagle ogromne znużenie. Musiał jeszcze uporządkować dokumenty. W ogóle do wtorku musiał bardzo wiele zrobić.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Zgłosiwszy się we wtorek rano do bazy w Quantico, Nick zdumiał się widząc, jak wielu Amerykanów stawiało się już do służby w wojsku. Dostrzegł dwie, może trzy twarze znane z ćwiczeń rezerwy i całe rzesze młodych chłopaków, wstępujących do wojska w stopniu szeregowych. Był też zaskoczony tym, jak doskonale czuje się przywdziawszy na powrót mundur. Sprężystym krokiem maszerował przez hol, gdy jakiś roztrzęsiony młodzik stanął przed nim na baczność i nazwał go pułkownikiem.

- Jestem generałem, szeregowy! - ryknął Nick, na co młody człowiek omal się nie sfajdał w spodnie. Nick z całych sił musiał powstrzymać śmiech.

- Tak jest, panie generale! - Szeregowy zniknął, a Nick jeszcze szeroko się uśmiechał, kiedy za rogiem natknął się na starego kumpla, który był świadkiem tego incydentu.

- Powinieneś się wstydzić. Ci gówniarze są takimi samymi patriotami jak ty, może nawet lepszymi. A co ty właściwie tu robisz? Próbujesz się wykręcić od codziennej harówki w biurze?

Mężczyzna, który zagadał do Nicka, był prawnikiem. Razem studiowali w Yale, razem też odbywali służbę wojskową.

- Gdzieś ty się podziewał, Jack? Wypieprzyli cię z palestry?

- Do diabła, to chyba oczywiste, bo czegoż bym tu szukał?

- Wybuchnęli śmiechem i ruszyli korytarzem. Musieli odebrać rozkazy wyjazdu. - Ale muszę ci się przyznać, że wczoraj wieczór uznałem, że mi odbiło.

- O tym mogłem ci powiedzieć już w Yale. - Zerknął na przyjaciela. - Jak myślisz, dokąd mogą nas wysłać?

- Do Tokio, do hotelu Imperial.

- Zapowiada się nieźle - uśmiechnął się Nick. Powrót do wojska sprawił, że czuł się nieco dziwnie, ale na pewno nie źle. Poprzedniego wieczoru rozmawiał z Johnnym i doszedł do wniosku, że chłopiec w końcu zrozumiał, co robi jego ojciec. Z rozmowy wynikało, że jest z niego dumny, co zdjęło z barków Nicka wielki ciężar.

Zasalutowali niewieście w stopniu oficerskim, która wręczyła im zapieczętowane rozkazy. Byli najprzystojniejszymi mężczyznami, jakich widziała od tygodnia. Jack Ames miał na palcu ślubną obrączkę, major Burnham natomiast nie, co zauważyła od razu.

- Mamy je otworzyć od razu, pani porucznik, czy możemy później?

- Jak panowie wolicie, byleście się zgłosili do służby na czas.

Jack z nerwowym uśmiechem jako pierwszy otworzył swoją kopertę.

- Zwyciężył zaś... A niech to!... San Diego. A co u ciebie, Nick?

Nick rozerwał kopertę i zerknął na rozkaz. - San Francisco.

- A potem do Tokio, nieprawdaż, śliczna? - Jack uszczypnął dziewczynę w policzek.

- Dla pana jestem porucznikiem.

Wyszli na korytarz, Nick pogrążony w myślach.

- Co jest? Nie odpowiada ci San Francisco?

- Cholernie mi odpowiada.

- Więc o co chodzi?

- Z rozkazu wynika, że mam się tam stawić w przyszły wtorek.

- No i co z tego? Masz inne plany? Może nie jest za późno na zmianę zdania.

- Nie w tym rzecz. Muszę wyjechać za dwa dni. Powiedziałem synowi... -

Stał zatopiony w myślach i Jack nagle wszystko zrozumiał.

On też musiał brać pod uwagę żonę i trzy córki. Poklepał Nicka po ramieniu i pozostawił go jego rozmyślaniom.

Wieczorem Nick zadzwonił do Johna. Wiedział już, że musi wyjechać pociągiem w czwartkowy wieczór i że przedtem otrzyma dwudziestoczęterogodzinną przepustkę. Czasu miał więc niewiele, aby pożegnać się z synem jak należy, na nic więcej jednak nie mógł liczyć.

Najpierw porozmawiał z Hillary, przedstawiając jej sytuację. Po raz pierwszy zachowała się przyzwoicie - zgodziła się, by zabrał syna następnego dnia i był z nim w czwartek do chwili, gdy będzie musiał jechać. Potem zawiadomiła do telefonu Johnny'go, pozwoliwszy Nickowi osobiście powiadomić chłopca.

- Cześć, tato.

- Tato majorze, jeśli łaska. - Próbował zachować lekki ton głosu, ale właściwie wszystkie jego myśli koncentrowały się na pożegnaniu. Dla żadnego z nich nie będzie to łatwe i Nicka przerażała myśl, że chłopiec może się poczuć opuszczony. Wiedział jednak, że robi to, co powinien. - Jak sobie dajesz radę, tygrysie?

- Nieźle - odparł John, lecz z jego głosu przebijał smutek. Nie doszedł jeszcze do siebie po nowinach, które Nick przekazał mu w niedzielę, a przecież czekały go znacznie gorsze.

- Co byś powiedział na spotkanie ze swoim tatą-majorem już jutro?

- A mogę? - zapytał z podnieceniem. - Myślisz, że mama mi pozwoli?

- Już ją prosiłem i wyraziła zgodę.

- Hurra! To bomba.

- Przyjadę po ciebie o piątej. Możesz spać u mnie i zastanowić się, gdzie chcesz zjeść obiad.

- To znaczy, że już dostałeś przepustkę?

- Jasne. Nie jestem byle kim.

Johnny wybuchnął śmiechem. - Chyba fajnie jest być komandosem, co?

Nick jęknął. - Ja bym się z tym nie zgodził. - Wspomnienie było dosyć odległe, ale wciąż pamiętał obóz rekrutów, w którym się znalazł przed osiemnastu laty. - Tak czy inaczej zobaczymy się jutro po południu. O piątej. - Odłożył słuchawkę i powoli odszedł od aparatu.

Rozstanie będzie ciężkie, nie tak jednak ciężkie jak to, co przeszli obaj przed paroma zaledwie tygodniami. Znowu przypomniał sobie proces, lecz czym prędzej odsunął to wspomnienie. Nie mógł bez bólu myśleć o wieczorze, kiedy Hillary zabrała Johna. Ich kolejne pożegnanie zapewne nie będzie łatwiejsze.

Okazało się, że miał słuszność.

Nazajutrz w czasie kolacji powiedział o wszystkim synowi. Johnny nie zapłakał, nie okazał przygnębienia, ale też nie powiedział ani słowa. Po prostu patrzył na ojca w taki sposób, że omal nie złamał Nickowi serca.

- Daj spokój, tygrysie, nie jest tak źle.

- Obiecałeś, że nigdy mnie już nie opuścisz. Obiecałeś, tato - rzekł cichutko smutnym głosem, w którym nie było cienia skargi.

- Ależ, Johnny, jest wojna.

- Mama mówi, że wcale nie musisz na nią iść.

Nick głęboko zaczerpnął powietrza. - Ma słuszność. Gdybym chciał, mógłbym całą wojnę przesiedzieć za biurkiem. Ale to nie byłoby w porządku. Czy byłbyś ze mnie dumny, gdybym tak właśnie postąpił? Za kilka tygodni ojcowie twoich przyjaciół też wstąpią do wojska. Jak byś się wówczas czuł?

- Cieszyłbym się, że jesteś ze mną - odparł szczerze. Nick pokręcił głową.

- Czułbyś się zawstydzony. Czy naprawdę chciałbyś, żebym postąpił, jak mówisz?

- Nie wiem. - Mały przez długą chwilę wpatrywał się w talerz, w końcu podniósł głowę. - Ale wolałbym, żebyś nigdzie nie jechał.

- A ja bym wolał, żeby Japończycy nigdy nie zaatakowali Pearl Harbor. Tylko że tak się stało i teraz musimy z nimi walczyć. W Europie wojna toczy się już od bardzo dawna.

- Ale przecież mówiłeś, że my nigdy nie weźmiemy w tej wojnie udziału.

- Myliłem się, synu. Ogromnie się myliłem... A teraz zamierzam zrobić to, co do mnie należy. Będę za tobą strasznie tęsknił, w dzień i w nocy, ale obaj musimy wierzyć, że postępuję słusznie.

Oczy chłopca wypełniły się łzami. Argumentacja ojca wcale go nie przekonała. - A jeśli nie wrócisz?

- Wrócę - odpowiedział Nick ochryple i już chciał dodać "przysięgam", ale przecież składał takie przyrzeczenia wcześniej, ostatnio zaś kiepsko się z nich wywiązywał. - Musisz to sobie zapamiętać, synku: ja wrócę...

Dodał jeszcze, że został skierowany do San Francisco, po czym uregulował rachunek i wrócili do domu. Nick nadal dosyć dziwnie czuł się w mundurze, choć w ostatnich dniach mundury pojawiały się dosłownie wszędzie. Kiedy trzymając się za ręce wychodzili z restauracji, zastanawiał się, czy jego syn pewnego dnia będzie zeń dumny, czy też w ogóle nie będzie to miało dla niego znaczenia, bo nad wszystkim zapanuje poczucie wielokrotnej zdrady. Ze strony matki, która się o niego nie troszczy, ze strony sędziego, który nic nie zrozumiał, i ze strony ojca, który uciekł, by zabawić się w żołnierzyka.

Z ciężkim sercem otulał tej nocy Johnny'ego kołdrą, następny dzień wszakże był znacznie gorszy. Odbyli długi spacer po parku, obserwowali łyżwiarzy na lodowisku, lecz myśleli o czym innym, czas upływał im zaś zdecydowanie za szybko. Nick odwiózł syna do Hillary o czwartej. Otworzywszy drzwi, popatrzyła na chłopca, który wyglądał tak, jakby umarł mu ktoś bliski. Uważnie obserwowала też ich pożegnanie.

- Uważaj na siebie, synu. Zadzwonię z San Francisco, jak tylko będę mógł.

- Nick ukląkł obok zapłakanego dziecka. - Uważaj na siebie, słyszysz?

Wrócę, musisz pamiętać, że wrócę.

Johnny zarzucił mu ramiona na szyję.

- Nie jedź... Nie jedź... Zabiją cię.

- Nie zabiją. - Nick musiał hamować łzy, a Hillary odwróciła się do nich plecami. Po raz pierwszy ich ból dotknął również ją. Nick jeszcze raz uścisnął syna i wstał. - Idź teraz, synu.

Johnny jednak wciąż stał w tym samym miejscu, kiedy Nick odchodził, kiedy odwrócił się, by pomachać mu ręką, a potem pobiegł ulicą, zatrzymał taksówkę i zniknął w jej wnętrzu.

Po powrocie do domu Nick zabrał spakowane rzeczy i pożegnał się ze służącą. Płakała, przed odejściem przytulił ją zatem, uścisnął dłoń odźwiernemu Mike'owi, po czym ruszył na dworzec. Zajmując wraz z innymi mężczyznami miejsce w przedziale, przypomniał sobie, kiedy był w pociągu po raz ostatni: wtedy Liane jechała do Waszyngtonu, on zaś stał na peronie, patrząc za nią. Jakże zmieniło się od tego czasu ich życie - w każdym razie jego życie, bo miał nadzieję, że w sytuacji Liane niewiele się zmieniło, że Armand wciąż daje sobie radę. I wiedział teraz, przez co de Villiersowie



musieli przejść, gdy rozstawali się w Tulonie.

Nick starał się na czymś skoncentrować, myślami jednak wciąż wracał do syna, którego zapłakana przy pożegnaniu buzia stawała mu przed oczami. W połowie drogi udało mu się zadzwonić do Johnny'ego, ale chłopca nie było w domu, Nick zaś nie miał czasu powtórnie się połączyć, gdyż pociąg już ruszał. Telefonował potem zaraz po przybyciu do San Francisco, znowu jednak wybrał zły moment, a później utonął w wirze rozkazów i wszystkiego, co wiąże się z ponownym przystosowaniem do zapomnianego już reżimu życia w wojsku.

Z uczuciem ulgi dotarł na koniec do swojego pokoju w jednym z kilku niewielkich hotelików na Market Street zajętych przez piechotę morską. Zamknawszy za sobą jego drzwi owego wtorkowego wieczoru, z trudem potrafił uwierzyć, że jest w wojsku zaledwie od tygodnia. Zdawało mu się, że nosi mundur od lat i ma tego serdecznie dosyć. Niestety, trwała wojna, nie mógł go więc zrzucić. Miał tylko nadzieję, że w niedługim czasie zostanie wysłany na front. W tym mieście zupełnie nie miał co robić. Teraz natomiast marzył tylko o tym, żeby się spokojnie wypaść.

Leżał w ciemnościach na wąskim hotelowym łóżku i właśnie zasypiał, gdy usłyszał pukanie. Mamrocząc coś pod nosem, ruszył po omacku ku drzwiom, otworzył je i ujrzał zdenerwowanego szeregowca.

- Major Burnham?

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale polecono mi powiadomić wszystkich...

- Nick spodziewał się co najmniej nowin o ataku nieprzyjaciela, stęzał zatem w oczekiwaniu na dalsze słowa szeregowca.

- Dzisiejszej nocy odbywa się raut zorganizowany przez Czerwony Krzyż...

Dla wyższych rangą oficerów... i z powodu Bożego Narodzenia... i w ogóle...

- bąkał coraz bardziej stropiony.

Nick, ubrany tylko w slipy, z jękiem wsparł się o framugę drzwi.

- I po toście mnie obudzili?... Przebyłem prawie trzy tysiące mil, nie spałem porządnie od pięciu dni, a wy walicie do moich drzwi, żeby zaprosić mnie na herbatkę organizowaną przez Czerwony Krzyż?...

- Usiłował przybrać gniewny wyraz twarzy, lecz potrafił się tylko śmiać.

- Rany boskie...

- Przepraszam, sir... Sztab uznał...

- Czy sztab udaje się na herbatkę w Czerwonym Krzyżu?

- To nie jest herbatka, sir, to koktajl.

- Urocze. - Groteskowość sytuacji przerastała wytrzymałość Nicka, który osunął się na podłogę przy drzwiach i wybuchnął niepohamowanym śmiechem. - Jaki koktajl? Kool-Aid z dżinem?

- Nie, sir, miałem na myśli... Nie wiem, sir. Rzecz w tym, że ci ludzie byli dla nas bardzo mili, to znaczy dla piechoty morskiej, i sztab chce, żeby się wszyscy pokazali na imprezie... Aby wyrazić nasze uznanie dla...

- Dla czego?

- Nie wiem, sir.

- Doskonale. W takim razie pożyczę wam swój mundur i pójdziecie za mnie.

- Skończyłbym w areszcie, gdybym podawał się za oficera. - Od początku rozmowy szeregowiec stał wyprostowany jak struna.

- To rozkaz, szeregowy, czy zaproszenie?

- Jedno i drugie, jak sądzę. Zaproszenie od Czerwonego Krzyża i...

- Rozkaz ze sztabu - przerwał mu Nick. - Boże!... O której zaczyna się ten cyrk?

- O osiemnastej, sir.

Nick zerknął na zegarek. A więc lada chwila.

- Szlag by trafił!... No to już się wyspałem. Dziękuję, żołnierzu.

- Już zamykał drzwi, gdy naraz coś sobie przypomniał. - A gdzie to się odbywa?

- Informację znajdzie pan na tablicy ogłoszeniowej na dole.

- Sir - dodał Nick z rozbawieniem. Na szczęście nie opuszczało go poczucie humoru. Szeregowy oblał się rumieńcem.

- Przepraszam, sir.

- Skąd jesteście?

- Z Nowego Orleanu.

- Jak wam się tu podoba?

- Nie wiem, sir. Jeszcze nie ruszyłem się z miejsca.

- Jak długo tu jesteście?

- Dwa tygodnie. Przedtem byłem w obozie szkoleniowym w Missisipi.

- Nieźle musiałeś się bawić. - Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. - Tak czy siak, szeregowy, skoro nie zgadzacie się przebrać dzisiaj w mój mundur, chyba włożę go sam.

Nick należał do nielicznych szczęściarzy, którzy mieli do dyspozycji prysznic. Zmył brud podróży, włożył mundur wyjściowy i dwadzieścia minut później szukał na dole informacji o adresie. Przyjęcie odbywało się u pani MacKenzie na Jackson Street. Nie miał pojęcia, jak tam dotrzeć. Nie był w San Francisco od lat, postanowił zatem wezwać taksówkę. Ponieważ takie samo "zaproszenie" otrzymało jeszcze trzech oficerów, pojechali razem.

Wysiedli przed imponującym budynkiem otoczonym żeliwnym ogrodzeniem i schludnym ogrodem. Jeden z oficerów cicho gwizdnął przez zęby, kiedy Nick płacił za taksówkę, po czym wszyscy trzej podeszli do bramy i zadzwonili. Kiedy kamerdyner ich prowadził, Nick zastanawiał się, ile takich rautów wydała już pani MacKenzie. Wojna ściągnęła do miasta całe rzesze mężczyzn z różnych stron kraju. Miło z jej strony, że otworzyła swój dom dla wojska. Do Bożego Narodzenia pozostawały zaledwie dwa dni. Nick wręczył Johnny'emu gwiazdkowe prezenty przed wyjazdem. Obu ich czekały samotne święta. W tym roku wszystko wyglądało inaczej. Oto na przykład on, przejechawszy trzy tysiące mil na Zachodnie Wybrzeże, przemierzał hol domu obcej kobiety i wkraczał do salonu zapełnionego wojskowymi w mundurach i kobietami w sukniach wieczorowych, pośród których z tacami wypełnionymi kieliszkami z szampanem krążyli lokaje.

Przez chwilę Nick patrzył na most Golden Gate, odnosząc nieprzeparte wrażenie, że wszystko to jest snem. Wreszcie zaczął błądzić wzrokiem po sali. I wtedy spostrzegł... ją... Stała w rogu, pogrążona w rozmowie z kobietą w ciemnoczerwonej sukni, z kieliszkiem w dłoni. Kiedy na nią patrzył, odwróciła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

Dla Nicka czas się zatrzymał, jej cała sala zatańczyła przed oczyma. Powoli ruszył w jej stronę, ona zaś usłyszała głos, który przez półtora roku przemawiał do niej tylko w snach. Głos był pieszczotą, wydawało się, że otaczające ich tłumy znikają, kiedy Nick wypowiedział jedno jedyne słowo: "Liane..." Patrzyła na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem, jego usta zaś rozchyliły się w uśmiechu.

- Czy to naprawdę ty? - Nick popatrzył Liane głęboko w oczy.

Kobieta, która z nią rozmawiała, oddaliła się bez słowa ujrawszy wyraz jego twarzy. Liane uśmiechnęła się, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nie jestem pewna.

- To tylko sen. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi. - A może się mylę?

- Możliwe, majorze. Jak się miewasz? - Jej uśmiech był ciepły, lecz słowa zmuszały do zachowania dystansu. - Tyle czasu minęło!...

- Co tu robisz? - spytał, nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy.

- Mieszkam tutaj. Przeniosliśmy się w zeszłym roku.

Nick wpatrywał się w jej oczy szukając wszystkiego, o czym aż do bólu pragnął się dowiedzieć, nie znalazł jednak niczego, co byłoby wypisane w nich wyraźnie. Były równie wielkie i piękne jak niegdyś, lecz teraz, jak mu się zdawało, przesłaniała je mgła. Liane tęskniła i cierpiała, to było widać. I Nick oczywiście natychmiast pomyślał o Armandzie. Opuścił wzrok na dłonie Liane - nadal nosiła cienką obrączkę ślubną.

- Sądzilem, że jesteś w Waszyngtonie.

- Powrót tam nie był dobrym pomysłem. - Ich oczy się spotkały, Liane wszakże nic więcej nie dodała. Potem Nick spostrzegł, że na jej twarzy wypływa znany z dawnych czasów ciepły uśmiech. Śnił o nim od blisko dwóch lat. Taki właśnie uśmiech widział na jej twarzy, gdy leżała w jego ramionach. - Miło cię widzieć, Nick.

- Naprawdę? - Wcale nie był tego pewien. Sprawiała wrażenie niemal wystraszonej.

- Oczywiście, że tak. Od jak dawna jesteś w mieście?

- Od dzisiaj. A co ty właściwie tu robisz, u diabła? - To miejsce i koktajl wydany na cześć wojskowych jakoś do niej nie pasowały. Skoro wciąż nosiła obrączkę, nie mogła polować na męża, poza tym nie byłoby to w stylu kobiety, z którą przed półtora rokiem rozstał się na nowojorskim dworcu. Chyba że całe jej życie uległo aż tak drastycznej zmianie. A może zaczęła jej dokuczać samotność?

- Pracuję w Czerwonym Krzyżu. A na przyjęciu jestem na wyraźny rozkaz przełożonych.

Nachylił głowę i wyszeptał jej do ucha: - Tak samo jak ja.

Roześmiała się i cień czułości przemknął przez jej oblicze. Zrazu nie chciała zadawać tego pytania, ale teraz się na nie zdecydowała:

- Co tam u Johna?

Nick zaczerpnął powietrza. - Wszystko w porządku. Nie wiem, czy miałaś tu wiadomości o procesie. Rozwiedliśmy się z Hillary ponad rok temu, potem procesowałem się z nią o opiekę nad Johnnym i kilka tygodni temu przegrałem sprawę. Johnny zniósł to dosyć ciężko.

- Zerknął na swój mundur. - Tak samo jak to.

- Ty też nie przelknąłeś tego wszystkiego bez bólu. - Jej głos był gładki jak jedwab. Nie mogła oderwać spojrzenia od oczu Nicka, ale wiedziała, że nie może nawet na chwilę zmniejszyć dystansu pomiędzy nimi. Zrobiła to już raz i wciąż z najwyższym trudem wyrzucała z myśli tamte wspomnienia. - Owszem, czytałam o procesie - mówiła tym delikatnym głosem, który tak bardzo lubił. - Współczułam ci całym sercem.

Skinął głową i upił łyk szampana. - Sędzia uznał, że Johnny'emu lepiej będzie z Hillary, skoro wyszła za męża. A wiesz, co zrobił ten jej sukinyń?... - Jego twarz stwardniała na kamień, gdy opowiadał Liane o Markhamie i rewolwerze. - Zamierzałem złożyć apelację, ale akurat nastąpił

atak na Pearl Harbor. Spróbuję po powrocie, zresztą może będzie wtedy gotowa zrezygnować z Johnny'ego. Mój adwokat uważa, że chciała się po prostu na mnie odegrać.

- Za co? - zdumiała się Liane. Czyżby opowiedział Hillary o ich związku?

- Chyba za to, że nigdy mnie nie kochała, chociaż brzmi to niewiarygodnie. Byłem człowiekiem, który ją więził przez wszystkie te lata.

Liane natychmiast przypomniała sobie incydent na statku. Podobnie zresztą jak Nick.

- Byłeś bardziej zniewolony niż ona.

Przytaknął. - Cóż, ten związek jest już skończony i nie ma sensu rozprawiać, co z niego wynikło. Nie mogę narzekać, skoro dał mi Johnny'ego. Teraz muszę go tylko odzyskać.

- Odzyskasz. - Jej głos był silny i stanowczy. Przypomniała sobie, co Nick kiedyś powiedział o niej: "Silnych ludzi nie można pokonać".

- Mam nadzieję że się nie mylisz. - Dopił szampana i popatrzył na Liane. Uczesana w koczek, była jeszcze piękniejsza niż niegdyś, ale miała teraz w sobie więcej spokoju i surowości. Za rygory, które sobie narzuciła, musiała zapłacić, mimo to jej twarz pozostała taka sama. Oczy zaś jakby jeszcze bardziej zbłękitniały. Poza tym jak zawsze wyglądała bardzo szycownie. Nick uśmiechnął się do swoich myśli.

- Gdzie tutaj mieszkasz?

- Z moim wujem.

- A jak tam dziewczęta?

- Doskonale - odparła i opuściwszy wzrok dodała: - Wciąż cię pamiętają.

Potem nagle dołączyło do nich dwóch wojskowych i jakaś kobieta z Czerwonego Krzyża, a chwilę później Liane wyszła. Nie szukała Nicka, żeby się z nim pożegnać, tak było lepiej. Wróciła samochodem wuja i powoli weszła do domu. Dziwnie było spotkać Nicka ponownie. To spotkanie otworzyło rany, które dawno się już wygoiły, tak się jej przynajmniej wydawało. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Często się zastanawiała, czy jeszcze się kiedyś zobaczą, i oto los przywiódł Nicka do San Francisco. Od ich rozstania wiele się w jego życiu zmieniło, u niej natomiast wszystko pozostało tak samo: Armand wciąż przebywał w okupowanej Francji, a ona tutaj na niego czekała.

- Dobrze się bawiłaś?- zapytał George, cierpliwie czekający na jej powrót.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła, choć wyraz jej twarzy wcale o tym nie świadczył.

- Nie wyglądasz na zadowoloną.

Uśmiechnęła się. - Spotkałam starego przyjaciela. Z Nowego Jorku.

- Naprawdę? Kogo?

- Nicka Burnhama. - Nie wiedziała, dlaczego mu to mówi. Może dlatego, że musiała coś powiedzieć?

- Czy on ma jakiś związek z korporacją Burnham Steel?

- Ma. On jest korporacją Burnham Steel.

- A niech mnie!... Jakieś trzydzieści lat temu poznałem jego ojca.

Wspaniały facet. Niekiedy bywał lekko szurnięty, ale w tamtych czasach tacy byliśmy wszyscy. Jaki jest jego chłopak?

Liane uśmiechem skwitowała użyte przez wuja określenie. - Miły i też troszkę szurnięty. Właśnie wstąpił do piechoty morskiej, jest majorem.

Dzisiaj rano przyjechał do miasta.

- Musisz go zaprosić któregoś dnia, zanim odpłynie. - Olśniła go pewna

myśl. - A może jutro?

- Wujku, nie wiem, czy...

- To Boże Narodzenie, Liane. A ten człowiek jest tu sam. Masz pojęcie, co to znaczy być samotnym w obcym mieście? Zachowaj się wobec niego przyzwoicie, na miłość boską.

- Nawet nie wiem, jak się z nim skontaktować. - Nie powiedziała wujowi, że nawet gdyby potrafiła go odszukać, nie uczyniłaby tego.

- Zadzwoń do sztabu piechoty morskiej. Będą wiedzieli, gdzie go znaleźć.

- Naprawdę nie sądzę...

- Dobra, dobra, mniejsza o to - przerwał jej George, po czym wymamrotał pod nosem: - Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, sam by do ciebie zadzwonił.

Nick miał sporo oleju w głowie. Po powrocie z rautu stanął przy oknie rozmyślając o Liane i o kaprysie losu, który zetknął ich ponownie. Gdyby ów młody szeregowiec z Nowego Orleanu nie zapukał wieczorem do jego pokoju... Porwał ze stolika książkę telefoniczną, zaczął szukać George'a Crocketta, a znalazłszy jego adres przy Broadwayu, wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Mieszkała tam, w tym domu. To był jej numer telefonu. Zanotował go i nazajutrz rano zadzwonił, lecz Liane wyszła już do Czerwonego Krzyża. Życzliwa służąca podała Nickowi jej numer do pracy. Zatelefonował natychmiast i słuchawkę podniosła Liane.

- Już pracujesz, Liane? Chyba się przemęczasz.

- Tak właśnie twierdzi wuj. - Jej dłoń zadrżała na dźwięk głosu Nicka.

Wolałaby, żeby do niej nie dzwonił, być może jednak wuj miał słuszość. Może zaproszenie Nicka na kolację byłoby szlachetnym gestem? A może jeśli przyjmie wobec niego postawę przyjacielską, stare marzenia wreszcie się rozwiążą?

- Masz dzisiaj jakieś plany w porze lunchu?

- Muszę coś załatwić dla wuja - skłamała Liane, nie chcąc się znaleźć z Nickiem sam na sam.

- Czy to nie może poczekać?

- Obawiam się, że nie. - Ton jej głosu nieco deprymował Nicka, ale może nie mogła swobodnie rozmawiać. Nadal otaczała się murem, tym samym co przez ostatnie dwa lata, uświadomił sobie. Najwyraźniej nie chciała go burzyć tylko dlatego, że on wpadł do miasta. Poza tym zeszłego wieczoru nie zapytał o Armanda. Znał jej uczucia dla męża i kiedyś już się z nimi pogodził. Teraz pragnął się z nią po prostu zobaczyć.

- A co powiesz o lunchu w piątek?

- Naprawdę nie mogę, Nick - odparła, po czym głęboko zaczerpnąwszy powietrza dodała: - Ale zapraszam cię dzisiaj do nas na kolację. Jest Wigilia i pomyśleliśmy, że...

- To bardzo miłe z waszej strony. Byłbym niezmiernie rad - zgodził się szybko, aby nie zmieniała zdania. Podała mu adres, a Nick nie przyznał się, że już go zna. - O której?

- O siódmej?

- Świetnie. Będę.

Z triumfalnym uśmiechem i radosnym okrzykiem odłożył słuchawkę. Nie czuł się już człowiekiem czterdziestoletnim, zdawało mu się, że znowu ma piętnaście lat. Przepelniało go szczęście - uczucie, którego dawno nie zaznał.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Do domu przy Broadwayu Nick przybył punktualnie o siódmej. Odziany w mundur wyjściowy i obładowany prezentami dla dziewcząt prezentował się niezmiernie efektownie. Wcześniej z pewnym znudzeniem myślał o tym, jak będzie wyglądać jego życie w San Francisco. Nie miał tu zupełnie nic do roboty. Posadzono go przy biurku i powierzono kwestię jakichś dostaw, ale w zasadzie tak samo jak inni koledzy miał po prostu wyczekiwać beczynnienie, aż zostanie wysłany na front. Dawało mu to dużo czasu na włóczęgę po mieście i spotkania z przyjaciółmi. Teraz, kiedy odnalazł Liane i jej córki, był rad, że nie ma żadnych zajęć.

Lokaj poprowadził go długim eleganckim korytarzem do biblioteki, gdzie cała rodzina zgromadziła się już przy choince. Wuj George zadbał, żeby wypełnić prezentami półkołochy wiszące nad kominkiem. Dziewczynki do przyjścia Nicka zajęte były oglądaniem otrzymanych już podarunków, teraz jednak ochoczo rzuciły się na nowe paczuszki. Nick kupił im przepiękne zabawki, w podziękowaniu dostał serdeczne uściski, po czym wręczył upominek głowie rodziny - statecznemu George'owi Crockettowi. Była to książka, o której George od dawna marzył.

Na koniec Nick wręczył Liane niewielkie pudełeczko, pierwszy prezent, jaki jej ofiarowywał, chociaż najchętniej obdarowałby ją wszystkimi skarbami świata. Chciał, aby Liane miała od niego coś, co mogłoby jej go przypominać, nie uświadamiał sobie bowiem, iż wspomnienia, które jej pozostały, są dużo trwalsze niż jakikolwiek upominek.

- Nie powinieneś... - powiedziała z uśmiechem, trzymając w dłoni wciąż zapakowane pudełeczko.

- Ale chciałem. Otwórz, proszę. To nie gryzie.

George przyglądał im się z zainteresowaniem. Miał wrażenie, że znają się lepiej, niż początkowo przypuszczał, a może nawet lepiej, niż chcieliby okazać. Z równą jak Nick ciekawością wpatrywał się w twarz Liane, kiedy otwierała pudełeczko. Zawierało złotą bransoletkę - prosty krążek bez zapinki. Wsunęła ją na nadgarstek, lecz Nick przytrzymał jej dłoń i wyszeptał ochryple:

- Przeczytaj inskrypcję.

Zsunęła bransoletkę i na wewnętrznej stronie znalazła wygrawerowane jedno jedyne słowo: "Deauville". Chwilę patrzyła na Nicka, niepewna, czy powinna przyjąć prezent. Nie miała wszakże serca zwrócić go Nickowi.

- Jest piękna. Naprawdę nie powinieneś, Nick...

- Dlaczego nie? - Usiłował bagatelizować swoje uczucia i znów powiedział szeptem, który dotarł wyłącznie do jej uszu: - Chciałem to zrobić już dawno temu. Traktuj ją jako prezent zaległy. George, który nazachwycił się już swoim podarunkiem, uściśnął serdecznie dłoń ofiarodawcy i zaczął snuć opowieści o ojcu Nicka, o tym, jak się poznali, i o niesamowitej awanturze, którą wywołali kiedyś w Nowym Jorku i która omal nie zakończyła się aresztowaniem ich obu. Popijając szampana jechali z zabójczą prędkością przez Park Avenue w towarzystwie dwóch niewiast wątpliwej kondyty. George roześmiał się na to wspomnienie, czując się znowu młody.

- Dzięki Bogu, że pański ojciec znał wszystkich gliniarzy w mieście.

Liane przygotowała drinki dla siebie i dla Nicka, a potem popijała obserwując, jak jej gość gawędzi z wujem George'em. Co rusz dotykała bransoletki na przegubie. Czuła nie tylko ciężar złota, ale też wagę słowa

wygrawerowanego po wewnętrznej stronie. "Deauville". Musiała znów odpychać od siebie wspomnienia i zmuszać się do słuchania rozmowy.

- Przepłynęliście przez Atlantycką razem, prawda?

- Nawet dwukrotnie. - Nick uśmiechnął się do Liane, która na moment spotkała się z nim spojrzeniem. Nie mówiła George'owi, że Nick płynął na "Deauville".

- Za każdym razem na "Normandie"? - spytał lekko stropiony George.

Nick pokręcił głową. Było zbyt późno, aby uciec się do kłamstwa, nie mieli zresztą już nic do ukrycia.

- Raz na "Normandie", w trzydziestym dziewiątym. A drugi raz na "Deauville", kiedy oboje wracaliśmy do kraju. Za długo zostałem w Europie i ugrzązłem tam na dobre. Wydostanie się kosztowało mnie masę starań. Syna wysłałem wcześniej na "Aquitaine", tuż po wybuchu wojny, ale ja wyjechałem dopiero po upadku Paryża.

Brzmiało to dość niewinnie. George zerknął na Liane, lecz nie zdołał wyczytać w jej oczach niczego.

- Ho, ho!... Ten rejs z akcją ratunkową na morzu to musiało być coś.

- Było. - Twarz Nicka spoważniała na wspomnienie rozbitków wyciąganych z topieli na pokład. - Harowali jak woły, żeby utrzymać tych ludzi przy życiu. Liane była wspaniała. Pracowała przez całą noc na sali operacyjnej, a później opiekowała się rannymi. Bez chwili wytchnienia.

- Wszyscy byli w to zaangażowani i wszyscy dawali z siebie ile mogli - wtrąciła pospiesznie Liane.

- Nieprawda - sprzeciwił się Nick patrząc jej w oczy. - Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek inny i gdyby nie ty, nie jeden z tych rozbitków nie dotrwałby do końca rejsu.

Nic nie odpowiedziała, a wuj się uśmiechnął.

- Ma charakterek ta moja brataniczka. Czasem za mało rozsądku - uśmiechnął się czule - ale więcej ikry niż większość mężczyzn, których znam.

Spojrzeni na nią obaj z uznaniem, a Liane zarumieniła się po uszy.

- Dość tego gadania o mnie. A co u ciebie, Nick? Kiedy wyjeżdżasz? - Z jej tonu można by wnioskować, że chciałyby, aby stało się to jak najszybciej. Tak było istotnie, aczkolwiek nie chodziło jej oczywiście o to, żeby narażać go na niebezpieczeństwa gdzieś za morzami. Liane pragnęła odsunąć od siebie zagrożenie, które wyczuwała, kiedy Nick był w pobliżu.

- Bóg jeden wie. Wrobili mnie wczoraj w pracę biurową, a to może oznaczać dosłownie wszystko: sześć miesięcy, sześć tygodni, sześć dni... Takie przyszły rozkazy z Waszyngtonu, więc musimy siedzieć tu i czekać.

- Mogłeś trafić gorzej, młody człowieku. To przyjemne miasto.

- Nawet bardzo przyjemne - uśmiechnął się do gospodarza, po czym beznamiętnie zerknął na Liane.

Odkąd dziewczynki zaczęły rozpakowywać prezenty, nie dawały żadnego znaku życia. Były oczarowane podarkami i żalowały jedynie, że Johnny nie może dotrzymać im towarzystwa. W końcu lokaj oznajmił, że podano kolację i wszyscy przeszli do ogromnej jadalni. Po drodze George opowiadał Nickowi o portretach zdobiących ściany.

- Liane mieszkała tu w dzieciństwie, wiesz? Wtedy ten dom należał do jej ojca.

Nick usłyszawszy to, przypomniał sobie jedną z ich pierwszych rozmów na "Normandie", kiedy Liane opowiedziała mu o swoim ojcu, o Armandzie, Odile, a nawet o wuju George'u.

- To piękny dom.

- Lubię patrzeć, jak przepływają moje statki. - George z zakłopotanym uśmiechem popatrzył na zatokę, a później na Nicka.

- Chyba jestem już dostatecznie stary, żeby się do tego przyznać. Kiedyś mogłem udawać, że nie czuję dumy nawet z tego, kim jestem. - Znacząco spojrzął na Nicka, potem skierował rozmowę na temat stali. Wiele wiedział o interesach Nicka; imponowało mu, że Nick zabrał się do nich w tak młodym wieku i tak świetnie sobie radził.

- Kto prowadzi firmę pod twoją nieobecność?

- Brett Williams. Był pracownikiem mojego ojca i zajmował się wszystkim, kiedy byłem we Francji... - Zadumał się na moment, potem pokręcił głową. - Boże, wydaje się, że to było tysiąc lat temu. Kto by wówczas pomyślał, że dziś będziemy toczyć wojnę?

- Ja myślałem o tym zawsze, Roosevelt zresztą też. Przygotowywał nas do wojny od lat, choć na głos tego nie mówił.

Liane i Nick wymienili uśmiechy, wspomniawszy rejs na "Normandie", gdzie tak wielu pasażerów wyrażało pewność, iż wojna nigdy nie wybuchnie.

- Obawiam się, że nie byłem tak przewidujący jak pan. Nie chciałem zobaczyć tego, co było wyraźnie widoczne.

- Stereotypowe zachowanie. Muszę jednak przyznać, że nie spodziewałem się ataku Japończyków, i to takiego silnego. - Wzdłuż całego wybrzeża dniami i nocą czuwali teraz obserwatorzy, w nocy obowiązywało zaciemnienie.

Kalifornia w napięciu oczekiwała na powtórny atak wroga. - Szczęściarz z ciebie, że jesteś na tyle młody, żeby wziąć udział w walce. Ja byłem za stary nawet na pierwszą wojnę. Ale wy wszystko doprowadzicie do porządku.

- Miejmy nadzieję, sir.

Wymienili uśmiechy, a Liane odwróciła wzrok. Wuj nigdy nie okazywał takiej sympatii Armandowi, a teraz w dodatku sądził, iż jej mąż współpracuje z Niemcami. Bolało ją, że nie może stanąć w jego obronie. Nick zaś wciąż nie wiedział o związkach Armanda z reżimem Petaina. Jakimś cudem te nieprzyjemne wiadomości nigdy nie dotarły do jego uszu. Przerażeniem napawała ją myśl o dniu, w którym się o tym dowie, o ile w ogóle do tego dojdzie. Może zdarzy się to dopiero po wojnie, a wówczas cała rzecz nie będzie już miała znaczenia.

Kolacja upłynęła w niezwykle przyjemnej atmosferze. Nick wcześniej się pożegnał, George Crockett bowiem, choć trzymał się doskonale, był starszym panem, nie chciał go więc nużyć swoim towarzystwem. Liane też zresztą sprawiała wrażenie zmęczonej. Podziękowała mu raz jeszcze za prezent, a dziewczynki ucałowały go przed wyjściem. Kiedy wstał, popatrzył w oczy Liane.

- Mam nadzieję, że przyszłoroczne święta będą lepsze dla nas wszystkich.

- Ja też mam taką nadzieję i... dziękuję ci, Nick.

- Uważaj na siebie. Zadzwoń w najbliższych dniach... Może będziemy mogli zjeść razem lunch.

- Byłoby miło - odparła, aczkolwiek bez entuzjazmu.

Po wyjściu Nicka położyła dziewczynki spać i zeszła jeszcze na dół pogawędzić chwilę z wujem. Nick niezmiernie mu zaimponował i George chciał wiedzieć, dlaczego Liane nie wspomniała o nim wcześniej.

- Nie znam go aż tak dobrze. Spotkaliśmy się zaledwie raz czy dwa na statkach, no i na kilku przyjęciach we Francji.

- Czy zna Armanda?

- Oczywiście. Kiedyśmy się poznali, podróżował ze swoją żoną.



- Ale teraz jest rozwiedziony, prawda? - upewnił się i równocześnie przypomniał sobie skandal, który przez rok skupiał uwagę prasy. Rzadko czytywał relacje tego rodzaju, ale ten przypadek zainteresował nawet jego.  
- Pamiętam, to była dosyć szokująca sprawa. Ona uciekła z kimś, a potem procesowali się o dziecko. - Zmarszczył czoło. - Gdzie jest teraz jego syn?  
- Matka wygrała proces. Podejrzewam, że to jeden z powodów, dla których Nick wstąpił do wojska.

George skinął głową i zapalił cygaro. - Przyzwoity gość.

Potem Liane życzyła wujowi dobrej nocy i pozostawiła go samego przy kominku. W zaciszu sypialni pograżyła się w swoich rozmyślaniach. Ostrożnie zdjęła bransoletkę i patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, wreszcie odłożyła ją i próbowała skoncentrować myśli na czymś innym. Ale leżąc w ciemności w żaden sposób nie mogła zapomnieć wygrawerowanego słowa. Tego jednego słowa, które przywołało w jej duszy tysiąc zakazanych obrazów.

## Rozdział czterdziesty drugi

Nazajutrz Nick zadzwonił, aby podziękować za kolację i życzyć wszystkim wesołych świąt. Liane obiecywała sobie, że rozmowy z Nickiem będzie utrzymywać w oficjalnym tonie, lecz na dźwięk jego głosu poczuła ukłucie w sercu. Podejrzewała, że oddalony od syna jest rozpaczliwie samotny. Nie mogła się zatem pohamować, aby nie powiedzieć mu czegoś więcej poza chłodnym podziękowaniem.

- Czy dzwoniłeś dzisiaj do Johnny'ego, Nick?

- Tak - odparł głosem naraz zrezygnowanym. Przypuszczenia Liane okazały się zatem słuszne. Nick miał za sobą ciężki dzień. - Płakał jak małe dziecko. Serce mi pękało. A jego matka wyjeżdża dziś na dwa tygodnie do Palm Beach. Bez niego. - Westchnął. - Nic się nie zmieniło i do diabła, nie mogę temu zaradzić.

- Może jak wrócisz... - Jej słowa były odbiciem myśli Nicka.

- Jak wrócę, zacznę działać. Mój adwokat powiedział, że musimy trochę odczekać przed złożeniem apelacji. No i przynajmniej wiem, że jest z nimi bezpieczny. Markham to kompletny dureń, ale interesuje go tylko przyjemne życie. Nie skrzywdzi chłopca. - Wcześniej wyrażał inny pogląd, lecz teraz nie miał wyboru. Wiedział, że Hillary nie obdarzy syna nadmierną czułością, ale przynajmniej będzie go miała na oku. W gruncie rzeczy jednak czuł się tak, jakby zostawił Johnny'ego pod opieką ludzi obcych. - Brett Williams pilnuje w moim imieniu interesów i jeśli sprawy posuną się za daleko, zajmie się wszystkim. Tylko tyle mogłem zrobić przed wyjazdem.

Wiedząc, jak bardzo Nick kocha dziecko, Liane cierpiała razem z nim. Przecież po części właśnie z powodu Johnny'ego rozstali się po powrocie do Stanów. - Czy dlatego wstąpiłeś do wojska, Nick?

- W pewnym stopniu. Musiałem się stamtąd wyrwać, a że akurat wybuchła wojna... Ta zmiana trochę mi ulżyła.

- Cóż, oby ci tyłku nie zaszkodził wyjazd na front... - Właściwie wydawało się jej, że powinien zostać na miejscu i baczyć na Johna, tak samo zresztą on niekiedy myślał. Przedtem, bo teraz był rad, że odnalazł Liane.

- Jeszcze nigdzie nie wyjechałem. - Uśmiechał się, swobodnie oparty o ścianę w holu swojego hotelu. Potem postanowił posunąć się o krok dalej. - Pewno nie możemy się dzisiaj zobaczyć, Liane?

Na chwilę zapadła cisza. - Raczej powinnam pobyć w domu z dziewczynkami i... - urwała w pół zdania. Nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała mu dać do zrozumienia, że przez ostatnie miesiące jej sytuacja w niczym się nie zmieniła, takimi samymi uczuciami darzy zarówno jego, jak i Armanda. A decyzja o zerwaniu romansu też pozostaje w mocy.

- Rozumiem - odparł, Liane zaś znów odczytała w jego głosie poczucie osamotnienia i poczuła się rozdarta. Gdzieś w jej głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe, ale tym razem nie zwróciła na nie uwagi. I cóż złego może się stać? W końcu jest Boże Narodzenie.

- Może wpadniesz do nas po południu?... - W domu były i córki, i wuj.

- Z najwyższą przyjemnością.

- Około czwartej, dobrze?

Mocniej ścisnął słuchawkę. - Dziękuję, Liane, jestem ci głęboko wdzięczny.

- Nie mów tak, jesteś starym przyjacielem.

Nastąpiła długa chwila milczenia, potem Nick zapytał: - Czy tylko przyjacielem?

- Tak. - Jej głos był ciepły, ale stanowczy.

- Dobrze o tym wiedzieć.

Przybył punktualnie o czwartej, witany przez George'a z zaskoczeniem, a przez dziewczynki z radością.

- Nie sądziłem, że tak szybko znowu się spotkamy - rzekł stary Crockett.

- Pańska bratanica pożałowała biednego żeglarza w obcym porcie. - Wuj George zachichotał, a Nick zaczął bawić się z dziewczynkami. Po jakimś czasie Liane zaproponowała przechadzkę w Presidio. George oświadczył, że zostanie w domu i zaczeka na nich, chce bowiem poczytać nową książkę. Uśmiechnął się do Nicka.

Ubrali się i wyszli; dziewczynki biegly przodem w podskokach.

- Wyrastają na prawdziwe piękności. Ile mają lat?

- Elisabeth dziewięć, a Marie-Ange jedenaście. John chyba też dobiega jedenastu, prawda?

Nick skinął głową. - Czas płynie za szybko, prawda?

- Niekiedy - odparła myśląc o Armandzie, z czego Nick zdał sobie sprawę, gdy tylko spojrzał na jej twarz.

- Co u niego? Nadal jest we Francji?

- Tak.

- Wydawało mi się, że powinien być w Afryce Północnej.

Popatrzyła na Nicka i nagle się zatrzymała. Zwodzenie go nie miało sensu. Naprawdę nie mogła żyć już z tym dłużej. - Armand jest z Petainem.

Nick patrzył na nią uważnie, lecz nie wydawał się specjalnie zaskoczony.

- Wiesz, coś przeczuwałem jeszcze na statku. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale jednak przeczuwałem. A co ty o tym sądzisz, Liane?

- Wiedział, że decyzja męża nie ma wpływu na jej uczucia, w przeciwnym bowiem razie powiedziałaaby mu o tym już wcześniej.

- Trudno to wyjaśnić. Dziewczynki wiele przez to wycierpiały... -

Opowiedziała mu o zajściach w Waszyngtonie, o swastykach, a Nick skrzywił twarz w bolesnym grymasie.

- To musiało być dla nich straszne... I dla ciebie... - Zajrzał w jej oczy i wyczytał w nich smutek, którego dotąd nie dostrzegł.

- Dlatego właśnie przyjechałyśmy na Zachód. Tu jest nam łatwiej dzięki wujowi George'owi.

- On wie o Armandzie?

- Wiedział, zanim przyjechałyśmy. - Westchnęła cicho i podjęli marsz, aby nie stracić dziewcząt z oczu. Liane ulżyło, kiedy zwierzyła się z wszystkiego Nickowi. Zawsze dotąd potrafili rozmawiać ze sobą otwarcie, dlaczego więc teraz miałyby być inaczej? W końcu nadal byli przyjaciółmi. - Oczywiście nie aprobuję tego i uważa mnie za idiotkę. - Potem opowiedziała Nickowi o swataniu jej przez wuja podczas pierwszych tygodni ich pobytu w mieście. Oboje wybuchnęli śmiechem. - To kochany staruszek. Nigdy za nim nie przepadałam, ale teraz bardzo się zmienił.

- Jak my wszyscy.

- Jest dla nas bardzo dobry.

- Cieszę się. Bardzo się o ciebie niepokoiłem. Nie wiem dlaczego, ale ciągle miałem wrażenie, że jesteś w Waszyngtonie. Kiedy wyjechałaś?

- W zeszłym roku tuż po Dniu Dziękczynienia.

- To wszystko wcale nie jest takie proste, prawda?

- To znaczy co? - nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- To, że Armand jest z Petainem.

Znów zatrzymała się i popatrzyła nań zaskoczona. Skąd wiedział?... Czy w jakiś sposób się zdradziła?... Skinęła głową. Ufała Nickowi. Po raz pierwszy otworzyła się przed kimś, choć czyniąc to, narażała Armanda na niebezpieczeństwo. Wiedziała jednak, że Nick tajemnicy nikomu nie zdradzi.

- Tak - przyznała.

- Na pewno jesteś przez to w jeszcze gorszym położeniu.

Dostajesz od niego wiadomości?

- Pisze jak najczęściej. Wiele ryzykuje, nie może powiedzieć za dużo.

Większość jego listów dociera do mnie kanałami konspiracyjnymi.

- We Francji podziemie jest bardzo silne. - Skinęła głową i przez chwilę szli w milczeniu. To, że zdobyła się na szczerą w sprawie Armanda, bardzo ich ku sobie zbliżyło. Nick był jej prawdziwym przyjacielem. Po chwili spojrzała nań z uśmiechem wdzięczności.

- Dziękuję, że mogłam ci to powiedzieć. Bywają chwile, kiedy jestem bliska szaleństwa. Wszyscy myślą... albo myśleli...

- Przecież nie jest człowiekiem tego pokroju. - Chociaż Nick znał Armanda bardzo słabo, nie potrafili sobie wyobrazić go uczciwie współpracującego z Petainem. Miał tylko nadzieję, że Niemcy nie okażą się równie przenikliwi jak on.

Liane czuła, że jest mu winna dalsze wyjaśnienia. Był wobec niej uczciwy, a tej sprawy nigdy z nim nie poruszyła. - Właśnie dlatego ja... ja nie mogłam, Nick, wiedząc, co on tam robi. Nie zasługiwał na to.

- Wiem, rozumiem. - Patrzył na nią czule. - Wszystko w porządku, Liane. Postąpiłaś właściwie i wiem, jakie to było dla ciebie trudne.

- Nie, nie wiesz - pokręciła głową, a Nick zauważył, że ma na rękę bransoletkę, którą ofiarował jej poprzedniego wieczoru. Matowy złoty blask klejnotu sprawił mu niebывałą przyjemność.

- Dla mnie było to równie trudne. Chyba z tysiąc razy podnosiłem słuchawkę, żeby do ciebie zadzwonić.

- Ja też - uśmiechnęła się i popatrzyła na córki. - Wydaje się, że to było tak dawno.

- Nie. Ja mam wrażenie, że zdarzyło się zaledwie wczoraj.

Do pewnego stopnia jej również tak się zdawało. Nick się nie zmienił, ona też nie, chociaż tak bardzo się przeobraził otaczający ich świat.

Kiedy po spacerze i po świątecznej kolacji Liane odprowadziła Nicka do drzwi, uśmiechnął się do niej.

- Może masz słuszość?... Może wszystko jest teraz inne?... Bo lubię cię nawet bardziej niż kiedyś. Obydwoje bardzośmy dorośli.

Roześmiała się. - Może ty dorosłeś, Nick. Ja chyba się po prostu zestarzałam.

- Gadaj zdrów - zaśmiał się i machając ręką na pożegnanie wsiadł do czekającej już taksówki. - Dobrej nocy i dzięki, wesółych świąt - zawołał jeszcze.

Liane wróciła do domu ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy. Zbyt szczęśliwym, uznała, spoglądając w lustro. Nie mogła jednak zgasić iskier migoczących w oczach. Dobrze było porozmawiać z Nickiem i zdjąć w końcu brzemień z ramion.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Nick zjawił się u Liane w biurze Czerwonego Krzyża kilka dni po Bożym Narodzeniu. Miał jakieś drobne sprawy do załatwienia w mieście i wolne popołudnie. Kiedy wkroczył do biura, pół tuzina pań wlepiło weń szeroko otwarte oczy. W mundurze wyglądał jak gwiazdor filmowy. Liane parsknęła śmiechem.

- Jeżeli nie będziesz uważał, wybuchną tu zamieszki.

- To ci wyrobi dobrą opinię. Co byś powiedziała na lunch? I nie mów mi, że nie możesz iść albo że musisz załatwić wujaszкови kilka spraw, ponieważ nie dam wiary ani jednemu słowu. Proponuję Marka Hopkinsa, co ty na to, stara przyjaciółko? - Zawahała się, ale Nick podawał jej już płaszcz i kapelusz. - Idziemy. - Nie sposób było mu się oprzeć.

- Nie masz do roboty nic innego? Podobno jest wojna... - zauważyła.

- Jeszcze nie dla mnie. Dzięki Bogu zdążę zjeść z tobą lunch, zwłaszcza że twój wujek powiada, że nigdzie nie bywasz. Lunch z mężczyzną w biały dzień nie zaszkodzi twojej reputacji, zresztą jeśli chcesz, możemy siedzieć przy osobnych stolikach.

- Dobrze już, dobrze, przekonałeś mnie.

Była w pogodnym nastroju, tak samo jak on. Obojgu przypomniały się dawne dni na "Normandie", gdzie grywali w tenisa. Usiedli przy stoliku z pięknym widokiem. Nick opowiadał zabawne historyjki o kolegach z bazy i z hotelu, do Liane zaś powoli docierała świadomość, że oto znowu żyje. Nick był dobrym kompanem, dowcipnym i błyskotliwym. Nagle zaskoczył ją pytaniem o plany na sylwestra.

- Zresztą zaczekaj, nie mów, niech sam zgadnę. Siedzisz w domu z wujem George'em i córkami.

- Trafiłeś - odparła z szerokim uśmiechem. - Masz pierwszą nagrodę.

- Cóż, ale ty dostaniesz nagrodę pocieszenia. Może pozwolisz się gdzieś zabrać? Jestem nieszkodliwy. A jeśli zacznę się źle zachowywać, możesz wezwać żandarmerię wojskową i kazać mnie aresztować.

- I gdzie byś mnie zabrał?

- To znaczy, że mam jakieś szanse?

- Najmniejszych, po prostu chcę wiedzieć, co mnie ominie.

- O rany boskie... - Uśmiechnął się do niej. - Daj spokój, Liane, dobrze ci to robi. Nie możesz cały czas tkwić w tym domu jak w fortecy.

- Owszem, mogę. Jestem tam szczęśliwa.

- Ale to ci szkodzi. Ile masz teraz lat? - Usiłował policzyć w pamięci. -

Trzydzieści trzy?

- Trzydzieści cztery.

- Och, nie miałem pojęcia, że jesteś tak wiekowa. Cóż, ja liczę sobie równo czterdziestkę i jestem osobnikiem dostatecznie dojrzałym, żeby wiedzieć, co jest dla ciebie dobre. I uważam otóż, że powinnaś gdzieś wyjść.

- Mówisz jak wuj George. - Nie była jeszcze do końca przekonana, zaczynała się jednak chwiać w uporze.

- No, zaraz, zaraz. Mam czterdziestkę, ale do wujaszka mi daleko. Nie jestem aż tak sędziwy.

- On też, tyle że duchem. Wiesz? swego czasu musiał być niezłym bałamutem.

Nick uśmiechnął się. - Wciąż można to wyczytać z jego oczu. A teraz proszę już nie zmieniać tematu. Co z sylwestrem?

- Najpierw lunch, a teraz sylwester. Gdybyś się odrobinę postarał, też mógłbyś być niezłym bałamutem. Może nawet bez zbytniego wysiłku.

- To nie w moim stylu. - Nagle spojrzał na nią z powagą. - Myślę o cichym wieczorze dwójki starych przyjaciół, którzy mają za sobą ciężkie przejścia i akceptują ustalone zasady. Przynajmniej tyle się nam należy. Co innego możemy robić? Ja mam siedzieć w swoim parszywym hotelu, a ty w domu? Moglibyśmy iść na przykład do Fairmonta na kolację.

- No owszem, chybabyśmy mogli... - przyznała, aczkolwiek wciąż nie miała pewności, czy słusznie robi. - A będę bezpieczna? - spytała, postanawiając wyjawic swoje wątpliwości.

- Tak bezpieczna, jak będziesz sobie życzyć. Będę z tobą szczerzy. Nadal cię kocham, kocham cię od pierwszego wejrzenia i przypuszczalnie zawsze tak będzie. Ale nigdy nie zrobię, nic, co mogłoby cię zranić. Rozumiem twoje uczucia wobec Armanda i szanuję je. Znam granicę. To nie jest "Deauville" ani "Normandie". To prawdziwe życie.

- Tamto też było prawdziwe - odpowiedziała cicho.

Delikatnie ujął jej dłoń. - Wiem, że było prawdziwe. Ale zawsze wiedziałem, co postanowisz zrobić, kiedy to się skończy, i uszanowałem twoją decyzję. Ja jestem wolny, Liane, ale ty nie i nie mogę mieć o to pretensji. Wspaniale było wtedy na "Deauville". Połączyło nas coś więcej, aniżeli... - nie wiedział, jakich użyć słów, lecz Liane zrozumiała.

Wiem - westchnęła i opadła na oparcie krzesła. - To zabawne, że nasze ścieżki znów się przecięły, prawda?

- Można to i tak określić. Ja jestem rad, że tak się stało. Nigdy naprawdę nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. Chyba że przypadkowo, gdzieś na ulicy w Waszyngtonie. Albo może w Paryżu za dziesięć lat, kiedy będziesz szła z Armandem... - pożałował, że wymienił imię jej męża, bo na twarzy Liane znów pojawił się wyraz bólu. - Liane, twój mąż dokonał wyboru. Trudnego wyboru, a ty trwasz przy nim. Nie możesz zrobić nic więcej. To, że będziesz siedzieć w domu i wstrzymując oddech wykańczać się psychicznie, w niczym nie ułatwi mu sprawy. Musisz przecież żyć.

- Usiłuję. Dlatego podjęłam pracę w Czerwonym Krzyżu.

- Tak to sobie właśnie wytłumaczyłem. Ale musisz robić coś więcej.

- Chyba robię - rzekła Liane. Nick argumentował sensownie, gdyby zaś miała pozwolić sobie na rozrywkę, to wolałaby jego mieć za towarzysza zabawy. Przemówił jej do rozsądku. Kto wie zresztą, pomyślała, jak długo Nick będzie w mieście? Mógł zostać wysłany na front lada dzień. - W porządku, przyjacielu. Będę miała zaszczyt witać z tobą tysiąc dziewięćset

czterdziesty drugi rok.

- Dziękuję, madame.

Zapłacił rachunek i odprowadził Liane do pracy.

Reszta popołudnia przeleciała jej jak mgnienie oka. Uszczęśliwiona wróciła do domu i przywitała się z wujem i dziewczynkami. George dostrzegł odmieniony wyraz jej twarzy, ale nie, skomentował go ani słowem. Wieczorem Liane napomknęła obojętnie, że noc sylwestrową spędzi z Nickiem Burnhamem.

- To ładnie - rzekł George. Znając dobrze bratanicę, nie dodał nic więcej, lecz w głębi duszy żywił nadzieję, że coś się kroi z tym "chłopakiem Burnhama". Zatopił nos w książce, a Liane pobiegła na górę porozmawiać z dziewczynkami. Tego wieczoru przy kolacji na temat Nicka nie padło już ani słowo.

Liane nie wspomniała też o nim później ani razu aż do sylwestrowego wieczoru, kiedy zeszła na dół w przepięknej sukni kupionej w Paryżu przed czterema laty. George popatrzył na bratanicę z radosnym uśmiechem i cicho gwizdnął przez zęby.

- Nieźle... Zupełnie nieźle.

- Dziękuję panu.

Suknia, uszyta z czarnego kaszmiru, miała ascetyczny krój - długie rękawy, mały dekolt, długość do ziemi. Jedyłą ozdobę stanowiły małe czarne perełki, którymi została obszyta. Identycznie ozdobiono maleńki toczek, przykrywający zaczesane w kok jasne włosy Liane. Stroju dopełniały małe brylantowe klipsy. Cała kreacja była prosta, elegancka, w szlachetnym stylu i idealnie pasowała do Liane. Do takiego właśnie wniosku doszedł Nick, kiedy stanął w holu i z zachwytem zapatrzył się na Liane. Potem, zupełnie jak George, gwizdnął przez zęby. Po raz pierwszy od wielu lat Liane czuła się znów kobietą podziwianą przez mężczyzn i sprawiało jej to ogromną przyjemność. Nick przywitał się z George'em, a Liane pocałowała wujka na dobranoc.

- Nie wracaj za wcześnie - przestrzegł ją wuj. - Byłabyś niemądra, gdybyś nie wykorzystała tak pięknej sukni. Pochwal się nią.

- Zrobię co w mojej mocy, żeby nie wróciła zbyt wcześnie - obiecał Nick puszczając do George'a oko i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Liane i Nick odjeżdżali przed domu w świątecznym nastroju.

- Obawiam się, że w tym mundurze elegancją nie dorastam ci do pięć, Liane.

- Chcesz się zamienić?

Roześmiał się i do Fairmonta dotarli w wyśmienitych humorach. Nick zarezerwował stół w sali weneckiej, a kiedy przy nim zasiedli, zamówił szampana, którym wzniesli toast za przyszły rok, aby był lepszy od właśnie mijającego. Potem Nick zamówił krewetki, kawior i steki. Temu menu daleko było do egzotycznych potraw serwowanych na "Normandie", ale posilili się ze smakiem. Po deserze zatańczyli kilka razy, obydwójce czując się szczęśliwsi niż kiedykolwiek dotąd.

- Tak miło jest z tobą być!... Jak zawsze zresztą. - Swoboda i czysta przyjemność płynąca z przebywania w jej towarzystwie była tym, co Nick docenił w Liane już w pierwszych chwilach znajomości. Wtedy męczył się jeszcze z Hillary. Wspomnił o tym teraz.

- Ale dawno już zostawiłeś to za sobą - zauważyła Liane.

- O Boże, tak. Wtedy też wiedziałem, że to bezsensowna męczarnia, ale przecież musiałem to ciągnąć ze względu na Johna... - zerknął na zegarek. - No to zaraz Nowy Rok. Podejmujesz jakieś postanowienia, Liane?

- Ani jednego. - Uśmiechała się i sprawiała wrażenie zadowolonej. - A ty?
- Tak. Chyba podejmę.
- Jakie?
- Nie dać się zabić.

Siedzieli patrząc sobie w oczy. Wyrażając takie życzenie, Nick podkreślał, iż w każdej chwili może ruszyć na wojnę, a beztrioskie obiady i kolacje są tylko epizodem. Liane inaczej pomyślała w tej chwili o nim, o Armandzie i o wszystkich, którzy byli wokół niej, za kilka dni zaś mieli udać się na front. W sali rojno było od mężczyzn odzianych w mundury. Z dnia na dzień San Francisco przemieniło się w miasto garnizonowe.

- Liane... Co się stało?
- Nic... - Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.
- Przepraszam. Palnąłem głupstwo.
- Nie, wcale nie. Tylko uważaj, żebyś dotrzymał postanowienia.
- Dotrzymam. Przecież muszę odzyskać Johnny'ego. - To istotnie był cel godzien powrotu. - A tymczasem... czy nie miałabyś ochoty zatańczyć?
- Z przyjemnością, proszę pana.

Okrażali parkiet w rytm "The Lady's in Love with You" i obojgu zdało się, że minęło zaledwie parę sekund, kiedy rozbrzmiały trąbki, posypało się konfetti, przygasły światła i przy wtórze muzyki ludzie zaczęli się całować. Nick i Liane objęci ramionami stanęli na środku parkietu, spoglądając na siebie. Kiedy Liane uniosła głowę, Nick przytulił ją i ich usta się spotkały. Całowali się, cała reszta sali zniknęła gdzieś we mgle, a oni znów byli na "Deauville" zatraceni w uścisku swoich ramion. Musieli w końcu przerwać, gdy zabrakło im tchu, lecz nawet wtedy Liane nie odsunęła się od Nicka.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Nick.
- Szczęśliwego Nowego Roku, Liane. - Pocałowali się ponownie.

Pozostali na parkiecie i długo jeszcze tańczyli. Kiedy Nick odwiózł ją do domu, długo stali przed wejściem, wpatrzeni w siebie.

- Jestem ci winien przeprosiny, Liane. Dzisiejszej nocy nie grałem fair - rzekł, choć w gruncie rzeczy za ten wieczór wiele by oddał. - Przykro mi, nie chciałem...

Liane uniosła dłoń i musnęła palcem jego usta.

- Daj spokój, Nick. Wszystko w porządku...

Tej nocy czułego miejsca w sercu Liane dotknęło jego postanowienie, że nie da się zabić... Nagle pojęła, że póki mogą, muszą korzystać z chwili. Przekonali się już kiedyś, że takie chwile mogą się nie powtórzyć, a oto los dał im szansę po raz drugi. Liane nie mogła odwrócić się teraz do Nicka plecami, wcale tego zresztą nie chciała. Pragnęła go.

Pocałował czubki jej palców, potem oczy i usta. - Tak cię kocham...

- Ja też cię kocham. - Odsunęła się od niego delikatnie. - Nie mamy prawa zmarnować tego teraz. Kiedyś postąpiliśmy tak, jak powinniśmy byli, i znowu tak zrobimy... Ale teraz... - przytuliła go gwałtownie.

- Będę cię kochać całe życie. Wiesz? - Skinęła głową. - A kiedy każesz mi odejść, odejdę. Rozumiem, że musi być tak a nie inaczej.

- Wiem, że rozumiesz. - Dotknęła jego twarzy. - Później nie będziemy musieli już o tym mówić.

Delikatnie wysunęła się z jego ramion i otworzyła drzwi. Pocałował ją na dobranoc, a ona stała w drzwiach patrząc, jak odjeżdża. Nie sposób było już zatrzymać fali uczucia, która na powrót ich zagarniała, żadne zresztą nie chciało tego robić. Walczyli ze sobą przez całe dwa lata i teraz nie mieli

już sił na dalsze zmagania... Nie mieli...

Liane cicho weszła na górę, zdjęła suknię i położyła się do łóżka. Tej nocy nikt się jej nie śnił. Doświadczała osobliwego uczucia spokoju, światła i radości, śpiąc spokojnie aż do samego rana.

## Rozdział czterdziesty czwarty

W Nowy Rok Nick wpadł do Liane i przy kominku w bibliotece gawędzili przez dłuższy czas. Wyglądało to na świąteczną zapowiedzianą wizytę starego znajomego. Nawet dziewczęta nie wydawały się zaskoczone, kiedy po powrocie z ogrodu ujrzały Nicka siedzącego obok matki.

- Cześć, wujku Nick. - Elisabeth zarzuciła Nickowi ramiona na szyję i posłała matce uśmiech winowajczyni. - A może ciągle powinniśmy go nazywać panem Burnhamem?

- To nie zależy ode mnie - uśmiechnęła się do córek. Z przyjemnością oglądała Nicka w ich towarzystwie. Już od dawna nie było w otoczeniu dziewczynek żadnego mężczyzny oprócz wuja George'a, toteż Liane czuła, iż taka zmiana dobrze im zrobi.

- No i co, wujku Nick? - zapytała Elisabeth. - Możemy?

- Nie widzę przeciwwskazań. - Poglądził jej jedwabiste włosy, tak bardzo podobne do włosów Liane. - Właściwie to mi nawet schlebiacie - oświadczył.

Potem Elisabeth i Marie-Ange wybiegły do ogrodu, a z góry zszedł wuj George.

- Skończyłem czytać książkę. Jest doskonała - uśmiechnął się do ofiarodawcy. - Chętnie ci ją pożyczę, jeśli znajdziesz czas, żeby ją przeczytać.

- Ogromne dzięki.

Jak zwykle już po paru chwilach obaj pograżyli się w omawianiu doniesień wojennych: Świat wciąż był wstrząśnięty zatopieniem przez Japończyków brytyjskich krążowników "Prince of Wales" i "Repulse" nieopodal wybrzeży Malajów cztery dni po Pearl Harbor. Straty w ludziach były ogromne, a "Prince of Wales" poszedł na dno z admirałem na pokładzie. Był to ten sam krążownik, którym Churchill przyплыł na spotkanie z Rooseveltem do zatoki Argentia.

- Pewnie nie wiesz, na jaki okręt zostaniesz skierowany?

- Nie, ale już niedługo się dowiem.

George skinął głową i popatrzył na Liane. - Wczoraj wyglądałaś uroczo, kochanie. Mam nadzieję, że bawiliście się dobrze.

- Doskonale - przytaknęli, po czym wspomnieli, jak wielu żołnierzy było w hotelu. W trzy i pół tygodnia po ataku na Pearl Harbor wydawało się, że do wojska wstąpił każdy zdolny nosić broń. I wszyscy znajomi młodzi ludzie zostali zmobilizowani.

- A wie pan? Właściwie jestem zaskoczony, że przysłano mnie tutaj. Podobno Stany bardziej są zainteresowane wykończeniem Niemców, zanim wezmą się za Japończyków.

Bezpośrednio po ataku na Pearl Harbor Niemcy wszczęli na Atlantyku gigantyczną wojnę podwodną, a okręty aliantów były zatapiane w przerażająco niewielkiej odległości od wschodnich wybrzeży Stanów. Główne porty Nowego Jorku, Bostonu i Norfolk chroniły teraz miny, sieci przeciw okrętom podwodnym i przybrzeżne konwoje, a wszyscy z niepokojem zadawali sobie



pytanie, jak blisko odważą się podejść Niemcy. W nocy na obszarach Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża obowiązywało zaciemnienie.

- Wygląda na to, że dobierają się do nas z obydwu stron.

- George zatroskanym wzrokiem wpatrywał się w ogień. Jego ojczyzna nigdy dotąd nie została bezpośrednio zagrożona, toteż czuł się ogromnie przejęty.

Popatrzył na Nicka i potrząsnął głową. - Żałuję tylko, że jestem za stary, żeby się do was przyłączyć.

- Ja nie żałuję - wtrąciła się Liane. - Ktoś przecież musi z nami tu zostać, a może nie przyszło ci to do głowy?

Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni.

- I to, moja droga, stanowi moją jedyną pociechę. - Potem zostawił ich samych i poszedł na górę, aby w gabinecie sąsiadującym z sypialnią pograżyć się w lekturze popołudniówki.

Zostali sami. Nick patrzył na Liane przez dłuższą chwilę, wreszcie ujął jej dłoń.

- Cudownie bawiłem się tej nocy, Liane.

- Ja też.

Nawet w jasnym blasku dnia Liane nie czuła wyrzutów sumienia z powodu tego, że całowała się z Nickiem poprzedniej nocy. Zdryfował w jej życie niczym statek zdążający dokądś nieznanym kursem i być może przez jakiś czas będą mogli płynąć obok siebie. Wiedziała jednak, że nie potrwa to długo. Nick wkrótce wypłynie walczyć... Może takie właśnie jest ich przeznaczenie? Pomyślała tego ranka, że ich drogi będą się niekiedy krzyżować, aby mogli się wzajem dzielić tak bardzo potrzebną im siłą. Teraz nie czynili wszak niczego innego. Liane czuła się tego ranka spokojna jak nigdy. Obydwoje zresztą zdawała się otaczać aura spokoju.

- Nie żałujesz?

Uśmiechnęła się. - Jeszcze nie. - Potem zdradziła mu swoje myśli.

- To zabawne, ale myślałem wczoraj dokładnie to samo - powiedział Nick. - Może tylko tyle zawsze będziemy mieć, ale może też to właśnie nam wystarczy. - Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, po czym Nick podzielił się z Liane pomysłem, który przyszedł mu tego ranka do głowy. - Nie mogłabyś wyrwać się stąd na kilka dni?

- Co nowego wykombinowałeś?

Jego głos brzmiał bezgraniczną czułością. - Myślałem o kilku dniach w Carmelu. Co ty na to?

Liane uśmiechnęła się lekko, sama zdumiona swoją reakcją, która bynajmniej nie była negatywna. Ale przecież tak długo odmawiała sobie szczęścia!... Wiedziała w głębi duszy, że nie zrobi tego nigdy więcej... Ten jeden raz... Jeszcze ten jeden raz...

- Byłoby cudownie. A ty możesz wyjechać? - Na siłę odsuwała od siebie myśli o Armandzie. Na nie pozwoli sobie później.

- W każdej chwili, jeśli tylko zostawię namiary. W przyszły weekend mam trzydniową przepustkę. Masz tam jakieś ulubione miejsce?

- Nie byłam w Carmelu od lat... - Zastanawiała się przez chwilę.

- Co powiesz o Sosnowej Gospodzie?

- Świetnie. Mogłabyś wyjechać w piątek rano? Tylko co z dziewczętami? Co im powiesz?

- Hmm... Powiem im, że to wyjazd związany z pracą w Czerwonym Krzyżu.

Uśmiechnął się, czując się jak niegrzeczny chłopiec, który oto porywa rodzicom córkę-dziewicę. - To brzmi prawdopodobnie. Nie zdziw się tylko, jeśli za kilka lat zaczną ci opowiadać podobne historyjki.

- Nie dam się nabrać.

Pogawędzili jeszcze chwilę, po czym zeszli do ogrodu, aby popatrzeć na dziewczynki. Nick pożegnał się nieco później niż zwykle, ale jeszcze przed kolacją mimo usilnych zaproszeń Liane, miał bowiem spożyć posiłek ze swoim dowódcą. Odprowadziła go do drzwi, gdzie pochylił się, by czule ją pocałować. - Nie zapomnij tylko, jak bardzo cię Kocham - wyszeptał.

Podczas weekendu i w następnym tygodniu trudno było mu się wyrwać czy znaleźć wolny czas, zadzwonił dopiero w czwartek wieczorem, aby potwierdzić plany. Przez te dni wuj George z premedytacją nie pytał o Nicka, a Liane ani razu o nim nie wspomniała.

- Masz wszystko dograne w związku z wyjazdem?

- Oczywiście. - Powiedziała córkom, że jedzie na trzydniowe seminarium w Carmelu, i uwierzyły jej bez zastrzeżeń. - A ty?

- W porządku - odparł i roześmiał się. - Wiesz? denerwuję się jak podrostek.

- Ja też - zachichotała.

- Myślę chwilami, że może oszaleliśmy... może jednak był to romans jednego rejsu, a my jesteśmy głupcami, usiłując go wskrzesić...

- Możemy zalać pokój i wyobrażać sobie, że toniemy.

- Nie sądzę, żeby to było bardzo zabawne.

- Przepraszam za kiepski dowcip. - Oboje jednak wybuchnęli śmiechem.

Często śmiali się w swoim towarzystwie, a nie robili tego od dawna.

Wyraźnie wszakże wychodziło im to na zdrowie.

Nazajutrz Liane lekkim krokiem wybiegła z domu, z najwyższym trudem kryjąc uśmiech. Była rada, że trzy dni wcześniej dziewczynki zaczęły szkołę i teraz nie widziały, że mama wychodzi z domu tuż przed południem. Wuj George natomiast przebywał w biurze. Pojechała taksówką do hotelu Nicka, który spacerował nerwowo po chodniku pałac papierosa.

- Wyglądasz jak facet, którego żona właśnie rodzi - powiedziała z uśmiechem, kiedy płacił za taksówkę.

- Nagle się wystraszyłem, że nie przyjdiesz.

- A może walałbyś, żebym nie przyszła? - spytała przekornie, Nick zaś w odpowiedzi porwał ją w ramiona i mocno pocałował w usta. Stali przytuleni do siebie dłuższą chwilę, aż dwóch przechodzących marinerów przystanąło i zagwizdało. Wtedy Nick zagadnął:

- A jak ci się wydaje?

Liane tylko się uśmiechnęła. Była zadowolona, że już tu jest. Jadąc taksówką denerwowała się tak samo jak Nick i w pewnym momencie omal się nie wycofała. A jeśli będą mieli wypadek i o wszystkim dowie się George i jej córki?... A jeśli... Mimo wszystko przyjechała i była z tego rada. Nick wrzucił bagaż Liane do wypożyczonego samochodu i ruszyli do Carmelu rozśpiewani i roześmiani jak dwoje dzieci.

Droga biegła przez piękną okolicę, dopisała im również pogoda, chociaż było dosyć chłodno. Zatrzymali się na lunch w przydrożnej restauracji i dojechali do Carmelu o czwartej po południu, zdążyli więc jeszcze przed zapadnięciem zmroku wyruszyć na spacer po plaży. Zostawiwszy bagaże w swoim pokoju, szybko przeszli dwie krótkie przecznice dzielące ich od plaży, potem schowali buty do kieszeni płaszczy i biegali po piasku - Nick boso, Liane w jedwabnych pończochach. Morska bryza cudownie owiewała ich twarze, tak że kiedy zatrzymali się i usiedli, byli bez tchu, szczęśliwi i roześmiani. Wszystko tu było tak spokojne, jakby na całym świecie nie działo się nic złego.

- Trudno uwierzyć, że gdzieś tam toczy się wojna, prawda?

- Nick siedział wpatrzony w morze, rozmyślając o krążownikach, które na wszystkich morzach świata bronią ich ojczyzny. Carmel został ominięty przez zalew mundurów, tak wyraźny w San Francisco. Było to małe senne miasteczko. Liane miała nadzieję, że nigdy nic nie wyrwie go ze snu. Cały czas towarzyszyło jej uczucie, iż musi gromadzić w pamięci te chwile, aby mieć później co wspominać.

- Jak dobrze, żeśmy się stamtąd wyrwali!... Ta praca w Czerwonym Krzyżu zaczyna mnie przygnębiać. - Westchnęła i popatrzyła na Nicka, najwyraźniej zaskoczonego jej słowami. Wydawało mu się, że Liane lubi to zajęcie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wydaje mi się, że nie robię dostatecznie wiele. Organizowanie podwieczorków i sporządzanie list to nie dla mnie. W zeszłym roku była to przynajmniej jakaś namiastka pracy, ale w gruncie rzeczy wolałabym robić coś naprawdę użytecznego. - Znowu westchnęła, a Nick się uśmiechnął, wspomniawszy jej pełną poświęcenia harówkę przy ratowaniu marynarzy na "Deauville".

- Rozumiem. Masz coś konkretnego na myśli?

- Jeszcze nie wiem. Zastanawiałam się... Może praca w szpitalu?

Nick sięgnął po jej dłoń.

- Moja ty Florence Nightingale...

Pocałował ją i leżeli na piasku przytuleni do siebie, aż zapadł mrok.

Wtedy wrócili do hotelu. I Liane uświadomiła sobie po raz pierwszy, że oto mają spędzić zwyczajny weekend - jak miliony normalnych ludzi. Na statku istnieli w gęstym mroku kabiny bosmanmata, okryci conocnymi zaciemnieniami. A teraz znaleźli się w schludnym pokoju z prysznicem. Liane zerknąwszy w stronę łazienki uświadomiła sobie, że wstydzi się Nicka. Jak panna młoda.

- Chcesz wykąpać się pierwszy, czy ja mogę zająć łazienkę?

- Idź pierwsza. Na pewno zabawisz tam dłużej niż ja.

Obładowana przyborami toaletowymi, zamknęła za sobą drzwi, w których stała ponownie pół godziny później w finezyjnej koszulce nocnej, ze starannie uczesanymi włosami. Nick gwizdnął.

- Niezłe osiągnięcie jak na łazieneczkę tego rozmiaru.

Liane się zaśmiała. Nikt by się nie domyślił, jakiej zręczności wymagało uzyskanie tego efektu w mikroskopijnym pomieszczeniu.

- Teraz ty.

Nick miał słuszną rację; potrzebował dużo mniej czasu niż Liane, a kiedy wyszedł z łazienki, miał jedynie ręcznik na biodrach.

- Trochę się chyba krygujemy, nie sądzisz? - zaśmiał się, a Liane zawtórowała.

- To dziwne, prawda? Na statku wszystko było znacznie prostsze.

Nick przez chwilę patrzył na nią czule od drzwi łazienki, wreszcie ruszył ku niej wolnym krokiem.

- Minęło strasznie dużo czasu, Liane... Zbyt wiele. - Stał nieruchomo, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

Delikatnie pociągnął ją ku sobie. Nie potrzebowali słów, aby wyrazić to, co czują. I nagle ostatnie półtora roku przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ich ciała zlały się w jedno, szatki Liane zdawały się topnieć pod dłońmi Nicka. Jego ręcznik opadł na podłogę, Nick delikatnie uniósł Liane w ramionach i zaniósł na łóżko, potem ją pieścił ustami i dłońmi, ona zaś z zapartym z rozkoszy tchem poddawała się jego pieszczotom.

Minęły godziny, zanim senni legli obok siebie. Nick wsparł się na łokciu

i patrzył na Liane. Była piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Witaj, kochana.

Uśmiechnęła się do niego sennymi oczyma. - Tęskniłam za tobą, Nick... Bardzo tęskniłam. - Pocałowała jego bark, pierś, leniwie przesunęła palcami wzdłuż ramienia. Tym razem było im ze sobą chyba jeszcze lepiej niż poprzednio, albowiem namiętność została wzbogacona o coś ciepłego, niewymuszonego i znajomego.

Wstali o dziesiątej wieczorem, a kiedy Nick nagi chodził po pokoju, odnosił wrażenie, że są ze sobą od zawsze. Nick z uśmiechem zerknął przez ramię, wylawiając z kieszeni kurtki munduru paczkę cameli. - Cóż, chyba przegapiliśmy kolację. Konasz z głodu?

Roześmiała się i pokręciła głową. Odkąd pocałował ją po raz pierwszy, nie jedzenie było jej w głowie. - Może nam pozwolą pomyszkować w kuchni?

Ale o dziwo, kiedy zeszli na dół, okazało się, iż jadalnia jest ciągle otwarta. Zajęli więc spokojny stolik w kącie i delektowali się spożywaną przy świecach kolacją, na którą złożył się szampan i wędzony łosoś. Na deser Nick zamówił szarlotkę, niespecjalnie pasującą do całości menu, i Liane naigrywała się z przasnego współbiedniaka.

- Służba w wojsku rodzi we mnie złe nawyki - usprawiedliwiał się, w końcu zaś Liane także zjadła szarlotkę, pośmiali się nieco i niebawem poszli z powrotem do pokoju. Na dworze jasno świecił księżyc, pokój był cichy i przytulny. Ledwie zdążyli zamknąć drzwi, a już leżeli w łóżku, kochając się zapamiętale. Na koniec Liane, z błogą szczęśliwością na twarzy, osunęła się w sen w ramionach Nicka, który długo jeszcze wpatrywał się w jej piękną twarz.

## Rozdział czterdziesty piąty

Nazajutrz rano zamówili śniadanie do pokoju. Siedzieli nadzy w łóżku, podkradając sobie rogaliki i herbatniki. Liane piła lekką angielską herbatę śniadaniową, Nick natomiast czarną kawę. Uśmiechali się do siebie.

- Przyjemnie, prawda, Liane?

- Przyjemnie to nieodpowiednie słowo.

Jakże to wszystko było odmienne od jej dawnego życia z Armandem! Odmienne od wszystkiego, czego kiedykolwiek zaznała, a przecież zdołała to już wpisać w swoją codzienność. Wiedziała, co zamówić na śniadanie, i wiedziała, że Nick pije czarną kawę. Siedząc w wannie, przyglądała się Nickowi, który śpiewając golił się przed lustrem. Przyłączyła się do niego i utworzyli zgodny duet.

Kiedy pieśń dobiegła końca, Nick, owinięty w ręcznik, odwrócił się do Liane i powiedział wesoło: - Nieźle, co? Może powinniśmy iść na przesłuchanie do radia.

- Jasne, dlaczego nie?

Ubrali się i poszli na długi spacer plażą, później niespiesznie snuli się po ulicach, przyglądając się oknom wystawowym. Nick kupił Liane małego morsa wyrzeźbionego w drewnie, ona jemu zaś małą złotą mewę na złotym łańcuszku.

- Będiesz mógł ją nosić ze znaczkiem identyfikacyjnym, żeby ci przypominała o Carmelu?

- Niech mi spróbują zabronić!...

Były to takie nie znaczące drobiazgi, lecz jedno chciało dać drugiemu coś, co przez długie miesiące będzie przypominać wspólnie spędzone tu

chwile. Liane kupiła jeszcze upominki dla dziewczynek i wuja. Po powrocie do hotelu czas do kolacji, znowu spóźnionej, zszedł im na pieśczętach.

W niedzielę zostali w łóżku do południa, a i tak Liane wstawiała z najwyższą niechęcią. Wiedziała, że już niebawem będą musieli wracać do domu, że ich idylla dobiegnie końca, na to zaś nie miała najmniejszej ochoty. Siedziała w wannie, zapatrzona w jakiś punkt nieobecny wzrokiem. Nick bez trudu odgadł, o czym myśli. Czule dotknął jej głowy i Liane się uśmiechnęła.

- Nie bądź taka smutna, kochanie. Wrócimy tutaj.

- Sądzisz, że nam się uda? - Któż mógł wiedzieć, kiedy Nick wyjdzie w morze? Mogło to nastąpić w każdej chwili. Ale i tym razem odgadł jej myśli.

- Wrócimy, obiecuję.

Godzinę później wyprowadzili się z hotelu, jeszcze zmęczeni po pożegnalnych igraszkach miłosnych.

- Wiesz? Ty też budzisz we mnie złe przyzwyczajenia - zauważyła Liane. - I obawiam się, że wchodzi mi w nałóg.

- Wiem, że to się zdarza. Moja ostatnia kuracja odwykowa trwała siedemnaście miesięcy.

- Moja też. - Popatrzyła na niego ze smutkiem. - Śniłeś mi się po nocach. Tego wieczoru, kiedy spotkałam cię u pani MacKenzie i usłyszałam twój głos, myślałam, że postradałam zmysły.

- Ja też tak myślałem, jak zobaczyłem cię w drugim końcu sali.

W Nowym Jorku widziałem cię niemal codziennie. Patrzyłem na ulicę, a ty tam byłaś. Jasnowłosa... Oddalałaś się coraz bardziej, a ja gnałem za tobą, żeby stwierdzić, że to jednak nie ty. Niejedna kobieta musiała uznać mnie wtedy za szaleńca. I byłem nim... - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Byłem szalony od bardzo, bardzo dawna, Liane.

Skinęła głową.

- Wciąż jesteśmy szaleni. - Wykradli światu trzy dni, oboje świadomi, że tego nie będą mogli przy sobie zatrzymać. Brali na kredyt.

- Ja nie żałuję, A ty?

Potrząsnęła głową. - Wczoraj myślałam o Armandzie... O tym, jak wygląda jego życie w Paryżu... Ale wiem, że to, co robimy, niczego nie zmienia. Dla niego. I tak z nim będę po zakończeniu wojny - wyznała.

Nick zdawał sobie z tego sprawę i nie czuł żalu. Pogodził się z tym... Prawie... Wiedział, że Armandowi jest bardzo ciężko, że w Europie panuje okrutna zima, ale nie chciał dłużej drażyć tego tematu. Liane nic nie mogła zrobić dla męża.

Znów powoli jechali przybrzeżną drogą i po krótkim obiedzie w zajeździe dotarli do San Francisco o ósmej. Liane nie dzwoniła do domu przez cały weekend - miała nadzieję, że dziewczynki czują się dobrze. Zauważyła też, że Nick nie dzwonił do Johnny'ego. Przez te trzy dni jakby należeli tylko do siebie, zamknięci w jakimś innym świecie. I w tym czasie żaden inny świat nie istniał. Temat dzieci podjęli dopiero podczas ostatnich dwóch kwadransów podróży. Nick westchnął:

- Wiem, że nie będzie mu źle, ale tak cholernie się o niego martwię.

Chciałbym cię o coś poprosić... o coś szczególnego. - Serce Liane mocno zabiło. Wiedziała, że prośba będzie ważna.

- Śmiało. O co?

- Jeśli mi się coś stanie... jeśli zginę... czy obiecujesz, że będziesz go odwiedzać?

Liane na chwilę odebrało mowę.

- Myślisz, że Hillary mi pozwoli?  
- Nic o nas nie wie. Nie ma więc powodu, żeby ci nie pozwoliła. Poza tym teraz ma nowego męża. - Znowu westchnął. - Gdybym tylko mógł, zostawiłbym Johnny'ego z tobą i miałbym pewność, że jest w dobrych rękach.  
Liane wolno skinęła głową.  
- Dobrze. Będę go odwiedzać. Zawsze będę utrzymywać z nim kontakty. - Uśmiechnęła się czule. - Jak anioł stróż. - Położyła dłoń na ręce Nicka. - Ale nic złego ci się nie przytrafi.  
- Nie wiadomo... - Kiedy zatrzymali się przed domem wuja, Nick w mroku popatrzył przeciągle na Liane. - Prosiłem najzupełniej poważnie.  
- A ja odpowiedziałam najzupełniej poważnie. Jeśli stanie się to, o czym mówiłeś, będę go odwiedzać - przyrzekła, lecz nie potrafiła sobie takiej możliwości wyobrazić.  
Wysiedli z auta i Nick wstawił torbę Liane do sieni. Nikogo w pobliżu nie było. Dziewczynki już spały i Liane miała nadzieję, że nie zauważą Nicka, który nie chciał się zgodzić, aby wróciła z jego hotelu do domu taksówką. Przed drzwiami odwróciła się do niego i przywarli do siebie w długim pocałunku.  
- Zadzwoń do ciebie rano.  
- Kocham cię, Nick.  
- Kocham cię, Liane.  
Pocałował ją raz jeszcze, po czym odjechał, Liane zaś poszła na górę do swojej sypialni.

## Rozdział czterdziesty szósty

Armand siedział w swoim gabinecie chuchając na dłonie, aby je nieco rozgrzać. Ostatnie tygodnie były wręcz upiorne. Lód i sypki śnieg pokrywały ulice Paryża, we wszystkich domach panował straszliwy ziąb. Armand nie potrafił sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio było mu ciepło, ręce zaś miał tak przemarznięte, że jeśli nawet rozcierał je przez kilka minut, mógł pisać z najwyższym trudem. Jako łącznik pomiędzy rządem Petaina a Niemcami, miesiąc wcześniej przeniósł swoje biuro i urzędował teraz w hotelu Majestic, obok biur Verwaltungsstabu, wydziału administracyjnego niemieckiego sztabu głównego. Po Linii wojskowej odpowiednikiem tego wydziału był Kommandostab pod dowództwem pułkownika Speidla. Niestety, Armand musiał zabrać ze sobą Andre Marchanda. Młody asystent był tak podniecony perspektywą działania ramię w ramię z Niemcami, że bez przerwy prężył się gorliwie i Armand coraz więcej wysiłku musiał wkładać w to, aby mu nie okazywać nienawiści.

Obowiązki Armanda uległy znacznemu poszerzeniu. Niemcy nareszcie obdarzyli go pełnym zaufaniem. Spędzał wiele godzin w ich propagandowym Abteilungu, który wychodził ze skóry, aby przekonać Francuzów, jakie błogosławieństwo spłynęło na nich pod postacią niemieckich okupantów. Miewał częste narady z pułkownikiem Speidlem i generałem Berkhausenem - omawiano na nich to, co Niemcy nazywali "obsługą zdobyczy wojennych". To tu właśnie Armand mógł potajemnie zadawać najpotężniejsze ciosy, niszcząc ślady istnienia wielu skarbów przeznaczonych dla Berlina. Po prostu znikwały, a winę zrzucano na Resistance. Zawsze w takiej sytuacji Armand wyglądał na najbardziej poirytowaną osobę. Jak dotąd nikt go nie

podejrzewał - tak się przynajmniej wydawało.

Armand odbywał też częste narady z doktorem Michelelem - niemieckim ministrem gospodarki, z którym omawiał aktualny stan gospodarki francuskiej, kontrolę cen, przemysł chemiczny, produkcję papieru, problemy zatrudnienia, kredyty, ubezpieczenia, węgiel, energię elektryczną i inne pomniejsze kwestie.

Większość hoteli została zajęta przez najwyższe dowództwo niemieckie. Generał von Stutnitz, wojskowy dowódca Okręgu Paryskiego, mieszkał w Crillonie, von Speidel i pozostali w Majesticu. Verwaltungsstab mieścił się zatem w wygodnym dla Armanda miejscu, bo blisko jego domu na Place du Palais-Bourbon, a Oberkriegsverwaltungsrat Kruger, zajmujący się budżetem miasta, urzędował w ratuszu. Generał von Briesen, wojskowy komendant Paryża, mieszkał w hotelu Meurice; po pewnym czasie jego stanowisko zajął generał Schaumburg, który postanowił pozostać w tym samym miejscu.

Na wszystkich ulicach miasta afisze w języku francuskim krzychały najgroźniejszymi ostrzeżeniami na temat kar grożących za przekazywanie informacji, akty sabotażu, przemocy, strajki, zachęcanie do zamieszek, a nawet wykupywanie na zapas towarów codziennego użytku. Wszystkie te przestępstwa miały być przez trybunał wojenny karane "z najwyższą surowością". Oczywiście dochodziło do mnogich pogwałceń tego ustawodawstwa, a dopuszczali się ich przeważnie członkowie Resistance, czyli - według niemieckiej propagandy - "komunistyczni studenci", rozstrzeliwani później publicznie, aby dać przykład społeczeństwu francuskiemu. W roku 1942 egzekucje publiczne stały w Paryżu na porządku dziennym, toteż w mieście panowała atmosfera przygnębienia. Tylko na odbywających się na całym terytorium okupowanej Francji potajemnych spotkaniach członków Ruchu Oporu nastrój był odmienny - dominowało na nich podniecenie i napięcie. Poza tym jednak miasta, miasteczka i wioski zdawały się dusić pod cichym całunem przemocy.

Przeciwko Francji sprzysięgły się nawet siły natury. Przez całą tę zimę ludzie marli jak muchy z zimna i niedożywienia. Armand widział wokół siebie konający naród. Już dawno Niemcy przestali udawać, że "nie okupowane" południe wykręci się sianem. Tam też wkroczyli i oto cała Francja została pożarta. "Nie na długo jednak" - jak w swoich przemówieniach radiowych, nadawanych przez BBC z Londynu, powtarzał de Gaulle.

Najbardziej fascynującą postacią był w owych czasach człowiek nazwiskiem Moulin - on to niemal sam zorganizował francuski Ruch Oporu. Nikt nie miał pojęcia, jakim cudem nieustannie przedostaje się do Londynu i z powrotem, niosąc bagaż nadziei i ducha bojowego.

Armand ośmielił się spotkać z Moulinem tylko raz. Było to dla niego zbyt ryzykowne, a zatem wszelkie ich kontakty odbywały się przez pośredników, zwłaszcza po wydaniu słynnego edyktu z 15 lipca 1941 roku, w którym Niemcy ustalali, że każde dzieło sztuki o wartości powyżej stu tysięcy franków ma być natychmiast zarejestrowane przez jego właściciela lub kustosza. Te właśnie akta z takim zapałem niszczył Armand na przełomie 1941 i 1942 roku. Miał świadomość, że dzięki niemu ocalały dzieła sztuki warte wiele milionów franków. Co jednak najważniejsze, usiłował też ratować życie ludzkie i to działanie stawało się dla niego coraz bardziej niebezpieczne. Poza tym przez kilka ostatnich tygodni chorował - był to efekt okrutnego chłodu panującego w Paryżu.

O tym jednak ani słowem nie wspomniał w liście, który Liane otrzymała nazajutrz po swoim powrocie z Carmelu. Ze słów Armanda wywnioskowała tylko,

że w pracy idzie mu dobrze. Mimo to wyczuła w tym liście coś jeszcze. Coś, z czym nigdy dotąd się nie zetknęła. Rodzaj rozpaczy, która przeradzała się niemal w desperację. I z tego, czego Armand nie napisał, wywnioskowała, że los Francji pod okupacją jest straszny. Po przeczytaniu listu długo stała przy oknie, spoglądając na Golden Gate.

- Liane, czy coś się stało? - Wuj nie pojechał jeszcze do biura i obserwował Liane z progu pokoju. Wyglądała na całkowicie wyczerpaną z sił. Kiedy odwróciła się do niego, spostrzegł, że płacze. Pokręciła jednak głową i uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie, nic się nie stało. Dostałam list od Armanda.

Ów list został przemycony przez Moulina podczas jego ostatniej przeprawy do Londynu, lecz o tym Liane nie mogła wujowi powiedzieć. Przecież nie wyjawiała mu związku Armanda z Ruchem Oporu. Armand nakazał jej w tej kwestii bezwzględne milczenie i dotrzymała go, wyjąwszy Nicka. Ale jemu ufała bez zastrzeżeń.

- Przydarzyło mu się coś?

- Nie wiem. Po prostu wydaje się bardzo smutny... To wszystko jest takie przygnębiające.

- Wojna nie jest przyjemną sprawą. - Słowa były banalne, ale prawdziwe.

- Wygląda na to, że jest chory. - Znała męża bardzo dobrze. Wuj powstrzymał się od stwierdzenia, że nic dziwnego w tym, iż zdrajca swojego kraju nie czuje się najlepiej.

- Nic mu nie będzie. Pewnie po prostu tęskni za tobą i dziewczynkami.

Skinęła głową czując, jak pierwsza włócznia wyrzutów sumienia przebija ją na wskroś.

- Chyba tak.

- Jak się udało seminarium w Carmelu?

Mimowolnie oczy Liane rozgorzały ogniem. - Było cudownie.

Wuj o nic więcej nie pytał. Obydwoje wyszli do pracy.

Kiedy po południu Nick podjechał po Liane pod biuro Czerwonego Krzyża, opowiedziała mu o liście od Armanda. Nickowi natychmiast zabłyśła w głowie straszna myśl - zdjęty lękiem, zajął jej w oczy.

- Czy zmieniłaś zdanie, jeśli chodzi o nas?

Patrzyła na niego bardzo długo, w końcu pokręciła głową. - Nie, nie zmieniłam. Wydaje mi się, że mam teraz dwa odrębne życia. Dawne z Armandem i zupełnie nowe z tobą. - Nick z ulgą kiwnął głową, Liane zaś westchnęła. - Ale czuję się okropnie...

- Chyba nie grozi mu jakieś konkretne niebezpieczeństwo?

- Nie większe niż zwykle, jak sądzę. Nie odebrałam takiego wrażenia.

Między wierszami wyczytałam po prostu ogromną depresję z powodu sytuacji we Francji. - Podniosła wzrok na Nicka. - Myślę, że tym właśnie przejmuję się bardziej niż sobą, bardziej niż nami wszystkimi. Ojczyzna jest dla niego najważniejsza.

- Podziwiam go - rzekł cicho Nick.

Odwiózł ją do domu i wraz z całą rodziną zjadł kolację. Później zagrał w domino z Liane i wujem George'em i wrócił do hotelu, Liane zaś została sama w domu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze znajdą się tak jak w Carmelu tylko we dwoje.

Do hotelu Nicka kobiety miały zakaz wstępu, i tak zresztą by tam nie poszła. W następny jednak weekend Nick rozwiązał tę kwestię sugerując, iż mogliby zarezerwować pokój w Fairmoncie. Przynajmniej jeden problem, dręczący większość kochanków na świecie, ich nie dotyczył - posiadali dość



pieniędzy. Za to innych problemów mieli aż w nadmiarze - Liane bała się o Armanda, Nick martwił się o Johnny'ego.

Tego dnia, kiedy dzwonił do syna, a później na spacerze bawił się z córkami Liane, widać było, jak straszliwie tęskni za Johnem. Cudownie dogadywał się z dziećmi.

Odwieźli dziewczynki do domu, poszli na kolację, a później do wynajętego pokoju. Liane córkom pozwoliła tej nocy spać u przyjaciółki, dla wuja zaś wymyśliła zwięzłą historyjkę, której nie podał w wątpliwość.

- Jak myślisz, czy wuj ma jakieś podejrzenia, Nick? - spytała z uśmiechem, kiedy leżąc w łóżu popijali szampana i pogryzali orzeszki ziemne. Tym razem nie zeszli do sali weneckiej. Chcieli być sami. Pytanie Liane, jak się zdawało, rozbawiło Nicka.

- Przypuszczalnie. Nie jest przecież głupi. I prawdopodobnie w swoim czasie wykręcał masę podobnych numerów.

O tym Liane doskonale wiedziała, lecz problem wciąż ją dręczył.

- Ale nic nie powiedział.

- Za dobrze cię zna, żeby o tym mówić.

- Myślisz, że ma coś przeciwko temu?

- A ty masz? - Nick popatrzył na Liane czule, ona zaś pokręciła głową.

- Nie, pewnie bardzo by się cieszył, gdybym rozwiodła się z Armandem i poślubiła ciebie.

- Ja też... Ja też tak podejrzewam.

Liane była przerażona myślą, że być może nie zachowuje się fair wobec do Nicka. Była w końcu mężatką i nie mogła mu ofiarować swojej przyszłości.

- Tak czy owak, nie przejmuj się. Dopóki nie dopadną nas policjanci z obyczajówki albo dziennikarze, jesteśmy bezpieczni.

- Roześmiała się. W hotelu zameldowali się jako major Nicholas Burnham z małżonką.

I tak romansowali przez jakiś czas, czas znaczony kolacjami, długimi popołudniowymi spacerami i kradzionymi weekendami, które spędzali w hotelu Fairmont. Po kilku tygodniach zdołali zaaranżować krótki wypad do Carmelu, ale w lutym sytuacja Nicka zaczęła się klarować. Singapur wpadł w ręce Japończyków, a ich siły lądowe zdobyły Jawę, Borneo, Holenderskie Indie Wschodnie i kilka wysp na południowym Pacyfiku. Japończycy byli z siebie zadowoleni do tego stopnia, iż generał Nagumo wycofał się na północ, do Japonii. Nick się spodziewał, że lada chwila zostanie wysłany na front. Z tygodnia na tydzień czekał na rozkazy, lecz wciąż ich nie otrzymywał. Amerykańskie lotniskowce czyniły wypady na Wyspy Gilberta i Marshalla na południe od Japonii, z powodzeniem bombardując pozycje japońskie. Nie udawało się jednak odzyskać z rąk wroga głównych fortec.

Pewnego marcowego dnia Nick, dokończywszy drugą szkocką, ku zdumieniu Liane spojrzął na nią z gniewem, po czym rąbnął pięścią w stół. Ciągłe oczekiwanie doprowadzało go do rozstroju nerwowego.

- Do cholery, Liane!... - zawołał. - Ja też powinienem tam być. Czemu, u diabła, siedzę na dupie w San Francisco?

Nie uraził jej swoim wybuchem. Liane doskonale go rozumiała.

- Bądź cierpliwy, Nick. Przecież grają na zwłokę - odpowiedziała kojącym tonem, co oczywiście w niczym nie pomogło.

- A ja spędzam wojnę w pokojach hotelowych. - Wyraz jego twarzy był czystym oskarżeniem i tym razem Liane potraktowała go z powagą.

- To twój wybór, Nick, nie zobowiązanie.

- Wiem... wiem... przepraszam... To dlatego, że siedzę tu i siedzę i

zaczynam już wariować. Rany boskie, wstąpiłem do wojska trzy miesiące temu, Johnny ugrzązł w Nowym Jorku z Hillary, a mnie serce pęka, jak słyszę, że za mną tęskni. Walnałem mu mówkę o powodach, dla których idę na wojnę, a teraz siedzę tutaj i w nieskończoność baluję.

Rozdrażnienie w jego głosie do głębi poruszyło Liane, która usiłowała go uspokoić. Ją także dręczyły wyrzuty sumienia i zdarzały się chwile, kiedy ona też kwestionowała swoje poczynania. Ale nie mogła ani też nie chciała zostawić teraz Nicka. Musieli być ze sobą aż do jego wyjazdu. Potem - z czego doskonale zdawali sobie sprawę - wszystko się skończy.

Czasami, zwłaszcza gdy otrzymała list od Armanda, odzywała się do Nicka z irytacją w głosie. Raz na przykład Armand wspomniał o atakach reumatyzmu, które mu dokuczały na skutek przemarznięcia nóg. Tego wieczoru Nick począł się uskarżać na ból w plecach, ponieważ tańczyli zbyt długo. I wtedy Liane przelała na niego złość, jaką czuła na siebie. - To nie tańczmy tyle, do licha!...

Zaskoczył go wyraz jej twarzy. Nigdy jej takiej nie widział. - Nie zauważyłem, że miałaś ochotę zejść z parkietu przed drugą nad ranem.

Ledwie to powiedział, Liane zalała się łzami i dopiero kiedy chwycił ją w objęcia, zrozumiał, w czym rzecz, Liane bowiem przyznała się, iż otrzymała list od męża.

- On chyba jest chory... Ma prawie pięćdziesiąt dziewięć lat... i marznie tam na kość... - łkała w ramionach Nicka, który tulił ją do siebie.

- Już dobrze, kochanie... Już dobrze... - uspokajał ją ze zrozumieniem. Potrafił bowiem zrozumieć każdy problem, Liane więc o wszystkim mogła z nim pomówić.

- Czasami mam takie poczucie winy!...

- Ja też, ale liczyliśmy się z tym od samego początku. To niczego nie zmienia w jego sytuacji.

- A jeśli Niemcy go zabiją?

Nick westchnął i zamilkł, nie wiedząc, co mógłby jej powiedzieć na pocieszenie. To niebezpieczeństwo było aż nadto realne.

- Podjął to ryzyko, decydując się pozostać w kraju. Wierzył w słuszność swojej decyzji. - Rozumiał uczucia Armanda do ojczyzny. Z tego, co mówiła mu Liane, Nick wnioskował, że w wypadku jej męża patriotyzm Armanda przerodził się w obsesję. - Liane, musisz po prostu wierzyć, że on przeżyje. Nie masz wyboru.

- Wiem. - Znowu pomyślała o zeszłym wieczorze, kiedy poszli na tańce. -

Rzecz po prostu w tym, że nasze życie przypomina nieustającą zabawę - powtórzyła słowa Nicka i oboje przez długą chwilę patrzyli na siebie.

- Chcesz, żeby się skończyła? - Nick wstrzymał oddech.

- Nie.

- Ja też nie.

Któregoś kwietniowego dnia, gdy przyjechał po nią do Czerwonego Krzyża, był osobliwie milczący.

- Czy coś się stało, Nick?

Popatrzył na nią ze smutkiem. Nie czuł nawet odrobiny tego podniecenia, którego się spodziewał, doświadczał natomiast poczucia utraty i osamotnienia. - Zabawa skończona.

Liane poczuła nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. - Co chcesz powiedzieć?

- Jutro wyjeżdżam z San Francisco.

Wstrzymała oddech, popatrzyła przeciągle na Nicka i oto nagle zapłakana

znalazła się w jego ramionach. Oboje wiedzieli, że ta chwila nadejdzie, lecz nie byli na nią przygotowani.

- Och, Nick... - Opadł ją strach. - Gdzie cię wysyłają?

- Do San Diego. Na dwa dni. A potem wypływamy, nie jestem pewien dokąd. Będę na lotniskowcu "Lady Lex". - Próbował się uśmiechnąć. - Właściwie nazywa się "Lexington". Płyniemy gdzieś na Pacyfik.

Okręt ten wrócił z doków, gdzie dokonywano w nim jakichś napraw. Liane czytała o tym w gazetach. W drodze do domu Liane milczeli oboje. Mieli tak posępne twarze, że wuj George natychmiast wszystkiego się domyślił.

- Wypływasz, synu?

- Tak, proszę pana. Jadę jutro do San Diego.

George skinął głową i popatrzył na Liane.

Tego wieczoru kolacja upłynęła w milczeniu. Nawet dziewczynki z rzadka je przerywały, a kiedy Nick żegnał się z nimi, obie wybuchły płaczem niemal tak silnym jak przy pożegnaniu z ojcem. Nick był dla nich w tej chwili kimś bardziej realnym niż Armand, którego nie widziały od dwóch lat. Przez cztery ostatnie miesiące stanowił niemal nieodłączną część ich życia. Wszyscy odczuwają boleśnie jego nieobecność, w szczególności Liane, która teraz czule całowała go w drzwiach. Obiecała nazajutrz pojechać pociągiem do San Diego, gdzie wyrwą jeszcze dla siebie kilka chwil, zanim Nick wypłynie. Miał znaleźć się na pokładzie na dzień przed wyjściem okrętu w morze. Dawało im to półtora dnia w San Diego.

- Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem, a jeśli nie zdołam, pojutrze rano.

Kiwnęła głową z oczami błyszczącymi od łez.

- Już za tobą tęsknię.

Uśmiechnął się. - Ja też. - Żadne z nich nie było przygotowane na cierpienie, które w tej chwili stało się ich udziałem. - Kocham cię.

Machała ręką, kiedy odjeżdżał. Potem poszła do swojego pokoju, padła na łóżko i zanosła się płaczem. Nie była gotowa rezygnować z Nicka... Jeszcze raz... teraz... kiedykolwiek...

## Rozdział czterdziesty siódmy

Pociąg dotarł do San Diego dopiero o jedenastej następnego wieczoru, a w hotelu Liane znalazła się o północy. Wiedziała, że jest zbyt późno, aby Nick mógł zadzwonić, z niecierpliwością zatem zasiadła przy telefonie nazajutrz. Nick zadzwonił tuż po południu. Liane czekała w napięciu od siódmej.

- Wybacz, kochanie. Nie mogłem zadzwonić. Mam spotkania, odprawy i Bóg wie co jeszcze.

Te słowa wywołały w niej panikę. - Ale możemy się zobaczyć, prawda? - Spoglądała na Pacyfik, usiłując wyobrazić sobie, gdzie w tej chwili znajduje się Nick. Z jej pokoju rozpościerał się widok na bazę i odległy port.

- Dopiero wieczorem. I Liane... - Nie miał na to najmniejszej ochoty, lecz wiedział, że musi jej powiedzieć. - To będzie ostatni raz. Muszę się zameldować w bazie jutro o szóstej rano.

- Kiedy wypływasz? - Słyszała w uszach łomot krwi.

- Nie wiem. Wiem tylko, że mam być na pokładzie jutro o szóstej rano.

Przypuszczam, że wypłyniemy następnego dnia, ale tego nam nie powiedzą. -

Taka była typowa w czasie wojny procedura wojskowa.

- Muszę już kończyć. Zobaczymy się wieczorem. Najszybciej, jak będę mógł.
- Będę czekać.

Spendziła cały dzień w swoim pokoju w obawie, że mógłby przyjść wcześniej, a wtedy by się minęli. Za dziesięć szósta rozległo się pukanie do drzwi.

Był to. Nick. Liane rzuciła mu się w ramiona, płacząc i śmiejąc się zarazem, ogarnięta bezgraniczną radością, że go widzi. Przez tych kilka chwil mogli udawać, że Nick nigdy donikąd nie wyjedzie.

- Boże, tak dobrze cię widzieć, kochany.
- Ciebie też.

Oboje byli wyczerpani napięciem dwóch ostatnich dni. Liane wiedziała, że tych chwil nigdy nie zapomni. Były gorsze niż dni, kiedy wyjeżdżała z Paryża.

Przegadali gorączkowo pół godziny, potem Nick wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka. Na krótko czas dla nich jakby się zatrzymał. Nie wyszli z pokoju na kolację i przez całą noc nie zmrużyli oka. Na przemian rozmawiali i kochali się. Wschód słońca Liane powitała z drzeniem. Wiedziała, że oto minęła ich ostatnia noc.

O piątej trzydziści Nick wstał z łóżka i popatrzył na nią z powagą.

- Kochanie... muszę iść...
- Wiem. - Usiadła, przejęta pragnieniem, aby go przytulić do siebie, aby móc cofnąć wskazówki zegara.

Od dwóch dni na usta cisnęło u się pytanie, które teraz dopiero odważył się zadać: - Będziesz do mnie pisać czy raczej nie?

Przed czterema miesiącami ustalili, że jeśli Nick wyjedzie, wszystko między nimi się skończy.

- Będę pisać - uśmiechnęła się smutno. W wojnie miała groźną rywalkę, która zabierała jej już drugiego mężczyznę. Nie wiedziała, co zrobi, kiedy Nick wróci. Od wielu tygodni zadawała sobie to pytanie. Sprawy wyglądały bowiem inaczej niż na "Deauville". Tym razem byli ze sobą cztery miesiące, a nie trzy dni, toteż ostateczne rozstanie z Nickiem nie byłoby tak łatwe jak wówczas. Zastanawiała się nad ewentualny porzuceniem Armanda po wojnie, lecz w głębi duszy miała świadomość, że nigdy się na to nie zdobędzie. Jednakże nie potrafiłaby też zrezygnować z Nicka Burnhama.

- Ja także będę do ciebie pisał. Ale może upłynąć dużo czasu, zanim dostaniesz mój list.
- Będę czekała.

Ubrał się nie biorąc natrysku, nie chciał bowiem trwonić ani jednej wspólnej chwili. Na toaletę będzie miał dość czasu na okręcie, a teraz miał do dyspozycji kilka ostatnich minut z Liane.

- Pamiętaj, co mówiłem o Johnnym? - Podał jej adres Hillary, choć Liane upierała się, że nie będzie jej potrzebny, bo Nick wróci i sam będzie troszczył się o syna. - Na wszelki wypadek - dodał, zapisała więc adres, aby poprawić mu samopoczucie.

W tych ostatnich chwilach wyglądali tak, jakby czekali na wybuch bomby. W końcu podnieśli się i mocno przytulili.

- Muszę cię tu zostawić - powiedział Nick.

Liane znowu ogarnął strach. - Nie mogłabym cię odwiedzić do bazy?

Pokręcił głową. - Byłoby nam jeszcze ciężiej.

Skinęła głową, czując na policzkach strumienie łez. Nick pocałował ją po raz ostatni i spojrzał jej głęboko w oczy. - Wróć.

- Wiem - odparła. Żadne nie zapytało, co wówczas nastąpi. Było zbyt

późno, aby się nad tym zastanawiać. Liczyła się tylko chwila obecna, bo przed nimi były nieznane wyroki losu. - Nick... Uważaj na siebie... - Objęła go raz jeszcze, kiedy wychodził. Nick mocno ją uściskał, po czym zbiegł po schodach.

Liane zamknęła drzwi i usiadła czując się tak, jakby wyszano z niej resztkę życia. Dwie godziny później nadal tak siedziała, rozmyślając o Nicku. Rzuciwszy przypadkiem spojrzenie w okno, ze zdumieniem stwierdziła, że cały Pacyfik przysłania słońce powoli olbrzymi okręt. Serce jej załomotało. Był to lotniskowiec. Zrozumiała, że to "Lexington" uwożący na pokładzie jej ukochanego. Gwałtownie otworzyła okno na oścież, jak gdyby to mogło ją zbliżyć do Nicka, i przyglądała się okrętowi, dopóki nie wyszedł z zatoki. Potem spakowała się i dwie godziny później, milcząca i osowiała, wracała do San Francisco.

## Rozdział czterdziesty ósmy

W domu poszła prosto do swojego pokoju. Było już późno i ciemno. Liane podskoczyła jak oparzona, kiedy tuż obok siebie usłyszała głos wuja George'a. Siedział w ciemnościach w jej pokoju.

- Co się stało?... Dziewczynki?...

- Nic się nie stało. - Kiedy włączyła światło, przyjrzał się jej badawczo. Sprawiała wrażenie udręczonej. - Dobrze się czujesz, Liane?

- Doskonale. - Ledwie jednak wypowiedziała te słowa, poczuła łzy spływające po policzkach i odwróciła się, aby je ukryć. - Naprawdę...

Wszystko w porządku...

- Nie, nie wszystko w porządku. Nie masz się czego wstydić. Wcale nie oczekiwałem, że będziesz w dobrej formie, Dlatego właśnie tu jestem.

Jak mała dziewczynka rzuciła mu się w ramiona. - Och, wujku!...

- Wiem... wiem... on wróci...

Tak, i Armand także wróci. Przez całą drogę do San Francisco myślała o nich obu. Czowała się rozdarta pomiędzy dwoma mężczyznami. Wuj przyniósł do jej pokoju butelkę brandy i dwa kieliszki. Liane uśmiechnęła się do niego przez łzy, kiedy nalewał jej alkoholu.

- Czym zasłużyłam sobie na takiego fajnego wuja jak ty?

- Jesteś dobrą kobietą, Liane. - Powiedział to bez uśmiechu. - I zasługujesz na dobrego mężczyznę. I jeśli Bóg tak zechce, będziesz go miała.

Upiła łyżeczkę brandy i usiadła z nerwowym uśmiechem na twarzy. - Problem w tym, wujku, że mam ich dwóch.

Nic nie odrzekł, Zostawił ją samą i chwilę później Liane położyła się do łóżka. Nazajutrz czuła się odrobinę lepiej.

Tego dnia otrzymała list od Armanda, z którego wynikało, że jej mąż również miewa się nie najgorzej. Zdawało się, że podniosły go na duchu "ostatnie wydarzenia", jak to ujął, lecz nie sprecyzował, co ma na myśli. Poza tym we Francji poprawiła się pogoda i nogi już mu nie dokuczały tak bardzo.

W ciągu najbliższych kilku dni także z Londynu nadeszły pocieszające wieści. Brytyjczycy otrzymali pierwszą dostawę żywności ze Stanów, dzięki czemu mieszkańcom Londynu głód przestał zaglądać w oczy. Natomiast z 8 kwietnia prasa amerykańska podała wiadomość o nalocie na Tokio, prowadzonym

przez podpułkownika Jamesa H. Doolittle'a, naukowca-aerodynamika i pilota. Doolittle zmodyfikował szesnaście bombowców B-25 i skierował je do Japonii. Eskadra nie miała możliwości powrotu na macierzyste lotnisko - po zbombardowaniu Tokio przewidziano lądowanie gdzieś na nie okupowanych terenach Chin. W nalocie stracono tylko jeden bombowiec, co w znaczącym stopniu poprawiło morale wojska. Na Tokio spadły bomby w odwecie za Pearl Harbor.

Entuzjazm związany z nalotem Doolittle'a miał jednak krótki żywot. W nocy 4 maja uwaga wszystkich skupiła się na bitwie na Morzu Koralowym. Liane spędziła tę noc bezsennie, modląc się za Nicka. Bitwa szalała przez dwa dni. Dowodził w niej generał MacArthur, który przezornie pozostał na tyłach, w Port Moresby na Nowej Gwinei. W dniu 6 maja przyszła najgorsza wieść: "Lexington" został zatopiony. Jakimś cudem zginęło zaledwie dwustu szesnastu ludzi, dwa tysiące siedmiuset trzydziestu pięciu zaś przyjął na pokład "Yorktown", siostrzany okręt "Lady Lex". Tylko że Liane nie wiedziała, czy Nick znalazł się w grupie poległych czy ocalałych. Dzień po dniu siedziała odrętwiała w swoim pokoju, wsłuchana w radio przeniesione na górę. I przypominała sobie upiorne sceny, których była świadkiem, kiedy zatonąła "Królowa Wiktoria". Błagała Boga, aby Nick znalazł się wśród ocalałych.

Posiłki przynoszono jej do pokoju, ale wracały do kuchni niemal nietknięte. Wuj George w tym samym czasie siedział w bibliotece, słuchając tam wiadomości. Przeczuyał, że upłyną tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim otrzymają jakąkolwiek wieść o Nicku. Liane nie wiedziała, iż George polecił swoim pracownikom skontaktować się z Brettem Williamsem w Nowym Jorku, który jednak, jak się okazało, również nie miał pojęcia o losie Nicka.

Radio 6 maja poinformowało społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, iż generał Jonathan Wainwright musiał poddać Corregidor Japończykom. Zarówno generał, jak i jego ludzie dostali się do niewoli. Na Pacyfiku sprawy nie układały się zatem dobrze.

- Liane... - George stanął w drzwiach jej pokoju rankiem 8 maja, dwa dni po zatonięciu "Lexingtona". - Chcę, żebyś zeszła na dół na śniadanie.

Posłała mu z łóżka martwe spojrzenie: - Nie jestem głodna.

- Nic mnie to nie obchodzi. Dziewczynki boją się, że jesteś chora. -

Wpatrywała się weń przez dłuższą chwilę, w końcu skinęła głową.

Poszła do jadalni osłabiona wieloma godzinami spędzonymi w łóżku przy zaciągniętych zasłonach i nieustannie włączonym radioodbiorniku. Córki zerkały na nią z troską, Liane zdobyła się więc na to, by odprowadzić je do szkoły. Potem wróciła do swojego pokoju i ponownie włączyła radio. Nie podano jednak świeżych wiadomości. Bitwa na Morzu Koralowym dobiegła końca.

- Liane... - Wuj znowu podążył za nią do pokoju. Spojrzała na niego pustym wzrokiem. - Nie możesz się tak zadrećcać.

- Wyjdę z tego.

- Wiem, że wyjdiesz. Ale to, co robisz, w niczym mu nie pomaga. - Usiadł na skraju łóżka. - W Nowym Jorku też nic nie wiedzą. Gdyby zginął, otrzymaliby telegram. Jestem pewien, że przeżył.

Skinęła głową, powstrzymując łzy. Nie potrafiła sobie poradzić z lękiem o dwóch drogich jej mężczyzn. Tego dnia otrzymała kolejny list od Armanda. Z Paryża wywieziono trzydzieści tysięcy Żydów. Był to jeden z listów przemyconych przez Moulina i jak wiele innych przesyłek od Armanda, przepłynął Atlantyk na pokładzie "Gripsholma".

Paryskich Żydów zamknięto najpierw na stadionie. Przebywali tam przez

tydzień - pozbawieni wody i żywności. Wielu umarło, w tym mnóstwo kobiet i dzieci. Świat oszalał. Od jednego końca globu po drugi ludzie umierali i zabijali się nawzajem. Nagle Liane pojęła, co powinna zrobić. Wyszarpnęła z szafy suknię i rzuciła ją na łóżko. Ożywiła się po raz pierwszy od kilku dni.

- Dokąd idziesz?

- Do biura ~- odparła krótko.

Wykąpała się, ubrała i godzinę później złożyła rezygnację. Nie z pracy w Czerwonym Krzyżu, lecz z funkcji, którą pełniła. Tego samego popołudnia podjęła pracę w szpitalu Marynarki Wojennej w Oakland. Skierowano ją do opieki nad pacjentami oddziału chirurgicznego. Była to najtrudniejsza praca, kiedy jednak Liane o ósmej wieczorem wróciła do domu, po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się lepiej. Powinna była to zrobić już dawno temu, i od dawna to zresztą planowała. Poinformowała wuja o swojej decyzji wieczorem przy kolacji.

- To okropna praca, Liane. Czy jesteś pewna, że chcesz to robić?

- Całkowicie - odparła z takim zdecydowaniem na twarzy, że George zrozumiał, iż Liane wzięła się w garść.

Powiedziała tego wieczoru wujowi o paryskich Żydach i George pokręcił głową. Nie już nie było takie jak dawniej. Absolutnie nie. Nic nie było bezpieczne. Nic nie było święte. U-Booty krążyły wzdłuż amerykańskich wybrzeży. W Europie wypędzano Żydów z ich domów, na południowym Pacyfiku Japończycy zabijali Amerykanów. Nawet przepiękna "Normandie" spłonęła przed trzema miesiącami w nowojorskim porcie i dokerzy, pracując po dwadzieścia cztery godziny na dobę, próbowali przywrócić ją do roli transportowca. Na Londyn zaś dniem i nocą spadały bomby, grzebiąc pod gruzami kobiety i dzieci.

Przez następny miesiąc Liane pracowała jak opętana w szpitalu w Oakland. Wychodziła z domu o ósmej rano i wracała o piątej albo szóstej po południu, czasem nawet o siódmej, wyczerpana, cuchnąca środkami dezynfekcyjnymi. Jej fartuchy często były poplamione krwią, twarz blada, oczy za to płonęły. Tylko to mogła robić, aby czuć się pomocną.

Miesiąc po bitwie na Morzu Koralowym została nagrodzona listem od Nicka. Żył! Usiadła na frontowych schodach domu i czytała płacząc z radości.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

W dniu 4 czerwca rozpoczęła się zakończona nazajutrz bitwa o Midway. Japończycy utracili w niej cztery z pięciu lotniskowców - Amerykę ogarnęła radość. Było to jak dotąd największe zwycięstwo. Liane zaś wiedziała, że Nick jest bezpieczny. Przebywał teraz na pokładzie "Enterprise", z dala od bitewnego zgiełku. I chociaż drżała jak listek, ilekroć dochodziły do niej wojenne wiadomości, regularny strumień listów utwierdzał ją w pewności, że Nick jest żywy i ma się dobrze. Pisała do niego niemal codziennie, Armandowi również odpowiadała najczęściej jak mogła.

Z najświeższej korespondencji od męża wynikało, że w Paryżu rośnie napięcie. Rozstrzeliwano coraz więcej młodych komunistów, wysiedlano coraz większe grupy Żydów, a na częstych spotkaniach w niemieckim sztabie Armand wyraźnie zauważał, że okupanci ostro biorą się za Paryż. Ruch Oporu na prowincji działał zatrwając aktywnie, toteż dla Niemców niezmiernie

istotne było utrzymanie w ryzach stolicy, która dawała w końcu wszystkim przykład. W tej sytuacji władze okupacyjne coraz chętniej korzystały z usług Armanda, oczekując od niego informacji na temat ukrytych dzieł sztuki, zaginionych bez śladu ludzi, a także o osobach, które pozornie współpracując z Petainem, mogły sympatyzować z komunistami. Potrzebowali kogoś, do kogo mogliby się zwrócić ze sprawą przekraczającą jakby ich kompetencje i Armand był takim właśnie człowiekiem. Stanowił wygodny bufor dla marszałka Petaina, lecz przez to żył w ciągłym napięciu.

Pewnego ciepłego czerwcowego dnia siedział w swoim biurze w hotelu Majestic, gdy do gabinetu wszedł Andre Marchand i położył na biurku nowy plik dokumentów.

- Co to jest?

- Meldunki na temat ludzi aresztowanych wczoraj. Dowództwo chce wiedzieć, czy nie ukrywa się wśród nich ktoś ważny.

Nic nie sprawiało Marchandowi większej przyjemności niż wydawanie rodaków w ręce Niemców. Armand żałował, iż jego asystent nie został powołany do wojska i wysłany na front wschodni. Skoro aż tak bardzo chciał być Niemcem, to niechby nim był w pełni.

- Dziękuję. Przejrzę w wolnej chwili.

- W sztabie chcą to dostać z powrotem jeszcze dziś wieczorem - odparł, patrząc Armandowi w oczy.

- W porządku, dopilnuję, żeby je mieli.

Zastanawiał się ostatnio, czy przypadkiem nie postawiono przy nim Marchanda, aby mieć pewność, że istotnie jest wierny Petainowi i Niemcom. Była to jednak absurdalna myśl. Marchand był młodzikiem, nic nie znaczył, toteż w żadnym razie nie mógł być użyty w charakterze psa łańcuchowego. Armand uśmiechnął się w duchu. Był tak zmęczony, że niebezpieczeństwo dostrzegał dosłownie wszędzie. Poprawiwszy na nosie okulary, których używał teraz do czytania, zaczął przeglądać dokumenty. W gruncie rzeczy dobrze, że zapozna się z nimi teraz, ponieważ wieczorem miał spotkanie z Moulinem przed jego wyjazdem do Londynu.

O szóstej wyszedł z hotelu Majestic i jak zwykle - chociaż tego dnia wcześniej niż zwykle - podążył do swojego mieszkania na Place du Palais-Bourbon. Wszedł do kuchni, po której wyraźnie było widać, że od miesięcy jest nie używana. Nic w tym domu nie przypominało już Liane i dzieci. Miedziane garnki pociemniały, kuchenka była zepsuta, a w spiżarni Armand niczego nie trzymał. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Ale nie przejmował się tym ani trochę. Dom służył mu wyłącznie jako miejsce do spania. Tego dnia jednak pokroił w plastry kawałek kielbasy, którą wcześniej kupił, potem zjadł jabłko. Przed wyjazdem do Neuilly zrobił kilka notatek. Uruchamiając samochód, uważnie rozejrzał się dookoła, lecz nie zauważył, by ktoś go obserwował.

Krótką drogę przebył bez problemu. Miał teraz na samochodzie specjalny emblemat, informujący niemieckie patrole, iż pracuje dla rządu. Zaparkował wóz o dwie przecznice od domu, do którego zmierzał, zapukał dwukrotnie, potem zadzwonił. Do środka wpuściła go stara kobieta. Skinęła mu głową i zamknawszy za nim drzwi, poprowadziła go do kuchni, skąd zeszli schodami do piwnicy. Tam wspólnymi siłami odsunęli na bok stos pudeł, odsłaniając włącz do podziemnego przejścia. Jak zawsze Armand przedostał się tunelem do sąsiedniego domu, gdzie czekało nań trzech mężczyzn. Jeden, o krótko ostrzyżonych siwych włosach, miał na sobie spodnie robocze, czapkę i czarny sweter. Był to Moulin. Wyciągnął rękę na powitanie. Jego towarzysze



przybyli wraz z nim z Tulonu. Armand ich nie znał.

- Witaj, przyjacielu.

- Miło pana widzieć - odrzekł Armand z uśmiechem. Żałował, iż nie zna tego człowieka lepiej. Francja wiele mu zawdzięczała. Był bohaterem Ruchu Oporu.

- Mnie również miło pana widzieć. - Moulin zerknął na zegarek. Nie chciał marnować czasu. Zdążył się już uporać ze wszystkimi zadaniami w Paryżu i zostało mu zaledwie pół godziny przed powrotem do Tulonu. Jeszcze tej nocy miał przepłynąć Kanał i dostać się do Londynu. - Mam dla pana pewną propozycję, panie de Villiers. Nie chciałby pan się wybrać do Londynu?

- A po co? - zdziwił się. Tam jego układy na nic by się zdały. Miały znaczenie tylko w Paryżu.

- To bardzo ważne. Idzie o pańskie życie. Mamy powody sądzić, że Niemcy pana podejrzewają.

Armand skinął głową, nie okazując lęku.

- Skąd to przypuszczenie?

- Wpadły nam w ręce pewne niemieckie papiery... Tydzień wcześniej zabito dwóch kurierów służących przy najwyższym dowództwie. Mieli przy sobie teczkę oficera, którą przejął Ruch Oporu. Von Speidel gotował się z wściekłości.

- Czy ta zeszlotygodniowa robota to wy? - zapytał cicho Armand.

- Tak. Przejeliśmy dokumenty, z których wynika... nie mamy pewności... ale nie chcemy czekać, aż będzie za późno. Powinien pan wyjechać już teraz.

- Kiedy?

- Dziś. Ze mną.

- Ależ nie mogę... - zaproponował Armand. Miał do zakończenia pół tuzina ważnych przedsięwzięć: chciał wywieźć do Prowansji rzeźbę Rodina, pomóc Żydówce ukrywającej się w piwnicy z synem, wydobyć bezcenny obraz Renoira zakopany pod jednym z domów. - Za wcześnie. Potrzebuję jeszcze czasu.

- Być może inni zadbają, żeby go pan nie miał.

- Czy to pewne?

Moulin pokręcił głową.

- Na razie nie wiem. Nie ustaliliśmy nic konkretnego. Ale pańskie nazwisko zostało wspomniane w dwóch meldunkach. Obserwują Pana.

- Ale to pan przejął te raporty, nie Speidel.

- Nie wiemy, kto widział je wcześniej. I tutaj właśnie kryje się niebezpieczeństwo.

Armand skinął głową, spokojnie patrząc na Moulina.

- A jeśli zostanę?

- Warto?

- Tak.

- Może pan szybko pozakańczyć bieżące sprawy?

- Mogę spróbować.

- To proszę się postarać. Wracam za dwa tygodnie. Czy wtedy pan wyjedzie?

Armand skinął głową, na jego twarzy pojawiło się jednak wahanie, które Moulin rozpoznał natychmiast. Widywał wielu takich ludzi, którzy nie potrafili zrezygnować z walki, tracąc w swoim zaangażowaniu wszelki umiar.

- Niech pan nie będzie durniem, de Villiers. Lepiej przysłuży się pan Francji pozostając przy życiu. Z Londynu też może pan niejednego dokonać.

- Ale chcę zostać we Francji.

- Może pan wrócić. Damy panu nowe dokumenty i znajdziemy zajęcie w górach.

- To by mi odpowiadało.

- Doskonale. - Moulin wstał, uściśnął Armandowi dłoń i wyszedł drogą, którą przybył Armand.

Chwilę później miejsce spotkania opuścił również Armand. Wiedział, że kiedy dotrze na ulicę, nie znajdzie śladu Moulina. Ten człowiek zawsze zniknął jak kamfora. Ale tym razem było inaczej. Idąc do swojego samochodu, Armand usłyszał jakieś odgłosy, a potem nagle z kryjówek wyskoczyli uzbrojeni żołnierze, śląc serie z karabinów maszynowych. Nie zauważyli widać Armanda, celowali bowiem do trzech mężczyzn uciekających w oddali. Armand przywarł do ściany i żołnierze minęli go, nie zwróciwszy nań uwagi. Ciszę nocną rozerwały następne strzały, Armand zaś skrył się w jakimś ogrodzie. Po chwili poczuł w nodze tępy pulsujący ból. Sięgnął dłonią - był ranny.

Poczekał, aż wszystko ucichnie, i wówczas wydostał się z ogrodu, modląc się, aby i tym razem Moulin zdołał umknąć. Wrócił do domu, w którym odbyło się spotkanie - tam go opatrzone. O północy ruszył do siebie, ale cały drżał z wyczerpania. Marzył, aby gdzieś w kredensie znalazło się choć kilka kropeł koniaku. Kiedy usiadł, patrząc na prowizoryczny opatrunek na nodze, uświadomił sobie, że ma poważny kłopot. Nie mógł nazajutrz przykuścić do biura. Było zbyt ciepło, aby ktokolwiek uwierzył, że znowu dokucza mu reumatyzm. Zaczął więc ćwiczyć chodzenie bez utykania. Przy każdym kroku jego twarz wykrzywiał grymas bólu. Nie udawało mu się pokonać oporu ciała. Ćwiczył i ćwiczył, aż twarz spłynęła mu potem. Ale w końcu zwyciężył. Z okropnym jękiem wczółgał się później na łóżko, lecz był zbyt wyczerpany, aby zasnąć. Zapalił więc lampkę i wyjął notes.

Nie pisał do Liane od ponad tygodnia, a dziś potrzebował żony. Nagle boleśnie zatęsknił za jej czułością, za jej ciepłem, i pisząc teraz, uczynił to, czego nie robił nigdy dotąd: otworzył serce i wylał przed Liane całą swą rozpacz nad Francją, otwarcie przedstawiając tragizm sytuacji. Pod koniec listu zaś poinformował ją, że jest ranny. "To nic poważnego, moja maleńka. Niewielka cena za udział w tej okropnej wojnie. Inni doświadczyli większych cierpień niż ja. Nie daje mi spokoju myśl, iż daję z siebie tak niewiele. Nawet ta niewielka rana to drobiazg..."

Podzielił się z Liane sugestią Moulina, że powinien udać się do Londynu, dodając, że prawdopodobnie niedługo się tam wybierze, aczkolwiek wnet wróci do Francji z nowymi dokumentami. "Moulin wspomniał dzisiaj o przerwaniu mnie w góry. Może wtedy naprawdę mógłbym wziąć udział w walce. Dokonują tam niesamowitych rzeczy, dają Niemcom w kość na każdym kroku... Byłaby to cudowna odmiana po przesiadywaniu w wilgotnych ścianach mojego gabinetu."

Poskładał list w kilkoro i umieścił pod wkładką w bucie, na wypadek gdyby coś miało mu się przytrafić w nocy, nazajutrz zaś podrzucił go do donicy przy rue du Bac. Był to punkt kontaktowy, z którego korzystał wielokrotnie, chociaż wolał osobiście wręczać listy Moulinowi. Wiedział jednak, iż listy pozostawiane tutaj także docierają do Liane. Ten również trafił do adresatki.

Czytając go dwa tygodnie później Liane miała oczy pełne łez. Wiedziała, że Armand jest kompletnie zaślepiiony, a przeczytawszy o zranieniu, poczuła zawrót głowy. Skoro Niemcy byli już tak blisko niego, a Moulin zażądał ucieczki do Londynu, to znaczy, że mogło być za późno. A on tego nie dostrzegał. Liane poczuła, jak rozpacz ściska jej gardło. Chętnie by potrząsnęła Armandem, żeby się ocknął, żeby zobaczył to, czego nie zauważa.

Czy jest aż tak ślepy, aby obraz czy posąg był dlań ważniejszy aniżeli ona, Marie-Ange i Elisabeth? Siedziała zapłakana przez pół godziny, potem - po raz pierwszy od bardzo dawna - poszła do kościoła. A kiedy pograżyła się w modlitwie, pojęła, co jest przyczyną takiego obrotu rzeczy: ona i Nick. Postawiła na głowie swój cały świat wartości. Odwróciła się plecami do męża, a on to wyczuł. Wszystko było teraz dla niej oczywiste.

Po powrocie do domu długo patrzyła na Golden Gate. Pisywała do Nicka codziennie, do Armanda zaś zaledwie raz albo dwa w tygodniu. Musiał wyczuć pogłębiającą się między nimi przepaść. Teraz już wiedziała, co musi zrobić. Właściwie wiedziała cały czas, tylko nie chciała tego uczynić.

Potrzebowała wielu godzin, by zapisać jedną stronę. Długo siedziała wpatrzona w kartkę papieru i wydawało się jej, że nigdy tego nie zrobi. To było dużo bardziej bolesne niż rozstanie z Nickiem na nowojorskim dworcu czy w pokoju hotelowym w San Diego. Było to boleśniesz niż cokolwiek na świecie. Czuła się tak, jakby odcinała sobie prawe ramię. Ale jak powiada Biblia, "jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie". To właśnie robiła Liane. Oznajmiła Nickowi, iż zdaje sobie sprawę, że to, co czynili, było występne, i że to ona pozwoliła mu wierzyć w jakąś wspólną przyszłość, podczas gdy żadnej nadziei w istocie nie było. Armand bardzo jej teraz potrzebował, potrzebował jej pełnego wsparcia, pełnej uwagi, pełnej wiary. Potrzebował wszystkiego, co mogłaby mu dać, aby zaś wywiązać się dobrze ze swoich zobowiązań, nie może go już dłużej zdradzać. Napisała Nickowi, iż kocha go całą duszą, lecz jest to miłość, do której żadne z nich nie ma prawa. Serdecznie życzyła mu wszystkiego dobrego, obiecywała, że będzie się za niego modlić każdego dnia wojny, ale nie może już do niego pisać. Napisała również, iż jeśli cokolwiek się stanie, dotrzyma złożonej obietnicy i będzie utrzymywać kontakty z Johnnym. "Ale do tego nie dojdzie, kochany. Wiem, że wrócisz do kraju, a jedyne, czego pragnę..." Nie potrafiła dokończyć zdania. "Wiesz, czego bym pragnęła. Ale nasze marzenia nie były wzięte na kredyt, one zostały skradzione. Muszę teraz wrócić do tego, do którego należą sercem, duszą i umysłem - do mojego męża. I pamiętaj zawsze, najdroższy, jak bardzo cię kochałam. Niech Bóg cię prowadzi i ma cię w swojej opiece."

Ze ściśniętym gardłem podpisała list i poszła go wysłać. Bardzo długo stała przed skrzynką pocztową. Jej dłoń drżała, serce pękało na tysiąc kawałków, lecz wreszcie otworzyła gwałtownie skrzynkę i wrzuciła do niej list. Wiedziała, że trafi do Nicka.

## Rozdział pięćdziesiąty

Nazajutrz po wydarzeniu w Neuilly Armand wkroczył do biura z pobladłą twarzą i spoconymi dłońmi. Nie utykał. Podeszedł do biurka i zasiadł za nim tak jak zwykle. Wkrótce pojawił się Marchand z kolejnym plikiem raportów do przeczytania, formularzy do wypełnienia i najrozmaitszych notatek od urzędujących w Paryżu generałów niemieckich.

- Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia?

- Nie, dziękuję, Marchand. - Armand twarz miał ściągniętą, lecz jego głos brzmiał normalnie.

Przez cały następny tydzień z szalonym zapalem wykonywał zwykłe zajęcia. Bezcenny Renoir zniknął z piwnic budynku. Rodina wywieziono. Żydówka i jej

dziecko zostali ukryci w piwnicy gospodarstwa rolnego w pobliżu Lyonu, poza tym Armand zdołał przy okazji sfinalizować mnóstwo innych spraw. Wiedział, że czasu ma bardzo niewiele. W ranę wdała się infekcja i stan nogi pogarszał się z dnia na dzień, on zaś nie miał jej czym leczyć. Każdego dnia, mobilizując całą siłę woli, szedł tak, jakby był najzupełniej zdrowy. Wysysało to zeń więcej sił niż wszystkie inne działania, tak że w efekcie wyglądał na człowieka wycieńczonego.

Pracując z chorobliwą gorliwością, zostawał w biurze długo po godzinie zaciemnienia. I tak bardzo pragnął zakończyć wszystkie sprawy, że z dnia na dzień odkładał spalenie notatek. Trudno było teraz zresztą znaleźć pretekst do rozpalania w kominku. Często z uśmiechem i zacierając dłonie powtarzał Marchandowi, iż jego stare kości potrzebują ciepła. Marchand w takich chwilach wzruszał tylko ramionami i wracał do swojego biurka.

W końcu do spotkania z Moulinem pozostały zaledwie cztery dni. Armand zdawał sobie sprawę, że musi się spieszyć. Pewnego wieczoru wyszedł z biura po dziesiątej, a kiedy dotarł do domu, odniósł wrażenie, że ktoś w nim buszował. Nie pamiętał, żeby krzesło aż tak odsunął od biurka. Był jednak zbyt zmęczony, aby się tym przejmować, tym bardziej że rana w nodze pulsowała straszliwym bólem. W Londynie będzie musiał poradzić się lekarza. Rozejrzał się po mieszkaniu, wyrzwał na Place du Palais-Bourbon, a kiedy gasił światło, czuł żal, że wkrótce opuści Paryż. Tyle że już nie raz stąd wyjeżdżał i zawsze wracał. Gdy wróci następnym razem, Paryż będzie wolny.

Bonsoir, ma belle - uśmiechnął się do swego miasta i idąc do łóżka pomyślał o żonie. Jutro napisze do Liane... a może pojutrze?... Teraz nie miał czasu. Noga bolała go jednak tak bardzo, że obudził się przed świtem i zmęczony się daremnymi próbami ponownego zaśnięcia, postanowił wstać, usiąść przy biurku i napisać list do żony. Przysuwając białą kartę papieru, poczuł dreszcz gorączki, do którego ostatnio już przywykł.

"Niewiele mam do dodania po tym, co napisałem w poprzednim liście. Moje życie, kochanie, było wypełnione gorączkową pracą..." Nagle coś sobie uświadomił i uśmiechnął się niewesoło. "Obawiam się, że stałem się mężem zupełnie nie do przyjęcia. Dwa tygodnie temu zapomniałem o trzynastej rocznicy naszego ślubu. Może jednak, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, zdołasz mi to wybaczyć. Niech zatem czternasty rok naszego małżeństwa będzie spokojny i bezproblemowy. I obyśmy rychło byli znowu razem..."

A potem zaczął pisać o sobie.

"Obawiam się, że z moją nogą nie jest najlepiej. Żałuję teraz, że napisałem Ci o niej, bo zapewne będziesz się niepokoić. To chyba drobiazg, ale nadwerężam ją każdego dnia, co wcale mi nie pomaga. Chyba jestem starcem. Starcem, który nadal kocha swoją ojczyznę... do samej śmierci, na dobre i na złe... bez względu na to, jak wysoką cenę trzeba za to zapłacić. Chętnie oddałbym nogę, nawet serce za ten kraj, który kocham tak bardzo. Teraz, zbezczeszczonej przez Niemców, leży przygwożdżony do ziemi, ale niebawem znów będzie wolny i odzyska zdrowie. Wtedy znów znajdziesz się przy moim boku, Liane, i znów będziemy szczęśliwi. A tymczasem rad jestem, że żyjesz pod opieką wuja. Tak jest dużo lepiej dla Ciebie i naszych córeczek. Nie żałuję, że odesłałem Cię wtedy do Stanów. Nigdy się nie dowiesz, jakie uczucia mną miotają, kiedy patrzyłem na Francję duszoną w niemieckich łapskach... Francję, która czując na szyi śmiertelny uścisk, widziała na ustach oprawców obrzydliwy uśmiech. Jestem zrozpaczony perspektywą rychłego wyjazdu z Moulinem, a jedyne, co mnie pociesza, to

świadomość, że niebawem wrócę, by zacząć jeszcze cięższą walkę..."

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby zostać w Anglii albo wrócić do Liane. Myślał tylko o Francji, nawet kiedy podpisywał list.

"Nie zapomnij uściskać ode mnie dziewczynek. Ciebie także mocno ściskam, najdroższa. Bardzo, bardzo Cię Kocham... niemal tak mocno jak Francję, może nawet bardziej, ale odsuwam od siebie w tej chwili tę myśl, w przeciwnym razie, zapominając o swojej starości, ruszyłbym biegiem do Ciebie. Niech Bóg ma w opiece Ciebie, Marie-Ange i Elisabeth. Przekaż wyrazy szacunku i wdzięczności swojemu wujowi. Twój Kochający mąż, Armand."

Jak zwykle podpisał list zawijaszem, a w drodze do biura zostawił go w stałym punkcie kontaktowym. Przez chwilę ważył myśl, czyby nie zabrać go, skoro i tak ma jechać z Moulinem, ostatecznie jednak zdecydował się na tradycyjną drogę. Zdawał sobie sprawę, jak niecierpliwie oczekuje Liane jego listów, jak niepokoją ją dłuższe okresy milczenia. Wyczuwał to w pytaniach, które mu zadawała, a które umykały uwadze cenzorów. Zerknąwszy na kalendarz, zawieszony nad biurkiem naprzeciwko portretów Petaina i Hitlera, uświadomił sobie, iż od spotkania z Moulinem dzielą go zaledwie trzy dni. Zastanawiał się, co robić w następnej kolejności, kiedy do jego gabinetu wkroczył promienny Andre Marchand. Nie uśmiechał się za to żaden z dwóch niemieckich oficerów dotrzymujących mu towarzystwa.

- Monsieur de Villiers?

- Tak, Marchand? - Nie przypominał sobie, żeby na ten rano miał umówione z Niemcami spotkanie. Zwykle zresztą wzywali go bez uprzedzenia. Teraz popatrzył wyczekująco na przybyłych. - Czy mam się gdzieś stawić?

- W rzeczy samej, proszę pana. - Uśmiech Marchanda był coraz szerszy. - Panowie z dowództwa pragną się natychmiast z panem zobaczyć.

- Doskonale.

Wstał i wziął kapelusz. Nawet w tych czasach nosił zawsze garnitur w prążki, kamizelkę i kapelusz. Ten nawyk pozostał mu z czasów służby dyplomatycznej. Wraz z oficerami zszedł na dół i wsiadł do samochodu, który po niego wysłano. Zawsze podróżował z klasą, choć nie przywiązywał do tego większej wagi. Wciąż przewracały się w nim wnętrzności, kiedy uświadamiał sobie, że na widok jego samochodu ludzie szepczą jedno tylko słowo: "Zdrajca".

Tego dnia wszakże nie wprowadzono Armanda do tego gabinetu co zwykle, lecz do biur dowództwa wojskowego. Zastanowił się, co też nowego wymyślili Niemcy, żeby mu zatruć życie. Co tam, uśmiechnął się w duchu. I tak nie zdąży tego zrealizować. Za trzy dni wyjeżdża.

- De Villiers?

Jak zwykle niemiecki akcent zazgrzytał niemiłą nutą w uszach Armanda, który koncentrował się przede wszystkim na tym, aby wejść do biura nie utykając. Toteż w żaden sposób nie był przygotowany na to, co nastąpiło później. Oczekiwało go trzech oficerów SS. Został zdemaskowany. Na stole leżał plik obciążających dokumentów, w tym na poły spopielone arkusiki papieru, które spalił poprzedniego dnia. Spojrzawszy w oczy najwyższego rangą oficera, Armand wszystko zrozumiał. Zdradził go Andre Marchand. Mimo to próbował walczyć.

- Nie rozumiem... - zaczął. - To nie są...

- Milczeć! - ryknął oficer. - Milczeć! Ja mówię, a ty słuchasz. Jesteś francuska świnia, taka sama jak wszystkie inne!... I jak będziemy dzisiaj z tobą kończyć, będziesz kwiczał tak samo jak one!

Nie domagali się od niego żadnych informacji, niczego nie chcieli.

Pragnęli tylko powiedzieć mu, co wiedzą, aby dowieść tym samym wyższości intelektualnej Niemców nad Francuzami. Kiedy oficer skończył swoją wyliczankę - szczęśliwie mocno niekompletną - Armand został wyprowadzony z pokoju. Dopiero wtedy po plecach przebiegł mu dreszcz. Dopiero wtedy zaczął powłóczyć nogą, dopiero wtedy pomyślał o Liane, o Moulinie, i dopiero wtedy poczuł wszechogarniającą rozpacz. Przedtem krew nie płynęła w jego żyłach zbyt szybko, teraz jednak przyspieszyła bieg, w głowie mu zawirowało. Armand powtarzał sobie raz za razem, że warto było oddać życie za ojczyznę... pour la France... Te słowa powtarzał sobie w nieskończoność, gdy przywiązywano go do słupa na dziedzińcu komendy głównej policji. Tuż przed śmiercią wyrzekł tylko jedno słowo:

"Liane!" Kiedy osunął się w więzach na ziemię, echo powtórzyło okrzyk człowieka, który zginął za ojczyznę.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

W dniu 28 czerwca 1942 roku FBI pochwyliło na Long Island ośmiu niemieckich szpiegów. Zostali wysadzeni na brzeg przez niemieckie U-Booty, które swoją obecnością przypominały wszystkim, jak bardzo faszyści zbliżyli się do wschodnich wybrzeży Stanów. Od początku roku 1942 Niemcy zatopili na Atlantyku sześćset osiemdziesiąt jeden statków, tracąc bardzo niewiele własnych jednostek.

- Właśnie dlatego internowaliśmy Japończyków, moja droga - z przyganą w głosie przypomniał wuj George podczas śniadania. Przed paroma dniami Liane oświadczyła, iż uważa ten postępek za okrutny i niepotrzebny. W jednym z obozów internowano nawet ich ogrodnika wraz z rodziną. Obchodzono się tam z nimi w sposób bliski okrucieństwa: mieli ograniczone racje żywnościowe, niemal żadnych środków medycznych i mieszkali w warunkach, które trudno było uznać za humanitarne.

- Guzik mnie to obchodzi - oświadczył wuj. - Gdybyśmy tego nie zrobili, Japończycy tak samo jak Niemcy podrzucaliby nam agentów, którzy by próbowali się wtopić się w tłum zupełnie jak tych ośmiu szkopów.

- Nie zgadzam się z tobą, wujku.

- Jak możesz mi to mówić prosto w oczy, skoro Nick walczy gdzieś tam z Japończykami?

- Mogę. Ci ludzie w obozach to Amerykanie.

- Nikt nie ma pewności, czy są lojalni, a nie możemy pozwolić sobie na ryzyko. - Ten problem już wielokrotnie ich poróżnił, toteż George przezornie postanowił zmienić temat. - Pracujesz dzisiaj w szpitalu?

Liane była już młodszą pielęgniarką, co liczbę jej dyżurów zwiększyło z dotychczasowych trzech do pięciu tygodniowo.

- Tak.

- Zaharowujesz się, kobieto - rzekł i jego wzrok złagodniał.

Odkąd listownie zerwała z Nickiem, Liane poświęcała pracy każdą wolną chwilę. Teraz również, jak w pierwszym okresie po "Deauville", nawiedzały ją myśli o Nicku, którym towarzyszył strach, że przez to, iż go porzuciła, stanie się zuchwały i nie będzie zważał na swoje bezpieczeństwo. Miała tylko nadzieję, iż miłość do syna zmusi go do względnej ostrożności. Liane bowiem nie miała wyboru. Jej powinnością było stać przy mężu. Na jakiś czas pozwoliła sobie o tym zapomnieć, ale ów okres nieodwracalnie minął.

- Co robisz dzisiaj, wujku? - Łagodnie, jak tysiąc razy w ciągu każdego dnia, usunęła Nicka ze swoich myśli. Musiała teraz nieustannie żyć z poczuciem winy, a także z lękiem, że być może Armand ma jakąś mglistą świadomość tego, czego się dopuściła jego żona, i że czuje się skrzywdzony. Należało to teraz nadrobić, pisała więc do niego codziennie, chociaż wiedziała, że z ocenzonego listów otrzyma tylko fragmenty.

- Jem z Lawsonem lunch w klubie. - Twarz George'a spochmurniała, kiedy podjął ochryple: - Jego chłopak, Lyman, zginął w bitwie o Midway.

Liane podniosła wzrok. Lyman Lawson był owym prawnikiem, z którym próbował ją swatać wuj tuż po jej przyjeździe do San Francisco.

- Przykro mi.

- Mnie także. Lou ciężko to przeżywa. Lyman był jedynakiem.

To znów przypomniało Liane Nicka. On też walczył o Midway. Nie mogła jednak pozwolić sobie na takie myśli, bo rychło popadłaby w obłęd. Nick na Pacyfiku toczył wojnę z Japończykami, Armand w Paryżu z Niemcami - jej serce było rozerwane pomiędzy dwiema częściami świata.

- Muszę iść do pracy.

Jedynie w szpitalu mogła uciec przed swymi myślami, chociaż i tam - a może tam szczególnie - wojna była nieustannie obecna. Co dzień transportowce przywoziły rannych chłopców, a każdy z nich miał do opowiedzenia na temat wojny na Pacyfiku własną wstrząsającą historię. Im przynajmniej jednak mogła pomóc. Mogła łagodzić ból, przykładać kompresy, karmić, dotykać, tulić.

- Nie pracuj zbyt ciężko, Liane.

Kiedy wyszła z domu, George pomyślał z bólem, że Liane nie jest podobna do innych młodych kobiet. Większość z nich spędzała czas na urzędowaniu przyjąć dla oficerów. Liane natomiast musiała opróżniać kaczki, myć podłogi i patrzeć na mężczyzn, którzy wywożeni z sali operacyjnej, rzygają jak koty. Ale jak zawsze odczuł też dla niej wielki podziw za to wszystko.

Dwa tygodnie później po powrocie do domu zastała list od Armanda, który znowu uskarżał się na ból w nodze. Pisał też o wyjeździe do Londynu z Moulinem - teraz Liane nie miała już wątpliwości, że sytuacja staje się niebezpieczna. Na chwilę wszakże poczuła się lepiej. Gdyby się wydostał... Ale nadzieja umarła po przeczytaniu następnych słów. "Jestem zrozpaczony perspektywą rychłego wyjazdu z Moulinem, a jedyne, co mnie pociesza, to świadomość, że niebawem wrócę, aby podjąć jeszcze cięższą walkę..."

Aż się zachnęła, że tylko o tym Armand potrafi teraz myśleć. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat! Dlaczego nie pozwalał innym toczyć tej wojny, dlaczego nie wracał do niej? Dlaczego?... "Do samej śmierci, na dobre i na złe" - przeczytała. Francja była całym jego życiem. Chociaż niegdyś to wszystko wyglądało inaczej. Zupełnie inaczej. I kiedy teraz siedziała, wpatrując się w list, uświadomiła sobie, że w ich związku wszystko się zmieniło, odkąd zeszedli na ląd z pokładu "Normandie". Pamiętała pełne udreki miesiące przed wybuchem wojny, gdy zapracowywał się na śmierć. Pamiętała napięcie w okresie pomiędzy wrześniem roku 1939 a upadkiem Paryża, gdy nie miała pojęcia, czym jej mąż się naprawdę zajmuje. A potem ona i córki wyjechały z Francji, pozostawiając Armanda. Nie mogła znieść tego wszystkiego. Była śmiertelnie znużona. Przez cały dzień pielęgnowała chłopaka, który stracił obie ręce podczas bitwy na Morzu Koralowym. Był z Nickiem na "Lexingtonie", lecz jako szeregowy żołnierz, nie miał więc możliwości go poznać.

Kiedy Liane zeszła tego wieczoru na kolację, George przyjrzał się jej i stwierdził, że wygląda na wyjątkowo znużoną. Taka blada i wyczerpana chodziła już od tygodni, domyślał się, zatem, że stara się przed nim coś ukryć.

- Czy miałaś wieści od Nicka? - Do niedawna informowała go o każdym liście, ostatnio jednak tego zaniechała. Pokręciła głową. - Rano dostałam list od Armanda. Jest zmęczony i dokucza mu noga. - Zapragnęła powiedzieć wujowi o Armandzie całą prawdę, lecz przemogła się i postanowiła zaczekać, aż jej mąż znajdzie się w Anglii.

- A co tam z Nickiem? - nie dawał za wygraną.

Liane popatrzyła nań płonąącym wzrokiem.

- Moim mężem jest Armand, a nie Nick.

Tego wieczoru George również był znużony, odpowiedział zatem bez namysłu

- Ale nie pamiętałaś o tym przez całą wiosnę, prawda?

Od razu pożałował tych słów, zwłaszcza gdy ujrzał wyraz twarzy Liane.

- Powinnam była pamiętać - odparła ledwie słyszalnym szeptem.

- Liane, wybaczone, nie chciałem...

Spojrzała na wuja pustym wzrokiem.

- Masz zupełną słuszność. Popełniłam straszny błąd. Byłam nieuczciwa wobec nich obojgu... - Westchnęła. - Napisałam do Nicka kilka tygodni temu. Nie będziemy już ze sobą korespondować.

- Ależ dlaczego? Ten biedak... - Wieść poraziła go całkowicie.

- Dlatego, że nie mam prawa, wuju. Jestem mężatką.

- Ale przecież on o tym wiedział.

Skinęła głową. - Chyba tylko ja jedna całkowicie o tym zapomniałam. Najlepiej jak mogłam naprawiłam teraz swój błąd.

- Ale co z nim? Czy zdajesz sobie sprawę, co mu robisz? Co robisz człowiekowi, który walczy w tej chwili na wojnie?

Jej oczy wypełniły się łzami. - Nic nie mogę na to poradzić. Mam obowiązki wobec męża.

Miał ochotę walnąć pięścią w stół, ale się nie ośmielił. Twarz Liane wyrażała bezgraniczną rozpacz.

- Liane... - zaczął i urwał. Nic nie mógł powiedzieć. A zdawał sobie sprawę, że bratanica jest równie uparta jak on.

Liane wstała od stołu i poszła do pracy. Z dnia na dzień pracowała coraz dłużej i ciężiej. Minął tydzień od ostatniego listu Armanda, gdy po powrocie do domu zastała skreślony nie znanym charakterem pisma list z Londynu. Nie miała pojęcia, od kogo może pochodzić. Otwierała kopertę, wchodząc powoli po schodach. Bolało ją całe ciało. Kolejny dzień spędziła z okaleczonym chłopcem. Wciąż trawiła go wysoka gorączka i nie wiadomo było, czy przeżyje.

Przystanąła, wpatrując się w czytane słowa. "Chere Madame..." Początek brzmiał całkiem zwyczajnie, dalej natomiast treść była zupełnie nieprawdopodobna. "Z żalem informujemy, iż mąż Pani zginął wczoraj po południu, do ostatka służąc ojczyźnie. Zginął jak bohater, ocaliwszy setki ludzkich istnień i wiele skarbów kultury francuskiej. Jego nazwisko na zawsze zostanie wyryte w naszych sercach i przejdzie do historii Francji, Pani dzieci zaś mogą być dumne z ojca. Dzielimy z Panią rozpacz z powodu tej straty. Jest to także nasza strata. Najwięcej jednak straciła nasza ojczyzna."

List był sygnowany nazwiskiem Moulin. Liane powoli osunęła się na podłogę u szczytu schodów. Czytała list raz za razem, lecz słowa były wciąż te



same. "Chere Madame... Z żalem informujemy... Z żalem informujemy..." List kłamał. To nie Francja najwięcej straciła! Liane zgmiotła arkusik w kulkę, cisnęła go na koniec holu i zaczęła walić pięściami w podłogę. Armand zginął... Zginął!... Był głupcem, pozostając we Francji, żeby walczyć z Niemcami... żeby...

Nie słyszała głosu wuja, wołającego jej imię. Nic nie słyszała, kiedy leżąc na podłodze zanosila się płaczem. Armand zginął. I Nick też zginie. Wszyscy zginą. I za co? Za kogo?...

Nie widzącymi oczyma popatrzyła na wuja i wykrzyknęła:

- Nienawidzę ich!... Nienawidzę!... Nienawidzę!!!

## Rozdział pięćdziesiąty drugi

Tego wieczoru powiedziała o wszystkim córkom. Rozplakały się, usłyszawszy nowinę, a potem we trzy rozmawiały bardzo długo. Liane opanowała się już, ale była śmiertelnie blada. Jakaż ulgę teraz czuła, mogąc wyjawic córkom prawdę. Dziewczęta były oszołomione dowiedziawszy się, że ich ojciec, na pozór zdrajca, działał we francuskim Ruchu Oporu.

- Musiał być bardzo dzielny - rzekła ze smutkiem Elisabeth.

- Był dzielny.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam wcześniej? - zapytała Marie-Ange.

- Ponieważ byłoby to dla niego niebezpieczne.

- A czy ktokolwiek o tym wiedział?

- Tylko ludzie, dla których pracował w Ruchu Oporu.

Marie-Ange kiwnęła głową ze zrozumieniem. - Czy wrócimy jeszcze do Francji?

- Może kiedyś... - Sama nie wiedziała, co odpowiedzieć na to pytanie. Nie miały już domu, miejsca, do którego mogłyby wrócić po wojnie, miejsca, gdzie ktokolwiek by na nie czekał. A ona nie miała męża.

Nie bardzo mi się to wszystko podoba - wyznała Elisabeth.

- To były ciężkie czasy, szczególnie dla tatusia.

Dziewczynki zgodnie skinęły głowami i Liane wreszcie położyła je spać.

Ta noc dla każdej z nich była ciężka. Liane wiedziała, że nie zaśnie, i nawet nie chciała się kłaść. Z trudem potrafiła oswoić się z myślą, iż Armand nie żył od trzech tygodni, a ona nie miała o tym pojęcia. Ostatni list czytała już po jego śmierci... A mówił w nim tylko o swojej miłości do Francji... Do nich też, ale do Francji przede wszystkim. Być może z jego punktu widzenia warto było tak postąpić. Liane jednak, wchodząc do biblioteki, odczuwała osobliwą mieszaninę gniewu i rozpacz.

Wuj George jeszcze nie spał.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. - Usiadła, opadła na oparcie i zamknęła oczy. - Wybacz, Liane - rzekł George głosem pełnym tklivości. Czuł się bezradny. Równie bezradny jak Liane opiekująca się chłopcem, który stracił ręce. - Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Powoli otworzyła oczy. Czuła się odrętwiała. - Chyba nie. Wszystko skończone. Musimy po prostu nauczyć się z tym żyć.

George skinął głową i mimo woli pomyślał o Nicku, zastanawiając się, czy teraz Liane zacznie do niego pisać.

- Jak to się stało? - Dotąd nie miał odwagi zadać tego pytania, teraz

jednak Liane sprawiała wrażenie spokojniejszej.

Popatrzyła mu prosto w oczy. - Rozstrzelali go Niemcy.

- Ale dlaczego? - Nie ośmielił się dodać: "Przecież był jednym z nich".

- Ponieważ, wujku, Armand pracował dla Ruchu Oporu.

Otworzył szeroko oczy. - Co robił?

- Udawał, że pracuje dla Petaina jako łącznik z Niemcami, a w rzeczywistości cały czas przekazywał informacje Ruchowi Oporu. Był agentem Resistance na najwyższym stanowisku we Francji. Dlatego właśnie go rozstrzelano. - W jej głosie nie było dumy, jedynie smutek.

- Och, Liane... - George natychmiast wspomniawszy wszystkie przykre słowa, jakie wypowiedział na temat Armanda. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie mogłam nikomu powiedzieć. Nawet ja długo o tym nie miałam pojęcia.

Armand wyjawiał mi prawdę dopiero tuż przed naszym wyjazdem z Francji. -

Wstała, podeszła do okna i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w most, potem odwróciła się i spojrzała na wuja.

- Niemcy rozstrzelali go trzy dni przed ucieczką do Anglii. - To wywnioskowała z listów Armanda i Moulina. Wuj podszedł i przytulił ją.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro.

- Dlaczego? - Posłała mu pytające spojrzenie. - Ponieważ teraz wiesz, że stał po naszej stronie? Czy przejąłbyś się tak bardzo, gdybyś nadal sądził, że pracował dla Niemców? - Jej oczy były martwe i smutne.

- Nie wiem... - Potem coś mu przyszło do głowy. - Czy Nick wiedział?

- Tak.

Skinął głową. - Co zamierzasz teraz, Liane? - Miał na myśli Nicka i Liane doskonale to pojęła.

- Nic.

- Ale przecież...

Pokręciła głową.

- To nie byłoby wobec niego uczciwe, to żywy człowiek, nie zabawka. Kilka tygodni temu napisałam mu, że między nami wszystko skończone, więc czy teraz, kiedy Armand nie żyje, możemy zatańczyć na jego grobie? Był moim mężem, wujku, mężem!... I kochałam go.

- Odwróciła się. Jej ramiona zaczęły drżeć i George podszedł, jakby czując jej rozpacz we własnej duszy. Przytuliła się do niego, szlochając rozpaczliwie. - Och, wujku... to ja go zabiłam... on wiedział... musiał wiedzieć... o Nicku...

- Liane, przestań! - Chwycił ją za ramiona i mocno nią potrząsnął. - Nie zabiłaś go, to absurd. Twój mąż zrobił dla swojego kraju coś wspaniałego, ale to, co mówisz, to bzdury. Dokonał wyboru już dawno temu. Znał związane z tym wyborem ryzyko. Rozważył wszelkie niebezpieczeństwa i uznał, że rzecz jest tego warta. To nie ma z tobą nic wspólnego. Mężczyzna podejmuje takie decyzje samodzielnie, nie zważając na innych ludzi, nawet na kobietę, którą kocha.

Oczywiście w tej chwili myślę o nim dużo lepiej niż dawniej, ale rzecz w tym, że bez względu na to, czy kochaliście się z Nickiem, czy nie, Armand postąpił tak, jak uważał za słuszne. Nie mogłaś go powstrzymać. Nie mogłaś sprawić, żeby zmienił zdanie. I nie ty go zabiłaś. - Mądrość jego słów powoli docierała do Liane, która po chwili przestała płakać.

- Naprawdę myślisz, że tak było?

- Nie myślę, wiem.

- Ale jeśli podejrzewał, jeśli wyczuł jakąś zmianę w tonie moich listów...

- On by nawet nie zauważył, gdybyś przestała całkiem pisać. Mężczyzna, który podejmuje taką decyzję, Liane, czyni to całym sercem, umysłem i ciałem. Bardzo źle, że wpadł. Bo to tragedia dla ciebie, dla dziewczynek i dla jego kraju. Ale ty nie miałaś z tym nic wspólnego, tak samo zresztą jak Nick. Nie dręcz się, Liane, musisz się z tym pogodzić.

Wtedy opowiedziała wujowi o ostatnim liście męża, przyznając, że często zadawała sobie pytanie, czy ona w ogóle Armanda obchodzi, czy też jedynym obiektem jego uczuć była ojczyzna. Kiwając głową, George słuchał do późnej nocy jej spowiedzi, później zaś, gdy Liane zasnęła na sofie, poszedł do swojego pokoju, przyniósł koc i okrył ją. Była wyczerpana do kresu możliwości.

Nazajutrz obudziła się, zaskoczona, że śpi w bibliotece. Pamiętała tylko, że rozmawiała z wujem do późna. Dotknęła koca i uśmiechnęła się wzruszona. Potem przed jej oczami stanął obraz Nicka i Armanda: kroczyli ramię w ramię, zatrzymali się, aby porozmawiać z jakimś nieznajomym mężczyzną... Przebiegł ją dreszcz. Wyczuła, że owym człowiekiem jest Moulin. Ale nie chciała już myśleć o Armandzie. Jego nigdy więcej nie zobaczy. Teraz pragnęła tylko jednego: aby Nick przeżył. Miał przed sobą całe życie, miał syna, do którego powinien wrócić. Podeszła do okna i spojrzała na zatokę.

- A co z nami? - wyszeptwała do wspomnienia Armanda. - Co z naszymi córkami?

Nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytania, poszła na górę obudzić dziewczynki.

## Rozdział pięćdziesiąty trzeci

W lipcu, kiedy Liane otrzymała list od Moulina, Nick przebywał na wyspach Fidzi, z Task Force 61 przygotowując się do ataku na Guadalcanal. Japończycy zbudowali tam lotnisko bojowe i kontradmirał Fletcher organizował trzy grupy desantowe w celu jego zdobycia. "Enterprise", "Wasp" i "Saratoga", które miały być centrami grup uderzeniowych, gotowały się do boju. Kiedy "Lexington" zatonął podczas bitwy na Morzu Koralowym, Nick otrzymał tymczasowy przydział na "Yorktown", lecz po kilku tygodniach przeniesiono go na "Enterprise", gdzie miał uczestniczyć w koordynacji działań piechoty morskiej i oddziałów marynarki wojennej. Był jednym z niewielu wyższych oficerów piechoty morskiej, którzy nie byli zarazem pilotami. Po bitwie na Morzu Koralowym awansowano go do stopnia podpułkownika.

W dniu 6 sierpnia 1942 roku "Enterprise" wszedł na akwen w pobliżu Wysp Salomona i nazajutrz marinerzy wylądowali na plażach; po kilku dniach lotnisko zostało zdobyte i przemianowane na lotnisko Hendersona. Bitwa wokół Guadalcanal toczyła się jednak dalej i Japończycy mocno trzymali resztę pozycji. Marinerzy w ciągu tych kilku tygodni ponieśli ciężkie straty, ale "Enterprise" dotrzymał pola, chociaż wyszedł nie bez szwanku. Nick był na pokładzie w najcięższych dla okrętu chwilach. W myśl rozkazów miał być jednym z członków załogi, którzy odprowadzili we wrześniu okręt do bazy na Hawajach w celu naprawy uszkodzeń.

W duchu Nick pieklił się z powodu tego rozkazu. Pragnął wraz z wojskiem zostać na Guadalcanal, lecz jego obecność na uszkodzonym okręcie była niezbędna. Po przybyciu na Hawaje, zmuszony do bezsensownego wyczekiwania w

bazie Hickam, słuchał wiadomości i aż się gotował z chęci powrotu na front. Bitwa o Guadalcanal pociągała straszliwe ofiary, marinerzy masowo ginęli na plażach. Ale w gruncie rzeczy w ciągu pięciu miesięcy od wyjazdu z San Francisco Nick uczestniczył wyłącznie w działaniach bojowych: Morze Koralowe, Midway, a w końcu Guadalcanal. I ani chwili wytchnienia. Dzięki temu zresztą mógł nie myśleć o Liane. Ostatecznie do wojska postanowił wstąpić właśnie po to, aby zagłuszyć dręczące go myśli. Kiedy otrzymał list, w którym Liane z nim zrywała, doznał szoku. Najwyraźniej poczucie winy tak jej dopiekło po jego wyjeździe, że podjęła taką decyzję. Z dziesięć razy zaczynał odpowiadać na jej list, lecz wszystkie kartki lądowały w koszu. Liane raz jeszcze dokonała wyboru. I raz jeszcze Nick mógł jedynie uszanować jej decyzję. Tylko że teraz wojna, w której uczestniczył, pozwalała mu zapomnieć o sprawach osobistych.

Mimo to każdej nocy, leżąc na swojej koi, całymi godzinami rozmyślał o dniach, które spędzili razem w San Francisco. Te bolesne już wspomnienia stały się znacznie dotkliwsze, gdy na Hawajach nie miał innego zajęcia prócz wysiadania na plaży i czekania, aż "Enterprise" będzie znów gotów do boju. Pisywał więc długie listy do syna i czuł się równie bezużyteczny jak w San Francisco. Na Hawajach było wprawdzie piękne lato, ale walki na południowym Pacyfiku toczyły się nadal, toteż Nick niecierpliwie wyczekiwał chwili, kiedy znów będzie mógł się w nie włączyć. Dla zabicia czasu często chodził do szpitala, gdzie żartował z pielęgniarkami i rozmawiał z pacjentami. W oczach pielęgniarek był wesołym sympatycznym facetem, który nigdy nie próbował się z żadną umówić.

- Może nie lubi dziewcząt - zażartowała kiedyś jedna i wszystkie wybuchnęły śmiechem. Nick nie wyglądał na takiego, co woli mężczyzn.

- Może jest żonaty - zasugerowała inna. Poprzedniego dnia długo rozmawiała z Nickiem i odniosła wrażenie, że jego myśli zajmuje kobieta, chociaż niewiele mówił na ten temat. Po prostu sposób, w jaki powiedział "my", dał jej do zrozumienia, że przed wyjazdem na front nie był człowiekiem samotnym i że w jego duszy jak cień tkwi jakiś ból. Ból, którego nikt nie może złagodzić.

Dla kobiet w bazie stanowił stały temat rozmów. Był niezmiernie interesujący i osobliwie szczery w niektórych kwestiach. Wiele rozmawiał o swoim synu, chłopcu imieniem John, liczącym jedenaście lat. Wszyscy słyszeli coś o Johnnym.

- Wiecie, kim on jest? - wyszeptwała pewnego dnia jedna z pielęgniarek. - To znaczy w cywilu... - Pochodziła ze wzgórz Kentucky, ale obita jej się o uszy nazwa korporacji Burnham Steel. Z zasłyszanych od Nicka fragmentów złożyła sobie pewną całość, potem zapytała o to pewnego oficera, a ów potwierdził jej domysły.

- On jest korporacją Burnham Steel.

Inna pielęgniarka, nastawiona sceptycznie, wzruszyła ramionami.

- No i co z tego? Mimo wszystko jest na tej wojnie jak my wszyscy, był członkiem załogi zatopionego okrętu.

Dziewczyna z Kentucky kiwnęła głową. Mimo wszystko marzyła o randce z Nickiem. Przy okazji każdego spotkania nie ukrywała swoich chęci, lecz rozmawiał z nią tak samo jak z innymi dziewczętami.

- Chryste, do tego faceta nie można się dostać - poskarżyła się pewnego dnia przyjaciółce.

- Może ktoś czeka na niego w kraju.

To przypuszczenie nie mogło jednak pohamować pielęgniarskich zabiegów.

Tematem bardzo podobnych rozmów i rozważań była w szpitalu w Oakland Liane.

- Masz chłopaka na wojnie? - zapytał ją pewnego dnia młodzieniec z kiszkami pełnymi odłamków szrapnela. Operowano go trzykrotnie, a wciąż nie usunięto wszystkich kawałków.

- Męża - odparła z uśmiechem.

- Tego na Morzu Koralowym? - Rozmawiała z nim, kiedy przyjęto go do szpitala, i chłopak szybko się zorientował, że Liane wie na temat bitwy mnóstwo rzeczy.

- Nie, był we Francji - odparła z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co tam robił? - Chłopak wyglądał na stropionego. Ta informacja nie pasowała do wszystkiego, co mówiła dotąd Liane.

- Walczył z Niemcami. Był Francuzem.

- Och - westchnął zaskoczony. - Gdzie jest teraz?

- Zabili go.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Liane otulała kocem nogi chłopaka. Lubił ją, była taka śliczna. - Przykro mi.

- Mnie również - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Masz dzieci?

- Dwie córki.

- Takie ładne jak ich mama?

- Dużo ładniejsze - odparła i przeszła do następnego łóżka.

Pracowała w salach szpitalnych, zawsze uśmiechnięta opróżniała kaczki, ujmowała w tklwym geście dłonie rannych, przytrzymywała głowy wymiotujących. Ale rzadko mówiła cokolwiek o sobie. Nie miała zresztą nic do powiedzenia. Jej życie było skończone.

Dopiero we wrześniu wuj zaprosił ją w końcu na kolację, uznając, że czas już najwyższy, aby skończyła z żałobą. Pokręciła jednak głową.

- Chyba nie, wuju, jutro rano muszę być w pracy i... - Wcale nie zamierzała uciekać się do wymówek, po prostu nie chciała wychodzić.

Pragnęła swoje życie ograniczyć do pracy, powrotów do domu, dziewczynek i snu.

- Dobrze by ci zrobiła zmiana otoczenia. Nie możesz tylko biegać do szpitala i z powrotem.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie jesteś starą kobietą, Liane. Może wolałabyś nią być, ale to na szczęście zależy nie tylko od ciebie.

- Jestem wdową. A to dokładnie to samo.

- Guzik prawda. - Liane zaczynała przypominać George'owi jego brata z czasów po śmierci Arabelli. Czyste szaleństwo. Miała zaledwie trzydzieści pięć lat i nie mogła się pogrzebać wraz z mężem.

- Wiesz, jak wyglądasz? Jesteś chuda jak szczapa, masz zapadnięte oczy, a ubranie wisi na tobie jak na kołku.

Roześmiała się i pokręciła głową.

- Śliczny konterfekt.

- Zerknij w lustro od czasu do czasu.

- Za wszelką cenę staram się tego unikać.

- Zrozum, o co mi chodzi. Do diabła, dziewczyno, przestań machać tą czarną flagą. Ty żyjesz. Owszem, cholernie żal, że Armand nie żyje, ale w czasie wojny wiele kobiet jest w takiej sytuacji jak ty. A przecież nie wysiadują całymi godzinami z całunem na twarzy, za wszelką cenę starając się sprawić wrażenie, że też zeszyły.

- Doprawdy? - W jej głosie zabrzmiała lodowata nuta. - Cóż więc robia,

wuju? Chodzą na przyjęcia? - Tak właśnie postępowała wcześniej, jeszcze przed śmiercią Armanda, i robiła źle. Nie powtórzy czegoś takiego. Armand umarł. Na całym świecie umierali zresztą mężczyźni, a ona robiła wszystko co w jej mocy dla tych, którym udało się przeżyć.

- Mogłabyś wyskoczyć na kolację od czasu do czasu. Czy byłoby to aż takim występkiem?

- Nie mam ochoty.

George postanowił poruszyć temat będący dotąd tabu. - Miałaś jakieś wiadomości od Nicka?

- Nie. - Mury wokół Liane umocniły się jeszcze bardziej.

- Pisałaś do niego?

- Nie i nie zamierzam. Pytałeś mnie już o to i proszę, nie rób tego więcej.

- Dlaczego nie? Mogłabyś go w końcu powiadomić o śmierci Armanda.

- Dlaczego? - W jej głosie pojawiły się nuty wściekłości. - Co dobrego by z tego wynikło? Zrywałam z nim już dwa razy i nie zamierzam ponownie go ranić.

- Dwa razy? - powtórzył wuj z lekka stropiony, a Liane wściekła się na siebie. Cóż za różnica, jeśli się w tej chwili dowie?

- To samo stało się na pokładzie "Deauville". Zakochaliśmy się w sobie i zakończyłam ten związek ze względu na Armanda.

- Tego nie wiedziałem... - Pod wieloma względami jest niebywale skrytą kobietą, pomyślał George z wielkim podziwem. A zatem mieli już wcześniej romans. Podejrzywał to, lecz nigdy nie miał pewności. - W takim razie chyba tym ciężiej było wam rozstawać się ostatnio.

Spojrzała wujowi w oczy. - Istotnie. Nie mogę mu zrobić tego jeszcze raz, wuju. Ani jemu, ani sobie. Za wiele rzeczy się wydarzyło. Lepiej pozostawić sprawy ich własnemu biegowi.

- Ależ nie musisz skazywać go znowu na ten sam los. - Nie chciał dodawać, że jest już wolną kobietą.

- Nie wiem, czy mogłabym żyć z poczuciem winy. Za to, co zrobiliśmy. Nadal sądzę, że Armand wiedział, a jeśli nawet nie wiedział, to i tak postępowała źle. Nie można budować życia na błędzie powtórzonym dwa razy... Powiedz, gdybym teraz do niego napisała, co dobrego by to dało? Znów by nabrał nadziei, a ja może bym nie potrafiła sprostać jego oczekiwaniom po powrocie. Nie mogę, po prostu nie mogę po raz trzeci skazywać go na to samo.

- Ale przecież musiał znać twoje uczucia, Liane.

- Znał. Zawsze powtarzał, że będzie grał według moich zasad. A moje zasady kazały mi wrócić do męża. - Minę miała taką, jakby brzydziła się samej siebie. Dręczyła się tym od miesięcy. - Nie chcę już o tym mówić... - Wspomniała owe dawno minione czasy, kiedy mogła kochać dwóch mężczyzn. Teraz nie miała żadnego.

- Sądzę, że jesteś w błędzie. Nick na pewno zna cię lepiej niż ty sama. Mogłby ci pomóc przetrwać ten kryzys.

- Znajdzie sobie kogoś innego. Poza tym ma Johna, do którego może wrócić.

- A ty? - Bardzo się o nią niepokoił. Któregoś dnia Liane niechybnie złamie się pod naporem nieustannych napięć.

- Jestem szczęśliwa w takiej roli, jaką odgrywam.

- Nie wierzę. I ty też w to nie wierzysz.

- Nie zasługuję na inny los, wuju!

- Na miłość boską, kiedy wreszcie zejdziesz z tego krzyża?

- Kiedy odpokutuję winy.

- A nie sądzisz, że już to zrobiłaś? - Pokręciła głową. - Straciłaś męża, którego, jak powiadasz, zdradziłaś, a przecież trzymałaś się go do ostatniej chwili. Zrezygnowałaś nawet z mężczyzny, którego obdarzyłaś uczuciem, i dotrzymywałaś tajemnicy Armanda przez wszystkie te lata, chociaż wykańczałem cię swoimi niewybrednymi złośliwościami, chociaż właściwie przegnano cię z Waszyngtonu, wytarzaną w smole i pierzu. Nie sądzisz, że już wystarczy? A teraz zapracowujesz się na śmierć, pomagając tym facetom w szpitalu. Czego chcesz jeszcze? Włosiennicy?... Habitu i popiołu na głowę?...

Uśmiechnęła się. - Nie wiem, wuju. Może kiedy wojna się skończy, pomyślę o tym świecie w innych kategoriach.

- Jak wszyscy, Liane. To ciężkie czasy. Pomyśl o Żydach wysyłanych do obozów. O dzieciach ginących w Londynie. O faszystach rozstrzeliwujących ludzi pokroju Armanda. O zatopionych okrętach i... można to wyliczać w nieskończoność. To wszystko jest potworne, ale przecież wciąż musisz budzić się rano z uśmiechem, wyglądać przez okno i dziękować Bogu, że żyjesz, podawać dłoń ludziom, których kochasz. - Wyciągnął ku niej ramię, a ona ujęła jego dłoń i pocałowała.

- Kocham cię, wuju. - Wyglądała teraz jak mała dziewczynka i starszy pan pogładził jej jedwabiste jasne włosy.

- Ja też cię kocham, Liane. I prawdę mówiąc, kocham także tego chłopca. Chciałbym dożyć chwili, kiedy będziecie znowu razem. Byłoby to dobre i dla ciebie, i dla dziewcząt, bo przecież ja nie będę żył wiecznie.

- Będiesz. - Uśmiechnęła się znowu. - Postaraj się.

- Nie, nie będę. Przemyśl to, co powiedziałem. Jesteś winna to samej sobie. I jemu.

Nie wzięła sobie jednak do serca jego słów. Po prostu chodziła co dzień do szpitala w Oakland, wykańczając się opieką nad pacjentami, potem wracała do domu, aby wszystkim, co w niej pozostało, obdarzyć wuja i córki.

W dniu 15 października "Enterprise" ponownie wziął kurs na Guadalcanal. Na pokładzie okrętu płynął Nick, każdym nerwem wyczekujący powrotu na front. Dwa miesiące spędzone na Hawajach omal nie doprowadziły go do szaleństwa.

"Enterprise" osiągnął Guadalcanal 23 października i wraz z "Hornetem" przeszedł pod dowództwo kontradmirała Thomasa Kinkaida. W pobliżu miejsca bitwy nadal krążyły cztery japońskie lotniskowce, usiłując odbić obecnie Henderson Field. Amerykanie jednak utrzymywali przyczółek.

Admirał Halsey, głównodowodzący flotą na południowym Pacyfiku, 26 października wydał rozkaz ataku na Japończyków. Była to straszliwa bitwa, Amerykanie bowiem dysponowali mniejszymi siłami. Japończycy zdołali zapalić, a potem zatopić "Horneta", na którym zginęło setki ludzi.

"Enterprise" przetrwał mimo ciężkiego ostrzału i kontynuował walkę. A w Stanach Zjednoczonych wszyscy siedzieli przy radioodbiornikach, oczekując nowin.

Przy tym właśnie wuj George zastał pewnego dnia Liane. Miała strach w oczach.

- Przypuszczasz, że on tam jest, prawda?

- Nie wiem. - Jej oczy mówiły jednak co innego.

- Ja też. - Smętnie pokiwał głową.

## Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rankiem 2~ października "Hornet" wciąż płonął, powoli tonąc. "Enterprise", mimo wielu poważnych uszkodzeń, nie przerywał walki. Pułkownik Burnham trwał na mostku, dowodząc obroną przeciwlotniczą, kiedy Japończycy zadali okrętowi najpoważniejszy cios. Pięćsetpięćdziesięciofuntowa bomba spadła na pokład startowy i siejąc odłamkami na wszystkie strony, przebiła lewą burtę. Cały okręt stanął w płomieniach, a ciała zabitych i rannych zasłały wszystkie pokłady.

- Jezu Chryste! Widziałeś tę bombę? - Mężczyzna stojący obok Nicka z niedowierzaniem szeroko otworzył oczy. Nick jednym skokiem pokonał schody.

- Nie pieprz! Palimy się! Ciągnij węże!

Jedni żołnierze usiłowali stłumić pożar, inni ostrzeliwali japońskie bombowce nurkujące, które atakowały okręt. Jeden z samolotów zderzył się z pokładem, wywołując straszliwą eksplozję. Nick próbował wyciągać z płomieni ludzi pełznących ku niemu ostatkiem sił. Kiedy polewał ich wodą, usiłując ugasić ogień pożerający ich odzież i ciała, za jego plecami rozbrzmiała kolejna eksplozja. Nick dostrzegł jedynie oślepiający blask i poczuł lekkość w członkach... I zdążył jeszcze pomyśleć o Liane.

## Rozdział pięćdziesiąty piąty

Uczestników bitwy na Guadalcanal zwożono przez cały listopad. Wielu z nich przetrzymywano jakiś czas w Hickam, innych natychmiast odsyłano do Oakland, tylko tam bowiem można im było zapewnić właściwą opiekę. Wielu wszakże zdążyło umrzeć przed powrotem do Stanów.

Liane obserwowała, jak zjawiają się dzień po dniu: pozbawieni kończyn, pokryci straszliwymi ranami i oparzeniami. I w nieskończoność wysłuchiwała opowieści o pięćsetpięćdziesięciofuntowej bombie.

Kiedy asystowała przy znoszeniu rannych z okrętu, przypomniała sobie "Deauville". To jednak było dużo gorsze niż wszystko, co widziała wtedy. Ci ludzie wracali dosłownie w strzępach.

Pewnego razu wydało się jej, że ktoś mówi o Nicku. Jakiś mężczyzna w gorączce majaczył, rozprawiał o kumplu, który zmarł na pokładzie tuż obok niego. Później okazało się jednak, że chodziło o innego Nicka. Opowiadający zaś zmarł w jej ramionach dwa dni później.

W wieczór Święta Dziękczynienia wuj George, nie mogąc dłużej znieść napięcia, zaproponował:

- A może byśmy zadzwonili do War Office i spróbowali się dowiedzieć?

Pokręciła głową. - Jeśli spotkało go coś złego, przeczytamy o tym w gazetach... - Nie chciała się dowiadywać, gdzie Nick przebywa, kuśliby ją bowiem, żeby napisać list, czego zgodnie ze swym postanowieniem nie zamierzała robić. A jeśli został ranny, dowie się o tym wcześniej czy później. Jeśli natomiast szef korporacji Burnham Steel zginął, wiadomość ta zostanie opublikowana we wszystkich gazetach w kraju. - Daj spokój, wujku, nic mu się nie stało.

- Tego nie wiesz.

- Nie wiem - przyznała, miała jednak dość roboty z ludźmi, którzy z całą



pewnością nie wyszli cało z tej bitwy. Pracowała teraz na dwunastogodzinnych zmianach, ramię w ramię z wykwalifikowanymi pielęgniarkami.

- Cholera, powinni dać ci jakiś medal, kiedy skończy się ta wojna.

Pochyliła się i pocałowała wuja w policzek, potem z uśmiechem wyprostowała się i zerknęła na zegarek.

- Muszę iść, wujku.

- Teraz? Dokąd?- Skończyli właśnie świąteczną kolację i chwilę później dziewczynki poszły do łóżek. Była dziewiąta wieczorem, a Liane nie wychodziła przecież nigdzie od miesiąca.

- W bazie brakuje personelu i obiecałam, że wrócę.

- Nie chciałbym, żebyś jechała tam sama.

- Jestem już dorosła, wujku. - Poklepała go po ramieniu.

- Jesteś szalona.

Była bardziej szalona, niż przypuszczał. Obląkana z lęku, tęsknoty i bólu. Obląkana z niepewności, czy Nick żyje, czy zginął. Dzień po dniu wysłuchiwała opowieści, zastanawiając się, czy ten, co zginął u boku żołnierza, którym się opiekowała, był Nickiem, i czy w ogóle Nick uczestniczył w tej bitwie. Udręka na stałe zagościła w jej oczach. W poniedziałek rano George Crockett wziął sprawę w swoje ręce i po raz kolejny zadzwonił do Brett Williamsa.

- Proszę pana, ja muszę wiedzieć - oświadczył stanowczo.

- My też. - Brett Williamsa zastanawiał ten starszy facet.

Williams wiedział, kim jest, w przeciwnym bowiem razie nie odebrałby telefonu, ale dziwiło go, że Crockett tak się dopytuje o Nicka. Może był bliskim przyjacielem starszego Burnhama? - Nie dostaliśmy żadnych wiadomości.

- Ale może je pan zdobyć, na miłość boską. Niech pan zadzwoni do Białego Domu, do Departamentu Stanu, do Pentagonu, gdziekolwiek.

- Dzwoniliśmy. Panuje teraz taki chaos, że nie można polegać na ich informacjach. Wielu ludzi zginęło na pokładzie "Horneta", wielu innych jest rozsianych po rozmaitych szpitalach. Mówią, że trzeba miesiąca, zanim te informacje będą precyzyjne.

- Cóż, chyba nie mogę czekać tak długo - mruknął George.

- Dlaczego nie? - Brett Williams miał już dość tej rozmowy. Od miesiąca żył w ciągłym napięciu, nie mając pojęcia, co dzieje się z Nickiem. Niemal codziennie dzwonił do niego Johnny. Nie miał chłopcu nic do powiedzenia, tak samo jak temu starszemu z Zachodniego Wybrzeża. Dzwoniła nawet Hillary. Była rzeczywiście zaniepokojona, że Johnny może stracić ojca. W tej chwili gotowa była nawet zrezygnować z syna. - Skoro my siedzimy na tyłkach obgryzając paznokcie, może to robić również pan.

- Ale moja bratanica nie może. Zadręczy się na śmierć, jeśli nie zdołamy ustalić, co się z nim stało.

- Pańska bratanica? - zapytał stropiony Brett. - Kim ona jest, do diabła?

- To Liane Crockett. - Nie nazywała się Liane Crockett już od trzynastu lat, lecz w tej sytuacji George zupełnie o tym zapomniał.

- Ale... - bąknął Williams. Powoli zaczynało to do niego docierać. - Nie zdawałem sobie sprawy... Nic mi nie powiedział...

- Zastanawiał się, czy stary mówi prawdę, ale zapewne tak, po cóż by bowiem dzwonił?

- Dlaczego, do diabła, miał się panu zwierzać? Zresztą wtedy była mężatką, ale teraz jest wdową... - zająknął się zdziwiony, że mówi to

wszystko obcemu w gruncie rzeczy facetowi. Jednakże lżej mu się zrobiło na duszy, gdy wyjawiał tę tajemnicę. Nie mógł znieść widoku Liane ginącej powoli wewnątrz fortecy, którą sama zbudowała wokół siebie. - Proszę pana, musimy go znaleźć. - Chwytał notes i pióro.

- Do kogo pan dzwonił? - Williams wyrecytował długą listę nazwisk. Ten stary zaczynał mu się podobać. Był do rzeczy i najwyraźniej miał fioła na punkcie bratanicy i Nicka Burnhama. Zaczął się zastanawiać, do których drzwi można by jeszcze zapukać, George Crockett zaś podsunął mu kilka wartych zachodu pomysłów. - Pan to zrobi, czy ja mam się tym zająć?

Williams wiedział, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Korporacja Burnham Steel i Linie Żeglugowe Crocketta miały równą wagę.

- Proszę pozwolić, że najpierw ja spróbuję. Dam panu znać.

Dwa dni później Brett istotnie zadzwonił. Nie dowiedział się wiele, ale zawsze coś.

- Nick był na "Enterprise", kiedy okręt został trafiony, panie Crockett. Bez wątpienia został ciężko ranny. Wiadomo jeszcze tylko, że przetransportowano go na Hawaje. Dopiero dziś rano ustalono, że był w Hickam.

- Czy wciąż tam jest? - zapytał George kręcąc głową. Znaleźli go co prawda, ale czy żyje? I jak poważnie został ranny?

- Wyprawiono go w zeszłym tygodniu na USS "Solace". Okręt przerobiono na jednostkę szpitalną, płynie teraz do San Francisco. Ale, panie Crockett...

- Najwyższą niechęcią napawała go myśl, że musi zgasić nadzieje rozmówcy, ale powinni być przecież realistami, nawet ta nie znana bratanica Crocketta. A może zwłaszcza ona. Nie wiedział, iż Liane nic nie wie o dochodzeniu prowadzonym przez wuja. George chciał zaczekać, dopóki nie będzie dysponował konkretnymi informacjami. - Nic nie wiadomo o jego stanie. Był krytyczny, kiedy Nick trafił do Hickam, ale nie wiemy, w jakim stanie odpłynął. Wszystko wskazuje na to, że na tych okrętach... Na tych okrętach wielu umiera.

- Wiem. - George Crockett przymknął oczy. - Musimy się po prostu modlić.

- Zastanawiał się, czy powinien poczekać, czy też powiedzieć Liane już teraz. Ale może jeśli zacznie grać na zwłokę, Liane któregoś dnia ujrzy przed sobą w tym cholernym szpitalu twarz Nicka. Otworzył oczy. - Jak się pan dowiedział?

Brett Williams uśmiechnął się. - Zadzwoniłem jeszcze raz do prezydenta i powiedziałem, że pan się koniecznie chce dowiedzieć.

- Przyzwoity gość. Głosowałem na niego w ostatnich wyborach.

- Ja też.

- Wie pan, kiedy statek powinien wpłynąć do portu?

- Nie mieli pewności. Jutro albo pojutrze.

- Będę mieć to na oku, a jak tylko czegoś się dowiem, zadzwonię do pana.

Odłożył słuchawkę, po czym zadzwonił do dowództwa marynarki wojennej. "Solace" miał wejść do portu nazajutrz o szóstej rano. Dawało to George'owi sporo czasu do namysłu.

Liane wróciła do domu o szóstej wieczorem blada i wyczerpana. George przyglądał się jej, kiedy piła herbatę i jadła kanapkę; ważył, czy ma jej powiedzieć już teraz, lecz doszedł do wniosku, że nie może. A jeśli Nick umarł podczas rejsu? Potem jednak naszała go inna refleksja: a jeśli nie umarł?

Jeszcze nie spała, kiedy godzinę później zapukał do drzwi jej pokoju.

- Liane... Nie obudziłem cię?

- Nie, wujku. Czy coś się stało? Źle się czujesz? - zaniepokoiła się.  
- Nie, nie, czuję się świetnie. Usiądź, moja droga. - Wskazał jej krzesło i sam usiadł.

Liane zdrząła. Miała przeczucie, że wuj chce jej powiedzieć coś, czego wcale nie chciała usłyszeć. Kiedy na niego patrzyła, zgasły w niej resztki nadziei.

- Chcę ci coś powiedzieć, Liane. Możliwe, że się na mnie rozgniewasz... - Głęboko zaczerpnął powietrza i podjął: - Kilka dni temu zadzwoniłem do Bretta Williamsa.

- A kto to jest? - Wtedy nagle przypomniała sobie i poczuła, że całe jej ciało tężeje. - No i?... - Czekając na odpowiedź, czuła się tak, jakby umierała, spadając w głęboką czarną otchłań.

- Nick był na Guadalcanal. - Starał się powiedzieć wszystko jak najszybciej. - Został ranny... Prawdopodobnie ciężko... Ale według ostatnich doniesień wciąż żył.

- Kiedy to było?

- Przeszło tydzień temu.

- Gdzie jest teraz?

Wciąż patrzył jej w oczy. Rozdzierał ją ból, ale nareszcie żyła. - Na statku płynącym do San Francisco.

Zaczęła cicho płakać. George podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Liane... Niewykluczone, że nie przeżyje tego rejsu. Byłaś świadkiem wielu takich sytuacji, więc na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. - Skinęła głową i podniosła wzrok.

- Wiesz, na jakim jest statku?

- Na "Solace". Jutro o szóstej rano będą tutaj, w Oakland.

Siedząc bez ruchu, przymknęła oczy i pograżyła się w myślach. Szósta rano... szósta rano... Za siedem godzin to wszystko się skończy... Będzie wiedzieć...

- Dowiemy się wszystkiego, jak tylko przyplyną - odezwał się George.

- Nie - przerwała z mocą. - Nie. Chcę tam pójść sama.

- Możesz go nie znaleźć.

- Jeśli tam będzie, odnajdę go.

- Ależ, Liane... - zaoponował. A jeśli się okaże, że Nick nie żyje?...

Nie chciał, żeby sama stawiała temu czoło. - Pójdę z tobą - oświadczył stanowczo.

Czule pocałowała go w policzek.

- Chcę pójść sama. Muszę. - Uśmiechnęła się na wspomnienie słów Nicka, wypowiedzianych bardzo, bardzo dawno temu. - Jestem silną kobietą, wuju.

- Wiem - uśmiechnął się, chociaż oczy miał pełne łez. - Ale to może się okazać nawet ponad twoje siły.

Pokręciła głową. Chwilę później George wyszedł z pokoju. Przez całą noc Liane siedziała w ciemnościach, obserwując wskazówki zegara. O wpół do piątej wzięła prysznic i ubrała się. W ciepłym płaszczu wyszła wprost w wilgotne kłęby mgły.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Kwadrans po piątej Liane jechała Bay Bridge, nie widząc z przodu ani z

tyłu żadnego samochodu. Tylko w oddali rysowały się sylwetki dwóch ciężarówek. Gęsta mgła spowijała zatokę i rozpięty nad nią most. Kiedy dotarła do bazy marynarki wojennej, mgła gęstą powłoką osiadała na wodzie. Na nabrzeżu stały rzędem karetki pogotowia oczekujące na rannych, obok trwały w gotowości zespoły sanitariuszy, chuchających w dłonie z powodu chłodu. Wiedzieli, że statek przechodzi właśnie pod Golden Gate. To już niedługo. Liane dostrzegła znajomą twarz młodego lekarza wojskowego, z którym pracowała w szpitalu.

- Zapędzili cię do roboty, Liane? Pracujesz naprawdę ciężiej niż ja.

- Nie. Przyjechałam, żeby zobaczyć... żeby się dowiedzieć...

Rozpoznał wyraz jej oczu i zrozumiał. Nie była tu służbowo. Natychmiast pojął, dlaczego drżąca stoi w chłodnym powietrzu poranka.

- Wiesz, gdzie był?

- Na Guadalcanal.

Rezultaty tej bitwy, setki rannych i okaleczonych, oglądali od miesięcy.

Wiesz, jak poważnie był ranny? - Pokręciła głową, a lekarz położył jej dłoń na ramieniu i powiedział cicho: - Jakoś go połatamy.

Skinęła głową, niezdolna cokolwiek powiedzieć, a potem odeszła, aby obserwować wejście statku do portu. W oddali w gęstej mgle pojawiło się światło, zabrzmiał buczonek mgłowy. Jeszcze bardziej wytężyła wzrok. Światła stawały się coraz wyraźniejsze, wreszcie z białej zupy niczym zjawa wyłoniła się sylwetka "Solace". Burty były pomalowane na białą i oznaczone czerwonym krzyżem. Dla Liane, ze wstrzymanym oddechem czekającej na zimnie, cumowanie trwało całe wieki. W gronie sanitariuszy nastąpiło ożywienie, chwymano nosze, a kiedy wreszcie statek zacumował, nabrzeże gwałtownie ożyło.

W pierwszej kolejności znoszono najciężej rannych. Syreny karetek zawyły przeraźliwie. Dla Liane w całej tej sytuacji było coś absurdalnego - ranni wiele dni żeglowali po Pacyfiku, a teraz wiezie się ich do szpitali na sygnale. Dla niektórych wszakże każda stracona chwila mogła oznaczać życie lub śmierć. Wiedząc, że nie ma żadnego wyboru, Liane postąpiła do przodu i zaczęła przepatrywać twarze. Niektórych jednak nie było widać, inne zostały częściowo zakryte, inne tak straszliwie poparzone, że nie dawało się rozpoznać rysów. Kiedy tak szła nabrzeżem, pełna wyczekiwania i niepokoju, żołądek podchodził jej do gardła. To było coś innego niż praca w szpitalu. Wypatrywała Nicka i ważny był tu każdy mężczyzna, któremu się przyglądała. Była gotowa na najgorsze. W pewnej chwili usłyszała, jak znajomy lekarz pyta:

- Jak się nazywa?

- Burnham - odkrzyknęła. - Nick Burnham.

- Znajdziemy go.

Skinieniem głowy wyraziła wdzięczność.

Powoli zaczęli się pojawiać ranni, zdolni poruszać się o własnych siłach. Mężczyźni kuśtykali, łzy spływały po ich policzkach.

Liane usłyszała potężny wrzask i podniósłszy wzrok, ujrzała na pokładzie statku setki obandażowanych, okaleczonych, poranionych i zmasakrowanych żołnierzy, którzy mimo ran krzykiem pozdrawiali ojczyznę. W odpowiedzi podobny krzyk rozległ się na nabrzeżu. Krzyk, do którego przyłączyła się też Liane - w imieniu swoim, Nicka, Armanda... Tak wielu miało nigdy nie wrócić do domu! Zastanawiała się, czy w tym gronie będzie też Nick. Może informacja zdobyta przez wuja George'a była błędna... może Nick zginął... albo nie ma go na pokładzie statku... albo umarł w czasie rejsu.

Obserwowanie strumienia wolno schodzących po trapie mężczyzn było wręcz nieznośne. Dochodziła siódma trzydzieści, mgła unosiła się powoli, a oni wciąż schodzili. Młody lekarz biegał pomiędzy rannymi i karetkami, kursującymi nieprzerwanie od nabrzeża do szpitala i z powrotem. Liane wiedziała, że tego dnia sala operacyjna będzie pękać w szwach.

- Dalej nic? - Lekarz zatrzymał się przy niej na chwilę. Liane pokręciła głową. - To może być dobry znak. Niewykluczone, że jeszcze zejdzie.

Albo wcale nie zejdzie, pomyślała Liane. Była odrętwiała i przemarznięta do szpiku kości.

Wtedy go zobaczyła. Szedł powoli w grupie mężczyzn, z pochyloną głową, długimi włosami. A jednak rozpoznała go od razu, nawet w morzu otaczających go męskich twarzy. Dopiero po chwili zauważyła, że idzie o kulach.

Stała nieruchomo, nagle niepewna, czy w ogóle powinna była przychodzić. Czy nie postąpiła niewłaściwie. Może Nick wcale nie ma ochoty jej widzieć? Kiedy tak patrzyła, Nick odwrócił głowę, aby powiedzieć coś do człowieka po swojej prawej stronie, potem stanął jak wryty, dostrzegłszy Liane. Nie ruszał się ani on, ani ona. I naraz, jakby nie mieli już odwrotu, postąpili ku sobie. Zrazu wolno, później coraz szybciej.

Ale oto rozbrzmiała nowa fala okrzyków i wiwatów i na moment Liane straciła Nicka z pola widzenia, kiedy jednak tłum ponownie się rozdzielił, zobaczyła go w tym samym miejscu. Ruszyła biegiem, śmiejąc się przez łzy, a on pochylił głowę i zapłakał kręcąc głową, jak gdyby chciał zawołać "Nie", albo dać do zrozumienia, że wcale nie chce jej widzieć. Zwolniła kroku, zauważyła, że Nick nie ma lewej nogi, zrozumiała i ruszyła biegiem wykrzykując jego imię: "Nick, Nick, Nick!"

Liane biegła, Nick zaś podniósł wreszcie pochyloną dotąd głowę i wtedy ujrzała w jego oczach doświadczenie tysiąca lat, doświadczenie, którego nie było w nich wcześniej. Potem nagle szarpnął się, mocniej chwycił kule i ruszył w jej stronę...

Stali na nabrzeżu. Nick mocno tulił ją do siebie. Byli tacy sami jak niegdyś, a zarazem zupełnie odmienieni. Minęło tysiąc lat, wokół nich umierali ludzie, a nad nimi unosiła się mgła. Nick w końcu wrócił do domu, Liane należała do niego.

Miał słusność dawno temu, w innym świecie, w innym czasie: silnych ludzi nie można pokonać.